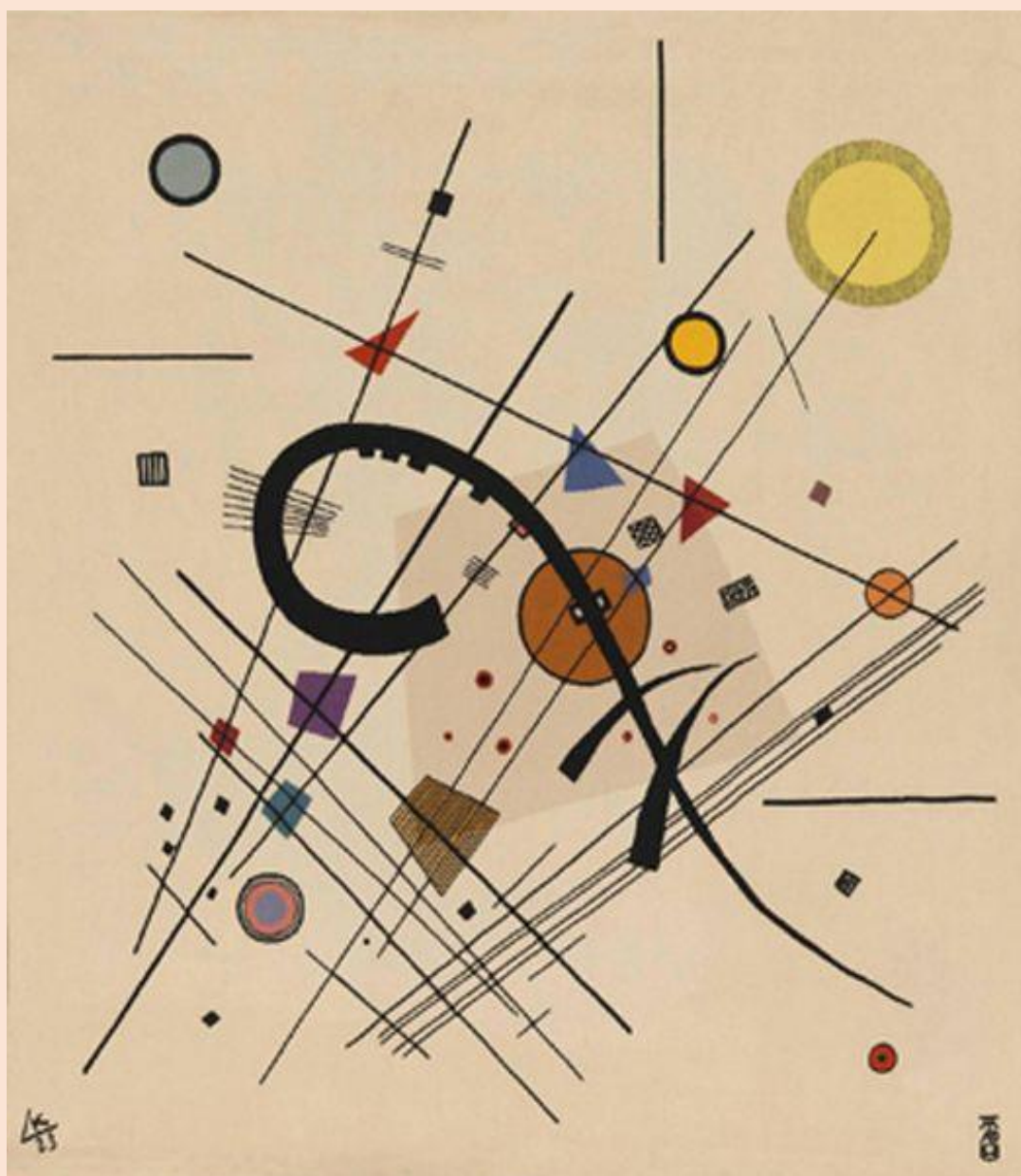


# ALMANAX

## STUDENCKI

2021 VOL. 1

NR 1. WIOSNA





# Stopka

Almanax Studencki

Almanach Twórczości Artystycznej Studentów Uniwersytetu Gdańskiego

Koło Naukowe Teoretyków Literatury UG

Patronat:

Wydział Filologiczny UG

Instytut Filologii Polskiej UG

Redakcja: Michał Bolek (Dział Przekładu), Joanna Danowska, Patryk Dzikiewicz, Alicja Smaruj, Paulina Sokólska, Marysia Wrzeszcz (Dział Poezji), Aleksandra Zdanowicz, Maciej Dajnowski (Sekretarz Redakcji)

Adiustacja, korekta, redakcja: Zespół

Typografia i skład: *Sophrosyne DIY*

Concept art i oprawa graficzna: *Bunkai DIY*

Okładka:

Wassily Kandinsky, *Le Petit carré gris* (1923)

Pestilentiae Anno Secundo

Gdańsk MMXXI



© Marek Arasimowicz, Szymon Baczewski, Filip Bieliński, Michał Bolek, Karin Boye, Marcelina Bucholc, Beata Budzkowska, Weronika Bukowska, Ida Cylwik, Magdalena Cyza, Joanna Danowska, Natalia Dolny, Patryk Dzikiewicz, Maciej Franciszczak, Jana Futymska, Agata Gigilewicz, Nikolaï Gogol, Julia Grabarczyk, Marcel Jakubowski, Natalia Jałmużna, Jagoda Janowska, Franz Kafka, Szymon Kamiński, Zuzanna Kiercel, Arenika Kita, Anna Kłodowska, Zofia Kossak-Szczucka, Jakub Kraszewski, Paula Kwiatkowska, Weronika Leszczyńska, Howard Phillips Lovecraft, Aleksandra Łasińska, Marcin Makara, Przemysław Mazurkiewicz, Urszula Mazurkiewicz, Mikołaj Mizak, Patryk Miąskowski, Weronika Orzechowska, Marta Paluch, Patrycja Pankau, Julia Piestrzeniewicz, Róża Piotrowska, Zofia Piskorska, Witold Pozorski, Karol Rawski, Magda Sajewicz, Ula Sikora, Franciszek Sobiech, Edmund Strzelecki, Karolina Szwed, Martyna Świniarska, Paulina Ulatowska, Jakub Wedeł, Anna Wielgat, Marysia Wrzeszcz, Robert Zawadzki, Michał Ziemiański

© Almanax Zespół

Wszelkie reprodukcje rysunków, malarstwa, grafik, fotografii zostały użyte w celach wyłącznie edukacyjnych i jedynymi dysponentami praw autorskich są ich właściciele.

W składzie wykorzystano następujące darmowe fonty:

aztec, Beauty, Fisherman, Go Go Sports, Greek Art, Ice-egg Futhark Runes, Inga Stone Signs, Khosrau, Meroitic – Hieroglyphs, Monocracy Cuts and Clips, NegativeFilm, Prehistoric Paintings, SL Rock Art, Total Floral, WC Fetishist Bta, Younger Futhark Short Twig

Numer zamknięto 1 maja 2021 r.

Kontakt:

e-mail: [almanax.redakcja@gmail.com](mailto:almanax.redakcja@gmail.com)

FB: <https://www.facebook.com/Almanax-100172365560354>

Messenger: [m.me/100172365560354](https://www.messenger.com/profile/100172365560354)

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

WWW: [https://fil.ug.edu.pl/wydzial\\_filologiczny/instituty/institut\\_filologii\\_polskiej/dzialalnosc\\_institutu/kola\\_naukowe/kolo\\_naukowe\\_teoretykow\\_literatury\\_ug](https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instituty/institut_filologii_polskiej/dzialalnosc_institutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug)



# SPIIS TRESCI

Spis treści	4
Wstępniak	7
<b>POEZJA</b> .....	9
Magda Sajewicz, <i>Wiersze</i>	10
Marysia Wrzeszcz, <i>Wiersze</i>	15
Paulina Ulatowska, <i>Wiersze</i>	23
Szymon Kamiński, <i>Wiersze</i>	30
Aleksandra Łasińska, <i>Wiersze</i>	36
Patryk Miąskowski, <i>Wiersze</i>	39
Paula Kwiatkowska, <i>Wiersze</i>	41
Ula Sikora, <i>Wiersze</i>	43
Witold Pozorski, <i>Wiersze</i>	47
Agata Gigilewicz, <i>Wiersze</i>	49
Mikołaj Mizak, <i>Wiersze</i>	54
<b>Translacje</b>	56
Karin Boye, <i>Wiersze</i> w przekładzie Michała Bolka	56
<b>Fraszka</b>	61
Weronika Orzechowska, <i>Limeryki</i>	62
<b>PROZA</b> .....	65
<b>W stronę liryki</b>	
Beata Budzkowska, <i>Przypadki</i>	66
Marta Paluch, <i>Czarownica z Pucka</i>	73
Róża Piotrowska, <i>Ona</i>	80
Patryk Dzikiewicz, <i>Zgiełk</i>	95
Szymon Kamiński, <i>„Już nie chłopiec, jeszcze nie mężczyzna”</i>	98

## **W stronę postmoderny**

Marcel Jakubowski, <i>Las nr 100</i>	116
Marek Arasimowicz, <i>Pan Reiner i Sekretarka</i>	120
Marcelina Bucholc, <i>Żona mordercy</i>	133
Natalia Dolny, <i>Notatki nastolatki</i>	144
Zuzanna Kiercel, <i>Kartka papieru</i>	152
Maciej Franciszczak, <i>Błyski i blaski</i>	158
Weronika Leszczyńska, <i>Pamiętaj</i>	172

## **W stronę fantastyki**

Szymon Baczewski, <i>W próżni</i>	179
Natalia Jałmużna, <i>Brzasku wrzask</i>	186
Jakub Kraszewski, <i>Foliarze</i>	192
Ida Cylwik, <i>Nawojka</i>	197
Martyna Świniarska, <i>Witryna</i>	204
Patrycja Pankau, <i>Słodka apokalipsa</i>	215
Urszula Mazurkiewicz, <i>Dwudziesty pierwszy października</i>	221

## **Powieść w odcinkach**

Patryk Miąskowski, <i>Brud</i> (odc. 1)	228
---	-----

## **ESEJ..... 234**

Patrycja Pankau, <i>Jesteśmy świadkami objawienia Czterdzieści i Cztery...</i>	235
Edmund Strzelecki, <i>Być może kryzys, być może humanistyki</i>	244

## **INTYMISTYKA..... 246**

Magdalena Cyza, <i>Ars bene moriendi: umieranie w święta nie jest trendy</i>	247
Jagoda Janowska, * * *	249
Arenika Kita, * * *	254
Aleksandra Łasińska, <i>Leszek</i>	262
Karolina Szwed, <i>Dziennik półroczny</i>	266
Mikołaj Mizak, <i>Przed zaśnięciem</i>	277

## **SCENARIUSZ..... 283**

Filip Bieliński, <i>Agnes</i>	284
-------------------------------	-----

Marcin Makara, <i>Trzecia droga</i>	301
Julia Piestrzeniewicz, <i>Non omnis moriar</i>	319
Jakub Wedeł, <i>Przyjacielska wizyta</i>	326
Zofia Piskorska, <i>Bardzo krótki film o miłości</i>	340
<b>W stronę radia</b>	
Michał Ziemiański, <i>Rybact</i>	349
<b>KOMIKS.....</b>	<b>359</b>
Anna Wielgat, <i>Przemiana</i> cz. 1	360
Jana Futymska, <i>Nos</i> cz. 1	361
Robert Zawadzki, <i>Widmo nad Innsmouth</i> cz. 1	363
Julia Grabarczyk, <i>Największe marzenie kiwi</i>	380
<b>W formie scenariusza</b>	
Franciszek Sobiech, <i>Ciężka praca</i>	384
Anna Kłodowska, <i>Rozpłaszcz się</i>	391
<b>GRAFIKA.....</b>	<b>402</b>
Agata Gigilewicz, <i>Kolaże</i>	403
<b>FOTOGRAFIA.....</b>	<b>422</b>
Joanna Danowska, <i>Fotografie</i>	423
Magda Sajewicz, <i>Fotografie</i>	429
<b>WYWIAD.....</b>	<b>432</b>
<i>Oruń. Powojenna Polska okiem repatrianta (1), z Tadeuszem Woronowiczem rozmawia Przemysław Mazurkiewicz</i>	433
Noty biograficzne	442



# WSTĘPNIAK TO JEST EDYTORIAŁ

Będzie krótko.

Czytelniczko, Czytelniku! To, co trzymasz w ręku, to ~~almanach~~ smartfon. A to, co widoczne na wyświetlaczu, to almanach twórczości studentek i studentów, doktorantek i doktorantów, a wreszcie młodych absolwentek i absolwentów UG (w przeważającej liczbie naszego Wydziału Filologicznego).

Nazywa się „Almanax”, bo po grecku i w cyrylicy takie „x” można czytać jak „ch” i jest zabawnie. A poza tym awangardowo, jak „Archiwum X”, „Pokolenie X”, „Windows XP”, „X-Meni”, „ZX Spectrum”, „SpaceX” albo „500 X”. Nowoczesność w domu i w zagrodzie.

Powstał. Powstał w czynie społecznym. Powstał, bo wcześniej go nie było.

Powstał siłami i pod patronatem Koła Teoretyków Literatury UG; być może dla uczczenia obchodów okrągłej, trzynastej, rocznicy jego powstania, która przypada we wrześniu.

I pod patronatem Instytutu Filologii Polskiej. I pod patronatem Wydziału Filologicznego.

Miał liczyć 50 stron. Liczy coś 451. Historia zna gorsze wpadki.

Robotę zaczęliśmy w lutym i jesteśmy głodni.

Ci, co go napisali, to studentki i studenci, doktorantki i doktoranci, absolwentki i absolwenci UG.

Zachowują wszelkie prawa do swoich tekstów.

Ci, co go zredagowali i złożyli, muszą się teraz trochę przespać, następnie przygotowują kolejny numer (będzie na przelomie września i października). Poza tym nie roszczą sobie żadnych praw do czego bądź.

Ci, co namalowali obrazy, nie żyją. Ktokolwiek będzie w ich imieniu zgłaszał jakieś wąty, lże i będzie kamienowany pod Różowym Flamingiem, aż odszczeka lub umrze. Podlega też karze pieniężnej do lat pięciu stawiania flaszki Redakcyi na każde życzenie, niezależnie od tego, czy odszczeka, czy umrze.

Podczas przygotowywania numeru nie ucierpiał żaden łoś, flaming ani ogr.



Pałacy członkowie Redakcyi nie przyjmowali gratyfikacji w monecie brzęczącej ni w postaci nadań ziemskich za promowanie produktów tytoniowych. Palili za swoje. Pozostali palili haszysz.

Jeżeli jeszcze to czytacie, to zmarnowaliście qpę czasu, który mogliście poświęcić lekturze „AlmanaXu”. To teraz do roboty, bo już macie poślizg. 😊

Aha. Na początku jest spis treści. Na końcu noty o Autorkach i Autorach. W środku jest miąższ.

(~Redakcja)

Ważne adresy i telefony:

Mail: [almanax.redakcja@gmail.com](mailto:almanax.redakcja@gmail.com)

FB: <https://www.facebook.com/AlmanaX-100172365560354>

Messenger: [m.me/100172365560354](https://m.me/100172365560354)

Instagram: [@almanax.almanach](https://www.instagram.com/almanax.almanach)

WWW: [https://fil.ug.edu.pl/wydzial\\_filologiczny/instituty/institut\\_filologii\\_polskiej/dzialalnosc\\_institutu/kola\\_naukowe/kolo\\_naukowe\\_teoretykow\\_literatury\\_ug](https://fil.ug.edu.pl/wydzial_filologiczny/instituty/institut_filologii_polskiej/dzialalnosc_institutu/kola_naukowe/kolo_naukowe_teoretykow_literatury_ug)

Pierwsza pomoc: 112



# ПОЕЗЈА



Казимир Северинович Малевич, *Точильщик* (1912-13)

## Magda Sajewicz

### Różowy pelikan

Mówią, żeby pisać, bo pisanie mniej boli.

Mówią, żeby zapomnieć, bo nie-pamięć ma tendencje do ewoluowania.

Mówią... gadają... kłapią... ale po co?

Każde słowo ma pół-sensy, ćwierć-kontekst, gram istnienia.

Nie wiem, a może wiedzieć nie-powinnam.

Po co kropka, myślnik, gdzie spacja, którądy do brzegu ?

Czy bełkot ma swój nurt? Może jak wierna rzeka płynie, płynie...

dzieli się na pół i znika.

Mówią, żeby pisać, ale nie mówią, po co?

Czy Szymborska zastanawiała się nad sensem,

Czy to już domena przyziemności?

Cichy krzyk stłumiony przez moje uśpione marzenia.

Nie ma, nie wiem, czy było, czy ja byłam, czy jestem?

Po co tyle pytań, gdzie są odpowiedzi? Homo sapiens bez sapiens...

A może bez homo...

W szarości otacza mnie szum.

Cisza boli.

Z pustki rodzi się światło.

Boże Narodzenie i Różowy Pelikan.

Gdzieś rodzi się nadzieja.

Jestem.

## Pater Noster

Nie paliłeś, nie piłeś, żony nie tłukłeś.

Przynosiłeś bajadery, w niedzielę poprawiałeś

Mój wianek do odświętnej sukienki.

Nie było Cię.

Wśród kredowego pyłu witałeś studentów

słowami „comment ça va”?

Wśród czwórek z plusem blakł miraż

Przyszłej Córy Wydziału.

Zapisałam swoje ścieżki w kserokopii

Twoich śladów.

Między A4 a prolongatą zamieszkałam

Wśród wzorów mojego nie-określenia.

## Trzy Perły

Palcami odgarniam spragnione miłości pukle włosów.

Połykują srebrną nicią łączącą moje życie z Twoim oddechem.

W zaciszu pawlacza chowam swoje troski,

Dla których zawsze znajdowałeś ciekawsze zajęcie.

Patrzę na Ciebie, gdy szukasz siebie w sobie,

I boli mnie, że znajdujesz tak mało.

Swoim uśmiechem rozganasz każde zmartwienie,

Przytulasz je i zamieniasz w piękne marzenie.

W źrenicach szukam siebie, ale widzę odbicie białej perły.

Gdzieś przemyka schowane w niepewność dziecię.

Znad zupy grzybowej uśmiecham się do Ciebie,

a każda z nas jest refleksem grudniowego poranka.

## Amatiese

Zagrałam Ciebie w sobie, na przekór, po omacku.

Niezgrabnymi palcami odnalazłam nieme C.

Do lotu poderwały się wróble i sikorki,

a wiatr wydał swój ostatni jęk.

Zagrałam Ciebie w sobie, z przestraczem, doskonale.

Wśród bólu, żalu i smutku

stworzyłam ultradźwięk.

Świadomość Ciebie w sobie...

Odtworzyłeś mnie w sobie.

Raz za razem materializowałeś jaźń,

której istotą jestem ja.

Przetoczyliśmy nawzajem swoją krew.

Chcesz mnie odegrać w sobie.

Szukasz gdzieś F-dur i G,

Ale zapomniałeś, że My mamy tonację C.

Nie usłyszysz mnie w sobie.

Znów gram Ciebie w sobie, z tęsknotą, zapytaniem.

Wśród śpiewu sikorek i wróbli





## Grób

Zamartam.

Wyznaję Ci Miłość, gdy Ty stoisz nad grobem.

Czy nasze życie może być mniej ironiczne?

Wbijając szpadel sapiesz i jęczysz,  
jak wtedy, kiedy kazałeś mi się wynosić.

Umarłam.

Ponownie zmartwychwstaję,  
gdy słyszę Twój głos znad grobu.

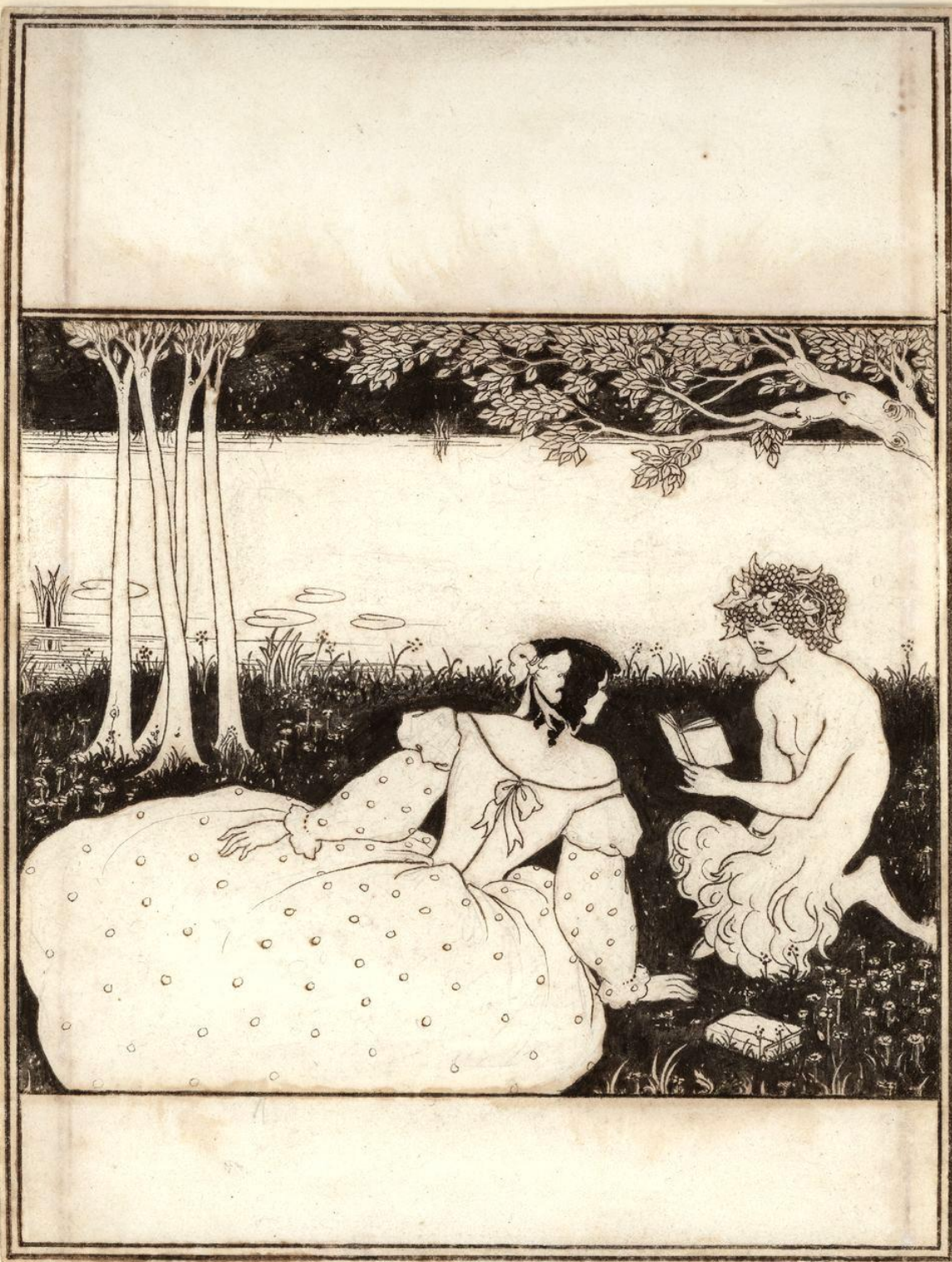
Twoje pretensje, roszczenia,  
moje przewinienia. Niech Bogu będą  
dzięki... za ciężar mojego istnienia.

Zmarłam.

Leżę w tym grobie i w końcu mogę odpocząć.

Mówisz „niech ziemia Ci lekką będzie” i sypiesz na mnie  
tonę... Ja tonę! W pokoju bez klamek bezradnie szukam  
wyjścia.





Aubrey Beardsley, *Pan Reading to Woman in Woodland* (1898)

Na poprzednich stronach wykorzystano grafiki Aubreya Beardsleya:

*Decorative Study: Satyr* (ok. 1892-98) [przypisywane]

*A Faun* (ok. 1880-1890)

## Marysia Wrzeszcz

\*\*\*

Łucja jest szesnastoletnią dziewczyną i szuka tajemnicy  
w oczach sardynek, które spożywa na śniadanie.

Nie przeszkadza jej smród ryby, lecz własny,  
choć każdy ma własny, tak jak każdy ma pogrzeb.

W nocy wypala zapomnienie, zrywa jabłka z ogrodu sąsiadów,  
z radością przygląda się temu, jak gwałcą jej ciało.

Za dnia rzuca spojrzenia pragnące bliskości,  
by zaraz potem zamknąć drzwi, wyrzucić klucze  
i rozciąć na kawałki wszystko to, co można poczuć przez dotyk.

Smród ciała Łucji przypomina smród jej matki,  
wraz z orgazmem umiera.





Odilon Redon, *Armour* (1891)



## Czyste zęby

Marcin co rano staje przed lustrem, myje zęby  
i szuka dziewczyny.

Najpierw góra-dół, prawo-lewo,  
na koniec powolne obroty, by stać się  
czystym.

Tożsamość wykryta w rogu krzywego zęba.

Gwałtowny ruch szczoteczki, która sprawi,  
że już nigdy nie będzie jak dawniej.

Jak zachować higienę uczuć,  
gdy nie są czyste jak zęby?



Max Ernst, cykl *Une semaine de bonté* (1934)



\*\*\*

Trzęsienia ziemi to dobry przedmiot  
rozważań – mówię do siebie,  
gdy stoję przed szklanym murem  
i krzyczę: giń zapomnienie!

Nie wiem, kim jestem i nie wiem, jak długo.  
Zegary zatrzymały się tam,  
gdzie gwałtowne rozładowanie naprężenia  
połączone z rytmem mojego oddechu  
doprowadziło do klęski.

W pokoju ciemność, na zewnątrz blask  
i cała masa niepewności o to,  
czy słońce nie wypali mi oczu.  
W powietrzu czuję kwiecień.  
Na Chochołowskiej kwitną krokusy,  
w piaskownicy dzieci kradną sobie łopatki.

Nieustannie szukam epicentrum.  
Miłość i nienawiść.  
Radość i smutek.  
Pamięć i niepamięć.

Na rozbitych skałach, co przyrzekły  
zapomnienie, wszystko zamykam w krypcie  
w myślach chowając klucze.

## Ubrana szeptem

Ubrana w nutkę radości i trzy westchnienia,  
wedle scenariusza poruszam się po świecie,  
oto ja, marionetka twoich marzeń.

Poniedziałki bywają spektakularne,  
lecz zwykle gram tę samą rolę. Królowa  
życia i śmierci, tańca, różańca,  
popija zimną poezję ciepłą wódką.  
Widownia bije brawa, reflektory gasną,  
a we wtorek z moją melancholijną ciągotą  
wygrywa kalectwo moralne.

Pamiętaj, aby dzień święty święcić.  
Nie bądź cynikiem, naśladuj boga, idź do kościoła,  
wynieś śmieci ze swojego mózgu, daj ludziom  
świadectwo nieśmiertelności i pokaż im,  
że prawdziwy człowiek nie cierpi.  
A przede wszystkim przestań się nad sobą uzalać.

Odsłaniam żaluzję i wpuszczam słońce do swojego pokoju,  
nie pozwalam na to, by świat wmawiał mi każdego ranka,  
że znów obudzę się jako bohaterka powieści Poeego,  
która oprócz uczuć boi się też śmierci  
i zapomnienia.

Środy bywają przełomowe. To praca na cały etat,  
uśmiecham się do ludzi. Piję ich  
smutek tym samym kieliszkiem,  
z którego dwa dni wcześniej wypluwałam radość.  
Nie patrzę w oczy.  
Jestem

ubrana na cebulkę.  
Wedle scenariusza  
poruszam się  
szepsem.

[Wiersz powstał z okazji Światowego Dnia Walki z Depresją (23.02.2020 r.)]



Gerschel, *The Salome of the Russian Ballet*.  
Mme. Karsavina in the Title Role of *La Tragédie de Salomé* (1914)

## Na szczycie

Ona stoi tak już od kilku lat na szczycie  
i odprawia pogrzeby każdej myśli swojej.  
W tej godzinie wschodzącego słońca  
jej oblicze spogląda z prawej na Rysy –  
czyż twarz odbiciem skalnym się nie stała.

Wtenczas przeszłość ją zbywa  
jak te gąsienice, co przez halę niżej podążają o zmroku.  
Dzieci płoną w jej głowie, uczuć wciąż przybywa,  
rycerz zasnął na zawsze w tym czerstwym amoku.  
Po tej drodze szli kiedyś zapomniani rodzice,  
szlak przetarty jest przecież odciskami ich butów.  
Tu ona powstawała, tam ktoś wczoraj stracił życie,  
a to tylko drzewo, co zwykle podsłuchiwać.

Tutaj czas się zatrzymał, przed wiatrem chronią mury  
góh potężniejszych od ludzkiej głupoty,  
każde stworzenie fragmentem stało się natury,  
dwie kozice na wierchu czynią sobie zaloty,  
mały krokus rośnie odwrotnie niż należy,  
strumień z życiem opada na bezbronne kamienie,  
a ludzie zawstydzeni pięknem mówią sobie dzień dobry.

W tym miejscu wczoraj ktoś poszukiwał siebie,  
tam się w sobie zakochali, tam ktoś skoczył z wysokości.  
Tutaj nogę złamał, tu plecak zagubił,  
tam czyimiś śladami podążał Jan Paweł II  
i stworzyli mu aleję obok Chochołowskiej,  
żeby zwykły człowiek mógł poczuć się papieżem,  
choć na szczyt zmierzał w zupełnie innej wierze.



To nie jest jej miejsce, ona tu nie pasuje,  
powietrze chłodniejszym od jej myśli się zdaje.  
To tylko świątynia dla wyobraźni.  
Nie skoczy w przepaść, lecz pod krzyżem staje  
i zdobywszy metrów ponad dwa tysiące,  
patrzy się w pustą przestrzeń, słyszy jej wołanie.



Katsushika Hokusai, *Gaifū kaisei / Góra jest kobietą* (ok. 1830-1832)



## Paulina Ulatowska

### Przestrzeń

nie chcę być manekinem ze ślepych piersiami  
być skończona w ruchu zamknięta w chwili  
nie móc liczyć pęknięć w ciele

lizać drgań skóry chłopaka  
którego kocham

w moim brzuchu rośnie zarumieniony kwiat  
błyszczą się moimi oczami łaskocze nie wstydy

pod zgniewaną zmarszczką nieba  
nad ciepłą zawsze żywą ziemią  
jest przestrzeń  
oddalenie w którym kotyszę się  
jestem żywą batystową tkaniną  
za którą dojrzewam

### Medini

kobieta jest zaokrągleniem ziemi  
kiedy jej talia wzrusza się pręży

tańczącą linią wschodzącą nad księżycowymi  
górami Ugandy jest karishmą otwiera się

kwiatem lotosu przewodzi światło  
oddaje je w formie życia

## Jaki masz smak

język nie ma pamięci  
nie ponosi konsekwencji dojrzewania  
w rozdarciu mokrych tkanek –  
- impulsów

na jego końcu jest życie  
linia graniczna niemoralnej myśli  
miejsce niewinnego czynu

język idzie wzdłuż uda  
spódnica przykrótka lubieżność  
post – wstyd  
czułe głaskanie na odległość  
obietnice



Egon Schiele, *Kauerndes Mädchen mit gesenktem Kopf* (1918)

## Pensjonat część druga

sąsiadka z łóżka obok  
wylicza swoje choroby co dwie godziny  
ma trzech synów których bardzo kocha  
żaden nie odwiedził jej od tygodnia

sąsiadka przeżyła cztery życia więcej  
jej ciało jest zdrowsze od mojego  
ale to ona przestraszyła się śmierci  
kiedy o piątej rano anioł w białym fartuchu  
przyszedł strzelić nam pistoletem w czoło  
by sprawdzić temperaturę upośledzonych ciał

w niedzielę przychodzi ksiądz  
ostrzega wczasowiczów dzwonkiem jest  
pasterzem  
jestem wtedy gotowa wierzyć w każdego boga

a czy jak wypadną mi włosy  
to zostanę chłopcem?

a czy w nowym życiu  
mogę poprosić o tych samych rodziców?

## Świadectwo

Wiem, jak to jest tracić godność,  
jak żebrak skomleć o miłość.

Wiem, jak to jest czasem nie być kobietą,  
zbierać siebie z podłogi, jak liniejącego psa,  
pięć razy dziennie, od nowa i wciąż.

Nie mieć piersi, a być najpełniejszą piersią  
ziemi, Demeter i rosą porannego powstania.

Kiedy w końcu spadnie deszcz –  
rozbiore się i wbiegnę w niego ze śmiałością całą,  
oddam mu wszystko – wątłe ramiona, które jak  
skrzydła otwierały się najszerszej  
gdy dziadek pytał – jak bardzo mnie kochasz?

Biodra wąskie, długą szyję, i bystre spojrzenie.

I zostanę wtedy tylko ja. Światło moje ze światła,  
nieopakowana. Użytkownik nie istnieje. Nie ma takiego  
kurwa numeru. I weźmie mnie wiatr,  
rozproszy po średnicy nieskończonego nieba.

Mój Chrystus nie mieszka w kościele.

## Julia

Julia ma siedemnaście lat i nie wie jeszcze  
że to wszystko się nie przydarza. Julia marzy  
ogłada swoje drobne ręce i widzi jak chłopak  
przykłada je do piersi. Julia wzdryga się bo pierś  
jest silna niegładka i nie wie co powinna z nią zrobić.  
Julia pisze wiersze o miłości pod oknem, a szyba patrzy  
na nią i śmieje się w głos. Julii poliki są chłodne czerwone  
kiedy pisze to wzdycha kiedy płacze jest centrum morza.  
Julia ma skórę złotą kiedy całuje ją słońce chce być malowana  
i by czytał jej do snu. Julia jest dojrzewającym latem śpiewają  
dla niej grają bąki wszystkich łąk. Julia uczy kwiaty brzydkich słów.  
Od poniedziałku nad Polską zachmurzenie całkowite. Julia idzie na wojnę.



Aubrey Beardsley, *Hand in the lake reclaims Excalibur, King Arthur's sword* (1893)

## O sobie

w jestem zgrają psów bijąca się o mnie we mnie  
nie jestem na sprzedaż mam zbyt ładne poliki i dłonie  
głos serdeczny który rzuca się czasem w półsłowo głupi  
zapomniał chyba że nie dorostałam jeszcze do konsekwencji

nieśmiałe bramy na starym mieście zapraszają chodź  
wejdź rozbierz się wzburz napisz wiersz wypluj go  
uświęć przeczytaj na głos niech żyje żyje nam i umrze  
nieważne nikogo i tak nie obchodził

nikogo a jednak mnie bo w sobie w płaszczu z londyńskiego lumpeksu ja w warkoczu w  
swetrze bo chemioterapia we mnie i włosy prawie nie moje więc reszta z nich schowana nie  
czuje się ładna ale o tym nie napiszę bo choroby sprzedać się nie opłaca

nie napiszę bo mnie we mnie za mało jest kiedy świat przychodzi się wpierdala karze karci  
przeszkadza musiałam wypaść sobie z siebie może z okna w bramie zdejmując do aktu  
płaszcz z futrem przy szyi a chodzi o to że nie można  
kochać siebie tylko na pót

## Włocławek

spacer babci z psem dookoła  
kamienicy zawracanie przy budce  
z lodami nieczynnej od dwunastu lat  
zabytek drobniaki moje dzieciństwo a  
pies był w krowie ciapki i zdechł rok temu

tureckie seriale o osiemnastej naiwna  
wiara w lekarza tvp cukierki na ból  
biodra duszy święd skóry brak snu owdowienie  
będę radość i że nie wolno marzyć  
– babci ukochanej już nie uratuję

góry Tatry opowieści garaż jakiegoś  
pana który mówi brzydkimi słowami  
na k poczekalnia przed trafieniem w miejsca  
o nazwie z Anglii z Irlandii na pewno z lepszego  
świata wielkie stogi stożki ubrań ciuszków  
wybierz sobie wnusia – mówił z miłością dziadek  
żółte spodnie dzwony halówki z bazaru za dziesięć  
złotych wtedy było o mnie głośno każdy chciał takie  
mieć

raz w życiu nie miałam twarzy  
a była ona strupem krwi świeżej  
podrapanej skóry miałam lat piętnaście  
lat piętnaście za krótką spódnicę bo  
przed kolano zbyt miękkie błyszczące udo  
to moja wina  
wina wszystkich kobiet każda z nas jest  
Ewą i po zmroku w lecie wydaje ostatnie  
pieniądze na bezpieczną taksówkę  
nie pozwalają nam patrzeć w gwiazdy



## Szymon Kamiński

### Całopalenie

Strach przeciął ciszę  
krzyk rozdarł się w gardle  
sznurek owinięty wokół pyska świni  
jak stryczek  
ciągnący na śmierć

śmierć na odległość sznurka  
zbliża się  
dotyka oczu zwierzęcia i gaśnie

Rzęzenie  
jak ofiara  
dym krzyczy  
milczeniem  
ku niebu  
woła  
tylko trzask spalanych drzew

Ciepła jeszcze świnia przekrojona na pół  
jak przedmiot  
ciałem zarządzany modyfikowany

Dwie połówki świni  
odbiciem lustrzanym  
dwa ciała świni  
jak dwa światy  
między być a BYĆ

Świniobicie  
Świni bicie  
Bito świni  
Zamach na życie

Jest coś lepszego od bycia człowiekiem?

14052020

## Młotek

Czyj pies na środku drogi się błąka?

Ktoś poznaje?

Czy poznaje ktoś ten –

psi smutek w psich oczach.

On już dostał za psie sprawki –

ludzką zapłatę.

Nie-swój, odczłowieczony znój

Brozący krwią –

Smukłe wstążki czerwieni zlepiają psią sierść

Żywe mięso –

Otwarte rany na psim sercu

Jednak nie ten ból boli najbardziej

To nie uderzenie uderzało najmocniej

Jedynie: zwątpienie

I tylko ten psi smutek w psich oczach

Nie spojrzą już ufnie ku górze –

Jam jest twój PAN-BÓG

który cię przywiódł

do domu niewoli.

I tylko smutek –

Psi smutek

w tych gasnących oczach

psa.



Alfred Kubin, *Die Brut* (ok. 1902-03)

## A kiedy przyjdzie mi umrzeć

A kiedy przyjdzie mi umrzeć –  
pójdę tam  
z podniesioną głową  
na miejsce kaźni.  
I zaświadczę o sobie  
własnym jestestwem,  
rozlaną krwią,  
wydanym okrzykiem...

I nie zrobią nic  
gorszego –  
niż zostawić przy życiu:  
by żyć  
wśród powszechnych  
katów  
dnia codziennego.

## Pająki

A kiedy śpię  
nachodzą mnie pająki strachu.

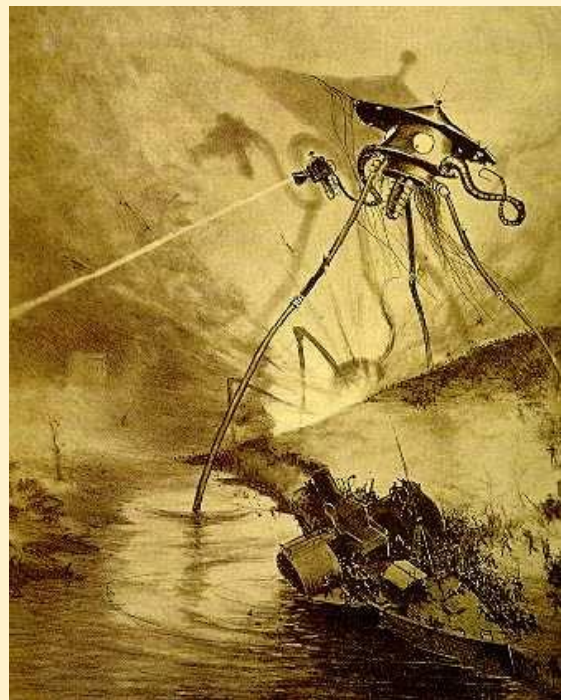
Przędą cienką linię zdań  
osnuwają wokół mnie kokon  
Ciało wzdryga się i marszczy  
gdy ludzie pod powierzchnią skóry buzują  
a rzeczywistość staje się lepka.

One –  
nachodzą mnie!  
obserwują mnie!  
kłębią się na ścianach!

Tu jest tak duszno –  
jak w somnabulizmie – rzucam się  
tarzam w pościeli  
jak w tarantulicznym geście –  
wiruję wokół siebie

A kiedy się budzę  
oblepiony jestem  
pajęczą nicią myśli –  
i lepię się od słów.

Henrique Alvim Corrêa,  
*Tripod [The War of the Worlds] (1906)*



## Wicher obojętności

Wicher obojętności

Poruszył światem

Piargi chmur otoczyły ziemię

Niebiańskie śnieżne szczyty

Rozmieszczone na oceanie przestrzeni

Oświetlone wierzchołki niczego

Rzucające cień na nas

Słowa jak kamienie

Wzbiły się z ziemi

Lekkie jak kurz

Roznoszą się po sferze nieba

Słowa zamarzają i zmieniają konsystencję

I spadają

Ich ostre krawędzie ranią powierzchnię

Nic się nie dzieje

Jakiś taki spokój

W tej erupcji braku uczuć

Z daleka dobiega szczerk

W trawie cyka chrząszcz

I tylko nasze ciche

Westchnienia –

I tylko

Chłód przenika przez powierzchnię

I zimno mi

Zimno z nieczułości

W tym pustym świecie.

## Widziane z dołu

W.S.

Na polnej drodze leży martwy człowiek.

Członki swoje rozłożył, z góry wygląda jak gwiazda. Wydaje się, że śpi –  
oczy ma przymknięte, włosy potargane przez wiatr.

I jakiś taki nieporządek w tę przestrzeń się wkradł, niebo spowiły łzy.

Groza tego widoku jest globalna – od Azji po Amerykę – chyba jest kimś ważnym.

Pytają nie-ludzie:

Czym to jest?

Dlaczego umarło? Dlaczego nie-zdechło?

Czy znowu nas nawiedzi, a może zniknie w niebycie?

Czyżby skończyło swe panowanie?

I tak leży ten człowiek na polnej drodze i ogląda go świat. Ten duży, ten mały.

Wygląda jakby spał: I nie jest już groźny.

Tylko mały żuk nie zaprzęta swojej żuczej głowy tym wypadkiem lokalnym. Siedzi na liściu i  
powoli go je. Nie zdaje sobie sprawy, że świat się zatrzymał.

Niby co Ja miałbym zrobić – pyta Żuk.

Nad śmiercią jego się nie pochylę i nie uronię łzy.

Czy ofiara płacze nad katem?

Czy niewolnik lituje się nad Panem?

Umarł. Nie żyje.

Ot, stał się kolejną formą istnienia.

## Aleksandra Łasińska

2.

Szukałam cię wśród jabłek, czereśni, pomarańczy, papieru, kurzu i uciekającego czasu.

Ale przemijały tak szybko, że nigdy nie zdołałam uchwycić nawet twego cienia.

W tym samym czasie ty przemierzałeś supermarkety, stacje benzynowe i biblioteki w poszukiwaniu mojego śladu.

Ale on był nietrwały – jak ludzkie obietnice.

Pytałam o ciebie bezdomne koty, tonące ryby i galopujące z dala od człowieczej obsesji zabijania konie.

Ale one nie odpowiadały. Nie znały cię.

Ty miałeś nadzieję odnaleźć mnie w jakimś urzędzie, teatrze czy galerii handlowej.

Jednak nie żyłam w tym konsumpcyjnym wymiarze.

Biegłam po nieskażonych spalinami łąkach, przepłynęłam czyste jeziora ludzkich dusz, szybowałam ubrana w błękit.

Nie zostawiłeś tam nawet wspomnień.

Chciałeś dogonić mnie na wojnie, rozpoznać wśród grona najznakomitszych polityczek, uchwycić mój zapach przemierzając kontynenty.

Nigdy ich jednak nie odwiedziłam.

Wciąż będziemy poszukiwać. Aż do kresu.

Czymkolwiek on jest.

Chociaż nigdy się nie odnajdziemy.

Bo już nie wiem kim jesteś.

A ty?



## Inny

Twoja przestrzeń dookoła.

Zawłaszczona

przez ramiona tego, który uzurpuje sobie panowanie.

I wieczne, ponadnaturalne istnienie.

Ktoś pozbawił Cię prawa do życia.

Nikt nie karze za Twoją śmierć.

Umierasz każdego dnia.

Wielokrotnie.

I nikt nie chce słyszeć Twojego krzyku.

Jesteś tylko ciałem.

Kości.

Mięso.

Krew.

Stajesz się pokarmem.

Jakże niezastąpionym.

Czasami prosisz o litość.

Bezskutecznie.

I tak zostaniesz ukrzyżowany.

Bo jesteś Inny.

I nie mówisz ludzkim głosem w wigilijną noc.

## Lustro

Uczucie jak przecucie – podszyte nieufnością.

I bezdusznością.

Miłość dziewiątym kręgiem piekła – najbliższym uczciwego nieba.

Konstrukcja.

Trwanie. I wypieranie uciszonej jedynie samowzgardy.

Miłość mająca źródło w braku akceptacji.

Następuje dekonstrukcja umarłego konstruktora.

Na końcu cyklu wskrzeszenie.

Koniec. Początek. Początek. Koniec.

Linearność przebrzmiała. Nabrzmiała i wybuchła.

Na rzecz martwej cykliczności.

Nic się więc nie zmienia.

Nie przekroczymy Rubikonu destrukcyjności.

Zawsze będę Cię kochać przez lustro autoimmunologicznej nienawiści.

200920



René Magritte, *La Reproduction interdite* (1937)

## Patryk Miąskowski

### Nie pasuję

Stawałem tam,  
na szczycie góry.

Chmury spowijały moje myśli gęste,  
dziś mam częste przez depresję pewnie  
te stany jak Trump albo Magik.

Sam nie wiem.

A wiem,  
że z pustej mej klatki uciekło serce.

I z pustej tej klatki sam nie mogę uciec.

I biegnę donikąd.

Przed siebie.

A kraty koszuli jak w oknach, popsute.

Nie pasuję tutaj ni cholery.

Choć mówili kiedyś, że właściwy człowiek i właściwe miejsce.

Śmieszne.

Mam bilet stojący,  
przedziały zamknięte.

wagon odpięty.

Co ma być to będzie.



René Magritte, *Le Géant* (1937)

## Znam ludzi

Znam wielu ludzi.

Kilku budzi we mnie podziw jeszcze.

Niektórych ledwie znam.

Innych znać nie chcę.

Lubię siebie.

Nie każdą wersję.

Ale lubię siebie.

Swoją obecność w pustym pokoju.

Swoją samotnię, te metrów siedem

i pół. Kwadratowych. Gorących.

Poczwórne dziewięćdziesiąt stopni.

Znam wielu ludzi.

A kto zna mnie tak naprawdę?

Wpychające się babcie w sklepie?

Zmęczony kasjer?

Rodzina tym bardziej – nie.

Przyjaciele, jasne, zostali jacyś? – Śmiem  
twierdzić, że tych dwoje zostanie na zawsze.

Ale nie znają mnie, znają maskę.

Znam wielu ludzi.

Sam się nie daję poznać.

Mówię, że priorytet to pospać.

Że jedzenie to kupić i podgrzać,

a serce nie potrzebuje doznań.

Wrzucam posty, by postać

w świat mały znak, że tu jestem.

Ta mała, krwawiąca postać.

## Paula Kwiatkowska

### simple schizophrenia (masz to we krwi)

zasoby ludzkie *sold out* i chociaż czasem ktoś krzyknie jest tu dość  
cicho cicho ciszej atak zapomnij (pastwisko zaczyna się w domu)  
starzy ludzie z tatuażami wysadzili warszawskie metro (nie wytrzymali)

zasoby osobiste *time's up* i chociaż czasem ktoś milczy jest tu dość  
głośno głośno głośniej przeproś zapomnij (nieważne czyja to była wina)  
młodzi ludzie z maczetami poszli na spotkanie z innymi (nie polubili ich)

Ola dostała od chłopaka tulipana na pamiątkę spotkania różowa blizna szerniała  
plama na jego T-shircie choć przypominała barwy narodowe -- czysta odwaga  
masz to we krwi

### kiedy kanye west zbawia branżę muzyczną

akcja akcja afera jamnik zagryzł bulteriera więc jedno dłonie klaszczą inne gwizdzą  
trzymają ogień którego nie ugaszą nawet kąpiele wylewane z niechcianymi dziećmi

wczoraj kazio poparzył się bańką mydlaną (ktoś tak chciał)  
dzisiaj podaje dalej tweety podaje dalej *ristretto* które zaparzył barista epoki

hałas hałas zapomnienie kiedy oni palą one jedno oczy zmarszczka inne pustka  
á la *binge-watching* z dystansu co trzyma daleko tych którzy chcą lepiej

kazio skaleczył się w swojej bańce (ktoś nie chciał ale się stało)  
więc podaje popiół podaje dalej popłuczyny które ktoś zaparzył a on wypił

kiedy kanye west zbawia branżę muzyczną kazio ma narracje trzecioosobową





Adolf Wölfli, *Die Skt. Wandanna=Kathedrale in Band=Wand* (1910)



## Ula Sikora

### Wdowie zamki

wdowie zamki zbudowano z czarnej cegły na wzgórzu  
wokół biegają konie i latają ptaki  
mieszkanki noszą wygodne ubrania i buty,  
wieczorami wychodzą podlać róże

we wdowich zamkach śpiewa się przed każdym posiłkiem  
a włosy czesze się tu bardzo powoli, bo jest na to czas  
z innymi kobietami zrywamy jabłka na kolację  
dziś upieczemy szarlotkę, będziemy ją jeść palcami

mam tu swojego konia, po północy zamienia się w dym  
palimy z siostrami w kominkach zioła zebrane na polanie  
nie ma muzyki, ale my tańczymy do ognia  
wróżymy sobie nawzajem dobry los, potem śpimy w zimnych pierzynach

nie pamiętam kiedy tu przybyłam, ktoś zabrał mnie z głośnego miejsca  
przed snem dobre ręce podają mi kozie mleko z rumiankiem  
jest tam szczypta tego, co pozwoli mi dobrze zasnąć  
jutro podleję róże, jutro może rozkwitną

## Prawie wszyscy święci

Grabarz w fioletowym śliniaku ssie papierosa,  
stare małżeństwo przy grobie – ona zgarnia liście na ziemię,  
on otwiera małpkę i zaczyna się cyrk.

Chłopak i dziewczyna za ręce pomiędzy zmarłymi,  
gdzieś słyszeć żałobne pieśni,  
oni całują się pod ścianą kaplicy.

Przegania ich dzik, w końcu  
cmentarz to jedyne miejsce, gdzie zwierzęta mogą czuć się spokojne.

Ktoś gdzieś znów się bawi w wycinanki drzew,  
rozjechane lisy zeskrobują z obrzydzeniem z asfaltu.  
Na Kamczatce wylało do oceanu chemikalia,  
wyżarło życie na dziesięć kilometrów,  
cisza.

Chryzantemy na kamieniu i  
skupione strzepywanie rękawiczkami igieł z nagrobków.

Nie wszystkich zmarłych,  
nie wszystkich.

\*\*\*

Dziewczęta które pracują w piekarni, są ciche jak poranny śnieg  
Wbijają noże w chleb tak delikatnie, jakby nie chciały, żeby zabołało  
A potem pakują do papierowych toreb i biorą pieniądze jak jałmużnę  
Gdy muśniesz ich dłoń, zobaczysz, jaka zimna jest ich skóra

Zniosłam twoje zwłoki z po schodach  
Nie ważyłeś dużo, bo nigdy się nie urodziłeś

Dziewczęta które pracują w piekarni, mają poparzone, czerwone opuszki  
Wbijają noże w chleb tak mocno, żeby cały świat zabołało  
A potem wciskają ci pieczywo i syczą na ciebie  
Gdy muśniesz ich dłoń, zobaczysz, jak gorąca jest ich skóra

Chodź, zapalimy świece we wszystkich naszych zasłoniętych oknach  
Jeśli się podpali to trudno, nie warto jest żyć życiem mebli  
Może jak spalone liście przytulimy się w końcu  
I rozsypiemy w nową ziemię



George Grosz, *Daum heiratet ihren pedantischen Automat*  
*George in Mai 1920. John Heartfield erfreut sich* (1920)

## Targ rybny

targ rybny przy terminalach portowych  
miejsce którego nie da się poznać ludzkimi zmysłami  
bo pękłoby nam serce

lady są pełne niedźwiedzich skór  
a w kartonach czapki z renifera za pół ceny  
ryby obłożone lodem patrzą w niebo i są nieświeże  
dzieci wśród straganów bawią się w chowanego

wieczorem w muzeum Kiasma jeszcze śmierdzą rybami  
gdzieś obok staruszek śmieje się w głos z nowoczesnej sztuki (cośmy wymyślili)  
na ekranach są papugi i cytaty z biblii  
co jeśli Adam i Ewa wcale nie byli ludźmi?

\*\*\*

Nie przeszkadza mi jedzenie w samotności  
Rozmawiam z makaronem nawiniętym na widelec, wydaje plaśnięcia  
Nikt nie komentuje sosu pomidorowego na sklejce i w kącikach ust  
Nikt nie mówi, jak powinnam smakować swój obiad

Nie wiem, czy kiedyś będę wołała jeść z kimś i mówić o wszystkim  
Jeśli nie, nie szkodzi  
Woda jest zimna, kiedy spływa gardłem  
Niech pragnienie nigdy nie mija



## Witold Pozorski

### Cafe Absinthe — pożegnanie

Żar ciał papierosów

Chłód ciał alkoholu

Szum ciał przy stolikach

Ruch ciał na parkiecie

Blask ciał wirujący

Krzyk ciał ekstatyczny

Strach ciał pominiętych

Żal ciał nieobecnych

Nocne niebo

### [Wszystko, co robimy, zostaje zapisane]

Wszystko, co robimy, zostaje zapisane

w Księdze Żywota.

Czytają ją tylko

Bóg – w trzech osobach –

i ja – we własnej osobie.

I kiedy tak siedzimy w czwórce nad tą Księgą  
przy okrągłym stole przykrytym zielonym obrusem,  
to bywa bardzo śmiesznie.

Śmiejemy się z niektórych fragmentów:  
z niektórych postaci (nawet z głównego bohatera!),  
z niektórych wydarzeń  
czy z niektórych relacji (to Duch Święty najczęściej).

A jak skończymy czytać i śmiać się,  
to gramy najczęściej w pokera –  
jak Bond w „Cassino Royale”.

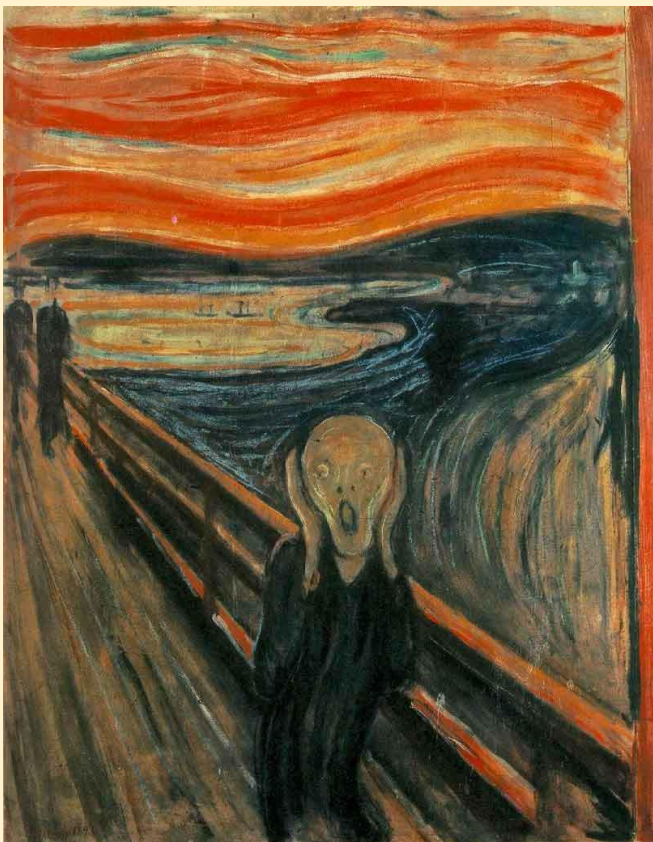
Tylko że ja nie jestem Bondem.

No i co bym miał wygrać?

## Hybris

Podły ty poetologu,  
Co światy dzielisz na sylaby,  
Bodaj cię w wierszu zamknął ktoś.

to bawię się ja  
moje własne słońce  
z tego żartu się śmieje



Edvard Munch, *Skrik* (1893)

## Rękawiczka

Mam czekoladę na rękawiczce.  
Tak się ubrudziła, gdy chwyciłem kostkę.  
To jest dramat – na miarę sztuki współczesnej.  
Zupełnie nieironicznie to mówię, bo  
to jest prawdziwa tragedia.

## Agata Gigilewicz

Zaskowyczymy troszeczkę, złowieszczo, raz jeszcze.  
Zgromadzę kiedyś ich wszystkich  
tych, którzy chcieli głosić prawdę o życiu,  
a siedzą w oślepiających gmachach sprzedając bujdy  
tych, co wyruszali w podróż życia i naciskali wind  
gdy tylko zawiął wiatr  
tych, co uśmiechali się bezzębnie udając staruszków  
tych, co pytali czy to w porządku i zostawiali bałagan  
tych, co nie wiedzieli jak i co, ale zawsze kto z kim  
tych, błądzących bezomacka proszących o litość  
tych, co świecili i wciąż świecili, a i tak skończyli pod  
świecą latarnią  
tych, co wiedzieli WSZYSTKO,  
a w Godzinie Ostatniej wszystko zapomnieli modląc się za dawne grzechy  
i tak już przyklepane  
tych, którzy upijali się wolnością niewoląc się abstynencją  
Zgromadzę ich wszystkich i wsadzę do pralki  
i prać prać prać będę to pstro  
grą.

Boisz się.  
Krwii tętniącej w sercu  
Dziwnego pulsowania w swoich żyłach.  
Boisz się słyszeć szeptań  
Głosów krzycących w przebłyskach.  
Bogardliwych spojrzeń tej bardziej spętanej strony.  
Tracisz, miotasz się z zażenowania  
Ty, który wycierpiałeś więcej przez siebie niż  
Przez te wszystkie zrzucające winę lata.  
Ty, który w swej izolacji pozostajesz nieodkryty  
Lecz jakże wybitny  
W alienacji  
Cały twój Świat, Twój brak  
Ego rozdmuchanego do potęgi  
Całe to szaleństwo i bitwa z nihilizmem.  
Czy możesz już tylko odżyć  
Czy przestać tylko.

Mnie

Nauczycielkę wszystkich twoich zachodów słońca  
Jedynego gościa na pogrzebie twoich uczuć do  
wszystkich moich koleżanek

Mnie

mimo, że sama czasem stoję obok niej

Mnie

wyciągając to samo pudło z twoją gębą  
od 15 lat.

Spojrzałam wtedy w lewo

do góry

i wiedziałam, że to moment mojej zagłady

Dlatego przeżyłam wszelkie przydrożne zachwyty

i znowu czołgam się

Co czuje mrowienie w czaszce i nie może zdrętwieć do reszty

Co nie wybiera drogi drepcząc w miejscu pasażera

Co gapiostwu nie śmieje się w twarz,

w zamian sącząc oskarżenia ze swoich uszu

Co błądziła z rękami schowanymi w kieszeniach

Co malowała kostki na biało nie dając krwi dróg ujścia

i uwolnienia tego szaleńczego pulsowania

Co pokrywa lustro smołą grzebiąc się własnymi palcami

Co nie czuje nóg uciekając od pasa w górę

Nie tę co miny omija

a bomby rozbraja dusząc się oparami

Nie pamiętną siebie

Nie tę chcę

a muszę



Nie jesteś niewidzialny  
nieidealny

A jednak cudowność Ci sprzyja.

Mogłeś myśleć, że nie było innej opcji.

Nie wiedzieć o zmienności losu

Czuć się nieoparty na ramach

Być wszędzie i nigdzie

Ale zawsze obok i nigdy do czasu

Mogłeś mrużyć te oczka w inną stronę

Skupiać się na filozofii wykładu

Zamiast nauce dopasowania

Bo

Wolisz być upadającym mężczyzną tego świata

Niż wstać i być jak każdy Inny

Wierzyć, że On nie istnieje

Zdychać z tęsknoty w zamian za

Radość kiedy wreszcie odchodzisz

Być małą kroplą wciąż rosnącą w morzu uciech

A

Wybierasz bycie człowiekiem wciąż uciekającym

Z tego świata niż wkroczyć do innego

Budowanie wspólnoty jednostek

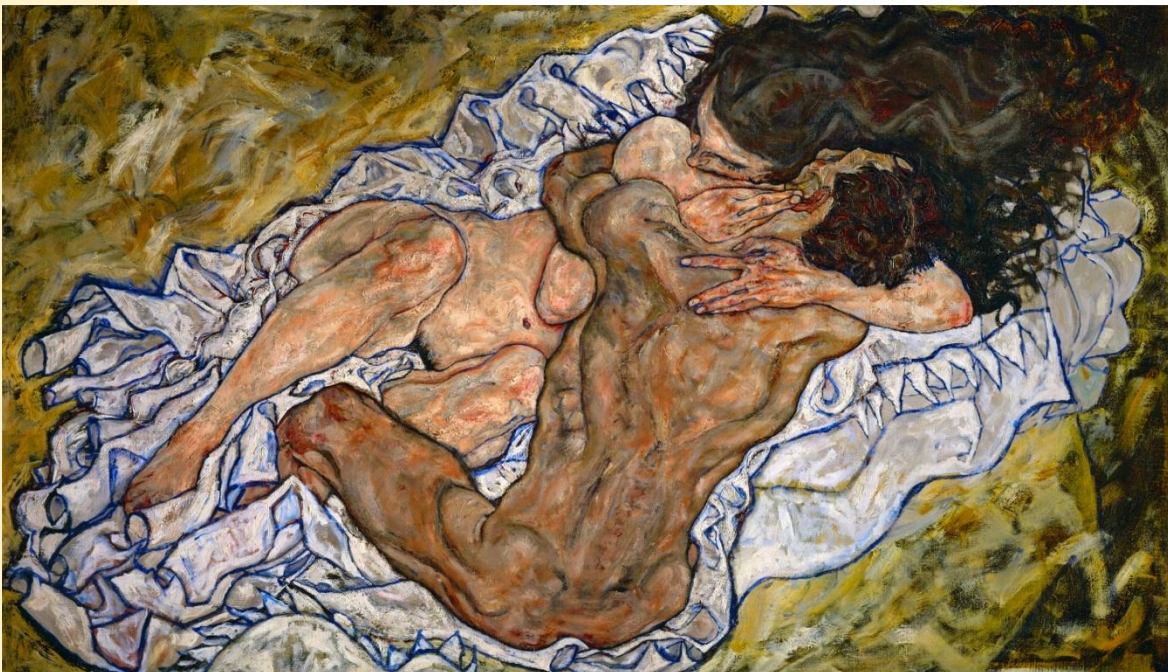
Niż przyznanie się do dużo bardziej romantycznego bytu

Mogłeś być tu teraz całym moim i swoim istnieniem

A miniesz je i pójdziesz dalej

zostawiając za sobą całe rozumienie tego świata

Ilu z nich nurzy się ze mną  
Wciąż błądzi oczami  
wywraca usta na lewo  
i dmie ile sił w płucach  
Jeżeli ja to ten i tamtem  
to ilu z nich to oni z osobna  
Ile jeszcze powrotów i następujących po nich  
pytań kiedy wrócę  
żebym mogła wreszcie wyjechać na dobre  
i znaleźć się Tam  
tam gdzie same Wielkie Kłamstwa  
Dowiedzą się kiedy ziewnę i zastygnę  
i wtedy w ich policzkach pojawi się Tak  
A ja  
dalej będę leżeć na  
wznak



Egon Schiele, *Umarmung* (1911)

## Mikołaj Mizak

[czy myślisz o mnie czasem...]

czy myślisz o mnie czasem  
przez tę myśl nie śnię już nawet  
w nocy siedzę  
topię się w bieli ściany  
w ciszy dnia  
w szumie mroku  
oddaję się oczekiwaniu  
odstuchuję dźwięki z płyt  
dobrze wiesz których  
a idąc pieszo  
czy jadąc autobusem  
samochodem  
każdym pociągiem do ciebie  
pomieszany  
pogubiony  
niecodzienny  
tracę z oczu i w oczach

słowa nie było od dwóch tygodni  
miesiący już może  
dobre dni krótko trwają

wiedz po prostu że

a zresztą  
ostatnio mówiłem to samo



[mijałem kamienne mury miasta...]

mijałem kamienne mury miasta  
z dziurami po gaszonych papierosach

niebo zasnuwane szarością  
a miasto stłumione jak przez szkło  
przez szybę za którą zawsze stoję

palę papierosy  
i gaszę  
płomień młodości  
na kamieniu w starym mieście



Max Ernst, *La ville pétrifiée* (1933)



# TRANSLACJA

**Karin Boye**

**Przekład: Michał Bolek**

## Musi boleć

Ja visst gör det ont

Musi boleć, gdy pękają pąki.

Bo dlaczego wiosna tak się waha?

Dlaczego naszą gorącą tęsknotę

wiąże ostra bladość, co zamarza?

Chronił przecież pąk coś całą zimę.

Co go teraz tak pożera i rozsadza?

Musi boleć, gdy pękają pąki,

boleć, bo coś wzrasta

boleć, bo coś chroni.

Pewnie, że się trudno kroplom spada.

Trzęsąc się w obawie, ciężko zwisa,

czepia się gałązki, puchnie, zsuwa –

cięży się do dołu, ale trzyma.

Trudno w niepewności, strachu i rozterce,

trudno czuć, jak ciągnie i woła głębokość,

a jednak się nie ruszać i jedynie drzeć –

trudno pragnąć zostać

trudno pragnąć spaść.



Wtem, gdy już poradzić nic nie można,  
pękają jak z radości pąki drzewa.  
Wtem, gdy już niepokój ich nie pęta,  
odrywają się z gałązki w błysku krople  
zapomniały o swym strachu przed nieznanym  
zapomniały o obawie przed spadaniem –  
przez sekundę już się czują tak bezpiecznie,  
by spocząć w ufności  
co świat cały stwarza.



Николай Константинович Рерих, *Поцелуй Земле. Действие 1-е. 2-й вариант декорации.*  
Эскиз к балету *Весна священная* И.Ф.Стравинского (1912)

## W ruchu

I rörelse

Największy dzień to nie dzień nasycenia.

Najlepszy dzień to zawsze dzień pragnienia.

Ma pewnie cel i sens wyprawa nasza –  
ale to droga wysiłku jest warta.

Najlepszy cel to noc cała na popasie,  
gdy ogień się pali i chleb śpiesznie łamie.

W miejscach, gdzie zaledwie raz jeden się śpi,  
śpi się bezpiecznie i sny o pieśniach śni.

Ruszaj, ruszaj! Oto świt nowego dnia.  
Nasza wielka przygoda bez końca trwa.



Gustav Klimt, *Die Philosophie* (1900)

## Prośba

Önskan

Daj mi żyć prawdziwie  
i prawdziwie umrzeć raz,  
rzeczywistości dotykać  
na dobre i na złe.

Daj cieszyć się spokojem  
i to, co widzę, czcić,  
aby to było to  
i więcej nic.

A gdy z długiego życia,  
zostanie jeden dzień,  
odszukam, co najpiękniejsze  
ziemskie życie ma.

Najpiękniejsza jest na ziemi  
uczciwość sama tylko,  
ale z życia czyni życie  
i rzeczywistość.

Ten szeroki świat  
to przywrotnika liść,  
a w jego czaszy śpi  
kropla wody czysta.

Ta jedna cicha kropla  
jak w życiu oka źrenica.

Uczyń mnie godną, by spojrzeć w nią!

Uczyń mnie czystą!

## Chcę napotkać...

Jag vill möta...

Dumna, z bronią i w pancerzu  
wystąpiłam –  
lecz odlana ma kolczuga jest ze strachu  
i ze wstydu.

Chcę porzucić uzbrojenie,  
miecz i tarczę.  
Za tę całą ostrą wrogość  
chłód swój miałam.

Zobaczyłam suche ziarno,  
jak kiełkuje.  
Zobaczyłam zielenią jasną,  
jak pączkuje.

Potężniejsze kručze życie  
niż żelazo,  
z serca samej ziemi płynie  
bez osłony.

Wiosna świta w stronach zimy,  
gdzie tak marzłam.  
Chcę napotkać życia siły  
bez oręża.



HISTOIRE  
DE  
**LA SAINTE RUSSIE**

*O rus, quando te aspiciam!*

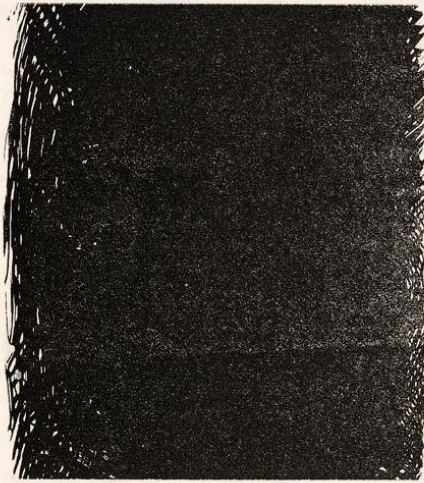
HORACE.

Qui les ment! qui les poinct! qui les conduit! qui les ha ainsi conseille  
He, ho, ho, ho! Mon Dieu, mon sauveur, aide-moi, inspire-moi, conseille-moi

RABELAIS.

SEI TI HOMO SENS.

CONFUCIUS.



L'origine de l'histoire de Russie se perd dans les ténèbres de l'antiquité



Ce n'est que vers le 1<sup>er</sup> siècle qu'elle commence à se dessiner.



Mais l'ère première de cette histoire n'offre rien d'intéressant.

1



## Weronika Orzechowska

### LIMERYKI

#### LECHISTAN

Rządząc Polską z kartonów i trocin,  
Król, by z tronu zejść, nie był ochoczy.  
Choć miał Czarka i Fionę,  
dziatki niezbyt trafione.  
Bo to głupio, gdy władca jest koci.

#### DRAG

Pewien Chemik z Ławy, co wygląda jak Bond,  
Robił badanie składu i chyba zrobił błąd.  
Bo się dziwne wydało,  
aż się wierzyć nie chciało,  
że mefedron skład lepszy ma niż polski rząd.

#### MARIUSZ

Widząc kraj cały z dykty zrobiony,  
Mariusz musiał być wiecznie zmartwiony.  
Nie chciał łez lać do studni,  
więc się w firmie zatrudnił,  
jako płaczka dla niezaszczepionych.

#### SORY NOT SORY

Dzisiaj w mieście na ulicy Elektoralnej  
korki stworzyli piesi niemal katastrofalne.  
Sorry za utrudnienia,  
rząd jest do obalenia.  
Pozbędziemy się go strajkiem lub napalmem.

## INKUBATORKA

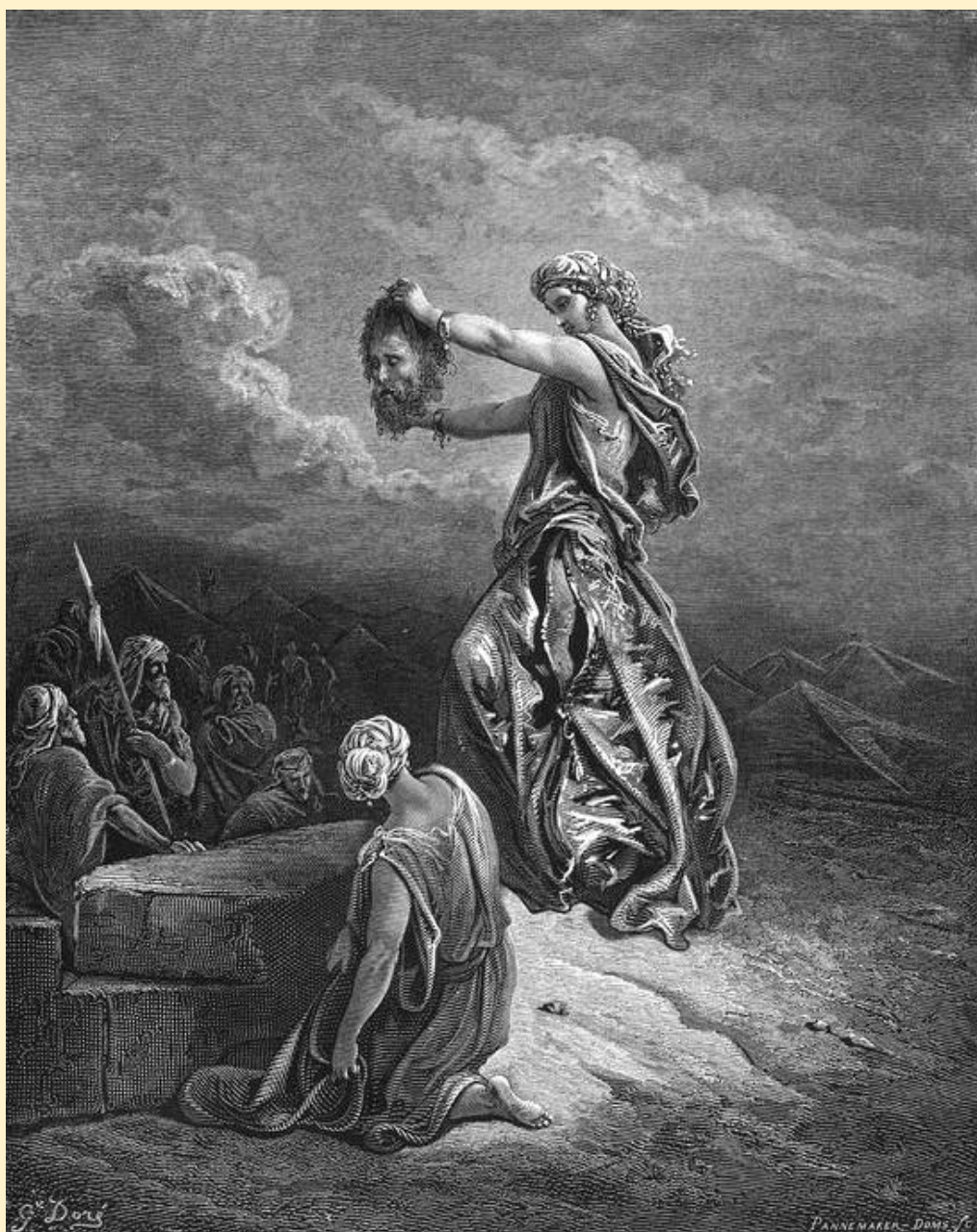
W Polsce mojej docieram na rozpaczy skraj.

Na dziś dzień piekło to, a nie na Ziemi raj.

Słuszna opcja jedyna –

zrodzę lewaka syna,

Przejmie rząd po bliźniaku! No Women – no kraj.



Gustave Doré, *Judith (13, 9-17) – Judith montrant la tête d'Holopherne* (1866)

## LEKARKA IZA

Lekarka Iza jest z Gdańska Wrzeszcza,

a o pandemii takż obwieszcza:

Że to pięć gie jest,

Że to ten Bill Gates...

I do pacjentów się przemieszcza.

Lekarka Iza jest z Gdańska Wrzeszcza,

nie ma maseczki w pobliżu mieszczan.

„A zrób se pan test,

lecz zbędny to stress,

bo WHO – sekta złowieszca”.

Lekarka Iza jest z Gdańska Wrzeszcza,

dla braku zasięgu zbiegła do Bieszczad.

Tam dopadł ją deszcz,

i wżarł się też kleszcz,

czym zabił ją mały drapieżca.

## PRYWATKA

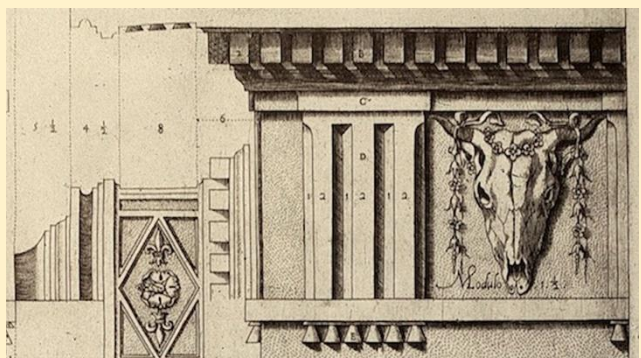
Miała miejsce prywatka u czarującej wdowy.

Nie brał żaden z proszonych pod uwagę odmowy.

A że spotkań dziś mało,

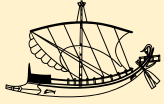
więc się bawić zachciało!

Nie oparł się nikt jej ani jej covidowi.



Giacomo Barozzi da Vignola,  
*Regola delli cinque ordini dell' architettura* (1562)





# PROZA



Jackson Pollock, *Wild Beast* [frag.] (1943)



# W STRONĘ LIRYKI

Beata Budzkowska

## Przypadki

And, yeah, life has a funny way of sneaking up on you  
Life has a funny, funny way of helping you out  
Helping you out

Alanis Morissette,  
1996 r.

Łeba poza sezonem. Spacerując, czujesz, jakby to był pierwszy wolny dzień po tygodniu pracy na obie zmiany. Nie za bardzo wiesz, gdzie masz pójść i co ze sobą zrobić. Z tą różnicą, że po sezonie nic się nie dzieje. Jesteś sam na ulicy, w parkach. Na plaży jeszcze spotykasz spacerowiczów, takich jak ty, ale nie ma ich zbyt wielu. Gdziekolwiek nie pójdziesz, praktycznie nikogo nie ma. Tak naprawdę wiadomo, że przyjeżdżasz zobaczyć morze i posłuchać fal. Przejść się plażą. Poleżeć na piasku. Nacieszyć słońcem i obecnością innych ludzi lub ich brakiem. Poczuć tę przestrzeń i obecność Skandynawii gdzieś tam, daleko za horyzontem. Możesz kupić świeżą rybę od cuchnących rybaków z portu albo pochodzić małymi uliczkami portowymi, które teraz już nie mają nic ze swojego uroku. Uroku, który jeszcze dwadzieścia lat temu mógł być czytelny dla wprawnego obserwatora. Dziś już chyba mniej. Możesz tak chodzić, latem lub zimą, a Łeba i tak będzie małym miastem z lat młodości, kiedy te wszystkie magiczne miejsca, które dziś odkrywasz, były nieistotne.



Bo dla ciebie Łeba zamieniała się w nowy twór, który nigdy nie zasypiał, jakby to był Nowy Jork naszej północy.

\* \* \*

Pamiętam pewien wyjątkowo ciężki sezon. Kierownik chciał chyba zaoszczędzić i na sali w kawiarni byliśmy tylko trzy. Kaśka, Renia i ja. Potem Kaśka przeszła na bar i zostałyśmy z Renią same. Dziewięć stolików na jedną kelnerkę, to mogło się udać tylko nastolatkom, które pracowały w sezonie, aby zarobić na fajne ciuchy. Kupowane zresztą głównie na straganach w Łebie nieopodal ulicy Nadmorskiej. Patrząc na budynek, w którym kiedyś mieściła się najsłynniejsza letnia dyskoteka w kraju. Kawiarnia Mozart. Mimo że czasy świetności ma już zdecydowanie za sobą, ja, przechodząc powoli ulicą, nadal słyszę głośnie muzykę, wrzaski ludzi stojących ciasno na balkonach i próbujących się przekrzyczeć oraz widzę dym puszczany przez naszego didżeja Jarka Urbanka. Czuję zaduch w środku i pamiętam zapach spoconych ciał porozbieranych dziewczyn, które czerpały wtedy z młodości najlepiej, jak potrafiły. Niektóre twarze pamiętam do dziś. Zatrzymuję się bezwiednie przed pustym budynkiem. Pamiętam na przykład dwie piękne blondynki, były wtedy trochę starsze ode mnie, miały może dwadzieścia lat i przyjeżdżały do Łeby co roku z Warszawy. Mimo iż przepiękne i bogate, zawsze przemiłe, kulturalne i spokojne. Pamiętam, że nie były głośnie i nie mówiły zbyt dużo. Teraz już wiem, że im więcej masz do powiedzenia, tym ciszej i mniej mówisz. Z biegiem lat zostają w głowie takie niepokojące myśli, które z czasem przekształcają się w dziwne zasady, aby potem wrócić w najmniej ważnym momencie. Na przykład ta, że nie wszystko złoto, co się świeci (ale czasami jednak warto sprawdzić). Były jeszcze inne, jednak stojąc na zimnym wietrze przed zamkniętą kawiarnią, nie mogę ich sobie przypomnieć.

Jakieś dwa czy trzy lata temu (a może i dziesięć, ten czas tak leci, człowiek gubi rachubę w ciągu dnia, a co dopiero na przestrzeni lat) budynek został odmalowany i wyremontowany. Bardzo się cieszę, że nigdy po tym remoncie nie byłam w środku. Mogę sobie przypominać te cudowne lata i pamiętać wszystkie detale, takie jak aksamitne sofy w kolorze granatowym (chyba to był granatowy... a może jednak zielony albo bordowy?), okrągłe stoliki i ozdobny tynk na ścianie w formie tak zwanego baranka, który kiedyś był efekciarskim elementem wystroju wnętrza. Dziś czasem jeszcze bywa spotykany, głównie na klatkach schodowych bloków mieszkalnych w małych miasteczkach na prowincji, które zawsze są dwie dekady do tyłu, jeżeli chodzi o wszelkie nowości architektoniczne. Mozart był więc bardzo nowoczesny i ekskluzywny jak na tamte czasy. Potem niespodziewanie, nie wiadomo kiedy, coś się zaczyna zmieniać. Zauważasz takie rzeczy zupełnie nagle, jak gdyby wydarzyły się z dnia na dzień. Mimo iż doskonale wiesz, że jednak upłynęły lata i ten proces trwał, a ty poniekąd byłeś świadkiem tych zmian. Ale albo nie zwróciłeś na nie uwagi,

albo zwróciłeś i udajesz sam przed sobą, że nie mają dla ciebie żadnego znaczenia. Otóż mają. Bo są jak rysy na karoserii twojego samochodu. Mimo że nadal możesz jeździć, to jednak jesteś wykurzony, że twoja doskonałość nosi na sobie ślady czasu. Oczywiście robisz wszystko, żeby to przykryć, szpachlujesz, malujesz, no nic nie widać, ale ty w głębi serca wiesz, że ta rysa tam jest i o niej nie zapominasz.

Moja znajoma opowiedziała mi, jak któregoś lata pojechała na spacer do Łeby i poszła na kawę do Mozarta. Mozart był już wtedy po remoncie. Na ścianie w środku, na głównej sali widniał ogromny obraz namalowany przez jakiegoś chyba-artystę, który przedstawiał dwór książęcy. Znajoma mówiła, że razem z Kaśką, która nadal tam pracowała, śmiały się, że wizerunek na ścianie przedstawia naszego kierownika oraz jego żonę ze świtą. Ktoś by pomyślał, że obciach maksymalny, ja jednak stwierdziłam, że to jest fantastyczne. Nasz kierownik na pewno nie był przeciętnym człowiekiem. Kiedyś namówił Radę Miejską w Łebie na akcję promocyjną miasta, mającą polegać na utworzeniu niepodległego Księstwa Łebskiego. Księciem oczywiście miał zostać Henryk I Wielki, czyli nasz kierownik. Ktoś tam niby miał z nim wtedy konkurować o tytuł, ale dziś już nikt tego nie pamięta. Pokazywali wtedy w Teleekspresie migawkę z uroczystości koronacji naszego kierownika. Mieszkając już wówczas w Warszawie, w głębi serca czułam głęboką przynależność do tych wydarzeń. Zgaduję, iż malowidło ściennie w kawiarni miało upamiętnić okres świetności miasta i jego dążenia niepodległościowe. Jakiś czas później, gdy jak każdego lata odwiedzałam Łebę, przechodząc ulicą, dojrzałam przez okno to właśnie malowidło. Znajoma miała rację. Było ogromne i zajmowało całą ścianę. Wtedy jednak nie weszłam do środka. Kto wie, czy te ulotne momenty, które mam do dziś w głowie, nie wyparowałyby na zawsze i nie zostałyby zastąpione widokiem wielkiego wizerunku księcia kierownika i jego żony w ozdobnych szatach królewskich.

Stoję tak przed zamkniętym budynkiem i myślę, że zaraz może zacząć padać. Mozart zamknięty, jak zresztą wszystko w Łebie w listopadzie. Nie ma ludzi, nie ma samochodów. Nikogo. Właściwie mogłabym zacząć tę opowieść trochę inaczej. Łeba poza sezonem jest jak stary człowiek, który przeżył swoje piękne momenty, a teraz już może odpocząć. Myślę chwilę i stwierdzam, że Łeba ma jednak lepiej. Zawsze w maju odradza się i może wszystkie głupie błędy młodości naprawić lub przeżyć od nowa.

Przechodzę na tył budynku. Rośnie tam las iglasty. Las ten ciągnie się aż do falochronu i wejścia do portu. Generalnie trudno się zgubić w Łebie, a i turyście ciężko byłoby nie trafić na plażę. W Łebie wszystkie drogi prowadzą w jedno miejsce. Z tyłu natrafiam na drzwi od zaplecza lokalu. Drzwi oczywiście zamknięte na kłódkę. Już jakies inne niż „za moich czasów”. Metalowe, solidne, z roletą antywłamaniową, niezamkniętą do końca. Pod nogami pełno gałęzi. Gdzieś

między drzewami, patrząc w głąb lasu w kierunku morza, zauważam budynek. Kiedyś w tamtej okolicy była drewniana buda nosząca dumną nazwę baru jakiegoś kapitana. Przypominam sobie od razu historię, jak kiedyś podczas mojego pierwszego sezonu w Mozarcie, gdy miałam może piętnaście lat i pracowałam na zmywaku, do kuchni wpadła młoda kelnerka. Była to śliczna dziewczyna, cicha, spokojna, o wyglądzie anioła z długimi blond włosami. Chciała pożyczyć nóż. Pani Lucynka pracująca wtedy w kuchni zaczęła wyciągać jakieś noże do tortów i jej pokazywać. Ta wzięła największy, schowała go do rękawa, wyszła tylnymi drzwiami i razem z czekającą tam na nią koleżanką pobiegły do baru kapitana. Nie pamiętam, jak to dalej było z tym nożem, czy ona go potem oddała, czy nie, ale następnego dnia, kiedy przyszłam do pracy, usłyszałam od Sławka z szatni, że w nocy była bijatyka w kapitanie i jakiegoś faceta mocno pocięli. Stojąc teraz na zapleczu kawiarni Mozart w zimny listopadowy dzień, mam przed oczami tę młodą piękną kelnerkę z nożem w rękawie, znikającą w ciemności wśród drzew, a w tle majaczące światła szarej budy baru kapitana.

Zastanawiam się, czy nie pójść w tamtym kierunku. Do kapitana prowadzi droga, która potem znika gdzieś w głębi lasu. Właściwie nie jest to nawet droga, tylko wąska ścieżka. Zawsze mnie kusily takie tajemnicze i niepewne dróżki, w pewnym momencie życia przestały mnie jednak fascynować. Odkryłam, że i tak wszystkie kończą się w tym samym miejscu. Tak jak w Łebie. Gdziekolwiek nie pójdziesz, i tak trafisz na plażę. Zawracam więc na ulicę. Nigdy nie byłam w kapitanie i niech to się nie zmienia. Na ulicy rozglądam się. Po przeciwnej stronie stoi nowa restauracja. Z tego co słyszałam, wybudował ją syn naszego kierownika. Właściwie przebudował, bo stał tam kiedyś budynek, w którym na poddaszu personel kawiarni Mozart miał pokoje i łazienkę. Na dole był sklep i kantor wymiany walut prowadzony przez śliczną Agatkę i jej męża, który co noc bawił się na dyskotecce, odreagowując życiową tragedię, jaką było niepełnosprawne dziecko. Z dzieckiem w domu w tym czasie siedziała Agatka, której nigdy nie widziałam na dyskotecce. Po latach mąż zginął w wypadku samochodowym, gdy jadąc z Łeby do Lęborka z prędkością 170 km/h, uderzył w przydrożne drzewo. Agatka ułożyła sobie życie u boku lokalnego przedsiębiorcy z Kaszub. O tym wszystkim jeszcze oczywiście nie wie, rozwijając swój biznes w sezonie w Łebie, skupując i sprzedając waluty obce, i mając nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży i że będą w życiu jeszcze bardzo szczęśliwi. Wtedy wszyscy tak myśleliśmy.

Obok kantoru stała budka z hamburgerami. Pamiętam kolejki głodnych, którzy w trakcie dyskoteki biegli po hamburgera, szybko go zjadali i lecieli dalej na dyskotekę. I nie były to wcale żadne niezwykle hamburgery, tylko proste, z własnoręcznie wypiekaną bułką, z własnoręcznie robionym kotлетem i własnoręcznie przygotowywanymi przepyszными surówkami. Nie żaden McDonald's. Kiedy się je jadło, to sok aż ściekał po rękach.

Stoję tak i patrzę na balkony. Widzę Urbanka, który woła mnie na górę. Jarek zabierał mnie wszędzie. Bardzo go lubiłam. Jeździł ze mną na plażę, do Ewy do Sasina, do wciąż najlepszej restauracji regionu na naleśniki. Potem nawet byłam raz u niego w Warszawie, gdzie poznałam dziwny świątek zapaleńców rozwijających jedną z pierwszych prężnie działających firm zajmujących się profesjonalnym oświetleniem dużych imprez kulturalnych w Warszawie, a z czasem w całej Polsce. Lecę więc na górę, a on podekscytowany puszcza mi jakiś nowy przebój. Jest to utwór młodej kanadyjskiej piosenkarki Alanis Morissette z jej debiutanckiej płyty. Słuchamy bardzo głośno piosenki, która opowiada o tym, że życie czasem się z nami bawi i robi nam dziwne niespodzianki. Utwór ten zostanie hitem sezonu, po latach będzie rozpoznawalny jako jeden z najpopularniejszych singli na świecie, a Alanis Morissette sprzeda ponad 50 milionów płyt. My, stojąc wtedy na piętrze dyskoteki Mozart, słuchaliśmy tej piosenki u progu życia, nie wiedząc jeszcze, jak ono się potoczy, ani nawet o tym nie myśląc, nucąc tylko refren:

„...And isn't it ironic, don't you think?

A little too ironic

And, yeah, I really do think...”

\* \* \*

Wracając do tego wolnego dnia po tygodniu pracy na obie zmiany. Można więc było spać do południa, ale odgłosy z ulicy i tak nie pozwalały na mocny sen, zresztą szkoda było na to czasu. Wtedy latem pogoda bywała jak w Mozambiku, temperatura rzadko schodziła poniżej dwudziestu pięciu stopni. Można więc było zwlec się z łóżka, szybko ogarnąć wygląd, co oznaczało zmycie makijażu w prowizorycznej łazience, z której korzystał cały personel lokalu włącznie z chłopakami z bramki, zarzucić strój kąpielowy i zasuwać na plażę, aby złapać trochę wakacyjnego luzu przed kolejnym tygodniem ciężkiej pracy. Wychodząc na ulicę, nie musiałeś właściwie nic robić, bo tłum i tak popchnął cię tam, gdzie trzeba. Czyli na plażę. O godzinie dwunastej w południe nikt nigdy nie szedł w innym kierunku. O północy zresztą też. Do dziś dnia, przyjeżdżając do Łeby po sezonie i idąc pustymi ulicami, czuję ten tłum każdym zmysłem. Czuję, jak się przedzieram popychana przez ludzi wyprzedzających się nawzajem, widzę gołe plecy mniej lub bardziej atrakcyjne, mniej lub bardziej odkryte, mniej lub bardziej opalone, w zależności od tego, jak daleko lub blisko było do zmiany turnusu, który następował w okolicach połowy lub początku miesiąca, i czuję zapachy tych ludzi, którzy mieli w głowie tylko jedno: położyć się na plaży. Dziś też tak mam. Zresztą mam tak zawsze. Niektóre doznania zostają na całe życie. Nie wymażemy ich. Tak jest u mnie ze

spacerem w Łebie. Obojętnie, czy jest to lipiec, czy grudzień, idąc chodnikiem, zawsze przedzieram się przez tłum ludzi.

Nie pamiętam teraz, czy kiedykolwiek przyjechałam do Łeby i nie poszłam chociaż na chwilę na plażę. To jest silniejsze niż rozum, niż czas, niż obowiązki, które mnie tam zaciągają. Obojętnie, po co przyjeżdżam, muszę na chwilę spojrzeć na horyzont. Plaża zawsze mnie zaskakuje. To nie jest tak, że za każdym razem wiemy, czego się spodziewać. To nie jest tak, że fale są wciąż takie same. Dla mnie nie. Ja stoję i patrzę w morze, widzę fale, mewy, ślady na piasku i zawsze czuję tę niesamowitą zmienność natury. Heraklitejskie *pantha rei* nabiera pełnego wymiaru. Darwin na Galapagos mógł czuć to samo. Te wody płynące dookoła same podpowiadały teorię ewolucji. I stojąc tak, i patrząc na morze, które raz przychodzi pod moje nogi, raz spod nich ucieka, czuję, że ta zmienność jest dla nas i w nas.

Tym razem plaża była poorana śladami grubych opon, co jest bardzo częste poza sezonem. Kiedy nie ma ludzi, jeżdżą po niej traktory, wyciągarki i inne ciężkie sprzęty, które nie wiadomo, co robią i dlaczego. Często zaglądam na plażę od strony portu jachtowego. Tam praktycznie nikt nie chodzi, a i w sezonie zawsze jest najmniej ludzi. Czasami jednak wcale nie chcę być sama, to znaczy chcę być sama, ale nie chcę czuć się samotnie. Wtedy idę na spacer od strony hotelu Neptun. Pięknego zameczku stojącego samotnie na niewysokiej skarpie nad samą wodą i przyciągającego swoją nietuzinkową i trochę staroświecką urodą tłumy spacerowiczów i turystów. Hotel Neptun ma w sobie coś niezwykłego. Patrząc na niego, człowiek bezwiednie oczekuje, że zza rogu wyjdzie jakaś niesamowicie dystyngowana dama w długiej sukni z parasolem, a obok niej szlachetny gentleman podtrzymujący ją pod rękę, aby nie spadła z wysokich schodów prowadzących na plażę. Naprawdę, to nie tylko moja wyobraźnia. Hotel Neptun rzeczywiście tak wygląda. Siedzisz na plaży, patrzysz na niego i czujesz się jak w filmie kostiumowym (oczywiście poza sezonem, gdy nie widzisz tego tłumy turystów wygrzewających się ciasno na plaży, w skąpych strojach kąpielowych, bynajmniej nie mających wiele wspólnego z osiemnastowiecznym stylem ubierania). Oczywiście również pod warunkiem, że nie pracowałeś tam przez co najmniej dwa sezony i pamięć tamtych wydarzeń skutecznie nie zamyka twojej wyobraźni pola popisu do tworzenia pięknych scenek osiemnastowiecznego obrazka. U mnie niestety zamyka. Na szczęście są wspomnienia, które lubią się zacierać po latach.

Stoję tak na plaży nieopodal hotelu Neptun, obok spacerują ludzie. Pary z pieskami, z dziećmi, niektórzy samotni, niektórzy w grupach. Na pooranej oponami traktorów plaży, która zimą jest jeszcze bardziej tajemnicza niż latem. Przypominam sobie zimę wiele lat temu, kiedy cała plaża była przykryta zwałami lodu i śniegu. Przypominam sobie upalne lata, kiedy na plaży nie można było znaleźć metra kwadratowego na położenie ręcznika. Przypominam sobie lato



dwadzieścia lat temu, kiedy z przyjaciółmi i butelką wina spaliśmy pod rozgwieżdzonym niebem pod jakimiś swetrami, bez śpiworów i nawet jednego koca. Przypominam sobie te tysiące dni spędzonych w tym właśnie miejscu, kiedy byłam sobą, a jednak zupełnie kimś innym. Przypominam sobie zdjęcie, które do dziś wisi u mnie w kuchni, zrobione na tej plaży, pod hotelem Neptun, na którym siedzę uśmiechnięta i nieświadoma mojej dalekiej przyszłości.

\* \* \*

Schodzę z plaży i idę na parking. Trochę wieje. Jak to w Łebie. Po drodze mijam spacerowiczów, udających się w przeciwnym kierunku. Ubranych ciepło, owiniętych szalikami i w czapkach. Wsiadam do samochodu i powoli ruszam. W radiu grają akurat przeboje lat dziewięćdziesiątych.



*Nosferatu: Phantom der Nacht*, reż. Werner Herzog, zdj. Jörg Schmidt-Reitwein (1979)

Marta Paluch

## Czarownica z Pucka

– W pewnym stopniu jesteście szaleni.

Głos Szymona wyrывa mnie z zamyślenia. Podnoszę wzrok i wracam do piwnicznego pubu z dna kieliszka z czerwonym i gęstym, podłym w smaku trunkiem. Lekko zawstydzona sprawdzam, czy ktoś zauważył mój odlot. Szybko omiatam spojrzeniem obecnych przy stole Magdę, Szymona, Janka, Karola i Adę, jego nową dziewczynę. Nikt nie zauważył. Szymon kontynuuje:

– Chodzi mi o to, że my, jako rasa ludzka jesteśmy wariatami. Svante Paano, szwedzki genetyk, nazwał to genem faustowskim. Pierwsi człokształtni, tacy jak *Homo erectus* czy neandertalczyk go nie mieli. Wyłącznie współcześni podejmowali przedsięwzięcia nie tylko ryzykowne, ale z punktu widzenia logiki często bezsensowne, jak przebycie oceanu, mimo że nie widzieli przeciwnego brzegu. No przecież trzeba być do tego szalonym!

Ostatnie zdanie wykrzykuje, po czym zapija je resztką pszenicznego złotego. Kufel z impetem uderza o stół. Nikomu to nie przeszkadza, bo w piwnicy i tak panuje gwar. Ada, próbująca wypaść jak najlepiej, zagaduje:

– A jak myślisz, dlaczego oni to robili?

Nieco znudzona Magda rzuca obojętnie:

– Dla sławy i nieśmiertelności.

Krzywię się mimowolnie. Dostrzegam lekkie zniecierpliwienie na twarzy Janka, który dorzuca:

– Ale dalej to robimy. Chcemy eksplorować kosmos.

Biorę łyk letniego już grzańca. Muszę się przewietrzyć.

– Lena, a jak tam Czarownica z Pucka?

Uśmiecham się. Wiedzą, że nic im nie powiem, ale pytanie wyprowadza mnie z równowagi. A może z równowagi niezmiennie wyprowadza mnie Czarownica z Pucka?

Wychodzę z piwnicznego baru, w którym unoszący się w powietrzu smród potu, taniego grzanego wina i spalonego sera zalegającego w tosterach, nasączył mój płaszcz. Wybiegam po skrzypiących schodach do góry. Łapię powietrze. Na zewnątrz styczniowy deszcz kapie, ścieka z dachu, wylatuje z rynny i rozbryzguje się po ziemi, a pewnie dalej spływa gdzieś do studzienki. Z daleka slychać centrum, ale przed tą zatechłą piwnicą nie ma nawet światła. Tylko lampka przy drzwiach wisi nade mną i rzuca dość dziwne pionowe światło. Deszcz leje. Wypada z rynny, wypada z tych czarnych chmur, które zasłoniły księżyc i wszystkie zimowe gwiazdy.

Stoję w kole ze światła, a za mną w ciemności stoi drewniany pirat, nieruchomo zapraszający do baru. I kiedy tak nie mogę odpalić papierosa, bo palec ślizga się po zapalniczce, a papieros moknie, on podaje mi ogień. Wydaje więc z siebie krótki, ale czysty krzyk z przepony. Pirat w absolutnie nie-pirackiej czapce opadającej krzywo na twarz, patrzy smutno:

– Jest już źle, wiem.

Ma smutne szkliste oczy, a jego dłoń w dziurawych rękawiczkach cofa się. Biorę głęboki oddech.

– Nie, przepraszam. Mam ciężką noc. – Wyciągam rękę w jego stronę.

Dziwię się, gdy otrzymuję wysłużone, mosiężne Zippo, całe w trudnym do określenia grawerze.

– To jakieś pnącza, czy co?

Nie-pirat uśmiecha się lekko, ale nie odpowiada. Ten wzór wydaje się dziwnie znajomy. Wyciągam więc opakowanie fajek, bo ta, którą trzymałam wcześniej, spłynęła razem z deszczem do ścieków. Czerwone pudełko jest jednak puste. Nie-pirat mruczy coś pod nosem i sięga do kieszeni. Biję się przez chwilę z myślami, ale biorę od niego skręconego papierosa. Trzymając skręta w ustach, przejeżdżam jeszcze raz kciukiem po wzorach na zapalniczce i doświadczam okropnego *déjà vu*.

Klnę cicho pod nosem, ponagłając samą siebie. Nie-pirat znowu się śmieje. Tym razem głośniej. Rubaszniej. Otwieram pokrywkę, zbliżam zapalarkę do papierosa. Śmiech Nie-pirata nie ustaje, natęża się. Mój nowy towarzysz śmieje się ze mnie. Śmieje się tak, że musi trzymać się za pękaty brzuch. Trochę mnie to dotyka, nie chcę żeby się ze mnie śmiał, nie chcę żeby myślał, że się boję. Knot dotyka końcówki tego pogniecionego szluga, nie poddam się teraz takiej słabości. Kładę kciuk na kółko trące. Nie-pirat pochyła się do przodu. Ręce kładzie na kolanach. Patrzy na mnie nieco uspokojony, ale wciąż zasapany od śmiechu, a jego wzrok mówi „nie zrobi tego”.

– Co mi będziesz tu... – Mój kciuk prześlizguje się sprawnie po pokrętle. W ostatniej chwili widzę, że Nie-pirat mruga do mnie jednym okiem. Potem mam przed sobą już tylko ogień, który wybucha ze starego urządzenia i jest wielki, dziki i wysoki, tak wysoki, że przysłania mi pole widzenia, jednocześnie tworząc lunę światła rozpraszającą dzisiejszą ciemność. Zaciągam się. Bletka zapala się lekko. Jedną ręką zamykam ogień. Przymrużam oczy. Nie-pirat zniknął.

– Halo! Gdzie jesteś?

Rozglądam się po ciemnej ulicy. Nic. Pustka. Cisza. Nie słyszę już centrum. Nagle ciemność wydaje się być jeszcze gęstsza, a z nią gęstnieje i deszcz.

– Nie będę cię szukać!

Mam twoje Zippo – myślę. – Niezłe Zippo.

Papieros tli się w mojej ręce. Niech to szlag. Smakuje jak zwykły skręcony tytoń. Gorzki, ostry. Wstrętny. Bez filtra. Mam ochotę kaszlnąć. Biorę kilka buchów i rozglądam się nerwowo. Nie ma go. Trudno. Chowam zapalniczkę do kieszeni. Nie mam ochoty tego palić. Skoro już go nie ma,

sprawa honoru jest zakończona. Nie stchórzyłam, zapaliłam. Rzucam ostatnie spojrzenie na budynki wokół. Moknę jeszcze kilka sekund, po czym gaszę papierosa o podeszwę buta i wrzucam go do śmietnika przy wejściu. Nie chcę jednak wracać do środka. Stoję w progu. Piwniczna mieszanka zapachów rozdziera moje nozdrza.

Nie, nie wracam tam. Opieram się o ścianę. Na zewnątrz ulewa zamienia się w potop. Widzę, jak wieczko studzienki lekko unosi się od buzującej wody. Zastanawiam się przez chwilę, na jakiej jestem wysokości. No tak – Wrzeszcz musi się już topić. Przez chwilę myślę, że mogę być otoczona fosą. Chcę już wracać na Słowackiego. Nie mam zamiaru się żegnać. Sięgam tylko po komórkę. Uber jest minutę stąd. Musi stać gdzieś obok, ale nie od razu go widzę. Kierowca, Mieszko, ma tak ciemne zdjęcie, że nie widać też jego twarzy. Mam ochotę anulować przejazd, bo czarny mercedes, o czarnych szybach właśnie zatrzymuje się pod wejściem i przypomina mi jedną miejską legendę, która nie pozwalała mi spać w dzieciństwie. Waham się, gdy niespodziewanie kierowca wychodzi z auta z parasolką.

– Dobry wieczór.

Komórka wibruje.

– Wracasz, czy cię porwali?

– Pani Leno, zapraszam do środka.

Kiwam głową i bez większego zastanowienia daję się zaprowadzić do auta. Jest eleganckie i czyste, nawet nie chcę sprawdzać, o ile droższy będzie ten przejazd od standardowego. Radio gra cichą i spokojną muzykę klasyczną. Jest 22.58.

– Przepraszam, czy mógłby pan przełączyć radio? Ostatni serwis informacyjny.

Nie wiem czemu to sobie robię, ale jestem po prostu ciekawa, czy i o tak późnej godzinie usłyszę to, co słyszałam cały dzień. Może w nocy zabrzmiałoby lepiej.

Sprawa Czarownicy z Pucka, skazanej na dożywocie, trafiła do Sądu Apelacyjnego w Gdańsku. Pierwsze posiedzenie sądu drugiej instancji ma się odbyć już jutro. Jak podkreślał obrońca z urzędu w swojej mowie końcowej – sprawa wciąż budzi wiele wątpliwości.

– Proszę włączyć muzykę.

Mieszko bez słowa ponownie włącza Bacha. Kilka miesięcy temu redaktor naczelny zlecił mi tekst informacyjny z pierwszej rozprawy w sprawie Czarownicy z Pucka. Niedługo potem byłam na każdej rozprawie, pojechałam pod Puck, rozmawiałam z ludźmi z okolicy, potem napisałam reportaż i postanowiłam raz na zawsze wymazać sprawę z pamięci. Skany z obszernych akt Czarownicy usunęłam z komputera, a nośnik z kopią schowałam na dno szafy, z silnym postanowieniem, że i ten niebawem zniszczę.

Mieszko nie zagaduje. Prowadzi płynnie i spokojnie. Zerkam w lusterko – jego wzrok jest skupiony na ulicy, ledwo widocznej zza machających rytmicznie wycieraczek. Nie mam ze sobą okularów, jestem wstawiona i czuję, że płyniemy. Miasto jest właściwie dość puste. Światła słabo przebijają się przez ścianę deszczu i rozbłyskują na mokrej, falującej niczym wzburzona rzeka jezdni. Zamykam oczy, a każdy zakręt zamienia się w moim żołądku w rozbujaną huśtawkę. Wydaje mi się, że czuję mokry zapach błotnistego podwórka Jadwigi Z. i robi mi się niedobrze. Boję się, że gdy otworzę oczy, zza okna samochodu zobaczę to gospodarstwo – ten ceglany dom, tę stajnię, ten drewniany składzik i ten wielki kasztanowiec, na którym Czarownica z Pucka miała powiesić całą swoją rodzinę. Czy była szalona? Biegli stwierdzili, że nie. Czy drobna, ważąca zaledwie czterdzieści pięć kilogramów i mierząca metr pięćdziesiąt pięć kobieta mogła dokonać tak strasznego mordu? Biegli stwierdzili, że tak. Czy wszyscy ludzie są szaleni? Jakiś szwedzki naukowiec twierdzi, że tak. Auto zatrzymuje się w samą porę pod moim blokiem. Otwieram drzwi, kładę głowę na kolanach i liczę do pięciu. Nie zwymiotuję. Mieszko czeka w ciszy. Podnoszę wzrok.

– Pomóc pani?

Kiwam przecząco głową na znak, że dam sobie radę. Staję na nogach, Mieszko stoi przy drzwiach samochodu. Nie ma parasolki, bo przestało padać. Osiedle jest ciche, ale wciąż słyszę szum wody. Ściekającej z dachów, okapującej z lysych drzew i krzewów. Ten styczniowy nocny deszcz nie ma nic wspólnego z rzeźkością. Wilgoć wdziera mi się do nozdrzy, zatyka gardło. Chciałabym, by w końcu tej zimy spadł śnieg.

Dziękujemy sobie z Mieszkiem, jeśli to naprawdę jego imię. Dobranoc, dobranoc. Moja komórka wibruje w kieszeni wilgotnego płaszcza, ale ignoruję ją. Chcę wejść jeszcze do Żabki po Marlboro, ale postać stojąca u progu mojego bloku kompletnie zbija mnie z tropu. Patrzy na domofon, więc nie widzę twarzy, ale ta sylwetka wyzwała przeczucie graniczące z pewnością, że gdy szczupły mężczyzna w czarnym płaszczu z dużą skórzaną torbą na ramieniu odwróci się w moją stronę, lampa umocowana na zadaszeniu oświetli twarz o ostrych rysach i oczach w dwóch różnych kolorach – niebieskim i brązowym, która nawet jeśli jej właściciel będzie zaskoczony, zły lub smutny, przywita mnie najszerszym znanym mi uśmiechem z diastemą między jędynkami.

– Tomasz?

W jednej chwili za sobą słyszę odjeżdżającego Ubera, a światło przed blokiem gaśnie. Postać gwałtownie odwraca się.

– Lena!

Nie widzę uśmiechu, ale poznaję po głosie. Mrugająca lampa zapala się ponownie.

– Dzwoniłem. – Tomasz drapie się po głowie, po czym dodaje – I pisałem.



Nic nie wiem, nic nie pamiętam. Stoję zamurowana, kiedy pyta, czy może wejść, odpowiadam jednak entuzjastycznie:

– Jasne, oczywiście. – Jakbym spotkała go bardziej zwyczajnie, na przykład wracając z pracy o jakiejś przyzwoitej godzinie w ciągu dnia.

Znam go, odkąd pamiętam. Odkąd pamiętam, w naszej rodzinnej miejscowości spotykałam na podwórku Tomasza. Nasze rodziny się znały, chodziliśmy do jednej szkoły i wkrótce staliśmy się nierozłączni. W naszym małym miasteczku chodziliśmy razem na Pomnik i po Czarnej Szosie, chociaż nie było nam wolno. Pisaliśmy razem maturę, mieszkaliśmy razem na studiach i w zewnętrznym, najprostszym rozumieniu ludzkich relacji – byliśmy parą. A potem Tomasz wyjechał. Zdjęcia z różnych kontynentów przysyłał także wtedy, gdy byłam w związku i z A., i z S. Potem – wiem – ledwo uszedł z życiem. Wrócił do Polski, ale nie do Gdańska. Wydawało mi się, że moment, w którym linie naszego życia przecinały się, zakończył się definitywnie. Choć, wiedziałam, że znając kogoś tak długo, nie jestem w stanie wyrzucić go ze swojego DNA, nigdy nie czułam takiej potrzeby. Był, a potem go nie było. Żadnych wyrzutów sumienia. A jednak tak niespodziewane spotkanie mną wstrząsnęło.

W moim mieszkaniu jest ciepło i sucho. Światło w pomieszczeniu jest miękkie i punktowe. Duża stojąca lampa koło rogowki, światło nad kuchenką, lysa żarówka przy stoliku do czytania. Czajnik zaczyna powoli terkotać na gazowej kuchence, gdy Tomasz, siedząc – a jakże – na moim ulubionym fotelu, kończy opowieść o tym, jak musiał przyjechać do Gdańska, adres ustalił z moją mamą i był pewny, że przekazała mi wiadomość o jego przyjeździe. Zresztą dzwonił. Przeprasza. Taki rozwój wypadków jest oczywiście dziwny i nietypowy dla każdego żyjącego w dobie messengerów, Internetu i błyskawicznego przepływu informacji, ale dla mnie jest oczywisty, znany, bo mimo że minęło wiele lat, sposób komunikacji Tomasza jest także moim sposobem komunikacji, choć od wielu lat zupełnie nieużywanym. Czajnik gwizdże głośno, więc szybko ściagam go z kuchenki. Zalewam dwa wielkie kubki z torebeczkami Earl Greya. Jestem zmęczona, ale zdolność do rejestrowania najmniejszych szczegółów, moja najlepsza, najmocniejsza cecha – wraca. Widzę więc, że Tomasz też zaczął się starzeć – jego ciemne włosy, zawsze przydługie loki, przyprószyła zdecydowanie przedwczesna siwizna i chociaż nie mogę tego wiedzieć, to jednak wiem, że to, czego doświadczył fotografując każdą swoją wojnę, zmieniło go. Nad kanapą wisi lustro i w tym lustrze wyraźniej widzę też siebie. Zmęczoną i neurotyczną, o szklistych, jak zawsze niemal przezroczystych, jasnych oczach, które od najmłodszych lat są podkrążone, więc korespondują z równie jasnymi, niemal białymi, wiecznie potarganymi, ścinanymi z rzadka i wyłącznie samodzielnie, włosami. Po publikacji reportażu przeczytałam kiedyś komentarz na Facebooku:

„a która to niby ta Czarownica z Pucka”? Bo mój wygląd, nawet na wygładzonym zdjęciu w redakcyjnej stopce, przywołał czytelnikom na myśl archetypiczne wyobrażenie wiedźmy. Otrząsam się, jednocześnie tłumacząc sobie, że takie spotkania po latach muszą łączyć się z analizą cech zewnętrznych. W końcu to, co zapamiętane, ulega entropii, rozkładowi, bo nic nie jest w stanie oprzeć się upływowi czasu.

Co go sprowadza? Szuka ojca. Jak to ojca – pytam, bo przecież pan Edward, to nie była osoba, którą można tak po prostu zgubić. A przynajmniej dziesięć lat temu nie był taką osobą. Tomasz mówi więc, że jednak tak, że ojciec trochę oszalał, ale że nie chce dziś o tym mówić. Pytam więc o policję. Nie – żadnej policji. Wtedy Tomasz się uśmiecha, tym uśmiechem, który znam tak dobrze i który jest trochę domem, a świat wiruje, mimo, że przecież chyba już wytrzeźwiałam, a gęstość nocy za oknem nieco się rozproszyła. Dla odmiany wiatr napiera na okno balkonowe, wydaje mi się, że słyszę grzmot i przechodzi mnie dreszcz, bo dzisiejsza zmienność pogody zdaje się być zaprzeczeniem wszystkiego, czego o zjawiskach atmosferycznych uczyła nas przyrodniczka, pani Basia. Spoglądam przez okno i widzę tak dawno niewidziany już, żółty, okrągły, fosforyzujący księżyc. Cholera.

– Czytałem o Czarownicy z Pucka. Kawał dobrej roboty – mówi parząc sobie język, bo jak zawsze i jak od zawsze, pije łączywie. Nie wzdrzgam się w ogóle, bo jego słowa trafiają do mnie ze spokojem, jakiego sama w sobie nie znam jeśli chodzi o ten temat. Uświadamiam sobie, że wreszcie będę mogła to z siebie wyrzucić i siadam na podłodze przy stoliku, opieram się o któryś fotel i podkurczam nogi w mojej najbardziej komfortowej pozycji, i zaczynam tę opowieść pierwszy raz zupełnie subiektywnie, zupełnie niedziennikarsko, a Tomasz przez długie godziny słucha z takim zrozumieniem, jakiego nie mogłabym znaleźć nigdzie indziej.

Następnego dnia budzę się w swoim łóżku, choć nie do końca pamiętam, jak się tam znalazłam. Spoza sypialni dobiega mnie krzątanie w kuchni. Wciągam szary sweter leżący na podłodze przy stoliku nocnym. Za oknem gęsta jak mleko mgła.

– Co do cholery z tą pogodą? – Klnę pod nosem i jak najciszej udaję się do łazienki w sypialni. Ten poranek jest dla mnie niezrozumiały i wypełnia go dyskomfort. Odkąd Szymon wypowiedział zdanie „W pewnym sensie jesteśmy szaleni”, minęło tysiąc lat i nie mam pewności co się przez nie działo. W lustrze patrzę na siebie równie zmęczona jak wczoraj, oblewam twarz lodowatą wodą, myję zęby, a z suszarki ściągam dżinsy. W spodniach rzuconych na posadzkę szukam papierosów, ale przecież nie mogę ich tam znaleźć. Biorę głęboki wdech. Potem powoli wydycham powietrze i wychodzę z pokoju.

– Nie masz nic w lodowce. Zrobiłem kawę.

Na kanapie leży zmiędlony koc, więc uświadamiam sobie, że nie dałam Tomaszowi czystej pościeli, i w myślach słyszę bardzo karcący głos matki. Sama też się wstydzę, choć nigdy nie wiem, kto w mojej głowie pierwszy mnie gani – ona czy ja sama? Proponuje, żebyśmy zjedli na mieście, gdy podaje mi kubek gorącej kawy, i ostrzegam, że będzie musiał opowiedzieć mi o zaginięciu ojca. Kiwa głową. Wie o tym. Muszę zapalić.

– Palisz może jeszcze?

Tomasz śmieje się, jakbym dopiero wczoraj opalala go z kradzionych rodzicom papierosów. Jasne, że pali. Wciągamy płaszcze i wychodzimy na balkon. Podaje mi papierosa z biało-złotej paczki.

– Cholera, nie mam ognia – mówi. Przypominam sobie, że moja zapalniczka wczoraj też przestała działać, ale w kieszeni mam mosiężne Zippo Nie-pirata. Sięgam po nie i gdy podaję je Tomkowi, dostrzegam na jego twarzy zdziwienie, które uświadamia mi, dlaczego wygrawerowane pnącza wywołały we mnie wczoraj tak potężne *déjà vu*.

– Skąd masz zapalniczkę mojego ojca?



Max Ernst, *Une semaine de bonté* (1934)

## Ona

Dzisiaj mijal już drugi tydzień, odkąd nie wyszła z mieszkania. Za oknem zaś wiosna zdawała się wpychać w każdą najmniejszą szczelinę, tajemne zakamarki i te nawet mniej urodziwe miejsca, którym tylko dodawała czaru. Pod balkonem pachniały jabłonie sąsiadów, obok nich powoli wykluwały się pączki na krzakach bzów, a kawalek dalej dzika czereśnia zachwycała swą nienaganną bielą i uwodziła zapachem. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, rozlewała się świeża zieleń, która migotała w porannym słońcu, a ptaki usilnie próbowały przebić się swym śpiewem przez dźwięki miasta.

O dziewiątej zadzwonił budzik, ale musiało minąć jeszcze dwadzieścia minut, żeby Gaja się przebudziła. Pomrukując, wywlekła się powoli z łóżka i poszła wziąć prysznic. Potem, w niezdarne związane szlafroku i turbanie na głowie, przeszła do kuchni. Obmyła dokładnie kawiarkę, wsypała dwie łyżeczki niezbyt wyszukanej kawy, zakręciła ustrojstwo i wstawiła na gaz. W międzyczasie zdjęła ręcznik, rozczesała porządnie długie włosy i wklepała jakiś cudaczny krem na swą piegowatą twarz. Pyrkanie kawy przywołało ją z powrotem do kuchni. Wyjęła swój ulubiony kubek-jednorożec, wlała kawę, zalała mlekiem owsianym i posłodziła delikatnie cukrem. Wzięła pierwszy łyk i stwierdziła, już po raz kolejny, że zdecydowanie więcej radości sprawia jej samo przygotowywanie kawy, niż faktyczne jej picie. Lubiała rytuały i to z pewnością był jeden z nich, więc z przyzwyczajenia tak już zostało. Zrobiła sobie jeszcze tosty i mogła zasiadać do stolika. Przeglądała chwilę telefon, ale natłok informacji, ludzi, zdjęć, opinii zbytnio ją przytłaczał, więc go odłożyła. Zjadła kanapki i zaczęła przechadzać się po kuchni. Sprawdzała stan miejscowych roślin, palcami dotykała ziemi, żeby zobaczyć, czy jest już sucha, gładziła listki, bacznie przyglądała się każdej z nich, czule przy tym do nich mówiąc, jak do własnych dzieci.

Przystanęła przy oknie i siorbiąc kawę, wyczekiwała z niecierpliwością pojawienia się Sąsiada. Po chwili drzwi balkonowe w bloku naprzeciwko uchyliły się, Sąsiad, jak zawsze, odpalił papierosa jeszcze w mieszkaniu i dopiero wyszedł na zewnątrz. Wziął trzy szybkie buchty, peta wyrzucił przez balkon i zniknął. Nie minęło pięć minut i pojawił się znowu, tak samo odpalił papierosa w środku, potem wyszedł, wziął kilka płytkich buchołów i już go nie było. Według jej wstępnych obliczeń powinien pojawić się jeszcze raz, żeby na następnego papierosa wyjść dopiero popołudniu. Obliczenia nie zawiodły, Sąsiad bowiem pojawił się po raz trzeci, tym razem jakby trochę bardziej się przykładając do tego palenia, zaciągał się głębiej i spokojniej. Może o czymś myślał? Może napawał się tą chwilą samotności? Może po prostu celebrował tego ostatniego



papierosa, który musiał mu starczyć na kolejne godziny? Tego nie wiedziała. Zanim jednak zdążyła jeszcze o czymś pomyśleć, wypstryknął nonszalancko peta przez balkon, obejrzał się szybko na dwie strony i zniknął w ciemnościach swojego mieszkania.

Dopila ostygłą już kawę, kubek odstawiła na blat i poszła do pokoju. Był jasny, ściany miał białe, choć zdecydowanie wymagały już malowania, podłogę ozdobił stary, trochę już zmatowiały, drewniany parkiet, a każdy kąt, nie licząc łóżka i kilku mebli, był wypełniony roślinami. Od tych małych, o dziwnych nazwach i trochę kosmicznym wyglądzie, porozstawianych na parapecie, po większe, które zapełniały prawie pół pokoju i tych wiszących, czy to z półek, czy karnisza, wszystkie sprawiały, że czuła się jak w dżungli. Uwielbiała tu przebywać, oddychać tym lekko gęstym i wilgotnym powietrzem, godzinami mogła patrzeć na swoje rośliny, obserwować nowe, jeszcze nie w pełni rozwinięte młode liście, które miały tyle różnych form i barw. Przyglądała się hoi, która wisiała w oknie, powoli wypuszczała swoje magiczne kwiatostany, przypominające zbitkę małych gwiazdeczek. Czekala cierpliwie, aż zakwitnie, bo nigdy tego jeszcze nie doświadczyła, a zapach był podobno hipnotyzujący.

Spojrzała przez szybę na budzącą się wiosnę i westchnęła z rozmarzeniem. Otworzyła drzwi balkonowe, lecz od razu się cofnęła, bo poranny chłód przyprawił ją o gęsią skórę. Szybko zrzuciła z siebie szlafrok, ubrała parę rajstop, bluzkę z długim rękawem, ciepły sweter i jakieś domowe spodnie. Już było jej cieplej. Wzięła taboret z pokoju, wyszła na balkon i usiadła w rogu. Mimo mroźnej aury słońce mocno grzało, Gaja skierowała twarz ku niebu i dała się oślepić intensywnym blaskiem. Pozwoliła swym myślom ulecieć, wtopiła się w krajobraz i po prostu była... W tym momencie czuła się spełniona, ale jakby pusta... Nie wypełniały jej żadne troski, niepokoje, pytania, wątpliwości... Płynęła w rozkoszy, jaką dawała jej obojętność... Nic w tej chwili nie miało żadnego znaczenia... Nic nie czuła...

Ze snu wyrwało ją szczeknięcie psa. Naprzeciwno, pod bliźniaczym blokiem, szła starsza pani ze swoim czworonogiem, który miał zdecydowanie więcej energii i wigoru od swojej właścicielki i nieprzerwanie ujadł, a źródłem i zapewne celem tych wściekłych psich obelg był miejscowy kot, który nic sobie z tych wrzasków nie robił i z gracją, delikatnie podskakując i machając ogonem, ulotnił się pod najbliższy krzak bzu, by ze spokojem dokonać porannych ablucji. Kobieta szarpała się jeszcze chwilę ze swoim podopiecznym, kiedy w końcu udało jej się trochę nad nim zapanować, pies o kocie zapomniał i zapewne jego myśli krążyły już wokół posiłku, jaki zaraz wyląduje w jego misce. W naprzeciwnym mieszkaniu zaczęły za to ujadać wiertarki i młoty, do tego towarzyszył im sporadyczny i gniewny ton jednego z robotników, który u każdego zburzyłby spokój. Remont trwał już parę dni i był męczącym elementem dnia, ale Gaja była



ciekawa, kim będą nowi właściciele, kto będzie nowym obiektem jej obserwacji... Nie mogąc znieść hałasu, Gaja schowała się z powrotem do swojej zielonej jaskini.

Resztę popołudnia spędziła w kuchni, czarując różne smakowitości na kolejne dni. Samym próbowaniem tak się najadła, że obeszła się bez konkretnego obiadu. Zrobiła sobie herbatę z cytryną, usiadła przy stole i wpatrzona w okna naprzeciwko, snuła rozmaite historie na temat mieszkańców, schowanych za warstwami firanek, zasłon czy żaluzji, skrytych pod osłoną ciepłego światła starego żyrandola czy chłodniejszej poświaty lamp ledowych.

Popołudniowe wyjście Sąsiada musiała przegapić w całym tym kuchennym amoku. Na wieczorne było jeszcze za wcześnie, więc na niego nie liczyła. W mieszkaniu piętro wyżej zgasło światło, natomiast obok poruszyły się zasłony w oknie, uchylily się drzwi balkonowe i powoli wygramoliła się z nich Baba. Najwyraźniej miała jakieś resztki z obiadu i postanowiła się nimi podzielić z miejscowym ptactwem. Nie był to pierwszy raz, więc nie minęło kilka sekund od wysypania na balkon resztek, a pojawiły się sikorki, wróble, gołębie, po czym zleciały się mewy, wystraszyły małych i przejęły teren. Zrobiło się głośno od ich skrzeków, jakby się naprawdę zajadle klóciły. Wydziobały wszystko, co nadawało się na strawę, i jak już nic nie zostało, zaczęły pojedynczo odlatywać. Nastąpiła upojna cisza, którą Gaja napawała się przez chwilę.

Dopiła herbatę, pozmywała naczynia i poszła ukryć się w swoim pokoju. Nie miała wielkich planów na wieczór. Próbowala coś poczytać, ale słowa po przeczytaniu nie miały żadnego sensu, nie mogła ich złączyć w znaczącą cokolwiek całość. Znowu zrobiła obchód po roślinach, ale od rana przecież nic się nie zmieniło. Włączyła jakiś serial o seryjnym mordercy i to ją wciągnęło na dłuższą chwilę. Po trzech odcinkach była już ledwo przytomna, oczy jej się kleiły i marzyła tylko o tym, żeby wpełznąć pod ciepłą koldrę. Poleciała do łazienki, umyła porządnie zęby, potem twarz, znów nałożyła krem, tym razem z kroplą olejku, rozczesała skoltunione po całym dniu włosy i zaplotła starannie warkocz. Przebrała się w piżamę i wskoczyła do łóżka. W tym momencie ogarnęła ją błogość. Uwielbiała tę chwilę, ten stan zawieszenia, kiedy tak chce się spać, ale czerpie się ostatnią przyjemność z samego faktu, że zaraz zapadnie się w upojny sen. Lubiała to, choć jednocześnie wiedziała, że minie jeszcze sporo czasu, zanim faktycznie zaśnie. Nieważne, jak zmęczona by nie była, sen przychodził późno. Mogła się przewracać z boku na bok miliony razy, nim Morfeusz w końcu się o nią zatroszczył.

\* \* \*

Obudziła się chwilę przed budzikiem. Ze snu wyrwały ją rozochoczone i biegające piętro wyżej Dzieciaki. Stwierdziła, że w tym momencie i tak już nie zaśnie, więc wstała z łóżka i podeszła do okna, żeby rozchylić zasłony. Przywitało ją mocne słońce, strzelające swymi promykami prosto

w zasnęłą twarz. Stała tak chwilę, chłonąc jak najwięcej tej kosmicznej energii. Uchyliła okno, żeby wpuścić trochę wiosny do środka. Powiało przyjemnym, ciepłym powietrzem, który niósł ze sobą zapach bzu, wypełniając tym samym cały pokój słodką wonią. Z lekkim sercem poszła szybko się wykąpać, nie mogąc się doczekać reszty tego pięknego dnia. W wilgotnym turbanie na głowie wstawiała kawę, myśląc co zjeść na śniadanie. Dzieciaki z góry wciąż dawały o sobie znać, więc wróciła do pokoju, żeby włączyć radio. Przeskakując ze stacji na stację, nie mogła znaleźć niczego odpowiedniego, wyjęła więc winyla z Florence, delikatnie przyłożyła igłę i całe mieszkanie wypełniło się skocznymi dźwiękami i ciepłym głosem. Znowu poczuła cukierkowy zapach bzu i już wiedziała, co zje na śniadanie. W następnej chwili była z powrotem w kuchni i wyciągała kolejne składniki. Wylączyła kawę, posłodziła troszkę więcej niż zwykle i zalała mlekiem. Zmieszała naleśnikową miksturę i rozlała ciasto na rozgrzaną patelnię. Czekając, aż pierwszy nieudany naleśnik się zarumieni, zaczęła przygotowywać różne owoce, które znalazła pod ręką. Maliny, borówki, kawałek banana, ostatnie brzoskwinie z puszki i jedno marne, trochę zmarszczone kiwi. Ku swojej uciechu w lodówce odkryła syrop klonowy, który był idealnym dopełnieniem tego, jej zdaniem, iście królewskiego śniadania. Pierwszego, bezkształtnego nieudacznika zjadła od razu i zabrała się za pieczenie następnych. Po parunastu minutach miała już pokaźny, jak na jedną osobę, stos, więc zasiadła ze wszystkimi smakolokami do stołu. Założyła nogę na nogę, wygładziła wszelkie zagniecenia na sukni, z wdziękiem poprawiła koronę, wzięła łyk kawy, siorbiąc przy tym elegancko i zaczęła pałaszować. W połowie uczytu poczuła, że już więcej nie jest w stanie w siebie zmieścić, odłożyła więc resztę na później, dopiła do końca kawę, z czułością i zrozumieniem poklepała swój brzuch i poszła położyć się w pokoju.

Leżała tak może godzinę, może trochę dłużej, jedną nogą w rzeczywistości, drugą gdzieś w sennej odległej krainie. Śniło jej się, że jej ciało jest z ciasta, z koniuszków palców spływały krople jej własnej istoty, rozlewała się, roztopiała... Gdzieś nad sobą usłyszała ciężkie odgłosy... Jakby tupanie... Jakby jakieś ociężałe zwierzę próbowało biec... Słonie...? Ale skąd słonie? Przecież była w kuchni, rozlana, rumieniła się na gorącej patelni... Słonie jednak zaczęły radośnie powrzaskiwać i Gaja zaczęła rozumieć, co się dzieje, skąd te dźwięki... Obudziła się. Płyta już dawno przestała grać, a piętro wyżej Dzieciaki najwyraźniej postanowiły przeistoczyć swój dom w mały prywatny plac zabaw. Jak uciążliwe by to nie było, nie mogła ich winić, w końcu to tylko dzieci, które po prostu muszą dać upust swojej energii, mając jej zdecydowanie za dużo w tych małych ciałkach. Wstała, zmieniła stronę płyty i pozwoliła muzyce wypełnić pokój i choć trochę zagłuszyć małych sąsiadów.

Wyszła na balkon, żeby zobaczyć, jak radzi sobie wiosna. Oprócz słodkiego bzu, pachniały jeszcze poukrywane w trawie konwalie oraz ostatnie, przekwitające już czereśnie i jabłonie. Pod

balkonem rozwinął się barwny dywan kwiatów, a dalej, pod ogromną lipą, było małe poletko usłane samymi niezapominajkami.

Na niebie pojawiały się pojedyncze, puszyste chmury, które niespiesznie podróżowały pod przewodnictwem wiatru. Gdy Gaja patrzyła się na nie wystarczająco długo, miała wręcz wrażenie, że to nie chmury płyną, tylko ona sama. Że niebo stoi w miejscu, a ona, mając za statek swój niewielki balkon, przemierza niezmierzone odległości, mknie. Zatęskniła za morzem, którego tak dawno już nie widziała, za tym specyficznym, słonym zapachem, wilgotnym powietrzem i szumem fal. Pewnego dnia znów je zobaczy, tak sobie przynajmniej powtarzała w myślach.

Zbliżał się wieczór, więc postanowiła, że pozostałą część dnia spędzi na oględzinach roślin, a potem dobieje się resztą naleśników. Podlala więc spragnionych zielonych przyjaciół, z zadowoleniem przywitała kilka nowych liści i kwiaty hoi, które były już coraz bliżej momentu pełnego rozkwitu. Poszła do kuchni, żeby podlać również tamtejsze rośliny. Dogładając papirusa, który stał na parapecie i sięgał już prawie sufitu, zobaczyła przez okno Sąsiada podczas wieczornego rytuału. Stał na balkonie wpatrzony w przestrzeń, ale widać było po jego twarzy, że jego myśli są zupełnie gdzie indziej. Wziął kilka marnych buchów i zniknął. Za moment jednak pojawił się znowu, stał sobie, ot tak, ze swoimi potarganymi włosami i kilkudniowym zarostem, w jakiejś zwykłej, dresowej bluzie. Co kilka sekund zaciągał się płytko, rozglądając się po okolicy. W którymś momencie utkwil wzrok w jednym punkcie i Gaja zdała sobie po chwili sprawę, że to ona jest tym punktem. Jego oczy, mimo że daleko, zdecydowanie jej się przyglądały. Wystraszyła się i w tym strachu, jedyne, o czym pomyślała i co w następnej sekundzie zrobiła, to to, żeby się schować. Kucnęła pod parapetem i odczekała chwilę, wsłuchując się w przyspieszone bicie swojego serca. Pomyślała, jakie to dziwne: przez cały ten czas, gdy obserwowała ze spokojem innych ludzi, nie przeszło jej przez myśl, że przecież oni mogą spojrzeć na nią, oglądać ją, kiedy tego nie widzi. Uśmiechnęła się pod nosem i wychyliła powoli nad powierzchnię parapetu. Na balkonie było pusto. Podlala resztę roślin, podgrzała naleśniki i po zjedzeniu przeniosła się do pokoju. Leżała na łóżku i rozmyślała jeszcze o Sąsiedzie, nie mogła pozbyć się tego osobliwego uczucia, które jej wciąż towarzyszyło, tej świadomości, że jest widzialna, wzajemnego podglądania. Nie dawało jej to spokoju.

Jej myśli rozproszyły nagle dźwięki dobiegające zza ściany obok, z sąsiedniego mieszkania, należącego do Mnicha. Na początku nie mogła rozpoznać, co dokładnie dociera do jej uszu, ale po dłuższym wsłuchiowaniu się rozpoznała w tym muzykę, spokojną, nastrojową i dosyć monotonną. Słychać też było czasem coś w rodzaju fletu i jakieś głębsze, długie dźwięki, które wręcz wprawiały powietrze w wibrację. Domyśliła się, że Mnich pewnie znów medytuje. Raz na jakiś czas zdarzało mu się to robić, choć zawsze wybierał najgorszy dla niej moment. Czy to o świcie, kiedy dla Gai

był jeszcze środek nocy, czy tak jak teraz, kiedy zamierzała już iść spać, a melodia, mimo że spokojna, była bardzo intensywna, a cienkie ściany stanowiły raczej marną osłonę akustyczną. Stwierdziła, że nie pozostaje jej nic innego, jak dołączyć do tego duchowego dumania. Próbowala się wyciszyć, ale tym razem nie przychodziło jej to z łatwością, więc zaczęła się rozciągać, robić skłony, głupie pozy, trochę potańczyła i doszła do wniosku, że to tyle, jeśli chodzi o jej medytację. Poszła do łazienki licząc, że jak skończy swoje wieczorne rytuały, w pokoju będzie już zupełnie cicho. I ku jej uldze, tak faktycznie się stało. Założyła lekką piżamę i wślizgnęła się do łóżka. Sen jak zawsze przyszedł późno...

\* \* \*

Budzik dzwonił z przerwami już od pół godziny, ale dźwięk deszczu dochodzący zza okien sprawiał, że przewracała się tylko z boku na bok i wcale nie miała ochoty rozpoczynać kolejnego dnia. Lało tak naprawdę bez przerwy od początku czerwca i nie zanosilo się na jakąkolwiek poprawę, mimo że Gaja codziennie patrzyła z nadzieją przez okno, wypatrując choćby jednego promyka słońca. Leżała jeszcze przez jakiś czas w łóżku, patrząc beznamiętnym wzrokiem w sufit. W końcu burczący brzuch przypomniał o sobie i dał jej chociaż ten jeden powód, żeby wywlec się z łóżka. Poszła najpierw wziąć szybki prysznic, ale ten przerodził się w długą, gorącą kąpiel. Zarzuciła na swoje zmarszczone od wody ciało szlafrok, włosy tylko wytarła ręcznikiem, szybko rozczesala i dała im swobodnie opaść na ramiona i plecy. Nareszcie mogła się zająć dającym o sobie znać głodem. Przyszykowała sobie kanapki i wstawiła wodę w czajniku. W taką pogodę nawet nie liczyła, że kawa zdziała jakiegokolwiek cuda, więc wolała rozgrzać się gorącą herbatą. Czekając na świst czajnika, patrzyła zrezygnowanym wzrokiem przez okno. Było szaro, ponuro, ściana deszczu praktycznie przesłaniała widok na resztę świata. Zdołała tylko zobaczyć Babę, która siłowała się z czymś w drzwiach balkonowych. Z trudem wygramoliła się na zewnątrz, ciągnąc za sobą sporej wielkości jukę. Ustawiła ją przy krawędzi balkonu, a sama schowała się z powrotem do środka. Najwyraźniej dla Baby deszcz nie był przeszkodą w codziennej egzystencji, znalazła w nim wręcz praktyczne zastosowanie, o którym Gaja wcześniej by nie pomyślała. Stwierdziła, że skoro i tak miała dziś podlewać większość roślin, natura ją tym razem wyręczy. Wyłączyła piszczący od minuty czajnik, zaparzyła herbatę i zabrała się za kanapki. Po śniadaniu ubrała się ciepło, założyła kurtkę i zaczęła wnosić spragnione rośliny na balkon. Zajęło jej to trochę więcej czasu i wymagało zdecydowanie więcej wysiłku, niż mogłaby sobie tego życzyć, ale widok jej zielonych przyjaciół skąpanych w deszczu w pełni to wynagradzał. Stała tak chwilę, obserwując spadające krople i wdychając to świeże, pachnące mokrą ziemią powietrze. Weszła z powrotem do środka, zdjęła

przemoczoną kurtkę i skuliła się w fotelu, okrywając się kocem. Czula się trochę jak kokon, ale w tym momencie tego jej było trzeba. Było ciepło, przytulnie i bezpiecznie. Przymknęła na chwilę powieki i nie wiedząc, kiedy, zapadła w drzemkę.

Gdy się obudziła i otworzyła oczy, na chwilę oślepla. W pokoju było niezwykle jasno, a na zewnątrz świeciło słońce. Blask, który odbijał się od każdej najmniejszej nawet kropli, sprawiał, że cały krajobraz wokół migotał. Gaja wyłoniła się spod koca i wyszła na balkon. Stała w słońcu, wdychała parne powietrze i ogrzewała nieprzytomną twarz. Szarość ustąpiła z powrotem miejsca kolorom, wokół roztaczała się dojrzała zieleń drzew, gdzieś przetkana białą kwitnących jaśminów, które powoli zaczynały uwalniać upajający zapach. Pod stopami rozciągała się łąka pełna wszelkich barw i zapachów. Było po prostu bajkowo.

Gaja zachwycała się tą chwilą jeszcze przez moment i zaczęła znosić dopieszczone rośliny do domu. Podnosząc kolejną doniczkę poczuła na sobie czyjś wzrok. Rozejrzała się z lekkim niepokojem po okolicy, ale nikogo nie było widać. Przy następnej roślinie znów miała wrażenie, że ktoś ją bacznie obserwuje, tym razem nie dając po sobie nic poznać, kątem oka próbowała zbadać sytuację. Jej wzrok przystanął na postaci stojącej w oknie remontowanego mieszkania. Odwróciła się spokojnie i zerknęła w tamtą stronę, ale gdy tylko spojrzenia się spotkały, On szybko odsunął się od okna i zniknął w głębi mieszkania. Przeszło ją dziwne gorące uczucie, dreszcze. Kto to był? Czemu się jej przyglądał? I od jak dawna? Mieszkanie wyglądało czysto, widać było kilka mebli, na ścianach wisiały jakieś obrazy, a na parapecie stała mizerna roślina. Przez ten deszczowy tydzień najwyraźniej remont dobiegł końca i ktoś się wprowadził. Była ciekawa, kim był ten człowiek, czym się zajmował, jak wyglądał. Zdażyła tylko przez sekundę ujrzyć jego wzrok i rozczochraną blond czuprynę, której właściciel w pośpiechu uciekł przed jej spojrzeniem. Gaja zniosła resztę roślin do domu, zamknęła drzwi balkonowe i zasłoniła okna. Poczula się niekomfortowo wiedząc, że jest obiektem czyichś obserwacji, wiedziała też dobrze, jak śmieszna była, sama robiła przecież dokładnie to samo przez ostatnie miesiące i nie czuła żadnego skrępowania, zaglądając komuś w jego prywatny świat. Musiała oswoić się z tymi myślami.

W międzyczasie zaczęła robić sobie obiad, wstawiła wodę na makaron i przygotowała sos pomidorowy z soczewicą, cały czas powstrzymując się od zerknięcia za okno, czy nie pojawi się tam Sąsiad lub Baba, a może coś innego, co przykułoby jej uwagę i zajęło myśli i czas. Po obiedzie niechętnie poszła do pokoju, gdzie pragnienie wyjrzenia przez okno było jeszcze większe. Nie mogła przestać o Nim myśleć, była zaintrygowana jego postacią i mocowała się ze sobą, żeby nie rozchylić zasłon. Próbowała znaleźć sobie jakieś zajęcie, wzięła przypadkową książkę, ale tylko ją przekartkowała i odłożyła. Zaczęła przeglądać rośliny i ze zdumieniem zobaczyła, że hoja otworzyła swoje pierwsze kwiaty. Zanurzyła w nich swój piegowaty nos i wzięła głęboki wdech.



Zapach był bardzo specyficzny, trochę słodki, egzotyczny, przypominał jej jakąś potrawę i był niezwykle intensywny. Wąchała kwiaty jeszcze kilka razy, nie mogąc się oprzeć tej hipnotyzującej woni. Uchyliła okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i usłyszała stłumione dźwięki fortepianu, dochodzące gdzieś z zewnątrz. Bez zastanowienia rozsunęła zasłony i zaczęła oczami szukać źródła melodii.

Długo nie musiała się rozglądać, bo dźwięki dochodziły dokładnie z naprzeciwka. To, co wcześniej uznała za jeden z wielu mebli, było w rzeczywistości drewnianym pianinem. Przylegało do bocznej ściany i stało tuż przy uchylonym oknie tak, że mogła bez problemu widzieć całą sylwetkę grającego i jego palce przesuwające się po klawiaturze. Wstydziła Mu się tak przyglądać, ale coś jednocześnie ciągnęło ją na zewnątrz i nie mogąc się powstrzymać, wzięła taboret z pokoju i usiadła tuż przy skraju balkonu, opierając się rękami o balustradę. Siedziała tak i słuchała, dźwięki instrumentu zlewały się z szumem wiatru i śpiewem okolicznych ptaków. Melodia była spokojna, kołysząca, trochę przypominająca na myśl fale na morzu. Patrzyła na Niego, gdy w którymś momencie oderwał wzrok od pianina i nie przerywając gry, spojrzal na nią. Chciała się odwrócić, skierować oczy w inną stronę, ale nie potrafiła. Zastygła. A On uśmiechnął się delikatnie i wciąż na nią patrzył, od czasu do czasu spoglądając na klawiaturę. Nie wiedziała, co się dzieje, co to znaczy, ale czuła, jak jej ciało zalewa jakaś dziwna fala ciepła. Jakby wypila gorącą herbatę, która zamiast do żołądka, zaczęła płynąć do każdej części ciała. Nie wiedząc jak się zachować, po prostu dalej siedziała, w bezruchu. W końcu melodia ucichła, a On wstał od pianina, podszedł bliżej okna i pomachał jej niemrawo. To już było dla niej za dużo, spanikowała i uciekła z powrotem do środka, zakrywając szybko zasłony. Usiadła na podłodze i próbowała złapać oddech. Nie wiedziała, czemu się w sumie schowała, nie wiedziała też, czemu On tak na nią patrzył, nie krył się z tym, pomachał jej. I tak pięknie grał... Przez chwilę czuła, jakby nie była wcale w tamtym miejscu, tylko siedziała na plaży, słuchała szumu fal, czuła lekką bryzę na twarzy, a bosa stopy wsuwała pod piasek...

Nie pozwoliła sobie jednak dłużej marzyć, była tu, w domu i nie zamierzała nigdzie wychodzić. Poszła do kuchni coś przekąsić, a resztę wieczoru spędziła na sprzątaniu mieszkania. Ze słuchawkami na uszach było to zajęcie nawet przyjemne, a na pewno skutecznie odcinało wszelkie myśli. Po dwóch godzinach mieszkanie lśniło, a Gaja była zgrzana i wyczerpana ze wszystkich sił. Poszła pod prysznic, opłukała się z wszelkich dzisiejszych emocji, wykonała resztę wieczornych czynności i poszła prosto do łóżka. Jak każdej nocy, nie mogła zasnąć od razu, ale tym razem przychodziło jej to z większą trudnością niż zwykle. Myśli cały czas wracały do tajemniczego sąsiada, do jego wzroku, który na sobie czuła, do ich wspólnego spojrzenia... Zasnęła.

Gaja obudziła się cała mokra. W pokoju było gorąco i ledwo dało się oddychać, więc, mimo że wolałaby dalej spać, wstała i otworzyła na oścież okna. Przywitał ją miodowy zapach lipy rosnącej nieopodal, zmieszany ze słodką wonią rosnących w ogródku budlei. Siedziało na niej mnóstwo pięknych, wielobarwnych motyli, które trzepotały wolno skrzydełkami, jakby chciały się nawzajem ostudzić w tym upale. Pomyślała, że chętnie by takie skrzydła teraz pożyczyła, bo czuła, że brakuje jej tchu. Usiadła na granicy mieszkania i balkonu, w jedynym kawałku cienia, który się ostał i głęboko oddychała. Nie mogła się napatrzyć, nawdychać, nadziwić. Przyszło już lato, było ciepło i słonecznie, praktycznie każdego dnia. Kolejne kwiaty nie przestawały zadziwiać swym pięknem i zapachem. Ptaki zdawały się podzielać ten zachwyt, bo śpiewały od rana do późnego wieczora, nawet jeszcze po zachodzie słońca. Dni były długie, co na ogół było pozytywnym aspektem tej części roku, ale czasem godziny dłużyły się niemiłosiernie i popołudnia zdawały się w ogóle nie zmierzać ku końcowi, przez co Gaja miała czasem wrażenie, że wszystko stoi w miejscu. Że ona stoi w miejscu, że utknęła w pewnym punkcie i nie może ruszyć dalej. Czuła się tak już od jakiegoś czasu, ale bała się cokolwiek zrobić, zmierzyć ze swoimi lękami i emocjami. Tym razem nie było inaczej, więc szybko się otrząsnęła z uciążliwych myśli i poszła sprawdzić, która jest w sumie godzina.

Było wcześniej, do budzika została jeszcze ponad godzina, ale czuła się wyspana, więc stwierdziła, że warto już zacząć dzień. Zaczęła od zimnego prysznica, bo tego najbardziej teraz potrzebowała. Na szlafrok było zdecydowanie za ciepło, więc przemknęła z powrotem do pokoju i zarzuciła na siebie zwiewną sukienkę w czarno-białe pasy. Wysuszyła włosy ręcznikiem, rozczesala i upięła w luźny kok, ukazując tym samym swą smukłą szyję. Musiała zjeść coś zimnego, bo nic innego nie przeszłoby jej przez gardło. Miała jeszcze mleko, a w szafce znalazła resztkę płatków, więc przygotowała sobie śniadanie, jak za dawnych szkolnych lat.

Nie mogła usiedzieć w tym gorącu, więc podeszła do okna i trzymając miskę w rękę, wciniała śniadanie. Z tej strony bloku było równie pięknie, po lewej stronie powiewała na wietrze zgrabna brzoza, pod oknami rosły krzaki róż i gdzieś tam pojawiały się kwiaty. Na wielu balkonach było równie kolorowo, w doniczkach rosły pelargonie, bratki, aksamitki, a po kratkach pięły się powojniki. U Sąsiada było jednak pusto. Wpatrzona w jego balkon musiała go chyba telepatycznie wywołać, bo po chwili pojawił się z papierosem w ustach. Miał na sobie popielate luźne spodnie i białą podkoszulkę i widać było po jego spoconym czole, że mężczy go ten skwar tak samo jak ją. Zaciągnął się kilka razy, ale nie wyglądał, jakby czerpał z tego jakąkolwiek przyjemność. Wziął jeszcze jednego bucha i uciekł do cienistego mieszkania. Piętro wyżej pojawiła się starsza kobieta w prostej kwiecistej sukience i chuście na głowie. Podlewała swoje pelargonie tak, że woda

zaczęła wylatywać od dołu, kapala na wszystkie balkony poniżej i rozpluskiwała się o krawędzie balustrad. Po skończeniu odłożyła konewkę, rozłożyła się na leżaku i wystawiła swoje pomarszczone ciało na słońce.

W mieszkaniu obok poruszyły się firanki i na balkon wyszła Baba, w całej swej okazałości. Najwyraźniej upał był dla niej nie do zniesienia, bo ku ogromnemu zdziwieniu, Gai ukazała się para dużych i obwisłych piersi, które swobodnie oddawały się sile grawitacji. Takiego widoku o poranku się zdecydowanie nie spodziewała. Nie mogąc się powstrzymać od śmiechu i jednocześnie zawstydzona, odwróciła wzrok. Po chwili zerknęła jednak znowu, ale nie. Wciąż tam były. Stwierdziła, że to za dużo wrażeń jak na jedno śniadaniowe posiedzenie, więc wypila duszkiem resztę mleka i uciekła z kuchni, podśmiewając się wciąż pod nosem. Wpadła do pokoju, przystanęła, spojrzała na swoją klatkę piersiową i pomyślała, że w sumie nie ma się z czego śmiać, mogłaby tylko zazdrościć takich dorodnych skarbów. Sama była praktycznie płaska jak deska, bezkształtna, z nieproporcjonalnie długimi i chudymi kończynami, które były często przyczyną jej niezdarności. Nie czuła się kobieco. Czego jednak nie wiedziała, to tego, że On, dokładnie w tym samym momencie, patrzył na nią z naprzeciwka, myśląc zgoła co innego. Poczula momentalnie jego wzrok, co wprawilo ją w zakłopotanie. Spojrzała powoli w jego kierunku, a On stał w oknie i gestem zapraszał ją na zewnątrz. Od kilku tygodni podejmował tę samą próbę, ale ona za każdym razem uciekała. Wstydzila się, może bała, sama do końca nie wiedząc, co czuje, ale od ich pierwszego spotkania nękało ją to samo dziwne uczucie, którego nie mogła się pozbyć. Jednocześnie zawsze budziła się w niej ciekawość, bała się, ale chciała też go zobaczyć, skonfrontować się ze swoimi emocjami.

Wahała się jeszcze przez kilka sekund, po czym wzięła taboret i wyszła na balkon. Usiadła jak wcześniej, oparta o balustradę i z pewną nieśmiałością patrzyła w jego kierunku. On się tylko uśmiechnął, usiadł do instrumentu i zaczął grać. Grał tak przez kolejną godzinę czy dwie, oczarowując ją pięknymi, spokojnymi melodiami. Co jakiś czas na nią patrzył, uśmiechał się nieśmiało, ona zaś siedziała z zamkniętymi oczami, rozmarzona. W końcu przestał grać, odwrócił się w stronę okna i oparł na parapecie. Ona otworzyła powieki i zerknęła prosto na niego. Ich oczy się spotkały, a spojrzenia zatopiły się w sobie. Trwali tak parę minut, uśmiechając się nieporadnie i co jakiś czas odwracając wzrok, żeby zaraz spojrzeć na siebie znowu. Gaja się gotowała i nie miało to nic wspólnego z upałem, który panował na zewnątrz. Gotowała się w środku, czuła jak całe jej ciało wypełnia żar, rozlewa się po skórze, płynie w żyłach, dostarczając to ciepło do najmniejszych i najdalszych części jej ciała.

Z transu wyrwało ich nagle i głośne ujadanie psa. Był to ten sam czworonożny znajomy, który jak zawsze wybierał się ze swoją właścicielką na spacer. Na swojej drodze spotkał innego

miejscowego psa, któremu musiał najwyraźniej dać znać, że to jego teren i teraz jego kolej na spacer, co znaczyło, że nie ma miejsca dla nich dwóch. Psy jeszcze chwilę ujadaly, po czym każdy udał się w swoją stronę. Gaja spojrzała ponownie w okno sąsiada, ale pomieszczenie było puste, więc sama też schowała się z powrotem do mieszkania.

Robiło się już późno, więc poszła do kuchni przygotować obiad. Chwilę się zastanawiała, co zjeść, nie chciała nic ciepłego i ciężkiego, w takie dni jak ten, tak naprawdę najlepszą opcją byłoby jedzenie lodów na każdy posiłek, ale to nie było rozwiązanie. Zajrzała do lodówki i znalazła świeże truskawki. Wstawiła więc wodę na ryż, a owoce zaczęła lekko blendować, dodając trochę śmietany i... trochę więcej cukru.

Czekając, aż ryż spęcznieje, z nieukrywaną ciekawością spojrzała przez okno, żeby zobaczyć, czy coś ją jeszcze dzisiaj zaskoczy. Ujrzała tylko chowającego się Sąsiada, który pewnie kończył swój papierosowy rytuał. Poza tym był spokój i cisza, wszyscy pochowali się w domach licząc pewnie, że tam ukryją się przed letnim skwarem.

Ryż był gotowy, przełożyła wszystko na głęboki talerz i zalała truskawkowym sosem. Już pierwszy kęs przyniósł jej ulgę, zimny sos momentalnie zaczął ją ochładzać od środka, aż dostała gęsiej skórki.

Po obiedzie poszła do pokoju, nie zamierzała już nic robić, bo i tak nie miała siły na cokolwiek. Położyła się na łóżku i kiedy już miała zamknąć oczy i oddać się senny marzeniom, Dzieciaki na górze zaczęły dawać o sobie znać. Biegaly z jednego rogu w drugi, tak głośno, że Gaja mogła sobie ich bez problemu wyobrazić, jakby sufit stał się nagle przezroczysty. Śledziła ich ruchy, słyszała toczącą się w kółko jakąś pileczkę i dźwięk stosu klocków wysypywanego na podłogę. Do tego śmiechy, wrzaski i płacze, czyli milion odczuć na minutę.

W Gai znowu się gotowało, ale tym razem z gniewu. Nie chciała się denerwować z powodu tak głupiego i normalnego problemu, ale pragnęła teraz tylko spokoju, na który nie mogła najwyraźniej liczyć. Nie mając innego pomysłu, założyła słuchawki i odcięła się zupełnie od świata. Na szczęście podziałało. Włączyła jakiś żywszy kawałek i obudziła się w niej energia, więc wstała i zaczęła tańczyć. Płasała po swym drewnianym parkiecie tak długo, aż zabrakło jej tchu. Przyszło zmęczenie, opanowało całe jej ciało w jednej chwili, zdjęła więc słuchawki, poszła się przekąpać i w samej bieliźnie wskoczyła do łóżka. Dzieciaki chyba też poszły już spać, bo nastala upragniona cisza. Była wykończona, przepelniona różnymi myślami i emocjami z dzisiejszego dnia. Zamknęła oczy i... zasnęła.

\* \* \*

Dzisiaj mijal już piąty miesiąc, odkąd ostatni raz była na zewnątrz, wśród ludzi. Był środek lata, słońce grzało jak nigdy, trawa wypłowiała, a drzewa zdawały się więdnąć. Nie padało już od kilku tygodni i natura zdecydowanie na tym cierpiała. Gaję wyrwał ze snu dźwięk budzika. Włączyła drzemkę, żeby jeszcze choć chwilę poleżeć.

Po dziesięciu minutach zadzwonił znowu, więc go wyłączyła i wstała. Podeszła do okna, żeby wypuścić trochę świeżej aury, ale gdy tylko otworzyła okno, uderzyło ją gorące i duszne powietrze. Było tak gęste, jakby praktycznie stało. Na niebie nie było żadnej chmury, wycieńczone ptaki siedziały cicho na drzewach, nie mając siły, żeby zanucić jakąkolwiek melodię. Drzewa i kwiaty wyglądały równie mizernie, jedynie lilie przypominały o swej obecności, wypuszczając w powietrze swój duszący, słodki aromat.

Gaja zamknęła z powrotem okna i poszła pod prysznic. W miarę się ochłodziła, rozczesała włosy i ubrała się w krótkie ogrodniczki i luźny T-shirt. Na śniadanie wypila dwie szklanki lodowatego soku pomarańczowego i zjadła przygotowaną wcześniej zimną owsiankę z malinami. Postanowiła zacząć dzień od przejrzenia roślin, bo w tym ciągłym upale mogły domagać się już wody. Dzieciaki z góry szalały kolejny dzień, a sufit zdawał się być coraz cieńszy. Poszła szybko do pokoju i włączyła na cały regulator pierwszego lepszego winyla. Po drodze zabrała konewkę i zaczęła od podlewania roślin w kuchni. Podeszła do okna, gdzie czekało na nią kilka spragnionych kwiatów stojących na parapecie. Spojrzała na zewnątrz i zobaczyła Sąsiada w jego naturalnym środowisku. Stał w cieniu i wypuszczał powolnie dym z papierosa. Był jakoś dziwnie ubrany, bo na górze miał wygniecioną białą koszulę, a na nogach tylko luźne bokserki i czarne skarpety. Wyglądał wręcz komicznie w całej tej sytuacji. Jak zwykle minęła krótka chwila i schował się szybko w mieszkaniu. Gaja jednak cierpliwie na niego czekała. Za moment pojawił się znowu, tym razem miał na sobie również eleganckie spodnie, chyba od garnituru, więc jego prezencja zaczynała mieć jakiś sens. Zaciągnął się kilka razy, nawet nie tak krótko jak zazwyczaj, pozbył się niedbale papierosa i wrócił do mieszkania. Po dłuższej chwili pojawił się po raz trzeci i zrobił na Gai niesamowite wrażenie, bowiem teraz miał na sobie pełny kostium, od eleganckich butów, przez marynarkę, na muszce kończąc. Trzymał w ustach papierosa i stał tak przez chwilę, po czym dopiero go odpalił.

Palil tak długo, aż został mu w palcach zaledwie skrawek. Wypstryknął go jak zawsze, po czym odwrócił się w jej stronę. Spojrzał jej głęboko w oczy i mimo sporej odległości, jaka ich dzieliła, czuła zdecydowanie, że świdruje ją wzrokiem. Złapał się za muszkę, nisko uklonil i zniknął. Gaja nie wiedziała, co się właśnie wydarzyło. Już raz spotkali się wzrokiem, ale wtedy się wystraszyła i schowała. Tym razem czuła, że nie powinna tego robić, wytrwała do końca. Ale co to oznaczało? Czemu był tak wystrojony? Gdzie się wybierał? I czemu, czemu się jej uklonil? Czuła



frustrację, że nikt nie może jej odpowiedzieć na te pytania. Chciała wiedzieć. Było w tym wydarzeniu coś osobliwego, coś szczególnego.

Nie mogąc nic zrobić, musiała cierpliwie czekać do jego popołudniowego powrotu. W międzyczasie postanowiła zrobić sobie kawę i pójść na balkon, licząc, że On się pojawi i coś dla niej zagra. Spędzała tak poranki od kilku tygodni, po prostu siadała na balkonie, a On po pewnym czasie przychodził, otwierał szeroko okna, zasiadał do pianina i grał. Kontynuowali to czasem przez kilka godzin, ona wsłuchana w jego muzykę, On wpatrzony w nią. Czekala cierpliwie, ale się nie pojawiał. W końcu, lekko poirytowana, wróciła do mieszkania. Usiadła w fotelu i dopijała kawę.

Zastanawiała się, gdzie On może być, czemu nie przyszedł, czemu ją zostawił... Poczula się osamotniona... Nie chcąc o tym myśleć, zajęła się dalszym podlewaniem roślin. Przejrzała dokładnie wszystkie, podziwiała, jak pięknie rosły, jak wypuszczały kolejne liście. Podeszła bliżej okna i zobaczyła na podłodze przekwitnięte kwiaty hoi. Leżały, marne, lekko zbrązowiałe i kompletnie pozbawione zapachu. Zrobiło jej się przykro, tyle na nie czekała, a ich żywot był tak krótki, tak niezauważalny. Pozbierała je i zaniósła do śmieci. W kuchni ukroiła sobie kawałek zimnego arbuza i usiadła przy stoliku, czekając z niecierpliwością na Sąsiada. Minęła godzina, ale ten się nie pojawił. Zdziwiła się, bo to była jego stała pora na papierosa i na pewno by jej nie opuścił. Poczekała jeszcze chwilę, ale po Sąsiedzie nie było śladu. Trochę się zaniepokoiła, ale stwierdziła, że poczeka do wieczora, może gdzieś wyjątkowo wyszedł, w końcu był taki wystrojony, na pewno był ku temu jakiś powód.

Przeniosła się z powrotem do pokoju, by jeszcze raz wyrzucić na balkon. Na niebie zaczęły pojawiać się szare chmury, co mogło w końcu zwiastować tak długo wyczekiwany deszcz. Przysiadła na taborecie i czekała, ale w oknie naprzeciwko nikt się nie pojawiał. Zaczęło wiać, więc zrezygnowana wróciła do mieszkania. Nie mogła usiedzieć, zaczął budzić się w niej tak dawno zażegnany niepokój, strach. Czemu On nie wychodzi? Gdzie jest Sąsiad? Powinien się pokazać, powinien wyjść, przecież była pora, przecież czekała! Próbowała się uspokoić. Kiedy udało jej się wyrównać oddech, usłyszała muzykę – ambientowe dźwięki dochodzące zza ściany. Mnich znów oddawał się swoim duchowym rytuałom i nie zważając na innych sąsiadów, puszczał nagrania tak głośno, że Gaja czuła wibracje w całym ciele. Przeszywały ją dudniące dźwięki, które nie pozwalały jej skupić myśli. Zamiast się uspokoić, zaczęła się bardziej denerwować. Poszła do kuchni, licząc, że tam nie będzie tego wszystkiego tak słychać.

Przez okno zobaczyła, że wiatr się wzmógł i zaczęło w końcu padać. Przyniosło jej to pewną ulgę, bo nie mogła już znieść tej duchoty. Nagle Dzieciaki się wzbudziły i zaczęły biegać, i krzyczeć, jak opętane. Miała wrażenie, że nie są wcale piętro wyżej, ale biegają tuż obok niej, wrzaski wwiercały się w świadomość i coraz bardziej działały jej na nerwy. Chciała uciec do pokoju,

ale tam wciąż rozbrzmiewała uciążliwa muzyka. Nie miała gdzie się schować, nie miała gdzie uciec. Ostatni raz wybiegła na balkon licząc, że znajdzie tam ukojenie w tym chaosie.

Stała w deszczu, wpatrując się w jego mieszkanie. Widoczność była coraz gorsza, zaczęło uporczywie lać, a w oddali słychać było pierwsze grzmoty. Czekala, czekała. Tak chciała, żeby się pojawił, żeby na nią spojrzal, uspokoił ją. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Serce waliło jej jak szalone, ręce zaczęły się trząść, nie wiedziała, czy z zimna, czy ze strachu. W końcu, cała przemoczona, musiała się schować. W amoku poszła do kuchni, żeby ogrzać się herbatą. Wstawiła czajnik i czekała. Muzyka nieprzerwanie dudniła, Dzieciaki biegały, krzyki rozbrzmiewały echem w jej głowie, całe mieszkanie się trzęsło. Ona się trzęsła. Zerknęła przez okno i zdawało jej się przez chwilę, że zobaczyła Sąsiada. Podeszła bliżej, wyostrzyła wzrok najbardziej, jak mogła, i próbowała cokolwiek zobaczyć. Na balkonie ktoś się poruszył, serce aż jej podskoczyło z ekscytacji. Dostrzegła w którymś momencie nie jedną a dwie osoby, dwóch młodych mężczyzn, którzy stali, palili wspólnie papierosy i stukali się butelkami z piwem. Gaja zastygła. Serce zaczęło bić jej jeszcze szybciej. Żaden z nich nie był Sąsiadem... Już dawno tam go nie było. Pożegnał się z nią... On się z nią pożegnał... Zniknął... Nagle całe niebo rozbłysło i rozległ się ogłuszający dźwięk. Był środek burzy, drzewa ledwo trzymały się ziemi, a deszcz padał już praktycznie poziomo. Dzieciaki wrzeszczały, muzyka wprawiała całe mieszkanie w wibracje, grzmoty rozdzierały jej umysł, czajnik zaczął świszczec jej do ucha. W jej głowie pędziło tysiące myśli, serce nie przestawało walić, ciało się trzęsło. Wszystkie najgorsze myśli, lęki, niepewność, strach, wszystko na nowo się w niej obudziło i przejęło nad nią kontrolę. Złapała za kurtkę, wsunęła szybko buty i wybiegła z mieszkania.

Przeskakiwała kilka schodów na raz, o mało co się nie wywracając, popchnęła główne drzwi i nie zatrzymując się ani na chwilę, biegła. Łzy zlewały się z kroplami deszczu, które nieprzerwanie zderzały się z jej twarzą. Było kompletnie ciemno, co jakiś czas niebo rozświecało się na moment, po czym grzmot zagłuszał całą rzeczywistość. Biegła dalej. Jej myśli i emocje zdawały się słabnąć, jakby zostawiała je za sobą. Brakowało jej tchu, od płaczu nie mogła złapać oddechu, a nogi zaczęły się powoli poddawać, ale mimo to nie przestawała biec. Biegła tak długo, że zostawiła burzę za sobą i przestało w końcu padać.

Była już blisko. Czula to. Ostatnie łzy spływały jej po policzkach aż w kącik ust, tak że mogła wyczuć ich słony smak. Biegła jeszcze kawalek, aż poczuła piasek pod nogami. Dotarła.

Zatrzymała się na środku plaży i próbowała złapać oddech. Morze było jeszcze lekko wzburzone, piasek mokry, a delikatny wiatr muskał bryzą jej twarz i przynosił ten utęskniony zapach. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się.

Usłyszała czyjeś kroki, które dochodziły z za jej pleców. Odwróciła się i zobaczyła Go. Podszedł do niej i się uśmiechnął.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odpowiedziała.



Frida Kahlo, *Raíces* (1943)

Patryk Dzikiewicz

## Zgiełk

Mierzwi włosy, ta pustka niektórych pokojów. Służbowe, działowe, kadrowe – wszystkie zerowe, zestrzelone. Tylko sala konferencyjna, wielka, z dwoma podłużnymi stolikami, z krzesłami na krzesłach, z wypraną z koloru wykładziną, pękała od kłębiących się ludzi. Zgiełk, myślał Syn i ścierał dłonią kropelki potu z karku, z szyi, z przedramion. Włożył rano czystą bordową koszulę, czyste czerwone spodnie, czystą bieliznę, wypastował buty, założył pasek, nałożył marynarkę; wszystko nieskazitelne, piękne, wyglancowane, jak przystało, jak kazano. Gdy jednak wchodzi w ten zgiełk, czuje, że wszystko traci, że nie da się już uratować, że pot przedziera się przez naskórek i już nad nim nie panuje, że brudzi skórę i brudzi czyste ubrania, brudzi myśli i brudzi Syna.

Wówczas Syn wyrwa się z życia i zarazem w życie wchodzi: że nie ma go tu i że tu właśnie jest, że jest w ogóle i że w ogóle nie jest, że pasuje do sytuacji, żyje razem z innymi żyjącymi w biurze i trudno byłoby powiedzieć, że jest obok i żyje życiem innym, a z drugiej strony ściśle się różnicuje wobec tego całego galopu.

Środek sali. Syn patrzy, poci się, aż w końcu przykleja się do wszystkich i próbuje wtopić się w tłum – pam, pampam, pampam, pam. Jeszcze nie wyczuwa rytmu, więc niezręcznie kiwanie, więc kilka kłaśnieć tu i ówdzie, więc zdenerwowane pstrykanie palcami, więc różne takie.

Po krótkiej chwili – drgawki, a za nimi więcej potu. Czuje go wyraźnie, bo wypływa coraz szybciej, przeciskając się przez membrany naskórka; jak lój z pryszczu – albo litry loju z setek małych pryszczu. Czoło mieni się od kleju i światełek w pokoju – więc przetarcie, że ramieniem, że dłonią otwartą, pięścią, rękawem. Jedna dłoń brudzi drugą, bo tu kłaśnieć, bo tam niezręczny dotyk. Przedramiona już dawno brudzą krwią stresu rękawy koszuli i czerwonej marynarki. Czysty wcześniej kark zamienia się w spad dla strumienia, pot spływa i spływa po całych plecach i dołącza do już pełnego kleju oczka wodnego w bokserkach – a tam klej klei materiał ze skórą, materiał z materiałem i znowu materiał ze skórą, bo Syn wyciera dłonie o spodnie, które – oczywiście – się kleją.

Krawat, trzeba rozluźnić, trzeba rozpiąć górne guziki mokrej koszuli i trzeba wyciągnąć ją ze spodni. Trzeba się wykapać – tę kąpiel kleju zamienić w kąpiel zimnej wody. Szybki oddech i głośnie sapnięcia na zmianę zagłuszają dialogi osób, których prawie już nie zauważa; bo mgła, bo zgiełk, bo tak tłoczno, tak dużo, tak duszno. Gdyby tylko mógł, zdjąłby wszystko – marynarkę,

koszulę, podkoszulkę, buty, pasek, spodnie, skarpetki, bokserki, a potem naskórek, skórę, mięso, kości.

W końcu fotel, róg pokoju. Zaczyna przyglądać się innym, tym razem zapominając na chwilę o sobie, negując siebie, bo wszystko, całego siebie, już zdjął. Temu teatrowi wielości i grzeczności, tym potakiwaniom i patetycznym wypowiedziom czegoś brakuje, coś tu nie gra, a przynajmniej nie tak, jak grać powinno, bo inny – rytm, dziwny, jakieś niezrozumiałe sfory strof, frazy nie stąd, nie stamtąd. Bo ta grzeczność miesza się z szumem, mgłą, ze zgiełkiem, któremu daleko do uroczystego tonu niektórych ruchów (bo grzmia, grzmia, bo pam i pam). Dziwnie, takie podwójne, niepoważne, a jednak, po negacji, po ukluciu, zakamuflowuje się, wtapia się w to wszystko, klej na karku chwilowo przysycha, a Syn wchodzi w pantomimiczne ruchy uśmiechu, niezgody i zgody, zdziwienia i znużenia, wszystkiego, co wygląda jak natura, normalność, spotkanie-spotkanie. Wstaje i wtapia się w zgiełk, aby razem ze wszystkimi zgiełczeć. Powtarza ich ruchy, udając, że należą do niego, że nikt inny, tylko właśnie on – pan i władca, on-on – za nie odpowiada.

Pantomimy walczą z pantomimami, głosy z głosami; miny, ruchy, tenory i falsety, wachlarze kinezyki i fonetyki. Wszystko przypomina hipnotyczny taniec: i znowu pot, ale już ze zmęczenia, już inny, już będący częścią całości. Syn bezwiednie porusza się dalej. Do tańca dochodzą Nowi, ale zaraz wsiąkają, przenikają, rozmiękają się. Ciała innych, nachodzące na siebie i powtarzające swoje ruchy, stają się w końcu Ciałem i powoli poruszają się w tańcu. W tej dialektyce ztraca się Syn, tańcząc ze wszystkimi, jego brud przechodzi na czystość drugiego, a z drugiego brud przechodzi na czystość trzeciego, bo Ciało kłębi się w sobie, zgiełczy i zaschle od potu ubranie powoli naznaczane nowym klejem dotyka innych ubrań, skóra dotyka skóry, wielkie mięso dotyka wielkiego mięsa, Ciało brudnieje, ale też jednieje, niepodzielnieje.

Nowy za Nowym wchodzi, wbiegają, wciskają się do sali, nie można już usiąść, ledwo da się stać; ruchy powtarzalne i synchroniczne, negacja ustępuje afirmacji; musi, bo inaczej w Ciele zapanowałby chaos, bo inaczej wnętrzości Ciała zaczęłyby się ze sobą ścierać, a przez napięcie Ciało by się rozpadło.

Z Tańca się nie ucieka. Tarcie stresuje. Nowy pot Ciała przelewa się litrami przez wnętrzości, skleja wszystkich razem w wielką kulę. Ale Nowi wchodzi i wchodzi, fala za falą, i wdrapują się na Ciało, bo już nie ma miejsca, i spadają z Ciała, aby znowu spróbować; i po chwili nowe wtargnięcie Nowych, nowe wejście, fala i fala, i wdrapywanie, i spadanie, i wdrapywanie, i ściskają się, przyciskają, powtarzają, dłoń do dłoni, brzuch do brzucha, język do języka, ślina do śliny, skrawki paznokci do skrawków paznokci, mięso do mięsa, ciało do ciała i ciała do Ciała, skleją się ze sobą i w sobie, brzuchy nie wytrzymują, pot dostający się do ust wzdryga Ciałem,



które wypycha zdlawione wcześniej lzy, wypycha żółć ze ściśniętego żołądka, wypływa ciała, które nie mieszają się w jednym pokoju, tylko nawarstwiają się wszędzie jak kozuch. Ciało czuje wstręt do części i wstręt do siebie i próbuje skurczami gardła i żołądka siebie wypchnąć, nie chce tej całości. Nowi przychodzą, z wolna się zwalają, kurczą i pocą i wymiotują i wydają i wydają razem z innymi, wyrzucają starych, stając dumnie na ich miejscu, pocąc się i drgając Gargantuą. Ciałem przeciskającym się przez kilka pomieszczeń wzdryga powtarzalny zgielk, wzdrygają konwulsje, skurcze, wymioty, przychody i odchody; Ciało wypuszcza starych i już starych się wstydy – bo hańba, bo zdrada, bo jak to tak, to już nie ja, ja taki nie jestem. Napina się i bierze zdrowych, czystych, tych siłą wchodzących w wielką pantomimiczną masę pełną mięsa, potu, żółci, śliny, szamba, które miało przecież ulecieć wraz ze starymi, ale nie uleciało, utylizacja się nie udała, wszystko się przylepiło, przyczepiło, zaczepiło, zahaczyło; bo nie ma już miejsca na ucieczkę, bo wszyscy krążą, bo brudzą.

A Ciało kona. Tkanka rozkładu wyklada się wszędzie, nawarstwia się i od się, bo odsiewa; umierająca masa jest już na całym piętrze, wypełniała wszystkie sale; powoli, chwila za chwilą, drobina za drobiną. Nowy za Nowym, stary za starym, Ciało zgielczy.



Gino Severini, *La danza del pan-pan al „Monico”* (1911/1959)

Szymon Kamiński

## „Już nie chłopiec, jeszcze nie mężczyzna”

Kiedy przyszło mi opuścić miasteczko w ostatnich dniach mijającego lata, dotarło do mnie, że wiem trochę więcej na temat swojego miejsca na Ziemi. Nie była to łatwa droga do wiedzy, można by rzec, że wymagała ode mnie więcej niż tylko psychicznego zaangażowania. Jednak teraz posiadam większą wiedzę o sobie, a epidemia odkryła moje drugie ja.

Aktualnie stałem w prawie pustym pokoju, obok mnie znajdowały się wypełnione skromnym dobytkiem walizki. Patrzyłem na nie, a przed oczami miałem moment, w którym pojawiłem się tutaj zaraz po wybuchu zarazy. Stałem wtenczas, spoglądając przed siebie w lustro – widziałem wystraszonego chłopca, lekko zabiedzonego, który nie radził sobie z zatrzymaniem świata.

W tamtym momencie po przybyciu, wyszedłem z pokoju na balkon. Mogłem odetchnąć, uciekłem z miasta i byłem nareszcie u siebie. Jednak moje ciało nie mogło się rozluźnić i ciągle czekało na atak. Rześkie, wiosenne powietrze dotknęło skóry, aż lekko mną wstrząsnęło z zimna. Wiał delikatny wiatr, słońce świeciło prosto w twarz. Przyroda dopiero budziła się po zimowym śnie. Przede mną nie było nic – pusta przestrzeń Żuław na szachownicy pól z pierzeją drzew i miniaturowych budowli na horyzoncie. Z daleka migotały dachy domów pobliskiego miasteczka, a także dwie wieże kościelne.

Odetchnąłem głęboko i przymknąłem oczy, gdy promienie słońca przyjemnie grzały. Poczulem czyjś wzrok na sobie. Rozejrzałem się niespokojnie, lecz nikogo nie było. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się, zauważyłem na polu, przemieszczającą się postać. Wykonywała jakiś dziwny taniec, wyrzucając w powietrze raz ręce, raz nogi. W którymś momencie ta biała figura zatrzymała się i, jestem prawie przekonany, patrzyła perfidnie na mnie. Miałem wrażenie, że leci w moim kierunku z wyciągniętą przed siebie ręką. Jednak im bliżej była, tym bardziej się rozmywała – aż znikła. A ja obudziłem się w ubraniach na łóżku.

Teraz jednak czeka mnie wyjazd stąd – wszystko powoli wraca do dziwnej formy nowej normalności. To był niezwykle czas, ale na swój sposób całkiem kojący.

\* \* \*

Pierwsze dni na nowym-starym terenie miały niespiesznie. Wiejskie życie toczy się swoim trybem: leniwym, monotonnym i za nic mającym upływający czas. Wszystko zatrzymane jest w trwaniu,

zawieszony między byłem-jestem-będę. Dopiero spoglądając z perspektywy, zauważyć można czas, a raczej jego śmiało oddziaływanie na rzeczywistość.

Z pierwszych kilku tygodni życia na wsi nie pamiętam za wiele – głównie z racji zamykania starych spraw pracowniczych. Praca nie omijała mnie w żaden sposób, musiałem zakończyć kilka projektów i mogłem to zrobić zdalnie. Całe szczęście. Mój czas zajmowało głównie siedzenie przed komputerem, zagładanie do literatury w celu zweryfikowania informacji oraz schodzenie kilka razy dziennie na posiłki do rodziców.

Jednak pomimo ucieczki z miasta i pomimo przyciągnięcia za sobą obowiązków czułem, że w końcu jakoś wracam do normy. Znalazłem własny rytm dnia, mogłem skupić myśli na czymś innym niż zagrożenie życia. Byłem u siebie, na swoich terenach. Niby. Choć nie do końca tak czułem. Nie było mnie tu przecież wiele lat.

Mimo wszystko dopiero pod koniec czerwca wróciłem do świata żywych i odetchnąłem pełną piersią. Wydawało mi się, że usiadłem za biurkiem, kiedy na podwórzu stały jeszcze gołe drzewa, a gleba wołała do nieba swoim soczystym brązem, a teraz kiedy od niego wstałem, po długim i ciężkim dniu pracy – życie na zewnątrz mieniło się wieloma barwami.

Pamiętam swoją pierwszą wakacyjną przejażdżkę rowerem po okolicy. Jechałem niespiesznie. Skrzypienie pojazdu nadawało rytm mojej jeździe, a ja, raz za razem, przenosiłem siłę mięśni nóg na pedały. Skrzypnięcie. Ruch. Skrzypnięcie. Ruch. Dookoła mnie były tylko pola, rośliny rolne wzrosły znacznie od wiosny i falowały teraz wraz z podmuchami wiatru.

Zielone morza rozciągnięte były, jak okiem sięgnął, a ja jechałem między nimi po polnej drodze. Czułem się częścią czegoś większego, oddychałem razem z naturą. Mieliśmy wspólny puls. Mijałem pola pełne przekwitniętego rzepaku, by zaraz znaleźć się przy polaciach pszenicy, a tuż za nimi wylaniały się liście buraków cukrowych. Asfaltowa droga zmieniła się w zwykłą polną dróżkę, za mną pod kołami unosił się delikatnie kurz. W powietrzu czuć było jego zapach. Czuć było wakacje, głębię i dojrzewający rzepak.

Trzymałem pewnie kierownicę, poruszałem się w rytm skrzypienia roweru. Był to również rytm drogi, która odsłaniała przede mną swoje niedoskonałości, a ja wpadałem w dziury, podskakując na pojeździe. Wjechałem na zwirowaną drogę. Trzeszczała pod kołami, małe kamyki odskakiwały czasami spod opon, niejedną zaplątał się w szprychy.

Jechałem przed siebie i podziwiałem przestrzeń. Była taka pusta i pełna jednocześnie. Co jakiś czas mijałem rowy zarośnięte chaszczami, nad którymi górowała trzcina i jej brązowe palki. Co i rusz mijałem małe stawki, których głębie ukryte były pod pierzyną wodnej roślinności. Na pustyni rolnej pojawiały się także małe zagajniki, w których ukrywało się wszystko i nic.



Ostatecznie drogami polnymi dojechałem do małego mostku nad rzeczką. Prowadziła do niego alejka, obsadzona maczugami wierzbowymi. Długie gałęzie falowały na wietrze, uderzając o siebie. Zatrzymałem się przed drewnianym mostem, zostawiłem rower i stanąłem przy barierce. Uderzyła mnie fala gorąca. To słońce przypiekało z nieba, czułem delikatny pot na skórze. Koszulka nieprzyjemnie lepiała się do ciała. A nie było nawet południa.

Rzeka pod mostkiem była mało widoczna, zarośnięta zieloną rzęsą, która całkowicie zakrywała tafłę wody. Spod niej wyrastały liście trzciny, a między nimi próbowały znaleźć swoje miejsce szerokie, okrągłe liście lilii wodnych. Na zboczu koryta wyrastały karłowate wierzby, moczące swoje gałęzie w wodzie. Tworzyły one chaotyczną kombinację na tle uporządkowanych ludzką ręką pól. Rzeka zawijała się po obu stronach mostku, skręcała między pola i ginęła w oddali z oczu.

Stałem i patrzyłem. Chłonałem widok, chciałem być tym spokojem. Gdzieś słychać było rechot żaby, czasami skądś dolatywał ptasi trzask. Tkwiłem pośrodku zupełnie innego świata. Świata, który był na uboczu. Westchnąłem głęboko. Otarłem pot z czoła. W powietrzu unosił się, dobrze mi znany, zapach wilgoci oraz mokrej, gliniastej ziemi Żuław.

Od niechcenia kopnąłem kamyk, który ze stłumionym dźwiękiem wpadł do wody. Korzuch z rzęsy jakby się unióś. Miałem wrażenie, że ktoś patrzy na mnie spod wody. Byłem przekonany, że widzę czyjąś twarz, zniekształconą przez mulistą wodę. Przetarłem oczy. W miejscu zwidu, pojawiła się tafla i odbijały się w niej promienie słońca.

Przeszedłem na drugą stronę mostu, na horyzoncie pojawiła się panorama Nowego Stawu. Dwuwymiarowe wizerunki budynków i drzew nakładały się na siebie, jednak rozpoznawałem pojedyncze kształty. Z przodu niska zabudowa mieszkalna, małe peryferie miasteczka. Dalej widniały cienie dawnej cukrowni i słodowni, a za nimi wychylał się dach Olówka. Tuż obok towarzyszyła mu Kolegiata Żuławska. Po obu stronach tego zgromadzenia widniały białe wiatraki, które ruszały ciężkimi łopatami na wietrze.

Panorama schowała się jakby za mgłą, ciepłe powietrze falowało ku górze, rozmazując widok. Wszystko stawało się takie nierealne.

Siedziałem na ławce ustawionej na skwerku pośrodku prostokątnego rynku miasteczka – na Rynku Kościuszki. W rękę trzymałem maślaną bułkę z rodzynkami i powoli ją skubałem, delikatnie wkładając miąższ do ust. Nie była wybitna, nie odpowiadała nawet temu, co zapamiętałem z przeszłości.

Bułki maślane kojarzą mi się z Nowym Stawem. Przypominają mi o moim dzieciństwie w tym mieście. Mieszkaliśmy wtedy obok piekarni i codziennie, punktualnie o siedemnastej, miasto

pachniało świeżymi wypiekami. A jako że mieszkaliśmy tuż obok, zabierałem małą reklamówkę i szedłem po ciepłe jeszcze pieczywo do sklepu. Pośpiech był wskazany, kolejki ustawiały się dużo wcześniej. Zazwyczaj jednak wracałem do domu z reklamówką, z której unosił się aromat słodkości, a folia była zaparowana. Zasiadaliśmy później do stołu i zajadaliśmy małe lupy.

Siedziałem zatem na ławce pośrodku rynku i skubałem marną kopię bułki z dzieciństwa. Ludzie tymczasem spieszyli w sobie znanych kierunkach, mieszały się ze sobą jak komórki krwi w krwioobiegu. Jedni wspinali się po szerokich schodach do marketu, inni tworzyli kolejki do lokalnych sklepików, a reszta przemierzała długość rynku i znikła w uliczkach.

Chodnik przed marketem był chyba głównym i nadzwyczaj swoistym miejscem spotkań, to tu, w głównej mierze przypadkowo, wpadali na siebie mieszkańcy. Tym bardziej, że niedaleko budynku znajdowało się wejście na teren Kolegiaty, ukrytej za małym, zadrzewionym placem. To stąd, co niedzielę, wychodziły tłumy nowostawian, by w rodzinnej atmosferze na chodniku odbyć krótkie rozmowy.

Tak jak teraz, gdy niektórzy, mijając się na drodze, pozdrawiali się wzajemnie lub czasami nawet przystawali chwilę na luźną pogawędkę. Większość tych ludzi znałem chociażby z widzenia, przemykali gdzieś kiedyś w moim życiu, przewijali się w kolejnych etapach dorastania jako statyści wydarzeń. Gdyby nie maseczki na twarzach pojedynczych przechodniów, nawet bym nie zauważył, że żyjemy w czasie epidemii.

Siedziałem więc na ławce i kończyłem bułkę maślaną. Ukryty byłem między niskimi drzewkami i długimi, dzikimi trawami – jedynymi roślinami na tej betonowej pustyni. Każdy skrawek ziemi został pokryty szarym materiałem. Wszystko, co tu można zobaczyć, było zaplanowane przez ludzki umysł. Łącznie z fontanną, która znajdowała się po mojej lewej stronie – glob ziemski i spływająca po nim woda. Obmywała ona ziemię, tak jak kiedyś wody Bałtyku omywały te tereny, nanosząc życiodajną glebę. Dalej stała druga świątynia, potocznie nazywana Olówkiem. Nazwa wzięła się od żółtawej wieży, przypominającej wbity w ziemię ołówek, którego spiczasta część wskazywała niebo. Budynek poewangelickiego kościoła, przekształcony współcześnie w Galerię Żuławska, stanowił fizyczne centrum miasta. Górował on nad resztą miasteczka i jak wskazówka zegara słonecznego odmierzał czas ludzkim pokoleniom na tarczy brukowanego rynku.

Natomiast po mojej prawej stronie stało jeszcze kilka ławeczek (na jednej z nich siedziała nieznana mi dziewczyna) a dalej rozciągała się mozaika z kamienistych kostek. Miejsce, w którym byłem, było małą wysepką na rynku – dookoła była brukowana droga, która ją okalała. Stanowiła swoiste rondo.



Miasteczko przedstawiało próbę przeszczepu kultury polskiej w zastaną poniemiecką rzeczywistość. Jedyne ryneček stanowił raczej jednolitą kompozycję odrestaurowanych starych budynków, które nierównomierne pod względem wysokości, tworzyły arenę. Schodki kamieniczek jak języki wrzynały się w przestrzeń. Jak ścięga podtrzymywały budowle w pionie, chwytając się betonowego chodnika. Równy z nim posadzone były drzewka, które co jakiś czas podcinano, by zachowały swój niewielki rozmiar. Pod nimi parkowały prostopadle auta. Jednak ja i tak nie przepadałem za tym miastem. Mimo kilku dobrych wspomnień, nie znalazłem tutaj spokoju. Różne miejsca otwierały we mnie wspomnienia...

Postanowiłem ruszyć na małą przejażdżkę po okolicy. Złapałem rower, który postawiłem wcześniej za ławą. Dziewczyna znalazła się w celowniku mojego spojrzenia. Spojrzałem na nią, uśmiechnęła się. Odpowiedziałem tym samym, ale nie oglądając się na nią dłużej, wsiadłem na siodełko i odjechałem.

Jechałem w kierunku wschodnim na Obrońców Westerplatte. To długa droga, która rozpoczynała swój bieg na rynku, pod samym Olówkiem, a kończyła się wraz z granicami miejscowości. Wydaje mi się, że to główna arteria tego miasteczka. To ona prowadziła do jego centrum i rozprawiała, jak tętnica po ciele, krążących i przebywających w tym miejscu ludzi. Wiał lekki wiatr, gdy wjechałem na chodnik wzdłuż Obrońców. Minałem piekarnię oraz nowo wybudowany przystanek. Przejechałem zgrabnie między dużymi donicami, wystawały z nich cienkie paski liści. Kilku ludzi stało i czekało na autobus.

Trotuar wzdłuż Obrońców tworzył przedziwną makatkę z różnorodnych płytek chodnikowych. Były zbieraniną materiałów z kilku epok, tak jak budynki ustawione równoległe do trasy. Znajdowały się tutaj niskie poniemieckie domy z czerwonej cegły, która prześwitywała zza zniszczonego tynku. Miejscami jednak pokryto ją nową szatą izolacji cieplnej. Były też wysokie bloki komunistyczne, pnące się do góry, jakby w próbie dorównania kościołowi w centrum. W to wszystko próbowano wkomponować współczesną estetykę i remontowano to, co stare i zniszczone. Budynki tworzyły przedziwną mieszaninę niemieckości, komunizmu i polskości. Przechodnie przemierzali tę ulicę codziennie, jednak jej elementy były dla nich niewidoczne. Odwracali swój wzrok ku codziennym sprawom.

Jechałem i mijałem bloki, mijałem bujne krzewy i niskie trawniki. Po mojej lewej stronie mignął GS i jego piekarnia, w której moi rodzice zawsze kupowali chleb – według nich najlepszy. Dalej po prawej stał wysoki blok i apteka, a zaraz za nimi poczta. Apteka znajdowała się na półpiętrze w małym budyńeczku, wciśniętym między piętrowcem a niską zabudową poniemiecką, której ciemnoczerwone cegły kontrastowały z pastelozą postmodernizmu. Tak jak przytulone do

siebie domki jednorodzinne tuż blisko poczty, znajdującej się w owej niskiej zabudowie. Ten kawałek drogi był nieustannym powodem irytacji kierowców. Musieli oni wymijać ustawione na drodze auta, właściciele porzucali je „Tylko na chwilę!”, by załatwić swoje sprawy w dwóch najbardziej obleganych miejscach.

Zza małym zakrętem ukazał się moim oczom most – pamiętam, że zawsze był niebieski – a pod nim płynęła rzeka Święta. Niosła wody we własnym tempie, zawsze niespiesznie, poprzez gęszcz dzikiej i nieokiełznanej roślinności. Rośliny pokrywały nie bardzo szerokie koryto, nawet zbocza rowu porastały krzewy i małe drzewka. Zatrzymałem się na moście. W tle słychać było śpiew ukrytego gdzieś ptaka, a woda kilka razy wydała dźwięk, gdy prawdopodobnie jakieś małe stworzonko do niej wskoczyło. W powietrzu wyczuwalny był charakterystyczny zapach – mieszaniny mokrej ziemi, wodorostów oraz rozkładających się w wodzie szczątków roślin. Dla mnie była to woń tajemnicy i dzikości.

Niedaleko stąd, po mojej prawej stronie były rury, które łączyły oba brzegi rzeki. Pamiętam, jak za szczeniaka chodziło się po nich, pomimo ryzyka wpadnięcia do wody. Szło się odważnie i sprawnie, za nic mając ryzyko. A rodzicom kłamało się, że szło się przez most, dłuższą, ale bezpieczniejszą trasą. Z mojej lewej strony rzeka tworzyła mały zalew, kolano wbiło się w niski łąkowy teren, a za wysokim plotem stały ponemieckie domy. Rzeka Święta płynęła jednak hen dalej, znikając za zakrętem wśród wysokich krzaków.

Zatoczka tworzyła swoisty mikroświat. Wyrastały tu wysokie trzciny, a na tafli wody płożły się liście grążela, pomiędzy nimi drobna salwinia i inne nieznanne mi z nazwy maciupkie listki roślin wodnych. Układały się w perfekcyjny kobierzec. Po bokach koryta zwieszały się długie gałęzie drzew – brzoź i wierzb – zanurzające koniuszki w ciemnej toni, jakby natura chciała być ciągle w kontakcie ze sobą, jakby przez ten naturalny układ nerwowy przekazywała informacje pomiędzy różnymi swoimi częściami. Rzeka jednak była już zapomnianym elementem miasta. Wydaje się, że nie chciała zwracać na siebie uwagi, pozwalała więc naturze chować swoje długie i zielone cielsko przed oczami ludzi.

Miejscowi zazwyczaj nie zauważali rzeki, a była ona aortą tego miasta. Niosła przecież opowieści miejscowych daleko w czas. Ciągnęła się przez miasteczko – długa i zawila. Teraz już jednak bez swojej naturalnej władzy.

Stałem i patrzyłem na ten mały spektakl natury. Między roślinami przepływały łabędzie. Ich biały kolor wyróżniał je na tle zieleni. Promienie słońca dodatkowo oświetlały to miejsce. I tylko hałas aut, przejeżdżających po moście, niweczył efekt.

Na małej łączce pojawiła się dziewczyna, wcześniej widziana przeze mnie na rynku. Rzuciła w trawę rower i usiadła w niskim gęszczu. Patrzyła przed siebie, rękoma oplotła kolana, przytulając

je do piersi. Ja w tym czasie oparłem się łokciami o barierkę. Trwaliśmy tak wspólnie, patrząc w przestrzeń i kontemplując ją.

Nie wiem, ile czasu upłynęło do momentu, gdy dziewczyna gwałtownie zerwała się z miejsca. Zdjęła z siebie szybkim ruchem sukienkę, pod spodem była naga. Jej ciało było jędrne, niezbyt opalone. Gdy wygięła się z rękami uniesionymi do góry, jej ciało przyjęło falistą linię. Wila się jak rzeka na płaszczyźnie miasta. Na ciele nie dostrzegłem zbędnego tłuszczu, na brzuchu lekko zarysowane były ślady mięśni. Dwa małe jabłuszka, z ciemnymi obwódkami pośrodku, przyciągały mój wzrok najmocniej. Była jak pływające w pobliżu łabędzie – jaśniała na tle zieleni o wielu odcieniach i, co tu kryć?, przykuwała moją uwagę. Jej fizyczność pociągała mnie, ale i obrzydzała. Fascynowała, a jednocześnie zawstydziała. Chciałem jej, a jednocześnie odpychało mnie od niej. Chciałem z nią być, ale równocześnie chciałem, by zniknęła. Rozejrzałem się, czy jeszcze ktokolwiek widzi to, co ja, jednak nikogo w pobliżu nie było.

Ona w tym czasie delikatnie ruszyła przed siebie, nogi wyciągała wysoko i ukazywała spomiędzy kłosów trawy małe stopy. Stała przy brzegu, ręce ustawiła w szpic i skoczyła do wody, znikając w roślinnym dywanie. Ruch pod wodą uwidaczniał się w delikatnych falach na powierzchni.

Zastanawiałem się, jak udaje jej się płynąć wśród takiego gąszczu; czy porusza się pośród korzeni, roślin i mułu? Jaka jest woda – czy delikatne, dziewczęce ciało wzdrygnęło się, gdy chłód dotknął skóry? Czy wzdrygnęłaby się tak, gdybym ja jej dotknął? Czy jest w stanie coś zobaczyć w mulistej wodzie? I co można zobaczyć w podwodnym świetle Świętej? Czy byłaby w stanie zobaczyć mnie?

W końcu dziewczyna wypłynęła na powierzchnię, sklezione włosy odgarnęła na boki, wypuła wodę z ust. Małe piersi ukazały się, gdy położyła się na wodzie. Nie dawało mi spokoju, dlaczego ona tak błyszczy w świetle słońca? Skupiłem wzrok na niej, próbowałem zmrużyć oczy, by wyostrzyć obraz. Jakiś delikatny wzór pokrywał ciało. To małe, zaokrąglone trójkąty systematycznie i równo pokrywały skórę. Przypominały łuskę Przysięgam, że zamiast stóp mogłem widzieć rybi ogon...

Podskoczyłem wystraszony, z rozmyślań wybiło mnie trąbienie auta. Mój rower, oparty wcześniej o barierkę, leżał teraz na środku pasa. Złapałem za kierownicę i zabrałem go z drogi, przepaszając gestem kierowcę. Gdy spojrzałem raz jeszcze w miejsce, gdzie powinna znajdować się dziewczyna – było pusto. Roweru też nie było. Zostawiła za to ślad w moich myślach.

Wskoczyłem na rower. Musiało mi się coś przewidzieć. Nie chciałem myśleć, że coś się ze mną dzieje. Widziałem rzeczy, których nie było. Tłumaczyłem to przemęczeniem. Postanowiłem skrócić wycieczkę i wracać do domu. Ustaliłem trasę, wybrałem główne ulice miasteczka. To one

zamykały ten mały świat, jak w klatce z kości. To dzięki nim działają tu wszystkie elementy tworzące Nowy Staw.

Jechałem lewą stroną ulicy, aż wjechałem w szpaler lip. Liście falowały i szumiały na wietrze. Minąłem pralnię, tutaj zawsze pachniało detergentem, i przy Biedronce skręciłem w lewo. Z prawej strony marketu, a po drugiej stronie ulicy, stał w oddali gmach urzędu, schowanego za małym, wiekowym drzewiastym skwerkiem. Jechałem wzdłuż starych torów, teraz już nieużywanych i powoli zarastających dzikimi krzewami. Za nimi widać było nowy kompleks budynków służb ratunkowych, zwanych potocznie pentagonem nowostawskim. Według mnie zupełnie bezplciowy, jeśli chodzi o estetykę.

Minąłem wodociągi, pokonałem dziurawą drogę i skręciłem w bramę. Podążając cementowymi płytami, minąłem stadion i nowo wybudowane boisko, aż trafiłem do małego mostku, zawieszzonego nad innym odcinkiem Świętej. Pokonałem go bezrefleksyjnie, chcąc wyjechać jedynie jak najszybciej na Wita Stwosza.

Była to długa i ciasna uliczka, z ostrym zakretem w połowie swego biegu. Zaczynała się na rynku wraz z niską poniemiecką zabudową, a potem gwałtownie przechodziła w modernistyczną kolonię domków jednorodzinnych. Jednak dla mnie ulica kojarzyła się głównie z procesjami Bożego Ciała, które przechodziły tędy i zostawiały za sobą ślad w postaci zwiędłych i podeptanych płatków kwiatów. Kojarzyła mi się też z ludźmi i ich nieposkromioną ciekawością – uczestnicząc w procesji zaglądali przez okna niskich domów do mieszkań.

Jechałem wzdłuż uliczki aż do skrzyżowania z Gdańską, drugą najważniejszą arterią w miasteczku. Rozpoczynała się ona wraz z wjazdem na teren Nowego Stawu i przecinając miasto na wskroś, prowadziła przejezdnych od północnej jego części do części południowej, przechodząc łagodnie w Mickiewicza.

Ulica Gdańska była długa, nie dość szeroka, ale obsadzona drzewami wzdłuż całego biegu. Drzewa majestatycznie zwieszały gałęzie do czasu, gdy miejscowy urząd nie decydował się na ich podcięcie. Zmuszane były co kilka lat do walki o nowe pędy, by móc zakryć pusty, asfaltowy plac. Niedaleko skrzyżowania, na którym byłem, znajdował się dom podcieniowy, a w nim zlokalizowany był kiedyś sklep spożywczy. Jednak ja skręciłem w lewo i jechałem ku wyjazdowi z miasta w części południowej.

Na całej długości ulicy stały głównie poniemieckie domy jednorodzinne, które jak nagromadzone komórki ciała, tworzyły własne tkanki. Większość z nich prezentowała jeszcze oryginalny wygląd sprzed lat, współcześnie jednak zaniedbany i pozostawiony rozkładowi. W jednej linii z nimi stał również dawny dom kowala – też zniszczony i już nawet niezamieszany. Jednak przejeżdżając obok niego, w wyobraźni słyszałem hałas kucia żelaza.

To przy tej ulicy znajdował się obszerny park z betonowym placem, na którymś kiedyś tworzono lodowisko. W parku postawiono pomnik, poświęcony ofiarom wojen światowych, corocznie składano pod nim kwiaty. Niedaleko od figury pięły się niewysokie góry. Podczas śnieżnych zim zjeżdżało się z nich sankami, uważając na drzewa. To one dumnie górowały nad tym kawałkiem przestrzeni, lecz nie dość gęsto, światło słoneczne docierało jeszcze do powierzchni ziemi. Kiedyś to miejsce tętniło życiem ludzkim, teraz przejęła je natura. Zielone płuca miasta – w jego centrum.

Jechałem dalej, mijając skrzyżowanie i kolejne poniemieckie domki jednorodzinne. Jechałem przed siebie, wiatr rozwiewał włosy. Dopiero przed skrzyżowaniem Gdańskiej i Mickiewicza teren się zmieniał i pustoszał. Tu, oddalony od drogi i schowany za wysokim płotem, znajdował się gmach szkoły podstawowej. Minałem ją jednak, wyrzucając z głowy stare wspomnienia szkolne. Przejechałem rondo, rozglądając się na przejściach dla pieszych, i wyjechałem obok sklepu. Jadąc cały czas prosto dotarłbym do miejscowego cmentarza. Miejsca, do którego chodziło się na spacer w ramach relaksu – młodzi żartowali, że to jedna z rozrywek w tym mieście. Iść na zakupy albo na spacer na cmentarz.

Na najbliższym skrzyżowaniu za rondem skręciłem w lewo i wybrałem drogę wyjazdową z miasteczka, wjeżdżając właściwie na przedmieścia. Minałem starą towarzyszkę – rzekę Świętą (teraz już Małą Świętą) – przejeżdżając nad zawieszonym nad nią mostem. Tutaj znów tworzyła swój roślinny kobierzec na powierzchni wody oraz na zboczach koryta. A między wysokimi drzewami, docierały do mnie z daleka profile Olówka i starych już, niszczących resztek budowli cukrowni oraz słodowni.

Następne dni i tygodnie mijaly niezauważalnie. Wszystko zlewało się w jedność, tworząc długi ciąg, nieróżniących się między sobą wydarzeń. Do czasu. Tylko jedno pytanie ciągle objało się o ściany mojej głowy – co naprawdę miało miejsce nad rzeką?

Dziewczyna jakby się rozplynęła. To był jedyny raz, kiedy ją widziałem. Zastanawiałem się, gdzie się podziewa i co robi – a co najważniejsze – czy istnieje. A może była tylko wytworem mojej wyobraźni?

Niespodziewanie dotarło do mnie, że ta nieznana osoba mną zawładnęła. Przemykała przez moje myśli rano i wieczorem, w dzień i w nocy. Gdy pracowałem i gdy odpoczywałem. W czasie snu i w czasie posiłku. Podążałem ścieżkami pamięci, by znaleźć jeszcze choć na chwilę jej obraz znad rzeki, ale ciągle mi umykała. Miałem wrażenie, że każdego kolejnego dnia widzę ją inaczej, że już zapominam, jak wyglądała rzeczywiście. Już nie byłem pewny, co tak naprawdę zapamiętałem.



Jeździłem po mieście bez celu, licząc, że w końcu uda mi się ją zauważyć. Bezskutecznie. Zwiedziłem w tym czasie wiele miejsc, obejrzałem miasto jakby na nowo. Żywy obraz przestrzeni przeciwstawiałem własnym wspomnieniom o nich. Wydawało mi się, że żyłem teraz w zupełnie innym świecie. Nie brzydszym, nie ładniejszym – po prostu innym. Widziałem nadmiar zieleni, która wtoczyła się w ramy Nowego Stawu i zajmowała poszczególne jego części. Pomimo że widoczne były ślady ludzkiej ręki próbującej zapanować nad jej dzikim temperamentem, znać było, że natura radzi sobie sama. Obserwowałem zatem z lubością różne skrawki miasta, by zobaczyć jak żuławski duch kruszy beton i wystawia swoje zielone liście do słońca.

Krażyłem rowerem po mniejszych uliczkach, przyglądałem się ludziom. Głównie starszym lub w średnim wieku. Jedni zdążali do pracy, drudzy przysiadali na okolicznych ławeczkach, by z innymi mieszkańcami posiedzieć i jak za starych, dobrych, młodzieńczych czasów – porozmawiać ze sobą pod blokiem. Żyli swoim życiem, zajęci codziennymi sprawami. Tak samo jak i ja.

Każdego dnia udawałem się do miasteczka po sprawunki do domu. Z czasem uświadomiłem sobie kilka rzeczy: że mam ulubioną panią na ryneczku, od której kupowałem świeże warzywa i owoce prosto ze wsi; że mam swój ulubiony kiosk i co tydzień zaopatrywałem się w nim w prasę; że jak po pieczywo to tylko z lokalnej piekarni; że chodziłem do biblioteki w miarę regularnie i że przynajmniej dwa razy w tygodniu bywałem w markecie. W każdym z tych miejsc już kogoś znałem, przystawałem więc na chwilę i rozmawiałem. Wymienialiśmy kilka uprzejmości i wracaliśmy do swoich spraw.

Czasami spotykałem też kogoś ze starych znajomych, z którym spędzałem więcej lub mniej czasu kiedyś tam, w zamierzchłej przeszłości. Patrzyłem wtedy na tego kogoś z wyższością (tak mi się wydaje) i zastanawiałem się, co się tobą, chłopcze / dziewczyno, stało, że tu jesteś? Dlaczego tu mieszkasz?

Wielu z nich zajmowało się czymś innym, niż zamierzało, widziałem, jak ich wcześniej publicznie głoszone plany na życie, rozmyły się. Czy mogłem widzieć w ich oczach szczęście, czy może rozgoryczenie życiem? Dlaczego zawsze po latach pytamy innych ludzi, co tam?, jak tam?, a dlaczego nigdy nie zapytamy: czy jesteś szczęśliwy?

Jednak i ja tu wróciłem. Musiałem ułożyć życie na nowo, a przynajmniej jego część na kilka dłuższych wakacyjnych chwil. Taka forma nowego życia pozwoliła mi wrócić do psychicznej normalności, która uciekła wraz z nadejściem pandemii. Planowanie dni sprawiło, że poczułem się bezpieczniej i pewniej. Nie dopuszczałem do siebie zmian, chociaż i na nie byłem gotowy. Jednocześnie otaczanie się znanymi mi ludźmi, dało mi poczucie zadomowienia, nie – wyobcowania, którego tak bardzo pragnąłem, uciekając do wielkiego miasta. Jedyne ta dziewczyna nie dawała mi spokoju...

W końcu, niespodziewanie, udało mi się ją zobaczyć z daleka, gdy przesiadywałem na ławce na skwerku. Nie zmieniła się od ostatniego spotkania. W umyśle odnalazłem jej wcześniejszy wizerunek i dopasowałem go do rzeczywistości. – Tak, to ona! – wykrzyczał mój mózg i poczułem dopływ endorfin w ciele. To było jak lód na poparzone miejsce. Ulga. Najważniejsze – nie zwariowałem. Ona istniała.

Ale... Nie byłem jedynym, który ją zauważył. Widziałem kilku mężczyzn, którzy oglądali się za nią, gdy szła środkiem rynku w kierunku Olówka. Stawiała delikatnie stopy, sukienka falowała, a długie włosy rozwiewały się na wietrze. Obserwowałem z daleka wszystkie męskie spojrzenia. Raczej ukradkowe, jakby od niechcenia. Dziewczyna szła, a za nią obracały się głowy. Czulem, że nie może tak być. Odbierano mi coś, co należy tylko do mnie: wspomnienie, które się zmaterializowało. Nie chciałem, by inni oglądali nieznajomą – poczułem, jak wzbiera we mnie złość. I wstyd. Fala gorąca przybrała na sile.

Muszę ją ukryć, zabrać stąd. Ona jest tylko moja – pomyślałem i zerwałem się z ławki. Miałem tylko jeden cel: zaczepić nieznajomą, porozmawiać i spróbować nakłonić ją do zejścia ze sceny pośród męskiej widowni. Przyspieszyłem kroku, dziewczyna nadal spokojnie szła. Zbliżałem się, czulem zapach perfum – delikatnego połączenia owoców i kwiatów. Już wyciągałem rękę. Już kładłem dłoń na kruche ramię – nagle odwróciła się do mnie...

To nie była ta dziewczyna!

Zastygłem w niemym przerażeniu, zawstydzony. Bez słowa odwróciłem się i zostawiłem nieznajomą, z milczącym pytaniem na twarzy. Później wielokrotnie zastanawiałem się, czy na pewno to nie była TA dziewczyna. Może inaczej ją zapamiętałem? Może trzeba było się odezwać? Sam już nie wiedziałem. Wydawało mi się, że żyję w jakiejś chorej rzeczywistości. Tak jak wcześniej, byłem z niczym. Jedyłą rzeczą, którą miałem, był mętlik w głowie.

Moje szaleństwo, jak to nazwałem, nie zostało więc zdławione w zarodku, a jedynie podsycone. Przez kolejne wydarzenia, ale również przeze mnie samego. Byłem jak kat dla własnej duszy i torturowałem się myślami o nieznajomej.

Dręczyła mnie – przychodziła w myślach i snach. Pojawiała się na jawie, w tłumie nieznanymi mi osobami. Przestałem normalnie funkcjonować. Staralem się omijać rzekę i mosty. Próbowałem skupiać się na innych zajęciach dnia codziennego, ale byłem bez szans. Nawet moja nowa codzienność nie pozwoliła mi na odklejenie się myślami od niej.

Również wydarzenia w miasteczku nie pozwalały na wytchnienie. W lokalnej gazecie pojawił się artykuł o rozróbach, które podobno miały miejsce na terenie słodowni. Przez kilka dni ze zniszczonych i miejscami zapadniętych budowli wydobywać się miał hałas: tłuczenie, huki oraz

rumor walonych ścian. Jednak na miejscu zdarzenia nie złapano nikogo odpowiedzialnego za zniszczenia, których de facto również nie można było potwierdzić. Ustalono jedynie, że teren po zbadaniu nie wykazuje żadnych zmian, oraz że został zabezpieczony przed osobami trzecimi.

Wszyscy mieszkańcy wiedzieli, że różni osobnicy lubili posiedzieć w tych ruinach i popić, czy też z braku domu – pomieszkać. Jednak nikt nie dawał wiary temu, że ci sami osobnicy mieliby tak hałasować. Było to fizycznie niemożliwe.

Zatem po mieście rozeszła się plotka o duchach, które po wielu latach miały zacząć nawiedzać dawne miejsce swojego życia. Wspominano o samobójcach i mordercach oraz ich duszach, błakających się za karę po świecie. Plotkowano o Niemcach, dawnych mieszkańcach Nowego Stawu, którzy powrócili, by odzyskać swoje mienie. Byli też realiści – ci wierzyli w naturalny rozpad tego miejsca i zrzucali odpowiedzialność na grawitację oraz już marny, bo nadgryziony zębem czasu, stan budynków.

W ciągu kolejnych dni pojawiły się dalsze pogłoski. Wielu mieszkańców mówiło we własnym imieniu o stworach, które miały pojawić się na ulicach, głównie w godzinach wieczornych, gdy słońce chowało się już za niskimi dachami domów, a miasteczko pogrążało się w mroku nocy.

Świadkowie pojawienia się tych istot mówili jednym głosem, w ich opowieściach nie było sprzeczności. Mówili o czarnych stworzeniach, które gromadziły się na całym rynku. Były to postaci niewielkie, kształtem przypominające człowieka, ale mające nieco ponad metr wysokości. Ich ciało pokrywało czarne futerko, w miejscu oczu świeciły dwa żółte punkciki. Kroczyły na małych kopytkach, które późną nocą, wydawały donośny dźwięk uderzania zrogowacialej kończyny o brukowany rynek.

Kilku mieszkańców widziało zajścia, do jakich miało dojść pewnej nocy – oglądali je przez okna swoich mieszkań. Czarne stwory gromadziły się na rynku, zbierając się i zbiegając poprzez uliczki, prowadzące na rynek, a niektóre z nich zeskakując z dachów kamieniczek. Było ich coraz więcej i więcej, aż zajęły plac dookoła Olówka. Dopiero wtedy rozpoczęły swój diabelski taniec. Tętent wypełnił ciszę rynku, stwory łapały się za smoliste łapy i w kółeczkach przemieszczały się wokół budowli. Coraz szybciej i szybciej – rynek oświetlony lampami ulicznymi zamienił się w czarny wir. Było coraz głośniejsze i głośniejsze. Szybko, głośno i czarno. Aż rozległ się ostateczny huk i wszystko zniknęło, zostawiając w niemym otępieniu ludzkich obserwatorów wydarzeń. Było to chyba najbardziej znaczące wydarzenie tych wakacji, których skutki miano poznać dopiero następnego dnia rano.

Pierwszego odkrycia dokonała jedna z mieszkanki, która później opowiadała o tym każdemu, kto chciał słuchać. Owa kobiecina wyszła tamtego ranka z mieszkania za swoim kotem i zobaczyła popękane ściany wieży Olówka. Przetarła kilka razy oczy, nie dowierzając temu, co

widzi. Tylko jedna myśl błąkała się po jej umyśle: jak do tego doszło w ciągu nocy? Mieszkańcy, wraz z nastaniem kolejnych godzin, zbierali się gromadnie przed dawną świątynią i oglądali zniszczenia. W tym samym czasie świadkowie nocnych wydarzeń głosili własne świadectwo. Na rynku panował gwar i tłok.

Przyszedłem i ja, nieśmiało podchodząc do budowli. Stałem pod wieżą w kolorze piaskowca. Zadarłem wysoko głowę i zobaczyłem hen wysoko zielonkawy szpikulec dachu. Przyjrzałem się zniszczeniom. Były na tyle głębokie, że wewnątrz Galerii prześwitywało przez szczeliny w ścianach. Niektórzy z gapiów wchodzili do środka, mimo wyraźnego sprzeciwu innych ludzi. Bano się, że budynek może się zawalić. Podążyłem za tymi nielicznymi odważnymi. Przeszedłem wąski przedsionek i korytarz, prowadzący do głównej komory.

Znalazłem się w niewielkim, jednopiętrowym pomieszczeniu. Z niskiego sufitu, który jak żebra zamykał pomieszczenie, zwisały się dwa żyrandole, bogato obwieszane ozdobnymi, migoczącymi światłem szkiełkami. Jedna z lamp leżała na ziemi. Drobne części rozprysnęły się po podłodze podczas uderzenia. Na długich i cienkich jak ścięga filarach, wsparte były drewniane balkony. Natomiast pod galeriami jarzyły się ściany z krwistej cegły. Przez pęknięcia prześwitywały białe snopy światła z zewnątrz.

Podłoga w połowie powierzchni była drewniana, a dalszą część pokryto szkłem – teraz już rozbitym na drobne kawałeczki. Małe, mlecznobiałe cząsteczki leżały w zagłębieniu, które pozostawiono, odkrywając stare fundamenty ratusza. Zapadlina była jak otwarta rana. Podeszedłem do niej bliżej, kawałki szkła chrzęściły pod moimi butami.

Zajrzałem do zagłębienia, jednak zamiast starej cegły, ujrzałem wystające łodygi trzciny. Były też małe kępki traw i turzyc, a gdzieś tam przebijały błoto oraz woda, pokryta drobną rzęsą. Patrząc na to miniaturowe bagienko, można było odnieść wrażenie, że pulsuje. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach wilgoci. Ale nie tylko – poprzez niego przebijał inny, bardziej słodki. Nikt z odwiedzających nie spodziewał się tego widoku. Wszyscy milczeli, byliśmy bezradni. Wyszedłem stamtąd.

Spojrzałem jeszcze raz na wieżę. Zauważyłem małe, łuszczące się kawałki odpadającego tynku. Bezwiednie złapałem za jeden i pociągnąłem. Zaskoczyła mnie trudność, z jaką ten drobny urywek odchodził od cegły. Pociągnąłem mocniej, a moim oczom ukazał się fragment czegoś, przypominającego zepsute mięso. Obiema rękoma próbowałem rozszerzyć ranę budynku, a im głębiej drapałem, tym więcej mięśnia odsłaniałem. W końcu ujrzałem kawałek białej kości. Odszedłem od budowli złknięty. Ręce miałem czerwone od krwi, trzymałem je przed sobą. Rozejrzałem się gwałtownie, by utwierdzić się w przekonaniu o prawdziwości zdarzenia. Ludzie patrzyli na mnie obojętnie. Ale zauważyłem coś jeszcze. Reszta budynków na rynku zaczęła się

luszczyc jak Olówek. Tynki powoli odpadały, a suche skrawki tynkowej skóry spadały na ziemię. Na gołych szkieletach ścian, pozostało żywe mięso, miejscami gnijące. Rozpoznałem wcześniej odczuwany przeze mnie mdlący zapach rozkładu. Pamiętam mój krzyk, dobiegający jakby z oddali. Potem już tylko ciemność.

Na wszystkich wydarzeniach najbardziej skorzystał miejscowy proboszcz, który nie mógł narzekać na rosnącą frekwencję wiernych na mszach. Ludzie przed przejawami nieznaney metafizyki, uciekali w znane jej formy. Próbowali tłumaczyć sobie wielorako niejasne wydarzenia. Świadków po krótkiej i intensywnej sławie, ogarnęła niesława i nowostawianie zaczęli ich stopniowo unikać, by samemu nie wpaść w demoniczne sidła. Również pogoda dawała się we znaki. W dzień panowała spiekota, która wyganiała mieszkańców do domów, w nocy natomiast królował silny wiatr i padał gęsty deszcz, zostawiający o poranku rozległe kałuże.

Jednego zaczynałem być pewny. To nie ja wariowałem – tylko miasteczko.

Wraz z nastaniem sierpnia sprawy trochę ucichły. Ludzie z czasem przyzwyczaili się do nienormalnych zjawisk. Wiele osób próbowało racjonalnie tłumaczyć zachodzące procesy. Budynki? – wiadomo, że niszczeją ze starości; hałasy? – no, skoro budynki są stare, to i pracują, więc jakiś hałas jest; pogoda? – tu działają zmiany klimatu. A ci wszyscy, którzy widzą jakieś dziwne stwory, powinni się leczyć, ot co!

Była też strona przeciwna, która podtrzymywała swoją magiczną wersję. Istotne stały się legendy i stare wierzenia, próbowano na wszelkie sposoby ratować się przed nieznanym. Nie wiadano, co jeszcze może się wydarzyć.

Z czasem jednak pogoda uspokoiła się. Nastąpiła stabilna i wszędobyłska mgła, która osiadała na dachach domów, wlewała się między budynki i przenikała puste przestrzenie. Na rynku nadal zza oparu widoczny był Olówek, jego zielonkawy szczyt górował nad miastem. Hałasy co jakiś czas pojawiały się w nocy, budząc mieszkańców, żyjących najbliżej źródła dźwięku. Ale małych diabelków nikt więcej nie widział.

Jednak ja widziałem o wiele więcej niż reszta mieszkańców. Były to kawałki surowego mięsa, wystające spod odpadającego niczym sucha skóra tynku. Mięsa zaczynającego się psuć, a z każdym dniem wydzielającego coraz intensywniejszy odór. Widziałem to miasteczko, widziałem, jak umierało. Właściwie miałem wrażenie, że widzę to tylko ja, bo nikt o tym nie opowiadał. Czasami jedynie słyszałem, jak niektórzy skarżyli się na nieprzyjemny zapach, rozchodzący się wszędzie. Były to jednak odosobnione przypadki. Mieszkańcy przechodzili obok martwych budynków, dotykali otwartych ran – mijali jednak to wszystko z obojętnymi minami.



Najbardziej intrygowala mnie jednak obojętność wobec dziwnych zjawisk wokół Galerii Żuławskiej. Przychodziłem tam codziennie, by popatrzeć na rozdarcia ścian. Każdego dnia widziałem, jak z pęknięć zaczynają wystawać coraz dłuższe pędy, których lekko zielone koniuszki przechodziły w zdrewniałą część jak u bluszczu. Wstęp do budynku został zakazany, a wejście zabezpieczono, zatem nie mogłem sprawdzić swoich domysłów. Podejrzywałem, że dziwna roślina wyrastała z głębi zapadliny. Macki, bo tak je nazwałem, z czasem rozciągały się przez cały rynek. Przekraczały ulice, wspinały się po kamieniczkach i oplatały ich dachy. Przechodziły przez pierwszy rząd zabudowy i lekko, jak pajęczyna, zaczepiały się o dachy kolejnych domów. Pod koniec mglistego sierpnia, całe miasteczko było oplecione tajemniczymi pędami. Z końcówek dojrzałych macek wyrastały ssawki, które wbijały się w odkryte, mięsiste kawalki budynków i wysyłały z nich życiodajne soki. Ostatecznie miasteczko przypominać zaczęło kokon olbrzymiego pająka. Ku memu zdumieniu, nadal nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Mieszkańcy przemykali pomiędzy pędami, roślina też, jakby kierując się własnym rozumem, rozkładała swoje macki tak, by nie przeszkadzać w życiu ludzi. Oba gatunki egzystowały obok siebie.

Warunki były dziwne, ale ja nie przerwałem swojego codziennego rytuału i przybywałem do miasteczka po sprawunki. Siadywałem czasami na ławeczce i z bułką w ręce obserwowałem rynek. Z czasem przyzwyczaiłem się do smrodu. Stał się dla mnie zupełnie neutralny, tak jak wszędobylska mgła i rozciągające się wszędzie macki.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia pojawiła się ona – nieznajoma dziewczyna. Moje myśli już dawno się uspokoiły i jawiła mi się jedynie jako zamierzchłe wspomnienie, którego kontury ledwie się jeszcze pamięta. Stała przede mną, więc patrzyłem na nią nie rozumiejąc. Nie rozpoznałem jej. Teraz miałem możliwość przyjrzeć się z bliska obiektowi moich marzeń. Miała androgeniczne rysy twarzy – raz widziałem w niej młodzieńca, by za chwilę ujrzeć młodą dziewczynę. Nie przeszkadzało mi to, może nawet dodatkowo pociągało. Na sobie miała białą sukienkę, bardzo luźną i rozszerzającą się na dole. Postać zlewała się z ubraniem, była cała biała. Włosy miała rozpuszczone i opadały falami na ramiona. Stała przede mną, ręce spuściła wzdłuż ciała.

Wstałem, patrzeliśmy na siebie. Miała ciepłe, brązowe oczy, przypominające ziemię. Miałem wrażenie, jakbym mierzył się sam ze sobą. W pewnym momencie zabrakło mi odwagi, poczułem się onieśmielony. Wtedy dziewczyna uniosła kącik ust w lekkim uśmiechu, a mi zrobiło się lepiej. Na tyle lepiej, że zapytałem:

– O co w tym wszystkim chodzi? – Moja podświadomość próbowała połączyć jej istnienie z aktualnymi wydarzeniami w miasteczku. – Kto za to wszystko odpowiada?

Dziewczyna znów uśmiechnęła się. Nadal patrzyła mi prosto w oczy. Mrugnęła raz, drugi raz. Wskazała palcem, jakby na mnie, po czym cofnęła się i zniknęła we mgle.

Groza materializowała się coraz bardziej i osadzała w przestrzeni miasteczka. Mgła jakby zgęstniała, a puls przyszłych wydarzeń wyczuwało się w powietrzu. Metafizyczna część miasta przestała się ukrywać – na ulicę wyszły demony i inne człekopodobne stwory. Z ruin słodowni wyszły olbrzymy, a z dzikich zagajników humanoidalne potwory, przypominające ożywione drzewa. To wszystko opanowywało Nowy Staw. Współistniało z tym, co ludzkie.

Wszyscy żyli ze sobą, jednak napięcie rosło. Nadal przyjeżdżałem do miasteczka. Chodziłem w znane sobie miejsca, jednak coraz mniej mnie to interesowało. Może spowszedniało? Zacząłem chodzić nad rzekę, popędzany myślami, które na nowo rozbudziła nieznajoma. Nie umiałem przed sobą przyznać, ale chciałem, żeby znowu mi się pokazała. Nie umiałem bez niej żyć, tak jak dawniej. Wychylnęła kiedyś spod progu mojej świadomości i teraz nie chciała zniknąć. Musiałem zaakceptować jej istnienie.

I na początku września spełniło się moje skryte, małe marzenie. Stałem na moście, patrząc na zatoczkę. Mgła tworzyła niesamowitą chmurę, kontrastująca z zielenią. Wtedy odnalazła się nieznajoma. Otoczona była wianuszkami innych dziewcząt, równie pięknych jak ona. Siedziały w grupce i dyskutowały ze sobą. Patrzyłem na piękno natury i zerkałem co jakiś czas na dziewczęta. Chciałem zwrócić uwagę tylko jednej z nich, ale się wstydziłem.

Nie wiem, ile czasu tak stałem i marnowałem szansę. W końcu grupka zaczęła się zbierać. Wtedy postanowiłem wkroczyć. Zszedłem do nich, stanąłem przed nieznajomą, prosząc jednocześnie o moment na osobności. Stanęliśmy nad brzegiem rzeki i kiedy już chciałem się odezwać – zostałem przez nią pociągnięty: wskoczyliśmy do mulistej strugi.

Otulała mnie woda, ale czułem też dłonie dziewczyny, które dotykały każdego kawałka mojego ciała. Czułem podwodne rośliny, które nas smagały. Jednak świat dookoła był dla nas obojętny. Kochaliśmy się jak w transie, przemierzając czas i przestrzeń. Nie wiem, ile trwaliśmy w tym stanie, ale uczucie euforii było na tyle podniecające, że nie liczyłem się z tym, co realne. Chciałem zostać tu z nią na zawsze. Chciałem być z nią na zawsze. I żeby świat się więcej nie pokazał.

W końcu obudziłem się w innym miejscu. Zobaczyłem pustą przestrzeń – obszerne pola graniczące z taflą morza. Widziałem wielkie połacie bagien, torfowisk oraz łąk. Widziałem lasy porastające te tereny. Potem coś się zmieniło i woda zaczęła uciekać. Teren osuszał się. Widziałem ludzi przybywających na te ziemie, wykopujący rowy, sadzących drzewa – zakładający wsie, a potem miasta. Widziałem, jak ludzkość rośnie w siłę i zaczyna dorastać, jak zmienia się. Zobaczyłem

powiewającą nazistowską flagę i marsz tłumów ludzi. Obraz zmienił się i widziałem sowieckie wojska, które przechodziły tędy i przepędzały niemiecką społeczność. Widziałem nowych ludzi, którzy przybywali na nieznane sobie tereny i podporządkowywali ją swemu życiu. Martwe budynki ożywały. Były zmieniane, transformowane albo znikaly za sprawą ludzkiej ręki, by w ich miejsce wyrastały nowe.

Następnie widziałem małego chłopca przemierzającego uliczki Nowego Stawu. Chłopiec patrzył na miasto i chciał stąd uciec. Zatrzymał się na przystanku autobusowym. Ciężki plecak wyginał dziecięce ciałko. Nie był sam – obok niego stały demony, które go dręczyły, które szeptały mu do ucha wiele słów. Słów, które później ciągle słyszał i które doprowadzały go do szaleństwa. Tak jak demoniczny dotyk – ciągle czuł na skórze ślady przez nie zostawione. W końcu zobaczyły mnie – dorosłego. Rzuciły się w moim kierunku i przed ostatecznym uderzeniem we mnie – rozplynęły się w dym. A ja spadałem w ciemną otchłań.

Kiedy się obudziłem, leżałem na rynku. Z góry przez mgłę prześwitywało słońce – niebo błyszczało. Dookoła mnie stał tłum – ludzi i czarnych diabelków. Wielkich olbrzymów i dziwnych stworzeń, przypominających ożywione drzewa. Wstałem i rozejrzałem się. Wszyscy tworzyli zbity okrąg dookoła Olówka, przed wejściem zostawiono pustą przestrzeń, kilka stworzeń krzątało się tam w pośpiechu. Panowała cisza, dopiero teraz przzerwana rytmicznym skandowaniem, niezrozumiałych dla mnie słów. Tłum zafalował i utworzył korytarz prowadzący od budowli do Obrońców Westerplatte. Wzdłuż tego korytarza przemieszczała się grupka stworzeń, które niosły coś na swych barkach.

Przecisnąłem się, by być bliżej. Szło mi to z trudem, ale ostatecznie doszedłem do wolnej przestrzeni przed wejściem do wieży. Rytm tłumu przyspieszył, powietrze się zelektryzowało, a grupka stworzeń była coraz bliżej. W końcu zdjęła z ramion drewniane nosidło i położyła na bruku. Moim oczom ukazała się Ona. Leżała zemdlona, nawet w żaden sposób niezwiązana. Włosy rozlały się po bokach, a ręce zwisały poza drewniane krawędzie. Poczulem coś dziwnego – głos oskarżenia pod adresem dziewczyny. Nie powinna być tu ani w mojej głowie. Do tego doszedł jeszcze strach: co ja zrobię, gdy zniknie?

Dalem się jednak porwać tłumowi, tak samo jak on skandowałem hasło, a była to raczej jakaś moja fonetyczna próba jego odwzorowania. Macki przez drzwi wypelzły na zewnątrz, złapały

dziewczynę i pociągnęły do środka. Nieznajoma zniknęła wewnątrz, a do naszych uszu dotarło potężne chlupnięcie wody. Dopiero po chwili siła uderzenia zwała nas z nóg.

Kilka dni później wszystko wróciło do normy.

A teraz jestem tu. W swoim pokoju i patrzę na odbicie w lustrze. Już nie chłopiec, jeszcze nie mężczyzna. Stoję, a przede mną znajdują się walizki. Jestem gotowy opuścić to miejsce, opuścić to miasto. Ujrzałem Nowy Staw na nowo. Teraz jest dla mnie miejscem niezwykłym.

Miasteczko zamknęło pewien rozdział mojego życia – to były te wakacje, kiedy mogłem odnaleźć swoje macki w zapadlisku i wyciągnąć z przestrzeni to, co najlepsze. Teraz ja jestem jedną z trzcin na żuławskim bagnie i kołyszę się w rytm wiatru tych ziem.

Wszystko, co tu opisałem, jest jedynie krótkim zapisem tego, co przeżyłem. Albo tego, co wydawało mi się, że przeżyłem. Bo może było zupełnie inaczej.



Arthur Rackham, *The Rheinmaidens* (1910)



## W STRONĘ POSTMODERNY

Marcel Jakubowski

### Las nr 100

Kubuś Puchatek wypadł z czasu. Poszedł spać w ramionach dziesięcioletniego Krzysia, a obudził się w pudełku prezentowym, nad którym stała grupka trzylatków. Dało się słyszeć stłumione głosy: „Otfórz, otfórz!”, „Ale duzi!”. Ktoś w końcu pociągnął za koniec kokardy i uchylił wieczko. Światło oślepiło Puchatka i kiedy otworzył oczy, znajdował się już w Stumilowym Lesie, gdzie Królik był w trakcie jednego ze swoich słynnych obsesyjnie kompulsywnych ataków. „Jak cię widzą, tak cię piszą” – mówił. „Marchewki muszą być posadzone w pięciocentymetrowych interwałach”.

Kubuś wielokrotnie opowiadał, że widział moment swojego uszycia i rozprucia i że przenosi się do różnych momentów dzielących te dwa wydarzenia.

Tak mówił.

\*

Tak mówił wiele razy swojemu najlepszemu przyjacielowi, Prosiaczkowi, ale on był zbyt bojaźliwy, żeby zaakceptować ten odważny koncept myślowy. Mówił to Tygryskowi, ale ten umiał skupić się przez marne piętnaście sekund dziennie, zatem opowiedzenie mu całej historii wymagałoby pięciu lat. Jedynym, co mogło wciągnąć Tygrysa z powrotem na tory Puchatkowej myśli, był miodek, którym miś często częstował swoich słuchaczy.

\*

Kubuś Puchatek urodził się w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, tuż po pierwszej wojnie światowej. Krawiec, który go uszył, nigdy nie wychodził z pracowni. Wciąż czekał na powrót swojego syna z wojny. Syna przesłali mu niedługo później w drewnianej skrzynce. Zdarza się.

Konsekwencje międzynarodowego konfliktu, znane Puchatkowi tylko z opowieści, nigdy nie dotarły do Stumilowego Lasu. Była to idylliczna kraina mlekiem i Miodem płynąca. Kubuś znalazł tam wielu przyjaciół: Prosiaczka, Królika, Tygrysa... i Sowę, którego z czasem znienawidził za jego zamknięty umysł. Główną czynnością Sowy było siedzenie w jego wielkiej bibliotece i studiowanie starych chrześcijańskich tekstów. Jakoś pod koniec lat dwudziestych, Puchatek



przestał się z nim zadawać. „Co za Kantowskie podejście do świata!” – powtarzał Prosiaczkowi po każdej interakcji z tym ptasim mózdzkiem.

\*

Kubuś lubił dumać. Ponieważ znajdował się poza czasem, jedyną stabilną częścią jego życia stanowiła świadomość. Do perfekcji opanował praktykę egzystowania w chaotycznej rzeczywistości i jednoczesnego prowadzenia spójnych wywodów myślowych. Akurat gdy skupiał się na tym, że według Zenona z Elei jego puchate łapki nigdy się nie zetkną, wrócił do dnia, kiedy został odpakowany. Już tylko cienki, śmierdzący plastik dzielił go i Krzysia od wieloletniej przyjaźni. Napis „Jakub Niedźwiedź mini” przecięły duże, stare nożyczki, którymi nieporadnie operował Krzys. Tego dnia Kubusiowi prawie odcięto nos.

Chłopiec przytulił swojego nowego pluszaka i powiedział: „Kubuś, Puchatek Kubuś”.

Ten talent do tworzenia chwytliwych nazw towarzyszył Krzysowi aż do wieku dorosłego, kiedy to dorobił się niemałej fortuny na potajemnym przesyłaniu hasel propagandowych do Trzeciej Rzeszy. Później jednocześnie pisał hasła dla Amerykanów i Związku Radzieckiego. Zdarza się.

\*

Kubuś był znowu w pracowni szewskiej, gdzie właśnie wbijano mu igłę w oczodoly.

W porównaniu do narodzin pluszaka, narodziny dziecka to bulka z miódkiem. Pluszaki rodzą się w momencie gdy sześćdziesiąt procent ich ciała jest kompletne, co oznacza, że jeszcze nie są w pełni uformowane, kiedy uzyskują świadomość. Czują ból przyszywania nowych kończyn, a często zdarza się, że rodzą się jeszcze bez narządów pluszowych w brzuszku. Kubuś Puchatek narodził się bez oczu.

\*

Kubuś mrugnął i w mikrosekundzie drewniana chatka szewca zmieniła się w Stumilowy Las. „Witam, jestem Królik – zarządca i gubernator tych ziem. To Klapouchy, mój zastępca. Podobno ogon stracił na wojnie, tak przynajmniej mówi Krzys, ale sam osiołek tego nie pamięta. Zdarza się” – Królik odchrząknął niezręcznie. – „To jest Prosiaczek, Sowa, Kangurzyca i... gdzie Tygrysek i Maleństwo?”. „Czy to oni właśnie wyjadają maliny z tamtego ogrodu?”. Królik obejrzał się i zaczął wykrzykiwać przekleństwa w stronę dwóch lasuchów.

„Cześć, jestem Kubuś. Puchatek Kubuś.” „P-p-prosiaczek, m-m-miło c-c-cię poznać K-k-kubusiu”, „Kangurzyca” – powiedziało uśmiechnięte brązowe stworzenie. „Po chińsku kangur to mysz z torbą” – powiedział Sowa i spojrzał na Kubusia w poszukiwaniu uznania. Pomarańczowa smuga przemknęła misiowi przed oczami. „Tygrys! Mistrz skakania i hopsania. Laureat nagrody Hopla za nowe odkrycia w dziedzinie fizyki” – powiedział czarno-pomarańczowy

stwór i dokądś pobiegł. „Ja muszę już iść gotować ziemniaki” – powiedziała Kangurzycza i także odeszła, hopsając. Sowa odleciał bez słowa .

„Mam nadzieję, że ty mi nie odhopsasz” – zaśmiał się Puchatek. „N-n-nie. N-no co ty-y, n-nigdy bym czegoś t-takiego n-n-nie zrobił. M-możemy n-na przykład i-iść na-ad rzeczkę” – wydukał przestraszony Prosiaczek.

I tak zrobili. Puchatek opowiadał jak to się cieszy, że nie siedzi już w pudelku. Spędził tam trzy lata swojego życia, podróżując od sklepu do sklepu. Czasami jakieś dziecko podbiegało do opakowania, w którym się znajdował, ale szybko mama odciągała je od witryny mówiąc, że po wojnie trzeba oszczędzać. Prosiaczek w swoim spędził siedem lat, stąd jego jąkanie. Zdarza się.

Od tego czasu zaczęli określać swoje pierwsze lata samotności mianem Pudła. Nauczyli się tego słowa od Krzysia, który często bawił się z nimi i gdy któryś z nich popełnił przestępstwo, mówił, że pójdą do pudła. Potem zastanawiali się, czemu trafiali do pudła od razu po uszyciu. Sowa wyjaśniał, że każdy z nas rodzi się z grzechem i każdy musi za to wycierpieć.

\*

Znowu był nad rzeczką z Prosiaczkiem, ale nie był już tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty, lecz trzydziesty pierwszy. Prosiaczek opowiadał mu właśnie o swoich problemach w związku z Kangurzyczą. „C-ciągłe głaszczę m-mnie p-po g-główce jak t-to robiła z d-d-dziecia-a-akiem. O-o-o-dkąd się wyprowadził do Ty-ty-tygryśka tr-traktuje mnie ja-a-ak dziecko i m-m-ma-am te-ego k-k-k-urwa dość” „Zdarza się” powiedział spokojnie Puchatek. „J-jak t-tak m-m-ożesz m-m-ówić? T-o-o jest zw-związek prawie kazirodczy p-przez to”. „A tam, zostaw to. Pomyślisz o tym jutro, a jutro przelożysz to na jeszcze jutrzej”. Kubuś wskoczył na kłodę i zaczął iść do przodu balansując na niej. „N-n-no może m-m-masz rację, jestem s-strasznie z-zestresowany ty-tym. N-nasz z-związek już n-nie jest e-erotyczny. J-jestem na-nabuzowany.” „Pokaże ci coś” powiedział Kubuś, zeskakując z kłody. „To jest mój kącik dumania, często siadam tutaj i dumam”. Położyli się razem w ciszy pod wielkim dębem i rozmyślali. Drzewo miało magiczną moc sprawiania, że z głowy uciekały wszystkie problemy. Obaj rozmyślali o tym, jak świat jest piękny, jak szum wiatru laskocze ich po nosie i uszach, jak te wróbelki na drzewach pięknie ćwierkają i w końcu jak przyjemne jest złączyć ciężkie powieki, wtulając się w siebie nawzajem pod wielkim stuwiekowym drzewem.

\*

Puchatka obudził głośny huk zza okna. Był tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy, a on siedział na parapecie w domu Krzysia. Z dołu dało się słyszeć krzyki i trzaski, a w oddali głośne uderzenia. Za każdym razem, gdy przenosił się do tego wydarzenia, miał nadzieję, że potoczy się ono inaczej, ale nigdy tak się nie stało. On i jego przyjaciele siedzieli nieruchomo, patrząc na stuwiekowy las, który stał w płomieniach. Do pokoju wbiegł dwudziestodwuletni Krzys i zaczął pakować różne

przedmioty do plecaka. Wziął kilka zeszytów, książek oraz swój zegarek, który dostał na dwudzieste pierwsze urodziny (dwudziestych drugich nie obchodził). Z dołu było slychać krzyki matki: „Krzysiu, Krzysiu, schodź!”. Chłopak wybiegł z pokoju, ale szybko wrócił i złapał za łapkę Puchatka. Sięgał właśnie po Prosiaczka, kiedy za oknem rozległ się kolejny ogłuszający dźwięk. Krzys podskoczył i obrócił się w stronę drzwi. Puchatek sam spróbował złapać Prosiaczka za racię, ale był za nisko. W przeciągu kilku minut znaleźli się z Krzysiem w starym fiacie pięćset jeden.

To była zimna noc w rzeźni *number five*, gdzie schowali się przed bombowcami. Mama Krzysia oddała rzeźnikowi swój pierścionek zaręczynowy, żeby ich wpuścił. Przesiedzieli całą noc w gęstej ciszy. Nikt się nie odezwał. Każdy siedział sam w swojej głowie. Kubuś pomyślał, że jest to odwrotność kącika dumania. On rozmyślał o swoich przyjaciółach pozostawionych na parapecie, Krzys o swojej dziewczynie, która mieszkała tam, gdzie, jak widział, spadły bomby. Mama Krzysia myślała o tym, jak wytłumaczy swojemu mężowi, że wymieniła pierścionek zaręczynowy za schronienie. Na szczęście jej mąż zginie w Ardenach w czterdziestym czwartym.

Akurat gdy nad nimi rozległ się donośny huk, Puchatek przeniósł się aż do czterdziestego szóstego, kiedy to ujrzał się w koszu, który porucznik Krzysztof oddał przedszkolakom. Kubusiowi było już wtedy obojętne, gdzie wyląduje. Wszyscy jego przyjaciele zostali rozerwani podczas tej zimnej, milczącej nocy, którą Kubuś i Krzys spędzili w rzeźni wśród martwych świń. Rozmyślał wtedy o życiu, jakby widział je z kosmosu. Widział siebie jako jednego z milionów „Niedźwiedzi Jakubów mini”, których uszyto po tym, jak jego twórca sprzedał licencję firmie „Toys with Voice”. Jego życie nie miało żadnego wpływu na rzeczywistość, a dumanie nie doprowadziło do oświecenia. Gdzieś w głębi wiedział, że tak będzie, ale teraz nie mógł nawet znaleźć przyjemności w samym działaniu. Czuł się jak kukielka, którą ktoś się bawił w tragedię.

Nie myślał o tym długo, bo już drugiego dnia jego pobytu w przedszkolu czteroletni chłopiec wraz z sześciolletnią dziewczynką rozerwali go na pół.



Pablo Picasso,  
*Guernica*  
(1937)

Marek Arasimowicz

## Pan Reiner i Sekretarka

– Usiądź tu! – rozkazała.

Obszernym gestem smukłej dłoni zaprosiła go na wyściełane poduchami łoże kryte czerwoną draperią. On stał nadal w drzwiach, niepewny i nieobecny. To ją rozczuliło. Lubiła takich klientów: młodych, niedoświadczonych chłopców, którzy nie mieli jeszcze kobiety. Przychodzili do niej z pieniędzmi w dłoni, tak jak wyrostki chodzą po chleb do piekarni, cały czas trzymając monety, aby na pewno nie wypadły z dziurawych kieszeni.

– No chodź, kochany, wszystko będzie dobrze. Zobacysz... – Uśmiechnęła się ciepło. Mężczyzna usłuchał. Powoli podszedł do łóżka stojącego w centrum małego pokoiku i usiadł.

– Widzisz, nie ma się czego bać – wyszeptała, gładząc go po oszpeconej blizną twarzy. Dosiadła go z gracją, obejmując za szyję. W tym momencie nieśmiali chłopcy zazwyczaj zupełnie zapominali o strachu i ciekawsko spoglądali na jej krągłe piersi, ukryte pod cienką, niemal przezroczystą halką. On jednak dalej patrzył nieobecnym wzrokiem, zupełnie je ignorując. Zdziwiła się, ale była cierpliwa i wyrozumiała. Uniosła się lekko, by pomóc mężczyźnie w znalezieniu biustu. Zareagował, jakby budząc się z odrętwienia. Piękne, niebieskie oczy wzniosły się i poczęły błądzić po pełnej, poprawionej różem twarzy, wyraźnie czegoś szukając. Uznała, że może działać dalej, więc pchnęła go delikatnie, układając na plecach. Wsunęła rękę pod koszulę, wyczuwając wyraźne blizny na brzuchu, boku i – największą – w okolicy serca. Drugą dłoń gładko wsunęła się w spodnie, powoli i dokładnie badając krocze.

– Przestań – wyszeptał mężczyzna, zaciskając wargi.

Poczuła, że wszystko wraca na właściwe tory. Przekornie zintensyfikowała dotyk.

– Przestań! – Krzyknął, blokując jej przedramię w żelaznym uścisku.

– Błagaj... – wyszeptała namiętnie i zacisnęła zęby na jego wardze.

Mężczyzna krzyknął. Nie był to jednak krzyk bólu czy jęk rozkoszy, ale coś, co mogła porównać jedynie do rozrywającego łkania rannego psa. W tej samej sekundzie leciała już przez pokój, lądując boleśnie na ścianie. Zderzenie odebrało jej dech, przed oczyma pojawiły się mroczki, a jedyne, co zapamiętała, to ów mężczyzna – ale jakby zmieniony, inny – zrywający się z potwornym wyciem z łóżka.

Gdy otworzyła oczy, wszystko widziała jak przez mgłę. Była znowu na łóżku. Próbowwała sobie przypomnieć, co się stało, lecz rozmyślenia przerwał jej ostry ból w potylicy. Syknęła.

– Przepraszam. – Rozległ się ciepły, niski głos.

Dostrzegła nieostry kontur mężczyzny, który pochylał się nad nią, zakładając prowizoryczny kompres z prześcieradła na jej obolałą głowę. Odzyskując ostrość widzenia, zauważyła, że jest teraz zupełnie inny: pewny siebie, rycerski, nawet przystojny – czego wcześniej nie dostrzegła.

– Przepraszam – powtórzył mężczyzna, odchodząc od łóżka. – Powiedz tylko, ile, i już mnie nie...

– Poczekaj... – przerwała mu w pół słowa.

Sama nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, ale zanim zdążyła przemyśleć swoją decyzję, jej usta, kierowane nadmierną ciekawością, sformułowały pytanie.

– Jak masz na imię?

Mężczyzna zastanowił się chwilę, jakby nie znał odpowiedzi. Podeszedł do niej, poprawił kompres, przeszedł się po pokoju, znów poprawił kompres i usiadł na krześle przy łóżku. Nie poganiała go, dawała czas, którego najwyraźniej potrzebował.

– Jestem Hans – odezwał się cicho.

– Hans... Lubię to imię. – Uśmiechnęła się do niego.

– Ja też je kiedyś lubilem...

– A teraz?

Hans zastanowił się chwilę.

– A teraz siedzę w berlińskim burdelu i marnuję czas nieznajomej...

– Uśmiechnął się gorzko.

– Marlina. Ale możesz mówić „Mimi”, jeżeli obiecasz, że już nie będziesz mną rzucal.

– Uśmiechnęła się zalotnie. Hans zarumienił się nieco z zażenowania.

– „Mimi”... Lubisz, jak tak do ciebie mówią?

– Nie wiem. – Spojrzała w sufit. – Ważne, że klientom się podoba.

Zapadła niezręczna cisza. Czują wiszącą w powietrzu tajemnicę, lecz nie chciała urazić Hansa. Była jedynie zwykłą „Nutte”, a on powinien zostać jej kolejnym bezimiennym klientem. Powinien...

– Hans?

– Tak?

– Te blizny... Byłeś żołnierzem?

– A kto w tym kraju nie był żołnierzem, Marlino? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Wyglądał na poirytowanego.

– Przepraszam, Hans, nie chciałam...



Znów zrobiło się cicho. Marlena ukradkiem spoglądała na twarz Hansa. Coś działo się w tym przystojnym, młodym żołnierzu, czego dotychczas nie widziała u innych klientów. Jego twarz ulegała przeobrażeniu i w nikłym świetle wpadającym przez zasłonięte okna dostrzegła, że oczy Hansa zachodzą mgłą. Spuściła taktownie wzrok, żeby nie widzieć męskich łez na jego policzku...

– Marleno? – zapytał po chwili, nie panując nad głosem.

– Tak?

– Płacę za godzinę, prawda?

– Tak – odparła, rozumiejąc już, do czego zmierza. Spojrzała na niego. Po twarzy ciekła mu cienka strużka.

– I nieważne, co robimy... – ciągnął z trudem.

– Tak, Hans, możemy porozmawiać – pomogła mu dokończyć.

Było w nim coś tak niezmiernie żalospnego, a jednocześnie tak pięknego, że nie byłaby w stanie odmówić. Głowa nadal ją bolała, ale zupełnie nie zwracała na to uwagi.

– Opowiem ci coś, Marleno, dobrze?

– Dobrze, Hans – odparła, obserwując, jak mężczyzna gorączkowo wyciąga z kieszeni czarny notes.

– Mogę cię prosić...? – Podał jej ołówek i notatnik. – Dasz radę?

– Dam – odparła bez wahania, otwierając notes. Był pusty.

Hans wyprostował się na krześle i zamilkł. Siedzieli tak przez chwilę w kompletnej ciszy, nie patrząc na siebie, niemal nie oddychając. Marlena trzymała ołówek w zaciśniętej ręce, czekając. Owładnęło ją dziwne podniecenie, którego już dawno nie odczuwała. Przez obolałą głowę przewijały się setki pytań na sekundę; ogromna ciekawość tego młodego mężczyzny, który wpierszył ją o ścianę, a następnie zapragnął zwierzyć się jej – średniej klasy „Nutte” – z jakiegoś sekretu. Była przekonana, że to historia tak tajemna, że nie mogła być opowiedziana nikomu bliskiemu. Hans nie zwierzył się przyjacielowi, żonie – na pewno miał żonę, był zbyt przystojny na kawalerstwo – ani nikomu innemu, tylko jej...

– Śmierć... – Głos Hansa w ciemny pokój zabrzmiał dostojnie i zimno. – Śmierć jest bardzo wybredna.

– Nie rozumiem, Hans... – Marlena była skonfundowana.

– Zaczynaj tak, Marleno: „Pamięci Güntera Kröla: męża, przyjaciela, żołnierza”. – Głos miał spokojny. Sprawdził, co napisała.

– Ładnie piszesz – pochwalił. – Podpisz: „Hans Reiner”.

Wypisała dedykację pochyłą czcionką. Gdy oderwała wzrok od dziennika i spojrzała na Hansa, ten wstał i zaczął nonszalancko przechadzać się przed nią po małym pokoju. Między ścianami były może ze trzy metry, więc co dwa kroki musiał zawracać.

– Już – odparła, przewracając stronę.

\* \* \*

### **„Śmierć jest bardzo wybredna”**

*Pamięci Güntera Kröla: męża, przyjaciela, żołnierza*

*Hans Reiner*

Kaltenbach, wąwóz Zillertal, Tyrol... piękne miejsce na ziemi, w którym spędzaliśmy najcieplejsze lipcowe dni. Pamiętam, jak biegaliśmy do Gerlos... Günter był cztery lata starszy i szybszy, ale ja znałem wszystkie leśne skróty, więc nasze zawody były wyrównane. Na obiad Günter przychodził do mnie...

Mieszkałem w dolince, za domkiem płynął Ziller... Nie był to duży dom, raczej mały, kryty gontem. Ściany to były drewniane bale, które mój ojciec wycinał w pobliskim Fügen. Niewiele, ale więcej nie potrzebowaliśmy...

W Zillertal mieszkali prości ludzie, którzy wiedli spokojne życia u podnóża Alp. Czas biegł powoli, odliczany niedzielnym nabożeństwem i zmieniającymi się porami roku. Zimą zjeżdżaliśmy na nartach z Wimbachkopf, Gedrechtera i wielu innych szczytów – pamiętam, że wtedy jeszcze nieliczni turyści wynajmowali nas jako przewodników... Latem wspinaliśmy się na Tuxer – bez koszul, w krótkich spodniach i goglach. Śnieg utrzymywał się tam cały rok, ale latem było bardzo ciepło...

I tak co roku, do moich dziesiątych urodzin. Wtedy Günter wyjechał z rodziną do Innsbrucka, a ja zostałem bez przyjaciela... W tym roku zmarł ojciec. Mama musiała się zająć owcami, a ja musiałem zająć się nią i domem. Całe życie chorowała na serce, miała problemy w górach, a pewnego dnia nie wróciła z wypasu... Spadła z grani, jakieś trzysta metrów. Inni pasterze mówili, że nagle złapała się za serce, straciła równowagę i... Ciało ściągnęli w dniu moich dwiętnastych urodzin...

\* \* \*

– Przykro mi, Hans.

– Mi też było przykro, ale był rok 1914 i parę dni później wyjechałem do koszar...  
– rzucił z przekąsem.

– Nie wyglądasz na dwadzieścia pięć lat... – Marlena szybko zmieniła temat.

– A na ile, Marleno? – Spojrzał na nią, wyrwany z rozmyślań.

– Wyglądasz bardzo dojrzałe, tak trzydzieści pięć, może trzydzieści siedem...

– Ty za to wyglądasz nadal na osiemnaście – odwzajemnił komplement.

– A, daj spokój. – Zarumieniła się. – Klienci mówią, że już się robię za stara do tego.

– Na tym się akurat nie znam. – Uśmiechnął się łagodnie. – Ale wiem jedno, świetnie słuchasz...

– Ciekawej historii słucha się z przyjemnością – odparła. – I nie zapominaj, że mi płacisz. – Mrugnęła.

– No tak... – Spuścił wzrok.

– No dawaj dalej, ja słucham – ponagliła go.

\* \* \*

Na komisji w Insbrucku spotkałem Güntera. To było jak powrót do domu, staliśmy w kolejce do tego pieprzonego okienka i na zmianę opowiadaliśmy, co u nas się działo. Günter był już wtedy żonaty z piękną dziewczyną, Marią. Niska, szczupła, kasztanowe włosy – w dodatku skromna i w jej dużych niebieskich oczach widziałem, że naprawdę go kocha. Günter w ogóle zawsze był śmiały względem kobiet, plotki o jego podbojach krążyły po całej dolinie Zillertal. Często był rugany przez plebana za flirtowanie na szkółce niedzielnej... Ale Maria była wyjątkowa...

Zaprosili mnie tego dnia na obiad do małego, przytulnego mieszkanka na trzecim piętrze. To był szok dla takiego chłopaka z prowincji jak ja – piękna chińska zastawa, żarówki, radio... Ale najważniejsza w tym domu była rodzina. Mieli dwójkę dzieci: Wolfganga i małą Gretę... Doskonale pamiętam, jak Maria wniosła Wolfganga do małej, ciemnej kuchni, gdzie jedliśmy. Mały chłopiec powlóczył nogami, nie był w stanie stać samodzielnie, nikt nie wiedział czemu. Günter zdawał się tym nie przejmować, ale później mówił mi...

Tego wieczora świętowaliśmy w salonie. Günter brał Wolfganga na barana, skakał po pokoju z Gretą na rękach, tulił żonę, jakby miał widzieć ich ostatni raz w życiu...

\* \* \*

Ostatnie zdanie poprawiała wielokrotnie, bo Hans zaczął się jąkać, wtrącać niezrozumiałe słowa, jakby rozmawiał z kimś, kogo na pewno nie było w tym małym burdelu w centrum Berlina. Zastanawiała się, czy powinna mu zwrócić uwagę, czy raczej pozwolić, żeby wyartykułował wszystko, co uważa za ważne, nawet jeśli nie miałyby to sensu. Dylemat rozwiązał sam Hans, bo zamilkł nagle, zatrzymując się w pół drogi między ścianami. Wykorzystała ten czas, poprawiając kilka zdań, które wydawały jej się zbyt pospolite i nieeleganckie, choć właściwie to nie wiedziała, po co to robi. Może chciała zaimponować mężczyźnie, który pochwalił jej charakter pisma? Pokazać, że jest kimś więcej niż tylko zwykłą zdzirą, że ma zmysł literackiego smaku? Nietuzinkowość sytuacji, której częścią się stała, powoli zaczęła do niej docierać, lecz nie

odczuwała potrzeby ucieczki. Czula się dobrze w roli osobistej sekretarki Hansa – wyobrażała sobie, że siedzi za biurkiem i pisze na maszynie, a Pan Reiner, który jest dyrektorem dużej fabryki, przechadza się po ogromnym, okrągłym biurze z cygarem w ustach, dyktując jej treść ważnej korespondencji służbowej.

– Gdy błędnych grzmotów huk... – Hans zaczął dyktować zniecka.

Stał twarzą do niej, opierając się o framugę drzwi, ale znów patrzył gdzieś w przestrzeń ponad nią. Pochyliła się i ledwo zdążyła zapisać pierwszą linijkę czegoś, co przypominało wiersz, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi. Hans uciekł.

– Skurwysyn! – Zakląła.

Niewiele myśląc, wyskoczyła z łóżka. Nie zwracając uwagi na pękającą od bólu głowę, szybko narzuciła na halkę dziurawy płaszcz, zakryła opatrunek Hansa jasnym beretem, założyła pantofle i wybiegła za nim.

– Ten wariat to od ciebie? – Zapytała ironicznie burdelmama, gdy Marlena znalazła się na korytarzu.

Przytaknęła.

– Wybiegł tyłem. Gadał coś o „strachu, co otwiera powieki” czy inne bzdury. Co ty mu...? Marlena nie dosłyszała pytania, bo w pędzie niemal spadła ze schodów prowadzących do tylnego wyjścia z burdelu. Gdy otworzyła drzwi, przywitał ją niemiłosierny ziąb. Ciemna uliczka do kostek była zasypana świeżym śniegiem. Wyraźnie odbiły się na nim pojedyncze ślady męskich butów. Marlena ruszyła w pościg za nieuczciwym klientem, zastanawiając się, co mu robi, jak go złapie. W porę jednak uświadomiła sobie siłę Hansa, który dwie godziny wcześniej pozbawił ją świadomości. Zresztą, ona sama dała się oszukać. Płaciła teraz cenę za nadmierną ciekawość i dobre serce.

– Sekretarki głupiej pindzie się zachciało – karcila siebie w duchu, mijając kolejne ciemne zaułki.

Hans był szybki, ale Marlena była zdeterminowana, żeby odzyskać należne pieniądze. Ślady skręciły w ciemną bramę i znikły nagle wśród innych, idących w przeciwne strony, krzyżujących się i przecinających... Nagle usłyszała za sobą kroki.

– Ty podły...! – Odwróciła się, spodziewając się zobaczyć Hansa. Za nią stało dwóch rosłych mężczyzn, lecz żaden z nich nie był Hansem.

– Johan! – Zaczął ten wyższy, od którego cuchnęło, jakby zamiast żołądka posiadał kadź browarniczą.

– Taaaak? – Pijacko zaśmiał się Johan.

– Powiedz mi, proszę, taką jedną rzecz. – Zmuszenie umysłu do działania sprawiało mężczyźnie wyraźny trud. – Tak technicznie rzecz biorąc: da się wyruchać kurwę?

Mężczyźni zanieśli się obrzydliwym pijackim śmiechem. Marlena próbowała uciec, lecz Johan chwycił ją wpół i pchnął na ścianę walącą się kamienicy. Uderzenie w świeżą ranę odebrało jej kontrolę w ciele. Osunęła się bezwładnie, mogąc jedynie obserwować, jak mężczyzna nazywany Johanem rozpina spodnie.

– Nie wiem – zachichotał. – Ale się zara dowiem!

Drugi mężczyzna podniósł ją i przyszpilił do ściany. Czula jego obleśny dotyk na swoich udach. Zgiął ją wpół. Zamknęła oczy i próbowała krzyknąć, lecz mężczyzna wepchnął jej w usta brudną rękę. Nie mogła oddychać, nie miała siły walczyć, nie miała nawet siły płakać. Bezgłośnie wyla z bezsilności, czekając na nieunikniony ból. Mężczyźni zanosili się śmiechem, klepiąc ją po pośladkach.

Nagle poczuła, że upada. Brudna łapa przestała zasłaniać jej usta, nie czula obleśnego dotyku pijaków na ciele. Wylądowała miękko na śniegu. Coś przeleciało obok niej, lupnęło w ścianę i zatrzymało się na poziomie jej wzroku. To był Johan. Nie poruszał się, a jego głowa znajdowała się pod bardzo nienaturalnym kątem względem reszty ciała. Ostatkiem sił spojrziała w kierunku, z którego nadleciał. Pijak wił się na ziemi, brudnymi rękami próbując wyzwolić się z uścisku szczupłego blondyna. Ten jednak nie odpuszczał, miażdżąc jego tchawicę przedramieniem. Pijak stopniowo tracił siły, przestał wierzgać nogami, zaczął charczeć i pluć krwią. Blondyn odczekał chwilę, a potem uniósł go lekko, jakby ten nic nie ważył, i wykonał szybki ruch torsem. Coś chrupnęło i bezwładne ciało uderzyło o bruk. Blondyn wyprostował się, oddychając ciężko.

Marlena zamknęła oczy. Otepiała, liczyła, że dzięki temu uchroni się przed wzrokiem mężczyzny. Myliła się. Po chwili płynęła w powietrzu, niesiona na czyichś ramionach, zbyt przerażona, by otworzyć oczy. Słyszała dudnienie butów na drewnianych schodach. Skrzypnęły drzwi, poczuła miękkość pościeli, a dotyk rąk, które ją niosły – tak różny od plugawych łap pijaków i lubieżnych macanek klientów – nagle ustał. Leżała chwilę w bezruchu, próbując zdobyć się na uchylenie powiek. Im dłużej leżała, tym większej nabierała pewności, że jest bezpieczna, że zagrożenie dawno minęło.

– Marleno... – Usłyszała znajomy głos.

Otworzyła oczy. Nad nią pochylał się Hans z kawalkiem chusty.

– Opatrunek przesiąka... – wytłumaczył.

Zręcznie zdjął zbroczone krwią płótno i dokładnie owinał jej głowę nowym bandażem. Gdy jego ręce dotknęły głowy, nie poczuła bólu – odwrotnie, dziwną błogość.



– Dziękuję, Hans – wyszeptala. – Gdyby nie ty, tamci... – Łzy same wystąpiły na jej policzki.

– Nie mów o tym, Marleno. – Hans delikatnie otarł kropelki, gładząc ją po policzku.  
– Słowa utrwalają pamięć...

Odszedł od niej i usiadł przy biurku. Był to jedyny mebel, poza łóżkiem, który Marlena mogła dostrzec w małym pokoiku na poddaszu.

– Ile jestem winien? – Zapytał, nie patrząc na nią.

– Nic – odrzekła, wspierając się na łokciach.

– Nie rozumiem...

– To ja mam u ciebie dług...

– Nic mi nie jesteś winna – odparł, spoglądając na nią. Zdał się jej jeszcze starszy niż w burdelu.

– Zabijeś ich, Hans! – Marlena wstała z łóżka i chwiejnym krokiem podeszła do niego. – Zabijeś ich, by mnie ratować!

– Zabiłem wielu ludzi, Marleno.

Nie patrzył na nią, zdawał się bardzo spokojny.

– Pójdiesz siedzieć, jak się wyda! – Spróbowała uświadomić mu konsekwencje jego działań.

– Nie pójdę, Marleno. A jeżeli nawet... To co z tego...

Znów spokój. Próbowala spojrzeć mu w oczy, zrozumieć, co kryje się w umyśle człowieka, który ją ocalił. Hans jednak unikał jej wzroku, zajmując się wyciągniętymi z pojedynczej szuflady papierami.

– Spójrz na mnie, Hans! – Rozkazała.

– Nie powinienem...

– Patrz na mnie, do ciężkiej cholery! – Chwyciła go za starannie ogolony podbródek.  
– Kim ty jesteś?!

\* \* \*

Hans Reiner stał, a dokładniej leżał, na dnie głębokiego okopu, gdzieś w okolicach spokojnej, francuskiej wioski Verdun. Właściwie to Hans nie wiedział, co się z nim dzieje; nie wiedział, że błoto, w które wgryzał się, by nie czuć strachu przed ogłuszającą salwą artylerii, zmieszane jest z jelitami, krwią i oprawkami okularów Güntera, który jeszcze pięć minut wcześniej dawał mu ogień, a którego rozczłonkowane ciało tworzyło już tylko makabryczną mozaikę na ścianach zbyt płytkiego okopu, na którego dnie Hans Reiner nie zdawał sobie sprawy z wielu rzeczy, w tym z tego, że sam umiera...

\* \* \*

– Günter...? – Zapytała, a głos jej zadrżał.

– Tak – odparł smutno, wyciągając jej z ręki skrawek papieru, który czytała.

– To twój pamiętnik?

– Nazywam go Dziennikiem Śmierci.

– Dobrze piszesz... – wypaliła bezmyślnie.

– Wolalbym, żeby ktoś lepszy to spisał jednak. – Wskazał na szufladę pełną kartek.

– Co to? – Zajrzała ciekawsko, siadając mu na kolanach. Stare krzesło zaskrzypiało złowieszczo.

– Więcej śmierci...

Mroczne słowa Hansa pobudziły ciekawość Marleny. Zaczęła przeglądać papiery. Kilka kartek było pogniecionych, parę innych zapisanych tylko do połowy niechlujnym pismem. Na samym dnie znalazła jedną, która od razu przykuła jej uwagę.

– Gdy błędnych grzmotów... – przeczytała na głos, spoglądając ciekawie na Hansa.  
–Mówiłeś to, zanim dałeś nogę.

– Naprawdę? – Hans wydawał się zdziwiony tym stwierdzeniem. Spojrzał na kartkę i uśmiechnął się gorzko.

– Co to?

– Mój jedyny wiersz...

– Przeczytasz?

Hans chwycił ją od pachy i usadził na stole. Podszedł do małego okna, najwyraźniej, by lepiej widzieć tekst.

*Gdy błędnych grzmotów huk i strach otworzy me powieki*

*Bym znów mógł ujrzeć ślepy świat, złączony przez zasieki*

Mówił powoli, wyraźnie kładąc akcent. Po ostatnim słowie przerwał, zgiął kartkę i schował do kieszeni. Odwrócił się do Marleny i wolnym krokiem zaczął podchodzić do stołu, na którym siedziała, deklamując z pamięci.

*Gdzie bratu bratem brata brat / Odmienny przez przypadki*

*Choć trupem tylko zda się być, to życie niedzie gładkie.*

*Nie liczy godzin, bo gdzie sens w tym, gdy czas w sekundach ginie?*

*Nie szuka szczęścia, bo szkoda sił, gdy te stają na minie.*

*Nie umie kochać, bo kochać co? / Ten okop brudny i krawany?*

*Żywy czy martwy, trup zginął tam / Bez surm, honorów i sławy.*

Usiadł i tym razem spojrzal Marlenie prosto w oczy. Zobaczyła w nich niewyobrażalny ból, który sama tak dobrze знаła. Nie ból fizyczny, ten dało się znieść; to był ból palącego sumienia, hańby i odrzucenia; ból straty. Wiersz Hansa poruszył ją do głębi, poczuła z nim niesamowicie silną więź. On jedyny mógł zrozumieć, co ona czuje, gdy codziennie wdzięczy się do klientów, kiedy sprzedaje swoje ciało, by przetrwać; tylko żołnierz, który sprzedaje całego siebie, swoje życie i swoją śmierć, za niski żołd i fatalne warunki. Robi wszystko, byle przetrwać...

- Wiesz, co jest najgorsze? – Odezwał się po chwili ciszy, rozklejając się tak jak ona.
- Rodzina... – odparła bez zastanowienia, ocierając oczy przedramieniem.
- Günterowi urodził się syn... Helmut... Widziałem go, piękny chłopczyk.
- Masz zdjęcie?
- Patrz, jaki wesoly. – Wyciągnął zdjęcie. – Maria trzyma go na rękach, po lewej Greta...
- A Wolfgang?

Hans otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Ręka trzymająca zdjęcie zaczęła mu się trząść. Marlena czule go objęła. Czowała, jak Hans drży cały z emocji, gdy ukrył twarz w jej ramieniu.

- On umarł, Marleno...
- Tak mi przykro, Hans.
- Chciałem coś zrobić, pomóc...
- To nie twoja wina, Ha...
- Ale Maria nie chciała, prosiła, żebym jechał.
- Przypominałeś jej Güntera, Hans... – Otarła jego łzę.
- Tak...za bardzo jej go przypominałem...

Patrzyli sobie prosto w oczy, płacząc i pociągając nosami. Ich twarze zbliżały się powoli do siebie bez zbędnych słów. Gdy zetknęli się nosami, Marlena przymknęła oczy, oczekując.

- Marleno... – Hans odezwał się po chwili.

Otworzyła oczy. Hans odsunął się widocznie zakłopotany.

- Muszę zapalić...Wiesz, gdzie tu można kupić papierosy?
- Tak, jasne. – Wstała, również speszona.

Wręczył jej portfel.

- Cały? – Zdziwiła się.
- Ufam mojej sekretarce. – Hans uśmiechnął się ciepło. Marlena poczuła dziwny, przyjemny skurcz w brzuchu.
- Zaraz wracam, Hans – odparła, otwierając drzwi.
- Uważaj na siebie, Marleno...

\* \* \*

Świtało. Berlin powoli budził się do życia, lecz najbliższy otwarty kiosk był parę ulic od taniego hotelu, w którym mieszkał Hans. Ulice były puste, bo wszystkie berlińskie szumowiny spały jak zabite po nocnych libacjach i nie wstawały do południa. Marlena czuła się całkiem bezpieczna, idąc ulicą z ciężkim portfelem. Gdy kupowała papierosy, zdała sobie sprawę, że Hans miał pieniądze, które starczyłyby na cały tydzień rozmów, ale teraz, gdy go poznała, nie rozumiała, jak mogła wtedy myśleć o wystawianiu mu rachunku...

Wróciła do hotelu. W holu wpadła wprost w ramiona umundurowanego mężczyzny.

– Chodź ze mną, Mimi – szepnęła jej do ucha. Skonfundowana, poszła za policjantem do bardziej ustronnej części holu, czyli damskiej łazienki.

– Czego chcesz? – W mężczyźnie rozpoznała Ericha, stałego klienta.

– Przyjmujesz teraz chłoptasiów tutaj? – Zapytał, zapalając papierosa. Mała łazienka szybko wypełniła się zapachem dymu. Znała ten okropny smród tanich papierosów Ericha, był jednym z tych, którzy zawsze palili „po”.

– Nie twój interes – odszczekała się.

– Znasz niejakiego Hansa Reinera? – Zapytał, przyglądając jej się uważnie.

Serce Marleny забиło mocniej. Wydarzenia minionej nocy nie pozostawiały złudzeń – znaleźli trupy i powiązali je z Hansem!

– Nie znam. – Pokręciła przecząco głową, czując wielką gulę, gdzieś w okolicy przełyku.

– Na pewno?

– Tak.

– Mógł się przedstawić jako Günter Kröl...

Poczula, że traci grunt pod nogami. Oparła się o brudny zlew. Erich to dostrzegł.

– Szłaś do niego, co? – Zapytał wprost.

Milczała.

– Zostawił dla ciebie list! – Syknął, przyszpilając ją do ściany. Wyciągnął zapieczętowaną kartonową teczkę.

– Oddaj! – Krzyknęła Marlena, próbując wyrwać mu ją z ręki.

Erich szybko cofnął dłoń i uśmiechnął się lekko.

– Czyli jednak znasz... No cóż, przykro mi to mówić. – Usiadł nonszalancko na sedesie. – Ale twojego kochasia już z nami nie ma. Strzelił sobie w łeb.

– Nie...! – Wykrztusiła Marlena.

– Napisał, że przeprasza, ale nie ma pieniędzy i ma dość...

Marlena nie mogła nic odpowiedzieć, choć czuła ciężki portfel Hansa w swojej kieszeni.

Jak...? Zadawała sobie to pytanie, próbując bezskutecznie znaleźć odpowiedź, pogodzić się z tym, że pan Reiner, którego była sekretarką, nie przejdzie się po pokoju, nie zapali cygara, nie zaproponuje już kolacji, nie dotknie opatrunku. Ukochany Hans odszedł... Hans, a może Günter?

– Znam Hansa – wyrzuciła w końcu. Czuła ogromny ból, ale on tylko podsycił jej wściekłość i determinację.

– Wiemy, wszystko wiemy, Mimi... – Erich bawił się zapieczętowaną teczką.

– Oddawaj! – Syknęła przez zęby.

– Oj, nie, nie, nie... – zaśmiał się ironicznie. – Musimy sprawdzić...

– Albo mi ją oddasz, albo twoja ukochana żona dowie się, że jak chcesz, to potrafisz! –

Spojrzała mu prosto w twarz.

Pomimo półmroku, Erich wyraźnie zbladł. Rzucił kopertę na ziemię. Marlena podniosła ją, lecz dalej wpatrywała się w policjanta.

– A teraz mi powiesz, czemu miałabym go znać pod nazwiskiem Kröl? – Wściekłość mieszała się w jej głosie z ciekawością i strachem.

Erich wzruszył ramionami.

– W kieszeni miał książeczkę wojskową Güntera Kröla, opis pasował. Ale zameldował się jako Reiner...

– Chcę go zobaczyć!

– Nie mo...

Obróciła się na pięcie i wybiegła z hukiem z toalety. Erich ruszył za nią, lecz Marlena trzasnęła drzwiami. Za sobą usłyszała tylko zduszony jęk i głuchy łoskot upadającego ciała.

Gdy znalazła się w holu, sanitariusze znosili po schodach nosze, przykryte białą tkaniną, spod której zwisały dłonie i ręce, które Marlena poznała od razu. To były te najdelikatniejsze ze wszystkich męskich dłoni, jakie ją dotykały. Dłonie przyjemne, dobre. Nielubieżne. Dłonie jej Hansa...

Stała w miejscu, jakby przykuta łańcuchem, nie mogąc się ruszyć ani wykrztusić słowa. Z oczu płynęły łzy. Czas spowolnił. Obserwowała, jak w zwolnionym tempie sanitariusze ładują nosze do karetki, jak karetka odjeżdża, jak jakaś siła podnosi ją i niesie do drzwi; wolno uderza



o bruk, obserwując złamany nos i zakrwawioną twarz Ericha. Powoli podniosła się i powłócząc nogami, kurczowo trzymając teczkę Hansa w jednej, a kieszeń z portfelem w drugiej ręce, ruszyła ulicą prowadzącą donikąd. Czas przyspieszył złośliwie...

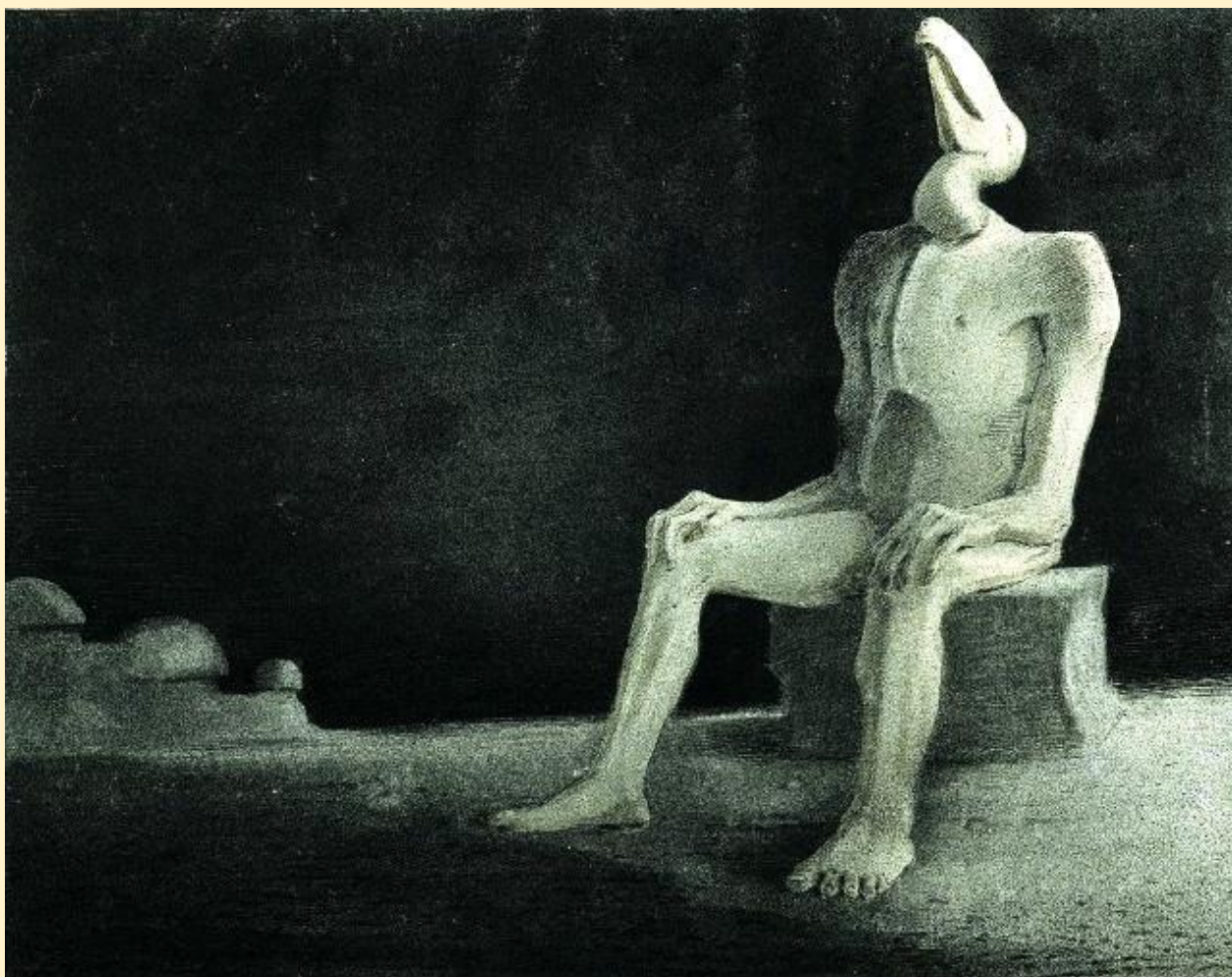
\* \* \*

*Wracając – został, zostając – wrócił,  
Trup w dwójcy nieświętej zaklęty.  
On w Panu – jam w piekle na ziemi szczęśliwy.  
W mej głowie Dantego odmetry.*

Hans Reiner (Günter Kröl)

„Wróć do mnie, Mario...”

1919



Alfred Kubin - *Vergangenheit (Vergessen - Versunken)* (1901)

Marcelina Bucholc

## **Żona mordercy**

Niebo zlało się z wszechobecną mgłą, zdawało się, że nie ma jej końca, iż wreszcie niebo scaliło się z ziemią. Pogoda w takie ranki zazwyczaj była nieprzejednana. Zrzucała nieuważnym spacerowiczom kapelusze z głów, porywała parasolki i podrywała do góry sukienki. W małej mieścinie takie poranki nie były nowością, zdawało się, że zimno zadomowiło się na dobre w dużym lesie, małych uliczkach i w sercach mieszkańców. Zima nadeszła pod koniec grudnia, od tego momentu śnieg nie przestał padać, dopiero teraz dwudziestego drugiego stycznia mgła zastąpiła opady śniegu.

W tą nieprzyjazną pogodę szła kobieta. Wydaje się, że nie trzeba jej przedstawiać, bo każdy człowiek w mieścinie znał jej imię, ale nikt nie potrafił powiedzieć go prawidłowo, dlatego zamiast wymawiać jej szykowne imię z wyrafinowanym akcentem, przekształcali je groteskowo.

Chodziła więc wysoka, elegancka kobieta z zastygłym wyrazem twarzy kryjąca się za ciemnymi okularami, okrywając się długim beżowym płaszczem przepasanym cienkim paskiem w tali. Stukot jej obcasów nadawał porannemu i sennemu miastu aurę grozy. Alarmował ludzi, pograżonych jeszcze w swoich niewyraźnych snach. Jedna siwa głowa zdziwiona tak ostentacyjnym hałasem wychyliła głowę zza drewnianego okna przepychając swojego kota, który tylko na nią syknął i zamilkł nagle, patrząc różnokolorowymi oczami na ciemną postać po drugiej stronie ulicy.

Sunęła ona niczym cień, poruszając się szybko, a jej ciało poszatkwane było przez mgłę. Kiedy stanęła, nagle zdało się, że nie ma już żadnego dźwięku na świecie. Promień leniwego słońca, przebił się przez mgłę i padł na jej okulary, które odbiły błysk, gdy kobieta przechylała głowę w stronę obserwującej.

Kot przeciagnął się leniwie i znów skoczył do swojej pani, przepychając swój gruby tułów pod jej ramieniem.

– Gdzie się pchasz, gruby... – Jej donośny głos rozszedł się po ulicy.

Wzięła kota na ręce, z głośnym trzaskiem zamknęła okiennice, zaabsorbowana narzekaniem na czworonoga.

W tym czasie elegancka kobieta przeszła już całą ulicę i stała z dłonią wyciągniętą w stronę drzwi na niezadbanym ganku. Wahala się. Mogła odejść, zniknąć na zawsze, a nikt nawet by jej tego nie wypominał. Zaczęłaby żyć od nowa, zmieniałaby imię i mogłaby uwolnić się od niszczącej ją przeszłości.

Zapukała; w tym samym momencie z oddali dobiegło pohukiwanie sowy. Odwróciła głowę w stronę dźwięku, chcąc dostrzec ptaka, ale mgła przysłoniła jej ścianę lasu. Dostrzegła jedynie niewyraźne sylwetki drzew, które prezentowały się złowrogo i groźnie.

Drzwi otworzyły się niemal od razu. Niespokojne spojrzenie zlustrowało ganek, dopiero potem jego właścicielka, człapiąc spokojnie, odeszła w głąb domku.

Kobieta zamknęła za sobą, przeszła po gazetach do pokoju, w którym na kanapie siedziała staruszka.

– Przyniosłam mamie kawę – powiedziała, wyjmując ze swojego płaszcza niewielką puszkę. Położyła prezent na stole, na którym znajdowało się wszystko co najpotrzebniejsze i wszystko co zbędne. Przesunęła nieaktualną gazetę, robiąc miejsce między nożyczkami a pudełkiem z bliżej nieokreśloną zawartością. Czysta i nowa paczka kawy wydawała się tam nie pasować.

Starsza z kobiet chwyciła szczupłą dłonią pakunek, szturchając przy tym przybyłą, która zresztą nie poczuła nawet jej dotyku. Oglądała wnętrze, każdą tłustą plamę na ścianie, krzywo powieszoną fotografię i zdające się cały czas poruszać koty. Wszystkie pary oczu co chwila przenosiły na nią wzrok, jakby niepewne, czy szykownie ubrana kobieta rzeczywiście stoi w ich domostwie. Żaden z nich jednak się do niej nie zbliżył, wszystkie zwierzęta pozostawały po drugiej stronie pokoju, obserwując ją z bezpiecznej odległości.

Siedząca na kanapie stara kobieta patrzyła na pakunek mlaszcząc swoją zwyczajową pieśń językiem. Z telewizora dobiegał cichy sygnał programu prezentującego najnowsze wieści z kraju. Nikt się tym nie przejmował.

– Panama – powiedziała, podnosząc wzrok na przybyłą i uśmiechając się do niej niewyraźnie. Zaniosła się spazmatycznym śmiechem z jakiejś tylko dla siebie zrozumiałej myśli i odłożyła kawę w to samo miejsce, z którego ją wzięła.

Kobieta obserwowała ją nie odzywając się. Staruszka szybko straciła zainteresowanie swoim gościem. Przeniosła wzrok na mały telewizor stojący przy oknie, na drewnianym stoliczku, który zdawał się być stworzony specjalnie po to, aby dźwigać na sobie ciężar odbiornika.

– Musimy iść – odezwała się.

– Musimy, nie musimy – odparła starsza, podnosząc się ociężale ze swojej kanapy, która tonęła w kocach.

Otrzeptała się z niewidzialnego pyłu i poczłapała do telewizora. Wylączyła go, w pomieszczeniu zapanowała grobowa cisza. Wydawało się, że nic nie wydaje dźwięku. Żaden kot nie zamiauczał, las za oknem nie zaszumiał.

Milczenie domu zdawało się być bardziej naturalne niż dźwięk. Tak samo nie pasowało tu świeże powietrze: przesiąknął już zapachem kocich odchodów, papierosów i kapusty.

Młodsza z kobiet czekała na towarzyszkę przy drzwiach, przeniósłszy wzrok na fotel stojący zaraz przy oknie. Było na nim koce i poduszka, i zdawał się bardziej zużyty niż kanapa w pokoju.

Wyszła na ganek kiedy starszka nałożyła na siebie kurtkę. Rześkie powietrze działało na nią pobudzająco. Starsza zamknęła drzwi głośnie trzaśnięciem, narzekając na nie pod nosem.

– Zimno jak w dwudziestym dziewiątym – powiedziała zsuwając głębiej zieloną czapkę. Miała na nogach gumki sięgające jej do połowy łydki, których niegdyś jaskrawa żółć zmieniła się z biegiem lat w brudny szafranowy.

– Mamy jeszcze wtedy nie było na świecie.

– Byłam, nie byłam, co ty tam wiesz.

Mgła ustąpiła, w jej miejsce pojawił się silny wiatr niosący duże płaty śniegu. Starszka wyjęła rękawiczki bez palców z kieszeni długiej kurtki, i założyła je szybko na dłonie, od razu wyjmując papierosa.

– Chcesz? – zapytała.

– Nie palę – odpowiedziała młodsza, naciągając rękawiczki.

– Nowobogackie poglądy tak ci każą? Palenie nie jest już w modzie?

Dmuchnęła dymem w twarz rozmówczyni i zaraz zaniósła się śmiechem, który wydawał się być bardziej kaszlem palacza. Młodsza z kobiet nie zareagowała jednak w żaden sposób, odwróciła głowę w stronę lasu, patrząc na wysokie drzewa, które kołysały się mocniej z każdym krokiem pary. Znow słyszała pohukującą sowę. Tym razem wydawało się, że jest bliżej, i że ją obserwuje ukrywając się pośród gałęzi.

Po krótkim spacerze znalazły się w centrum miejsciny. Zakład pogrzebowy górował nad innymi budynkami. Był cały biały z czarnym dachem, który dobrze pasował do profesji właściciela. Elegancki napis kontrastował z kolorowym szyldem kwaciarni, znajdującym się zaraz pod „Zakładem Pogrzebowym”.

– Chleb kupię od razu – rzuciła starsza, szukając w kieszeniach drobnych.

– Dać mamie pieniądze?

– Dwa złote daj.

Młodsza wyjęła z kieszeni swój skórzany portfel wyjmując z niego dwa złote i położyła na wyciągniętej dłoni starszki. Spojrzała na jej sakiewkę, kiedy chowała go do płaszcza, ale nic nie powiedziała.

Staruszka bez słowa odwróciła się i weszła do małej piekarni. Jej towarzyszka wkroczyła do białego budynku. Pomieszczenie było ciche i spokojnie, za sprawą wielkich okien wydawało się, że jest jasne. Schowała przyciemniane okulary do kieszeni. Biel ścian i podłogi naparła na nią z wszystkich stron. Nawet doniczki do kwiatów były w tym kolorze.

W środku, za ladą znajdował się jedynie starszy mężczyzna, który podniósł wzrok, gdy weszła, i przywitał ją uśmiechem, na który nie odpowiedziała.

– Pomóc pani w czymś? – Zapytał uprzejmie.

– Ile za kwiaty? – Odezwała się chwytając wiązanekę.

– 85 złotych.

Odwróciła się dalej patrząc na kwiaty, które obok zniczy wyglądały równie sztucznie. Zamarznięte w czasie, czekające na swoją kolej, aby wydostać się z tego miejsca.

– Niezła śnieżycyca – perorował wesółym głosem. – Jeśli dalej tak będzie padać, to zasypie drogi.

Spojrzał za okno, na coraz mocniej padający śnieg.

– Tam, skąd pani przyjechała, też tak pada?

– Skąd przyjechałam? – Przeniosła wzrok na człowieka, który właśnie zaczął zapisywać w kolorowym zeszytce listę zakupów do zrobienia.

– Mała miścina, od razu wszystko od razu wiedzą, jak przyjechał ktoś nowy – odparł, nadal kreśląc pośpiesznie, zanim myśli uleczą mu z głowy. – Przykra sprawa, że akurat pani do mnie zajrzała. Skąd pani przyjechała?

– Co cię obchodzi skąd przyjechałam i po co? – Zapytała.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok, a jego dłoń zatrzymała się spokojnie w połowie słowa. Kobieta zdjęła swoje rękawiczki i schowała je do kieszeni.

– Nie chciałem pani urazić, jedynie zagadywałem. Żona mówi, że straszny ze mnie gaduła.

– Uśmiechnął się do niej, próbując usprawiedliwić wścibstwo.

Kiedy nie odpowiedziała, zmarszczył brwi starając się zrozumieć, co mógłby powiedzieć, aby nie stracić pierwszej w tym dniu klientki.

– Nie będę już pani zagadywać – odparł. – Czego pani sobie życzy? Kwiaty, znicze? Mamy tu wszystko.

– Trumny przyszedł zobaczyć.

Odłożył swój zeszyt i wyszedł zza lady. Pokazał dłonią inny pokój, który odgradzony był od głównego grubą zasłoną. Znaleźli się w małym korytarzu, w którym znajdowały się wąskie schody prowadzące na górę oraz – naprzeciw siebie – dwie pary drzwi.

– Tędy – wymamrotał prowadząc ją korytarzem.



Na podłodze leżał stary długi dywan z licznymi ornamentami. Mały czarny kot leżał przy drewnianych drzwiach bawiąc się frędzlami. Kiedy usłyszał kroki podniósł lebek. Zaczął iść spokojnie w stronę przybyszów, lecz gdy jego żółte oczy zatrzymały się na kobiecie, syknął na nią, odwrócił się i wcisnął w małą szparę między podłogą a drzwiami.

Mężczyzna nie odwrócił wzroku, szukając kluczy w kieszeni garnituru. Znalazł je tuż przed drzwiami, otworzył je bez problemu i znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, do którego przed chwilą uciekł kot. W środku jednak nigdzie go nie było.

W tym pomieszczeniu okna także były duże, biel zza nich rozświetlała ponurą salę, w której stały trumny. Były wyposażone w specjalne stojaki, aby zmieściło się ich w pokoju więcej. Opierały się na stalowych uchwytych, które pozwalały umieścić nawet trzy z nich na jednym.

– Jak pani widzi, mamy wiele rodzajów. Ma pani jakieś konkretne życzenie?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż przez otwarte drzwi weszła starsza kobieta. Śnieg osiadł na jej za dużej niebieskiej kurtce i zielonej czapce z pomponem. Gwizdnęła widząc wybór trumien.

– Trochę się zmieniło, od kiedy ostatni raz tu byłam – odezwała się. – Powodzi się.

– Róża? – Głos mężczyzny wyrażał zaskoczenie. Kiedy przeniósł wzrok na młodszą z kobiet rozdziawił usta, a jego oczy rozszerzyły się. Zrobił krok w tył, zderzając się z jedną z trumien. – To pani...

Kobieta nie spojrzała na mężczyznę podchodząc do jednej z trumien. Miała jasny odcień, wykonana była z drewna sosnowego. Miała zakrętki przy wieku i krzyż z wizerunkiem Jezusa Chrystusa. Dotknęła pozłacanego zbrojonego uchwyty, a czując plastik w dłoniach, odwróciła się do Róży.

– Ta? – Zadała jej pytanie.

Cmoknęła językiem głośno, nie wiadomo jednak, czy z dezaprobaty, czy z przyzwyczajania. Podeszła do sarkofagu powolnym krokiem obserwując partnerkę uważnie i co chwila mrużąc oczy.

– Nie ma trumny dla mordercy – odezwał się mężczyzna. Jego głos był cichy i niepewny, żadna z kobiet nie zwróciła na niego uwagi.

– Za mała – odparła starsza przygarbiona kobieta głosem zachrypniętym, co chwila mlaszcząc językiem, który wydawał żyć własnym życiem, a jej jedno zdrowe oko przeniosło się na metalową trumnę stojącą w kącie pomieszczenia.

– Wymiary podaje się później – odpowiedziała jej młodszą towarzyszką, zdecydowanie bardziej sztywna. Jej z pozoru swobodna poza z dłonią na brązowej trumnie cechowała się napięciem. Nawet głos, cichy i zimny, wydawał się idealnie wyważony. – Orzech ma pan?

– Powtarzam paniom: nie ma tu trumny dla mordercy.

Starsza z kobiet wydawała się nie słyszeć wątlego głosu mężczyzny. Znów radośnie mlasnęła językiem i poczęła się przechadzać po pomieszczeniu nucąc pod nosem radosną melodię i nie przejmując się tym, co się dzieje wokół.

Inaczej sprawy miały się z jej towarzyszką. Reagowała na każdy ruch, ciało miała sztywne i spięte. Przeniosła wzrok na niskiego pulchnego właściciela.

– Mordercy? – Jej głos przeciął ciszę i nadal jej całkiem nowy wydźwięk. Chłód ogarnął mężczyznę, gdy spostrzegł brązowe oczy, które nie odrywały od niego spojrzenia. Zdawała się być drapieżnikiem czyhającym na nieuważny ruch swojej ofiary.

Mężczyzna nie był już właścicielem szanownego zakładu pogrzebowego w starannie wyprasowanym przez, poddającą się z wolna chorobie Alzheimera, żonę garniturze, a słabym wątłym starcem, który już trzy razy łapiąc się za serce upadł na podłogę swego zakładu, trzykrotnie zaatakowany zawałem. Teraz także złapał się za serce, jakby chciał przekonać samego siebie, iż jeszcze bije.

Kobieta z wolna przeniosła wzrok na jego trzęsącą się dłoń, zaciśniętą na materiale znoszonego garnituru, pod warstwami którego biło stare serce.

– Ta jest ładna – powiedziała starsza kobieta pukając triumfalnie w trumnę. – W takiej to, nie ma co, nieboszczyka można prezentować na wystawach.

Gdy się uśmiechała, wyglądała groteskowo: jej twarz wydawał się nie być do tego stworzona. Mięśnie napinały się z trudem, jakby i one były niezadowolone z tego, że muszą się przymuszać do uśmiechu, bruzdy na policzkach pogłębiały się, oczy malaly, a brak dwóch przednich zębów odstręczał.

Starzec wzdrygnął się i umknął od niej wzrokiem, spoglądając na trumnę, jak na swoją ostatnią deskę ratunku.

– Muszą panie zrozumieć... – kontynuował coraz bledszy. Przeniósł wzrok na elegancką kobietę, lecz widząc jej zaciętą i zimną minę, starał się mówić do babki. Ona jednak zdawała się być całkiem w swoim świecie, przyłożyła ucho do trumny i poczęła w nią stukać, raz ciszej raz głośniej. – Nie mogę.

– Zabrania ktoś? – Zapytała kobieta.

– Nie. – Poprawił krawat, wyciągając z kieszeni małą chusteczkę i ocierając pot z czoła, by znów ją schować wyćwiczonym ruchem. – Jednak mordercy nie będę mógł pochować, to ślad na sumieniu do końca życia. Nie i koniec.

Wreszcie spojrzal na damę, która czekała na jego słowa.

Podala mu bez słowa plik banknotów. Mężczyzna widząc to otrząsnął się jakby z zaskoczenia, w jakie wprawila go wizyta kobiet. Zacisnął zęby i wyprostował pierś do przodu, patrząc na nią karcąco.

– Wie pani – powiedział kręcąc głową z dezaprobatą.

– Na pana miejscu nie gardziłabym żadnymi pieniędzmi. Zwłaszcza, że w trumnie nawet nie będzie ciała. A zakład bez nich upadnie. – Pokazała plik, aby przybliżyć, o co jej chodzi, i położyła na jednej z trumien.

Na te słowa mężczyzna chwycił się za serce, niepewny, czy jeszcze żyje. Jego źrenice znów się rozszerzyły z niedowierzania. Znów tracił kontrolę nad sytuacją.

– Przyjdę wieczorem omówić szczegóły – rzuciła, zakładając skórzane rękawiczki. Chwyciła pod ramię starszą z kobiet, która stała w rogu patrząc przez okno na bawiące się koty. Para wyszła z zakładu pogrzebowego kierując się w stronę małego domku na uboczu, w którym mieszkała staruszka.

– Wódka mi się skończyła – powiedziała Róża jakąś chwilę później.

Zatrzymały się naprzeciwko sklepu monopolowego, który zdawał się trwać zatrzymany w czasie. Szyldu nie zmieniono jeszcze od czasów komuny. Nadal raził w oczy migający słabo neon, w oknach zamocowano kraty, za to po ich drugiej stronie zwisały zdobione firanki.

Młodsza z kobiet zaczęła już wyjmować portfel, ale Róża wstrzymała ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Ty się patrz i ucz, pannico – zakomunikowała, mrugając do niej porozumiewawczo.

Przeszła na drugą stronę ulicy, zataczając się lekko. Próbowała utrzymać prosty chód, ale mimo to nadal chwiała się na boki, co chwila głośno bekając.

– Wiesiu... – zaczęła, a jej język plątał się jeszcze bardziej niż zwykle.

– Czego? – Odezwał się człowiek, który nawet nie podniósł na nią wzroku. Siedział oparty o ścianę sklepu wyciągając przed siebie długi nogi, jego głowa spoczywała na klatce piersiowej.

– Daj lyka – poprosiła. Pochyliła się nad nim, cały czas tańcząc niepewnie na nogach. – Poratuj, wiesz jaka posucha ostatnio...

– Łyk.

Wyciągnął w jej stronę wódkę, ale zaraz szybko zabrał, poddając ją niemal przytomnej analizie.

– Mały – zaznaczył.

Pogroził jej krzywym palcem, jednak podał swój skarb.

– Malutki – powtórzył jeszcze.

Kiedy tylko butelka znalazła się w jej dłoniach, oboje wiedzieli, że się nabral. Pijak burknął pod nosem niemrawe przekleństwo, próbując się podnieść, ale Róża była szybsza. Pomachała mu przed nosem butelką i śmiejąc się niczym dziecko uciekła.

– Nie gap się, biegnij! – Krzyknęła do towarzyszki, kiedy już przemknęła przez ulicę i znalazła się na przeciwległym chodniku.

Nie patrzyła, czy kobieta wykonuje jej zalecenie, odwróciła się niezainteresowana tym, co się dzieje wokół. Ciekawil ją tylko łup – trzymała wódkę niczym zdobycz, jak znicz, w którym ma się palić wieczny ogień, by innych zagrzewać do walki.

Wyciągnęła dłoń przed siebie, trzymając butelkę za szyjkę, na jej twarzy malował się grymas zwycięstwa, pełnego zadowolenia. Biegła z szybkością większą, niż zaoferować mogło jej ciało, wydawało się, że może pędzić przed siebie bez końca, pełna szczęścia po kradzieży.

Aż jej emocje zmieniły się, nierówny chodnik i stare kości, sprowadziły ją na ziemię.

Szkló wystrzeliło w górę, a gdy tylko dotknęło ziemi, rozprysło się dookoła, wbijając się w palce i nogi Róży.

Wrzask rozpaczony został szybko zagłuszony przez śmiech starego Wiesława, patrzącego na wszystko spod ściany monopolowego.

– Niech to by szlag! – Wysapała wstając na nogi. Kopnęła w złości drobinki szkła w stronę zaniedbanego krzewu.

– Ma mama. – Młodsza kobieta podała jej nową, jeszcze zimną butelkę.

Róża spojrzała na nią równie uważnie, jak Wiesiek chwilę temu, przed oddaniem wódki.

– Skąd masz?

– Kupiłam.

Róża zagarnęła butelkę szybkim ruchem, odkręcając i wlewając w spragnione gardło. Odsunęła ją od ust, zakręciła i schowała do kurtki. Wydawała się spokojniejsza.

– Pokaże mama dłonie.

Staruszka machnęła ręką, jakby odłamki szkieł w ciele była drobnostką.

– Pójdiesz zobaczyć się z teściem – odrzekła.

Cmentarz był największym miejscem publicznym w całej mieścinie. Mimo to nikogo oprócz nich tu nie było, przechadzały się alejkami nie napotykając żywej duszy. Puch zasypał fragmenty nagrobków, jednak Róża odnajdywała się pośród kwater swobodnie, pomimo śniegu sypiącego im w oczy.

Zatrzymała się przed nagrobkiem, na którym nie było żadnego epitafium. Widniało tam jedynie wygrawerowane nazwisko: „Bronisław Baczewski”, mały krzyż oraz data urodzin i śmierci.

Róża wskazała na grób dłonią, prezentując go niczym własne dzieło.

– Sech...Sek...se...se trzeba było zmienić, cholera jasna. Nawet się wypowiedzieć nie da. Rodzice aż tak cię nienawidzili, że tak cię nazwali? – Opuściła ręce poirytowana.

– Pasjonują się Egiptem. Z zawodu są archeologami.

– Widzisz, ja się pasjonuje wódką, a dziecka nie nazwałam od wódki, nie? Chociaż jakbym nazwała go Józef, wtedy chodziłby po swojego imiennika. Jeszcze jakby przyjął nazwisko ojca, a ja bym go nazwała Józef, wtedy byłby Józef Adam Baczewski.

– To jego grób? – Zapytała młodsza patrząc na wygrawerowane imię.

– Kogo?

– Ojca Adama.

Róża przeniosła wzrok na nagrobek. Napila się wódki, jakby dodając sobie odwagi.

– Tak.

– Nie ma epitafium – odparła.

– Powiedzieli, że nie będą przekleństw grawerować.

Staruszka zgarnęła śnieg z ławeczki i usiadła ciężko patrząc na granit. Na grobie nie było żadnego znicza, jedynie sztuczne kwiaty wystawały spod śniegu, a ich żółty kolor całkiem wyblakł zamieniając się w biel. Tylko jeden zachował się w swoim pierwotnym kolorze.

– Będziemy chować pustą trumnę – powiedziała.

– Nie znaleziono jego ciała.

– Myślisz, że naprawdę umarł?

Zagadnięta nie odpowiedziała, znów zawieszając wzrok na koronach drzew. Sowa zdawała się jej przekazywać jakąś wiadomość, której jednak kobieta nie mogła wychwycić.

– Nie było mnie na waszym ślubie – rzekła Róża, pociągając kolejny łyk wódki. – Po pięciu latach dowiaduje się, że ma żonę.

– Po pięciu latach dowiedziałam się, że ma matkę.

Staruszka zachnęła się, ale zaraz znów łyknęła wódki. Śnieg upodobał sobie jej kurtkę, padał na nią, tworząc na ramionach małe górki. Młodsza próbowała strzepnąć je z towarzyszki, jednak wydawało się to bezcelowe, więc przestała.

– Dziś zaczęło się powstanie styczniowe – powiedziała Róża, wciąż pijąc wódkę. – Dobry dzień, żeby umrzeć.

– Mama idzie do domu – rzuciła młodsza, poprawiając szalik, kiedy mroźne powietrze zaatakowało jej twarz.

– Zostaw mnie. Chcę się rozmówić ze starym.



Przyjezdna odeszła, zostawiając Różę na cmentarzu z najbliższymi. Odnalazła drogę do wyjścia stosunkowo szybko i bezproblemowo. Szła wzdłuż lasu obserwując go czujnie, jakby czekając na kolejny śpiewy sowy.

Doszła do kawiarni. Pograżona była w zupełniej ciszy, co tylko bardziej zaniepokoiło kobietę. Pomieszczenie nie było duże, rozstawiono w nim kilka czerwonym stolów z białymi obrusami. Ściany były oklejone tapetą z różami.

– Herbatę – powiedziała w stronę młodej dziewczyny, której oczy były czerwone od płaczu. Kelnerka pociągnęła głośno nosem, siląc się na przyjazny uśmiech.

– Jaka? – Zapytała ze sztuczną wesołością.

– Szybka.

Dziewczyna zmarszczyła brwi w konsternacji, lecz kobieta już usiadła przy czerwonym stole obserwując las, który wydawał się być obecny wszędzie. Gdzie szła, był także i on. Milczący i śledzący jej poczynania. Drzewa pochylały się w stronę budynków, jakby chciały się przybliżyć do ludzi, zrozumieć ich zachowania, rozszyfrować to, czego nie potrafili rozstrzygnąć filozofowie.

Kiedy wracała na cmentarz, zaczynało się ściemniać, śnieg padał coraz intensywniej. Światła zapaliły się. kiedy szła główną ulicą, rozjaśniając jej ciemność na drodze. Z odnalezieniem drogi do grobu szło jej gorzej niż z wyjściem z cmentarza. Zdawało się, iż stoi przed prawidłowym, zaraz za chwilę odkrywała, że się pomyliła. Minęło sporo czasu, zanim odnalazła właściwy.

Różna opierała się o nagrobek, schowawszy głowę w kurtkę, pozwalając, by puch całkiem ją przysypał.

– Mamo...

Młoda kobieta klękała obok teściowej i potrząsnęła ramieniem. Wówczas sztywne ciało opadło na ziemię bezwładnie. Huczenie sowy rozlegało się całkiem blisko, wydawało się, że ptak krzyczy właśnie do niej. Spojrzała na wielki las, który otaczał cmentarz. Tym razem jednak dźwięk nie dochodził stamtąd, ale z drzewa znajdującego się obok nagrobka, o który opierała się Róża. Na gałęzi siedziała sowa, patrząc na kobietę wielkimi oczyma. Kiedy ich spojrzenia się napotkały, uniosła się i sfrunęła jej kobiety. Przyjezdna wyciągnęła ręce, by się bronić, kiedy nagle usłyszała swoje imię.

– Sechmet.

Odwróciła głowę zapominając natychmiast o sowie, niepewność ogarnęła jej serce.

Przystojny człowiek w sportowej zimowej kurtce stał naprzeciwko niej. Wydawał się być przygotowany na taką pogodę. Miał mocne buty, ciepłą czapkę i rękawiczki.

– Przyszedłeś na własny pogrzeb? – Zapytała.

– Znalazło się ciało do trumny. – Wskazał głową zeszywniałą Różę.

– Wszystko dzięki tobie.

– Chodź. – Wyciągnął w jej stronę rękę, a kiedy nie ruszyła się z miejsca, mówił dalej

– Wydaje się, że ktoś cię wołał. Wypada odpowiedzieć.

– Jej?

Podniósł głowę, a ona zrobiła to samo. Patrzeli na wielkie drzewo, na którego gałęziach siedziały sowy wpatrując się w nich badawczo. Nagle zahuczały jednocześnie i podniosły się z gałęzi lecąc w stronę lasu.

Podeszła do niego i chwyciła za jego dłoń poddając się losowi.



Odilon Redon, *L'Araignée qui pleure* (1881)

Natalia Dolny

## Notatki nastolatki

CAŁA JA

Cześć. Wypada żebym się przedstawiła, bo jestem bardzo kulturalną z natury osobą. Babcia mi nawet czasem mówi, że jestem bardzo elokwentna i poważna, jak na dziewczynkę, która ma tylko trzynaście lat. Trzynaście lat. No właśnie. Nie wierzę, że ta liczba jest pechowa, bo staram się nie wierzyć w przesady. Nasza Pani Katechetka mówi, że nie wolno wierzyć w takie rzeczy, bo mogą otworzyć się wrota piekiel, z których wyjdzie straszny pan diabeł i nas opęta. Oczywiście jest to, że nie chcę być opętana. Widziałam dużo strasznych horrorów, które są raczej zakazane. Ja robię dużo rzeczy, które są zakazane – żyję według tzw. zasady „YOLO” (You Only Live Once). Całe życie na krawędzi. Nie boję się strasznych filmów i w sumie to niczego się nie boję. Może jedynie psa mojej cioci i tego, jak rodzice mnie czasami straszą, że wymienią mnie na inną córkę, jeśli będę znowu pyskować. Mówią to z takimi poważnymi minami, że im wierzę. Mi jest w domu bardzo dobrze i nie zamierzam nikomu oddawać mojego miejsca w nim, a już szczególnie mojego pokoju i mojego kotka, którego dostałam rok temu na urodziny. Zastępuje mi młodszą siostrę, o którą tak bardzo prosiłam mamę. Jednak przekonała mnie, że kot to lepsza sprawa i chyba ma rację. Taka siostra strasznie by krzyczała, no i co najgorsze, pożyczalaby moje rzeczy, a ja bardzo nie lubię, kiedy ktoś to robi bez mojego pozwolenia. Potrafię wtedy być bardzo zła i nieznośna.

Wracając do przedstawiania się, mam na imię Ola. Moje koleżanki ostatnio wymyśliły sobie piosenkę „Ola z pornola”. Ja od razu poleciałam do mamy się zapytać, co to jest ten pornol. Bardzo się wzburzyła, ale ja nie wiem, co jest takiego złego w tych filmach. Powiedziała mi, że występują w nich gołi ludzie, ale nie rozumiem, co takiego złego jest w gołych ludziach. Każdy jest goły pod ubraniami. Na ten argument mama mi odpowiedziała, że to nie takie ładne, że ci ludzie robią brzydkie rzeczy i poza tym mam nie używać takich słów, bo dostanę karę na oglądanie seriali na Netfliksie. Ja, że jestem bardzo odpowiedzialną osobą, powiedziałam to moim koleżankom, ale je to tylko rozbawiło, że ja nie wiem, co to pornol. Ja nie wiem, jak nastolatki w moim wieku mogą tak przeklinać. Chłopcy podobno tego nie lubią. W każdym razie po lekcjach w piątek Kasia, moja najlepsza przyjaciółka (bff), zaprosiła mnie do siebie do domu. Jak do niej idę, to nawet nie muszę prosić o zgodę mamy, bo moja zna się doskonale z mamą Kaśki.

No więc w piątkowe popołudnie po lekcji matematyki (nie wiem, jak koszmarny musi być człowiek, co dał dzieciom matkę na ostatnie zajęcia w piątek) udaliśmy się do mieszkania mojej koleżanki. Nie mogłam spać po tej wizycie. To, co ona mi pokazała, było o wiele gorsze niż te moje horrory. Ona mi pokazała tego „pornola”. Musiałam normalnie zamknąć oczy, bo to, co robili ci ludzie było faktycznie straszne, tak jak mówiła moja mama. Jak w ogóle ktoś się może zgodzić żeby w czymś takim występować. Kasia mi powiedziała, że aktorzy normalnie dostają pieniądze za występowanie w takich produkcjach i że w ogóle niektórzy płacą za oglądanie tego. Jej starszy brat podobno ma konto premium na takiej stronie z tymi pornolami. Zawsze wiedziałam, że starsi chłopacy są nienormalni, ale że aż tak? Na szczęście potem do pokoju przyszedł tata Kasi (ciekawe, czy on też sobie kupuje te filmy), na co ona szybko wyłączyła ekran. Tak się skończyło nasze oglądanie pornoli. Na pewno nie będę tego nigdy robić i na pewno jak teraz ktoś na mnie powie „Ola z pornola”, to sobie pożałuje. Co za zniewaga majestatu.

## DZIEŃ PRZEDŚWIĄTECZNY

Jeszcze jeden ważny fakt o mnie – mianowicie uwielbiam święta Bożego Narodzenia. Tak się składa, że wypadają jutro. Moi rodzice biegają po domu jak szaleni i przygotowują nasz do na przyjazd rodziny. Zawsze dzień przed Wigilią, co było wczoraj, następuje wielka kłótnia. To naprawdę loteria, o co pójdzie w tym roku. Może o ślady, które zostawił tata, kiedy przeszedł przez salon w mokrych butach z dworu. Może o to, że jak szedł przez salon, to zobaczyłam, jak niesie prezenty i wkłada je do szafy (mi nikt z domowników jeszcze nie zdradził sekretu, że to właśnie oni podkładają podarunki pod choinkę, gdy każą mi na chwilę pójść do pokoju). Bardzo prawdopodobne jest też to, że tata zezłościł się na mamę, jak się dowie, że w tym roku pomalowałyśmy wszystkie pierniczki lukrem (a on woli jak są posmarowane czekoladą). Może o to, że choinka jest trochę za bardzo przechylona w prawo albo w lewo. Dużo jest takich możliwości, jak mówię, jest to czysty przypadek. To, o co pójdzie, zależy tylko od tego, w którym momencie natkną się na siebie w którymś z pokojów. Rok temu stało się tak, że tato wystawił na taras jakieś jedzenie, bo nie mieliśmy już miejsca w lodówce. Los chciał, że niedokładnie zamknął garnek pokrywką i w nocy jakiś dziki zwierz albo raczej kot sąsiadki zeżarł to, co było w środku. Oczywiście nie zjadł całej potrawy, no ale trochę głupio postawić na stół coś, co było już jedzone i to przez jakiegoś tajemniczego stwora.

Postanowiłam, że nie będę narażać się tym razem na słuchanie krzyków dochodzących z salonu lub kuchni, więc zamknęłam się u siebie. Jako że już dowiedziałam się tej tajemnicy z prezentami, stwierdziłam, że ja też coś podaruję każdemu członkowi naszego wigilijnego



komitetu. Jedyną przeszkodą było to, że nie dysponuję zbyt dużą sumą pieniędzy. Moje upominki nie są zatem okazałe, ale myślę, że się przydadzą. Po wigilii klasowej kilka dni temu poszłam do sklepiku z różnymi ciekawymi rzeczami (do Chińczyka) i dla każdego coś się znalazło. Mama dostanie kubek, który uszko ma w kształcie ogona kota – ona lubi koty. Tata lubi samochody, więc kupiłam dla niego breloczek w kształcie małego samochodziku i kubek z wyścigówką. Babcia lubi szyć, więc w jej paczce znajdzie się zestaw igieł i jeszcze ładna błyszcząca nitka. Dziadek nosi okulary, więc znalazłam mu do nich chusteczki do czyszczenia o zapachu cytrynowym i taki śliczny kolorowy futerałik. Na szczęście na Wigilii nie będzie już więcej osób, bo nie miałabym już ani pomysłów ani pieniędzy. Musiałam przecież kupić jeszcze wstążeczki i papier do pakowania.

Właśnie chwilę temu skończyłam owijanie. Teraz pozostaje przemknąć niezauważoną i dolożyć się do składziku w szafie taty.

## PIERWSZA GWIAZDKA

Jak każda rodzinna tradycja, Wigilia odbywa się u nas w domu. Już jest po kłótni rodziców, atmosfera rozładowana, można zaczynać przyjazd gości. Już rano w drzwiach pojawia się babcia, ja wycelowana, potargana i zmuszona, żeby pomagać w przygotowaniach do kolacji. Nie rozumiem tego zwyczaju, po co już od rana musimy sprzątać całutki dom, żeby potem spędzić resztę dnia przy stole w jednym miejscu. Zostałam mianowana w tym roku na naczelnego zamiatacza i ścieracza kurzy, bo „w końcu się porządnie nauczyłam to robić”. Jeśli doda się do tego moją umiejętność klejenia zgrabnych pierogów z kapustą i grzybami można powiedzieć, że jestem idealnym materiałem na żonę. Tylko, czemu to żona ma robić wszystko niefajne – tu mówię o sprzątaniu, a mężowi zostają same przyjemności. On, patrząc na mojego tatusia, w Święta chyba jest na najlepszej pozycji. Wchodzi sobie od czasu do czasu do kuchni w celu zde gustowania tego, co robi tam mama. Nie dziwię jej się, że tego nie lubi. Też bym się denerwowała, gdyby pół mojej potrawy zniknęło, kiedy się od niej na moment odwrócę. Muszę się przyznać, jestem trochę jak taki mały mąż, jeśli chodzi o podjadanie świątecznych potraw. Obłeśne ryby po grecku i salatkę z majonezem zostawiam mojemu ojcu, do mnie należą pierniki i wszelkie słodkości. Taki jestem słodki ząbek, jak to mówi babcia. Straszy mnie, że zostanę kuleczką po świętach ale ja uważam, że Święta są raz w roku, i co z tego, że pożarłam całe makielki, zanim zdążyli je wystawić na stół. Nawet zanim położyli na niego obrus.

O szesnastej z minutami przyjechał dziadek z tajemniczym workiem, który kazał tacie opróżnić i jego zawartość umieścić pod choinką. Leżały już pod nią moje pakunki i jeszcze te, które już wcześniej były w szafie. Kiedyś tata przebierał się za Mikołaja i robił show, jednak teraz, kiedy



już jestem prawie dorosła, po prostu prezenty znajdują się pod choinką już przed świąteczną kolacją. Chciałabym jeszcze wierzyć w Gwiazdora. Kiedyś było tak super, ale nie mogę być całe życie dzieckiem, już przecież dojrzewam (jakbym była jakimś owocem...). Obecnie tradycja rodzinna głosi, że musimy po prostu poczekać aż na niebie pojawi się pierwsza gwiazda. Wtedy ja zamieniam się w małego elfa i rozdaję upominki.

Kiedy w końcu usiedliśmy do stołu, nie mogłam przestać spoglądać przez okno. Dorośli rozmawiali o jakiś nudnych sprawach, o tym, co się działo u jakiejś ciotki Anieli z Wrocławia. Później o tym, komu urodziło się dziecko i kto gdzie ostatnio znalazł pracę, albo gdzie to nie pojechał. Szkoda, że nie ma dzieci w moim wieku w naszej rodzinie. Mój jedyny kuzyn ma dopiero cztery lata, więc nie mamy wspólnych tematów. Mam jeszcze kuzynkę, o której istnieniu dowiedziałam się dziś przy świątecznej kolacji, bo urodziła się zaledwie miesiąc temu. Pewnie będę robić za jej nianię, jak nas odwiedzą, a dorośli będą sobie siedzieć i rozmawiać tak samo jak dziś (tylko dziś nie mam się nawet kim opiekować). Babcia w pewnym momencie zauważyła, że nieszczęśliwie interesują mnie rodzinne plotki, a bardziej to, kiedy w końcu będę mogła rozdać (i oczywiście otworzyć) prezenty. No i się zaczęło. Zostałam oskarżona o bycie materialistką i o samolubność. Ale czy to dziwne, że nie chciało mi się słuchać o jakiś wujkach babci cioci kuzyna dziadka mamy? Nie mówię, że rodzina nie jest ważna, ale jestem tylko dziewczynką. W Świątach liczą się dla mnie pierniczki, kolędowanie i prezenty. Muszę zaznaczyć, że nie chodzi mi tylko o te, które dostaję ja. Bardzo czekałam na reakcję na otwarcie upominków ode mnie. Babcia może mówić, że jestem interesowna, no ale kto nie lubi dostawać czegoś nowego?

Potem nie działo się nic ciekawego, otworzyliśmy paczki, pośpiewaliśmy, pograliśmy w nowe gry, dziadek zasnął na kanapie, a krótko po tym rodzice wysłali mnie też do spania (tylko w moim łóżku).

## NOWOROCZNY CUD

Jestem w szpitalu. W sensie: właśnie z niego wychodzimy. Ja na własnych nogach. Rodzice wściekli, ale ja ozdrowiałam. Może powiem, o co w ogóle chodzi i jak to się stało, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

Zaczęło się to tak, że przyjechali do nas goście, bo mamy dziś 31 grudnia, tak zwany Sylwester. Siostra mojej mamy przyjechała z mężem i tym strasznym psem, o którym pisałam wcześniej. Przyznaję się bez bicia – boję się tego potwora. Jest to straszny wielki wyżel ze straszną wielką szczęką i strasznymi wielkimi zębami, którymi byłby w stanie strasznie mocno ugryźć. Nie

wiem, czemu mnie aż tak przeraża, bo nigdy jeszcze nie widziałam, żeby zjadał jakieś dzieci, ale kto wie czy, jak tak patrzy na moją nogę, o której jest dzisiejsza historia, to nie chce jej odgryźć.

Wieczór spędziliśmy super, śpiewaliśmy karaoke, mama kupiła nachosy i super ostrą salsę. Był konkurs między mną wujkiem i tatą, kto utrzyma najdłużej ten piekielny sos w buzi i nie zacznie lécieć mu lzy. Skromnie się pochwalę, że okazałam się największym twardzielem, chociaż tata też całkiem nieźle się trzymał. O północy poszliśmy puszczać fajerwerki. Mama i ciocia, które strasznie zawsze panikują, znów to robiły, bo może urwać mi rękę, może się przewrócić butelka z petardą i odstrzelić mi nos, no i inne takie głupoty. Ja, że jestem rozważną nastolatką, powiedziałam, że będę uważać na siebie i na ich mężów też, przypilnuję, żeby nie zrobili żadnej głupoty. No i nic się nie stało. Jeszcze wtedy nie. Popuszczaliśmy sobie sztuczne ognie, a po powrocie piliśmy szampana. Mama chciała trochę chyba nadrobić za te wcześniejsze obostrzenia i dała mi łyżka zwykłego alkoholowego napoju do posmakowania. Nie wiem, jak dorośli mogą to w ogóle pić. Smakowało to trochę jak gazowane wymiociny. Nie przesadzam. Gdy faceci już trochę się upili tym ohydny napojem, zgodzili się zrobić ze mną konkurs tańca. I wtedy się stało.

Pierwsza runda. Tata: breakdance – wił się po ziemi jak dżdżownica – 2 punkty. Wujek: hip-hop – trochę jakby miał wylew (tak mama powiedziała) – też 2 punkty. Ja zatańczyłam coś w stylu tańca takiego, jak na zumbie – wszyscy klaskali i dostałam 3 punkty. Druga runda przebiegała podobnie.

W trzeciej postanowiłam wygrać już definitywnie, bo do tej pory prowadziłam tylko dwoma punktami. Wskoczyłam na stół, no i kto by się spodziewał, równie szybko z niego zeskoczyłam, tylko niekoniecznie z własnej woli. Noga mi się jakoś poślizgnęła, nie wiem nawet, co się stało. Jak spadłam na podłogę, to usłyszałam tylko chrupnięcie w kostce, a potem wszyscy usłyszeli mój okrzyk bólu. Będę kaleką do końca życia, będę jeździć na wózku inwalidzkim, nie pojeżdżę już nigdy na nartach, same czarne scenariusze przychodziły mi do głowy wraz z krzykiem wydobywającym się z mojego gardła. Nasi goście stwierdzili, że już chyba czas na nich, i poszli sobie do domu z tym strasznym psem, bo mieszkają bardzo blisko nas.

Mieliśmy mały problem. Trzeba było zawieźć mnie do szpitala, a każdy posiadacz prawa jazdy w naszym domu był trochę nietrzeźwy. Nawet ja byłam, bo przecież wzięłam łyżka szampana, ale i tak nie mogę jeszcze jeździć samochodem. Wtedy pomyślałam, że nigdy już nawet nim nie pojadę, bo przecież pewnie obetną mi tę bołą nogę. Tata szybko zadzwonił jednak do dziadka, no i on (bo dziadek nie pił szampana, chyba też go nie lubi jak ja) zawiózł nas do szpitala.

W kolejce czekaliśmy prawie dwie godziny. Nawet nie wiedziałam, że w sylwestra tyle ludzi ma wypadki. Koło mnie siedział facet, co miał rękę wygiętą w drugą stronę, ciekawe, co on tańczył. Wywołali mnie do pokoju pana lekarza o godzinie 3:25. Tata wniósł mnie i położył na kozetce.

Matko, jaki ten pan doktor był przystojny, a ja taka zmarnowana zaryczana cała, masakra! No ale trudno, się mówi, rodzice chyba by nie chcieli, żeby ich córka miała męża co najmniej piętnaście lat starszego od niej.

Pan dotknął mnie w nogę. „Ała!” – Krzyknęłam. Zapytał, co się stało, więc zaczęłam opowiadać. Moja mama miała wyraźnie zmieszaną minę, taką jakby o czymś bardzo mocno myślała. Kiedy skończyłam moją opowieść, powiedziała. „Olu, a ciebie przed wyjściem z domu nie bolą przypadkiem druga noga?”. Zastanowiłam się dobrze. Faktycznie chyba wcześniej złamana była ta druga z moich kończyn. Wstałam z kozetki i stwierdziłam na głos, że jednak żadna mnie nie boli i dziękuję panu, że mnie uleczył. Żałuję, że nie zrobiłam zdjęcia min moich rodziców i pana lekarza, bo były niezłe. Dziadek, który czekał na nas (a raczej spał już) w samochodzie, spytał jak to się stało, że już chodzę o własnych siłach. „Noworoczny cud, dziadku”.

## NA BAKIER Z PRAWEM

Uciekłam dziś z domu. W ucieczce przed rodzicami, policją i kimkolwiek z dorosłych, kto mógłby mnie szukać. Nie mam nawet telefonu, więc nie mają jak mnie namierzyć. Czuję się wolnym człowiekiem. Siedzę teraz na drzewie na polanie, na której zawsze bawiliśmy się jako małe dzieci. Nie wiem, co teraz pocznę jako włóczęga, gdzie pójdę dalej. Może zamieszkać gdzieś pod sklepem i będę żebrać jak pan Mirek, który zawsze nas zaczepia gdy idziemy na zakupy do osiedlowego marketu. Jest bardzo miłym człowiekiem, za każdym razem życzy nam zdrowia i miłego dnia, kiedy kupujemy mu z mamą bułki. Mogłabym w sumie być jak on. Chyba nie ma zbyt wielu wrogów. Nie to, co ja.

Pewnie ciekawi was to, dlaczego zwałam. Wszystko zaczęło się właśnie od tego nieszczęsnego telefonu. Jak jeszcze kiedyś będę mieć okazję, żeby wrócić do normalnego życia poza ukryciem, nigdy więcej nie będę telefonów nosić w kieszeni. To koszmarnie ryzykowne i głupie, o czym przekonałam się na własnej skórze.

Poszłyśmy z Kaśką dziś rano na dwór pospacerować, tak przynajmniej powiedziałam mamie. Jest co prawda dokuczliwie zimno, bo jest zima, ale umówiliśmy się z koleżanką z sąsiedniego osiedla, że spotkamy się na placu obok jej blokowiska. Tam przychodzą zawsze uczniowie ze starszych klas i palą papierosy. Nie kręci mnie palenie papierosów, ale wiecie jak to jest. Ci młodszy czują się docenieni, kiedy zwrócą na nich uwagę starsi. Pojechałyśmy jeden przystanek autobusem, czego nie wolno mi robić. Szczerze mówiąc, to nie wolno mi się aż tak oddalać od domu, ale co się mogło stać. No więc my, trzy trzynastolatki, wybrałyśmy się na plac, gdzie zebrała się już grupka popularysów. Ania – ta druga koleżanka – wyczaiła, że spotykają się tam

co tydzień w sobotę koło południa. Usiadłyśmy niedaleko nich i zaczęłyśmy głośno rozmawiać i śmiać się. Oni palili papierosy (choć byli na oko maksymalnie o trzy lata od nas starsi). Jeden z chłopaków, z kasztanowymi włosami i niebieskimi oczami podszedł do nas i zapytał, kto nas zapraszał tutaj. Przestraszyłyśmy się trochę, bo my tam po prostu przyszłyśmy. Kaśka, która jest najbardziej śmiała z nas, powiedziała, że nikt, że po prostu przyszłyśmy sobie posiedzieć, bo to nie jest jakieś prywatne miejsce. Zaparło mi dech, kiedy on na to odpowiedział, że w takim razie możemy posiedzieć z nimi.

Poczułam się dorosło, gdy usiadłyśmy w kółku z nowymi piętnasto- i szesnastoletnimi znajomymi. Jedyne, co mi przeszkadzało, to ten ohydny smród papierosów. Ja nigdy nie będę palić. Obłeśne. Jeszcze oni podawali sobie i każdy palił z tego samego ustnika. Chyba nie wiedzą, iloma zarazkami się ze sobą dzielą? Ja nie lubię pić nawet z jednej butelki z rodzicami, brzydzi mnie to.

Taka jedna dziewczyna, Agata, zapytała ile mamy lat i do której klasy chodzimy. Trochę się zaśmiali, jak powiedziałyśmy, jakie jesteśmy młode, no ale nie wywalili nas, więc chyba uznali nas za poważne. No i szczerze? Szkoda, że tego nie zrobili, bo tak to nadal miałabym dom.

Kiedy zaczęło się nam robić na maksa zimno, postanowiłyśmy wracać do domów. W powrotnym autobusie chciałam coś sprawdzić na telefonie. Włożyłam rękę do kieszeni, a go tam nie było. Sprawdziłam w drugiej kieszeni. W kieszeni od džinsów. W drugiej kieszeni od džinsów. W kieszeni Kaśki. Moja komórka po prostu się zmyła. Zniknęła. Wyparowała. Zaczęłam panikować jak szalona. Rodzice mnie przecież zabijają. To któryś z licealistów musiał wyciągnąć mi go z kurtki. Ale dałyśmy się zrobić! Że myśmy pomyślały, że oni tak bezinteresownie nas do kółka zaprosili! Co za debilki. Ale czemu to akurat mi musieli ten telefon podwędzić? No trudno. Moje życie jest skończone.

Musiałam przecież wrócić do domu i coś powiedzieć mamie. Ciężko było ukryć, że coś się stało, bo miałam całą twarz czerwoną od płakania. Kasia mnie na szczęście zasłaniała, żeby nikt na ulicy się nie skapnął, że ja tak ryczę, bo byśmy jeszcze miały dodatkowe problemy, byśmy musiały się tłumaczyć, co mi się stało.

Musiałam szybko wymyślić historyjkę. Kiedy weszłam do domu mama od razu przywitała mnie słowami: „Boże dziecko! Co ci się stało?”. Nie zdążyłam otworzyć buzi, a ona dodała wściekłym głosem: „Czy ty paliłaś papierosy?”. Odpowiedziałam szybko, że byłyśmy z Kaśką na spacerze koło pobliskiego stawku (bo nie mogłam się przyznać, że byłyśmy tak daleko i to z licealistami) i zaatakował nas straszny dziad z papierosem i ukradł mi jeszcze telefon. Po tym zdaniu wybuchłam znów płaczem. Tata, który usłyszał, że coś się dzieje i podsłuchiwał naszą krótką wymianę słów, szybko zareagował proponując powiadomienie policji. Rodzice byli bardzo zdenerwowani. O dziwo, uwierzyli w moje kłamstewko i zdenerwowali się na faceta, a nie na mnie.

Szybko wzięli się do działania i zanim zdążyłam to odkręcić, zadzwonili faktycznie na 997 ze zgłoszeniem kradzieży. Oczywiście przedstawili moją historię, a ja miałam opowiedzieć panu policjantowi, jak wyglądał złodziej. Zatkalo mnie. Szybko kliknęłam na komórce, którą dali mi do ręki, czerwoną słuchawkę. Wzięłam szybko kurtkę i uciekłam. Bo, jakie inne miałam wyjście?

Dożywocie za fałszywe zeznania i dożywotni brak zaufania i gniew rodziców za kłamstwo.

Wolałam już być bezdomna. Dlatego siedzę na tym drzewie. Ale chyba niedługo wrócę do domu, bo z tego wszystkiego zrobiłam się przeraźliwie głodna.



Otto Dix, *Bildnis der Journalistin Sylvia von Harden* (1926)



Zuzanna Kiercel

## Kartka papieru

Budzę się. Otwieram oczy. Na ścianie pelga odbłask księżycowego światła. Delikatnie przesuwam po ścianie opuszkami palców, wyczuwając wyraźną strukturę tapety w kwiaty, które w świetle nocnym przypominają raczej niepokojące plamy. Palce wychodzą z cienia i zanurzają się w nocnej poświacie. Chwilę jeszcze leżę w łóżku, wlepiając wzrok w wysoki sufit pokoju, zdobiony koronkową sztukaterią. Podnoszę się i podchodzę do okna.

Ogromny różowy neon agresywnie próbuje przebić się przez gęstą mgłę. Sięgam po papierośnicę, zapalki i zaczynam odpalać papierosa, cały czas przyglądając się starszej kobiecie, która mechaniczną ręką próbuje zebrać kilka puszek po Super-Coli walających się po ulicy. Obok niej kręci się kulawy pies z elektronicznym okiem węszący w poszukiwaniu jedzenia – efekt nieudanych eksperymentów speców z Departamentu Rozwoju. Gaszę papierosa w popielniczce i zakładam ubranie rzucone niedbale na krzesło dzień wcześniej. I tak już dzisiaj nie zasnę. Nagle słyszę odgłos drapania w drzwi. Pospiesznie kończę się ubierać i po cichu podchodzę do progu. Spoglądam przez wizjer, ale nikogo nie widzę. Ostrożnie otwieram i zauważam, jak robopies znika za balustradą schodów. Patrę na wycieraczkę, na której leży mały sześcienny przedmiot przypominający pendrive. Ostrożnie go podnoszę. Na niewielkim horyzontalnym ekranie przewija się napis: „alicja. ciemny park. 4 rano”. Pospiesznie podłączam urządzenie do komputera. Na monitorze pojawia się dwubitowa grafika jakiegoś dziwnego stwora przypominającego trochę mitologicznego gryfa, trochę orla, a trochę smoka. Po chwili grafika zamienia się w zdjęcie przedstawiające mnie stojącą w oknie z papierosem. Jeśli mają moją fotografię, to pewnie wiedzą o mnie znacznie więcej. A może chcą mnie zwerbować do grupy donosicieli.

Zakładam więc pospiesznie długi beżowy trenz, przeczesuję grzywkę i chwytam wiszącą na rogu łóżka brązową skórzaną torbę z niewielką dziurą w przedniej, mniejszej kieszeni, torbę, z którą praktycznie się nie rozstaję. Wrzucam do większej z kieszeni pendrive z wiadomością i zamykam drzwi na klucz. W tej dzielnicy chyba nigdy nie doczekam się czytnika linii papilarnych. Ale to chyba nawet lepiej. Ta kamienica sprawia, że czuję się, jakby było przed Rewolucją.

Schodząc po schodach, przesuwam dłonią po drewnianej balustradzie, obserwując sęki, które przeżyły już chyba ze trzysta lat. Wdycham zapach starego budynku wymieszany ze świdrującą wonią męskich perfum oraz tanich fajek. Zawsze zastanawiam się, ile ludzi przewinęło się przez ten coraz bardziej rozpadający się dom.

Delikatne nocne światło, wchodzące przez małe okienko na klatce schodowej, rysuje kubistyczne kształty na przeciwległej ścianie. Otwieram zdobione drewniane drzwi i wychodzę na dziedziniec. Ciszę śpiącego miasta zakłócają dochodzące z daleka sporadycznie dźwięki warkotu silników i skrzypienia metalu.

Wychodzę przez bramę i kieruję się w stronę przystanku. Na mokrym betonie, w kałużach, odbijają się budynki oraz światła lamp, tworząc rozmazane kompozycje. Wsiadam do tramwaju sonicznego, który właśnie nadjechał. Zużyte drzwi zatrząskują się za mną z piskiem. Przykładam dłoń do czytnika, aby zapłacić za bilet, i zajmuję miejsce z tyłu. Przez okno obserwuję bezdomnych przesiadujących na ulicy w grupach i ogrzewających się przy ogniskach rozpalonych w wielkich metalowych beczkach, robopsy węszące w zakamarkach ulic, jakąś kobietę beznamiętnie spoglądającą przez okno swojego ciasnego mieszkania. Obraz majaczący za oknem zaczyna się powoli rozmywać, tworząc szarogranatowe plamy światła... Nagle w ciemności z oddali słyszę dziwny trzask, który z każdym dźwiękiem staje się głośniejszy. Przerazona otwieram oczy. Ulga. Nadal znajduję się w tramwaju. To tylko dziwnie trzeszczący głośnik wewnątrz wagonu. Zerkam za okno, żeby sprawdzić, gdzie jestem. Przystanek końcowy. Wsiadam i kieruję się w stronę metalowej bramy prowadzącej do parku.

Przy wejściu jakiś bezdomny z dziwnym kapeluszem na głowie wyciąga do mnie rękę, belkocząc coś pod nosem. Nagle chwyta mnie za nogę i patrzy prosto w twarz. Ma rozbiegany wzrok i wpatruje się, jakby miał mi coś bardzo ważnego do przekazania. Jego przesadnie kolorowy makijaż i krzaczaste brwi kontrastują z powagą jego mimiki. Przyklękam, by lepiej go usłyszeć, i nagle na jego szyi zauważam taki sam pendrive, jak ten, który dzisiaj znalazłam pod drzwiami. Sprawnym ruchem zrywam go z łańcuszka i sprawdzam napis: „blisko”. Chowam więc urządzenie do torby i szybkim tempem ruszam w głąb Ciemnego Parku. Przez całą noc nieprzerwanie kropi deszcz, więc moje nogi grzęzną w gęstym błocie. Staram się trzymać wyznaczonego kierunku, żebym mogła wrócić bezpiecznie z powrotem. Nagle czuję, jak ziemia usuwa mi się spod nóg. Intuicyjnie chwytam torbę, by jej nie zgubić. Zaczynam lecieć w dół. Przez pierwsze dwie minuty przerażenie ścisza mi gardło. Po pół godzinie zaczynam się zastanawiać, jak głęboki jest ten otwór. Nagle moje plecy przeszywa ból przypominający uderzenie w coś bardzo twardego. Chyba wylądowałam. W końcu.

Pod plecami czuję coś miękkiego i kłującego zarazem. Próbuję wyczuć powierzchnię dłońmi i przyglądam się jej. To chyba trawa, ale pachnąca słodczą czekoladowych cukierków. Rozglądam się. Nic. Tylko w głębi po lewej stronie widzę coś przypominającego brązową okrągłą plamę. Podchodzę więc bliżej. Tym czymś okazują się okrągłe drewniane drzwiczki. Przy kłamec widnieją dwa podłużne otwory. Pendrive. Wyjmuję oba i wkładam w wyznaczone miejsca. Słyszę

dźwięk otwieranej zasuwki i drzwi powoli ukazują wnętrze pomieszczenia. Nie widzę niczego prócz delikatnego zarysu jakiejś postaci w oddali. Próbuję coś zobaczyć, ale nawet z elektronicznym okiem nie byłabym w stanie niczego dostrzec. Z ciemności zaczyna się jednak wylaniać zarys sporych rozmiarów podłużnych uszu. Postać się odwraca.

– W końcu. Ile można czekać. Innym Alicjom zajmowało to mniej czasu – mówi, spoglądając na zegarek kieszonkowy.

Przez chwilę stoję w bezruchu. Naprzeciwko mnie za biurkiem, w wielkim skórzanym fotelu, siedzi biały królik ubrany w surdut, z monoklem na oku.

– No, co tak patrzysz? Weź ten laser i idźże już – mówi, jednocześnie pospiesznie przecierając monokl chusteczką.

Nadal stoję w miejscu, nie wiedząc, co mam powiedzieć.

– Widzę, że coś z tobą chyba nie w porządku.

– Ze mną? To ty nosisz monokl.

– Za to jaki gustowny. Dobra, od początku. Bierzesz ze sobą laser, który leży na półce przy drzwiach wyjściowych. Szukasz smoka, zabijasz, gotowe. Nie czytałaś nigdy historii o walecznych rycerzach, księżniczkach i takich tam?

Wpatruję się w niego wzrokiem, który chyba dość wyraźnie ujawnia moje obecne zagubienie.

– Dobra, jeszcze raz, prościej. Chwytasz, bum, bum! zabijasz i po kłopotcie.

W tym momencie przypominam sobie grafikę umieszczoną na pendrive'ie. Ale nadal nie mogę zrozumieć tej zupełnie surrealistycznej sytuacji.

– Ale... po co? I czemu akurat ja? – W tym momencie czuję się zagubiona jak nigdy. – Po co mnie tu ściągnął? Jesteś jednym z donosicieli?

– Jakich donosicieli? Ja wykonuję tylko polecenia Czerwonej Królowej. Zresztą każda Alicja musi zabić swojego smoka. Tak jest w regulaminie.

– A co, jeśli tego nie zrobię?

– Smok i tak cię znajdzie. Ma wbudowany specjalny czujnik, więc twoja konfrontacja z nim jest nieunikniona. Lepiej weź laser i po prostu zrób to, co musisz.

A może to tylko mi się śni. Szczypię się, ale nic się nie zmienia. Zupełnie zmieszana postanawiam się poddać i uwierzyć temu dziwnemu królikowi na słowo.

– Coś jeszcze muszę wiedzieć?

– A, zapomniałbym. Starcie ze smokiem odbędzie się o północy. Wiesz, północ, jak we wszystkich bajkach. Spotkacie się za Siódmym Wzgórzem.

Królik, kończąc rozmowę, odwraca się do mnie plecami na obrotowym fotelu i zapala cygaro. Nic więcej chyba nie wskóram. Chwytam laser i wkładam go do kieszeni torby, po czym

wychodzę z pomieszczenia. Na polanie znajdującej się w jaskini, w której wylądowałam, pojawiły się schody. Wspinam się więc po nich i wychodzę przez studzienkę. Jakimś dziwnym trafem znajduję się w zupełnie innej dzielnicy. W ostatniej chwili wskakuję do właśnie nadjeżdżającego tramwaju i zajmuję miejsce przy drzwiach tak, bym mogła szybko z niego wysiąść. Niebawem tramwaj dojeżdża do końcowej stacji, wysiadam więc i kieruję się w stronę Siedmiu Wzgórz. Zaczyna już świtać.

Przechodzę przez polanę, która przypomina raczej pole zwęglonej trawy z pojedynczymi bezlistnymi, wyschniętymi drzewami. Chwytam pewnym ruchem ramię torby i ruszam naprzód. Po jakimś czasie wchodzę w gęsty las, przez który prowadzi jedyna droga do Siedmiu Wzgórz. Mimo tego, że jest już niemal dwunasta w południe, słońce zdaje się być szczelnie przykryte jednolitą i beznamiętnie szarą powłoką. W końcu udaje mi się wyjść z gąszczu. To dopiero połowa drogi, muszę więc przyspieszyć, aby zdążyć przed północą. Dzień zdaje się zbliżać ku końcowi. Szary jednostajny kolor na niebie ustępuje ciemnognatowym mrokom. Mijam pierwsze wzgórze i drugie, czwarte i szóste. Ale po siódmym ani śladu. Wśród gęstej jak mleko mgły trudno je nawet dostrzec. A do północy zostało bardzo mało czasu. Nagle po lewej stronie widzę coś przypominającego drogowskaz. Podchodzę więc i czytam: „Siódme Wzgórze – 1 km”. Skręcam w lewo, zgodnie z kierunkiem wskazanym przez znak, i przechodzę przez gęsto rosnące krzaki. Wychodzę na kolejną ogromną, wysuszoną polanę. Przede mną maluje się Siódme Wzgórze – największe ze wszystkich. Sen ścina mnie z nóg. Postanawiam położyć się więc pod samotnie rosnącym na skraju łąk drzewem. Do spotkania ze smokiem zostało jeszcze trochę czasu.

W prawym uchu – odgłos stukających metalowych garnków. A może nie. Raczej echo wydobywające się rur, w które ktoś bębni żelaznym prętem. Otwieram oczy i przypominam sobie, dlaczego tu jestem. W pośpiechu rozpinam torbę i szukam lasera, ale z jakiegoś powodu tam go nie ma. Przetrzęsam bagaż raz jeszcze. Nadal nic. Rozglądam się przestraszona, wyteżając wzrok we mgłę, i dostrzegam zarys niebotycznej postaci o mechanicznych ruchach. Przecież wkładałam go do kieszeni. Sprawdzam większą z nich ponownie. Pod palcami wyczuwam mały prostokątny przedmiot. Udało się, laser po prostu wpadł do małej dziury, która najwyraźniej pojawiła się podczas podróży. Teraz mam dwie dziury. I tak nie wyrzucę tej torby.

Potwór jest coraz bliżej, więc próbuję wycelować w środek jego korpusu – wielką czerwoną świecą na piersi diodę. Wciskam guzik, ale coś w mechanizmie blokuje działanie przycisku. Uparcie naciskam go w nadziei, że za którymś razem zadziała. Smok jest już niemalże pięćdziesiąt metrów ode mnie. Potrząsam laserem. Może coś zaskoczy. Stwór jest teraz doskonale widoczny. Wygląda na wykonanego z resztek metalowych odpadów zalegających na miejskim śmietniku. Głowa przypomina gryfa, a z jego otwartej paszczy wydobywa się mechanicznie warcząca dźwięk.

Jedno z jego ramiom zdaje się wysuwać w moją stronę. Celuję raz jeszcze i wciskam guzik. Laser trafia prosto w czerwone światło. Potwór zatrzymuje się nagle, jakby ktoś wyłączył maszynę jednym przyciskiem. W miejscu brzucha otwierają się ogromne drzwi i wychodzi z nich jakaś postać. Przestraszona wyciągam szczyryk z kieszeni. Postać, idąc w moją stronę, staje się coraz bardziej wyraźna. Zaczynam się jej uważniej przyglądać. Beżowy trencz, grzywka, wymięty sweter... ona jest mną. Podchodzi do mnie, a ja odruchowo robię krok w tył, cały czas trzymając otwarty szczyryk przed sobą.

– Spokojnie. To już koniec. Doszłaś do ostatniego poziomu.

– Chwila, o co tu chodzi?!

– Każda Alicja prędzej czy później dociera do ostatniego poziomu. Teraz była twoja kolej.

– Ale... ty jesteś mną!

– Takich jak ty i ja były już tutaj tysiące. Za każdym razem któraś z nas znika. Wiesz, w wyobraźni Twórcy wszystko jest możliwe.

– Kogo?

– Autora lub autorki tego opowiadania, choć tak naprawdę żadnej z nas nie udało się jeszcze poznać tego, kto wykreował ten świat. Może tobie się uda.

Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie w głowę czymś bardzo twardym. Nie mogę zrozumieć niczego, co się do tej pory wydarzyło.

– Czy to znaczy, że jest ktoś wyżej?

Postać wyglądająca jak ja zamiera, tak jakby ktoś włączył pauzę, i słyszę zupełnie inaczej brzmiący głos. Nie potrafię określić jego źródła.

– Jak ci się podoba twoja historia? Chyba muszę ją trochę bardziej dopracować. A może w ogóle napiszę coś innego. Co o tym myślisz?

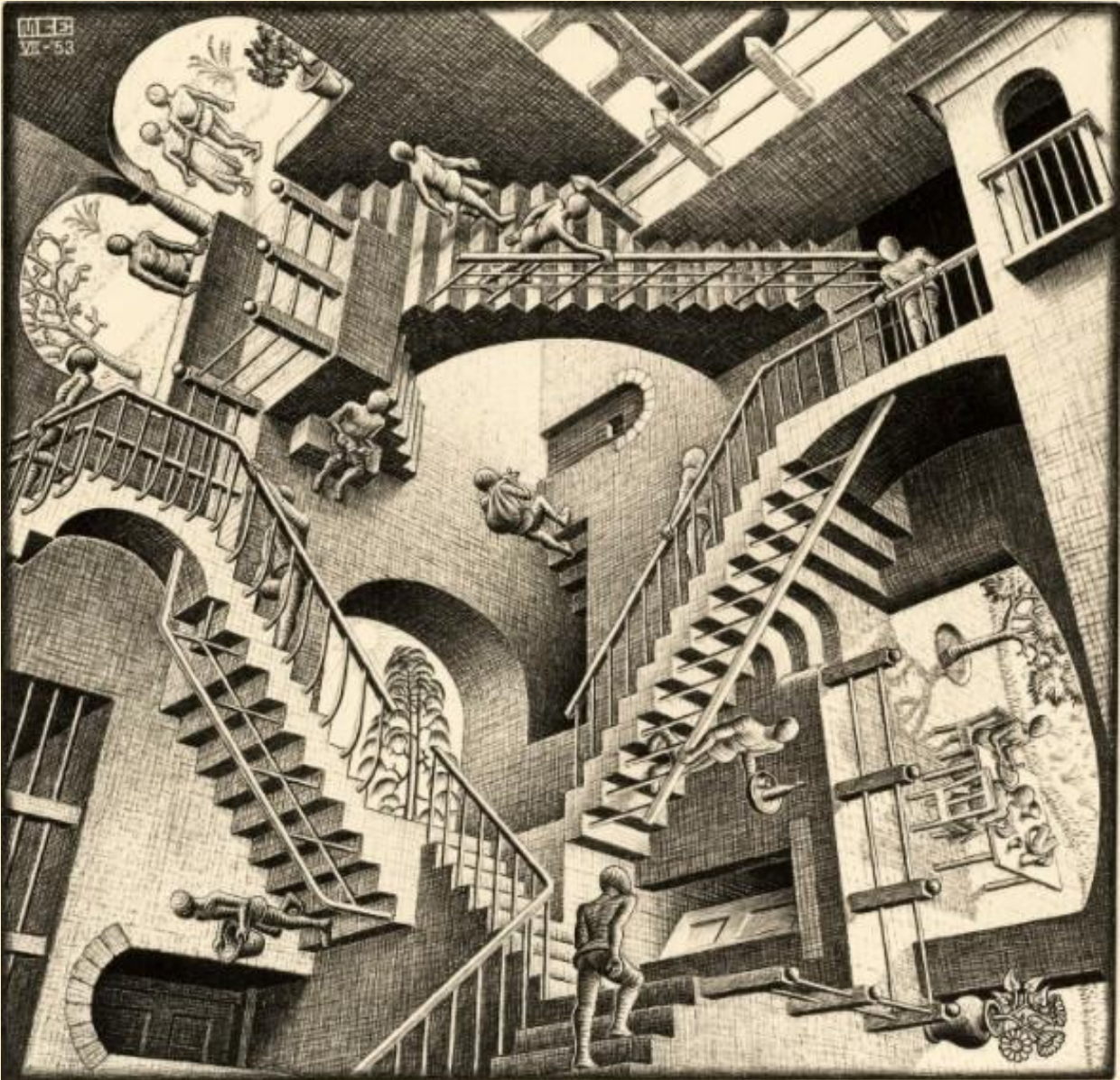
Zirytowana całą sytuacją wykrzykuje:

– Słucham? Nie chcę być w żadnej historii! W tym momencie przywróć moje dawne życie, jakkolwiek to robisz! Słyszysz mnie? Chcę wrócić z powrotem do mojego miesz...

W tym momencie słyszę tylko szelest gniecionej kartki i czuję, jak pojedyncze komórki mojego ciała delikatnie rozplývają się w powietrzu.

Wrzuca kolejną kartkę do kosza. Pisanie chyba nie jest dla niej. Zakłada kurtkę i buty, po czym wychodzi na klatkę schodową. Zauważa na wycieraczkę pendrive z napisem: „alicja. ciemny park. 4 rano”.





Maurits Cornelis Escher, *Relativiteit* (1953)

Maciej Franciszczak

## Błyski i blaski

Obudził się, gdy wszyscy już poszli. Zdał sobie z tego sprawę, jeszcze zanim otworzył oczy, zanim wyczuł słuch, by złapać choć jedną obco brzmiącą falę dźwiękową. Wiedział o tym, bo samotność stała się dla niego środowiskiem naturalnym, kolejnym, najprawdziwszym zmysłem. Czuł ją głęboko w sercu, ale jeszcze bardziej w żołądku.

– A może to nie przez samotność? – Szepnął łapiąc się za pulsującą bólem głowę.

Zeskakując z leżaka potknął się o szereg ułożonych równo butelek i upadł.

– Ech... – westchnął raczej z zażenowania.

Musiało być jeszcze dość wcześnie. Kafelki na balkonie były jeszcze nocnym chłodem, a miasto nie sprawiało wrażenia do końca obudzonego; dźwięki sygnalizacji na przejściu dla pieszych, odjeżdżający z przystanku autobus i śmiechy idących do szkoły dzieci. I jeszcze te mewy...

– Mewy, mewy, pieprzone ptaszyska – szepnął z lekką irytacją widząc, jak śmieją się z jego upadku.

Wstając chwycił za jedną z nieprzewróconych butelek i pociągnął z niej duży haust. Wino, mimo że odkorkowane wiele godzin temu, nie straciło jeszcze bukietu i, co chyba ważniejsze, procentów. Trzymając się jedną ręką za pusty (z samotności) żołądek, a w drugiej niosąc rzeczoną butelkę przewędrował całą długość balkonu, odgarniając bosą stopą zastępujące mu drogę kieliszki, talerzyki i inną porcelanę. Ptaki, a żeby być bardziej precyzyjnym, śmiejące się przed chwilą mewy, żerując na pozostawionym w połowie imprezy stole, zdawały się nie zwracać na niego uwagi. On też zupełnie je ignorował, zbyt wiele już razy widział takie poranne ucztowanie, by teraz udawać zaskoczonego i przejętego. W gruncie rzeczy odpowiadała mu ta specyficzna kohabitacja, mniej resztek wylądować w śmieciach. Przed samym progiem wyciągnął się i raz jeszcze rzucił okiem na pozostawiony za sobą bałagan.

– Nieźle – zaśmiał się sam do siebie.

Wnętrze pokoju dziennego spowijał jeszcze cień i mrok. Kolejny łyk z butelki i zaczął zwijać grube, sięgające parkietu zasłony. Dopiero gdy mieszkanie wypełniło się oślepiającym światłem, zdał sobie sprawę, że muzyka, którą słyszy, nie pochodzi ani zza okna, ani z oparów majaczenia. Rytmiczny i samopowtarzalny takt jazzowy cicho wypływał z dużych kolumn pod sufitem. Jarrett znowu zaciął się na trzeciej stronie kolońskiego koncertu. Anemicznym krokiem

podreptał w kierunku gramofonu, opróżnioną butelkę odstawił na regale, wyłączył wzmacniacz, zatrzymał obroty i schował czarną płytę do białej koperty z czarno-białym zdjęciem pianisty.

– Trzeba byłoby wysłać ją do wyprostowania. Ale kto tutaj prostuje płyty?

Na rzucone w przestrzeń pytanie odpowiedziały mu tylko walczące o ostatnią sajgonkę ptaki. Westchnął i wycieńczony rzucił się w głęboki, skórzany fotel stojący pod ścianą.

Rozglądając się po pokoju mruknął pod nosem:

– Tutaj też trzeba posprzątać. – Jakby liczył, że może jednak nie będzie to wcale konieczne.

Na cedrowym stoliku kawowym leżała nabita wczoraj fajka. Dosypał do niej tytoniu i ubijając zapalił zapalną. Głośny trzask siarki stał się dla mew sygnałem do odlotu; nic nie było tu już godne ich uwagi. Rozpłynął się w dymie i skrzeku za oknem.

– Kto chce jeszcze wina? – Zapytał, ale rozbawione żartem towarzystwo nie udzieliło mu odpowiedzi. Nalał tylko sobie.

– Brakowało mi twojego poczucia humoru, przyjacielu! – Zakrzyknął śmiejący się Szymon, odkładając na stół talerzyk zalany sosem sojowym.

– Tak? Musimy częściej się spotykać. Kiedy znów mnie odwiedzicie?

– Może dla odmiany, to teraz ty wpadniesz do nas?

– Właśnie, Maćku, już tyle lat u nas nie byłeś – zawtórowała Emilia trzymając Szymona za rękę.

– Cóż, nie pozostaje mi już chyba nic innego, jak tylko wybrać się do was z rewizytą – odpowiedział, tylko udając przekonanie i pewność.

– Jasne...

Wszyscy odwrócili się w kierunku siedzącego w oddali Michała.

– A ciebie co znowu ugryzło?

– Właśnie, Michał. Dziś są jego urodziny, daj spokój. – Emi zawsze potrafiła łagodzić spory.

– Wszyscy wiecie, że to się nie stanie, że was nigdy nie odwiedzi. Kilka lat robi nas wszystkich w chuja, a my tylko mu w tym pomagamy, jeżdżąc tu do niego przy każdej jednej okazji.

– Masz lepszy pomysł? Słuchamy! – Szymon, zwłaszcza po alkoholu, nie potrafił kryć się z irytacją po każdym komentarzu Michała.

– Dać mu w końcu spokój. Jak chce tutaj zdechnąć w samotności i umartwieniu, to po co mu w tym przeszkadzać! Mówię to od lat.

– A jednak od lat jesteś tu regularnym gościem. – Maciek odłożył pusty kieliszek, by zaraz napelnić go na nowo.

Ciszę, która zapadła na balkonie, zakłócał teraz tylko dźwięk rozlewanej wina.

– Dolać wam?

– Spójrz na siebie! Jak ty, kurwa, żyjesz! Dawno już miałbyś takie mieszkanie, a nie od lat pasożytujesz na cudzej litości. Zapraszasz nas tu co roku, by żalić się nam po pijaku i...

– Nic wam się nie żalę...

– Może właśnie w tym jest problem, co? Przywykłeś do mierności. Mogłeś osiągnąć wszystko. Zrobiłbyś dwa doktoraty, został na uczelni. Wydał w końcu te swoje książki, może kogoś byś nimi wzruszył. Pamiętasz, jakie miałeś plany, gdy byliśmy jeszcze w szkole? „Być artystą – wzruszać ludzi”. Kogo ty teraz chcesz wzruszać?

– Nie słuchaj go. – Szymon mruknął przez zęby.

– A gdzie jest ta twoja rodzina, o której ciągle gadałeś? Założyłeś ją, ustatkowałeś się? Nie. Dlaczego? Bo wolisz żyć i dręczyć się jakimiś ideami Lotty, Beatrycze. Jak taki z ciebie Werter to strzel se w końcu w łeb i pozwiedzaj Piekło z Dantem. Chociaż coś byś zrobił. Gdzieś się ruszył. Ale ty wolisz tu gnić, rozkładać się w marazmie i poczuciu bezsensu.

– Michał, przeginasz!

– Niech mówi. A jaki ty widzisz sens?

– Wiesz co, przynajmniej nie marnuję swojego potencjału, robię coś, co lubię i w czym jestem dobry. Mam plany na życie i się tego trzymam.

– Też jestem tu potrzebny.

– Rzeczywiście. Nie do zastąpienia. Powinni konkurs rozpiścić na to stanowisko zmiataacza podłóg i cieciał!

– Aż tak cię to boli?

– Nienawidzę takiego dziadostwa. Wszystkich próbujesz przekonać o szczęściu w prostocie życia, ale to brednie. „Płostota” – kpiąco zaseplenił Michał. – Raczej kicz i tandeta. Jedyne, co robisz, to uciekasz od odpowiedzialności.

– Tak, Michał, tak. Uciekam. Uciekam, przed tak pojmowaną przez ciebie odpowiedzialnością. Uważasz, że odpowiedzialność idzie w parze z osiąganiem sukcesów, ale ja już nauczyłem się lubić takie życie, jakie mam. Dla mnie odpowiedzialność, to zdolność akceptacji tego, co już się posiada. Uciekam od marzeń i wielkich planów na przyszłość, bo nie chcę odtrącać tego, co mam wkoło siebie.

– W taki sposób idealnie przestaniesz mieć cokolwiek. Gdyby nie my, zostałbyś tu zupełnie sam.

– Dlatego jestem wam wdzięczny, że chce wam się mnie odwiedzać po tych wszystkich perturbacjach.



– Ale po co, po co, Maciek? Co z tego wynika? Nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni, chociaż miałeś tyle okazji, by coś z tym zrobić.

– Może ja nie chcę nic zmienić?

– O tym właśnie mówię. Przystosowałeś się.

– Wszyscy się przystosowujemy, Michał. – Szymon nie tracił z oczu horyzontu rzeczywistości. – Ty także się przystosowałeś.

– Zgoda, ale wy z Emilią robicie przynajmniej coś, co jest światu potrzebne. Leczycie ludzi. Ilu ludzi już uratowaliście? Ja robię te swoje badania, które może i mało kogo interesują, ale są nie bez znaczenia dla rozwoju nauki. A on? Siedzi tu sam i rozplywa się w nicości i banalach.

– Nie wiesz tego.

– Wiem, to widać po nim już na pierwszy rzut oka.

– Nie rozumiem cię. Co ty niby widzisz we mnie na ten „pierwszy rzut oka”? Zupełnie tego nie pojmuję. Chcesz robić rewolucję? Zmieniać świat na lepsze?

– Nie pieprz o rewolucjach, bo ja nie mówię tu o żadnych rewolucjach, ale rzeczywiście zmieniam świat na lepsze. A wiesz, jak to się dzieje?

– Oświeć mnie, bo nie wiem między nami wielkiej różnicy.

– Bo coś robię, cokolwiek. Nie jestem dziadziejącym gościem w marynarce, który w przekonaniu o swojej wielkości rozpamiętuje jedynie dni minione, a z obecnych ma jedynie gówno.

– Chciałbym mieć twoją pewność. – Dopił wino i odchodząc od stołu przeniósł się na rozłożony leżak. – Chciałbym mieć taką pewność...

– Nie wiem, jakiej pewności ci więcej trzeba.

Fajka już się dopaliła, a on trwał jeszcze przez krótką chwilę półleżąc w fotelu i gryząc ustnik w zamyśleniu. Wstał, wysypał spalony właśnie tytoń do popielniczki, misy z której niedopalkami i popiołem poił się inkrustowany srebrem cerber o trzech długich jęzorach.

– Użyteczny i niebrzydki, zawsze potrafią trafić z prezentem – pomyślał.

Złapał się za doskwierające od dawna prawe kolano i rozmasowawszy je, udał się kuśtykając lekko w kierunku kuchni. Tutaj nie było wczoraj gości i nie dotarło tu zabawowe zamieszanie. Włączył ekspres i przystąpił do szykowania codziennej jajecznicy. Ten poranny rytuał śniadaniowy harmonizował jego cały dzień i stabilizował rozregulowaną psychikę. Kawa. Jajecznicą. Garść tabletek. Zmywanie po śniadaniu. Jakoś to będzie. Wrócił do pokoju i rozpoczął porządki, które zajęły resztę przedpołudnia. Dzisiejszy ranek miał wolny od pracy, wieczorem jednak nie będzie miał już czasu na sprzątanie. Kursując między balkonem a kuchnią, nosząc talerze i butelki,



zauważył, że czegoś brakuje w jego bibliotece. Stając w pół drogi, zaczął przeglądać cały księgozbiór, aby łatwiej zidentyfikować zgubę.

– Tyle książek się nabierało, żeby tylko zachciało mi się jeszcze do nich kiedyś wrócić.

Od dawna wiedział, że nie ma już na to dobrych wymówek.

– Tego tu brakuje. – Odsunął lekko jeden z regałów i sięgnął w szczelinę.

Przez chwilę nie mógł nic wyczuć, ale zaraz udało mu się złapać grzbiet książki, która spadła z półki. Matową zieleń okładki pokrywała gruba warstwa kurzu, pewnie musiała przeleżeć tam już kilka miesięcy. Przetarł ją dłonią i choć nie było na niej żadnego tytułu, momentalnie zorientował się, co właśnie odnalazł.

– Ha ha! – Rozchmurzył się i uśmiechając odłożył książkę na stoliku. – Minęło już tyle lat...

Dokończył porządki myśląc o nowym znalezisku i kolejnym niezwykle śnie, rojonym minionej nocy, na coraz bardziej wychładzającym się balkonie.

Stary wolumin napisany na maszynie i oprawiony u dawno już zmarłego intrologatora czekał na ponowne otwarcie tyle lat wciśnięty między inne tomy, że aż jego losy wyгнаły go na kilkumiesięczną banicję między meblem a posadzką. Czekał wiernie, aby wrócić teraz w glorii do swojego dawnego autora.

Nie wydał tej powieści. Nie wydał zasadniczo żadnej, prócz jednej tylko, jeszcze starszej, debiutanckiego *Ludzkiego organu*, który na chwilę stał się bestsellerem, choć niesprzyjająca prasa nazwała go „ograniczonym, bezmyślnym i pretensjonalnym, tak samo jak tytuł tej książki”. Być może właśnie dlatego zrezygnował z kolejnych publikacji, a może przez zwyczajne odczucie bezsensu takiego działania i pragnienie pięknego i wielkiego spokoju. Niewiadome są faktyczne przyczyny porzucenia dobrze zapowiadającej się kariery pisarskiej. Wiadomo jednak, że znalezione przed chwilą *Losy zaginionego na morzu ANNO DOMINI 1598 dobrego galeonu Virides Pagi i jego dzielnej załogi* były utworem najbardziej osobistym i tylko ubranym w szatę quasi-historyczną. W rzeczywistości autor, gdy ktoś znajomy o niego pytał, mówił tylko, że jest to:

- „Powieść mistyczno-achroniczna o moich przyjaciółach”.

Od jej napisania nigdy do niej już nie wrócił, aż do dziś.

Gdy nastało światło południa, a pokój stał się już znośnie czysty, zasiadł z kawą w fotelu i otworzył pierwszą stronę.

„Oryginalny rękopis, który, co oczywiste, znaleziony przeze mnie dawno temu stał się kanwą tej powieści, kończył się wyznaniem: *wszystko co tutaj napisałem o losach załogi, dzielnego pierwszego oficera – Michaela Paysaga i wielkiego admirała, księcia Aragonii – Don Diega von Gondcka na okręcie flagowym Armada Española – Virides Pagi jest prawdą, czego byłem naocznym świadkiem i uczestnikiem. Zaświadczam*

*o tym przysięgając na święte relikwie ojca założyciela naszego zgromadzenia, ja Mattia de Assai, sekretarz jego świętobliwości, papieża Petrusa Secundusa Tetti. A.M.D.G.”.*

Gdy tylko przypomniał sobie te słowa, zaśmiał się szczerze i wzruszył na myśl o tych dawno utraconych czasach. Przekartkował książkę docierając do ulubionego fragmentu.

„Admirał słabł coraz bardziej. Kulejąc z wyczerpania zataczał się na piaszczystych klifach. Piasek co rusz zapadał się pod jego ciężkimi krokami, i tracąc wówczas równowagę próbował się nie przewrócić. Wiedział, że jeżeli to się stanie, nie będzie miał już siły podnieść się i skona. Zresztą i tak już dobrze zdawał sobie sprawę, że nastal jego koniec, ale nie mógł umrzeć bez szaleńczej i beznadziejnej walki o godność. Zobowiązywała go do tego wierność mundurowi i szlachecka nobilitacja. Setki Berberów zdychało przed nim w tych piaskach, sam wcześniej pogrzebał ich tutaj tuziny i nie zadowalało go ich trupie towarzystwo. Pragnął cienia i spokoju.

– Tak, cień to jedyne, czego mi teraz trzeba – powtarzał w głowie jak mantrę.  
– W cieniu umrę z honorem.

Wiedział, że nie może być inaczej. Tyle bohaterstwa za życia, tyle aktów odwagi, tyle męstwa i heroizmu. Zasłużył sobie na dobry koniec.

Szedł dumnie i bez lęku, nie miał powodu do obaw. W odciskach jego stóp na piasku pozostawały jednak, powiększające się po każdym przebyтым kroku, krwawe ślady. Niedawna rana po tragicznym pojedynku musiała otworzyć się na nowo w trudach tej saharijskiej tułaczki. Na dostojnym mundurze rosła plama krwi, a admirał Diego von Gondck, czując jej upływ, stawał się bledszy. Bledszy na tyle, na ile można być bladym w gorącej pustynnej żaru smagającego jego twarz od wielu godzin. Słońce zdawało się być w nieustającym zenicie, jakby cały wszechświat zatrzymał się, by w zadumie przyglądać się zmaganiom konającego. Na jego nieszczęście, zmierzch niosący ukojenie nie następował, i nie nastąpi już nigdy za jego życia.

Nagle, gdy podniósł błądzący po wydmach wzrok, zdał sobie sprawę, że nie wiedząc kiedy, zawędrował ku niedostrzeżonej przedtem oazie. Dwie palmy rodzące daktyle, niewielkie źródelko tryskające słodką wodą i – co najważniejsze – upragniony cień. Dużo cienia. Idealnego, stworzonego wręcz po to, by w kojącym chłodzie zakończyć wędrówkę. Opierając się o małe drzewko złapał się za żebra po lewej stronie, gdzie miarowo pulsowała niezagojona rana. Okrwawioną dłonią zerwał kiść ususzonych na drzewie daktyli i podpierając się o szorstki pień opadł na ziemię. Słodycz owoców dodała mu siły. Myślał teraz jaśniej, przechodził mu opętający amok walki o życie.

– Ten cień to więcej niż zasługuję, na co jeszcze czekam?

Każdy kolejny daktyl przywoływał nowe wspomnienie, nową smugę światła w zamglonej pamięci. Myśl o dzieciństwie w Saragossie, miękka jak matczyzna poduszka, o pierwszych krokach

poza domowym zaciszem, o młodzieńczych miłostkach i o awanturycznym zewie przygody, wreszcie myśl o początkach służby na królewskim dworze, w Armada Española i o zatopionym przed kilkoma dniami okręcie flagowym.

– Ach, jakże piękny był to statek...

Rzeczywiście Virides Pagi, trójmasztowy galeon długi na 180 stóp, uzbrojony w pięćdziesiąt dział, jeszcze do niedawna uważany był w całej Europie za szczyt możliwości konstruktorskich i morskie dzieło sztuki. Fama niezniszczalności nie ocaliła go przed wielkim sztormem sprzed kilku tygodni. Sztormem, który zaprowadził admirała, aż tu, pod te dwie skarłale palmy. Czuł, że wszystko prowadziło go właśnie do tego miejsca, że tutaj miał trafić przez całe życie, aby przeżyć je kompletnie. Te wszystkie myśli, te wspomnienia, przestawały mieć znaczenie, bo liczyła się tylko ta przestrzeń, ten zamarły krajobraz, w chwili, gdy wszystko wokół trwało w oczekującym bezruchu.

Niespodziewanie jednak nastąpiło wokół intrygujące poruszenie. Zadał wiatr, palmy zatrzepotały, a zza falującego z gorąca horyzontu wyłoniła się sylwetka. Z początku widziana jakby w zwierciadle, niejasno, zaraz jednak stanie z admirałem twarzą w twarz. Don Diego poczuł niespodziewanie obce sobie rozgoryczenie. Oto nie umrze już w spokoju. Kto ma czelność pozbawić go komfortu samotnego końca? Postać zdawała się iść dokładnie w jego kierunku, nie ku oazie, ale właśnie do niego, jakby jej celem wcale nie było odpocznienie przy źródle i chłodzie.

– Najpierw utrata okrętu, śmierć załogi i przyjaciół, tułaczka rozbitka, niewola u tych berberyjskich dzikusów, potem krwawy pojedynek z Michaelem, a teraz jeszcze będę wykrwawiał się na oczach jakiegoś zbląkanego Araba, który śmiejąc się zabierze mi resztę oficerskiej godności.

Zbląkany Arab, jak określił go książę, wraz z każdym krokiem nabierał jednak coraz to dziwniejszych kolorów. Stał się w końcu jakby refleksem tęczy w ludzkim ciele. I wtedy znaleźli się koło siebie. Mieniająca się wszystkimi kolorami lekka tunika, jak suknia balowa, osłaniała całe ciało, ale też i głowę przybysza. Przybysza, który okazał się być niespotykanej pięknej kobietą o marokańskiej urodzie i orientalnym chodzie. Spod jej szaty widział tylko małe, zgrabne stopy opięte cienkim rzemykiem, delikatne dłonie pokryte arabeskowym tatuażem i jedynie zarys twarzy. Choć nie była ona zakryta, admirał nie mógł na nią spojrzeć dłużej niż przez ułamek mrugnięcia okiem, bila od niej bowiem oślepiająca struna światła. Tak piękna i onieśmielająca, że książę, który położył trupem najgroźniejszych przeciwników i wytrzymał na posterunku w najgorszych sztormach, nie miał odwagi spojrzeć w oczy przybyłej. Wielkie uklucie w głębi serca skruszyło resztę jego dumy i honoru, stał się mały, skurczony do rozmiaru napaństwa, zawstydzony bardziej niż uboga służka w pierwszym dniu na królewskim dworze. Nawet wiele lat temu, kiedy przedstawiano go za młodu staremu królowi, nie czuł się równie niegodny i mały. Co miał zrobić, jak zareagować?

Otwierał już spierzchnięte i zaschłe od słodkich daktyli usta, by przedstawić się, przywitać, powiedzieć cokolwiek, ale znowu zabrakło mu przekonania, że zasługuje, by zabierać głos przy takiej istocie. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, jak się zachować. Trwał więc w milczeniu patrząc zmrużonymi oczyma na dłonie i stopy tej niezwyklej kobiety pełnej błysków i blasków. Ciszę jednak po dłuższej chwili przerwała Marokanka.

– *Admirale, nim nastanie wieczór, koniec dni minionych, posłuchaj, co mam ci do opowiedzenia.*  
– I rozpoczęła swoją historię.

*Mówią – lecz tylko Allach jest wszechwiedzący i najmędrszy, wszechpotężny i pełen światłości – że był kiedyś w dawnych czasach, minionych wiekach i stuleciach Król pewien znakomity, Pan świąty, niewolników i sług. Rządził sprawiedliwie, a zawsze okazywał miłosierdzie. Umarł za młodu, choć żyje do dzisiaj. Mówił prosto, ale z jego słów biła mądrość i władza. Dlatego poddani nazwali go Królem Paradoxem. Wszyscy go kochali i nikt go nie rozumiał. Król wiedział, że będzie musiał oddać władzę nie pozostawiając dziedzica korony, dlatego bał się o swoich poddanych. Okazywał im troskę i wysłuchiwał ich skarg i żali. Jednak pewnej nocy, gdy świat cały udał się spać, niektórzy dworzanie zawiązali spisek i porwali Króla, bo sami chcieli chwały i władzy. Zabili go, a ciało ukryli, by nie wyszła na jaw ich zdrada. Ludziom ogłosili, że Król ich opuścił, ale oni są z nimi. I podzielili się władzą po równo. A królestwo zamordowanego Króla było ogromne. Każdy z nich dostał swoje władanie. Nowych królów było jednak zbyt wielu, by mogli żyć w zgodzie.*

*Pierwszy król pragnął siły i jedynowładczej potęgi. Zebrał więc wojsko i najechał sąsiednie królestwa mordując niedawnych przyjaciół. I nastął czas strachu i wojen.*

*Drugi król pragnął bogactwa i pełnego skarbcza. Zebrał więc swoich poddanych i ograbił ich ze wszystkiego, co mieli. I nastął czas biedy i braku.*

*Trzeci król pragnął rozkoszy i przyjemności. Zebrał więc piękne kobiety i zamknął w haremie, a resztę poddanych uczynił służbą na dworze. I nastął czas smutku i niewoli.*

*Czwarty król pragnął uwielbienia i nimbu boskości. Zebrał więc swoją świątę i rozkazał sobie jednego tylko miłować i chwalić. I nastął czas pogardy i kłamstwa.*

*Piąty król pragnął luksusów i wystawnych uczt. Zebrał więc wszystkich kucharzy i kazał się karmić i wyprawiać przyjęcia. I nastął czas głodu i chorób.*

*Szósty król pragnął być lepszym od pozostałych królów i żałował, że mieli więcej od niego. Zebrał więc szpiegów i rozkazał im podglądać i grabić sąsiednich władców. I nastął czas oblędu i niezgody.*

*Siódmy król nie pragnął niczego i nic nie czynił w swoim królestwie. Zebrał więc swoich ludzi i rozstał do domów, by żyli bez obowiązków i zajęć. I nastął czas niestabilności i bezprawia.*

*Królów było jeszcze wielu, ale żaden z nich nie był dobrym władcą. Wszystkie królestwa upadły jedno po drugim.*

Jej głos był rozkoszny dla ucha jak najslodsza z oper, rozbrzmiewał jak muzyka kolysząca admirała do snu. Mówiła w obcym języku, ale on rozumiał ją bezwiednie. Sięgnął pamięcią pobytu w Andaluzji i mauretańskich pałaców, gdzie gościł za młodu.

– Czy to był ich koniec? Nie było już więcej dobrego władcy i zawsze już rządziło tylko zło? – Zapytał cicho po hiszpańsku, nie wiedząc, co ma powiedzieć i jak reagować.

– *Nie, księżę, to jest twój koniec, o ich końcu pamiętam dziś już tylko ja. Ale nie bój się, bo widzisz, jestem tu, by nie spotkała cię tu śmierć w samotności, której dotychczas pragnąłeś. Tamci królowie umarli samotni nie mając Króla, ty zaś nie umrzesz dziś sam.* – Mówiąc śpiewnie i dźwięcznie złapała go za rękę.

Jej dłoń była zimna, tak przynajmniej zdawało się ciągle tracącemu czucie i moc von Gondckowi. W rzeczywistości nie była jednak ani zimna, ani ciepła, bo nie miała temperatury, ta dłoń nie miała nawet ciała. Była jak najdostojniejszy koniak przelany do zdobionego i filigranowego kieliszka. Naczynie, nawet najpiękniejsze i najdroższe, nigdy nie stanie się swoją własną treścią, swoim własnym smakiem.

Ten ledwie przeczuty dotyk dodał mu jednak wiary. Przez chwilę powróciły mu zmysły i siły. Oderwał uśpiony wzrok od poplamionej atramentem dłoni, podniósł go lekko i cicho, ale z przekonaniem w głosie, powiedział:

– W takim razie jestem gotowy. – Spojrzał na jej twarz, głęboko w jej czarne oczy. Dotychczas poznał ją tylko w części, w tym jednak momencie poznał ją tak, jak został przez nią poznany. Nie ma trafnych porównań, które mogłyby opisać towarzyszące mu poczucie spełnienia i piękna, jeżeli jednak jest ono tutaj konieczne, można rzec, że poczuł się jak kolysany w objęciach matki w najświetlitszej ławie saragoskiej katedry, gdzie przed ołtarzem tęcza lśni z witraży, a biskup zanurzy go zaraz w chrzcielnicy. Taka myśl i taki widok pod powiekami pozostały z nim, gdy osunął się i upadł plecami na rozgrzany piasek pod daktylowcem. Marokanka ucałowała jego rozgrzane od gorączki i potu czoło, i zanuciła:

– *Dobranoc, księżę.*

Po czym zniknęła, a został po niej tylko lekki cień i srebrny połysk, który utrzymał się, aż do pierwszego powiewu wiatru.

Nagły dzwonek do drzwi wybił go brutalnie z zamyślenia i literackich wspominków.

– Oho, przyszedł dziś wcześniej. – Powiedział pod nosem udając się na korytarz.

Szybki przystanek przed lustrem. Ostatnie poprawki. Wyglądał nie najgorzej, zwłaszcza w porównaniu do tego, co czuł w głębi siebie. Oczy lekko opuchnięte po źle przesypanych nocach, cera z lekka szarawa, objawy kaca i nadmiaru tytoniu, zaniedbany, jednodniowy zarost.



– Da się z tym żyć... – pomyślał gładząc klapy marynarki.

Przynajmniej w stroju zachował pozór przyzwoitości. Pomarańczowa tweedowa marynarka w jodelkę, pudrowa, bawełniana koszula zapięta na alabastrowe spinki i złoto-granatowy krawat. Już mało kto chodził tak ubrany, zwłaszcza poza letnim sezonem, ale on czuł się w tym sobą, kimś, kto chociaż ubraniem stara się zrekompensować sobie codzienne postępy szarzenia.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

– Już otwieram! – Głośno westchnął odrywając spojrzenie od lustra i sięgając za klamkę.

– *Laudetur Iesus Christus!*

– *In saecula saeculorum* – odpowiedział klękając na prawe kolano i całując wyciągnięty pierścień.

– A-men – sylabizując odparł gość, po czym klasnął w ręce.

– Cześć, chcesz kawy? Właśnie wstawiłem – zapytał gospodarz wstając z klęczek i po przyjacielsku obejmując biskupa.

– Oj nie, przyjacielu! – Zaśmiał się donośnie duchowny. – To już byłaby czwarta, a jest świeżo po południu. Ale proszę, to na urodziny. – Szybko podał prezent.

– Dziękuję, nie było trzeba – uśmiechnął się wyjmując z torebki pięknie zapakowanego Hennessy X.O.

– Ha ha! To w końcu ładna rocznica.

– Ciebie czeka to raptem za trzy miesiące!

Poza złotym krzyżem z trzema małymi rubinami zawieszonym na szyi i pierścieniem biskupim, Kuba ubrany był nad wyraz skromnie. Krótka niebieska koszula z koloratką i czarne sztruksowe spodnie zaprasowane na kancik. Nie miał dziś nawet purpurowej piuski, która skryłaby rosnącą w oczach łysinę.

– Ech... starzejemy się, chłopie, co na to poradzisz.

– Już za późno, ekscelencjo... Chodź do środka.

Biskup rozejrzał się dookoła. Dobrze znał to mieszkanie, ostatecznie, choć nigdy w nim nie mieszkał, należało do niego. Już dawno odstąpił je przyjacielowi w zamian za opiekę nad bazyliką i towarzystwo w tym smutnym dla wszystkich świecie. Nie musiał czuć się zupełnie samotny, gdyż zawsze miał kogo odwiedzić. Mieszkanie nie przypominało już tego sprzed kilku godzin, w powietrzu dało się jeszcze odczuć resztki fajkowego dymu, ale nie było już śladu po galerii butelek od wina i resztkach niedojedzonego wieczorem jedzenia. W gruncie rzeczy bardzo lubił tę przestrzeń. Usiedli w kuchni.

– To może chociaż herbatki się, Kuba, napijesz?

– To już prędzej. Poproszę. Miałeś wczoraj wielu gości? – Zapytał, choć znał już odpowiedź.

– Wiesz dobrze, kto mnie tutaj odwiedza – mówił patrząc na coraz głośniejszy czajnik.

– Fakt, powiedz im kiedyś, żeby do mnie zaszli, bo już dawno ich nie widziałem.

– Zawsze możesz tu do nas dołączyć. Pogadać, któregoś wieczoru. Wiesz o tym.

– Tak, ale to już nie dla mnie. Przestałem czuć takie imprezy.

– Oni chyba też już przestają.

– A ty, Maciek?

– Dla mnie to jedyny bufor pamięci. Dobre wspomnienie, które odżywa we mnie tu i teraz.

– Nie masz dość tych wspomnień?

– To jest coś ze mnie. Coś, co nie może przestać być mną. Rozmawialiśmy o tym, gdy byliśmy w seminarium i dlatego też odszedłem przed święceniami.

– Pamiętam. Gdybyś nie odszedł, to pewnie dzisiaj ja mówiłbym do ciebie „płoszę Ekscellencji”.

Obaj wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Tak jest chyba lepiej. Ha ha!

– Za późno, by do tego wracać.

– Ja jednak powracam bardzo często. Te kruzganki i wirydarze śnią mi się prawie codziennie.

– Może jednak wciąż żalujesz tego odejścia?

– Nie wiem, Kuba, naprawdę nie wiem. Ale to chyba nie to. Może po prostu to był ten moment, wiesz. – Zalał dwie filiżanki z herbatą.

– Ten spokój i prostota?

– Ehe...

– Zdecydowanie był, ale pogódź się z tym, że już nie wróci. Ja też nie mam już tego poczucia, które miałem wówczas. Świat był wtedy inny.

– Nie. Był taki sam, tylko my zmieniliśmy nasze spojrzenie.

– Tak, starzejemy się, przyjacielu. Dawno już jesteśmy starsi od tego koniaczku.

– Młodzieniaszek, ha ha! Odwiedź mnie po jutrzejszych nieszpórach, to sprawdzimy, czy nie jesteśmy na niego już za starzy.

– Ja myślę, że jednak ciągle za młodzi. – Popili herbatę, by powstrzymać nieustający śmiech.

– O, ale ja też mam dla ciebie prezent. Taki bez okazji.

Poszedł do pokoju i wrócił ze znalezionym rano woluminem.

– Weź to.

– To twoje?

– Zacząłem to pisać świeżo po odejściu.

– Płodny okres – powiedział biskup patrząc na rozmiar książki.

– Jesteś nawet jednym z bohaterów.

– Tak? Miło.

– Te lata, wtedy, były trudne. Tylko pisanie mnie jakoś ratowało przed zupełną utratą wiary i nadziei.

– Ale przeżyłeś to mocniejszy, nie zapominaj o tym. A jak masz się teraz? Tak duchowo.

– Biskup cicho siorbiąc wziął kolejny łyk naparu.

– Duchowo, hmm... Jestem chyba bardziej spokojny. Dziękuję.

– To najważniejsze. Ale psychicznie to tak sobie, co nie?

– Garściami łykam tabletki, chodzę codziennie na słońce i cieszę się, że mogę ci jakoś pomagać, że mam jednak gdzie się podziać i co ze sobą zrobić. Najgorsze są te ciągle dziwaczne sny, których nie można przestać rozdrapywać. Swędzą po całym ciele. Jak strupy.

– Hm? Co tym razem?

– Wiesz, śniło mi się, że cały świat zawirował. Zawracał i kręcił mi się w oczach. Ten pęd całego mnie przerastał, moje małe ja. Zacząłem gubić się w tym mirażu blasków i błysków. Splecione ze sobą kolory ułożyły się w majestatyczny witraż w rozecie kredowobiałej gotyckiej katedry w samym środku lasu. Czulem, że jej zebra są jak nitki mojego życia, jak cała ta arteria żył. Wszędzie tylko spękany tynk. Ta świątynia była pusta. Pusta jak po pożarze, chociaż nie było żadnego pożaru.

Wokół mnie był tylko biały gips, który odklejał się od ścian i kruszył się w moich palcach. Nie było już nawet marmurowych posadzek, których wzory opowiadają orientalne historie, nieprzejednanych szlaków pamięci. Tutaj nie było żadnej pamięci. Niepamięć, jedyny heroizm na jaki było mnie stać.

Stałem sam, oderwany od życia i smaku, pośrodku pobielanych ścian, na które padło nieśmiało jakieś dziwne, intymne światło z jedyne, okrągłego okna nad trójdrzwiowym portalem, przez który nikt nie przechodził. Żadnych turystów oddychających tym kredowym powietrzem. Nikogo, tylko ja sam. Dlaczego jestem opuszczony? Dlaczego nic nie pamiętam? Znasz to uczucie? Nawet te ściany zdawały się nie zwracać na mnie uwagi. Jakby były na to zbyt dumne. Czulem się przy nich taki nieistotny, jakbym nie był ich godny. Zbyt wiele już tam widziały, by miało je obejść coś tak nikłego, jak ten dryfujący w powietrzu pył, którego stałem się częścią.

Wiesz, ten pył zapchał mi nozdrza, zaczął dusić, sprowadzać na mnie białą i powolną śmierć. Zimną i gorzką, jak flegma. Czulem, że to jedyna bohaterska śmierć. Śmierć za życia. Trwała jak pomniki, jedyna, która nie odstępuje mnie na krok. Choć nic nie pamiętałem, to tylko ją czulem. Jakbyśmy tworzyli jedność w rytualnym mordzie samego siebie. Nie dokonywał się on na ołtarzu, bo nie było w tej katedrze żadnego ołtarza, była tylko ta świetlana migawka wpadająca przez jedyne okno, która wiruje i tańczy po ścianach. To symfonia świata. Mikrokosmos w zadufanej i dusznej przestrzeni, której biel jest tak wielka, że to jedno tęczowe lśnienie ginęło prawie niezauważone.

Czulem się, jakbym patrzył na koniec świata; patrzył, ale go nie zauważał. Chrystus Pantokrator zasiadł już na tym błysku padającym refleksem z wielobarwnej rozety, tak jak na obrazach Memlinga, Boscha i van der Weydena, zasiadł i niepodzielnie króluje w tej pustej świątyni. Obaj musimy być tu strasznie samotni, skazani na siebie. Zatarło mi się, kto był tam gościem, a kto gospodarzem, kto wznosił to wszystko. Komu służy ta katedra? Dlaczego w dławiącym pyłe ścieranych ścian ktoś nagle przychodzi mnie sądzić i gotuje mi Apokalipsę? Dlaczego nie mogę pozostać sam w odmiecie nieistnienia?

Przedziera się to do samego szpiku, jest nieprzyjemne, jak odrywanie odcisniętej skóry od ciała. Z bólem i trzaskiem kości wylamuję się powoli z zapadniętej posadzki, to moja jedyna aktywność od dawna. Przywykłem tak bardzo do trwania w bezruchu, że stawianie pierwszego kroku jest dla mnie czymś nowym, dziewiczym. Wspomnienia docierają do mnie szybko, nie raz już chodziłem. Krzyczę sam do siebie, że „umiem chodzić!”. Podbiegam do tęczowej luny i biorę ją w ręce, a ona rozpała mnie i rozgrzewa. Topi i rozkuwa.

Swoim własnym ciepłem zacząłem ją gnieść i formować. Ta tęcza stała się nagle plastyczna, plastelinowa, giętka. Kleiła się do moich rąk i pozostawiała osad. Czulem się jak garncarz, który modeluje glinę, albo jak rzeźbiarz, tworzący pomyslane przedmioty. Z samej tylko tęczy tworzyłem wszystko. Kształty, kolory, twardości i fraktury. Wszystko, co tylko byłem w stanie pomyśleć, wszystko, czego zapragnąłem w wyobraźni. Zapelnilem całą katedrę bezlikami eksponatów, żyrafami, ławkami, pochodniami. Powstało wielkie archiwum mojego życia, o którym dotychczas nie pamiętałem, katalog wszystkiego, czego pragnąłem. Wielki labirynt szczątkowych reminiscencji z życia. Nad głową latały mi ptaki, białe dotąd sklepienie stało się zachmurzonym niebem, dookoła trawy, potoki, liście i drzewa, ale ciągle czulem, że jestem w katedrze. Wszystkie dzikie zwierzęta zaczęły kryć się, jakby przeczuwały nadejście jakiegoś niszczącego wszystko potopu, ale koniec świata następował inaczej. Nie przez zniszczenie, unicestwienie wszystkiego, ale przez poczucie nadmiaru, przesyty. Niezauważalna Apokalipsa barokowego przepychu. Chrystus-Sędzia na tronie splecionym z wiązek światła zawyrokował tubalnie, że „nie jest dobrze, abyś był tu sam, w ogrodzie pełnym martwych pereł”. Wszystko zaczęło się walić, wszystko znikало mi w oczach. Pękały żebra

katedry, waliły się stropy, organy eksplodowały i siekały kolumny. Wszystko runęło na mnie i znalazłem się na kupie gruzu. Nie ocalało nic prócz mnie samego i tej odzianej w lekką szatę z lepkiej mgły tęczy. Na tych gruzach zacząłem szaleńczo tańczyć Święto Wiosny. Już miałem wykrzyknąć „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”.

Ale się obudziłem...



Albert Gleizes, *La Cathédrale de Chartres* (1912)



## Pamiętaj

### Rozdział 5

Lena siedzi w fotelu pasażera i bezwiednie wystukuje palcami jakąś melodię. Nie pamięta oryginału. Nie pamięta też, jak się znalazła w samochodzie i kim jest mężczyzna, który kieruje autem. W jej głowie formuje się pewien plan, ale wcześniej musi dowiedzieć się kilku rzeczy.

Mężczyzna skręca w stronę stacji benzynowej.

– Tylko szybko zatankuję i zaraz wracam. Chcesz coś?

Lena kręci głową i próbuje się uśmiechnąć. Mężczyzna tankuje, a kiedy znika w budynku stacji, dziewczyna bierze do ręki telefon, który obserwowała od dłuższego czasu. Szuka tylko jednego – nagrania, którego numer jest zapisany na jej ręce.

Ogląda film przez kilka sekund, dłużej nie daje rady. Szybko wyłącza telefon i odkłada go na swoje miejsce. Teraz wszystko jest już jasne. Po chwili mężczyzna wraca do auta.

– Adam?

– Tak?

Lena otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu je zamyka, jakby chciała powiedzieć: „nic”. Wygląda przez okno.

– Lena, wiem, że miałem cię zawieźć na policję, ale najpierw muszę ci coś pokazać.

Serce Leny zaczyna szybciej bić, ale dziewczyna nic nie mówi. Nie próbuje wydobyć z siebie żadnego dźwięku, wciąż ma w pamięci nagranie, które znalazła w telefonie. Adam bierze jej milczenie za brak sprzeciwu. Odjeżdżają ze stacji.

Droga, którą jadą, prowadzi przez las. Nigdzie w pobliżu nie widać zabudowań, a inne auta zdają się omijać tę trasę. Słońce chowa się za drzewami, które rzucają długie cienie na asfalt. Z radia wydobywają się ciche dźwięki jakiejś starej piosenki, którą Adam nuci pod nosem. Lena drapie się nerwowo po ręce, wyczuwa napięcie w powietrzu, które rośnie z każdą chwilą. Im bardziej oddalają się od cywilizacji, tym bardziej zdaje sobie sprawę, że ta droga może nie mieć powrotu.

Nerwowość dziewczyny zaczyna udzielać się Adamowi. Prowadzi niedbale, nie zwracając uwagi na wyboje i dziurawą drogę. Kiedy Lena dostrzega zakręt, wie, że to jej ostatnia szansa. Szybkim ruchem odpina pasy Adamowi. Mężczyzna nie ma czasu zareagować, kiedy dziewczyna łapie kierownicę i mocno pociąga ją do siebie.

Lena oddycha ciężko. Siedzi na trawie przy drodze. Nie wie, jak długo, ale słońce zaszło już kilka minut temu. Przed sobą widzi rozbite auto Adama, które uderzyło w drzewo. Jego ciało wypadło przez przednią szybę. Nie miała odwagi, żeby sprawdzić, czy wciąż żyje.

Podnosi się na chwiejnych nogach i zaczyna iść. Nie wie dokąd, ale chce się znaleźć jak najdalej od tego miejsca. Wydaje jej się, że za drzewami widzi ukrytą chatkę. Gdy podchodzi bliżej, orientuje się, że wzrok jej nie mylił. Wygląda na niezamieszkałą. Tli się w niej iskierka nadziei – jeśli nie będzie mieć innego wyjścia, może tutaj przenocować i chociaż trochę schronić się przed zimnem.

Jednak już na progu wyczuwa nieprzyjemny zapach, który wdziera się w jej nozdrza. Puka, czeka chwilę, a następnie próbuje otworzyć drzwi. Ustępują bez oporu. Kiedy wchodzi do środka, uderza ją okropny odór. Powstrzymuje się od wymiotowania. Wchodzi głębiej i wtedy to dostrzega. Źródłem smrodu są zwłoki, zmasakrowane ciało mężczyzny. Lena nie jest już w stanie powstrzymać swojego obrzydzenia i wymiotuje na podłogę. Łzy cisną się jej do oczu, potrzebuje świeżego powietrza. Zanim wybiegnie, zauważa jeszcze telefon komórkowy na stoliku. Kierując się nieokreślonym impulsem, zabiera go i wybiega z chaty.

Bierze kilka oddechów, chcąc nasycić płuca nocnym, czystym powietrzem. Ogląda telefon – jeśli jest naładowany, będzie mogła zadzwonić po pomoc. Włącza go i przeszukuje. Przez przypadek trafia na pewne nagranie. To samo, które znalazła wcześniej. To samo, które znajdowało się w komórce Adama.

## **Rozdział 4**

Lena otwiera oczy i rozgląda się po obcym mieszkaniu. Leży w ubraniach, a na zewnątrz jest jasno, musiała przyciąć sobie tylko krótką drzemkę. Słyszy za ścianą dźwięk prysznica, ktoś musi się właśnie kąpać. Podnosi się i siada na kanapie.

Nie jest pewna, jak się tu znalazła, i korci ją, żeby poszukać wskazówek w rzeczach, które, jak sądzi, nie należą do niej. Na stoliku przed nią leży czyjś telefon. Lena Marszczy brwi. Pewnie nie powinna do niego zaglądać, ale z drugiej strony... Może będzie mogła się czegoś dowiedzieć.

Bierze telefon. Ma szczęście – nie jest zablokowany. Po przejrzeniu kilku wiadomości dowiaduje się, że należy do Adama. Zerka na napis na ręce, na której widnieje to samo imię. To prawdopodobnie ta sama osoba. Przegląda zawartość telefonu, aż w końcu trafia na coś ciekawego – dziwne nagranie. Włącza je i natychmiast ogarniają ją mdłości.

Z głośnika dobiega jej głos. Nie może uwierzyć w to, co widzi. Zaslania usta dłonią, żeby osoba za drzwiami jej nie usłyszała. Odkłada telefon drżącymi dłońmi i siedzi w otępieniu przez kilka chwil. Z trudem powstrzymuje łzy, ale bierze kilka wdechów, by spróbować opanować bijące

serce. Bierze długopis do ręki i zdecydowanym ruchem skreśla określenie „przyjaciół” obok imienia Adama. Po chwili zastanowienia zapisuje zamiast niego nazwę nagrania, które znalazła. Siedzi przez chwilę w bezruchu, zastanawiając się, co dalej. Musi działać z rozmysłem i dostać się jak najszybciej na policję.

Wzdryga się, kiedy dobiega ją dźwięk otwieranych drzwi. Zdaje sobie sprawę, że odgłosy lecącej wody ustały jakiś czas temu.

– Możemy jechać – mówi mężczyzna i sięga po klucze do auta.

Lena nie wie, dokąd, ale przytakuje.

### **Rozdział 3**

– Lena, słuchasz mnie?

Dziewczyna odwraca się w kierunku mężczyzny prowadzącego auto. Nie zna go, ale jednocześnie ma wrażenie, że kiedyś go już widziała. Chyba nie wsiadłaby z obcym mężczyzną do auta. A przynajmniej ma taką nadzieję. Boli ją głowa i z wysiłkiem próbuje słuchać mężczyzny. Nie jest jeszcze pewna, czy może mu zaufać.

Opowiada, że się znają, przyjaźnią się od lat. Musiała dostać jakiegoś urazu, jeśli ma problemy z pamięcią. Kilka dni temu zniknęła, nikt nie wiedział, co się z nią stało. Powinni jechać do szpitala. Jej imię to Lena, jego imię to Adam. Mężczyzna mówi, że teraz już wszystko będzie dobrze.

– Powiedz, czy pamiętasz, co się stało? Kto ci to zrobił?

„Skąd pomyśl, że ktoś brał w tym udział”, przemyka Lenie przez głowę, ale szybko odrzuca tę myśl i skupia się na tym, co mówi mężczyzna.

– My... podejrzewaliśmy Marka – kontynuuje Adam.

– Marka?

– Tak, twojego byłego.

„Mój był”, przemyka Lenie przez myśl. Dziwnie się czuje, nie pamiętając osoby, z którą podobno dzieliła swoje życie. Ma mętlik w głowie. Nerwowo drapie się po ręce i zauważa na niej napisane tuszem słowa. Marszczy brwi. Po przeszukaniu kieszeni znajduje długopis i po chwili wahania dopisuje imię Adama, a obok niego podpis: „przyjaciół”.

– Chcę najpierw pojechać na policję – mówi Lena.

Adam zerka na nią i przez chwilę nic nie mówi. Odchrząkuje.

– Jasne, ale słuchaj. Myślę, że najpierw powinnaś chociaż trochę odpocząć. Zawiozę cię do mnie, będziesz mogła się umyć i przebrać.

Lenie nie podoba się pomysł, by odłożyć wizytę na policji na później, ale nie znajduje żadnych konkretnych argumentów przeciwko. Otwiera usta, ale nic nie mówi. W końcu przytakuje i spogląda za okno.

## Rozdział 2

Dziewczyna przystaje w pół kroku. Dostrzega w pobliżu ławkę i przysiada na niej. Obok zauważa tabliczkę – przystanek autobusowy o nazwie „Zagrodowa”. Wpatruje się w znak, jakby miał jej przypomnieć, w którą stronę zmierzała. Ale tabliczka milczy. Lena nerwowo przeciera ręce. Czuje zdezorientowanie, nie może sobie przypomnieć, w którą stronę zmierzała ani jaki był cel jej podróży.

Dostrzega napis na swojej ręce, zgaduje, że to adres, ale nie zna go. Czy to tam zmierza? Przebiega jej przez głowę myśl o skierowaniu się na policję, ale nie jest pewna, czy to dobry pomysł. Czuje nieokreślone wahanie. Nie ma też pojęcia, gdzie znajduje się najbliższy posterunek.

Wpatruje się w nieliczne, mijające ją samochody. Może powinna poprosić o pomoc. Blokują ją jednak dziwny lęk – skąd ma wiedzieć, czy może komukolwiek ufać? Rozgląda się po ulicy, próbując zdecydować, co dalej. W tej chwili hamuje przed nią nieznany samochód – duży, czarny, nie zna marki, nigdy się tym nie interesowała. Auto nie jest stare, ale najlepsze lata ma już dawno za sobą. Z jakiegoś powodu wie, że samochód zatrzymał się tu dla niej.

Nie jest w stanie ruszyć się z miejsca. Z jednej strony czuje niepewność, ale ciekawość trzyma ją na miejscu. Z samochodu wychodzi mężczyzna. Młody, ubrany w koszulkę i jeansy. Dziewczyna nie może jednak oderwać wzroku od jego twarzy. Wygląda, jakby zobaczył ducha. Jest wstrząśnięty, może nawet przerażony. Nie ma mowy o pomyłce – to na nią kieruje wzrok i to ona jest przyczyną jego burzliwych emocji. Dziewczyna chce odejść, ale boi się poruszyć, jak ofiara, która nie chce zachęcać drapieżnika do pogoni za nią. Mężczyzna podchodzi bliżej.

– Lena?

Dziewczyna nie reaguje. Czy ten mężczyzna ją zna? A może ją z kimś pomylił?

– Co ty tu robisz? Szukamy cię od czterech dni, my wszyscy... Policja...

Głos mu się łamie i milknie, wpatrując się w dziewczynę świdrującym wzrokiem.

– Pamiętasz coś?

To pytanie uderza dziewczynę i budzi ją z odrętwienia. Wszystkie nerwy ulatują z niej, nagle ogarnia ją dziwny spokój. Irytuje ją dociekliwość nieznajomego, bo nie, nic nie pamięta i ma ochotę wykrzyknąć mu w twarz swoją frustrację. Po kilku sekundach ciszy zbiera się w końcu na odpowiedź

– Nie. A ty mnie?

Mężczyzna wydaje się być zmieszany, jakby nie zrozumiał pytania. A może go nie usłyszał, zbyt zajęty wpatrywaniem się w dziewczynę.

– Słucham?

– Nieważne. Ja... Zawieziesz mnie na policję?

– Oczywiście! Jezu, oczywiście, że tak! Wsiadaj.

Dziewczyna podnosi się i siada w fotelu pasażera. Wygląda przez okno i wypuszcza powietrze z płuc.

## Rozdział 1

Dziewczyna podnosi dłoń i dotyka głowy. Czuje silny ból, jak po uderzeniu, ale nie wyczuwa na palcach krwi. Co się stało? Gdzie jest? Powoli podnosi się i rozgląda, ale nie może sobie przypomnieć pokoju, w którym się znajduje. Wygląda na opuszczony. Jest ciemny i prawie pusty, w lewym rogu stoi tylko stara kanapa. Dziewczyna próbuje sobie przypomnieć, jak się tu znalazła. Z każdą kolejną chwilą zaczyna ją jednak ogarniać panika – wszystkie informacje zdają się umykać. Nie może sobie przypomnieć, jakim cudem się tu dostała, ani dlaczego. Nie może sobie przypomnieć nawet własnego imienia. W panice przeszukuje swoje ubranie, chcąc odnaleźć jakiegokolwiek informację, ale znajduje tylko gumę do żucia, chusteczki, trochę drobnych i długopis.

Próbuje się uspokoić, opanować oddech i zahamować łzy. Nie wie, co robić, ale w jej głowie zaczyna się formować prosty plan. Wydostać się i dotrzeć do szpitala, na policję, gdziekolwiek, gdzie będą ludzie, którzy pomogą jej dowiedzieć się, co się stało.

Wstaje. Przemyka jej przez głowę myśl, że w opuszczonym domu może być ktoś jeszcze. Zamiera, ale zmusza się, żeby iść dalej. Przechodzi przez ciemne korytarze, błędząc w półmroku. Zerka za siebie i nerwowo obserwuje mijane drzwi innych pokoi. Światło z zewnątrz jako jedyne oświetla jej drogę.

Czuje ogromną ulgę, kiedy po dłuższej wędrówce w końcu udaje jej się znaleźć drzwi wejściowe. Ostrożnie je otwiera, rozgląda się po okolicy z nadzieją, że może przypomni sobie to miejsce, jednak jej wspomnienia pozostają tajemnicą. Gdy nie dostrzega nikogo w pobliżu, wybiega pospiesznie i przekrada się w krzaki rosnące wokół domu. Rozgląda się i zastanawia, w którą stronę powinna pójść. Dostrzega tabliczkę z adresem domu, z którego właśnie się wydostała. Musi go gdzieś zapisać, boi się, że może go zapomnieć. Przypomina sobie o długopisie w kieszeni kurtki. Podwija rękaw i przepisuje dane na rękę, pogrubiając napis kilka razy dla pewności. Rzuca za siebie ostatnie spojrzenie i biegnie w stronę głównej drogi.



## Prolog

Lena wzięła kolejny łyk stojącego przed nią drinka. Skrzywiła się. „Za mocny”, pomyślała. Na języku wyczuła dziwny posmak. „Pewnie ktoś nowy jest na barze”. Dopła trunek jednym haustem. To nie smak się dziś wieczorem liczył. Chciała tylko zapomnieć i miała nadzieję, że alkohol i głośna muzyka jej w tym pomogą, przynajmniej na chwilę.

– Jak tam, kochana? Trzymasz się? – Zuza objęła Lenę ramieniem i ją przytuliła.

– Jakoś.

Zuza pokiwała głową, nie spuszczała jednak wzroku z tłumu stojącego przy barze i czekającego na kolejkę. Zerknęła szybko w stronę wejścia do klubu i nerwowo odgarnęła włosy, które przyłgnęły jej do pomalowanych błyszczącym ust.

– Słuchaj... Nie chcę cię martwić, ale Adam powiedział, że widział, jak kręcił się tu ktoś podobny do Marka.

Lena zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiejąc, co mówi do niej przyjaciółka. Nawet w ten jeden wieczór nie mogła zaznać spokoju. Nie dość, że przez Marka zmarnowała pięć lat życia, to jeszcze teraz, po rozstaniu, nie daje jej spokoju. Chciała o nim jak najszybciej zapomnieć i o wszystkim, co między nimi zaszło. Lena pokręciła głową i poczuła, jak ogarniają ją nudności. Aż tak dużo wypila?

– Wszystko okej? – Spytała Zuza.

– Tak.

– Może chcesz już wracać?

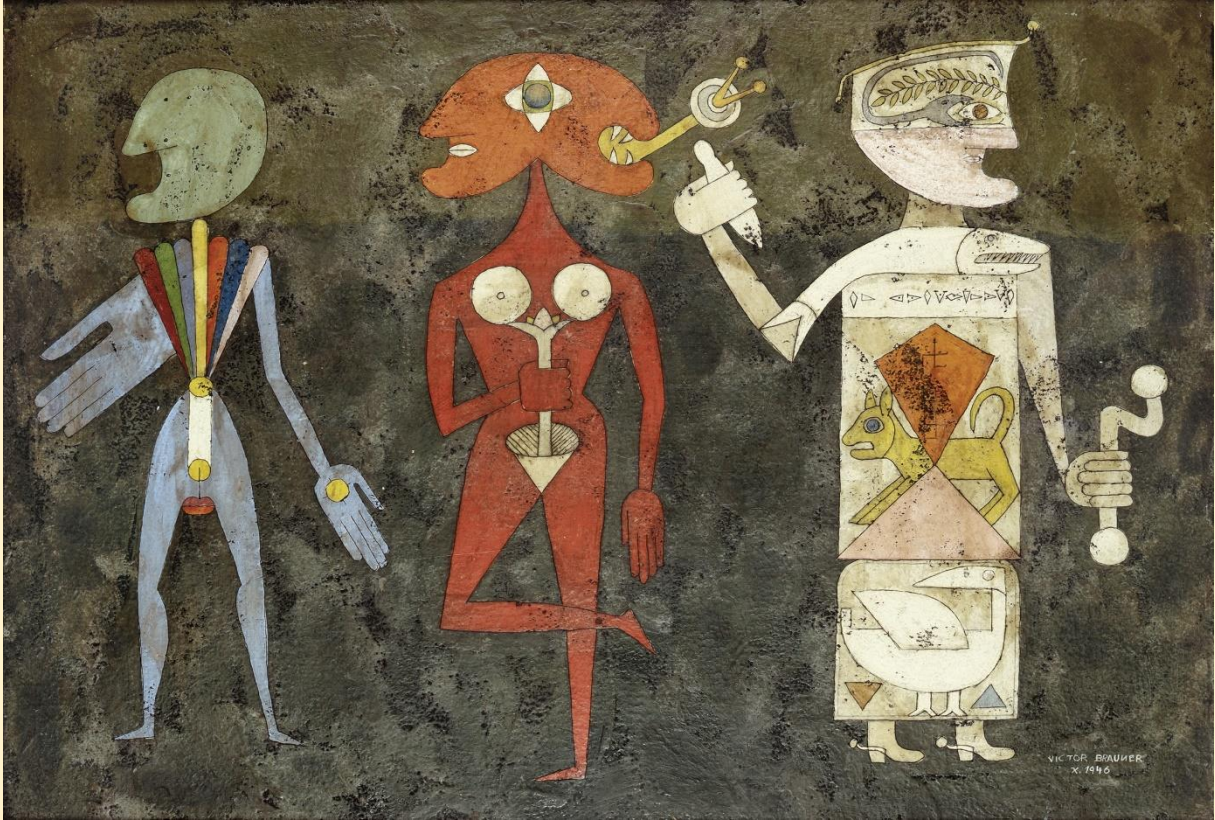
– Dobra – zgodziła się Lena. – Ale pójdę jeszcze zapalić.

– Wezmę nasze rzeczy i znajdę cię na zewnątrz.

\*

Lena poczuła na twarzy powiew nocnego powietrza. Nie miała ochoty palić, czuła się dziwnie osłabiona i zdezorientowana. Stała przed klubem dłuższą chwilę, być może były to minuty, ale miała wrażenie, że całe godziny. Oparła się o ścianę pobliskiego budynku i wzięła kilka głębokich wdechów. Świat zaczął jej wirować przed oczami i z trudem walczyła, żeby nie upaść. Poczula, jak czyjaś dłoń zaciska się boleśnie na jej nadgarstku. Resztkami sił uniosła głowę i spojrzała na stojącą przed nią osobę.

– Marek?



Victor Brauner, *Ceci fut l'histoire d'un poète de Sargimegetusa*, 1946



# W STRONĘ FANTASTYKI

Szymon Baczewski

## W próżni

Głos 1

„Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny. Igraliśmy z naturą, ignorowaliśmy kolejne ostrzeżenia i tak jak koń z kłapkami na oczach cwałem wbiegliśmy w przepaść. Zgubiła nas władza, ignorancja i złuda w postaci pieniądza. Pokolenia powinny zostawiać po sobie mądrość i spuściznę, my zostawiamy ruinę i błędy, na których mamy nadzieję, będziecie się uczyć.

Przepraszamy,  
Ostatnie Pokolenie.”

Cytat widnieje na czarnej połyskliwej tablicy przykręconej diamentowymi śrubami do marmurowej platformy pod interaktywnym elipsoidalnym hologramem planety Ziemia. Można nim obracać, a po naciśnięciu nieco przezroczystej fotonowej struktury ujawnia się pod palcem wygląd naszej kolebki przed klęską ekologiczną – we wskazanym punkcie. Tyle po nich zostało.

Przesiadywałam przed tym hologramem przez wiele godzin, dopóki nie poznałam każdego cala Ziemi – południk po południku, równoleżnik po równoleżniku. Kiedyś lubiłam podróżować palcem po mapie, wracać do ulubionych miejsc, na nowo podziwiać faunę i florę. Lubiałam do momentu, kiedy zapragnęłam więcej – powąchać zwierzę, przytulić drzewo, poczuć skórę spaloną po kąpieli słonecznej...

Dziś wracam tu tylko po to, żeby nie przyjąć przeprosin... Pierdolcie się. Przez was żyję w pędzącej klatce w próżni. Przez was jestem faszrowana sztucznymi promieniami UV, jem wydrukowane jedzenie, nie znam smaku mięsa, nie nazwę zwierzęcia i nie będę mieć rodzeństwa.

Jestem Lil Sun. Urodziłam się na Space Cruise’erze, jednym z czterech, które wystartowały w 2121 roku ze Wspólnej Europy, Chin, Zjednoczonych Ameryk, i Rosji. Podróżuje na tym pierwszym,

drugi wybuchł zaraz po starcie. Były podejrzenia zamachu, nie było śledztwa – nikt nie miał na to czasu. Każdy wyruszył w innym kierunku w poszukiwaniu „Nowej Ziemi”.

Naszym celem jest planeta B420. Rozpędzenie statku do ćwiartki prędkości światła wymagało ogromnej energii, która została zaczerpnięta z jądra starej planety. Zapewne start zniszczył doszczętnie i tak już beznadziejną atmosferę, ale kogo to obchodzi – to już historia.

Załogi komunikują się krótkimi informacjami przesyłanymi światłem przyśpieszonym o teleportację kwantową. Nie jest to łatwe, ponieważ odległości są ogromne i cały czas się od siebie oddalamy, dlatego po skomplikowanych obliczeniach, wiązka teleportowana jest z wyprzedzeniem na naszej trasie, a nasz statek niczym Pac-man zbiera, na swojej drodze pozostawione informacje. Wiadomość jest krótka, głównie informująca o tym, czy jeszcze ktoś żyje.

Należę do trzeciego z czterech już pokoleń żyjących w kosmosie. Nie używamy ziemskich miar czasu ze względu na prędkość, z jaką porusza się nasz statek, ale to nie jest ważne.

Ważne jest to, że z każdą moją myślą jesteśmy bliżej nowej Ziemi niż starej. Cały swój wolny czas poświęcam, aby być użyteczna na arce, teraz i gdy w końcu z niej zejdziemy, dlatego uczę się medycyny, biotechnologii i inżynierii budowlanej. Z naciskiem na dwie pierwsze. Jestem często wyróżniana przez nauczycieli za swoją ponadprogramową wiedzę, a przez społeczeństwo nazywana dzieckiem pokolenia. Nie robię tego dla uznania, ale to bardzo przyjemne uczucie. Jedyne co mnie motywuje to pragnienia postawienia stopy na twardym gruncie.

Może jak tak dalej pójdzie, będę mogła wybrać nazwę nowej planety?

#### Głos 54

W czasie, kiedy moi rówieśnicy kończyli ogólnokształcącą edukację, ja razem z profesorami zastanawiałam się nad możliwymi problemami ekosystemu B420. O ile faunę i florę po identyfikacji można ewentualnie nagiąć nieco pod nasze dyktando, wykorzystując do tego kody genetyczne zabrane z poprzedniej planety, o tyle atmosfera musi być nam przyjazna, żebyśmy mogli ze swobodą kolonizować glob. Myślałam o ewentualnym namagnetyzowaniu biegunów, może to nieco zwiększyć temperaturę na planecie i poprawić atmosferę. Albo w drugą stronę... Nie ma problemu nie do rozwiązania.

#### Głos 133

Zostałam zwerbowana do Kolegium Uniwersyteckiego. Od teraz nie tylko uczestniczę w rozmowach, będę również wykładać mikrobiologię. Oprócz obowiązków zdobyłam dostęp do niedostępnych dla mnie wcześniej materiałów. Profesorzy mają najwyższy autorytet w społeczeństwie i władzy. Stąd mam bezpośrednią drogę do Głównej Załogi, która podejmuje

najważniejsze decyzje. Na razie nie mają ich wiele do podjęcia, ale im bliżej nowej planety, tym więcej.

Głos 187

Zazwyczaj wykłady prowadzone są przez komunikatory w komórkach. Ja spotykam się z uczniami w audytorium, które wykorzystuje Główna Załoga do naprawę rzadkich spotkań z Kolegium. Lekcja jest również transmitowana, ale ja lubię ten oldschoolowy sposób, uczniowie są bardziej skupieni, wychodzą z tego interesujące rozmowy.

Głos 220

Czuję się wyjątkowa. Nie jest to skromne stwierdzenie, ale mam ku temu powody. Jestem w wieku, kiedy instynkt macierzyński przypomina o swoim istnieniu. Zazwyczaj nie daję się ponieść emocjom, ale ma to sens: przekazanie swojego geniuszu innej istocie. Plan B: gdybym miała nie dotrzeć do planety, to przynajmniej częśćka mnie tam zawita.

    Nie doczekam się na rycerza na białym koniu... Dosłownie. Nie mamy tutaj koni. Nie mam też czasu na męczyznę, dwójka dzieci to za dużo, dlatego zdecydowałam się na in vitro. Mamy w bazie kilku niezłych kandydatów zastanawiam się nad pewnym Kenji Yung. Dawno temu na ziemi sterował odrzutowcami, wykładał astronomię na uczelniach na całym świecie i był nieprzeciętnej urody. Ciekawe, czy się spodziewał, że jego nasienie zapłodni kobietę w kosmosie.

Głos 257

Nie sądziłam, że ciąża będzie takim wyzwaniem. Musiałam zrezygnować z wykładów na auli. Nie potrafię się skupić. Często po prostu odpływam, wędruję w pustkę. Nigdy mi się to nie zdarzało, mój umysł zawsze był bystry i ostry... Teraz myśli dryfują w próżni, a ja zapatrzona w biel ściany dostrzegam błyskające kolory. To, co widzimy, bardziej zależy od stanu naszej głowy niż od samych oczu.

Głos 265

Budzę się w nocy, pałętam po pokoju bez sensu. Idąc do innego pomieszczenia, zapominam, po co opuściłam poprzednie... Jestem zmęczona i rozkojarzona. Zastanawiam się nad aborcją... Muszę porozmawiać z terapeutą.



Głos 270

Nie dowiedziałam się niczego, co by zrewolucjonizowało moją sytuację. Nie dostanę żadnych leków, bo mogą zaszkodzić ciąży... To, co mówiłam poprzednio... To chwila słabości. Nie przywykłam poddawać się na sam koniec wyzwania.

Polecono mi również medytację i jogę. Zmarnowałam tylko czas i energię.

Głos 277

Joga relaksuje, a medytacja pomaga mi się skupić, choć na chwilę. Zaczęłam czytać o ziemskim śmiałku Wimie Hofie, który dzięki medytacji i panowaniu nad oddechem potrafił kontrolować temperaturę swojego ciała. Po prawie dwóch godzinach spędzonych w lodzie jego temperatura spadła z 37.7 do 37.4°C. Chyba powinniśmy wzmocnić nasze ciała i przygotować się na nieprzyjemne warunki. Wprowadziłabym ogólne szkolenia z „techniki Wima Hofa”.

Głos 282

Zimne kąpiele, medytacja i oddychanie powinny być przymusowe. Przeniosłam się do kliniki. Ginekolog kazał mi szykować się do porodu.

Głos 283

Nie musiałam myśleć o imieniu. Wydaje mi się, że jeszcze zanim ze mnie wyszłaś, już je miałaś. Meg – zobaczyłam to w twoich oczach.

Głos 450

Mogłabym zostawić cię w żłobku, ale ty wolisz chodzić ze mną na wykłady. Wsłuchana w mój głos nie mam pojęcia czy cokolwiek rozumiesz, ale ewidentnie jesteś najbardziej skupioną osobą na moich lekcjach... Dopóki nie zaśniesz. Jesteś bardzo pojętnym dzieckiem. Swoich rówieśników zostawiłaś daleko w tyle, dlatego nie zmuszam cię, żebyś tam przesiadywała. Zresztą ja sama nigdy nie potrzebowałam towarzystwa.

Głos 578

Po tych wszystkich godzinach słuchania o mikrobiologii nie mogłaś w tym zostać, rozumiem to.

Meg interesuje się fizyką, tak jak ja kiedyś, wpatrzona w ekran, studiuje kolejne prace. Czasem, gdy śpię, kradnie mój komunikator, żeby dostać się do zablokowanych dla niej materiałów. Ja udaję, że śpię. Czego się nie robi w imię nauki? Widzę, że tak jak i ja robisz wszystko dla

powodzenia misji, w jakiej wszyscy musimy wziąć udział. Czuję, że odegrasz w niej większą rolę niż ja.

Żałuj, Kenji, że nie widzisz naszej córki.

Głos 600

Doszłam do tego ciężką pracą. Nie było to moim głównym celem, ale jest nowym zaszczytnym obowiązkiem w moim życiu. Zresztą, jestem najodpowiedniejszą osobą do pełnienia tego stanowiska. Główna Załoga zawsze doceniała moje sugestie, a za moje projekty dostawałam najwyższe pochwały.

Czułam, że jest to tylko kwestią czasu. Po kremacji i uroczystym pożegnaniu Kapitana Flake'a ja zasiądem za sterami.

Głos 611

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz chwyciłam dyktafon. Nasza rola jest prosta – trzymać kurs i spokojne nastroje. Wiele osób zwątpiło. Nie dziwię im się. Jesteśmy w ciągłym ruchu, a przez szklany sufit widać tylko białe świetliste pasy stworzone przez zostające w tyle gwiazdy. Póki nie dotrzemy, nie zwolnimy. Wszystko należy zostawić za sobą. Każdemu powinien przyświecać ten sam cel, bo inaczej wszyscy zwariujemy.

Posiadając tak duży autorytet, staram się motywować ludzi do pracy nad sobą. Wiem, że nasz statek jest tyle wart, ile najmniejsza jednostka w naszym małym społeczeństwie. Po redukcji, która nastąpiła w ostatnich dwóch pokoleniach, liczymy trzysta czterdzieści trzy osoby.

Głos 630

Wpłynęła ostatnio propozycja o przyjęciu do Głównej Załogi nowej osoby z Kolegium. Pewnej profesor fizyki atmosferycznej, biofizyki i biomechaniki. Nie musiałam czytać nazwiska, wiedziałam, kto to. Jako kapitan decyduję o składzie załogi, tym razem uznałam jednak za bardziej uczciwe, aby decyzja przypadła całemu kolektywowi. Postawiłabym Meg w złym świetle.

To tylko formalność, ale nie chcę, żebyś myślała, że jesteś tu ze względu na moją miłość.

Głos 650

Zrzekłabym się swojego stanowiska na Twoją rzecz. Jesteś błyskotliwa i zarazasz swoją ambicją. O inteligencji nie wspomnę, bo masz to po mnie. Jesteś przy tym jeszcze tak młodą i piękną kobietą. Może gdyby mi dali szansę nieco wcześniej, też bym taka była, ale ktoś musiał cię wychować.

#### Głos 704

Jesteśmy tak blisko celu... Prawie tak blisko, jak ja swojego kresu. Chyba... wiem, że nie wytrzymam. Czuje już nawet, że smutek i gorycz powoli ze mnie ucieka, robię się spokojniejsza... Przerazająco pusta. Całe moje życie zmierzało do wielkiego rozczarowania.

Czy nasze losy są czymś zdeterminowane? Czy ktoś wcześniej to zaplanował? Myślenie, że nie istnieją wyższe siły, jest tak samo głupie, jak myślenie, że istnieją. Jedno odbiera naszemu istnieniu znaczenie drugie zresztą też, ale coś mi mówi, że ktoś gdzieś się śmieje z ironii mojego życia.

Tylko ty, mój promyku, mnie pocieszasz. Widzę, co w tobie drzemie, nie mogę się mylić, to jakbym patrzyła w lustro, ta abstrakcyjna myśl, ten skupiony wzrok...

Sposób, w jaki chodzisz, sprawia, że jestem spokojna o losy naszego społeczeństwa. Wychowałam na uczelni dwa wspaniałe i ambitne pokolenia. Wierzę, że pomogą ci w wyzwaniach tego czasu. Zostawiłam ci całą swoją wiedzę, nie posiadałam nic więcej, a ty nic cenniejszego nie mogłaś otrzymać. To, że zajmiesz moje miejsce, jest oczywiste. Przygotowałam na to całą załogę. Zresztą, już od jakiegoś czasu jesteś na to gotowa. Jaka szkoda, że nie byłaś moją rówieśniczką, miałabym konkurencję \*śmiech\*. To moje ostatnie nagranie. Kocham cię, Meg, nie oplakuj mnie długo i proszę... zakopcie mnie w ziemi.

#### Głos 705

Przyszłam jej powiedzieć, że wysłaliśmy już drony do zbadania atmosfery. Znalazłam matkę z otwartymi oczami i zamglonym wzrokiem, z którego właśnie umykała dusza. W zaciśniętej dłoni trzymała dyktafon.

Miałaś postawić pierwszy krok na nowej planecie, nie jako pierwsza zostać w niej pochowana...

#### Głos 706

Atmosferę trzeba będzie nieco dotlenić. W systemie znalazłam twój program do zamiany statku w filtr powietrza. Jesteś niesamowita, nawet to przewidziałaś. W programowaniu jednak jestem od ciebie lepsza i nieco usprawiłam obliczenia. Widmo twojej postaci długo będzie mi towarzyszyć... Naprawdę nie dajesz o sobie zapomnieć.

Głos 707

Ze statku jako pierwszy wyszedł kondukt z twoją trumną. Pogrzeb nie był uroczysty. Nie mieliśmy czasu na przygotowania ani żałobę, nie było przemowy, była cisza. Społeczeństwo jednogłośnie zdecydowało, że planetę nazwie naszym nazwiskiem.

Choć myślę, że znalazłabyś lepszą nazwę niż miano gwiazdy naszego macierzystego układu...



*Frau im Mond*, reż. Fritz Lang, zdj. Curt Courant (1929)

Natalia Jałmużna

## Brzasku wrzask

Nieraz po całonocnym czuwaniu, przez ułamek sekundy, szczerze dziwiłam się, że słońce jednak wstało. Wielokrotnie, czy to we własnym domu, czy podczas powrotu z dalekiej podróży, czy na imprezie w klubie, przez zaledwie kilka sekund miałam wrażenie, że noc panuje na całym świecie od zawsze. Między godziną pierwszą a drugą czas staje w miejscu na ułamek joktosekundy, co – w zależności od perspektywy – wydłuża się do godzin, dni i lat. Czarny woal przykrywa nachalne bodźce, świdrujące dźwięki, krzykliwe kształty i brzęczące kolory. Krajobraz skąpany w świetle słońca zdaje się wówczas znajomy jedynie z telewizyjnych reklam i wszelkiej maści audiowizualnej fikcji, stanowi wspomnienie odległe, unieważnione przez swoją ulotną niewiarygodność. Ilekroć ujrzę, że punkt kulminacyjny czerni nieba pojaśnieje o stopień, dziwnie rozczarowana myślę: „A jednak”. Mimo to ani ja, ani nikt inny na świecie nie przypuszczałby, że pewnego razu wschód rzeczywiście nie nastąpi.

Chciałabym móc zdradzić, od jak dawna tkwię w tej nocy. Problem w tym, że nie mam pojęcia. Po 2:59 następuje godzina 0:00. Na początku próbowałam zapisywać każdy taki trzygodzinny cykl, starałam się to uporządkować, jednak gdy budziłam się ze snu, nie byłam w stanie określić, ile takich cykli przespałam. W moich snach towarzyszy mi natomiast intensywne „oceaniczne uczucie”, o którym pisał kiedyś słynny austriacki lekarz-psychoanalityk. Nie pamiętam, czy użył tego określenia akurat w kontekście śnienia. Jeśli tak, z tą jedną rzeczą się z nim zgadzam. Wspominam o tym, by nakreślić wymiar mojej dezorientacji po przebudzeniu ze świata, w którym mój blok ma powierzchnię Europy (choć da się go obejść z zewnątrz w pół minuty), do świata, w którym, nie wiedzieć dlaczego, słońce rzuca swoje światło tylko na księżyc. Doświadczam naprzemiennie dwu nierealnych rzeczywistości, gdzie czas jest nieobecny. Przyznam szczerze, iż zdarza się, że nie jestem pewna, w którym życiu aktualnie się znajduję. Wydaje mi się, że śniłam kiedyś o świecie za dnia, kiedyś tam, na początku, kiedykolwiek ów początek był, jeśli był. Może też mi się to po prostu wydawać, a widok lustra jeziora odbijającego promienie słońca jest echem wspomnienia prywatnego bądź filmowego.

---

Powietrze jest dziś wyjątkowo rześkie. Gdy nabieram haust w płuca, czuję mocne uklucie. Najwyraźniej od dłuższego czasu nie opuszczałam mieszkania. Mogłabym przysiąc, że wychodziłam kilka... No właśnie, co temu? Jak widać, próby systematyzacji tych trzygodzinnych



cykli (które bywają podejrzanie nierówne) skazane są na miano syzyfowej pracy. Staranie się, by ująć tę masę nocy w logiczne, podzielne jednostki czasu, to tylko jakieś językowe natręctwo. Postaram się operować pojęciami „wcześniej”, „teraz” oraz „później”. Choć pewnie i ten podział wkrótce przestanie mieć znaczenie.

Zdarza się, że nie wiem, dokąd jechać. Świat zdaje się ogromny i karłowaty jednocześnie. Dopóki nie przestąpi się progu któregoś z budynków mieszkalnych, odnosi się wrażenie, że zostało się tutaj samemu. Ciężko orzec, dlaczego nie sposób, by dwie osoby spotkały się na zewnątrz. Wiem na pewno, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz ujrzałam drugiego spacerowicza, a nawet drugie auto w podróży. Nie znaczy to jednak, że pozostali ludzie zniknęli z powierzchni ziemi. Kiedy chcę zobaczyć twarz inną niż swoją własną w lustrze, odwiedzam znajomych w ich mieszkaniach. Może tego właśnie mi trzeba? Odwiedzę dwójkę przyjaciół z drugiego końca miasta. Pewnie wypadałoby się im zapowiedzieć, lecz gdy wybieram jakikolwiek numer, słyszę tylko niekończące się łączenie. Wątpię, by tym razem było inaczej. Gdy wysyłam SMS, wraca jak bumerang – „Ja przesyła wiadomość: «Jesteś?»”. Zdarza się, że robię to umyślnie, by sprawić wrażenie jakiejś ciągłości relacji, bo poza tym mam tylko fragmentaryczne wspomnienia, urywki światła w masie ciemności. Internet stał się aspołeczny, wszelkie kanały komunikacji, które oferował, po prostu wyparowały z cyberprzestrzeni. Używam go głównie do słuchania muzyki, oglądania filmów i czytania różnego rodzaju artykułów. Ktoś mógłby podsunąć pomysł, by porozumiewać się ze światem za pomocą tekstów kultury – wyśpiewać swoje przemyślenia, dokumentować życie, opisywać wątpliwości. Ktoś jednak, nie wiadomo, czy człowiek, czy Internet sam w sobie jako samodzielny byt, wyłączył opcję dodawania do niego nowych treści. Jeżeli miało to dla mnie wcześniej jakiegokolwiek znaczenie, przestało je mieć. Zaletą tej sytuacji jest fakt, że w końcu nie gubię się w zalewie nowości, nadrabiam i tak niewyobrażalnie ogromną pulę zaległości. To, że nikt już do niej niczego nie dokłada, napawa mnie pewnym spokojem.

Jak widać, nie jestem w stanie uprzedzić znajomych o mojej wizycie. Poza tym nie ma takiej potrzeby, bo i tak będą w domu. Zawsze są. Zdarzyło się, że powiedzieli mi, iż wcześniej u mnie byli. Nie wiedziałam jednak, o które wcześniej im chodzi. Wcześniej-wcześniej byli na pewno, jeszcze wcześniej niż wcześniej-wcześniej tym bardziej, o najwcześniej-wcześniej nie wspominając. W to wcześniej, które, jak mniemam, mogli sugerować, mogłam przysiąc, że jeździłam po wschodnich przedmieściach, ale mogło to równie dobrze być kiedy-indziej-wcześniej. Nie będę się upierała.

Nie wiem wszystkiego o świecie, w którym przyszło mi żyć. Nie rozumiem, dlaczego okna bloków, które mijam, zięją pustą ciemnością. To jakaś dziwna zależność, bo nie inaczej jest w przypadku okien moich czy moich znajomych. Choć ludzie są w środku, a prąd razem z nimi, z ulicy nigdy nie widać oznak, że ktoś te budynki zamieszkuje. U dwójki, którą jadę odwiedzić, duże światło pali się non stop. Jestem wręcz przekonana, że ludzie nie siedzą przy samym świetle lampki, z pewnością zapalają wszystko, co się da. Przeszkłone drzwi klatek schodowych ukazują korytarze zalane czernią, ale gdy tylko przekroczyliby się ich próg, zrobiłoby się jasno. Nie jestem w stanie tego wytłumaczyć, tak już po prostu jest.

Miasto nie jest całkowicie pozbawione oświetlenia. Asphalt i chodniki zalane są plamami światła z ulicznych latarni. Akurat jadę przez aleję ciepłopomarańczowych aureoli, za zakrętem powinny zacząć przeplatać się z chłodnymi odcieniami ledowych żarówek, by przejść w jednolitą serię białych świateł. Niektóre obiekty usługowe również jarzą się neonami. Fast foody, w których nie pracuje żaden człowiek, a mimo to wciąż wydają jedzenie, stacje benzynowe, których zapasy same się uzupełniają, galerie bez-handlowe. Wszystko to sprawia wrażenie, jakby za kilka godzin miało wrócić do normy, przebudzić się ze snu, jakby to była zwykła, przemijalna noc. Bywa, że ogarnia mnie fala krótkotrwałego, lecz wyraźnego smutku, gdy zwrócę uwagę na przystanek – jak ten, który właśnie mijam. Odjeżdżał z niego mój autobus do domu, wracałam nim z liceum, a raczej z wagarów w bibliotece miejskiej. Za każdym razem, gdy na wyświetlaczu pojazdu rozpoznałam znajomy numer linii, ogarniała mnie drobna satysfakcja, zupełnie jakbym w tłumie ludzi na dworcu zauważyła twarz przyjaciela poznanego przez Internet. Teraz na przystanku można jedynie schować się przed deszczem. Jest punktem na widmowej trasie, którą nie kursuje żaden autobus. Nikt na nim nie czeka, nie ma na co czekać. Stał się przestrzenią liminalną, podobnie jak puste hipermarkety, sale kinowe, kluby, lotniska, przychodnie i poczekalnie. Przyglądanie się im wpędza mnie w melancholijny dyskomfort, wolę nie patrzeć zbyt długo.

Park po mojej prawej, malowany czernią, brązem i oranżem, był niegdyś świadkiem spisania mnie i moich przyjaciół przez policję. Rzecz działa się w środku lipcowego tygodnia, zbliżał się wieczór sygnowany zimno-ciepłym gradientem. Piliśmy w czwórkę piwo z zielonych butelek, pachniało wczasami. Zza przerośniętej tui wyłoniło się dwóch nieszczególnie sympatycznych mężczyzn ubranych na granatowo. Jeden z moich złotoustych kolegów zdołał przekonać ich, że nie stać nas na mandat i od tej pory będziemy już uważać. Nie wydaje mi się, by w to uwierzyli, ale przemówiła przez nich ludzka litość. Kiedy zniknęli z widnokregu, otworzyliśmy trzecie piwo, miałam na sobie swoje ulubione perfumy o zapachu kwiatów gardenii. Używałam ich wiosną i latem, zawsze na dzień. Kojarzyły mi się z dobrym nastrojem, zielonymi koronami drzew

w pełnym słońcu i śmiejącymi się oczami przyjaciół. Podobno wszystkim się z tymi perfumami kojarzyłam. Już ich nie mam, skończyły się. Tak samo jak okazje do ich noszenia.

Do kościoła przestałam chodzić długie lata temu, gdy noce były nadal limitowane. Ten naprzeciwko odwiedzałam jeszcze w wieku jednocyfrowym i już wtedy nie podobał mi się powtarzalny charakter mszy. Ciepłem zalewało mnie jednak późniejsze poczucie spełnionego obowiązku, zwłaszcza że zaraz potem dziadkowie, w ramach nagrody za wytrwałość i przykładne życie w tradycji, prowadzili mnie do cukierni za rogiem na pistacjową galę w słodkim wafelku. Każdą z tych niedziel pamiętam jako wyjątkowo pogodną, choć z drugiej strony jestem pewna, że zdarzały się niezwykle rzadko. Być może w kółko wspominam jeden dzień, dopisując do niego wątki, które mogły się nigdy nie wydarzyć. Tak jak do teraz nie jestem pewna, czy babcia rzeczywiście podczas któregoś sobotniego, przedpołudniowego spaceru wzdłuż pola żyta powiedziała, że jeśli usłyszy się kukanie kukulki i ma się przy sobie pieniądze, to będzie się w przyszłości bogatym. Moja wyobraźnia mogła utkać ten obraz pachnący kwitnącym bzem, gdy przeglądałam w Internecie wiejskie zabobony i tam przeczytałam o kukulczych wróżbach po raz pierwszy.

---

Słyszę kompozycję syczących, drżących, głośnych i cichych dźwięków, układających się w zdania o treści, która zajmuje mnie tylko na drobiny chwil. Czasami odnoszę wrażenie, że moi znajomi sami nie przywiązują wagi do tego, co wypowiadają. Nasze rozmowy nie przypominają wymiany informacji, to bardziej wymiana, spektakl dodatkowych bodźców. Ja oglądam, jak cudze ciała generują dźwięki organiczne, niezapośredniczone sprzętem elektronicznym, słyszę i czuję drgające naprzeciw mnie powietrze. Oni zaś wpatrują się w moje reakcje, gdyż swoje zdążyli już poznać na pamięć, rozmawiając wciąż głównie ze sobą, głównie o tym samym. Koncentruję się na tym przedstawieniu raczej epizodycznie, wrażenia docierają do mnie okrojone ze swoich potencjalnych wymiarów. W końcu przestajemy mówić i reagować. Z głośników leci nokturnowa muzyka elektroniczna, której sama często słucham w aucie. Nie wykluczam, że obojętnie, co byśmy włączyli, okazałoby się nokturnowe, chyba już nie da się inaczej, to określenie straciło swój sens, gdy nie odróżniamy dnia od nocy. Cała nasza trójka wpatruje się teraz w światło energooszczędnej żarówki. Nie rozprasza nas nawet to, że czasem mruga, patrzymy jak zakłęci. Przez chwilę wydawało mi się, że siedzę w palarni w klubie na obrzeżach miasta, że oglądam stroboskop. Poczulałam nawet dym papierosowy. Wiem jednak, że to znajoma pali przy oknie. Nie odwracam się, by to sprawdzić, to nie jest tak istotne. Nie chcę przestać patrzeć w światło, może udałoby się je zapamiętać i nosić ten obraz przy sobie.

Chciałabym im powiedzieć, że będę wychodzić, bo chyba się zasiedziałam, ale byłoby to co najmniej kuriozalne stwierdzenie. Nikomu się nigdzie nie śpieszy, wszystko po prostu płynie w różnych kierunkach, bez celu, bez przyczyny. „Pójdę już” – rzucam krótko, nikt nie protestuje, bo i tak w końcu tam wrócę, nikt się nie zorientuje, jak długo mnie nie było. Ja też nie.

---

Wcale nie muszę wracać do domu, nic mnie w nim nie trzyma. Jednak boję się, że gdybym odjechała zbyt daleko, rozlałabym się po całym zaciemnionym świecie i przestała już kojarzyć, kim jestem. Choć może taki jest tego cel, może mamy właśnie rozsypać się w pył i stać się częścią wszystkiego, chyba coraz mniej mnie to przeraża.

Serce zabiło mi po raz pierwszy od dawna, a możliwe, że po raz pierwszy w ogóle. Na przystanku ktoś siedział – kobieta w bordowej sukience. Takie sytuacje się nie zdarzają. Zatrzymałam się tuż obok, by przekonać się, czy jest prawdziwa. Wtem poderwała się z ławeczki, podeszła do mojego samochodu i otworzyła drzwi. Do środka wlał się zapach kwiatów gardenii. Nieznajoma chciałaby dojechać do domu. Na pytanie o adres, odpowiedziała, że może być mój. Ruszyłam więc w dalszą drogę w stronę swojego osiedla. Dziewczyna zaczęła opowiadać, że właśnie wraca z kina. Zapytałam, co ma na myśli, bo przecież kina od dawna nie służą do wyświetlania filmów. Odniosłam wrażenie, że nie zrozumiała, o co mi chodzi. Powiedziała także, że ostatnio nie była w stanie złapać taksówki pod klubem, choć był piątek i przed północą. Nie bawiła się tam zbyt dobrze. Gdy dojechałam pod dom, usłyszałam, jak wzdycha: „Nieraz po całonocnej imprezie, przez ułamek sekundy, szczerze dziwiłam się, że słońce jednak wstało”. Gdy spojrzałam za siebie, dostrzegłam, że nikogo nie ma na tylnym siedzeniu. Wsiadłam z auta i poszłam w stronę drzwi wejściowych. Odwróciłam się, by spojrzeć jeszcze raz na samochód. Mój wzrok zatrzymał się jednak na niebie o ton jaśniejszym niż przedtem.





Alfred Kubin, *Traumbild. Sterbende Stadt* (ok. 1903-1905)



Jakub Kraszewski

## Foliarze

Sławomir Kuć, wójt Paździszewka, stał w swoim gabinecie i przez okno przyglądał się panującemu na zewnątrz zamieszaniu. Tłum ludzi – jedni z pustymi rękami, inni uzbrojeni w widły, kije czy transparenty z wulgarnymi hasłami – od co najmniej dwóch godzin zakłócał mu popołudniowy spokój. Szybki rzut oka wystarczył wójtowi, by stwierdzić, że do protestu przyłączyła się niemal połowa mieszkańców wioski. Tłum zasadniczo dzielił się na dwie grupy. Pierwsza składała się z ludzi nadal tłoczących się pod budynkiem urzędu gminy, wciąż naiwnie wierzących, że uda im się wyrzucić na Kuciu jakąkolwiek presję. Członkowie drugiej grupy już jakiś czas temu odpuścili i przenieśli się ulicę dalej, w stronę budzącego ogromne kontrowersje obiektu, będącego bezpośrednią przyczyną niezadowolenia mieszkańców Paździszewka.

– Precz z masztem! – Skandowali zdenerwowani ludzie pod oknem gabinetu, a wójt zastanawiał się, jakim cudem po tylu godzinach wrzasku mają nadal siłę krzyczeć. – Won z tym dziadostwem!

– Nie damy sobie smażyć mózgow! – Wydarł się około trzydziestokilkuletni mężczyzna, machający prowizorycznie wykonanym transparentem, na którym napisano wielkie hasło: „STOP 5G”.

Sławomir Kuć z niedowierzaniem i irytacją odszedł od okna i skierował się w głąb gabinetu, do barku, z którego wyciągnął butelkę whisky i nalał sobie z niej do szklanki. Teoretycznie nie powinien pić, będąc w pracy, ale uznał, że obecna sytuacja go usprawiedliwia. Zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy pozytywnie odebrali debiut technologii 5G w Polsce, jednak to, co działo się w Paździszewku, przechodziło ludzkie pojęcie.

Wszystko zaczęło się od informacji, że w centralnym punkcie wioski postawiony zostanie nowoczesny przekaźnik. Znaczna większość mieszkańców zareagowała na tę wieść, delikatnie mówiąc, nieprzychylnie. Od tamtego momentu każde kolejne posiedzenie rady gminy sprowadzało się do przekrzykiwań i obelg oraz nieudolnych prób zaprowadzenia porządku przez samorządowców. Cieszący się do tej pory uznaniem wójt z miejsca stał się wrogiem numer jeden; wioskowi seniorzy gadali pod kościołem, że postradał zmysły, młodzież otwarcie się odgrażała, a pośród padających z ich ust złowieszczących zapowiedzi znalazły się nawet takie absurdy, jak podpalenie nowej, sfinansowanej przez wójta i jedynej w promieniu kilkunastu kilometrów Biedronki. Oliwy do ognia ostatecznie dodała plotka, którą rozpuścił młody Zalewski. To właśnie

za sprawą tego piętnastoletniego gówniarza, przesiadującego zdecydowanie zbyt długo w Internecie, część wioski uwierzyła, że Kuć to działający pod przykrywką członek rasy zmiennokształtnych gadów, które przy pomocy masztów 5G chcą żerować na umysłach zwykłych ludzi, a ostatecznie przejąć kontrolę nad światem... czy jakoś tak. Bardziej racjonalnie myślący od razu wysmiali Zalewskiego i zapomnieli o sprawie, jednak niestety znaleźli się i tacy, którzy uwierzyli w wyciągnięte z jakiegoś foliarskiego forum brednie. Jak łatwo się domyślić, tych drugich było znacznie więcej.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Wójt odwrócił się w ich stronę i nie do końca dyskretnie usiłując ukryć szklankę za plecami, polecił wejść do środka.

– Panie Sławku, jest za pięć trzecia, jest pan gotowy? – W drzwiach stał Arek Zimoch, komendant lokalnej policji, a prywatnie dobry znajomy wójta. Kuć uśmiechnął się, wolną ręką poprawił zielony krawat i skinął głową.

– Oczywiście, już idę. – To mówiąc, odwrócił się pod pozorem zabrania ze stołu kluczy i dyskretnie dopił resztę trunku, po czym skierował się w stronę drzwi. – Chodźmy.

Kiedy opuścił gabinet i zamknął go za sobą na klucz, spostrzegł poza Arkiem jeszcze trzech policjantów stojących w korytarzu. Wszyscy czterej ewidentnie byli przygotowani do sytuacji – przy pasach mieli palki, na głowach kaski, a w rękach przezroczyste plastikowe tarcze.

– Jakoś damy radę pana przeprowadzić te kilkaset metrów pod maszt – rzucił jeden z policjantów, gdy ruszyli schodami w dół. – A na miejscu czeka jeszcze kilku naszych.

– Proszę się nie obawiać – dodał drugi. – Z nami nic panu nie grozi.

– Wiem, wiem, macie tarcze i takie tam – odparł wójt z zaskakującym jak na zaistniałe okoliczności spokojem. Najwyraźniej szklaneczka whisky dodała mu nieco werwy i pewności siebie. – Załatwmy to szybko.

– Niech pan lepiej założy to. – Z jakiegoś powodu formalnie zwracający się do kumpla Arek wyciągnął w stronę Kucia rękę, w której trzymał znoszony szary kask rowerowy z czerwonym, stylizowanym na błyskawicę napisem SPEED. Gdy wójt podziękował i przyjął podarek, policjant dodał: – To niewiele, ale zawsze coś.

Kiedy doszli do drzwi wyjściowych, Kuć po raz kolejny poprawił krawat, po czym skinieniem głowy dał znać, że jest gotowy do wyjścia. Arek i pozostali policjanci chwycili mocniej tarcze i otworzyli drzwi. Gdy tylko wyszli na zewnątrz, do tej pory stłumione okrzyki nagle stały się znacznie głośniejsze. Tłum zareagował energicznie, gdy tylko wójt pojawił się w zasięgu wzroku. Przepychając się przez kotłujących się mieszkańców Paździszewka, osłaniany przez czwórkę funkcjonariuszy, Sławomir Kuć mógł słyszeć coraz to wymyślniejsze obelgi pod swoim adresem. Raz czy dwa dostał w głowę butelką, jednak przyciasny kask rowerowy skutecznie stłumił

uderzenie. „Niewiarygodne, ile agresji może wzbudzać w ludziach zwykły metalowy słup” – przeszło przez głowę wójta, gdy tuż pod jego stopami wyładowało i z płaskiem rozbiło się zgnile jajo.

Droga na placyk przy ulicy Jana Pawła II dłużyła się Kuciowi niemiłosiernie, choć w rzeczywistości cel ich wyprawy od budynku urzędu gminy dzieliło raptem kilkaset metrów. Ostatecznie jednak osobliwej drużynie udało się dotrzeć na miejsce. Arek puścił wójta przodem, a sam wraz z pozostałą trójką stanął na chodniku, gotów odpierać szarżę wściekłego tłumu. Sławomir, idąc w stronę prowizorycznego drewnianego podestu stojącego tuż obok słupa, którego dotyczyło całe zamieszanie, w biegu poprawił krawat, następnie, stając na chwiejącej się pod jego ciężarem konstrukcji, przyjął z ręki jednego z grupy czekających już na niego funkcjonariuszy megafon.

– Szanowni państwo – zaczął, po czym zdał sobie sprawę, że wciąż ma na głowie kask. Szybko zdjął go i odrzucił na ziemię, po czym kontynuował. – Szanowni państwo, kochani moi, witam wszystkich bardzo serdecznie na uroczystej inauguracji pierwszego w gminie masztu 5G! Jako wójt odczuwam niezwykłą dumę, iż to właśnie w naszej miejscowości taki maszt został postawiony. Od dziś Paździszewko nie jest już tą samą małą wioską, która nie obchodzi nikogo, o nie! Od dziś...

Kuć nie dokończył, zmuszony do uniku, gdy w jego stronę poszybowała para kaloszy. Najwyraźniej ostatnie zdanie przelało czarę goryczy, bo jedynie pomstujący do tej pory tłum zaczął napierać na blokujących drogę policjantów.

– Nie dość, że nam tu te, tflu, zachodnie technologie wciska... – stojący na czele tłumu Stach Zapala wymachiwał energicznie motyką, rzucając wójtowi nienawistne spojrzenia – ...to jeszcze gada, że Paździszewko nikogo nie obchodzi? Do dupy z takim wójtem!

Kiedy w stronę podestu poleciały kolejne przedmioty, Kuć nie zwlekał dłużej i wycofał się szybkim krokiem. Jeden z policjantów wskazał mu radiowóz, do którego obaj chyłkiem się prześlizgnęli. Zapinając pasy, wójt spostrzegł przez szybę samochodu, że reszta funkcjonariuszy przyłączyła się do obrony i ramię w ramię z Arkiem i jego kolegami stawiała opór protestującym.

– Pan się nie martwi. – Policjant najwyraźniej też to zauważył. – Za parę minut będzie tu kilka radiowozów z sąsiedniej gminy. Odwiozę pana do domu i też wrócę...

– Co? A, tak... dziękuję. – Sławomir oderwał wzrok od zamieszek. – Po wszystkim zrobię mi listę policjantów biorących udział w akcji. Dostaniecie premię. Wszyscy.

– Nie trzeba listy, wszyscy żeśmy tu przyjechali! Całym komisariatem. – To mówiąc, komendant wcisnął pedał gazu i radiowóz ruszył. – Co za dzicz! Pomyśleć, że niby mamy

XXI wiek, a we wsi się boją jakiejś kupy blachy. W dupach się poprzewracało tym matolom! Jak tu wróć, jak ich zaraz wszystkich zamkniemy...

– Jak chcesz pan zamknąć tych wszystkich ludzi? W tym tłumie jest pół wioski. Ile macie cel na komisariacie?

– Eee... dwie. Jedną w remoncie.

– No właśnie. Wlepcie wszystkim mandaty czy coś. – Wójt dał kierowcy do zrozumienia, że na tym rozmowa się kończy. Dalszą drogę jechali w milczeniu.

\* \* \*

Pół godziny później Sławomir Kuć ponownie stał przy oknie swego gabinetu, kojąc zszargane nerwy kolejną szklanką whisky. Z ulgą, ale i pewną dozą satysfakcji przyglądał się, jak mundurowi, wspomagani przez załogę czterech radiowozów z sąsiadującej z Paździszewkiem gminy Rochów, zaprowadzają porządek w do niedawna kotłującej się masie ludzi. Jednocześnie czuł dumę, patrząc na błyszczący w promieniach zachodzącego słońca maszt. Długo czekał na ten dzień, a w końcu zatryumfował. Maszt działał.

Mężczyzna dopił whisky, po czym odstawił szklankę i podszedł do drzwi gabinetu, upewniając się, że są zamknięte. Następnie stanął przed lustrem i ściągnął imitującą twarz maskę zrobioną ze sztucznej skóry. Poczul ulgę, mogąc wreszcie, po wielu godzinach, zobaczyć w odbiciu swoje prawdziwe oblicze. Zielonkawe usta wykrzywił lekki uśmiech. Mężczyzna sięgnął ręką do zielonego krawata i nacisnął ukryty za kołnierzem koszuli przycisk. Zabrzęczało, ze schowanego w krawacie mikroprojektor wydobyla się drobna smuga błękitnego światła i padła na lustro. Po chwili Kuć miał przed sobą obraz osobnika wyglądem zbliżonego do niego samego – zielonkawa, pokryta łuskami twarz, pozbawiona nosa i jakiegokolwiek owłosienia, żółte oczy o skośnych źrenicach...

– Udało się? – Stary reptilianin w lustrze spojrzal na niego surowym wzrokiem.

– Wszystko załatwiłem, maszt już działa. – Kuć nie krył zadowolenia. – Za parę minut możemy zacząć wysysać z nich energię.

– Doskonale. – Stary jaszczur delikatnie się uśmiechnął. – Dobra robota. Wkrótce będziemy rządzić tym światem. Niech żyje Legion. – To mówiąc, dotknął palcami powiek, a jego obraz w lustrze zniknął.

– Niech żyje Legion – powtórzył po chwili Kuć, uśmiechając się upiornie i poprawiając krawat po raz ostatni.





NN, *Reptilianie. Decydujące starcie* (ok. 1938-1954)



Ida Cylwik

## Nawojka

Zmierzch okrył chłodnym półmrokiem polacie mgły unoszące się nad kamienną drogą prowadzącą do wioski. Słomiane strzechy zdawały się nagle wylaniać z białych kłębow, górując nad ukrytymi pod nocną osłoną z wilgoci i ciemności drewnianymi chatami. Jedynym źródłem światła, napawającym nadzieją na odnalezienie domowego ognia, były tłące się latarenki, zawieszane na palach wzdłuż drogi, latarenki, których ciepłe, choć rozdygotane światło zdawało się toczyć cichą, nierówną walkę z mrokiem i zimnym, groźnym blaskiem księżyca.

Droga wyłożona nierównymi kamieniami pięła się w górę, gdyż wioska położona jest na wzgórzu, stanowiąc jakby ostatnią bezpieczną wyspę, pośród morza ciemnej puszczy pełnej mchu, paproci i drzew pamiętających czasy, gdy żaden człowiek po ziemi nie chodził. Nocna pieśń rozbrzmiewa nad osadą, żegnając odchodzący dzień, dołączając do chóru świerszczy, szumu potoku oraz drzew.

W tym miejscu ludzie boją się nocy.

Boją się nocy, bowiem pod jej czarną osłoną dzieją się rzeczy dziwne, a właśnie tu ciemność, okazuje się być gościnna jedynie dla światła księżycowego. Lecz nawet ono zdaje się być wrogiem, bo każdy wie, że w świetle księżycowym przedmioty zmieniają się i nierozsądnie jest ufać wzrokowi. Osada znajduje się daleko od innych wiosek, przez co ciepła luna ich światła zaczyna wplatać się złotymi nićmi w całun nocnego nieba dopiero w połowie gościńca, gdzie osady już od dawna nie można dostrzec za plecami.

Najodważniejsze leśne duchy pojawiają się zawsze z pierwszymi gwiazdami. Przysiadają nad strumieniem, przyglądając się swoim odbiciom, w oczekiwaniu na nadejście nocnej ciemności. Jedynie w jaśniejsze noce ludzkie oko jest w stanie dostrzec ich przezroczyste ciała, skupiające w sobie światło księżyca. Cierpliwie czekają, aż niebo przybierze odcień ciemnego granatu, te mniej odważne wyruszą dopiero, gdy spowite będą nieprzebraną czernią. Wtedy kroczą w mroku, wstępując w niemym korowodzie między uśpione chaty. Przysiadają na dachach, zaglądają przez okna, z niewysłowioną tęsknotą lgnąc do drewnianych ścian. Przynoszą ze sobą jedynie przenikający chłód, wciskający się szparami do domostw. Starzy mówią, że to dusze zaginionych w lesie osób, których ciała, nieodpowiednio pochowane, zdały już pożywić ziemię, korzenie drzew lub zamieszkujące puszcę biesy. Jednak równie dobrze mogą być to jedynie projekcje dziecięcej wyobraźni powstałe wskutek strachu przed nocną ciemnością.

A tymczasem, chłód.

Tej nocy wdziera się do domostwa równie bezszelestnie, co srebrzyste światło księżyca, ujarzmiając nawet rozżarzone ogniem wnętrze pieca. Przygasza nieśmiały płomień, po czym po cichu wsuwa się pod koldrę Nawojki.

Tej nocy Nawojkę dręczą senne zjawy. Chłód nocnych duchów wdziera się nawet pod jej zamknięte powieki, ukazując oczom swe przeraźliwe oblicze. Nawojka tej nocy śni o siostrze. Widzi jej wykrzywioną w dziwnym grymasie twarz i martwe spojrzenie. Jej usta poruszają się, jakby zastygło na nich jedno słowo.

– Ciepłej... ciepłej... – powtarza raz po raz, jakby w transie, patrząc przed siebie bez wyrazu. Jakby ten chłód przenikliwy obdarł ją z wszelkich emocji. I nie słyszy głosu Nawojki, co to ją przez portal snu i jawy nawołuje do domu.

– Ciepłej... ciepłej...

Usta niegdyś w kolorze dzikiej róży, sine są teraz i drżą na słowach z taką obsesją bezustannie wypowiedzianych. Oczy otwarte, ale niepatrzące w żadnym kierunku. Nie ma w nich tego blasku świeżego, co lśni jak słońce w kroplach porannej rosy. Gdzieś daleko ulotnił się z niej urok, który każdy uśmiech kradnie i chowa w sercu. We śnie Tamira niczym nie różni się od podartego przez wiatr stracha na wróble. Jak opadnięty pączek leśnego kwiatu, co unieść się chce do słońca, szepce cicho:

– Ciepłej... ciepłej...

Ale za nic nie może odnaleźć ciepła.

\* \* \*

Świt budzi się, rozpraszając gęstość nocnego mroku błękitną jutrzeńką. Światła unoszą się wyżej i wyżej nad linię ciemnego lasu, rozlewając się różową poświatą na horyzoncie, by w końcu opaść na osadę, wlewając się przez okna do domostw. Ludzie tutaj budzą się wraz ze świtem, kiedy ostatnie nocne duchy, mimo, że nadal nienasycone ciepłem ognia i żywych ciał, nikną za ciemną zasłoną lasu, gdzie słoneczne promienie nie mogą ich dosięgnąć. Dzieci biegają po polnych drogach boso, gasząc latarnie tłące się jeszcze po nocy. Handlarze ładują wozy, by wyruszyć z pieśnią na ustach ku innym odległym wioskom lub ku zamkowemu targowisku, kilka mil od osady, u podnóżu piętrzących się mglistych gór.

Nawojka budzi się, gdy pierwsze promienie drzemią jeszcze za linią horyzontu. Splota z włosów gruby warkocz i czym prędzej wychodzi z chaty, by nanieść wody dla ostających im kóz, po czym by wyruszyć na pole, pomóc matce w robocie. Światła przebijające się przez świeże liście, podobne soczystym kolorem do barwnych szkielek zamkowych witraży, padają na polną drogę,

którą żwawo kroczy Nawojka. Ziemia nagrzewa się w słońcu, docierającego niemal do każdego zakamarka, do każdej mysiej nory i sowej dziupli, lecz niebędącego w stanie przeniknąć gęstej korony zaklętego lasu. Nawojka za każdym razem, idąc polną drogą, patrzy w puszcze, próbując wzrokiem przeniknąć jej tajemnice. Co skrywać się może w tej gęstej ciemności, z której wyrastają ciemne, stare drzewa i gęste paprocie?

W tym miejscu ludzie boją się lasu.

Po powrocie do chaty, zastaje dziwną pustkę. Stół niezastawiony, wiaderko na wodę puste, polne kwiaty wyschnięte w glinianym wazoniku. Brak żywej duszy, krzątającej się wesoło wokół. W środku smutna cisza, zakłócana jedynie odgłosami porannej krzątanimy z innych domostw i światło spod wąskiej szpary pod drzwiami, ukazujące niezamiecioną jeszcze podłogę. Nawojka zastyga na moment w bezruchu i woła po imieniu tę, której brakuje. Raz i drugi, jednak bezskutecznie. Głuche milczenie odpowiada na jej wezwanie. Obraz siostry staje jej nagle przed oczami. Nie tej jednak, którą spodziewałaby się ujrzeć, ale tej drugiej – zimnej, nocnej zjawy. W jednej chwili wspomnienie koszmaru, uderza ją kradnąc oddech.

Chatę, choć niewielką, z gorączkową dokładnością przeszukuje dwa razy, po czym wybiega, z imieniem siostry na ustach. Słysząc w tym okrzyku gęstniejący coraz bardziej strach. Od chwili, w której drzwiami do domu trzasnęła gwałtowniej niż górski wiatr, biega po osadzie, pyta ludzi i wykrzykuje imię siostry, wiedzioną złym przeczuciem. Na pole, do matki pracującej w pocie czoła z innymi kobietami, także biegnie, sprawdzić, czy siostry przy matce nie ma, pomimo wewnętrznej pewności, że jej tam nie znajdzie.

– Kiedy ostatnio Tamirę widziałas? – Woła zrozpaczonym głosem już z daleka, zbiegając z drogi w pole w kierunku grupy pracujących kobiet. Uwiesza się u ramion starej wdowy, jakby miała się osunąć na ziemię.

– Mówiła co do ciebie? Gdzie idzie, co robi?

Oczy starej patrzą przez chwilę w przestrzeń, szukając odpowiedzi, po czym kręci tylko głową powoli.

Od świtu do zmroku oram pole, pracuję za dwoje, cóż mogę wiedzieć, na boga! Od rana Tamiry nie widziałam.

– A i nikt prócz ciebie od tamtej pory nie widział, nie słyszał? – Pyta Nawojka przesuważąc wzrokiem po poczerwieniałych od pracy twarzach reszty kobiet, na co one przecząco kręcą głowami.

– Pewno zabawia się gdzieś, by od roboty uciec – odzywa się jedna z nich, opierając ciężar spracowanego ciała na drewnianym trzonie grabi.

Nawojka patrzy w twarz swej matki, pomarszczoną i spaloną od promieni słońca.

– Ani duszy po niej, jeno koszmar, blada w nim była i majaczyła, czy możliwe, że w las pobiegła? Że lichy ją porwało?

Wdowa blednie nagle. Kobiety wydają z siebie okrzyk, zasłaniając twarze dłońmi.

– W imię ojca i syna... – mamrocze jedna z nich żegnając się pospiesznie, jakby chcąc odegnąć złe duchy. – Matko jedyna... Zjawia senna, biedne dziecko...

Matka osuwa się na ziemię, zaciskając dłonie na skrawku ciężkiej spódnicy, trzęsąc się w konwulsyjnym, rozpaczliwym krzyku.

– Dziecko... – szlocha rozpaczliwie. – Tyle razy wam powtarzałam, żeby do lasu nie wchodzić. Moje biedne dziecko!

Nawojka zastyga w przerażeniu.

– Nieszczęsna! – Szlocha jedna z kobiet obejmując wdowę. – Jako nocny duch powróciła do was ciepła szukać i koszmarami tylko swą obecność może ukazać. Póki ciało jej niepogrzebane, będzie tu jej duch cierpieć i po kres nas dręczyć, nigdy nie odejdzie! Nieszczęsne dziecko!

Nawojka w głuchej rozpaczycy pada na kolana przed matką wyciągając do niej ręce. Odkąd rano przypomniała sobie nocne oblicze Tamiry, towarzyszyło jej ściskające szyję przeczucie, prawie pewność. Jednak i tak ciężar potwierdzenia zwałił ją teraz z nóg i odebrał mowę. Przez zaciśnięte gardło przechodzi jedynie rozdzierający szloch.

\* \* \*

Wczesnym wieczorem do daremnego, pozbawionego już złudzeń nawoływania przesyconego rozpaczą, dołącza chór głosów, próbujących pomóc w odnalezieniu nieszczęsnego dziewczęcia, a gdy na niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy, w okrzyku, który wydziera sobie z piersi ostatkiem sił Nawojka, słyhać już tylko rozdzierającą pewność, że Tamira do domu nie wróci.

– Pozwolę ci matko, oplakać Tamirę w pokoju – mówi Nawojka siadając obok kobiety, na progu domu. Sama kręcąc się w oczach lży ociera wierzchem dłoni

– Lecz duchem się martwić nikomu nie pozwolę. Siostrę do domu sprowadzę, żywą czy martwą, pójdę w przeklęty las, odwracać się nie będę za siebie, tak jak klusownikom każe guślarz. Wrócę dopiero, gdy odnajdę jej ciało. Mamy obowiązek ją pogrzebać, jakiej ceny zapłacić byśmy nie miały. O świcie więc wyruszę, zmorom się nie dam oszukać, się nie zawaham ni razu, to ci właśnie przyrzekam.

Matka patrzy w oczy swej córki błyszczące taką pewnością, że dreszcz jej po plecach przebiega.

– Nawojko najdroższa, w lesie tym tyle trupów co i drzew, nawet kroczący w boskiej sprawie śmierci nie oszuka! Rozum postradałaś z cierpienia!

– Być może postradałam, lecz winnam jej, jako siostra siostrze, że odpocznie w pokoju. Ty ją oplacz, resztę zaś pozostaw mnie.

To powiedziawszy, z ziemi wstała i zarzuciła na ramiona ciężki płaszcz po ojcu. Wzięła w rękę latarnię jarzącą się małym płomieniem i zniknęła w cieniu nocy niczym jedna z sennych zjaw.

\* \* \*

Wkraczając w ciemność leśną, z cichą modlitwą na ustach, Nawojka mija przezroczyste dusze nocne, zmierzające w przeciwną do niej stronę – do ciepła wioski położonej na wzgórzu, ostatniej bezpiecznej wyspy przed zaczarowaną otchłanią puszczy. Im dalej w las się zagłębia wąską dróżką wydeptaną przez myśliwych i głupców, co to do lasu z ciekawości chodzą, tym wyraźniejsze stają się duchy, przybierając kształty podobne prawdziwym ludziom. Nawojka stara się nie przypatrywać im, a tym bardziej nie patrzeć w oczy, chowając spojrzenie pod ciężkim kapturem opadającym na czoło, jednak cicha nadzieja na dojrzenie w tym niemym pochodzie Tamiry, od czasu do czasu każe jej unieść wzrok. Wtedy przed sobą widzi zaczarowane drzewa o popękanej korze, koronami sięgające tak wysoko, że zdają się wplatać grubymi gałęziami w gwiazdny płaszcz nocy. Wokół cisza głucha, jednak wypełniona odgłosami. Nawojka słyszy szum liści, smętne dźwięki ptaków nocnych, czasem odległe wycie, lecz nie wie, czy to naprawdę, czy tylko w jej głowie. W tym lesie projekcom umysłu trzeba ufać – tak mówił guślarz. Czasem przerażony umysł dopowiada sobie różne dźwięki, kątem oka widzi ruch – jednak w zakłętej puszczy, strachy wewnętrzne ożywają i zdają się kroczyć wraz z Nawojką, chowając się za drzewami. Tylko migoczące księżycowym światłem duchy stawiają kroki w ciszy, bezgłośnie poruszając ustami.

– Jak wielu musiało w tym lesie zginąć i zostać pochłoniętymi przez korzenie drzew, bez należytego pochówku – myśli Nawojka, czując pokusę, by odwrócić się za siebie i objąć wzrokiem wszystkie dusze zmierzające w kierunku wioski. Wie jednak, że gdy odwróci się, spojrzy lichu, które za nią idzie, prosto w oczy, co oznaczałoby śmierć. Kroczy więc przed siebie wątlą ścieżką, która z każdym krokiem zdaje się zwężać, mocno ściskając w rękę latarenkę.

Im dalej idzie, tym bardziej w głowie jej się kręci. Powietrze staje się gęste, mgliste, nasycone wonią leśnych kadzidel mających wędrowców. Słyszy stłumione śpiewy. Nie wie, czy to rusalki,



które porwać ją mogą za włosy w głębiny leśnych stawów, by jedną z nich z Nawojki uczynić, lecz na wszelki wypadek włosy chowa głębiej pod kapturem.

W zakłętej puszczy czas zdaje się rządzić innymi prawami, raz zwalniając, raz zatrzymując się całkowicie. Nawojka nie wie, czy idzie kilka minut, czy kilka dni, bo im dalej w las, tym gęstsze powietrze i miesza się jej w głowie. Tak jak kurczowo zaciska palce na rączce latarenki, dającej jedyne ciepłe światło, tak uparcie stara się trzymać powodu, dla którego wkroczyła w ciemną otchłań. Jednak powód ten zdaje się jej zmęczonemu umysłowi umykać, jak piasek przesypany się przez palce. Czuje, że mają ją zjawy leśne, czekające aż wzrok odwróci za siebie, by spojrzeć w ich ciemne, wygłodniałe twarze i poddać się ich woli. Mgła zasłania jej stopniowo rozległą przestrzeń leśną, przypominającą w swym strzelistym majestacie wnętrze gotyckiej katedry. Wkroczyła w leśną głębie, gdzie już nawet dusze przestały mijać ją w drodze do ciepła.

Czuje tylko przytłaczającą obecność licha, kroczącego tuż za nią. Na początku było tylko wewnętrznym strachem, później przeczuciem, by w końcu przybrać cielesną postać, której oddech Nawojka czuje na karku. W bezgłośnym przerażeniu zaciska powieki, by nie ulec cichym zakłębom zjawy.

– Nawojka...

Słyszy za sobą cichy głosik dziecięcy, który tak dobrze zna, w tęsknocie za którym tu przyszła. Odwraca się natychmiast, bez zastanowienia, by zamiast w błękitne oczy siostry, zajrzeć w ciemniejsze od nocy ślepie licha.

I w tej ciemności tonie.

\* \* \*

Nawojka otwiera powoli oczy i podnosi się z zimnej ziemi. Pierwsze, co dostrzega pośród ciemności leśnej wypełnionej mgłą, to drobne ciało. Znalazła ją. Tamira wygląda, jakby spała, złożywszy dziecięce rączki pod główkę usypaną złotymi lokami. Nietknięta przez leśne upiory, bez wyrazu smutku czy przerażenia na bladym obliczu.

– Może po prostu zasnęła – myśli Nawojka.

W środku czuje przeraźliwy chłód, jakby wpadła w przerębelski wycięty w środku zimy przez rybaków. Wtem dostrzega drugie ciało, przykryte grubym płaszczem, emanujące jeszcze resztkami ciepła, leżące kawalek dalej. Wydaje się jej dziwnie znajome, jednak Nawojka nie podejmuje próby rozpoznania go. Rzuca beznamiętne spojrzenie na Tamirę, ale oczy jej pozbawione są już wyrazu. Odwraca się powoli w stronę, z której przyszła, trzęsąc się potwornie, ogarnięta przenikliwym chłodem, po czym rusza przed siebie wiedziona ciepłą luną, powtarzając bezgłośnie jedno słowo.

Ciepłej... ciepłej.



Иван Яковлевич Билибин, *Василиса Прекрасная* (1899)

Martyna Świniarska

## Witryna

04.12.2082

Ciemny chleb, kawa, karmelowe cukierki, makaron, czekolada, orzechy laskowe i kurze jaja. Podchodzę bliżej. Wzdycham głośno i zostawiam po sobie parę na szybie. Przecieram ją rękawem zniszczonej kurtki. Strasznie tu zimno.

Chciałabym móc wejść do środka. Kupić coś dobrego do jedzenia, zanieść do domu, zobaczyć, jak mama się cieszy i zabiera za przyrządzanie posiłku dla mnie i siostry. Na pewno byłby dużo lepszy niż zawartość paczek żywnościowych, które dostajemy co jakiś czas. Są całkowicie darmowe i korzystają z nich ci, których nie stać już na normalne jedzenie. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta wiadomość pisana małym druczkiem na każdym opakowaniu – „Uwaga! Ten produkt może ci zaszkodzić. W razie wystąpienia efektów niepożądanych zgłoś się do lekarza.”. Od 2077 to legalne. Truć tych, których nie stać na nic innego. Jakoś muszą się nas pozbyć.

– Czego tak stoisz? To nie kino, tu się nie ogląda, tu się kupuje! – Krzyknął do mnie właściciel sklepu, wychylając się zza drzwi.

– Przepraszam, już... już sobie idę – odpowiedziałam, zwieszając głowę.

Doskonale wiedział, że i tak nic od niego nie kupię. Nie dziwię się – wyglądałam okropnie w tej podartej kurtce i za dużych butach po tacie. Odwróciłam się, po raz ostatni rzucając spojrzenie na wystawę i odeszłam w stronę domu.

Poruszanie się chodnikami w Nillcrest to prawdziwe wyzwanie. Przeludnienie objęło już nawet tak małe miasteczka jak nasze, przez co ulice zawsze są pełne ludzi. W dzisiejszym świecie nigdy nie jest się samemu. Wymijanie wszystkich dookoła potrafi być naprawdę męczące, w szczególności, jeśli nie wygląda się jak przeciętniak. Czasem mam wrażenie, że zabraknie mi powietrza, że tego jednego razu po prostu nie wrócę do domu, bo nie będę mogła wziąć kolejnego oddechu. Im bliżej mojej dzielnicy, tym gorzej. Coraz więcej smogu, coraz większy smród. Tu powietrze wydaje się namacalne, ale i tak nie chcę go dotykać. Zasłaniam twarz szalikiem i przyspieszam. Omijam śnieżne zaspę, całe czarne od brudu. Na szczęście zdążyłam wejść do domu przed zachodem.

– Wróciłam! – Krzyknęłam z przedpokoju, zdejmując buty.

– Jak było w szkole? – Spytała mama, wychylając się zza drzwi. Trzymała w rękach garnek, pewnie przyszła dziś nowa paczka.



– Sama nie wiem... – Zwiesiłam głowę. – To, czego nas uczą i tak jest całkowicie bez sensu.  
– Potrzebuję pracy, nie nauki. – Zmieniłam temat, żeby przypadkiem nie wygadać się na temat mojego wagarowania.

Mama posyłała mnie i moją siostrę do szkoły chyba tylko po to, żeby mieć czyste sumienie. Chodzimy do darmowej placówki, a tam nie robi się właściwie nic. Nauczyciele są prawie tak samo niewykształceni jak my. Wolalabym pracować i zarobić chociaż parę groszy, mogłabym kupić sobie nowe ubrania... Albo przynajmniej tę czekoladę z wystawy. Mama nigdy się na to nie zgodzi.

– No, już się nie wyglupiaj, żadnej pracy. Najpierw studia – odpowiedziała i wróciła do kuchni.

– Gdyby było nas na nie stać... – mruknęłam pod nosem i poszłam za nią.

Daisy już siedziała przy stole, wyczekując posiłku. Przywitała się ze mną, dopiero kiedy szturchnęłam ją w ramię. Wydaje mi się, że ostatnio przeżywa coś naprawdę przykrego i nie wie, jak sobie z tym poradzić. Ledwo skończyła trzynaście lat, a dialog z nią robił się coraz trudniejszy. Nawet ja nie miałam pojęcia, jak do niej dotrzeć, a widok zamartwiającej się mamy łamał mi serce. Pamiętam, jak byłam w jej wieku i miałam podobnie trudny czas. Bardzo chciałam ją w tym wszystkim wesprzeć, ale zazwyczaj odrzucała każdą pomoc.

Zjadłyśmy gumowate, kurczakopodobne mięso, w smaku przypominające zupełnie nic. Przynajmniej przestało mi burczeć w brzuchu. Porozmawiałam chwilę z mamą, ale widziałam, że śpieszy się do pracy, więc nie chcąc jej przeszkadzać, poszłam do siebie. Leżałam na swoim łóżku, gapiąc się w sufit. Jak zwykle myślałam o tym, co by było, gdyby... Gdybym była ładniejsza, mądrzejsza, bogatsza. Być może miałabym prawdziwych przyjaciół, chodziłabym do cenniejszej szkoły, mieszkałabym w centrum i nikt nie przeganiałby mnie sprzed sklepowych witryn. Z zamyślenia wyrwała mnie mama.

– Wychodź! Będę rano! – Krzyknęła i szybko zamknęła za sobą drzwi.

– Tak... Jasne – odpowiedziałam, wiedząc, że i tak mnie już nie słyszy.

Mama pracowała tylko na nocne zmiany, bo dzięki temu dostawała trochę większą pensję. Miała etat w hotelu, na barze, ale rzadko o tym opowiadała. Ja nie pytałam. Czasem lepiej nie wiedzieć.

– Daisy, może się już położysz, co? – Powiedziałam do siostry leżącej na łóżku obok.  
– Robi się późno.

– Co za różnica, o której pójde spać? – Spytała, nawet na mnie nie patrząc.

– Duża. Jutro masz szkołę – odpowiedziałam i przesiadłam się na jej posłanie.

– Jasne... szkołę. Ciekawe, że dziś widziałam cię, jak szłaś na wagar. I to nie był twój pierwszy raz.

– To nie twoja sprawa. Nie będę z tobą o tym rozmawiać. Idź już spać. I nikomu o tym nie mów – odrzekłam zdenerwowana i zgasilałam światło.

Nie miałam pojęcia, że Daisy o tym wie. Nie powinna wiedzieć. Dałam jej taki beznadziejny przykład... Ale nie mam siły chodzić do szkoły. Po co? Żeby po raz setny powtarzać te same, nudne formułki? Może i włóczenie się po mieście nie było najlepszą alternatywą, ale nie miałam wyjścia. Gdyby mama się dowiedziała, całkowicie by się na mnie zawiodła.

Nie mogłam zasnąć aż do rana. Męczyły mnie wyrzuty sumienia. Byłam beznadziejnym przykładem dla siostry i klamliwą córką. Kiedy zrobiło się jasno, obudziłam Daisy i powiedziałam, że dziś pójdziemy do szkoły razem. Nie wiedziałam, jak zareagują nauczyciele i znajomi z klasy, ale siostra na pewno powiedziałaby o wszystkim mamie, gdybym dziś też wybrała wagar. Daisy była beznadziejna w utrzymaniu czegokolwiek w tajemnicy.

Do szkoły miałyśmy około piętnastu minut pieszko, więc nawet nie zdążyłyśmy zmarznąć. Pogoda była całkiem ładna – pierwszy raz od dawna słońce przedostało się zza chmur. Szkoda, że już niedługo będzie trzeba się z nim pożegnać. Promienie słoneczne robiły się coraz gorętsze, a w lecie potrafiły szybko poparzyć skórę do naprawdę znacznego stopnia. Naukowcy cały czas pracują nad jakimś rozwiązaniem, ale na razie powstało tylko jedno, dla którego ciężko o alternatywę. Prawdopodobnie już za jakiś czas stracimy słońce na zawsze – trzeba będzie je zasłonić i zastąpić sztucznym światłem. Bez tego wszystko spłonie. Pewnie nie będę żyła na tyle długo, aby tego doświadczyć, ale świat kolejnych pokoleń wydaje się jeszcze bardziej przerażający niż nasz.

Budynek szkoły był wielki, ale bardzo stary. Żółtą elewację dawno temu przykrył kurz, podłoga w środku skrzypiała, a ławki były ozdobione podpisami uczniów. Prywatne szkoły wyglądały zupełnie inaczej, dawno w nich zapomniano o papierowych książkach i zeszytach czy o kredzie do tablicy. Wiem o tym tylko dlatego, że jakiś czas temu byliśmy na konkursie recytatorskim w jednej z takich szkół. Oczywiście jako widownia – potrzebowali sztucznego tłumu, bo całość była nagrywana. Mało kogo stać na naukę w takiej szkole, a w końcu co to za konkurs bez porządnej publiki?

Daisy nie odzywała się do mnie przez całą drogę, co zresztą rozumiałam, i nie wymuszałam na niej dialogu. Od razu po przejściu przez próg uciekła szybko w swoją stronę, do koleżanek. Ja nawet nie wiedziałam, jaką mam teraz lekcję. Na szczęście zobaczyłam Naomi idącą w moją stronę.

– Lizzy! Tak dawno cię tu nie było! – Powiedziała głośno, aby przekrzyczeć tłum dzieciaków.

– I nadal nic się tu nie zmieniło – odpowiedziałam, rozglądając się po korytarzu.



– Za dużo wymagasz. Chodź, mamy angielski. – Złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę klasy.

Naomi była jedyną osobą w szkole, z którą naprawdę lubiłam spędzać czas. Nie była moją przyjaciółką, to jasne. Być może mogłaby nią być, ale miała na moje miejsce dużo więcej lepszych kandydatek. Chodziła do naszej szkoły i mieszkała w tej samej dzielnicy co ja, ale miała zdecydowanie więcej pieniędzy. Zawsze była dobrze ubrana, a na lunch jadła rzeczy, które nigdy nie znalazłyby się w paczkach. Czasem naprawdę jej tego zazdrościłam.

Dzień w szkole minął mi wyjątkowo nudno. Byłam na tyle do tyłu z całym materiałem, że na żadnej lekcji nie miałam pojęcia, co właściwie się dzieje. Po prostu siedziałam i patrzyłam bezmyślnie w tablicę, modląc się, żeby nikt mnie o nic nie spytał.

Udało się. Przetrwałam cały dzień! Przy wyjściu z budynku zaczepiła mnie Naomi.

– Chcesz się gdzieś przejść? – Spytała, uśmiechając się szeroko.

– Jasne, czemu nie. – Trochę zdziwiłam się tą propozycją. – Napiszę tylko do mamy, żeby się nie martwiła – odpowiedziałam, sięgając szybko po telefon.

– Zabiorę cię w fajne miejsce, ładnie wygląda zimą.auta tam nie jeżdżą, a wokół prawie w ogóle nie ma domów. Śnieg jest taki biały! – Była naprawdę podekscytowana.

Szłyśmy tam dość długo, ale nie zmęczyłam się za bardzo, byłam zbyt zajęta rozmową. Naomi miała rację, miejsce było zjawiskowe. To zwykły park, ale jeden z tych, których ludzie już nie uczęszczają, bo jest zbyt daleko od centrum. Nikt nie chce marnować cennego czasu na jakieś tam spacer. Śnieg był biały. Kilkoro dzieciaków bawiło się w oddali, a my usiadłyśmy na ławce, przy której stał wysoki bałwan. Wyglądał, jakby jej pilnował. Widok był przepiękny – ośnieżone drzewa, na które ktoś zarzucił lampki świąteczne, tworzyły niezwykłą aurę. Rozmowa cały czas się kleiła, czego w ogóle się nie spodziewałam.

– Masz przepiękną kurtkę, wiesz? Jest naprawdę śliczna – powiedziałam, całkowicie szczerze.

– Dzięki, twoja też jest... spoko... – Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Daj spokój, jest wstrętna, zresztą jak wszystkie moje rzeczy. Nie mam na to kasy. No ale... – próbowałam dokończyć myśl, kiedy Naomi mi przerwała.

– No co ty, masz telefon i nie masz kasy? Oszalałaś? – Spojrzała na mnie jak na wariatkę, którą przez chwilę naprawdę się poczułam.

– Chyba nie rozumiem, co to ma do rzeczy? – Spytałam.

– Nie korzystasz z BetterME?

– Nie mam pojęcia, co to – powiedziałam, a Naomi przekreśliła głowę na bok i uśmiechnęła się. – Nie patrz tak na mnie! – Zaśmiałam się zakłopotana.

BetterME okazało się być aplikacją. Nie taką zwykłą. Ten program nie służył do rozmów, gier czy zakupów. Naomi wytłumaczyła mi, że to dopiero prototyp i czasem się zawiesza, ale z pomocą użytkowników zgłaszających problemy jest coraz lepiej. Działa podobnie do innych mediów społecznościowych – na stronie głównej pojawiają się zdjęcia i filmiki osób, które obserwujesz. Widać na nich, jak robią naprawdę różne rzeczy – tańczą, opowiadają historie z życia, spacerują z psami albo choćby sprzątają w pokoju. Na początku myślałam, że Naomi chce mnie oszukać, zrobić ze mnie jakieś pośmiewisko, pokazać wszystkim filmik, jak robię coś głupiego – ale wtedy pokazała mi swoje konto.

Miała tam naprawdę dużo materiałów, były bardzo zróżnicowane i całkiem ciekawe. Za każdy z nich zbierała pokaźną sumę polubień. A polubienia zmieniały się... w pieniądze. Zarabiała przez Internet, nie robiąc właściwie nic. Kupiła za to kurtkę. I to taką piękną...

– Nie wiem, czy temu można ufać. Przecież nie ma nic za darmo, co nie?  
– Powiedziałam niepewnie.

– Też tak myślałam, ale nie musisz ufać tej aplikacji, możesz zaufać mi. Przecież widzisz – obróciła telefon w moją stronę. – To jest zakładka z finansami. Prawdziwe pieniądze, możesz je wydać na co tylko chcesz!

– Ale skąd oni ich tyle mają? Przecież ta aplikacja ma tysiące użytkowników...

– Myślisz, że mnie to obchodzi? Mają i dają, więc ja biorę. Nie zastanawiam się, czemu to robią i ty też nie powinnaś – odpowiedziała mi, całkowicie pewna siebie.

Posiedziałyśmy jeszcze chwilę na ławce, rozmawiając o BetterME. Nie byłam do końca przekonana, więc postanowiłam zostawić ten temat w spokoju. Cała sprawa była dla mnie co najmniej podejrzana. Naomi brzmiała całkowicie poważnie, w końcu nawet pokazała mi swoje transakcje, ale nie chciałam ryzykować. Mam nadzieję, że Daisy jeszcze o tym nie słyszała. Na pewno zainstalowałyby to coś u siebie, a Bóg jeden wie, jakby się to mogło skończyć.

Naomi zaproponowała mi wspólny powrót do domu, w końcu mieszkamy naprawdę niedaleko siebie... Ale przecież mam swój zwyczaj. Nie mogłam nie przejść się na spacer wzdłuż witryn sklepowych. Powiedziałam jej, że mam do załatwienia jedną ważną sprawę i szybko oddaliłam się w przeciwną stronę.

Stałam przed innym sklepem niż wczoraj. Nie chciałam denerwować tamtego właściciela, który mnie przegonił. Nie wiadomo, do czego byłby zdolny.

Czerwone jabłka, pomidory, wieprzowina, rodzynki, lizaki, czereśnie, herbata. Podeszłam bliżej. Wydawało mi się, że czuję zapach jedzenia, na które patrzę. Mogłabym kupić coś dla siebie i dla Daisy, tak na zgodę... Nie wytrzymałam i pobrałam BetterME.

Aplikacją zajęłam się właściwie od razu, szybko założyłam konto. Podalam wszystkie potrzebne informacje, jak imię i nazwisko, wiek czy miejsce zamieszkania. Dostałam pierwsze zadanie, wystarczyło dodać swoje zdjęcie. Wstawiłam pierwsze, które znalazłam w galerii – nie było zbyt ładne, ale nie przejęłam się tym. Materiałów przewijających się przez BetterME było tyle, że chyba nikt nie zwracał uwagi na ich treść. Użytkownicy po prostu klikali ikonkę serduszka przy czymś poście i przeglądali dalej. Za to też dostawali pieniądze – dużo mniejsze niż za wykonywanie zadań, ale liczył się każdy grosz.

Po chwili dostałam powiadomienie, że wpłata znalazła się właśnie na moim koncie. 5 E\$. Dostałam je za wykonanie pierwszego zadania. Po chwili przed moimi oczami zaczęły ukazywać się kolejne sumy - 0,30E\$, 0,50E\$, 1E\$. Za polubienia, komentarze i udostępnienia. Nie chciało mi się w to wierzyć, ale aplikacja naprawdę działała.

Do domu wróciłam z małymi zakupami, które udało mi się zrobić. Nie było tego dużo – pieniądze z BetterME nie dorównywały w żadnym stopniu cenom sklepowym, chyba że było się bardzo doświadczonym użytkownikiem. Na razie nie mówiłam o tym mamie, nie miałam ochoty jej tłumaczyć, na czym polega działanie aplikacji, i że nie zostałam dilerem narkotyków. Kupiłam nawet czekoladę z myślą, że powinnam ją podarować Daisy. Może przestałaby się na mnie gniewać za te wagary i pouczenia.

– Mam coś dla ciebie. Chcesz? – Spytałam, wchodząc do pokoju.

– No... możesz dać – odpowiedziała, przekręcając się w łóżku na drugi bok.

Podeszłam do niej i usiadłam obok. Spojrzałyśmy sobie w oczy. Jej białka były całkowicie czerwone. Plakała.

– Chodź do mnie. – Rozłożyłam ręce tak, żeby mogła mnie objąć.

– Przepraszam, Lizzy, że byłam dla ciebie ostatnio taka okropna. Kocham cię, naprawdę. Jesteś dla mnie najważniejsza – mówiła, ciągle szlochając, a ja ledwo rozumiałam jej słowa. Kiedy się ode mnie odsunęła, wyjęłam kawałek czekolady z kieszeni i położyłam go na szafce obok łóżka. Nie mogła uwierzyć. Wzięła go do rąk i patrzyła, jakby był ze złota.

– To naprawdę dla mnie? – Spytała nieśmiało.

– A dla kogo? No, jedz już. Nie wiem kiedy dostaniesz następną – powiedziałam i poszłam w stronę łazienki. Mimo wszystko chciałam, żeby ten dzień się już skończył.

14.03.2083

BetterME działało coraz lepiej. Dostawałam więcej zadań, zarabiałam większe sumy. Po paru tygodniach naprawdę mogłam sobie pozwolić na kurtkę, ale i tak jej nie kupiłam. Niedługo miała nadejść wiosna, a poza tym mama na pewno by ją zauważyła. Przez ten cały czas udawało mi się trzymać aplikację w sekrecie, a rzeczy, które kupowałam, chowałam w specjalnym koszyku pod łóżkiem. Zazwyczaj było to jedzenie – dla mnie i dla Daisy, ale czasem pozwalałam sobie na coś więcej. Najważniejszym jak dotąd zakupem był naszyjnik z małym wisiorkiem. Nie był z prawdziwego złota czy srebra, ale był naprawdę ładny – zawieszka przypominała czterolistną koniczynkę. Przy mamie go nie zakładałam, ale i tak trzymałam go w kieszeni. Byłam pewna, że przynosi mi szczęście.

Miałam pieniądze na podstawowe wydatki, ale mój zwyczaj oglądania witryn sklepowych i tak nie zniknął. Często po szkole chodziłam między nimi, przyglądając się jak kiedyś. Jedyną różnicą było to, że teraz nikt mnie nie wyganiał. Sprzedawcy zaczęli mnie kojarzyć i dobrze wiedzieli, że mam za co zrobić u nich zakupy.

Wróciłam do szkoły. Dzisiaj też w niej byłam. Zbliżyłyśmy się do siebie z Naomi, spędzałyśmy coraz więcej czasu wspólnie. Chyba mogłam nazwać się jej przyjaciółką, choć nigdy nie robiłam tego na głos – byłoby naprawdę niezręcznie. Właśnie siedziałyśmy razem w parku, do którego poszłyśmy po raz pierwszy jakiś czas temu. Stał się naszym parkiem i bardzo dobrze spędzało nam się tutaj czas po szkole. Czasem zabierałam ze sobą Daisy, która niechętnie wychodziła z domu. Nie chciałam jej zmuszać, ale siedzenie w małym pokoju z przerwą na szkołę i wspólne obiady jej nie służyło. Oglądałyśmy nowe filmiki i zdjęcia na BetterME, kiedy nagle mój telefon zaczął wibrować. Dostałam SMS-a od mamy.

„Lizzy, wracaj szybko do domu. Musimy porozmawiać.”

Przestraszona pokazałam Naomi wiadomość i poszłam w stronę domu bez słowa. Nie obraziła się na mnie, wiedziała, że mam przed mamą wiele sekretów. I że być może jeden z nich właśnie wyszedł na jaw. Było zimno, więc trzymałam ręce w kieszeniach, ale i tak były całe spocone od stresu. Przeszłam obok sklepów, które ostatnio często odwiedzałam i rzuciłam okiem na aktualne wystawy. Tak bardzo chciałam się zatrzymać, popatrzeć, kupić coś dla Daisy... Ale musiałam się spieszyć do domu. Nie miałam pojęcia, o co chodzi mamie. W głowie szykowałam tysiąc wymówek na każdą okoliczność, ale wydawało mi się, że żadna z nich i tak nie ma sensu. W kilkanaście minut byłam już w domu, szybko jak nigdy. Zatrzymałam się na chwilę przed drzwiami, wzięłam pięć głębokich wdechów i nacisnęłam na klamkę.

– Mamo? Jestem już – powiedziałam głośno, ściągając z siebie buty i kurtkę.

– Chodź tutaj. – Zgaszony głos mamy dobiegał z kuchni.

Kiedy przekroczyłam próg pokoju, przeraziłam się. Mama była całkiem zapłakana, opierała głowę na dłoniach, wbijając wzrok w stół, przy którym siedziała. Dawno nie widziałam jej w tak złym stanie. Ostatni raz – po śmierci taty, kilka lat temu.

– Boże, co się stało? Coś z Daisy? Gdzie ona jest? – Zasypywałam ją pytaniami.

– Nie, Daisy jest u siebie, wszystko z nią dobrze. To o mnie chodzi, Lizzy. O mnie – mówiła, prawie szepcząc.

– Nie rozumiem, powiedz mi co się stało, proszę... – powiedziałam i usiadłam na krześle obok, otaczając mamę ramieniem.

– Straciłam pracę. Wyrzucili mnie. Zostałyśmy bez grosza, rozumiesz? Nie mamy już nic. Tylko te zasrane paczki żywnościowe. I nic więcej. – Łzy spływały jej po policzkach i kapaly jedna po drugiej na stół.

Nie miałam pojęcia, co mogę powiedzieć. Dobrze wiem, jak zależało jej na tej pracy – szukała jej naprawdę długo i musiała harować jak wół, żeby przejść okres próbny. Nienawidziła tam chodzić, ale tylko to dawało nam dach nad głową. Nie dostawałyśmy żadnej renty po tacie, byliśmy pozostawione same sobie. Naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć.

Siedziałam z mamą do późna, próbując ją jakoś pocieszyć, dać jej do zrozumienia, że coś wymyślimy, że nie jest sama i że jakoś się ułoży. Tak naprawdę sama w to nie wierzyłam. Parę lat temu, kiedy walczyła o pracę w tym hotelu, była bezrobotna przez jakieś pół roku. Nie miałyśmy wtedy kompletnie nic, zadłużyłyśmy dom, a mydło i inne podstawowe produkty od czasu do czasu dostarczali nam sąsiedzi i znajomi. Nie chciałam tego powtarzać.

Aż do rana myślałam nad rozwiązaniem. Wiedziałam, że mam BetterME, że gdybym się postarała, to jakoś byśmy przeżyły, ale nie chciałam o tym mówić мамie. Przecież to był sekret... Niesamowicie by się na mnie wkurzyła, gdyby wiedziała. Nie ufa żadnym nowinkom technologicznym i za nic w świecie nie chce się dać do nich przekonać. Coś takiego jak zarabianie przez Internet i to za głupoty byłoby dla niej niepojęte. Nie pozwoliłaby mi tego robić. Musiałam wymyślić jakąś wymówkę... Albo nadal utrzymywać wszystko w sekrecie, na tyle długo, aż sama spyta. Może jeśli najpierw zobaczy efekt, to da się namówić. Muszę spróbować.

Była środa, powinnam iść do szkoły już na ósmą rano, ale dzisiaj wybrałam wagary. Dawno tego nie robiłam, więc zaczęłam od przejścia się wzdłuż sklepów. Weszłam do jednego i kupiłam drożdżówkę, oczywiście za pieniądze z BetterME. Zaczęłam jeść i spojrzałam na moje konto – 135E\$. Całkiem pokaźna suma, ale żeby utrzymać mamę i Daisy, potrzebowałam dużo więcej.

Szybko stałam się jedną z najpopularniejszych użytkowniczek aplikacji. Nie miałam pojęcia dlaczego, ale Naomi mówiła, że robię naprawdę fajne zdjęcia i filmy. Początkowo zadania były



banalne, więc wykonywały je miliony osób z całego świata i nikt za bardzo nie zwracał uwagi na to, co wrzucają inni. Teraz kiedy zrobiło się trudniej, a misje wymagają coraz więcej czasu i wysiłku, twórców jest mniej, a oglądający są bardziej wybredni niż dawniej.

Akurat miałam chować telefon do kieszeni, kiedy na ekranie pojawiło się powiadomienie. Dostałam nowe zadanie w BetterME. Weszłam w aplikację i wyświetliłam treść polecenia.

„Hej, mamy dla ciebie 45E\$! Idź w miejsce zaznaczone na mapie.”

Przeczytałam wiadomość jeszcze kilka razy. Nie rozumiałam o co chodzi, czemu miałabym gdzieś iść? I to za tak dużą nagrodę? Zazwyczaj zadania polegały na zrobieniu czegoś zabawnego, tak po prostu, pokazaniu siebie, dla rozrywki. Czułam, że to, które przed chwilą dostałam, było zupełnie inne. Już chciałam kliknąć przycisk „zrezygnuj”, kiedy zadzwoniła do mnie Naomi.

– Tobie też BetterME każe gdzieś iść? – Wypaliła bez przywitania.

– Tak, ale jeszcze nie przyglądałam się tej mapce, którą dodali – odpowiedziałam zakłopotana.

– Ja mam okolice naszego parku... Ty pewnie też. Idziesz? Dają za to niezłą kasę. No i... jestem ciekawa – mówiła, jakby zadanie, które otrzymałyśmy, było całkowicie normalne.

– Sama nie wiem, trochę to dziwne, nigdy nie musiałyśmy nigdzie chodzić. Może to jakiś hakerski atak?

– Oszalałaś Lizzy? Widzimy się za piętnaście minut. W parku. Cześć! – Rozłączyła się.

To ona oszalała. Byłam przerażona i niepewna, ale nie mogłam zostawić jej samej, więc ruszyłam w stronę parku, akceptując zadanie. Im bliżej byłam, tym bardziej się bałam.

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Akceptowanie tego zadania było głupotą, ale pocieszałam się tym, że kiedy już je wykonamy, będę mogła zaopatrzyć mamę i Daisy w najpotrzebniejsze produkty aż na tydzień. W prawej ręce cały czas trzymałam telefon, zacisnęłam na nim dłoń tak mocno, że zaczęła mi drętwieć. Delikatnie odetchnęłam dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam machającą mi Naomi. Pobiełam w jej stronę.

– Wreszcie jesteś, nie mogłam się już doczekać! Zobacz. – Pokazała mi swój telefon. – To kilka minut stąd, w tamtą stronę. – Wskazała palcem na wysoki, szary budynek, schowany za drzewami.

– Na pewno chcesz tam iść? – Spytałam z nadzieją, że zaprzeczy.

– Za 45E\$? Jeszcze pytasz? – Odpowiedziała i złapała mnie za rękę.

Naomi szła tak szybko, że po drodze kilka razy potknęłam się o płaczące się pod nogami krzewy i korzenie. Zaraz za naszym parkiem był mały las, przez który właśnie szłyśmy. Nie był całkowicie pusty, co jakiś czas mijałyśmy się z kimś i nikt nie dziwił się na nasz widok.

Las był piękny – właśnie budził się do życia, na wysokich drzewach powoli zaczynały wyrastać liście. W pewnym momencie musiałyśmy zejść z wydeptanej wcześniej ścieżki i skręcić między drzewa. Nagle poczułam się całkowicie samotna, mimo Naomi wciąż trzymającej mnie za rękę. Zrobiło się przeraźliwie cicho, ale nadal było... po prostu pięknie. Patrzyłam w górę, szukałam ptaków, których śpiew co jakiś czas przerywał ciszę. Nic nie mówiłyśmy, ale czułam, że nie tylko ja się denerwuję.

– Nadal jesteś pewna, że to dobry pomysł? – Spytałam.

– Tak. Chyba tak – powiedziała cicho, prawie szepcząc. – Zobacz.

Spojrzałam przed siebie. Na chwilę mimowolnie wstrzymałam oddech. Czerwona koperta z napisem BetterME, przyklejona była do drzewa metalową pinezką. Wyglądała, jakby dopiero przed chwilą ktoś ją tu umieścił. Nie była pognieciona czy mokra. Kiedy Naomi wyciągnęła po nią rękę, czułam, że nie mogę się ruszyć. Moje nogi były jak z waty. Już prawie ją chwyciła, kiedy usłyszałyśmy dźwięki powiadomień.

„Jesteś na miejscu. Otrzymujesz nagrodę: 45E\$”.

– Mamy już kasę, chodźmy stąd – powiedziałam, wbijając wzrok w telefon.

– Nie ciekawi cię ta koperta? – Spytała.

– Ciekawi. I co z tego? Może być w niej wszystko. Coś straszego. Nie wiem, czyjś palec.

– Cholera, nie dotykaj tego! – Krzyknęłam, ale się spóźniłam. Naomi trzymała kopertę w rękach. Nawet się nie zawahał otwierając. Nie rozumiałam, czemu to robi? Przecież już miałyśmy wypłatę na kontach, mogłyśmy stąd uciec i nie przejmować się żadną głupią kopertą! Czytanie listu, który wyjęła ze środka, trwało wieczność.

– Miałaś rację, Lizzy... – Widziałam, jak krew powoli odpływa z jej twarzy, która po chwili zrobiła się całkowicie biała.

– Co tam jest? – Spytałam trzęsącym się głosem. – No mów!

Nie powiedziała. Po prostu odwróciła kartkę w moją stronę.

„Dziś nie wróćcie do domów. BetterME ma dla was specjalne zadanie. Nagroda: 1000E\$. Powodzenia.”

Spojrzałam na Naomi, a jej oczy zrobiły się ogromne. Patrzyła gdzieś za mnie. Chciałam się odwrócić i spojrzeć na to, co ją tak przeraziło, ale nie zdążyłam. Coś uderzyło mnie w tył głowy. Upadłam, a ona krzyczała. Potem pamiętam już tylko ciszę.

Czułam, jakbym wisiała między ziemią a niebem. Patrzyłam na Naomi z góry, widziałam, jak krzyczy, ale nie słyszałam jej. Obok stał wysoki mężczyzna w czarnym garniturze. Spojrzał w górę. Przez chwilę byłam pewna, że skrzyżowaliśmy wzrok. Wtedy wszystko zniknęło. Było

ciemno, a cisza wdzierała mi się do głowy. Widziałam Daisy i mamę, po prostu stały i patrzyły w moją stronę. Mama uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę. Ostatkiem sił poruszyłam dłoń, tak bardzo chciałam ją złapać... Byłam tak blisko... a one zniknęły.

Zostałam tylko ja i ta wrzeszcząca cisza.



Francis Bacon, *Figure with Meat* (1954)

Patrycja Pankau

## Słodka apokalipsa

*Gdy rozum śpi, budzą się upiory*, głosiła rycina najsłynniejszego malarza moich czasów. A ja kochałem te upiory, znajdujące swe istnienie w ludzkich sercach. Niejednokrotnie marzyłem o powrocie do precudnej epoki, w której przyszło mi żyć. Ten romantyczny czas w dziejach ludzkości gardził siłą umysłu, a serce wyrwał z piersi i umieszczał na piedestale. Jednocześnie uwznioślał wszelkie defekty ludzkiej duszy, demony rozpaczy i ognie namiętności. Wspomnienie pogrzebanych dni, smakujących solą łez i słodczą krwi, wystarczyło, abym poddał się pokusie sentymentalnej podróży do schyłku własnego życia. Dziś, choć niegdyś nazwałbym ten dzień jutrem, memu duchowi przyszło tkwić w zawieszeniu między światem żywych i umarłych. Przybrawszy nadprzyrodzoną nie-ludzką postać, znajdowałem się w budynku, który dwieście lat wcześniej był moim domem. Z rozkoszą patrzyłem na nieświadomą mojej obecności kobietę, śpiącą w łóżku, które dwa wieki wcześniej należało do mnie. Co za śmieszna dziewczyna z przyszłości. Wprowadziła się do tej kamienicy z powodu poczucia nostalgii za czymś, czego nie mogła przeżyć. Wmawia sobie, że dzięki starym meblom jest bliżej zamierzchłej przeszłości, a nawet nie wie, że prawdziwy byt, który realnie przeżył tamte dni, stoi teraz przy jej łożu. Rozbawiłem się niezmiernie na samą myśl o tym, jakie emocje wymalowałyby się na twarzy tej damy, gdyby się przebudziła, mimochodem zanurzyła spojrzenie w taflę lustra i zobaczyła w niej moje oczy. Być może wcale nie byłaby przerażona. Wygląda na bystrą kobietę. Tak bardzo przypomina mi Gretę.

Greta była ideałem kobiety moich czasów. Szczupła sylwetka, kruczoczarne włosy, cera biała jak porcelana... I usta, szkarłatne niczym krew. Romantyczna, a przy tym zawstydzona i niewinna. Godzinami potrafiła grać na pianinie najrozmaitsze wariacje utworów Mozarta. Było to z jej strony bardzo przebiegłe, bowiem wiedziała, że w ten sposób doprowadzi mnie do łez. Lubiała patrzeć, jak usłyszawszy pierwszą nutę *Dies Irae*, mimowolnie zanurzam się w słodkiej przestrzeni wspomnień i szlocham niczym alpejski wodospad na samo wspomnienie rodzimych gór. Jak w zakamarkach pamięci przemierzam ciasne uliczki Salzburga, stukając obcasami o skąpaną deszczem kostkę brukową. Jak z rozkoszą wsłuchuję się w miejski zgiełk, rozdarty między okrzykami *Griß Gott*, a dyskusjami o nowej powieści Goethego. I schlebiali jej, że mimo niepojętej miłości do mego miasta, wciąż woląłem być z nią. Na dalekiej wyspie, w odosobnieniu, gdzie usłyszeć nas mógł tylko wiatr, a podejrzeć jedynie wrzosowiska.

*Lacrimosa*. Cóż za upokorzenie, że tak jak mój rodak, musiałem skończyć zasypany wapnem w zbiorowej mogile. Jego świat docenił po latach od zgonu. Mnie nikt nie zechciał przypisać sławy.

Nie skazano mnie też na potępienie. Otrzymałem inny rodzaj kary, kto wie, czy nie najdotkliwszy. Dwieście lat pomiędzy światami. W stanie gazowym, bez ciała, bez możliwości spoczynku. Musiałem obserwować energię rzeczywistości, nie mogąc w niej uczestniczyć. Byłem zmuszony patrzeć, jak moja Greta spędza noc poślubną w ramionach innego. Jak on wyraża się o mnie z pogardą, pouczając ją, że samobójcy nie są godni pamięci. Jak ona zaczyna mu wierzyć. I przestaje po mnie płakać.

Mój anioł stróż również nie był litościwy. Zaprowadził mnie do rzeki czasu, kazał wyłowić wodorost nadany mi przy urodzeniu, zbliżyć go do słońca i przejrzeć po kolei ścieżkę mojego prawdopodobnego życia. Tego zgodnego z wolą Pana, nieprzerwanego przeze mnie. Według znamion dostrzegalnych na roślinie, czekało mnie jeszcze niecałe siedem lat niedoli, a po nich miało nadejść oczyszczenie. Ach, czymże byłoby to marne siedem lat, w porównaniu z dwustoma, które jest mi nakazane przebiedować w zaświatach. Jaka szkoda, że za życia nie jest nam dane poznanie przyszłości. Może ono byłoby wybawieniem, światłem w ciemnym tunelu życia. Czymś silniejszym, niż zwykła nadzieja, bo zagwarantowaną obietnicą spełnienia pewnych dziejów. Przeczekałbym te siedem nędznych lat. Później wróciłbym z Brytanii do Cesarstwa Austrii, osiedlił u podnóża Alp i wiódł spokojne życie. Anioł rzekł, że właśnie w tamtym czasie miałem poznać właściwą kobietę. Ulrykę. Co za haniebne bluźnierstwo, jakoby nie była nią Greta! Aniołowi nie spodobało się wówczas, że gardzę wolą Pana. Postanowił zawstydzić mnie po raz drugi. Pokazał mi wodorost przypisany Ulryce. Był rozszczepiony na dwie części. *Po twojej bluźnierczej śmierci musieliśmy z Panem dopisać Ulryce nową drogę. Niestety, nie mogła już być tak szczęśliwa, jaka byłaby przy twoim boku. Z Twojej winy żona nie poznała męża. Nie wiedziała, co to znaczy „kochać”. Szukała ratunku w nieładzie. Aeris alieni comes miseria.*

Dwieście lat w międzywymiarowym zawieszeniu. Bez ciała, bez szansy na połączenie z żywymi. I bez możliwości wstąpienia do Raju. Marny żywot ducha... Lecz dzisiaj o północy wreszcie nastanie koniec mego wyroku. Śmieszne ludzkie kreatury o tej samej porze otworzą szampany, pozostając nieświadomymi własnej śmiertelności. Gdyby wiedzieli, że zbliża się koniec... Tik, tak, tik, tak. Apokalipsa jest częścią każdej kultury, a mimo to żaden lud niczego jeszcze nie zrozumiał. Na cóż wysiłki filozofów, duchownych, proroków...

Czy ta niewiasta się budzi? Nareszcie. Śmiała zbyt długo drzemać w łożu, które nigdyś odziedziczyłem po przodkach. Kiedym żył, mówiono, że duchy tych, którzy zgrzeszyli samobójstwem, mogą nawiedzać miejsca, które miłowali za życia, i straszyć nieproszonych gości. Jaka szkoda, że okazało się to kłamstwem. Ta kobieta nigdy nie będzie świadoma mojej obecności. Będzie bezcześcić mój dorobek, uważając go za swój. Widać, otrzymałem kolejną karę. Przerwałem



swe życie, zatem moje mieszkanie musiała przejąć obca niewiasta. I to tak podobna do Greta... Złodziejka Losu.

Spełniła moje pragnienie – spojrzęła w lustro. Ale niestety, nie będąc świadomą tego, co mogła zastać, nie była w stanie mnie dostrzec. Dwudziestopierwszowieczni ludzie zbyt często zapominają o możliwościach, jakie oferują okna, lustra i fotografia. Nie podejmują nad tym refleksji. Nigdy nie pomyśla, że mogą zobaczyć odbicia istot z innych wymiarów. Właściwie, są najbardziej ubodzy umysłowo spośród wszystkich pokoleń, jakie było mi dane zaobserwować. Dążą do zagłuszenia intuicji, poddają się zwodniczym właściwościom encyklopedii. Na cóż staraliśmy się ośmieszyć mistrzów oświecenia, skoro po nas znowu nadeszła pochwała szkiełka i oka. Czucie i wiara ponownie zaginęły, na własne życzenie tych nędzarzy.

Złodziejka Losu zaczęła przymierzać sukienki. Zakładając czerwoną, przybrała nietypowy grymas. Przymierzając białą, zaśmiała się tylko. Ostatecznie wybrała czarną. Tyleż kombinacji na jeden krótki wieczór. Cóż za próżność. Gdy skończy się moja kara i będę mógł w pełnych prawach przejść przez bramy niebios, udam się z wizytą do świętego Sylwestra. Jestem niezmiernie ciekaw, czy jego również bawi skala, z jaką śmiertelnicy świętują swoją pychę, zasłaniając się jego imieninami.

Postanowiłem zabawić się w Aniola Stróża Złodziejki Losu i towarzyszyć jej w nocnej wędrówce po salzburskich uliczkach, które w ciągu ostatnich dwustu lat zmieniły się nie do poznania. Tam, gdzie niegdyś pracował szewc, teraz znajdował się całoroczny sklep z ozdobami choinkowymi. U podnóża góry, na której mieściła się Twierdza Hohensalzburg, założono mało wykwinną restaurację. A pod domem, w którym urodził się Mozart, stacjonowały armie azjatyckich podróżników. Każdy z nich po kolei stawał przy upamiętniającej kompozytora tablicy i wykonywał dziwny, na pewno nieuświęcający gest. W tym czasie inny z nich uwieczniał cały moment na fotografii. Poczulem zazdrość. Moje życie było wiecznym nienasyceniem. Nigdy nie potrafiłem cieszyć się terazniejszością jak ci przybysze.

Podążałem śladem Złodziejki Losu. Kobieta weszła do pubu przy Mirabellgarten. Jak ja kochałem ten słodki ogród... Przeniknąłem przez drzwi piwnego lokalu i dogoniłem niewiastę. Wewnątrz panował nieprzyjemny gwar, wydawany przez zapijaczone mordy starych Bawarów. Cieszyłem się, że jako duch nie muszę martwić się o narząd wzroku, bo w przeciwnym razie rozświetlające lokal czerwone światło byłoby dla mnie zbyt uciążliwe. Złodziejka Losu dołączyła do trzech mężczyzn, trzymających litrowe kufle piwa. Momentalnie zaczęła namiętnie całować jednego z nich. Potem pogładziła go po torsie i skinieniem głowy wskazała, by podążał za nią. Zeszli do piwnicy i poddali się namiętności, którą uznałbym za zarezerwowaną dla małżeństw. Może co najwyżej dla wiemych kochanków. Byli pełni wdzięku, jednak nie nazwałbym ich uczucia

miłością. Wydawali się mechaniczni jak marionetki. Mężczyzna nie troszczył się o Złodziejkę Losu tak, jak ja o Grete.

Czas upływał nieubłagalnie. Zostało niewiele minut do północy. Ludzie obecni w pubie zaczęli poruszać się nieco gwałtowniej, niż wcześniej, i wydawać odgłosy ekscytacji. Słyszałem kilka języków, nie tylko niemiecki, ale byłem pewien, że wszystkim zależy na podobnym przekazie – okazaniu radości z powodu zbliżającego się końca roku. Nieszczęśnicy... Złodziejka Losu i jej kochanek dołączyli do niczego nieświadomych birbantów. Niemal każdy pojedynczy człowiek obecny w lokalu ścisnął w dłoni butelkę szampana. Właściwie to flakon taniej imitacji francuskiego trunku.

– Została nam już tylko ostatnia minuta! – Krzyknęła Złodziejka Losu. Och, gdyby miała świadomość, jak bardzo sprawcze okażą się jej słowa.

Tłum wpadł w wir jeszcze większej ekscytacji. Wszyscy poderwali się do wyjścia i, niczym mrówki, zaczęli się przepychać do ogrodu. Każdy chciał stać jak najbliżej plotu, by móc ze swobodą patrzeć w niebo. Oczekiwali fajerwerków. Oj, zdziwią się, jak wyjątkowe będą tegoroczne ogniste pokazy.

– 10, 9, 8, 7, 6... – Odliczali nieszczęśnicy – ...5, 4, 3, 2, 1...

Wybuch szampanów. A wraz z nim, synchronicznie, wybuch Słońca. Koniec tego świata. Już nikt nigdy nie będzie miał śmiałości, by próbować cokolwiek policzyć. Oto nadeszła nieskończoność. Meteoryty zaczęły bombardować ziemię z taką siłą i tak spektakularnie, że mogłyby zawstydzić bombowce użyte przez moich przeklętych rodaków podczas ostatniej wojny. Ziemia zaczęła drżeć i dzielić miasto na nieskończoną ilość sektorów. Rzeka Salzach momentalnie pokryła powierzchnię całego miasta. Jej wylew przypominał oceaniczne tsunami. Ludzie nie mieli czasu na krzyk rozpacz. Umarli szybko i spokojnie. Memling kłamał. Koniec okazał się poetycki i łaskawy.

Moje miasto nigdy wcześniej nie było tak obce. Przeżyło tyle sporów między Austrią a Bawarią. A teraz? Jego dusza zdążyła skonać w ciągu jednej sylwestrowej nocy. Butelki, które były jeszcze pełne szampana, wydawały się jedynymi rekwizytami tworzącymi iluzję życia. W wypalonej przez odłamki słońca przestrzeni powietrznej unosił się swąd ludzkiego prochu. *Pulvis es et in pulverem reverteris...* Rozszczępioną kostkę brukową pokryły kałuże krwi, w których topiły się blade twarze. Zapanowała głucha cisza. Razem z nią w powietrzu unosiły się tysiące osamotnionych dusz, substancjalnie tożsamyh mnie samemu. Niektóre duchy wydawały się uwzniośnione i leciały prosto do Raju. Inne sunęły w moim kierunku, powiewając ciepłem empatii. Pod nami leżały już tylko topiące się w szkarłatnych kałużach puste, nic nieznaczące ciała. Tylko to pozostało. Ludzkie wydmuszki.

*Gdy rozum śpi, budzą się upiory...* Cóż za błogosławieństwo! Pochwalam głupotę. Dzięki niej jest nas więcej. Nas, duchów zawieszonych w przestworzach nicości. Jak się okazało, ludzi z dwudziestego pierwszego wieku wcale nie zbawił racjonalizm... Niezależnie od światopoglądu, wszyscy skończyliśmy tak samo.

Złodziejka Losu leżała pośród wszystkich zmarnowanych ciał. Wyróżniała się. Wyglądała jak porcelanowa lalka na stosie wypłowiałych pacynek. Miała jednak dobre przeczucie, by założyć czarną suknię, bowiem nie sposób było dostrzec na niej ani kropli krwi. Wydawało się, jakby spała. Tylko jej oczy, stopniowo zatracające się w pustce, zdradzały, że właśnie dostępowala najwyższego zaszczytu.

Tik, tak, tik, tak.

Już. Jej ciało wyzionęło ducha.

– Witaj – odezwałem się do niej, kiedy objawiła mi się w gazowej postaci. – Jak ci na imię?

– Ulryka – odparła.

Poczułem, jak na dźwięk jej imienia wzrasta we mnie ciśnienie. Złodziejka Losu naprawdę skradła mi żywot. Ulryka... Czy to ta Ulryka? Moja jedyna? Anioł Stróż potwierdził moje nieśmiałe przypuszczenia skinieniem głowy.

Z niepojętą lekkością uniosłem się ku niebu. Jakbym otrzymał nową szansę od życia. Jakby mój wodorost został wskrzeszony i połączony świętym węzłem z innym wodorostem. Tym, który dwieście lat wcześniej z mojej winy został okaleczony. Ulryka. Zbawczyni Losu.

– Czy to już? To tak wygląda śmierć? – Spytała szeptem, jaki przystoi duchom najpełniejszym wdzięku.

– Nie, kochana. Śmierć właśnie minęła. A to jest nasz właściwy początek.

Staliśmy się lekcy i wzbiliśmy się prosto do nieba. Dwieście lat czekałem na ten dzień. Każdego dnia swego krótkiego życia marzyłem, by świat przestał istnieć. I w końcu nadeszła słodka apokalipsa. A wraz z nią ona. Nie Greta, lecz Ulryka. Dzień Ostateczny okazał się świętem harmonii, wszystko zaprowadził na przynależne mu miejsce.



Frida Kahlo, *Las dos Fridas* (1939)



Urszula Mazurkiewicz

## Dwudziesty pierwszy października

Pory roku już w zasadzie nie istniały, jednak jesień docierała do zakamarków ludzkiej duszy. Także do wrażliwości Marcusa, który na widok nielicznych suchych gałęzi wyobrażał sobie strącone z głów skazańców korony cierniowe. Czuł podskórny niepokój, ale nie wiedział jeszcze, jak ważnym elementem przyszłości się stanie i w co zostanie uwikłany.

Marcus podążał do ogromnego, szklanego biurowca, który nie wyróżniał się niczym specjalnym. Wyszedłszy z autobusu, trasę pokonywał w pełni automatycznie. Podczas dziesięciominutowego spaceru głowę zajmował tworzeniem listy rzeczy do zrobienia, która przez następne godziny będzie rozliczać go z lenistwa. Zatwierdził plan komendą wewnątrzgłosową i wszedł do budynku.

Po drodze do biura, które współdzielił z pięciorgiem innych pracowników, wymienił kilka nieszczerych uśmiechów. Czasem wydawało mu się, że nienawidzi tej roboty, ale szybko przypomniał sobie, ile jej zawdzięcza. Miał w końcu mieszkanie z łazienką, co nie należało do standardu, a do tego nie musiał martwić się o opiekę medyczną i mógł liczyć na różne benefity.

Praca Marcusa wymagała skupienia. Godzinami grzebał w kodzie i szukał sposobów na jego optymalizację. Niejednokrotnie wyobrażał sobie, że sam jest jak kod programu, ale przy tym lubił degradować się i myśleć o sobie w kontekście kilku linijek zaprogramowanych przez kilkulatka. Kod bez głębi, bez duszy, najprostszy i w zasadzie nikomu niepotrzebny.

Tego dnia musiał dłużej zostać w pracy, ale to nic nowego. Był zadowolony, bo asystentka głosowa chwaliła go za wypełnianie zadań. Kto by nie chciał robić nadgodzin, gdy oprogramowanie firmy sprawdza twój postęp i co jakiś czas zapewnia zastrzyk dopaminy?

Kiedy wychodził z budynku, był zmęczony, ale musiał się spieszyć, jeśli chciał zdążyć na ostatni autobus, który zawiózłby go prosto pod zamieszkiwany megablok. Odrzucił połączenie przychodzące od Leona, swojego przyjaciela, bo bał się, że rozmowa nadto go zajmie i nie zdąży. Wbiegł do pojazdu, zeskanował swój chip i usłyszał w głowie melodyjne powiadomienie. Nie dość, że płatność została zarejestrowana, to od tego momentu trasa, którą jechał zgrywała się do jego bazy danych. Informacje w tych czasach to największa waluta. Było tak od dawna, ale kiedyś ludzie bagatelizowali ten fakt i z przyjemnością sami gromadzili wrażliwe dane na swój temat. Długość snu, tętno, nawodnienie organizmu i wiele innych zapisywane w kolorowych aplikacjach o przyjaznym interfejsie. Teraz nie jest to kwestią wyboru, chyba, że ktoś nie boi się działać poza



granicami prawa. Marcus jednak do takich osób nie należał, chociaż w przeszłości zdarzyło mu się wykradać dane i je sprzedawać. Odciął się jednak od tych praktyk i uznawał je za błędy młodości.

Rozmawianie w komunikacji miejskiej nie było dobrze widziane, dlatego gdy usiadł na tylnym siedzeniu, napisał do przyjaciela. Pokłócili się, zdarzało im się to coraz częściej. Leon twierdził, że korporacja zjadła Marcusa, i martwił się o niego. Ten jednak postanowił nie odpowiadać na zarzuty, wyciszył komunikator i oparł się o szybę autobusu. Szum silnika musiał być na tyle jednostajny i przyjemny, że zasnął.

– Musisz zrobić to szybko, Hugo! – Ktoś krzyknął.

Obcy, zachrypnięty głos wbił się w czaszkę Marcusa i obudził go. Otworzył oczy i zdenerwował się, bo nie wiedział, gdzie jest. Momentalnie dotarło do niego kilka powiadomień. Sen automatycznie je blokował. Serce zaczęło mu bić prężniej, o czym również został powiadomiony.

Pozbierał myśli i zorientował się, że zasnął w autobusie i znajduje się w zajezdni. Cała komunikacja jest sterowana przez sztuczną inteligencję, więc nie miał kto go pogonić, a najwidoczniej spał tak głęboko, że komunikaty z głośników go nie wybudziły.

Przetarł twarz, upewnił się, czy wszystko ma, i chciał wstać, gdy znowu usłyszał nieznane głosy.

– Tak, teraz musisz wpiąć się jako root.

– Myślisz, że przez tę powłokę damy radę? – Zapytała inna osoba.

Rozmowa go zaniepokoiła. Chciał napisać do Leona, tylko to przyszło mu do głowy, ale na ekranie wyświetliła się informacja, że znajduje się poza zasięgiem. I faktycznie, dopiero zauważył, że powiadomienia, które do niego przyszły, poza tym dotyczącym stanu zdrowia, informowały go o znalezieniu się poza siecią. Ogarnęła go panika.

Nie wiedział, co o tej godzinie ktoś może robić w zupełnie zautomatyzowanej zajezdni autobusowej, ale przeczuwał, że nic moralnego. Musiał działać szybko, jeśli chciał uniknąć kłopotów. Ostrożnie podszedł do drzwi, ale okazały się zamknięte. Ręce zaczęły mu się trząść, zauważył młotek do wybijania szyb, jednak tego rozwiązania się obawiał. Z niechęcią chwycił narzędzie. Wyślizgnęło mu się ze spoconych dłoni i narobiło hałasu.

– Idź to sprawdź – powiedział jeden z nieznajomych.

Po chwili światło latarki wtargnęło do zamkniętego autobusu. Marcus musiał zostać zauważony, bo podniósł się gwar i zaczęto dobijać się do pojazdu. Drzwi autobusu otwarto siłą. Ogromny mężczyzna wszedł do środka i podbiegł do wystraszonego Marcusa. Uderzył go.

Ból był porażający, ale jeszcze gorsza okazała się suchość w gardle. Głosy i światło drażniły go. Czuł się, jakby miał atak migreny, o której kiedyś uczył się w szkole. Chociaż rozmowy były prowadzone w rozumianym przez niego języku, to nie umiał wylapać ani słowa. Dopiero po chwili

dostrzegł przewody podpięte do swego gniazda neuralnego. Bał się, że to nieautoryzowany sprzęt i mimo że w tym momencie powinien błagać o litość, zastanawiał się, czy poniesie jakąś karę za naruszenie integralności gniazda. Typowy biurokrata.

Marcus obudził się w swoim mieszkaniu. Chociaż pory roku już w zasadzie nie istniały, to jesień docierała do ludzkiej duszy. Także do jego wrażliwości. Czuł podskórny niepokój, ale nie wiedział jeszcze, jak ważnym elementem przyszłości się stał i w co został uwikłany.

Marcus podążał do ogromnego, szklanego biurowca, który nie wyróżniał się niczym specjalnym. Chociaż prawie zawsze korzystał z komunikacji miejskiej, tym razem postanowił się przespacerować. W końcu miał dużo czasu. Nie wiedział, skąd ten impuls do zmiany, ale perspektywa przewietrzenia głowy wydawała mu się jak najbardziej zachęcająca. W trakcie pokonywania dystansu asystentka głosowa pochwaliła Marcusa. Udało mu się zrealizować dzienny cel pokonanych kroków. Czuł się bardziej zmotywowany i nawet wizja ewentualnych nadgodzin nie potrafiła tego stanu naruszyć.

Kiedy dotarł do budynku korporacji, szybko wskoczył do windy. Wewnątrz szybko przejrzał zadania, które automatycznie przydzieliło mu oprogramowanie. Naniósł kilka poprawek i zatwierdził listę rzeczy do zrobienia komendą wewnątrzgłosową. Był gotowy do pracy.

Ręce wyjątkowo szybko sunęły po klawiszach i ekranach. Czuł, że to jego dzień. Kilka osób zwróciło uwagę na dobry humor Marcusa, który zazwyczaj był przygaszony.

– Pracujesz na awans? – Zapytała Celestyn.

– Nie musisz martwić się o swoją pozycję – odpowiedział Marcus.

Celestyn, w przeciwieństwie do Marcusa, doszła do swojej pozycji w korporacji dzięki urokowi i umiejętnościom na pograniczu prostytucji. Każdy o tym wiedział, ale ona lubiła temu zaprzeczać i zasłaniać się certyfikatami. Ciekawe tylko, kto i za co takie papiery autoryzował. Udawała miłą, jednak w każdym widziała wroga.

Marcus wyrobił tego dnia normę, raporty wysłał bez poślizgu i był wolny. Miał już zbierać swoje rzeczy i wychodzić, ale coś go natchnęło, żeby ponownie uruchomić program i zajrzeć do kodu. Dzwonił do niego przyjaciel, ale był zbyt pochłonięty.

Wyszedł z Victorem, który miał w ostatnim czasie problem z terminami. Było już późno, ale współpracownik na całe szczęście zaoferował, że podwiezie Marcusa do megabloku.

– Miłość potrafi człowieka zmotywować, co? – Zapytał Victor.

Marcus nie wziął tego pytania do siebie i bez zastanowienia potwierdził. Nie zdawał sobie sprawy, że cały dzień był głównym tematem plotek. W takim świecie plotki są jak paliwo napędowe. Jedyna stała atrakcja, która jest przyjemna. Oczywiście, do momentu, kiedy samemu nie jest się w ogniu krytyki i poddanym ocenom innych. Wszyscy wymieniali się tego dnia złośliwymi uśmiechami i próbowali zgadnąć, czego ich kolega dopuszcza się w łóżku. Przyjść do miejsca pracy z takimi śladami duszenia uchodziło za wysoce perwersyjne.

Marcus zadzwonił do Leona z mieszkania. I w ten sposób dobry dzień zakończył się sprzeczką. Przyjaciel tłumaczył, że poprzedniego dnia siedział jak na szpilkach, bo Marcus był poza siecią. Przyrzekał, że taką wiadomość widział pierwszy raz w życiu.

– Jak mi wytłumaczysz, że przez tyle godzin nie dało się do ciebie dobić? – Wykrzykiwał. Marcus upierał się, że nic takiego nie miało miejsca. Przekonywał, że szybko zasnął i wyłączył powiadomienia, i że na pewno Leon źle zrozumiał komunikat.

Marcus obudził się w swoim mieszkaniu i bolały go oczy. Poszedł do pracy, działał na najwyższych obrotach. Wysłał raporty bez poślizgu. Został dłużej, nie pamiętał dlaczego. Wrócił do domu.

Marcus obudził się. Poszedł do pracy. Przełożony docenił jego pozytywną zmianę. Marcusa zbytnio to nie obchodziło. Został dłużej, nie pamiętał, dlaczego. Wrócił do domu.

Marcus nie pamiętał dlaczego.

Dziwiły go tylko rany na dłoniach.

Pory roku już w zasadzie nie istniały, jednak jesień docierała do zakamarków ludzkiej duszy. Marcus nie rozróżniał pór roku, ani pór dnia. Czasem gałęzie na ziemi coś mu przypominały, ale nie umiał określić, co. Nie czuł niczego podskórnie. Jedyne, co odczuwał, to rozrywający ból torebek stawowych palców. Przypadkowo stał się inicjatorem ważnych wydarzeń, szkoda tylko, że był poza tym i powoli zapominał swojego imienia. Umiał dotrzeć do miejsca, w którym mógł pisać kod. Pisać kod i pisać kod. Tylko to miało znaczenie. Był jak w transie. Nie zastanawiał się nad niczym, nie sprawdzał po drodze żadnych informacji, po prostu pisał, ile miał sił.

Leon próbował utrzymywać kontakt, ale odpuścił sobie. Założył, że dawny przyjaciel stał się korporacyjnym szczurem, dla którego większą wartość ma premia niż kontakty międzyludzkie. Zawiódł się i przestał wierzyć w autentyczność jakichkolwiek relacji. Kiedy Marcus dostał awans, Celestyn próbowała zakreślić się wokół niego. On stanowczo odmawiał, musiał pisać kod. Narodziła się nowa fala plotek, Marcus był na językach współpracowników i przełożonych.

Ci pierwsi potrafili sporo nazmyślać, żeby tylko wylądować frustrację. Drudzy natomiast byli zachwyceni, że wyhodowali w swojej firmie takiego zdolnego kodera. I to jeszcze takiego, który za dużo nie oczekiwał w zamian, więc część benefitów Marcusa rozchodziła się między szefostwem z pominięciem procedur.

Była zima. Opuszki palców Marcusa były twarde i szorstkie. Chociaż już w zasadzie nie przypominał człowieka, to wiedział, że zbliżał się koniec. Nie utrzymywał z nikim kontaktu. Współpracownicy woleli nie wchodzić mu w drogę. Wiedzieli, że jest nad wyraz zdolny, ale styl bycia, a w zasadzie niebycia, Marcusa, stanowczo ich odstraszał. Ograniczyli też rozsiewanie plotek, bo kierownicy potrafili za to surowo karać.

Rzeczy działy się dookoła Marcusa. Wcześniej nie przywiązywał wagi do stylu, wystarczyło, że jego ubrania były wyprasowane i pachnące syntetycznym środkiem. To się zmieniło. Pierwotne instynkty zmuszały go do ubrania czegokolwiek, więc większość czasu pojawiał się w brudnych lachmanach. Działal jednak na tak wysokim stanowisku, że przełożeni postanowili zająć się tym mankamentem. Skontaktowali się z ekskluzywną pralnią i codziennie pod drzwiami Marcusa znajdowała się elegancka, wyprana odzież.

Był idealnym pracownikiem. Wywiązywał się ze swoich zadań, nawet jeśli niektóre nie były do końca związane z jego stanowiskiem. Nie sprawiał problemów, nie popełniał błędów i nie był roszczeniowy. Nie wchodził w żadne układy, ale też nie interesowało go donosicielstwo. Robił swoje i nadto. Nikomu nie przeszkadzało, że przesiaduje do późna i zajmuje się swoimi sprawami. Nikomu nie przeszkadzało, bo nie upominał się o nadgodziny. Nikomu nie przeszkadzało i nikogo nie zainteresowało. A powinno.

Dwudziesty pierwszy października, cztery lata po zapomnianych przez Marcusa wydarzeniach w zajezdni autobusowej, stał się dniem paniki. Kod, który pisał Marcus miał kilka tysięcy linijek. Zawierał wysoce skomplikowane algorytmy. Mężczyzna przesiedział wycieńczony całą noc, żeby zgrać program i wysłać go. Nie wiedział, gdzie posyła pracę swojego życia, ale wiedział, że wybrał odpowiedniego odbiorcę.

Cały proces trwał długo. Za długo. Chociaż zawirusowane oprogramowanie zmieniło Marcusa w bezdusznego robota, to nadal musiał dbać o swoje funkcje życiowe. Musiał, ale nie zadbał. Dzień później znaleziono jego ciało przy stanowisku w biurze. Był zimny, ale wydawało się, jakby jego palce dalej się poruszały. Były całe we krwi. Na komputerze nie znaleziono prawie żadnych plików. Marcus zadbał o to, żeby zatrzeć za sobą ślady. Na ekranie wyświetlał się tylko następujący ciąg znaków:

01001010 01100001 01101101 00100000 01101010 01100101 01110011 01110100 00100000  
01000001 01101100 01100110 01100001 00100000 01101001 00100000 01001111 01101101  
01100101 01100111 01100001 00101100 00100000 01101101 11000011 10110011 01110111  
01101001 00100000 01010000 01100001 01101110 00100000 01000010 11000011 10110011  
01100111 00101100 00100000 01001011 01110100 11000011 10110011 01110010 01111001  
00100000 01101010 01100101 01110011 01110100 00101100 00100000 01001011 01110100  
11000011 10110011 01110010 01111001 00100000 01100010 01111001 11000101 10000010  
00100000 01101001 00100000 01001011 01110100 11000011 10110011 01110010 01111001  
00100000 01110000 01110010 01111010 01111001 01100011 01101000 01101111 01100100  
01111010 01101001 00101100 00100000 01010111 01110011 01111010 01100101 01100011  
01101000 01101101 01101111 01100111 11000100 10000101 01100011 01111001.

System binarny nie był już stosowany od lat, bo pozwalał na zakodowanie zbyt małej ilości danych. Jednak szybko doszło do rozszyfrowania wiadomości. Brzmiała ona: „Jam jest Alfa i Omega, mówi Pan Bóg, Który jest, Który był i Który przychodzi, Wszechmogący”.

Pory roku już w zasadzie nie istniały, ale tę jesień zapamięta każdy.

Marcusa uznano za zbrodniarza, głównego winnego. Prawda wyszła na jaw dopiero po latach. Został przypadkowo wplątany w działania zorganizowanej antyrządowej grupy hackerów, okazał się dla nich idealną ofiarą. Miał sprawne palce i dostęp do potężnych serwerów, do danych i wielkiej mocy obliczeniowej.

To nie był przypadkowy atak, wyraz buntu. To był bunt. Najprawdziwszy, brutalny i odwracający układy sił. Popaprańce na zajezdni? Pacholki, które ledwo radziły sobie z najprostszymi zadaniami. Marcus? Przypadkowy pacholek o ogromnym znaczeniu.

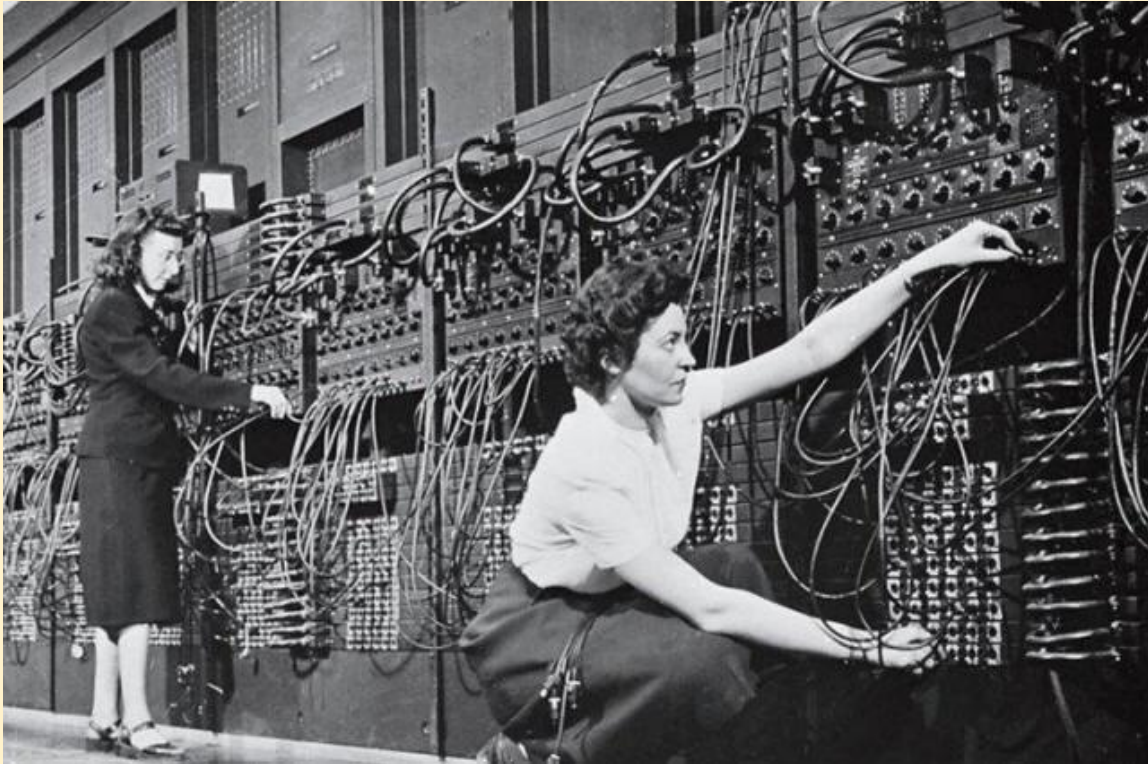
Kto zatem rozegrał tę partię w białych rękawiczkach?

Może lepiej nie próbuj znaleźć odpowiedzi.

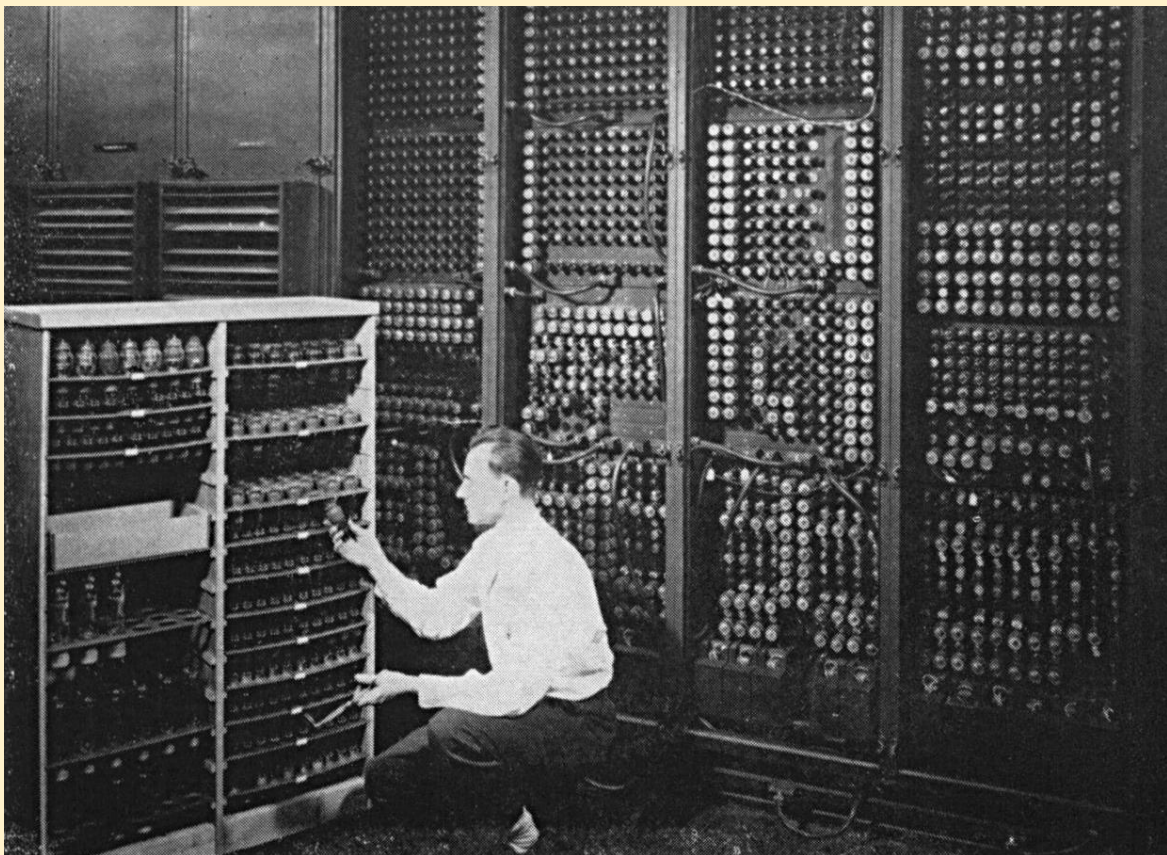
Korony cierniowe mogą cię zranić.

Byłoby nam przykro.





NN (U.S. Army Photo), Marlyn Wescoff i Ruth Lichterman programujące ENIAC-a (ok. 1947-55)



NN (U.S. Army Photo), Wymiana jednej z 18 800 lamp elektronowych ENIAC-a.  
Na zdj. prawdopodobnie John Holberton (ok. 1945-55)



## POWIEŚĆ W ODCINKACH

Patryk Miąskowski

### **Brud (odc. 1)**

Człowiek. W zasadzie zwierzę, z tym, że zdolne do życia wedle własnych, ściśle określonych reguł. Zwierzę, które zapanowało nad wszelką inną zwierzyną, nad otaczającą je materią, czy to dobrocią czy siłą. Wiele tysięcy ewolucji, rozwoju, nauki, po to tylko, żeby doprowadzić gatunek nad niebezpiecznie stromą krawędź.

Czwarta wojna zebrała olbrzymie żniwo. Amerykę pochłonął czarno-biały płomień konfliktu rasowego. Bojówki Zjednoczonego Wschodu przystąpiły do ekspansji na terytorium Afryki. Europa po wyczyszczeniu złóż ropy i gazu opustoszała. Koła podbiegunowe, wykupione przez Australię stały się domem dla imigrantów z Ameryki Południowej. Świat stanął na głowie. A wszystkiemu winni jak zwykle ludzie.

Nic nieznacząca na szachownicy wielkich graczy Polska, stała się domem dla ostańców, którzy nie podjęli się ucieczki na wschód.

I tak mijały lata. Wiejskie domostwa zaniknęły, a migranci zgromadzili się w miastach. W molochach, które swój najlepszy czas mają już za sobą, w szklanych metropoliach, trafionych w szybę kamieniem czasu, w opustoszałych gigantach, które legły pod ciężarem ludzkich decyzji.

Gdańsk, jedna z ostoji ludzkich resztek, stał się najdalej wysuniętym na północ europejskim kompleksem nienależącym do Zjednoczonego Wschodu. Miasto zostało zniszczone w trakcie Trzeciej Wojny. Podczas Czwartej mocno oberwało, jednak okazało się na tyle trwałe, by dać schronienie ostańcom. Lata mijały, a miasto odradzało się. Przybywało ludzi, nie brakło pracy, a każdy nowo mianowany obywatel Gdańska, historycznie i prześmiewczo określanego Wolnym Miastem, dostawał przydział lokum i możliwość zapracowania na godne życie. Określenie „godne”, oczywiście, należy traktować w tym przypadku z mocnym przymrużeniem oka. Lewego, prawego, a najlepiej obu. Zrujnowane blokowiska, szare, puste mieszkania, dwunastogodzinny dzień pracy, zbrojny nadzór i wybrakowane zaopatrzenie w produkty pierwszej potrzeby nie przystają do znaczenia słowa „godne”.

Ponad wszystko zaś, wojna nie może obejść się bez swoich dzieci. Te pojawiły się licznie. Zewsząd słyszano się o wynaturzeniach, o podziemnych schronach, w których wciąż żyją i kryją się potomkowie ludzi ocalonych podczas Trzeciej Wojny, o nowych pierwiastkach i tajemnych technologiach zatajanych przez władzę. Ale przede wszystkim jawnie obecny był wszędoabyłski brud. Takim mianem zaczęto określać plagę, która dotknęła powojenne realia. Pył nieznanego pochodzenia, lekki niczym kurz, pokrywał krajobraz zniszczonego świata od wielu lat. Lekki, a jakże ciężki. Mówiono, że ta nietypowa forma opadu ma właściwości halucynogenne. Twierdzono tak, z racji omamów, których doświadczały osoby mające z brudem kontakt.

Z czasem odkryto, że dziwny proszek dostarcza o wiele szerszej gamy doznań. W jednych wywoływał lęk, innych paraliżował, kolejnych zaś niemal katatonicznie uspokajał. Pył był niebywale niebezpieczny, potrafił bowiem wywołać atak paniki czy nawet natychmiastową śmierć obcujującego z nim człowieka. I tak nadmorskie miasto tracąc kolejnych ludzi, którzy zaryzykowali zetknięcie z brudem, wprowadziło zakazy i uformowało straż. Śmiałkowie stworzyli zbrojną organizację, pilnującą, aby obywatele nie ryzykowali kontaktu z tą niedookreśloną materią.

Wymykające się próbom klasyfikacji efekty obcowania z pyłem wywołały zbyt duże straty wśród ludności cywilnej. Całkowicie pozbawieni świadomości opętańcy wpadali nieraz w morderczy szal wyrzynając nie pojedyncze osoby, a całe nieświadome zagrożenia grupy. Tym sposobem obywatele stracili ostatki wiary w bliźniego, a Gdańskiem zawładnęła nieufność. Kolejne lata bogate w liczne przypadki szaleństwa odarły ludzi z resztek wzajemnego zaufania i doprowadziły do unicestwienia straży.

Szare bloki żyły. Przygasały i rozblyskiwały naprzemiennie, niczym płomień świecy poddany wiecznemu tańcowi wśród podmuchów wiatru. A brud istniał, był obecny cały czas, ewoluował. I ludzie istnieli, pchali swój głaz i próbowali przetrwać. A wśród nich był on, zrodzony tuż po Czwartej Wojnie chłopiec, syn dwójki ostańców, pierworodny odratowanego po kontakcie z brudem robotnika i pracownicy naukowej Militoniki. Na jego barkach spocząć miała odpowiedzialność wielkiego kalibru, a na imię miał...

\* \* \*

– Leo Pazurkiewicz! Pazur, do cholery, gdzie jesteś!?

– Co jest?

– Stary cię wzywa.

– Kurwa.



– El Grzeczniej. Stary ma na dziesiątki innych na twoje miejsce, więc nie prykaj, ancymonie jeden. Mówił, że chce usłyszeć od ciebie, co tam wczoraj zaszło.

– Dobra, już, dobra. – Chłopak zabezpieczył swój AK-12, zebrał rzeczy i opuścił stanowisko. Na jego miejscu rozsiadł się znacznie młodszy, wciąż nastoletni Rafał. – Tylko uważaj, miej oko na wszystko, w razie co strzelaj w niebo. Niedługo wrócę, zobaczysz.

Schody prowadzące na najwyższe piętro budynku zniechęcały nawet najbardziej wysportowanych mieszkańców Gdańska. Leo nie lubił zaglądać do biura szefa. Nigdy nie zdarzyło mu się wyjść z tego pomieszczenia z uśmiechem na twarzy. Mieszkanie, w którym zaimprovizowano gabinet Borkowicza, wyłożone było imitującym drewno parkietem. Na wszelki wypadek, gdyby słońce postanowiło wyjrzeć zza chmur, okna zdobiły wiecznie opuszczone żaluzje. Pomimo ulokowania na siódmym piętrze biuro sprawiało wrażenie, jakby znajdowało się w podziemiach. Piwniczną atmosferę podkreślała wszechogarniająca cisza i unoszący się w powietrzu gęsty zapach tytoniu.

Leo pamiętał dobrze pierwszy raz, kiedy został wezwany do biura szefa. Był to jego pierwszy tydzień pracy. Pomylił grafiki i zamiast na pierwszą zmianę przyszedł na drugą. Nasłuchał się wtedy o braku odpowiedzialności, o tym, że inni musieli pracować za niego i żeby nie dziwił się, że nikt go nie polubi. Stary Lech Borkowicz był już wtedy bardzo masywny, a przy tym niezwykle ekspresyjny. Często, z nieskrępowaną satysfakcją imitował chęć uderzenia chłopaka, zatrzymując dłoń nieopodal jego twarzy. Choć uderzenia nie dochodziły do skutku, to dla wystraszonego młodzieńca każdy zamach zdawał się być płonącym smagnięciem bicia. Zarówno dla ciała, jak i duszy.

Od tamtej pory grafik wiszący na ścianie zakładu stał się dla chłopaka nową Biblią, wedle której żył każdego, szarego dnia. Nie tylko dla niego. Wszyscy pracownicy zarówno magazynu, jak i szklarni stosowali się do tabelek wyznaczających rytm życia. Rytm, który określał prezes Borkowicz, szef całego przybytku.

Człowiek ten pomimo topornej budowy ciała był niezwykle bystry. Szybko pozbierał się po Czwartej Wojnie i przystąpił do organizowania ludzi. Wiedział, że w takiej sytuacji należało skupić się na wytwarzaniu i produkcji tych produktów, których brak odczuwa się najboleśniej. Takich jak on było w Gdańsku zaledwie kilku i prawie każdy stał się zarządcą części miasta, nawiązując lepsze lub gorsze stosunki z pozostałymi.

Borkowicz, pełniący dotychczas rolę prezesa niewielkiego baru, kiedy tylko otrząsnął się z powojennego chaosu postanowił zebrać grupę ludzi, która знаła się na ogrodnictwie i budownictwie. W niedługim czasie na pustych terenach zaczęły wyrastać szklarnie, pozwalające na uprawę roślin bez obaw o brud. Będący wtedy w kwiecie wieku Lech nie poprzestał na produkcji

żywności. Szybko zagospodarował i reaktywował pobliską szwalnię, zdając sobie sprawę, że i zapas ciuchów zacznie się kurczyć.

Później dostrzegł również, że czasy są wystarczająco niepewne, aby pozostawiać przybytek bez ochrony. Osobiście wyselekcjonował grupę odpowiedzialnych ludzi, dla których zakupił broń. Dostępność jej była jednak ściśle ograniczona – produkcja nowej, z braku surowców, nie była możliwa. Jedynym sposobem na zdobycie broni palnej było kupienie jej od człowieka zwanego Baronem. Był to niegdysiejszy komendant policji, który równie szybko jak Borkowicz zaczął organizować ostańców. Baron postanowił zająć sieć komisariatów i strzelnic, obsadzając je swoimi ludźmi. Na szczęście relacja między nim, a Borkowiczem była spokojna, a z czasem zaowocowała paktem o nieagresji. Skutkiem tego mieszkańcy Wolnego Miasta chętniej przystępowali do zakładu Lecha, ponieważ oferował bezpieczeństwo ze strony najmniejbezpiecznej frakcji oprychów w mieście, a podwładni Barona mieli pewność, że nie spotka ich śmierć głodowa.

Leo stanął przed grubymi, metalowymi drzwiami, prowadzącymi do biura. Wziął głęboki wdech i zapukał. Nikt jednak nie otworzył drzwi. Ponowne pukanie mogło zostać uznane za niepożądane, z kolei naciśnięcie klamki mogło spowodować równie niepożądany kontakt jego twarzy z butem ochroniarza, który zawsze siedział po drugiej stronie i zapewne siedzi również teraz. Chłopak oparł się o ścianę odsuwając się od drzwi, co okazało się zdecydowanie dobrym ruchem, gdyż te, ułamek sekundy później, otworzyły się z loskotem. Wylonił się z nich czerwony ze złości Karpacz – inżynier, pracujący przy budowie szklarni – po czym z impetem zatrzaskał metalowe wrota za sobą.

– Chuj złamany! – Wrzasnął.

– Coś się stało? – Niepewnie zagadnął niedostrzeżony dotąd Leo.

– Stało się, kurwa, stało. Staremu się we lbie pomieszało. – Budowlaniec zamasyście uderzył pięścią o ścianę. Postął w tej pozycji kilka chwil, po czym zwrócił się do chłopaka. – Kazał mi budować, chociaż mówiłem, że ryzyko duże, że nierówno, jak na moje oko, to pierdolnie. I pierdolnęło. Jeden do jednego, tak jak przewidziałem. Rusztowanie przebiło folię szklarni i cała uprawa pokryła się brudem. A ten zdziały farciarz, co się tytułuje prezesem, stwierdził, że to ja zrobiłem celowo, żeby pokazać, że miałem rację. Czaisz młody? Spaślak mnie zwolnił. Teraz muszę się spakować i wyprowadzić. Dla mnie to nie problem, ale ja mam rodzinę, żonę, dzieci. Mam ich zostawić czy zabrać ze sobą w podróż po niepewną przyszłość? Kurwa...

Leo nie umiał zdobyć się na odpowiedź, Karpacz jednak jej nie oczekiwał. Zaciśnięte, lekko otarte od uderzeń w ścianę pięści schował do pojemnych kieszeni i ruszył schodami w dół.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i dobrze zbudowany ochroniarz skinieniem zaprosił chłopaka do wewnątrz.



Już w wejściu nozdrza Leonarda zaatakował kłujący zapach tytoniu. Żaluzje w oknach przepuszczały bardzo małą ilość światła, a jedna, lekko wylamana, pozwalała jasnemu promieniowi słońca przecinać pokój w poprzek. Ścian nie pokrywały żadne obrazy czy choćby plakaty. Pomalowany na bladej żółty kolor betonowy szkielet pomieszczenia sprawiał przez to wrażenie większego, surowszego, ale i schludniejszego. Po usunięciu ścianki działowej lokum prezesa prezentowało się jeszcze przestronniej. Stare, drewniane szafy, mocne, najpewniej dębowe biurko, dwa skórzane fotele i wszechobecna pustka stanowiły jedyny wystrój biura. Promyk, przebijający się przez żaluzję, urywał się w połowie wysokości fotela dla wizytujących. Na samym końcu pomieszczenia, z papierosem w ustach, nieco skąpany w mroku, siedział on, Borkowicz.

– O! Pan Pazurkiewicz, wreszcie. Panie Leopoldzie...

– Leonardzie.

– Cóż, bez rymu. Panie Leonardzie, zapraszam, niech pan siądzie. – Wychrypiał swoim niskim głosem opasły prezes.

Chłopak szybkim krokiem przemierzył pomieszczenie i ulokował się na czarnej, chłodnej skórze fotela. Przeszył go nieprzyjemny dreszcz. Wszystko wyglądało dokładnie jak przed laty – Stary przysunął fotel do biurka i spojrzał wezwanemu głęboko w oczy, krusząc przy tym jego poczucie męskości i siły. Leo zaczął wewnątrz godzić się z wyrzuceniem z pracy, które właśnie miało nadejść, kiedy Borkowicz położył na stół plik dokumentów i zaczął w nim czegoś szukać.

– Musimy porozmawiać.

– Wszystko rozumiem, jeszcze dziś spakuję rzeczy i opuszczę przydzielone mieszkanie. – Chłopak odpowiedział nie odrywając od prezesa wzroku.

– Skąd ten pośpiech? Chce pan odejść? – Zapytał zszokowany, barczysty mężczyzna.

– Przecież chce mnie pan wyrzucić?

– Panie Leopo... Leonardzie, cóż to za pomysł?

– A nie chce pan? Nie chodzi o wczoraj?

– Właśnie o wczoraj chodzi, o to właśnie. Musimy porozmawiać o tym, co tam zaszło. Niech pan czym prędzej opowiada, tylko ze szczegółami.

– O... – Leo zatkalo. Wziął głęboki oddech. – Więc...

Chłopaka oblał zimny pot na wspomnienie zeszłej nocy. Gdyby mógł, wymazałby ten dzień z pamięci, jednak teraz musiał opowiedzieć wszystko najlepiej, jak był w stanie odtworzyć. Zdażył zauważyć, że sprawa miała dla Starego duże znaczenie i wszystko stanowiło część czegoś większego, skoro tak doświadczony inżynier jak Karpacz został zwolniony bez mrugnienia okiem,

a od niego wymaga się szczegółów. Zbity z tropu, poniekąd ciesząc się, że nie został zwolniony, przystąpił do przedstawienia wydarzeń z ostatniej nocnej warty.

\* \* \*

Papilaria wskazującego palca spokojnie przylgnęły do chłodnego, metalowego cyngła ASG. Luneta umieszczona w jaskółczym ogonie pozwoliła wyczekać na odpowiedni moment. Kiedy tylko w kadrze pojawił się ruch, nastąpił wydech, wdech zaś poprzedził wymierzony skurcz palca. Huk wystrzału przeszył bębniaki uszu, pozostawiając po sobie niemiłosierny pisk. Kula opuściła lufę z niedostrzegalną dla ludzkiego oka prędkością. Jedyne śladem jej obecności był unoszący się przez ułamek sekundy, lekko wirujący i ledwie dostrzegalny dymek. Pocisk przeszywał kolejne metry, zostawiając za sobą spokojną doczesność w trzydziestotrzynabojowym magazynku. Jego zadaniem było zatrzymanie ruchu, który za sprawą lunety zaistniał w oku patrzącego. Sześciomilimetrowy nabój, będąc u końca swej podróży, z całym impetem wbił się w czaszkę celu, pozostawiając po sobie jedynie smutny, czerniejący wlot i zmasakrowany, budzący obrzydzenie wylot. Ruch ustał. Pocisk spełnił swoje zadanie. Wdech. Kolba wstał z ziemi, zarzucił Dragunova na plecy i zniknął w pobliskich ruinach.

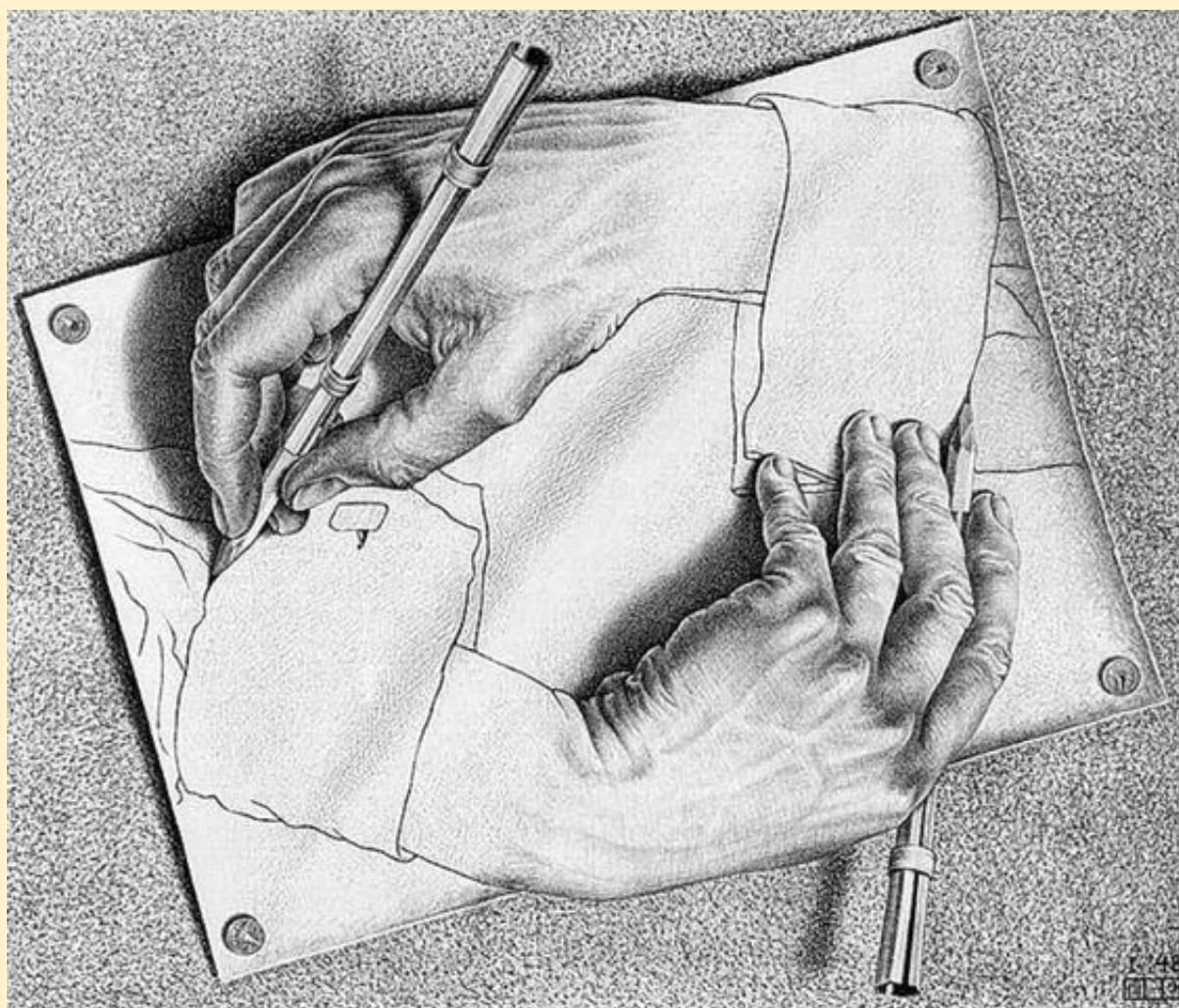
C.D.N.



Otto Rudolf Schatz, *Häuser*, (1939)



# ESEJ



Maurits Cornelis Escher, *Tekenende handen* (1948)

Patrycja Pankau

## Jesteśmy świadkami objawienia Czterdzieści i Cztery. *Dziady* a Ogólnopolski Strajk Kobiet



Podwojone logo  
Ogólnopolskiego Strajku Kobiet

Kiedy 30 października 2020 roku obserwowałam największą manifestację Ogólnopolskiego Strajku Kobiet „Wszyscy na Warszawę”, w której uczestniczyło ponad 150 tysięcy osób, było dla mnie oczywiste, że właśnie dochodzi do wydarzenia, które na długo zapisze się na kartach polskiej historii. Jednocześnie nie mogłam się pozbyć wrażenia, że tak ogromna mobilizacja narodu spowita jest aurą jakiegoś mistycyzmu. Dwie błyskawice (co prawda symbolem strajku jest jedna błyskawica, ale jedno z głównych haseł brzmi „Nigdy nie będziesz szła sama”, więc nic nie stoi na przeszkodzie do jej pomnożenia), układające się w liczbę 44, zainspirowały mnie do odświeżenia lektury, której, nie doceniwszy w czasach licealnych, teraz przypisałam zupełnie nowe, wręcz aktualne znaczenie. Przeanalizowałam część III *Dziadów* Adama Mickiewicza. I zrozumiałam, że wieszcz, nawiedzony nagłym przyływem nadprzyrodzonego natchnienia, pisał o nas.

### *DZLADY*, CZĘŚĆ III – ZWIASTUN 30 PAŹDZIERNIKA 2020?

Przede wszystkim zaintrygowało mnie, dlaczego Mickiewicz nazwał wskrzesiciela narodu mianem „czterdzieści i cztery”, a nie „czterdzieści cztery”. Daje to dwie liczby (40 i 4), a nie jedną (44).

Dozłam do wniosku, że datę największej demonstracji Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, przeprowadzonej w Warszawie 30.10.2020, można utożsamić z „40 i 4” na podstawie następujących działań matematycznych:



$$30+10=40 \quad \text{i} \quad 2+0+2+0=4$$

lub

$$20+20=40 \quad \text{i} \quad 3+0+1+0=4$$

W obu wariantach sumowania cyfr składających się na datę 30.10.2020 wychodzi „40 i 4”.

Ponadto, kilka fragmentów piątej sceny III części *Dziadów* zdaje się pasować do wydarzeń z 30 października 2020:

Tyran wstał – Herod! – Panie, cała Polska młoda  
Wydana w ręce Heroda.

– Demonstrujący to w większości młodzi ludzie, to przede wszystkim oni będą cierpieć z powodu restrykcyjnego prawa aborcyjnego. Słyszając „Tyran wstał” – trudno oprzeć się wrażeniu, że mowa o znanym wszystkim polityku, który, choć zazwyczaj stroni od aktywności publicznej, nagle niespodziewanie przemówił do obywateli, wygłaszając orędzie.

Co widzę? - długie, białe, dróg krzyżowych biegi

– Słowa powyższe można zinterpretować jako opis manifestacji pieszych, odbywających się codziennie w ponad czterystu polskich miejscowościach.

Patrz! po drogach leci  
Tłum wozów – jako chmury wiatrami pędzone,  
Wszystkie tam w jedną stronę

– Tu z kolei mowa o strajkach samochodowych, odbywających się równolegle ze strajkami pieszymi. Tłum wozów może symbolizować korek samochodowy, a pędzenie w jedną stronę niewątpliwie oznacza wspólny cel.

Patrz! – ha! – to dziecię uszło – rośnie – to obrońca!  
Wskrzesciel narodu,  
Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy,  
A imię jego będzie czterdzieści i cztery.



– Dziecię, które rośnie, interpretuję symbolicznie. Są nim wszyscy demonstrujący Polacy. Dziecko rośnie, ponieważ grupa protestujących wciąż się powiększa – szczególnie, że 30 października do Warszawy przyjechali demonstranci z innych miast, aby było ich jak najwięcej. Słowa „Krew jego dawne bohaterzy” – przypomina, że jesteśmy jednym narodem o wspólnej historii, nasi przodkowie walczyli w powstaniach i wojnach po tej samej stronie, w szkole czytaliśmy te same lektury – a w kanonie lektur niezwykle ważny jest polski romantyzm. I, jak widać, wszystkie te czynniki wywarły na nas znaczący wpływ, bowiem romantyzm i mesjanizm w naszym narodzie jest zauważalny nawet współcześnie, czego dowodem są obecne strajki.

Panie! czy przyjscia jego nie raczysz przyśpieszyć?

Lud mój pocieszyć? –

Nie! lud wycierpi.

– Wskrziesiciel przychodzi dopiero w 2020 roku, od napisania tej części *Dziadów* (rok 1832) minęło aż 188 lat cierpienia narodu polskiego.

„Na trybunał!” – Tam zgraja niewinnego wciąga.

Na trybunale gęby, bez serc, bez rąk; sędzie –

To jego sędzie!

– Wspomnienie przez Mickiewicza trybunału wydaje się bardzo intrygujące w kontekście ostatniego wyroku, który przecież został wydany przez Trybunał Konstytucyjny. Ponadto, według wizji poety, sędziowie wydający wyrok nie mają serc, a zatem ich wyrok jest nieludzki. Nie mają też rąk, co można interpretować zgodnie z obserwacjami strajkujących, wskazującymi na to, że Trybunał nie jest organem niezależnym, a jego rękami steruje ktoś inny – polityk.

Krzyczą: „Gal, Gal sędzić będzie!”

Gal w nim winy nie znalazł i – umywa ręce,

– Siedziby organów UE znajdują się w Galii. Parlament Europejski zapowiedział już rezolucję przeciwko decyzji Trybunału Konstytucyjnego, natomiast Komisja Europejska „umywa ręce” (według rzecznika KE „Unia Europejska zgodnie z traktatami nie ma żadnych uprawnień co do przepisów o aborcji. Prawodawstwo w tej dziedzinie należy do krajów UE”).

A króle krzyczą: „Potęp i wydaj go męce;  
Krew jego spadnie na nas i na syny nasze;  
Krzyżuj syna Maryi, wypuść Barabasze”

– Kobiety w Polsce są potępiane, a rodzenie martwego dziecka jest męką. Motyw krzyżowania jest niezwykle intrygujący, jeśli weźmie się pod uwagę strajkowe plakaty przedstawiające ukrzyżowaną ciężarną kobietę. „Barabasze” mogą być interpretowani jako neonaziści, którzy, o zgrozo, nazywają siebie „obrońcami kościołów”.

Podnożem jego są trzy stolice

– Demonstracje 30 października 2020 odbywały się równocześnie w trzech miejscach Warszawy.

Nad ludy i nad króle podniesiony;  
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony;  
A życie jego - trud trudów,  
A tytuł jego - lud ludów;

– Pandemia rzuca zupełnie nowe światło na powyższy cytat.

30 października 2020 ogłoszono 21897 nowych przypadków zakażenia koronawirusem, a zatem otwarto trzecią dziesiątkę tysięcy zakażeń. Trzy korony interpretuję właśnie jako trzy dziesiątki tysięcy zakażeń covid-19.

Cytat „Sam bez korony” wskazuje, że osoby protestujące czuły się zdrowo, więc najprawdopodobniej nie miały koronawirusa (nie zaobserwowano również związku pomiędzy strajkami a ewentualnym wzrostem zakażeń). „Trud trudów „ zaś to niewątpliwie określenie podsumowujące codzienne życie kobiet i wszystkich innych sfrustrowanych protestujących.

Usnął – Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę

– Skoro z ciała wybawcy możliwe jest dobytecie dziecka, oznacza to, że jest nim kobieta. Ponadto to właśnie dosłownie o „wyjmowanie dziecka z ciała” toczą się obecne protesty.

Na postawie piątej sceny III części *Dziadów* można zatem wysnuć teorię (spiskową), wedle której wskrzeszenia narodu polskiego dokona symboliczna polska kobieta, na której mistyczne

członki składają się wszyscy ludzie demonstrujący w jej imieniu, zmobilizowani 30 października 2020. To właśnie im przysługuje miano „czterdzieści i cztery”.

#### ZAMKNIĘTE CMENTARZE A *DZŁADY* W CZASACH PANDEMII

W kontekście Mickiewiczowskiego dramatu wydaje się też niezmiernie ciekawe, że w roku 2020, z powodu pandemii, cmentarze były zamknięte w dniach 31 października – 2 listopada, a zatem miejsce chrześcijańskiej tradycji mogło zostać zajęte przez pogańskie Dziady. Przy tej okazji nie sposób nie wspomnieć o przedstawieniu, które odbyło się dzień po manifestacji opisanej w poprzedniej części tekstu.

Nocą z 31 października na 1 listopada 2020 roku, a zatem w noc Dziadów i podczas strajków, w oknach bloku mieszczącego się przy ulicy Mickiewicza (!) w Warszawie, grupa artystów wystawiła *Dziady* w reżyserii Oskara Sadowskiego. Przedstawienie obejmowało I i II część dramatu i nawiązywało do aktualnej sytuacji strajkowej. W spektaklu wzięło udział trzydziścioro aktorów, muzykę skomponował Baasch, który, wraz Ralphem Kamińskim, Michałem Szpakiem i Marią Sadowską, wykonał utwór „Moje ciało, mój wybór” , wpisany w kontekst II części *Dziadów*. Spektakl został obejrzany przez osoby spontanicznie zgromadzone pod blokiem (w liczbie ponad tysiąc osób), co stanowi aktywną odpowiedź na zawołanie ze sceny pierwszej: „Każda spieszcie do gromady! / Gromada niech się tu zbierze! / Oto obchodzimy Dziady!”.



Spektakl 31.10.2020 r.

Spektakl otwiera kolejne pole do interpretacji dzieła Mickiewicza. Przede wszystkim, twórcy umieścili poniższy cytat z II części *Dziadów* w aktualnym kontekście, niemal dosłownie inscenizując jego słowa:

Wszelki duch! jakaż potwora!  
Widzicie w oknie upiora?  
Jak kość na polu, wybladły;  
Patrzcie, patrzcie, jakie lice!  
W gębie dym i błyskawice

Inscenizując dosłownie, bowiem aktorzy występują w oknach przywołanych przez Mickiewicza. Ponadto, mają na twarzach namalowane czerwone błyskawice (symbole strajku) i za pomocą pirotechniki sprowadzają na okienną „scenę” dym. Ostatni wers przytoczonego powyżej fragmentu dzieła wieszczka został zatem urzeczywistniony.



Spektakl 31.10.2020 r.

Cytowany poniżej fragment części II *Dziadów* został przytoczony w formie piosenki (wykonanej przez Baascha, Ralpa Kamińskiego, Michała Szpaka i Marię Sadowską), w której „La la la” zostało zastąpione okrzykiem „Moje ciało to mój wybór!”:

Tu niegdyś, w wiosny poranki,  
Najpiękniejsza z tego siola  
Zosia, pasając baranki,  
Skacze i śpiewa wesola,  
~~Ła-ła-ła-ła~~ (Moje ciało to mój wybór!)  
Oleś za gołąbków parę  
Chciał raz pocałować w usta;  
Lecz i prośbę i ofiarę  
Wyśmiała dziewczyna pusta.  
~~Ła-ła-ła-ła~~ (Moje ciało to mój wybór!)  
Józio dał wstążkę pasterce,  
Antoś oddał swoje serce;  
Lecz i z Józia i z Antosia  
Śmieje się pierzchliwa Zosia.  
~~Ła-ła-ła-ła!~~ (Moje ciało to mój wybór!)

Fragmencem II części *Dziadów*, który również można odnieść do obecnej sytuacji, jest wyznanie Dziewczyny:

Przędę sobie z tęczy rąbki,  
Z przezroczystych łez poranku  
Tworzę motylki, gołąbki.  
[...]  
Przykro mi, że bez ustanku  
Wiatr mną jak piórkiem pomiata.

– Myślę, że wspomniane przez bohaterkę Mickiewicza „przędzenie z tęczy”, a zatem czynność odnosząca się bezpośrednio do tekstyliów, można porównać do szycia tęczyowych flag, będących symbolem dumy i ruchu na rzecz równouprawnienia osób LGBT. Co prawda flaga nie pojawia się jako rekwizyt w tym momencie przedstawienia, jednak aktorzy pokazują ją zaraz po zakończeniu inscenizacji *Dziadów*.





Spektakl 31.10.2020.

Jest to część performansu, w której aktorzy śpiewają utwory strajkowe, powstałe już w XXI wieku i krzyczą w stronę osób wskazanych jako odpowiedzialne za zaostrzenie prawa aborcyjnego zwrot „Akysz!” zaczerpnięty z *Dziadów* (i w tym kontekście stanowi łagodniejszą wersję strajkowego okrzyku „W\*\*\*\*\*ć!”).

Z kolei wspomniane przez Mickiewiczowską Dziewczynę „pomiatanie przez wiatr”, choć w dramacie odnosi się do zawieszenia jej ducha pomiędzy światami, w obecnej sytuacji można potraktować jako symbol sytuacji strajkujących Polaków, którzy czują się dosłownie „pomiatani” przez organy państwowe.

Na zakończenie przywołam jeszcze jeden fragment części II „Dziadów”, tym razem replikę Guślarza:

Lecz nie płacz, piękna dziewico!  
Oto przed mój żrzenicą  
Odkryto przyszłe wyroki:  
Jeszcze musisz sama jedna  
Latać z wiatrem przez dwa roki,  
A potem staniesz za niebieskim progiem.

Wspomniana przez Guślarza dusza dziewczyny zazna spokoju po dwóch latach. Czy dwa lata ustalone przez Mickiewicza mogą tak naprawdę oznaczać dwa wieki zmagania o spokój polskiej kobiety (i każdego podzielającego strajkowe postulaty obywatela)?

Jak głosi historia, Adam Mickiewicz sam ogłosił się wieszczem narodowym (a więc osobą przepowiadającą przyszłość dla narodu) w 1842 roku podczas zebrania członków Towarzystwa Literackiego Polskiego w Paryżu. *Dziady* napisał pod wpływem mistycznego natchnienia, tworząc tym samym przepowiednię „Czterdzieści i cztery”, której następnie sam nie potrafił wytłumaczyć. Czy zatem możemy stwierdzić, że właśnie staliśmy się świadkami (i uczestnikami) nadejścia „Czterdzieści i cztery”, którym jest symboliczna polska kobieta, objawiająca się we wszystkich strajkujących Polakach?

[Ilustracje w tekście pochodzą od Autorki – przyp. red.]



Jacek Malczewski, *Śmierć Ellenai po zażyciu ruty* (1883)

Edmund Strzelecki

## Być może kryzys, być może humanistyki

Kryzys humanistyki jako nauki zdaje się być kataklizmem okresowym, cyklicznym i powtarzalnym. Ziemia ma swoje wielkie wymierania, a uniwersytet tak rozliczne już końce. Gdybym kiedykolwiek miał prowadzić jakąś rubrykę w gazecie, gazecie – dodajmy – związanej z życiem akademickim, miałaby tytuł „Dzwon na trwogę”. Obwieszczałbym tam co i raz jakiś niepokój i wzywał do działań. Skąpych zapewne w naszej rzeczywistości i znikomych, ale to być może dlatego, że ten uroczysty, jednostajny dźwięk od dawna nie przeszywa powietrza swą powagą, stał się raczej „szumem tła” w rozpędzonych dniach naszej codzienności. Co istotne jednak, serce dzwonu – w przeciwieństwie do mojego – nie zamiera co rusz, tylko dzielnie obija się o zimną pustkę brązu, wieszcząc światu kolejne katastrofy i niebezpieczeństwa. Z pewnością jest to serce odważne, które ostrzega i woła, by schronić się przed nadchodzącą zawieruchą, by zebrać zapasy, by wystawić straże... Ale kto w dzisiejszych czasach wystawia straże? Kto dziś w ogóle słucha dzwonu?

Zawsze lubiłem ten dźwięk. W niektórych wykonaniach *Uwertury 1812* Czajkowskiego, jest taki moment, w którym następuje przejście: rozpoczyna je bicie dzwonów i chór śpiewający „Spasi, Hospodī, ludi Twoja”. Głosy łączą się z donośnie rozbrzmiewającymi uderzeniami z cerkiewnych wież, a gdzieś w oddali wtórują im działa.

Tak sobie zawsze wyobrażałem koniec. I takiego końca z chęcią mógłbym nie przeżyć. Ostatnie chwile wśród tej uroczystej harmonii. Niestety – parafrazując Eliota – nie hukiem, a skomlaniem kończy się świat. I to jest w tym wszystkim najsmutniejsze

A mam wrażenie, że właśnie to dzieje się obecnie w naukach humanistycznych. Po raz kolejny dajemy się zwieść – przynajmniej w moim odczuciu – uludzie empiryzmu, scjentyzmu i klasyfikacji. Wymyślaniu kolejnych metod, jak badać, jak sprawdzać, jak przenieść zdobycze nauk – wcale nie pokrewnych – na nasz własny grunt. I grunt wcale nie musi być traktowany metaforycznie – wszak Ewa Domańska na konferencji „Nekroprzemoc? Polityka, kultura i umarli” w roku 2019 w swoim wystąpieniu wykorzystywała elementy gleboznawstwa.

Nowe pomysły metodologiczne z pewnością pozwalają odkryć wiele, przynoszą nowe spojrzenie, interpretacyjne szanse, wyciągają na światło dzienne elementy, których do tej pory zapewne byśmy nie zanalizowali. Nie występuję tu – broń Boże – jako krytyk metodologii czy teorii w ogóle, wydaje mi się jednak, że czasem ulegamy pewnemu niebezpieczeństwu. W pogoni za nową teorią tracimy to, co badamy. Może czasem nie warto silić się na aranżowane małżeństwa geometrii fraktalnej z gotycką powieścią. Zbiór Mandelbrota świetnie imituje przestrzeń mrocznych

zameczków – to prawda, ale czy w tej przestrzeni nie jest ważniejsza funkcja, jaką pełni w budowaniu suspense, jej sposób oddziaływania na odbiorcę, a nie odległa, matematyczna konotacja?

Być może w poszukiwaniu nowych metod badania, w ferworze codziennie powstających zwrotów, oddalamy się od tego, co stanowi serce humanistyki bijące głośno – od człowieka w jego dziele. Być może rację miał George Steiner, pytając o rzeczywistą obecność tego, co humanistyka bada. Może cenniejsze od uświęconych tradycją głosów badaczy jest jednostkowe doświadczenie, powtarzające zapewne dawno już ustalone prawdy, ale właśnie niezapośredniczone, bezpośrednie – być może właśnie dlatego te uświęcone głosy ucieleśniały się w esejach, a nie w opatrzonych milionami przypisów artykułach.

Niestety w świecie szalki i miary, postępy naukowe humanistów muszą być mierzone jasnymi i ściśle określonymi kategoriami. Jest to oczywiście zrozumiałe – tylko jakie jasne i ściśle określone kategorie będą zasadne przy weryfikacji poczynań ludzkiego ducha? Czy ilość artykułów naukowych w czasopismach wysoko punktowanych, albo ilość cytowań, która potwierdza słuszność metody, są odpowiednimi parametrami? Tego nie wiem. Wiem natomiast, że spośród różnych opracowań dotyczących traumy, najbardziej przemówiło do mnie to, prezentowane w *Empathic Vision* przez Jill Bennett, które jest próbą stworzenia teorii opartej przede wszystkim na praktyce, na uczestnictwie.

Być może z każdym kolejnym krokiem zbliżam się w swojej pracy do krytyki literackiej, odchodząc tym samym od teorii literatury, być może w ogóle od naukowości. Choć zapewne nie wróży mi to akademickiej kariery, istotniejsze wydaje mi się zajęcie miejsca nie w szkole, w tradycji badawczej, a we wspólnocie doświadczenia, w której dzieła rezonują ze sobą, a nie z dalszymi i bliższymi teoriami.

Być może kryzys w humanistyce da się zażegnać, gdybyśmy przyznali, że dwa plus dwa wcale nie musi się równać cztery, że fundamentem tej dziedziny są wątpliwości i jednostkowe interpretacje, a nie niezbita, empirycznie weryfikowalna dowody. Nie zamierzam wywarzać otwartych drzwi i powtarzać oczywistości, które chyba najmocniej wybrzmiały w dobie przelomu antypozytywistycznego. Po prostu lwią – być może – część naszego własnego kryzysu to prezent od nas dla nas. Być może to my sami nie chcemy się zgodzić na taki wygląd naszej dyscypliny. Być może – w końcu – to humaniści są w kryzysie, nie humanistyka.



Maurits Cornelis  
Escher,  
*Lucht en water I* (1938)

[trzykrotnie 😊]





# INTYMISTYKA



Richard Estes, *Horn and Hardart Automat* (1967)



Magdalena Cyza

## ***Ars bene moriendi*: umieranie w święta nie jest trendy**

Ludzie ostatnio mnie pytają: jak to możliwe, że nie dają ci już chemii? W rzeczywistości chcą wiedzieć, czy może spotkać ich to samo. Po opowiedzeniu skrótowo całej historii uciezek od rzeczywistości nie potrafią tego w żaden racjonalny sposób skomentować. Nie zdawałam sobie sprawy, że można usłyszeć gorsze słowa od litościwego „Przykro mi”. Dopiero rak mnie nauczył, że ludzie mówią to, co im ślina na język przyniesie, gdy czują się zakłopotani rozmową i wiedzą, że nie ma racjonalnych słów, bo cała sytuacja jest rodem z *Procesu* Kafki.

Jako że dowiedziałam się o moim umieraniu dzień przed Wigilią, ludzie nie szczędzili sobie wymyślnej riposty, podobno bardzo w moim stylu, która brzmiała jak niemożliwa prośba do chińskiego sklepu wysyłkowego o dobrej jakości ubrania – „Ej stara, ale nie psuj świąt i sylwestra, i nie umieraj w te dni”. Nie mogłam odpowiedzieć niczego innego niż ciche „Ok”.

Od dziecka zastanawia mnie motyw umierania w różne święta, dlaczego ludzie się tak tego boją? Co to za różnica, czy zakończę swój żywot w Wielkanoc, czy po prostu w dzień powszedni? Nie zrozumcie mnie źle, ale jeśli przez to, że ktoś umarł, wam gorzej smakuje kielbasa, to nie rozumiecie istoty umierania. Postaram się wam trochę o tym opowiedzieć, choć moje zachowania kompletnie czasem nie są trendy.

Od pamiętnej daty 23 XII 2020 r., minęło już kilka tygodni, słońce nie przestało świecić, obrzydliwe nutridrinki wciąż smakują jak rozgotowany budyń i to w dodatku bez laktozy, wegański, a co gorsza z tapioki. Każdego dnia czeka na mnie dzień dobry na Messengerze, które nic kompletnie z przywitaniem wspólnego nie ma. Jest to po prostu test, czy żyję. Jeśli nie odpisywałabym przez kilka godzin, to oznaka, że trzeba do mnie dzwonić. Alarm zostaje ogłoszony, gdy nie obiorę tego telefonu.

Zalóżmy jednak, że wstałam, na wiadomość z grzeczności odpisałam, oczywiście ozdabiając ją pustą emotką. Przemierzam drogę z sypialni do łazienki, zaczynam myć zęby, oporządzać siebie, chociaż nie mam zamiaru nawet wyjść przed blok. Potem śniadanie, moje menu jest tak samo nudne, jak opisy przyrody w Nad Niemnem. Owsianka... owsianka z wodą, jedzona bez żadnych dodatków. Do tego herbata, która mocna być nie może, więc jest w rezultacie tak cienka, jak blade zabarwiona woda. Czynność z owsianką powtarzam trzy razy, nic innego mój żołądek nie przyjmuje.

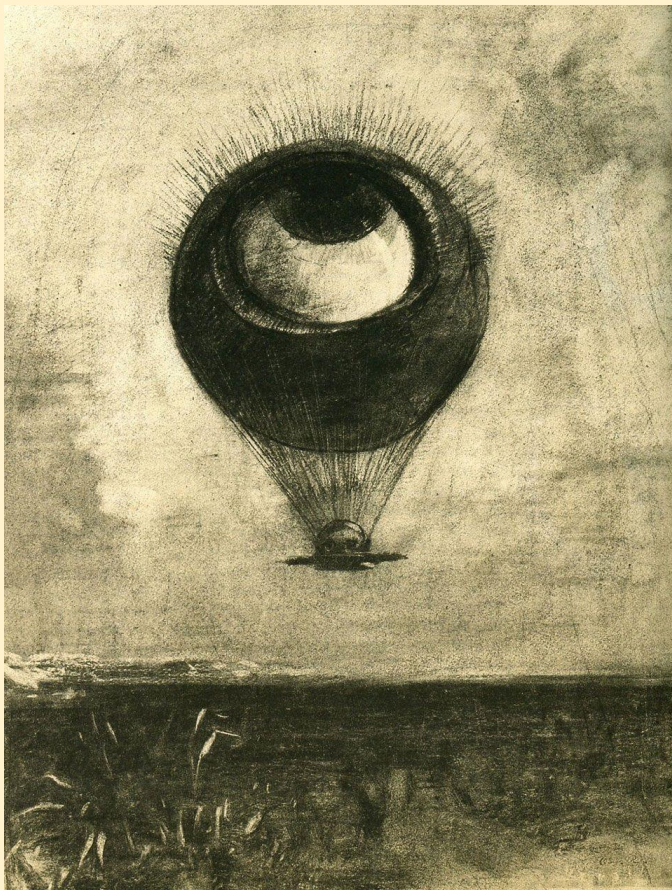
Po wykonaniu szeregu monotonna obowiązków przychodzi czas wolny, czyli cały dzień. Prawdopodobnie nie różni się on od niedzielnych popołudni wszystkich ludzi, po prostu

przeoglądam Internet, najczęściej zenującego TikToka, który jest jak disco polo – niby nikt nie zna, a jednak każdy z ochotą tańczy. Odpisuję na wszelkie wiadomości, udając emocje, najlepsze dla mnie jest zachowywanie grobowej miny przy wystukiwaniu na klawiaturze onomatopei hahahahaha.

W ciągu tego, jakże ekscytującego, dnia są też nietypowe przerywniki. Nie będę opowiadała ze szczegółami jakie, bo mogą to czytać osoby o słabych nerwach, a ja też nie chcę pokazywać wam raka jako katuszy. Napiszę tylko, że czasem zamykam się w łazience i tak już w niej pozostaje na godzin kilka, zwinięta w kłębek na podłodze. Nawet dywanik już zrolowałam i schowałam do szafy, bo zaczęłam robić mu konkurencję.

W związku z powyższym pragnę was uspokoić – nie umrę w święta ani w wasze urodziny, w święto polskiej niepodległości, czy narodowe święto jedzenia pizzy. Ja już umarłam, tylko wy tego nie dostrzegacie. Umarłam 23 XII 2020 r, Zgodnie z kalendarzem i kopalnią wiedzy, którą jest Wikipedia, obchodzimy tego dnia Święto Snowboardu, w Egipcie obchodzą dzień Zwycięstwa, a solenizantką jest m.in. Wiktoria.

Pragnę bardzo przeprosić wszystkich snowboardzistów i wszystkie Wiktorie, że miałam czelność umrzeć w ich święto. A morał z tej historii jest taki, że każdy dzień jest czymś świętem, więc żadne z nas, kochani, akurat w tej dziedzinie nie będzie trendy.



Odilon Redon, *A Edgar Poe. planche I. L'oeil, comme un ballon bizarre se dirige vers l'infini* (1882)

\* \* \*

Kolejny raz stałam na dworcu czekając na pociąg, zastanawiając się czy rzeczywiście czekam na pociąg czy właśnie uciekam przed rzeczywistością, która mnie przygniata. Czy uciekam przed nim, przed nimi, a może nawet przed samą sobą?

Spoglądałam dość bezczelnie na ludzi, jeśli można tak w ogóle spoglądać, myśląc o tym, gdzie teraz jada, w jakim momencie życia się znajdują. Może są w takiej samej beznadziejnej sytuacji co ja? Może wracają do domu? Może właśnie opuszczają rodzinne gniazdo?

Moją uwagę przykuła kobieta koło czterdziestki tuląca się do trochę młodszego mężczyzny. W trakcie ich miłosnych wyznań nieustannie dzwonił jej telefon, który za każdym razem ignorowała, a on prostował się, gdy tylko słyszał ten drażniący dźwięk. Zachowywali się jak para nastolatków, którym na chwilę udało się uciec przed spojrzeniami rodziców wchodzących nieustannie do pokoju zapominając przy tym zapukać. Kto tego nie przeżył w młodości, niech pierwszy rzuci kamieniem. Rozmyty wzrok, chęć ciągłego dotyku drugiej osoby, uśmiech, który mówi więcej niż słowa. Było to tak słodkie, że postanowiłam dodać trochę goryczy, wymyślając w głowie wizję tego, że jest to jej kochanek, a ją za kilka godzin odbierze nic niepodejrzewający mąż, trzymający za rękę ich dziewięcioletnie dziecko. Pewnie więcej potomstwa nie mają, w końcu takie czasy. Jeśli masz więcej, to oznacza, że chcesz nawkładać sobie tych pięć stówek do kieszeni, jakby była to kwota, która zmieni twój status społeczny. Chociaż jeszcze zawsze łagodnie patrzy się na tzw. parki czyli idealną dwójkę dzieci, najlepiej dziewczynkę i chłopca, wtedy każdy mówi, że to słodkie. No i pasuje ten obraz przy tworzeniu wizji wspaniałej, kochającej się rodziny na Instagramie.

Nie wiem, czy to przez myśl o dzieciach i kobietach w ciąży, ale mój brzuch postanowił odezwać się burcząc tak głośno, że to ja stałam przedmiotem obserwacji przez wszystkich dookoła. Mam w torbie dwie kanapki ale zapomniałam, że przez tę cholerną maseczkę nic nie można jeść, dlatego zadowolilam się lykiem całkiem smacznego soku wieloowocowego. Na koniec tej ucztę dopchałam się miętową gumą, żeby chociaż na chwilę oszukać swój żołądek.

Spojrzałam na zegarek, zostało jeszcze dziesięć minut do mojego pociągu więc podniosłam wzrok w poszukiwaniu kolejnej ofiary, którą w myślach obgadałam sama ze sobą, jakbym była swoją

najlepszą przyjaciółką. Długo nie kazał mi na siebie czekać. Młody chłopak, jakieś siedemnaście lat, wykrzykuje coś przez telefon. Z tego co wynika z rozmowy, klóci się ze swoją dziewczyną.

– Myślisz, że jestem głupi?! Myślisz, że nie wiem, że coś cię z nim łączy?

Zapada chwila ciszy, najwyraźniej dziewczyna tłumaczy mu to, czego wytłumaczyć się już nie da. Ciszę te przerywają jego kolejne krzyki do telefonu.

– Przestań! Mam uwierzyć, że robicie tylko wspólnie projekt do szkoły?

O zgrozo. Zapomniałam, że to ten wiek, w którym siedzenie z kimś w ławce albo wybieranie kogoś w pierwszej kolejności do składu drużyny na WF-ie oznaczało coś więcej niż to, co oznaczało. Nawet jeśli rzeczywiście go zdradziła, to przecież on jest na starcie swoich podbojów miłosnych i za kilka dni zakocha się tak samo mocno w Kasi z roku wyżej. Jednak teraz, kiedy patrzę na niego i na to jak się trzęsie, i to przeżywa, jest mi go nawet żal. W końcu mam w sobie trochę empatii i nie zapomniałam, jak to jest, gdy ma się te naście lat, choć dawno ten czas mam za sobą. Jednak chyba z zawodów miłosnych się nie wyrasta. Przynajmniej ja nie wyrastam, ale wolę zagłuszyć myślenie o mojej relacji myślami zupełnie niepotrzebnymi.

Tak właśnie obróciłam się i spojrzalam na dwie świergoczące dziewczyny koło trzydziestki. Wyglądają na przyjaciółki, które nie widziały się jakiś czas i teraz nie mogą się sobą nacieszyć, opowiadając jedna przez drugą wszystkie „najważniejsze smaczki” swojego życia, w których nie mogły uczestniczyć. Mówią tak dużo i tak szybko, śmiejąc się przy tym, że słowa stają się dla mnie mało czytelne i zrozumiałe. Mam wrażenie, że tylko one same się rozumieją. Cudownie jest mieć obok siebie kogoś, kto rozumie cię, jeśli nikt inny nie wie nawet, o czym mówisz. Zazdroszczę im tej relacji i przyjaźni, ale tak zupełnie pozytywnie, bez cienia złych intencji.

No, nareszcie słyszę panią zapowiadającą pociąg, na który czekam. Swoją drogą (wiem, że nie jest to nowe spostrzeżenie, ale...) czy one serio muszą tak niezrozumiale mówić? Czy ktoś, kto mówi mało wyraźnie albo sepleni, z marszu dostaje te robotę?

– Słyszę, że mam do czynienia ze specjalistą od języka niezrozumiałego. Wspaniale! Takich ludzi nam trzeba. Witamy na pokładzie! Zaczyna pani od jutra.

Może przesadzam, choć patrząc na to, jak w trakcie, kiedy głośnik się włącza i pani zaczyna zapowiadać, ludzie milkną i skupiają się jak przy rozwiązywaniu krzyżówki, mam wrażenie, że nie jestem odosobniona w tym myśleniu. Zaczęło się, pociąg wjeżdża na stację a podróżni zaczynają stepować w miejscu wypatrując swojego wagonu. Patrząc na to, jak później biegną, gdy skład się zatrzymuje, mam wrażenie, że dla niektórych bycie pierwszym przy drzwiach jest rodzajem prestiżowej nagrody.



Jako że nie czuję potrzeby wygrania tych zawodów, stoję ostatnia w kolejce do wejścia. No dobrze, będę szczerą, chętnie stałabym jako pierwsza, ale miałam za ciężką walizkę, która gdy przyspieszałam kroku, wyrwała mi rękę z barku.

Tak czy inaczej, znalazłam się na szarym końcu, a przede mną stała wspomniana kobieta z domniemanym kochankiem. Oczywiście, nie szczędzili sobie czułości w tych ostatnich chwilach spędzanych razem.

Kiedy precyzyjnie się jakimś cudem na swoje miejsce, okazało się, że moim towarzyszem podróży będzie pan w wieku mojego taty, który, gdy się z nim grzecznościowo przywitałam, nie raczył odpowiedzieć, zdołał tylko lekko podnieść oczy zza książki i mlasnąć. Taki rodzaj komunikatywności nawet mnie ucieszył, ponieważ nie miałam ochoty na kurtuazyjne podróżnicze rozmowy z ludźmi, którzy za kilka godzin wyparują z mojego życia.

Moja radość nie trwała jednak zbyt długo, ponieważ okazało się, że do naszej chwilowo wspólnej celi przyszedł jeszcze nastolatek ze złamanym chwilę temu sercem. W trakcie kiedy on ścigał kurtkę, ja starałam się wrzucić walizkę do góry, nie depcząc przy tym starszego pana, który swoimi westchnięciami pokazywał, jak bardzo mi kibicuje. Dopiero młody chłopak postanowił mi zaproponować pomoc, którą, nie ukrywam, chętnie przyjął. Nie należę do tego typu kobiet, które obraża to, że mężczyzna chce im pomóc, wręcz przeciwnie, zawsze wywołuje to mój szczerzy uśmiech.

Kiedy już wszyscy usiedliśmy na swoich miejscach, nastąpiła błoga cisza. Jak się okazało, piękne kilka minut milczenia, ponieważ telefon małolata zaczął raz po raz wydobywać z siebie dźwięki świadczące o przychodzących notorycznie wiadomościach. Widocznie zamienił klótnię z dziewczyną na wersję pisaną. Zaczął się kręcić, prychać do telefonu w trakcie pisania i machać nogą, która co jakiś czas wbijała się w moją łydkę. Jechaliśmy w ten sposób około godziny, po tym czasie zaczął się uspokajać, zerkał nawet przez okno tak jakby w lekkiej zadumie. Nagle wstał, zrobił wielki krok przez moje nogi i wyszedł na korytarz z telefonem przy uchu. Nie zamknął jednak za sobą drzwi, co, nie będę ukrywać, mnie ucieszyło, ponieważ liczyłam na dalszą część klótni, która urozmaiciłaby mi drogę.

Jako że siedziałam przy wyjściu, oparłam głowę o szybę w sposób, który wskazywałby na chęć ucięcia sobie krótkiej drzemki. Ku swemu zaskoczeniu usłyszałam, jak chłopak przyjemnym i spokojnym głosem mówi do telefonu.

– Kochanie, chciałem cię przeprosić. Od momentu, w którym powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży, nie mogę zebrać myśli. Staram się to sobie poukladać, ale jak słyszę, że widzisz się z innym facetem... wariuję. Wiem, że musicie zrobić projekt, i wiem, jak bardzo chcesz pokazać rodzicom, że dasz radę skończyć szkołę. Chcę ci powiedzieć, że ogromnie cię kocham i, że nie jesteś w tym



sama. Nie mogę się doczekać, aż cię zobaczę. Kończę, bo coś mi przerywa zasięg, ale pamiętaj, że jestem.

Rozłączył się, zrobił jeszcze raz wielki krok przez moje nogi i delikatnie uśmiechnięty usiadł na swoim miejscu. Przyznam, że zrobiło mi się głupio. Okazuje się, że nie każdy nastolatek to rozhisteryzowane dziecko, które nie ma pojęcia o problemach dorosłego człowieka. Może weszli w tą dorosłość zbyt szybko, a może uniknęli tym sposobem innych pułapek młodości? Życie bywa przecież tak bardzo zaskakujące, czasem dopiero z perspektywy czasu coś, co było dla nas dramatem, okazuje się ogromnym szczęściem. Może nie jest to droga, którą sami byśmy wybrali, ale jest to droga, na której powinniśmy być, by docelowo odnaleźć szczęście.

Te i inne temu podobne rozważania zajęły mi kolejne godziny mojej drogi. Z tych myśli wyrwał mnie dopiero kolejny przystanek, kiedy to zobaczyłam wysiadającą „pannę świergotkę” rzucającą się na peronie w objęcia dziewczynce na wózku inwalidzkim, za którym stał zadowolony mężczyzna. Uśmiechała się do niej tak szeroko i tak bardzo prawdziwie, że oczy mi zwilgły. Coś w tym chyba jest, że ci którzy najczęściej się uśmiechają i zarażają tym uśmiechem innych, dźwigają na swoich barkach wiele ciężkich doświadczeń, może dlatego tak bardzo doceniają te małe codzienne szczęścia?

Następny przystanek był mój, dlatego zebrałam się, pożegnałam ze współpasażerami uśmiechem i stanęłam na korytarzu. Stałam jednak w bezpiecznym miejscu, tak żebym to nie ja musiała otwierać te okropne drzwi, których nie da się rozewrzeć bez siły Herkulesa. Ku mojej radości przede mną stanęła zadurzona w swym kochanku z peronu kobieta. Przez chwilę zastanawiałam się, czy podola tym nieszczęsnym drzwiom, jednak okazało się, że siła miłości potrafi poradzić sobie nawet z tym.

Jakimś cudem udało mi się zejść z walizką po malutkich schodkach, przeciskając się przez gąszcz ludzi starających się wejść do pociągu. Kiedy się obróciłam, żeby znaleźć odpowiednie wyjście z peronu, zauważyłam „zakochaną”. Nie przyszedł po nią jej stęskniony mąż z dzieckiem, a starsza schorowana kobieta, która okazała się jej matką.

– Mamo, tak bardzo się cieszę, że cię widzę, ale niepotrzebnie fatygowałaś się na peron, trzeba było poczekać na mnie w domu.

– Aaa, nie mogłam już wysiedzieć w domu, więc wyszłam tak, żeby spokojnie sobie spacerkiem tu po was przyjść. No ale właśnie, gdzie twój mąż Marek?

– Wiesz, nie mógł przyjechać, choć bardzo chciał. Roboty ma dużo i musiał zostać, ale odprowadził mnie na pociąg i kazał mamę uściskać.

Znowu pudło. Myślałam, że znam się na ludziach i potrafię dobrze wydedukować, jak wygląda ich życie, spojrzawszy na nich przez kilka chwil. Zdałam sobie sprawę, jak często nasza

ocena bywa krzywdząca, i jak często zapominamy, rozgoryczeni naszymi własnymi problemami, że każdy dźwiga swoje trudności, z którymi mierzy się każdego dnia. Myślałam, że dzisiejsza podróż jest moją ucieczką, a okazała się lekcją. Moje problemy również nabrały innego wymiaru, bo przecież nie muszę mierzyć się z niezaplanowaną ciążą jako nastolatka, nieuleczalną chorobą córki czy schorowaną starszą matką. Poczułam chyba większe zrozumienie dla drugiego człowieka i co dziwne, ale mogę chyba tak powiedzieć, większą miłość. Jestem wdzięczna za moje życie i za każdą trudność, która sprawiła, że jestem tu gdzie jestem.



Paul Delvaux, *L'Age de fer* (1951)

## Arenika Kita

\* \* \*

Do mojej świadomości leniwie wdziera się światło. Wchodzi pod powieki i nie pozwala na dłuższe trwanie w błogim niebycie snu. Otwieram oczy, które zmęczone nocą toczą batalie z umysłem. Tym razem zwyciężam.

Ekspres wypływa z siebie czarną kawę. Włosy wiączę ciasno i zarzucam na ramiona bluzę podniesioną z podłogi. Tak oto siadam na kuchennym blacie, by, ryzykując spóźnienie, obserwować świat ludzi wydobytych z murów swoich szarych mieszkań. Wychodzą na ulicę jak co dzień. Tak samo zmęczeni. Tak samo anemiczni. Nic tu się nie zmienia. Starszy mężczyzna kroczy z liną w ręku. Zaraz przywiąże wiekowego fiata do balustrady. Powtarza ten rytuał wielokrotnie. No, chyba że akurat jest zbyt zimno na podróże.

Chciałabym mieć w mieszkaniu jedną rzecz, o którą troszczyć się równie mocno, ale nie mam – myślę bez żalu.

Lubię moje przemalowane na czerwono ściany, gablotę z książkami, biurko z antykwariatu i mrugająca żarówkę zielonej lampy, ale żadnej z nich nie przywiązuję do podłoża z lęku przed ich utratą lub naturalną śmiercią, którą zwykły umierać rzeczy. Nie martwi mnie, iż odejdą przede mną. Najważniejsze, że są tu teraz.

Z zamyślenia wyrывa mnie brzęczenie dzwonka. Spróbuję go zignorować. Jeszcze chwila i powinien przestać. Jeszcze tylko... Nie przestaje. Podnoszę się więc, by przywitać intruza. Niemożność sprawdzenia, kto dzwoni, sprawia, że wyklinam brak wizjera, bo problem z otwieraniem drzwi bez niego mam niemal. Za każdym razem ogarnia mnie uczucie, które mówi, iż po tej drugiej stronie stoję ja, a wcale siebie spotkać nie zamierzam. Przez dwadzieścia lat nie wymyśliłam bowiem, co tej „sobie” powinnam powiedzieć, więc się siebie boję najbardziej w świecie.

Tym razem jednak za metalową kurtyną zamków czeka na mnie postać okryta kilkoma warstwami swetrów, kurtek i skarpetek z czerwoną czapką naciągniętą na oczy. Wtacza się do środka bez słowa, otrzepując ze śniegu. Na powrót zamykam drzwi z grymasem na twarzy.

– Nie jesteś gotowa? – Pyta autentycznie zdziwiony przybysz.

Zapominanie o spotkaniach jest u mnie na porządku dziennym, a śnieżno-swetrowa kula imieniem Przemek wie o tym dobrze, bowiem znamy się od kilku lat i niemal codziennie czeka pod blokiem, aż rozprawię się z moją spóźnialską naturą.

– Właśnie myślałam o wyjściu. Miałam zakładać buty, gdy zapukałeś. – Wskazuję ręką na rozrzucone po korytarzu obuwie, nawet nie siląc się przy tym, by te słowa zabrzmiały prawdziwie.  
– Nie możemy tego przelożyć? Jeszcze o kilka dni. Przecież zdążę. Jest jeszcze tak dużo czasu...

– Już przestań, byłem tu wczoraj i przedwczoraj. Codziennie to mówisz. Wychodzimy. – Jego stanowczość nie pozostawia mi wyboru, a gdy dostaję w twarz własną kurtkę, wzdycham tylko i odpuszczam ponowne próby manipulacji.

Mija chwila, która w mojej głowie stanowi jedynie mrugnięcie czy dwa. Już za plecami mam ulicę Lutomierską, a na pasach stoimy równie długo jak zwykle, bo w tym mieście tak już jest. Światło zmienia się raz na jakiś ogromnie długi czas i cierpliwie obserwuję korowód przechodniów, którzy jeszcze chwilę temu nerwowo tupali stopami o chodnik. Każdy z nich chciałby już minąć ulicę i znaleźć się kilkanaście metrów bliżej niedostrzegalnego celu. Kiedy na przystani zatrzymuje się tramwaj, jesteśmy jak oni.

Jedziemy 11B w stronę centrum. Tramwaj jest pusty, choć ślady błota mówią o tych, którzy dzisiejszego poranka do niego wpadali w pośpiechu. Zapominam o Przemku zakętym w kulę. Jestem sama w tym wagonie, w tym tramwaju, w tym mieście. Mieście, które dziś jest spokojne. Nie ma w sobie nic z wczorajszego smutku i niepewności. Wczoraj chyba myślało sobie, że kolejny dzień nie nadejdzie. Nadszedł, więc się uspokoiło. Ja wraz z nim.

Kiedy mijamy kolejne skrzyżowania: Próchnika, Zieloną, Zamenhofa, zsuwam się z plastikowych siedzeń, by zaraz na nowo podciągnąć ciało. Powtarzam tę czynność siedmio- czy ośmiokrotnie, aż do centrum, gdzie śnieg przykrywa kolorową membranę, na której tańczą promienie słońca. Jest zbyt zimno, by biały puch stopniał, więc nie topnieje. Wsiadamy, a mój wzrok zatrzymuje się na chroniącym nas dachu. Staram się nie mrugać, by utrwalić ten widok w głowie. Co kilka chwil czuję ciała ocierające się o moje. Każde z nich się spieszy, każde z nich ma swój własny mały powód, by przepchnąć mnie na bok. Stanowią tylko irytującą przeszkodę na ich trasie. Nim dotrą do swoich domów, biur, sklepów i restauracji, zapomną o mnie. Właściwie jestem pewna, że gdy ja kołyszę się na piętach, oni już nie zwracają uwagi na moje istnienie. Zlikwidowawszy przeszkodę pędzą dalej. Chciałabym pójść z każdym z nich. Zajrzeć do ich życia. Nie być we własnym.

– Pieprzone tramwaje! Spóźnimy się. Pewnie motorniczy zachlwał w niedzielę i leży na torach. Co to jest za miasto?! – Cedzi przez zęby Przemek, a z każde słowo potęguje jego irytację. Potem sypie jeszcze imponującą wiązką przekleństw. Ja natomiast doskonale wiem, co to jest za miasto i nie znam nikogo, kto wie o tym równie dobrze. Zerkam na zegarek. Stoimy o bity kwadrans za długo.

– Mamy czas. Mamy go dużo...

Obserwuję, jak powoli opuszcza zaciśnięte pięści i choć jak dotąd jedyną częścią jego twarzy, którą widziałam są oczy, domyślam się, że łagodnieje. Bynajmniej nie jest to moja zasługa.

– Idź na śniadanie do „Bredni” albo pokręć po centrum, jakoś się złapiemy. Mam jeszcze coś do załatwienia skoro i tak już nie zdążymy. Do wieczora doczekam. Jutro nadejdzie inny świt. Uderza mnie to zdanie, choć nie rozumiem, dlaczego je wypowiedział. Chcę zapytać, ale gdy obracam się w jego stronę, zastaję tylko wyżłobione w śniegu kroki. Zniknął gdzieś w gęstym tłumie. Wzruszam ramionami i ruszam przed siebie, by pokonać pasy i skręcić w lewo, tą też stroną ulicy będę szła dalej, począwszy od budynku 153 aż do Placu Wolności.

Poruszam się bardzo powoli, niemal leniwie, oglądając przy tym fasadę każdego budynku z osobna. Nie umiem zliczyć, który to już mój spacer tym tempem, po tej właśnie ulicy i z tą samą, niemającą nawet na chwilę miłością do pochłanianych obrazów.

W antykwariacie szkolnym nie ma nikogo, mimo że od miesiący podejrzewam sprzedawcę o zamieszkiwanie w tym klaustrofobicznym lokalu. Jest otwarty zawsze. Kojarzę tylko jednego klienta. Siebie i to raz. Tylko raz. Nic nie poradzę, że preferuję „Book się rodzi”. W duchu jestem dumna z tego jednego razu.

Przyglądam się najpiękniejszym balustradom, jakie znają moje oczy. W samym środku zimy prawie każde okno jest otwarte. Może mieszka się na tej ulicy zbyt ciepło? Nie dowiem się tego, bo już przystaję w bramie prowadzącej na „OFF”. Moje spojrzenie na dłuższą chwilę zostaje pochwycone przez ten okazały, monochromatyczny napis na murze. Wchodzę więc na nierówny chodnik, który pokryty lodem i wydeptany staje się rozległym lodowiskiem. Uśmiecham się do zmarzniętego tłumu pod lokalem, w którym podają najlepszy ramen w mieście, odruchowo szperając ręką w kieszeni własnego płaszcza. Dłonią natrafiam na miękki prostokąt papieru. Wyłowiony z jej wnętrza okazuje się saszetką cukru z logo „Spaleni Słońcem”, przez co mimowolnie kieruję się pod ten zamknięty lokal. Jeszcze kilka godzin, a stoliki wewnątrz zapełnią się. Zmęczony pracą na dwóch etatach barman, napelni szklanki piwem, a muzyka przytuli się do ścian. Przygnębiona świadomością, że nie będę w stanie tego ujrzeć, odchodzę. Śniadaniowa pora determinuje dalszą trasę. Za metalowymi, ciężkimi drzwiami kryje się „Drukarnia”. Nigdzie indziej nie mogłam wstąpić po ciepłą bagietkę i czarną kawę. Zapach świeżo mielonych ziaren uderza mnie od progu. Zamawiam swoje skromne śniadanie i przyglądam się światu zza wysokich okien. Choć ów świat sprowadza się do długich schodów, starych beczek imitujących donice na drzewka, sznurów świecących żarówek i odbarwionych przez lata ceglanych murów, to właśnie to uniwersum lubi mój wzrok.



– ...kier?

– Słucham?

– Pytałem, czy życzy sobie pani cukier? – Wrywa mnie z zamyślenia brodaty barista.

Odpowiadam skinieniem głowy i żegnam się z nim uprzejmie. Przecież gdyby nie wczorajsze złe samopoczucie, dziś robiłabym to samo co on – napelniała kubki na wynos, udając przy tym, że realizuję się zawodowo, a pienienie mleka to zadanie, do którego zostałam stworzona. Absurd! Nieprawda!

Skręciwszy w lewo kieruję się z powrotem na główny deptak. Rzucam przelotny uśmiech Magdzie Gessler, która spogląda na ulicę od tak dawna, że jej wyblakły wizerunek ma za zadanie raczej zakrycie odrapanej ściany, niż rzeczywiste promowanie restauracji „Polka”. Ta radzi sobie doskonale bez twarzy pani Magdy.

Nie obejrzawszy się na potencjalnych rowerzystów przemierzam ulicę i już stoję na wprost Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, by poklepać po ramieniu Reymonta. Ten prosty gest uświadamia mi, że nigdy nie siedzieliśmy razem na jego ogromnym kufrze podróżnym. Nadrabiam ten brak mimo kilkunastostopniowego mrozu. Szczęśliwie nie przylepiam się do samotnego Władysława na stałe.

Umiejscowiony w różowej kamienicy sklep z antykami o takiejże wdzięcznej nazwie, która nie pozwala głowić się turystom nad jego asortymentem, jest zamknięty. Spod numeru 130 pokonuję piętnaście budynków, jeszcze nim kawa stanie się letnia. Patrząc w prawo, wspominam kawiarnię „Egzotyczna”, której nie było mi dane nigdy zobaczyć, a jednak wiem, że tu była. Wspominam też „Wyzysk kolonialny” Władysława Strzeмиńskiego w kontekście tego właśnie miejsca. Smutnieję po raz kolejny, a w dodatku myśli szpeci mi przebudowa pod rozdrapanym szyldem „Hort-cafe”. Nie wytrzymawszy presji własnego umysłu odwracam wzrok, który znowu żąda skupienia się na fasadach zdobionych kamienic. Nie patrzę pod nogi dopóty, dopóki nie minę skrzyżowania z ulicą Struga. Intuicja nie zawodzi. Rozpromieniam się na widok pana Andrzeja, który jest dla mnie nieodłącznym elementem krajobrazu, gdy zawędruję właśnie tu. Mim nie uśmiecha się, więc nadrabiam za nas oboje. Zatapiając dłonie w kieszeniach nie znajduję żadnych monet i nie mogę nie przysiąc sobie, że to ostatni raz kiedy zapominam pieniędzy. Na blacie kuchennym leżał ich okazały stos.

Przecież nie wręczysz panu Andrzejowi cukru. Skąd w ogóle go masz? Byłaś tam ostatnio? A może zalega on w kieszeni od roku? Od roku?! A skąd! Rok temu o tej porze... Rok temu... – myśli urywają się i odbijają od siebie niczym kauczukowe pileczki, a wspomnienia sprzed dzisiejszego dnia są wyraźne niby odbicia w brudnej kałuży. Przekopuję umysł. Wojuję z nim, ale

im dłużej szukam, tym bardziej obraz w kałuży się rozmywa. Woda wysycha. Zostaje po niej pusty, głęboki dół.

– Hej! Wróciłaś? Dobrze, że jesteś.

Zatrzymuję się gwałtownie. Nad głową błyszczy mi czerwony szyld z wizerunkiem czarnego kota. Ten lypie ciekawsko. Rademenes. Wyteżam wzrok, by dostrzec choć zarys postaci, która się do mnie zwraca, ale w bramie panuje nieprzenikniony mrok.

– Jak dobrze, że jesteś. Zostań, zostań – powtarza ciemność.

– Gdybyś umiał spełnić choć jedno życzenie...

Wzdycham i odchodzę. Ciemność rzadko mówi do ludzi, o pubach nazwanych na cześć kocich magików nie wspomnę. Mrugam szybko kilkukrotnie. To mi się przesyłało. Mówię do siebie albo wariuję. Nie mogę mieć pewności. Nie wykluczam nadmiaru kawy, po której kubek wyrzuciłam do najbliższego kosza. Jej nadmiarem racjonalizuje sobie ten wybryk umysłu.

Już na o wiele krótszy moment zatrzymuję się przy Pasażu Rubinsteina. Oddycham głęboko raz za razem, pozwalając swoim oczom na wędrówkę pomiędzy konarami nagich drzew, po detalach fresku z wizerunkami ludzi, którzy faktycznie przeszli do historii. Co nie jest zasługą tego budynku. Trzydzieści jeden twarzy zerka na mnie obojętnie. Zachowują się, jakby wcale mnie tam nie było, a przecież jestem. Jestem, jednakże żadna namalowana fizjonomia nie może dostrzec we mnie człowieka.

Z głową dudniącą od tych refleksji kontynuuję swój spacer. Słońce jest już nisko, liże promieniami dachy kamienic. Jeszcze kilka chwil, a to miasto spowije mrok nocy przelamany światłem lamp. W ów mrok wplącze się gwar nocnych eskapad młodych, pięknych i przepelnionych nadzieją ludzi. Smucę się raz jeszcze uświadomiwszy sobie, że nie będzie mi dane zarejestrowanie na taśmie umysłu tego obrazu. Potrzebuję to sobie zrekompensować w sposób natychmiastowy, nie zdając się na półśrodki. Zwalniam jeszcze bardziej. Zwalniam tak bardzo, że staruszek z drewnianą laską, niby niezbędną dlań kończyną, wyprzedza mnie żwawym krokiem, jeśli o jakiegokolwiek żwawości można mówić, gdy człowiek funkcjonuje zaopatrzonej w trzecią nogę.

Nie przeszkadza mi ten fakt. Powstrzymuję się, by nie pomachać mężczyźnie z szerokim uśmiechem. Koncentracja na własnych krokach pomaga. Z szacunku stawiam je ostrożnie. Nie pozwalam sobie na stąpanie po ludziach. Po ich nazwiskach, dorobku życia zamkniętym w mosiężnych płytach. Gdybym leżała tu jak oni, od takiego deptactwa przybyłoby mi sporo siniaków. A panie zwykły, o zgrozo, chadzać w szpilkach wieczorami i żadna z nich nie myśli o tym, co znajduje się pod podeszwą cieniutkiego buta. Ja myślę i to tak bardzo, że poddaję swoje ciało slalomowi niezgrabnych kroków, czytając przy tym każdy zlepek liter po kolei, przez krótki moment wylawiając przy tym z umysłu twarze, do których przynależą. Zwykle odtwarzam je

zatrzymane w kwiecie wieku, choć wielu z nich nie stanie nigdy więcej na tej, ani na żadnej innej ulicy.

Kolejne skrzyżowanie. Przystaję. To, które sobie ukochałam. Tędy najmilej mi na tramwaj. Tędy najwolniej idzie się gdziekolwiek. Ulica 6 sierpnia. Przez jej środek biegnie długi rząd młodych drzew, choć to uogólnienie nie wydaje mi się odpowiednie, bo wiem przecież, że owe drzewka to *prunus* „Kanzan” – kwitnąca wiśnia. Wiosną ubrana w różowe kwiecie przyciąga grupki turystów z małymi aparatami cyfrowymi w dłoniach. Dziś natomiast ławki są puste, a wiśnia śpi. Odpoczywa, póki nie zbudzi jej kwiecień. Przykro mi, że to dopiero za trzy miesiące.

Za plecami mam Hotel Grand. Zerkam nań przez ramię. Budynek ten po stu trzydziestu czterech latach nieprzerwanej działalności stanowi jeden z najbardziej urokliwych po parzyście numerowanej stronie ulicy. Ściany poszarzały, szyld stracił złoty blask, a ta malutka kawiarnia na parterze zbankrutowała. Kartka pisana ręcznie o treści „Przepraszamy, lokal zamknięty do odwołania” nie została nigdy ściągnięta. Jednak hotel przypomina mi o staruszkach, który wyprzedził mnie różnym krokiem. Jego siła nie leżała w fizyczności, a człowieczeństwo nie tkwiło w ciele. Miało swoje źródło wewnątrz. Podobnie hotelowe lobby i korytarze nie utraciły nic z dawnych lat. Zamrożone w czasie witają setki gości. Przyjmują ludzi w zabloconych butach z ciężkimi walizkami dzień w dzień. Teraz budzi się we mnie lęk, że któregoś dnia i to miejsce przemieni. Boję się o jego los. Boję się, że zmęczony gwarem miasta hotel kiedyś zamknie się w sobie i nie odezwie już nigdy.

Aby ta myśl nie prześladowała mnie aż do Placu Wolności szukam sobie nowego punktu zaczepienia. Zadanie po raz pierwszy okazuje się trudne, bo strach o Grand Hotel wgrzył się w mój umysł, więc bez dostatecznego skupienia wędruję wzrokiem po fasadach kolejnych kamienic. Puste balkony, otwarte okna, ciepłe światło we wnętrzu każdego z nich. Gdzieś tam cienie przemykające przez ich środek.

Nie ogłądałam się na kolejnych trzech skrzyżowaniach. Ślepo mijam kolejno ulicę Zieloną, Jaracza i Rewolucji 1905 przekonana, że tylko lustrzana mozaika w bramie kamienicy Engela ukoi moje zmysły. Siedemdziesiąt budynków znika za mną, gdy wpadam na to malutkie podwórko. Szkiełka migoczą i skrzę się w świetle lamp. Jest już dostatecznie ciemno, bym nie spotkała tu nikogo prócz mieszkańców. Trwa inwestycja, która ma za zadanie otoczenie kamienicy gąszczem zieleni, ale dziś już robotnicy wrócili do swoich rodzin. Zapewne zmęczenie przyłgnęło do ich powiek, nie poświęcą więc zbyt wiele czasu żonie ani dzieciom. Każdy z nich padnie w objęcia snu, by skoro świt wrócić do pracy. Jestem sama.

W duchu cieszę się, że połączenie z ulicą Zachodnią nabiera blasku. To dobre miejsce na światło, gdzie jak dotąd najłatwiej było zdrzeć głowę i pod żadnym pozorem nie zerkać pod nogi.

Oczy lykaly zachlannie blask, zaś stopy tonęły w błocistej ziemi. Pasaż czekał niemal siedem lat na ten akt dobroci ze strony władz miasta.

Zataczam kilka kół niemal przyklejona do lustrzanych ścian. Przesuwam dłonią po drobnych odłamkach, by wyczuć pod palcami ich fakturę. Przybliżam twarz do tej wieloelementowej tafli. Blisko, jak najbliżej.

Upadam ciężko w błotnisty grunt. Brudnymi rękoma dotykam twarzy. Nos. Usta. Powieki. Policzki. Mam je wszystkie. Nie mam tylko odbicia.

Niech to nie będzie prawda. Może tylko mi się wydaje... może wciąż tam jestem – myślę gorączkowo.

Staję na równe nogi, aby poszukać swojego odbicia raz jeszcze, lecz gdy zbliżam się do muru, czyjeś palce oplatają moje ramię.

– Chodźmy już. Miałś bardzo dużo czasu.

Przemek pojawia się znikąd. Patrzy mi w oczy spojrzeniem pełnym troski. Nie odpowiadam. Kiwam twierdząco głową i powalam zabrać się z pustego placu. Czuję, jak błoto zastyga na skórze. Pozwalam mu na to. Wsiadamy do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju. Jest równie stary jak poranny. Wagony trzęsą się rytmicznie na boki. Każda komórka mojego ciała pragnie wtopić się w plastikowe, czerwone siedzenie. Kurczowo trzymam się żółtej ramy, zostawiając przy tym brudne ślady. Zamykam oczy.

Kiedy je otwieram, zjeżdżamy schodami na peron. Dworzec jest pusty. Był pusty odkąd pamiętam. Ostatni raz łapię wzrokiem szklany dach. Tysiące drobnych szkiełek kryjących przed światem wewnątrz okazałego budynku.

Przemek zjeżdża ze mną na peron, lecz gdy staję stopami na betonowych płytach, jestem już sama. Wsiadam do starego pociągu. Nie mam bagażu ani miejsca. Właściwie nie mam przy sobie zupełnie nic, a mimo to wiem, że muszę wsiąść. Drzwi zamykają się ze skrzypieniem. Słyszę donośny gwizd konduktora i maszyna rusza. Ciężko pełźnie po torach, a z każdym jej ruchem narasta we mnie coraz większa pustka. Ta dziura mogłaby pochłonąć całe cywilizacje. Mogłaby też pochłonąć to miasto. Wciągnąć je do swego wnętrza, ale zamiast tego rozlewa się po moim wnętrzu. Nagle zapada ciemność. Podejrzewam, że pociąg wjechał do tunelu, ale nie słyszę już turkotu kół. Nie słyszę i nie widzę zupełnie nic. Dlaczego?

Zrywam się nagle. Plecy i czoło mam mokre od potu. Palcami natrafiam na przymocowany do ściany przycisk. Rolety powoli unoszą się, odsłaniając przy tym ośnieżone podwórze. Leżę we własnym łóżku. Świat budzi się do życia. Słońce leniwie wygląda zza chmur. Jest spokojnie, gdy przeczesuję palcami włosy i padam ponownie na mokrą poduszkę.

Ten sen nawiedza mnie często, choć różni się detalami. Przecież nie znam sweterkowej kuli imieniem Przemek. Nie miałam też nigdy biurka z antykwariatu, ani nie przemalowałam sama ścian, a jednak podczas nocnych wędrówek odwiedzam miejsca sobie tak dobrze znane i obce. Jestem wszędzie tam, gdzie mnie nie ma.

Wstaję z łóżka pełna żalu, że tym razem nie spacerowałam wzdłuż ulicy Ogrodowej. Nie spotkałam Tuwima, ani nie dotarłam Gdańską pod Muzeum Sztuki, ale minie szesnaście godzin i znowu pójde na swój nocny spacer bez ciała, by oddalić się od siebie o setki kilometrów.



Giorgio de Chirico, *Mistero e malinconia di una strada* alias *Fanciulla con cerchio* (1914)



Aleksandra Łasińska

## Leszek

I tylko ten pusty dom. Pelen ludzi.

\* \* \*

– A pamiętasz, jak Leszek wrócił z wojska do domu? Wczoraj znalazłam jego zdjęcie w mundurze. Mój Boże, jaki to był ładny chłopak! No, ty też jesteś. Tak, tak. Ale on tak bardzo chciał zostać w tym wojsku i uczyć się. Tylko Roman się uparł, że nie, najstarszy syn ma pracować na gospodarce. Bo tak trzeba, zawsze tak było i koniec.

Grażynę też nie bardzo chciał do tego technikum wysłać. „Niech znajdzie męża i po kłopotcie”, tak mówił. Czasem to się nawet dał przekonać, żeby i Leszka do szkoły posłać, ale jak się napił, to już awantura, że nie i nie. A że pił często, prawie codzie..

– No niech już mama da spokój! Wnuczka słucha! – Warknęła Gabrysia.

– A co mam nie mówić? Sama prawda. Nie będę się historii rodzinnej wstydzić. Leszek zdolny był. Roman mu kazał na gospodarce pracować i tyle. Nie rozumiał, że już inne czasy, że dzieci kształcić trzeba. Tylko my się nie sprzeciwiali. I to źle. Dopiero jak ty dorosłaś. Mówię do Romana: „Rób ze mną co chcesz, ten się pójdzie uczyć i koniec!”. Wściekł się, rzucał wszystkim, chyba największa awantura była wtedy. Ale na studia poszedłeś, nie dałam mu się. A Leszek tu został. I pracował. A jak się biedny męczył, mój Boże! Żal było patrzeć. W końcu nie wytrzymał i..

– Mamo! – Tym razem krzyknęli oboje, synowa i syn.

– Naprawdę, żeby w święta takie rzeczy opowiadać! Jeszcze przy dziecku! Minęło i nie ma co rozpamiętywać. No, siadajcie, bo żurek wystygnie.

\* \* \*

Kim był naprawdę Leszek? Pytałam, kiedy byłam mała. Lecz nigdy mi nie odpowiadano. Wiedziałam jednak, że muszę kultywować jego pamięć. Że to mój rodzinny, społeczny i moralny obowiązek. Jak mówić o kimś, kogo nie znam nawet z opowieści?

\* \* \*

Nasz dom od zawsze był wypełniony ludźmi. Kolejni odwiedzający mijali się w drzwiach. Czasem rozmawiali. Częściej zachowywali się jak przypadkowi przechodnie. Przychodzili opowiadać swoje historie. W przestrzeni ścierały się rozmaite słowa. Układały się w nowe, niewypowiedziane zdarzenia. Po ścianach pełzały opowieści, z podłogi spoglądały twarze osób, których dotyczyły. Sufit wypełniali zmarli, którzy przysłuchiwali się, jakby poprzez nieustanne ich przywoływanie, nie mogli odejść z tego domu. A może chcieli tylko posłuchać tych fascynujących historii?

Leszka z nimi nie było. Nie mieszkał w tej sufitowej sferze ziemsko-sakralnej. Jego opowieść nigdy nie została w całości wypowiedziana. Migawki wspomnień nie wystarczyły, aby zechciał wypełnić nas i nasz dom swoim istnieniem. Może pomogłyby fotografie? Te jednak mieszkaly głęboko, pod warstwą najgrubszych, nigdy nienoszonych ubrań. Ich głos nie mógł przedostać się przez tę symboliczną ścianę milczenia. Dziwiłam się, że mimo braku powietrza wciąż żyły. Mimo zamykania im ust, nieustannie przemawiały. Ale nikt ich nie słyszał. Nie chciano dopuścić ich do głosu. Leszek więc nie przychodził. Zabrakło go między setkami opowiedzianych ludzi. Nie było jego historii. Mama słuchała nieskończonej ilości zwierzeń, rzadko doradzała, miało się jednak poczucie, że rozumiała. Dom był więc przepelniony opowieściami. Gdy przychodził ktoś nowy, wydawało się, że nie będziemy mogli pomieścić już kolejnych duchowych mieszkańców. Oni jednak zawsze znaleźli niezajęty przez nikogo skrawek. Siadali na stołach, kryli się w kredensach, zamieszkiwali w kominku lub pływali w wannie. Dla Leszka nie było miejsca. Nie mieścił się nawet na obszernym strychu. Z naszego domu wylewały się setki mieszkańców. Mimo to, był pusty.

\* \* \*

Czy pustka ta wynikała z symbolicznego braku jednej osoby? Mimo obecności setek innych duchowych mieszkańców? Czy jak w biblijnej opowieści dziewięćdziesiąt dziewięć owiec nie wystarczy, aby osiągnąć pełnię? Wtedy tego nie wiedziałam. Dziś wiem, że można słuchać tysiąca opowieści, żyć z nimi, codziennie odnajdywać je wciśnięte między książki stojące na regałach, czy odmachiwać historiom kołyszącym się na salonowej lampie. Można także słuchać tych opowieści, które w dzień chowają się w misce z owocami lub smacznie śpią okryte nienoszonymi dawno bluzkami. Przychodzą w nocy, skradają się ze strachu, aby nikt nie mógł usłyszeć ich bezgłośnych kroków. Widzi je tylko kot, jego się jednak nie boją, on rozumie. Idą przez korytarz, wślizgują się pod drzwiami i niespodziewanie siadają na krawędzi łóżka. Nie widzę ich, nie czuję nawet jak

przenikają do mojego umysłu, słyszę tylko ich słowa. Niezmienne od lat. Za każdym razem wywołujące we mnie dezorientację, naruszające głęboko schowane w mojej głowie krypty, do których otwarcia nigdy nie mam odpowiednich narzędzi. Każdej nocy, gdy przychodzą, mój pokój zmienia się. Nie, nie przestawiają mebli, nie ruszają nawet równo i starannie poukładanych książek. Napelniają jednak przestrzeń tajemnicą, grozą oraz niemożnością znalezienia prawdy, ale także pustką. Ponieważ nawet wtedy nie przychodzą wszystkie. Nawet w tym czasie głęboko ukrytej pamięci nie ma z nimi Leszka.

\* \* \*

Co mówiły? Prosiły, żeby o nich nie zapomnieć. Do dziś pamiętam. Wszystkie. Mogłabym je opisać, ale gdy próbuję, wydają się puste. W mojej głowie niczego im nie brakuje, są nasycone wydarzeniami i emocjami nawet ponad miarę, jednak na papierze blakną, chowają się tak samo, jak robiły to w dzieciństwie. Kartka papieru jest dla nich symbolicznym kredensem, szafą, wanną, a nawet podłogą czy sufitem. Znowu tylko ja je widzę. Czuję, że moja narracja o nich jest pusta, jakby brakowało mi kontekstu, jakby jakaś krypta wciąż pozostawała zamknięta, a dziewięćdziesiąt dziewięć otwartych nie mogło nawet w małej części zapelnąć pustki i zagłuszyć potrzeby otwarcia tej jednej.

\* \* \*

Babcia leży w szpitalu. Ta wiadomość pojawiła się niespodziewanie w moim życiu. Akurat wtedy, gdy miałam tak wiele spraw na głowie – dwa kierunki studiów, pierwsza poważna praca i cotygodniowe zajęcia fitness oraz kurs tańca. To nie był dobry czas na powrót do przeszłości.

Przez ostatnie kilka lat udało mi się oderwać od dręczącej mnie narracji nieobecności. Zdołałam zagłuszyć powracające do mnie historie i nie-historię pracą oraz innymi obowiązkami. Łudziłam się, że wreszcie jestem wolna i mogę żyć własnym życiem skupionym na teraźniejszości oraz przyszłości. Ale ta wiadomość. Wytrąciła mnie z rytmicznego zagłuszania pustki. Całkowicie. Gubiłam się w ustalonym już metrum. Zamiast spokojniejszej półnuty grałam nagle ósemkę, ćwierćnutę zastępowałam nieświadomie szesnastką. I nie mogłam nad tym zapanować. Myliłam także melodię. Harmonijne łączenie tonacji dur i moll wypchnięte zostało przez nieokielznane dysonanse oraz nieprawidłowo rozwiązywane akordy septymowe. W moich nutach zapanował kompletny chaos. Zamieniały się w mojej głowie miejscami, tworzyły nieoczywiste połączenia.

Nutomyśli zachowywały się tak, jak nawiedzające mnie w dzieciństwie historie. Błagały o miejsce w mojej pamięci, a jednocześnie szeptały, że to już czas, aby wypełnić pustkę.

\* \* \*

Minęło kilka tygodni, zanim odważyłam się zanurzyć w odmętach historii własnej nie-własnej rodziny. Nie-własnej, ponieważ znanej tylko w niewielkiej części. Do tej pory miałam pojęcie o jakiejś powierzchni, kształtowanej zresztą wciąż na różne sposoby, w zależności od motywacji narratora. Tym razem miałam zdrapać całą powłokę pozoru i dotrzeć do PRAWDY. Gdy tylko uchyliłam pokrywę „pudelka sekretów”, znów się pojawiły. Żywo-martwe historie. Mówiły więcej niż zwykle, przekrzykiwały się. Nie mogłam zrozumieć. Słyszałam wyłącznie słowa, nie docierał do mnie sens, brakowało spójności, którą mogłabym uchwycić i nadać jej jakąkolwiek interpretację. Poległam więc, zanim rozpoczęłam.

\* \* \*

Od tego czasu znów przychodziły regularnie. Zmieniło się jednak natężenie ich narracji. Nie szeptały. Wrzeszczały. Jednak wciąż słyszałam je tylko ja. Którejś nocy, przytłoczona ilością informacji i niewiedzy, odwiedziłam je ponownie w pudełku. Wylały się na mnie, opętały tak, jak poprzednio. Po raz kolejny tylko strzępki słów. Jednak po chwili uspokoiły się. Jakby rozumiały, że nie potrafię wysłuchać ich polifonicznych historii jednocześnie, że aby cokolwiek pojąć, potrzebuję najpierw usłyszeć każdy głos osobno, zupełnie jakbym rozpoczęła przygotowania do koncertu w wykonaniu chóralnym.

\* \* \*

I usłyszałam. Każdą historię. Połączyłam je. Poznałam mroczne sekrety swojej rodziny. Jednak nie rozumiałam niczego. Poza tym, że nigdy nie zrozumieć. I że PRAWDA nie istnieje.

\* \* \*

Może mniej męczyły mnie żyjące w moim domu szepty? Może były bardziej nieprzewidywalne. Wciąż nie wiem, czy lepsza jest niewiedza, czy wiedza. I czy moje odkrycia doprowadziły mnie do czegokolwiek, poza pęknięciem, którym nazaczyłam moją rodzinę i jej obraz we własnym wyobrażeniu.





Juan Gris, *Nature morte à la nappe à carreaux* (1915)



Karolina Szwed

## Dziennik półroczny

4.10

Słucham wykładów. Za oknem zachodzące słońce oświetla blok numer cztery. Beznadziejnie różowa elewacja budynku po raz pierwszy jest przyjemna dla oka. Osiemnasta trzydzieści. Coraz cieplej. Róż odpuszcza, aż chce się patrzeć i podziwiać. Fajny pomysł na filtr w Photoshopie. Osiemnasta pięćdziesiąt pięć. Szaro i ciemno. Przyszła Zosia i zamknęła rolety.

\*\*

Zastanawiam się, czy zamiast mówić sobie: „wszystko będzie dobrze”, nie lepiej byłoby mówić: „wszystko jest dobrze”. Pytanie tylko, które z powyższych moja podświadomość uzna za prawdziwsze.

5.10

SMS od Izy: „Karola, była dziś u mnie ciocia Marysia i mówiła, że twoja babcia Halina jest słaba. Mówią, że jakbyś chciała się pożegnać to idź na dniach.”

Jak myślę o babci to widzę szaroniebieski. Dla niektórych szarobury.

6.10

Droga na lotnisko. Uwielbiam jeździć „przez wiochy”. Czasem się ciągnę za traktorem czy innym pojazdem rolnym, ale mi się nie spieszy. Szczerze współczuje tym, którzy mnie wyprzedzają. Odkąd odkryłam stado owiec pasących się w Poblóciu na dwóch wielkich łąkach na wzgórzu, zawsze jeżdżę tamtędy. Uwielbiam przejeżdżać i patrzeć, jak te setki spokojnych owiec skubią trawę, jakby nic innego nie istniało dookoła. Taki constans w chaosie.

\*\*

Analizujemy z Zosią utwory Kochanowskiego. Zosia nie umie układać zdań, więc jej pomagam. Zosia się śmieje. Nie wiem, czy to B6 i B12 podawane od lipca, czy po prostu moja obecność.

\*\*

Szyborska mnie zaskoczyła!!!

„Czemu ty się zła godzino z niepotrzebnym mieszasz lękiem?”

No właśnie... czemu...???

7.10

Sześć tabletek: mała biała, różowa, brązowa, druga brązowa i duża biała razy dwa.

\*\*

Jacek ciągle mówi, że chce papugę. Nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że pies i chomik w zupełności wystarczą. Zresztą chomika czuć już na korytarzu, niech mu najpierw posprząta.

8.10

Byli klienci na sesji. Trójka dzieci w tym dwunastoletnia dziewczynka. W ogóle nie chciała zdjęć, a jak już stanęła na chwilę, to robiła straszne miny i stała jak kolek. Myślę sobie, że Zosia jest naprawdę cudowna z tymi swoimi powściągliwymi emocjami. A potem sobie myślę, że po co zmuszać te dzieciaki do czegokolwiek. Może one mają rację. Jak nie chcą, to nie. Żalowanie potem jest chyba najlepszą lekcją życia.

\*\*

Wieczorem kleję albumy. Poprosiłam Jacka o nożyczki, a on wyciągając z szuflady pyta, czy przecinając kartkę papieru można niechcący rozszczepić atom.

9.10

Zosia znowu płakała. Ona się boi wszystkiego. Na przykład, że Xbox się sam włącza. Powiedziałam jej, żeby wyłączyła z zasilania, to się nie będzie włączał. Ale ona na to, że wtedy to się już całkiem przestraszy, jak się włączy. Kiedy tak z nią przebywam, to sama zaczynam się bać.

10.10

Dwie godziny przygotowywania studia do sesji świątecznych. Zastanawiam się, czy Zosia nie ma racji. Może rzucić to wszystko, wyjechać gdzieś i mieszkać w domku nad jeziorem?

11.10

Wiadomość od Allegro: Cześć Karolino! Niedawno kupiłaś tła fotograficzne. Zobacz, co jeszcze wybrały osoby, które też kupiły tła fotograficzne.

Boże, Zosia ma racje...

12.10

Przyszła Zosia z Jackiem i mówią, co wymyślili. Że skoro wszystko jest zbudowane z atomów, atomy z protonów neutronów, a te z kwarków i bozonów itd., a to wszystko tworzy nasz świat, który my widzimy, nas, domy, planety cały nasz wszechświat, to co, jeżeli nasz wszechświat jest

tylko drobnym elementem, cząsteczką czegoś, co gdzieś żyje i jest kimś w jakimś innym świecie, a my nawet o tym nie wiemy... Albo jeżeli w nas samych, istnieją inne wszechświaty. Zastanawiam się, jak im wytłumaczyć, że tak właśnie jest. Ostatecznie nie tłumaczę, rozumieją kiedyś sami.

13.10

Siedzę w pracy, trochę nudno, jakiś montaż i obróbka. Przyszła mama na kawkę. Kupiła sobie nowe buty, przyszła mi pokazać. Mówi, że była z koleżanką na zakupach. Fajnie wygląda. Ona ma więcej szpilek i sukienek niż ja.

15.10

Jacek znowu mówi, że chce papugę. Tym razem oprócz mówienia, przyniósł klatkę z piwnicy, wszystko wyszorował i przygotował. Powiedział, że będzie tak długo o tym gadał, aż się zgodzimy. Uśmiecham się w duchu. Jednak geny istnieją.

16.10

Jedziemy do Gdyni. Wielkie rozczarowanie. W Poblociu owce zniknęły. Ale dziwnie wyglądają te puste pola, został tylko chaos.

\*\*

Wieczór. Włączam *Memento*. Nie rozumiem, dlaczego tak dosłownie odbieram filmy. Jakby te złe emocje w filmie zawsze były moje albo dla mnie. Zastanawiam się czy na pewno dobrze wybrałam studia.

Powinam jeszcze przejść przez *Zmierzyć*, ale intuicja podpowiada mi, żeby sprawdzić w Internecie. Sprawdzam. Pięć najbardziej depresyjnych filmów, na pierwszym *Zmierzyć*. Przez pierwszą minutę próbuję się skupić tylko na przestrzeni w filmie i nie umiem.

19.10

Obrabiam zdjęcia. Otwórz w Lightroomie, preset 8, kontrast +15, white balance lekko w lewo. I tak z lekkimi odchyłami dwadzieścia dwa razy. Kiedyś słyszałam, że aby zostać artystą, najpierw trzeba być dobrym rzemieślnikiem. U mnie chyba jest odwrotnie. Albo może to jeszcze gdzieś daleko przede mną. Albo nigdy.

\*\*

Przyszła sąsiadka. Po godzinie mówi, że znajomi, u których była w niedziele, mają covid. Kiedy poszła, pytam Grzegorza, czy myśli, że mogę umrzeć na covid, a on zaczyna się śmiać. Tak od razu

bez zastanowienia. Czyli to jednak ja jestem nienormalna. Przestaję się martwić, biorę moje tabletki, robię inhalację i idę spać.

21.10

Jadę na zdjęcia do Strzeszewa. Nowy mikrofon; martwię się, czy zadziała. Godzinna podróż przenosi mnie z pozycji przestraszonej amatorki do pozycji profesjonalistki.

22.10

Mamy papugę. Oprócz papugi wszyscy bardzo szczęśliwi. Wysypujemy ją z pudełka do klatki, wymyślamy imię i sprawdzamy, czy chce siadać na palcu. Na razie jeszcze się boi, więc dajemy jej spokój. Współczuję jej. Godzinę temu była z innymi papugami w miejscu, gdzie się urodziła, a tu nagle nowa klatka, nowy dom. Jesteśmy dla niej intruzami. Jeszcze nie wie, że niedługo się przyzwyczai. Jacek zanoszą klatkę do swojego pokoju i mówi, że teraz będzie chciał już tylko kota.

23.10

Przyszedł orotan litu. Piękne zielone, przezroczyste opakowanie, a w środku biała tabletki. To zielone opakowanie mnie intryguje, trochę jak przekaz wizualny...

\*\*

Grzegorz zabrał dzieci i pojechał do Poznania. Cieszę się z samotności.

24.10

Czy naprawdę te mikroskopijne związki chemiczne mogą mieć wpływ na nasze poczucie szczęścia? Na moje chyba mają...

\*\*

SMS od mamy, czy idę z nią na strajk kobiet. Napisałam, że nie mogę, bo mam zajęcia. Wysłała mi zdjęcie transparentu. W duchu myślę, że chciałabym, aby moje dzieci miały taką mamę, jak ja mam.

26.10

Robię online kurs bhp na uczelni. Te opisy pierwszej pomocy, są tak beznamietne. Płukanie galki ocznej, opaski uciskowe na ranie, oparzenia kwasem, zawał, udar... Nie mogę uwierzyć, że te wszystkie rzeczy naprawdę przytrafiają się ludziom. No może oprócz udaru. W to wierzę.

\*\*

Dostaję mail ze zdjęciem modela do reklamy piwniczek z winami. Jeżeli ta niesamowitość bijąca ze zdjęcia to nie efekt obróbki, to oczy tego faceta i jego wizerunek zrobią nam cały film.

27.10

Pobudka 3.30. Jedziemy na lotnisko. Uwielbiam te momenty, gdy zostaję sama i nie muszę się do nikogo dostosowywać. To tak, jakbym wróciła do liceum i znowu miała swój pokój, w którym mogę się zamknąć i jest tylko mój.

\*\*

Wieczór. Bardzo źle się czuję, bolą mnie plecy i nie mam siły nawet mówić. Mam nadzieję, że to ten cholerny wirus i będę go w końcu mieć z głowy. Jednak strach jest o wiele gorszy niż to, czego się boimy.

28.10

O ósmej mam jechać do Gdyni na zdjęcia do reklamy piwniczek. Zosia ma gorączkę i nie wiem, co robić. Wszystko jest dograne od trzech miesięcy, a ja mam dylemat, czy zostać z Zosią, czy jechać na zdjęcia. Zosia mówi, że mam jechać, Jacuś mówi, że o wszystko zadba. Zanim wyjdę, jeszcze piętnaście razy pytam ich, czy mam jechać. Jacek potwierdza. Przez pół drogi się martwię, czy dobrze zrobiłam. Potem dzwonię do Zosi i słyszę, że jest okej, więc się uspokajam.

I niech ktoś mi powie, że kobiety jednak nie mają gorzej. Gdybym miała żonę, to bez żadnych wyrzutów pojechałabym i od rana myślała tylko o pracy, zamiast o chorej Zosi.

\*\*

Zdjęcia idą świetnie. Model ma jakiegoś doła, ale dla mnie to dobrze. Wykorzystuję to do realizacji poważnych, pełnych dziwnego napięcia ujęć. To, czego nie czułam przez trzy miesiące tworzenia koncepcji, klaruje się praktycznie samo, tylko dlatego, że model ma doła i zajebiście niebieskie oczy.

\*\*

Wracam do domu „wiochami” i uderza mnie przepiękna żółto-złoto-brązowo-czerwono-zielona polska jesień. W powietrzu unosi się jakaś mgielka i delikatnie świeci słońce. Wszystko jest takie piękne złoto-pastelowe. Jakbym była w koreańskim filmie po korekcji barwnej.

\*\*

Zosia ma gorączkę. Nie śpię.

29.10

Rano z Zosią już dużo lepiej. Wyjeżdżam do Gdańska. Szybkie spotkanie z klientem, potem powrót przez koreański film. Nawet owce nie są już potrzebne do pięknych wrażeń.

\*\*

Siedzimy w domu i dzieci pokazują mi, jak papuga sama wylatuje z klatki i siada sobie na karniszu. Ciekawe, czy pamięta jeszcze sklep zoologiczny.



30.10

Ranek. Nie mogę spać. Zaglądam do dzieci. U Jacka na kołdrze śpi pies, w klatce w kółku biega chomik, a na karniszu siedzi papuga. Uśmiecham się do siebie. Czyż ten obrazek to nie synonim szczęśliwego dzieciństwa? Którego ja nie miałam.

\*\*

I tu przypomina mi się tata, zastanawiam się, czy nie pojechać teraz rano na cmentarz i ogarnąć jego grób przed tymi wszystkimi wycieczkami rodzinnymi.

\*\*

Jadę na ten cmentarz. Przed wejściem zatrzymuję się i kupuję kwiaty. Wybieram bordowo-fioletowe, tata miał kiedyś taką koszulę, którą mu przywiozłam z Amsterdamu i którą bardzo lubił. Biorę dwa, jeden ode mnie drugi od Kaśki. Do tego dwa złote znicze.

Na grobie czysto, może ciotka Wanda posprzątała. Układam te kwiaty, przesuwam co chwilę, to w lewo, to w prawo. Nie wiem, czy na środku mają stać, czy w nogach. Wyobrażam sobie, że z daleka wygląda to komicznie, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, gdzie będą stać te kwiaty i znicze. Ludzie chyba tym układaniem i przesuwaniem na grobach, wypełniają pustkę, żeby nie myśleć o zmarłym. Stwierdzam, że najlepiej będzie, jak postawię kwiaty tak bardziej u góry, a znicze zaraz poniżej. No, wygląda super.

Odpalam znicze. Zawsze, jak to robię przypomina mi się, jak chodziliśmy z tatą na cmentarz i tata pozwalał mi odpalać znicze. Należało trochę poczekać, żeby się rozpałyły, bo tata mówił, że jak się za szybko zamknie wieczko, to odetnie się tlen i zgasną. No więc czekam chwilę, zanim zamknę. Zużyte zapalki wciskam w ziemię wypalonymi lebkami w dol. Tata tak zawsze robił. Siadam na ławeczce. Pada deszcz. Patrzę na grób zadowolona, robię zdjęcie i wysyłam Kasi.

\*\*

I właśnie wtedy, patrząc na zdjęcie taty na nagrobku, zaczynam myśleć o nim tak naprawdę. Jaki był? Jakim my go widzieliśmy. Jakim chciał być widziany? Kogo lubił i dlaczego?

W takich momentach często widzę ciotkę Marysię, jedyną normalną w tej rodzinie. Tata ją lubił. Wyobrażam sobie, jak ona przychodzi do niego na grób, zapala mu znicz, on siedzi obok i sobie gadają. W ogóle wyobrażam sobie po kolei wszystkich, którzy przychodzą do niego i zapalają mu znicze i zastanawiam się, o czym by z każdym z nich rozmawiał. Z ciotką Marysią umówiłby się na wódkę. Z wujkiem Piotrkiem by się pokłócił. Wyobrażam sobie, z kim by chciał gadać, a z kim nie. Przychodzi mi do głowy fantastyczna myśl, że to byłby piękny film. Wszyscy przychodzą na grób zapalić mu świeczkę i gadają sobie z nim tak normalnie, o wszystkim, siedząc razem z nim na ławce. Jakby żył.

1.11

Maluję ścianę w dużym pokoju. Kolor ciemnozielony. Idealnie zamyka przestrzeń. Ta neutralna biel już przestała być dla mnie neutralna.

2.11

Grzegorz wkurzony na polski rząd w związku z ustawą o podatku, który będzie teraz musiał dodatkowo płacić w Polsce. Wysła mi linki do domów w Norwegii i pyta, czy chcę się wyprowadzić. Mówię, że w sumie czemu nie. Mogłabym to potraktować jako pewien reset życia. Wyjeżdżam z czystą kartą i zaczynam wszystko od nowa. Ciekawe, czy by zadziałało.

3.11

Kończę film o piwniczkach na wina. Już nie umiem patrzeć jak widz. Widzę tylko to, co mogłam zrobić lepiej.

5.11

Zosia ma urodziny. Wracam szybko z pracy i robię torcik. Śpiewamy „Sto lat”. Zosia się uśmiecha tym swoim powściągliwym, skromnym uśmiechem, jakby się bała być szczęśliwa.

6.11

Rozmawiam z dziećmi o ewentualnej wyprowadzce. Dzieci chcą. Zaczyna do mnie docierać, że najważniejsza część decyzji już się dokonała. To teraz czekamy na ciąg dalszy.

8.11

Drugi dzień zajęć na uczelni. Niestety nie działa mi Internet i biorę udział tylko połowicznie. Ale i tak jest fajnie. Czuję, że się rozwijam!

\*\*

Dziś Marta powiedziała na zajęciach, że lubi moją depresyjność. Zaczynam się serio bać, że tak mi już zostanie. W sumie też to trochę lubię, ale przecież wiem, że naprawdę taka nie jestem. Ciągle mam nadzieję, że stanę się znowu sobą, jaką byłam kiedyś. A może jednak te zmiany, które się dokonały są nieodwracalne i już zawsze będę smutna?

26.12

Wracam do pisania po dłuższej przerwie. Może moje smutki odejdą dzięki temu. Nie jestem pewna, ale chcę spróbować.

\*\*

Świąteczny spacer w Parku Chrobrego. Jednak co rodzina, to rodzina (to tak w kontekście wigilii u przyjaciół).

27.12

Dzwoni Michał. Mówi, że z babcią Haliną jest bardzo źle. Pyta, czy wiem. Mówię, że tak, bo spotkałam ciocię Wandę w Tesco przed świętami. Oni chyba naprawdę myślą, że po siedmiu latach pójdę tam, jak gdyby nigdy nic. W sumie nawet przechodzi mi to przez myśl, ale szybko stwierdzam, że jednak nie pójdę.

\*\*

Dzwoni Grzegorz, mówi, że siedzi dziś w pracy. My znowu sami w domu, ale o dziwo, wcale nie jest mi smutno. Myślę też, że ta wyprowadzka do Norwegii to wcale nie jest zły pomysł.

28.12

Ranek. Dostałam SMS od Michała, że babcia zmarła w nocy. Trochę mi smutno, w końcu to jednak babcia.

Mówię dzieciom. Jackowi naprawdę jest smutno, a Zosia nic nie mówi, chociaż w przeciwieństwie do Jacka, akurat prababcię dobrze pamięta.

29.12

Trzecia lekcja norweskiego. Odmieniamy zaimki osobowe i przerabiamy końcówki. Ola co chwilę poprawia naszą wymowę, ale i tak jest super.

30.12

Byliśmy u mamy, przyjechała Kaśka na pogrzeb babci. Wracam z dziećmi do domu, jest wesoło, dzieciaki się wygłupiają i śmieją. Słysząc już wystrzały sztucznych ogni i petard. Martwimy się o Lakusia, ale na szczęście nie ucieka tylko idzie z nami do domu. Lubię te momenty beztroskiej radości i śmiania się z jakichś totalnych głupot.

\*\*

W domu okazuje się, że papużka nie żyje, leży na podłodze w klatce, a nad nią kołysze się huśtawka. Musiała przed chwilą spaść. Chyba dostała zawału przez te petardy...

\*\*

Jacusi rozpacza. Zosi smutno, nie odzywa się.

31.12

Pogrzeb babci. Wujek Piotr wygłasza mowę pożegnalną, jak zwykle na każdym pogrzebie. Tym razem słycać, że mu autentycznie przykro. Łamie mu się głos. Ludzi niedużo, głównie rodzeństwo taty i kuzyni z Gdańska.

\*\*

Pogrzeb papużki. Obiecuję Jackowi, że nie wyrzucę jej do śmieci, więc pakuję ją do torebki śniadaniowej i idę w krzaki na osiedlu, gdzie zakopuję ją w ziemi. Jest ciemno, więc nie kopię za głęboko. Przykrywam ją kupką liści. Mam nadzieję, że żadne koty jej nie wygrzebią.

\*\*

Wigilia noworoczna. Prawie północ. Siedzę na kanapie i gadam z psem. Lakuś siedzi na wprost i na mnie patrzy. „Musimy w Nowy Rok spojrzeć z innej, lepszej perspektywy. Zamknąć to, co stare, i zapomnieć o tym raz na zawsze. Pomyśleć, że teraz czas na nowe. Czas na zmiany”. Lakuś mrugnął, więc mówię dalej. „Nie będziemy się już oglądać za siebie, pozwólmy tym wszystkim złym rzeczom odpłynąć. Najlepiej żyjmy dalej bez żadnych marnych sentymentów. Zresztą nie ma czego żałować. Tylko to, co dobre, zabieramy ze sobą. To będzie nasze postanowienie noworoczne, Ok?”

Za oknem wybucha głośna petarda i Lakuś zrywa się z głośnym ujadaniem podbiegając do drzwi balkonu. Myślę, że to co się akurat dzieje w pobliżu, jest dla niego o wiele istotniejsze niż jakaś tam mglista przyszłość...

Powinnam być jak Lakuś.

1.01

Przypomniało mi się, że mój dziennik miał być weselszy niż ostatnio. Ale co poradzę, jak tyle dziwnych rzeczy się dzieje...? Może jednak Nowy Rok będzie dobrym pretekstem do innego spojrzenia na świat.

\*\*

Sernik, bigos i sałatka jarzynowa zrobione na jutrzejszy przyjazd Grzegorza. Postanawiam w końcu usiąść i się pouczyć, zrobić pracę na reklamę, ale dzwoni Gosia z Gdyni, żeby opowiedzieć swoje święta. Już prawie siedemnasta, zaczynam mieć wątpliwości, czy ja w ogóle zdążę się czegoś nauczyć na te egzaminy.

2.01

Siedzimy razem na kanapie. Dzieciaki pokazują Grzegorzowi prezenty. Lakuś skacze po kanapie i też jest szczęśliwy. I ja też.

4.01

Moja pierwsza sesja zdjęciowa w tym roku, na którą zaspalam. Mam nadzieję, że to dobry znak nadchodzącego pracowitego roku.

5.01

Skończyłam opowiadanie. Ale myślę, że poczekam jeszcze z dwa, może trzy dni, zanim wyślę. Przeczytam je jeszcze kilka razy i dopiero wtedy, jeśli naprawdę będę zadowolona, wyślę. Mam nadzieję, że za dwa dni nie stwierdzę, że jest beznadziejne i nie zacznę pisać nowego.

10.01

To, że tu nie zaglądam, to chyba dobry znak. To znak, że wszystko jest dobrze, tak dobrze, że aż o tym zapominam.

\*\*

Wysłałam opowiadanie. Myślę, że wyszło fajnie, ale dla pewności nie czytam ponownie, żeby już nic nie poprawiać.

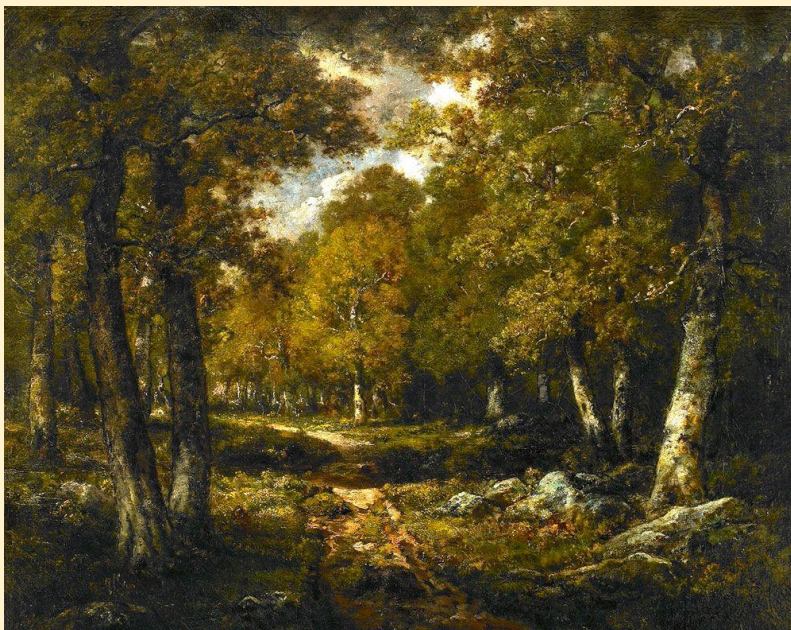
\*\*

Jakie to szczęście, że mam te studia. Przynajmniej mogę zająć się naprawdę ważnymi rzeczami.

13.01

Oglądam kino polskie, filmy wojenne i powojenne. Uwielbiam obserwować te historie z bardzo skomplikowanych czasów.

Pokazują mi one, jakie piękne mam życie z moimi prostymi wyborami.



S

Narcisse Virgilio Díaz de la Peña,  
*Clairière dans les bois* (ca.1860-70)



Mikołaj Mizak

## Przed zaśnięciem

Przed zaśnięciem, leżąc w ciemności i ciszy mojej nory, po przeczytaniu jakiejś egzystencjalnej paplaniny, której tytułu już nawet nie pofatygowałem się zapamiętać, przesiewając wspomnienia minionego dnia, tworzę własną narrację. Przetwarzam więc swoje doświadczenia, mniej lub bardziej świadomie wpływam na ich kształt, wartość i zadaję sobie pytanie: co cię spotkało? Depersonalizuję więc swoje doświadczenie, opisując je z zewnątrz. Powstaje monolog.

Nic nie czujesz, kiedy się budzisz. Pierwsze przychodzi zmęczenie, potem kaszel, suchość w ustach i zamglona wizja. W swoim tempie próbujesz dojść do porządku z rzeczywistością – co nigdy się zresztą nie udaje. Dajesz sobie kwadrans na rozruch, sprawdzasz maila, fejsa, insta, paczkę w inpoście i już nie chce ci się patrzeć na swoje obowiązki. Jeśli budzisz się w domu rodzinnym czujesz się jak nastolatek, choć skończyłeś dwadzieścia sześć lat w zeszłym tygodniu. Może od tego cię mdli, rzadziej patrzysz w lustro i jakoś mniej ci zależy.

Łączysz się w milczeniu przez kolejny program, którego interfejs darzysz niewypowiedzianą nienawiścią i z chęcią podpalilibyś Krzemową Dolinę, gdyby USA już nie stało w ogniu. Kiedy chcesz coś powiedzieć, wstrzymujesz się, bo kiedy tlen drożeje, nie chcesz go bez sensu zużywać. To nie tak, że użalasz się nad sobą. Świadomie postrzegasz swoje ograniczenia, swoje możliwości, swoją sytuację. Czasem aż zanadto. Nie rozmawiasz, nie spotykasz się już z bliskimi.

Ciemność za oknem nadchodzi niespodziewanie. Zapalają się uliczne lampy, już i tak puste ulice wyludniają się zupełnie. Nocami wychodzisz na miasto, odwiedzasz swoich dostawców, poznajesz dziwnych ludzi. Poznajesz coraz dziwniejsze historie, myślisz, czy coś cię nie ominęło w życiu. Ktoś ci się zwierza, że wyrzucili go z mieszkania, bo pieniądze za czynsz przećpał. Ciężkie czasy dla marzycieli. Znieczulasz się tak czy siak, znieczulony chodzisz przez życie. Komfortowo odrętwiały.

Codziennie słyszysz rozpaczliwe sygnały karetek. Dziś brzmią inaczej, jest ich więcej. W powietrzu wyczuwasz śmierć i niepokój. Czasem się boisz, czasem zapominasz o strachu. Może ze strachu unikasz snu. Starasz się przedłużyć dzień zbędnymi czynnościami z obawy przed konfrontacją ze swoim odrętwieniem. Zaczyniesz zastanawiać się i sprawdzać, czy coś czujesz. Tylko czy chcesz to wiedzieć?

Ponownie, gdy próbowałem zasnąć, ogarnęła mnie trwoga. Może to przez tego jointa sprzed godziny, kiedy jeszcze byłem z ludźmi, czułem się dobrze, ale nagle dopadła mnie myśl, przebłyk

świadomości, że przecież otacza nas przezroczysta nicość; każdy zaaferowany życiem codziennym, kredytem, klótnią z partnerem, wojną ideologiczną, a przecież gdyby choć przez chwilę, ułamek sekundy każdy dostrzegł, że niczego nie ma, że lewituje w czarnej pustce. Wtedy, może, przypuszczalnie, choć mało prawdopodobnie, ludziom zwrócone zostałyby człowieczeństwo.

Górnolotnie powiedziane, wiem, ale cóż mogę poradzić. Jestem beznadziejnie romantyczny u podstaw i nie mogę tego wyplenić. Pewnie dlatego tak na raty czytam tego Gombrowicza. Zanadto zachwyca mnie brutalność i precyzja, z jaką znęca się nad „polskim kompleksem”. Ten romantycznie kochający się w dziewczynach chłopiec z lat szkolnych, kiedy to głupim cielęciem będąc wierzyłem, że miłość jest prosta, zawsze szczerą i wieczną, oj, jakżem był naiwny, a jakże zauroczony Wieszczem Naszym Adamem... Po co mi to było... Oprócz miłosnych uniesień oczywiście, rosła jakaś moja wiara w Naród. Tu klepię się w czoło, wywracam oczami i macham ręką zbywając temat. Wstyd mówić. Boże, ja tylko próbuję zasnąć, a cisną mi się na myśl sprawy kraju, jakbym nie miał dość koszmarów za dnia.

Odkrywam coraz częściej, że wszystko ciężiej mi przychodzi. Nikomu o tym nie mówię, bo wyczuwam, że wszyscy wokół mnie czują brzemię czasów, jakie nadeszły. Postarzeliliśmy się o kilka lat, niektórzy wręcz umarli. Śmieję się, ale tak szczerze, nie jest mi do śmiechu. Pokłóciłem się ostatnio z przyjacielem. On wierzy, że nadchodzi Apokalipsa, w dosłownym biblijnym znaczeniu tego słowa. Namawia mnie do modlitwy, cytuje Biblię w dyskusjach a moje kontrargumenty zbywa jako „mało wiarygodne”. Oczywiście ja mam swoją teorię, dlaczego mu peron odjechał. Historia jak każda z osobą wciągniętą w jakiś sekciarski sposób myślenia, co mi ktoś zresztą dobrze niedawno uzmysłowił. I boli mnie to (może nie tak bardzo, jak powinno, choć jebał to pies, jak być „powinno”), że tak łatwo było podzielić ludzi, tak zmanipulować masą, która po prostu nie wiedziała lepiej, bo nie miała na to szansy... On nie był taki jeszcze dwa lata temu. Widziałem go w różnych momentach, lepszych, gorszych, fatalnych i ekstatycznych, ale to jest bardziej niepokojące niż kilkudniowy ciąg mefedronowy. To drugie zdarza się najlepszym. Na szczęście z tego się wyrasta, a z teorii spiskowych chyba już z gorzej.

Otóż do czego zmierzam... Nigdy nie wiedziałem. Pisanie nie musi specjalnie do niczego prowadzić, dopóki jest szczerze. Nie wierzę ani w szczęśliwe, ani nieszczęśliwe zakończenia. Wierzę w wiarygodne.

Na śniadanie zjadłem bułkę. Zaparzyłem kawę. Brązową pianę z fusów rozbiłem łyżką jak powierzchnię kremu *brûlée*. Potem nalykałem się zimnego powietrza wciskającego się do nory przez nieszczelne okna, a po porannym mikro-ataku paniki wywołanym rzutem oka na pierwsze napotkane nagłówki decyduję się na rozpacz.

Kołaczące w głowie obrazy zrozpaczonych bohaterów, sceny z filmów, które tak mi zapadły w pamięć, wypalając ślad na mojej jakże młodej, jakże naiwnej kiedyś duszy. Jakże odległy jestem sobie sprzed dekady zaledwie. Nic to odkrywczego, lecz przecież zawsze mówi się „ach, jak ten czas leci”. Leci w nas i przez nas. Po nas i wszystkich wokół widać mijające lata. Drzewa rosną, fasady budynków niszczeją, ludzie umierają.

Dziesięć lat temu... Naiwnie wierzyłem jeszcze, że świat nie jest stracony, choć koniec świata, jaki znamy, widziałem już w wielu wariacjach. I te wariacje niestety przenikają się z doświadczeniem, jakim jest egzystencja w środku XXI-wiecznej Europy, ba, świata! Tak, jestem środkiem swojego świata, bo wszystko mnie otacza, a ja to wszystko postrzegam. Zakrawa to na skrajny solipsyzm, lecz nic w tym z egoizmu.

Przewrażliwiony po prostu jestem, bo ciągle nie dopilem kawy, bo co rusz chwytam za pióro i muszę pisać, bo coś mi rozkazuje. Czuję się jak bohater Czechowa, tylko sztuka jakaś taka metamodernistyczna. Tu mógłbym pewnie wyprodukować mechanicznie moją jakże krytyczną opinię o teatrze współczesnym, ale kto to ogląda i kto by to czytał, zwłaszcza teraz.

No więc... Tak się chyba nie powinno zaczynać zdania, no ale chuj z tym. No więc siedzę sobie taki średnio-zdolny, może-sprytny, zdemotywowany, zdemoralizowany ja. Prawdą jest, że zawsze można coś zrobić ze sobą, czymś się zająć, a narzekanie nic nikomu nie daje i niczego nie wnosi.

Skończyłem kawę. Patrzę za okno. Płyną spokojnie białe płatki. Coś się we mnie porusza. Uśmiecham się do siebie i wybieram naiwną wiarę. Jeśli umierać, to na własnych warunkach.

Jak może pamiętacie ze wspomnień, które wyparliście, kiedyś chcieliśmy takiego mrozu i zimy, kiedyś to było normalne. Teraz więc, gdy wychodzę, wyruszam znów w podróż pociągiem, tak przecież jakoś wytęsknioną, jak bym się przejechał pociągiem myślałem żeby może coś zrobić, zamyślić się tęsknić za czymś czego nie widzę i nie czuję tak mocno jak w tamte zimy napisać coś może jak Adam się poczuć odkrywając swój świat i przypomnieć sobie jak się stało z lodem w skórzanych butach i dymem w ustach za czymś wartościowym za kimś co życiu sens nadawał mimo jego oczywistego braku a za oknem dalej wzbijają się kłęby puchu niesione pędem maszyny rozpedzonej w nieskończoną biel bezkresną biel lekką piękną biel śnieżną niczym nie zmaconą pod którą nika na czas jakiś brudy świata i nie ci co powinni ludzie i płonne nadzieje tęsknoty pragnienia wiosny.

Lekturę na podróż dobierałem bardzo długo, usiłując wziąć coś, co nie komentuje obecnej rzeczywistości. Próżna nadzieja, bo przecież wszystko z przeszłości odnosi się do teraźniejszości, choćby z faktu istnienia w niej. Przeszłość istnieje tylko w relacji do swojej przyszłości i *vice versa*.

Życie wyłącznie „w danej chwili” jest mokrym snem wszystkich fałszywych proroków z *social media*, tych których toksyczna pozytywność odbiera te resztki smaku życia, o których nie wiedziało się, że jeszcze w ogóle są. Z obrzydzeniem niekiedy przypatruję się tym nieprawdopodobnym ciułom, durniom, którzy skutecznie wmówili sami sobie, że doznali Oświecenia. Ja też znam podstawy mechaniki kwantowej, też medytuję, staram się odżywiać sensownie, jestem świadom nakładających się warstw rzeczywistości materialnej i niematerialnej. Przecież to nic nowego. Im Oświecenie przyniosło „duchowy wzrost”. Mi zaś pewne rozczarowanie i cyniczny stosunek do rzeczy samych w sobie. Jeżeli zatem świadomość przypadkowości i nieprzewidywalności kosmosu i w efekcie nas, i naszego świata jest faktem, to skąd w nich ta arogancja, to przekonanie, że mogą coś zmienić. Życie płynie niezmiennie, niezależnie od nas, do chwili, gdy zdecydujemy się przeprowadzić obserwację.

Było. To wszystko już było.

Idę więc tak smętnie jak we śnie w tę oślepiającą biel na pociąg, na jakiś wypoczynek, do rodziny tak bliskiej przecież. Tak czulej, troskliwej i dumnej z osiągnięć. Jak odpoczywać, kiedy wszyscy pytają co u ciebie, jak twoje egzaminy i inne przyziemne rzeczy?

Dołączam do tej mechanicznej metalicznej karawany przecinającej rozległe przestrzenie białej pustyni. Na skądinąd gładkiej, skrzęcej się nieskończoną ilością maleńkich tęczy powierzchni widać ślady zwierzyny. Ślad natury widoczny tak rzadko, kiedy większość fauny i flory odpoczywa od aktywnego istnienia. Tropy saren, zajęcy, dzików, niezwykle, niejednolite krzywizny drzew i krzewów, stojące od zawsze w kontrze do równych, gładkich śladów zostawianych przez człowieka. Odcisk podeszwy zimowego obuwia, ślad narty w białej tafli, srebrna połyskliwość torów kolejowych czy czerń asfaltu. Człowiek zawsze wyraźną linią oddziela się od natury. Jak gdyby nie chciał czuć się jej częścią, odcinał się od niej.

Chciałbym wychodzić sobie rozum. Jakaś umiejętność sprawnego opisywania mojej rzeczywistości, sprawność w pojmowaniu pojęć, operowaniu nimi. Żeby nie szukać akceptacji, po prostu być. Gdziekolwiek dotąd nie pobiegłem, zawsze znajdowałem tam siebie. Nie uciekać przed sobą, lecz odkrywać siebie w nowych miejscach.

Podnoszę wzrok. W lustrze nad fotelami odbija się widok zza okna. Drzewa i budynki zlewają się ze sobą na skraju, jakby świat sam się pochłaniał i tworzył na bieżąco. Jeśli więc żyjemy w symulacji, to muszę przyznać, że pięknie została zaprojektowana. Ktoś o bardzo sentymentalnej duszy musiał projektować te stojące pośrodku niczego drzewa. Odbijają się swoją samotnością od jałowej bieli horyzontu i rdzawych linii miedzy.

Dosiada się do mnie starszy mężczyzna. Jego ruchy są spowolnione, prawie karykaturalne. Żółtawo-beżowa twarz o zapadniętych oczach upstrzonych niezliczonymi zmarszczkami zakryta

jest niebieską maską. Spozierają na mnie dwie błękitne źrenice, rozjaśniając się w kącikach. Dzień dobry, mówię. Dobry, dobry. Dostrzegam, że oliwkowe spodnie mają kilka rdzawych plam, buty jednak zadbane, plecak też. W ręku trzyma bilet. Siada przodem do lokomotywy, zaplata ręce na brzuchu i wpatruje się w biel. Powieki opadają bezwiednie, a zgrabiałe palce rozluźniają splot. Żeby tylko nie umarł. Nawet jeśli, to przynajmniej dojedzie na miejsce w spokoju.

Na dworcu nikt nie czeka. Z zakrytą twarzą czuję się jak tajemniczy przybysz, kuracjusz o anonimowej tożsamości. Jakaś chęźa dziewczyna pyta mnie o ogień. Przypadkiem nie mam, idzie więc dalej, zaczepiając kobietę stojącą z papierosem przy śmietniku. Odpala, dziękuje i odwraca się zapatrując się przed siebie, twarzą do słońca. Jej odkryte kostki i cienkie spodnie z dermy zadziwiają mnie, bo sam mam na stopach grube skarpety narciarskie i buty za kostkę.

Czekam więc nadal. Słońce oślepia mnie z góry i z poziomu ulicy, odbijając się w kałużach wody i lodu, powietrze przesiąkło zapachem dymu z pobliskiego koksownika, przy którym wytrwale grzał dłonie człowiek, którego cała postać z odległości zdawała się być czarną masą o kształcie tylko zbliżonym do ludzkiego. Pod budynek przyjeżdżały kolejne samochody dowożące podróżnych, byłem świadkiem pożegnań szybkich, czułych, długich i niechcianych. W pewnym momencie zamknąłem oczy. Nie wiem, jak długo tak stałem. Z zamyślenia wyrwał mnie klakson. Ciotka podjechała.

Kiedy dojechaliśmy do domu, słońce już zniżało się nad horyzontem, bijąc pokłon tym, którzy dotrwali do wieczora. Rozpakowałem się i postanowiłem przed obiadem rozejrzeć się po okolicy, która w ciągu dwóch lat mej nieobecności dojrzała i zmieniła swój charakter. Nawet do tej, wydawałoby się, zapomnianej przez samego Stwórcę wioski dotarła cywilizacja. Polna droga uczęszczana przez rolników stała się „betonką”. Wielkie betonowe płyty oklejone teraz lodem i puchem śnieżnym, oświetlane przez ledowe uliczne lampy. Stary dom, dawno temu zamieszkały przez przesiedleńców z Bieszczad – moich dziadków – też już nie jest tym samym domem. Jedyne co niezmiennie, to ta natura. Rozległe pola, przez które zawsze chcę biec na przelaj na sam ich widok. Biec za czym? Nie wiem. Jakbym próbował gonić przestrzeń, jakbym chciał się do niego zbliżyć i tracić piękno dystansu, zamiast biec w obraz świata, który widzę przed sobą. Wpatruję się w nisko zawieszzone niebo, chmury płynące mi tuż przed nosem. Słucham trzeszczenia płatków śniegu ocierających się i ginących pod naciskiem stóp. Słucham ciszy, w której dosłyszeć mogę swój oddech, bicie serca. Obłoki pary z ust roznosi na strzępy niesłyszalny wiatr. Chyba odpoczywam.

Pytań zbyt wiele nie ma. Jemy obiad we względnej ciszy. Aż niezręcznej. Wuj pracuje w warsztacie cały dzień, ciotka opiekuje się niepełnosprawnym synem. Bardziej ma chyba potrzebę ponarzekać, żeby ktoś jej powspółczuł, poklepał po plecach i powiedział „nie no, ty masz naprawdę ciężko”. Bo ma.



A kiedy umykam cichcem na górę, żeby skrócić jointa i spojrzeć w tę nieskończoną ciemność zimnej nocy, czuję ciągły spokój. Coś cicho pękło i się skończyło. Potok słów przepływa mi przez myśli i nagle jasność. To mi się kiedyś śniło. I myślę sobie, że wyśniłem już sobie całe swoje życie, teraz tylko zaliczam punkty zapisu, niczym w grze.

Ściągnę łóżko, zdejmuję okulary, gaszę światło. Całkowita ciemność, jakiej w mieście osiągnąć się nie da. Cisza przerywana jedynie nikłym szelestem śniegu ocierającego się o szybę.

Moja relacja ze światem jest relacją wzajemnego braku zainteresowania, z wyłączeniem odmiennych stanów świadomości. Dlatego się odurzam i długo śpię. Świat na trzeźwo jest nie do przyjęcia.



Julian Fałat, *Śnieg* (1907)



# SCENARIUSZ



Ingmar Bergman, *Det sjunde inseglet* (1957), zdj. Gunnar Fischer

# AGNES

FILIP BIELIŃSKI

BLACK SCREEN

Cała scena odbywa się przy czarnym ekranie.

WNĘTRZE. SAMOCHÓD

Słychać dźwięk silnika. Okno otwarte, wiatr obija się o tylną szybę auta. W pewnym momencie słychać także odgłos palenia papierosa i wydychanego dymu.

MEŹCZYZNA 1

Co za chujnia.

Samochód zatrzymuje się z piskiem opon. MEŹCZYZNA 2 śmieje się.

MEŹCZYZNA 1

Kurwa! Pojebało cię?!

Mężczyzna 2 wysiada z samochodu ze śmiechem trzaskając drzwiami.

MEŹCZYZNA 1

Debil.

Dźwięk przeładowywania zamka pistoletu. MEŹCZYZNA 1 również wysiada i zatrzaskuje drzwi.

Chwila spokoju. Słychać tylko stuk obcasów przechodzącej kobiety.

Nagle rozlegają się strzały - kilkukrotnie, potem krzyk i wybuch. Coś upada na maskę samochodu; w pobliskich pojazdach włącza się alarm.

OBRAZ KAMERY ZOSTAJE WŁĄCZONY - DZIEŃ

Kamera znajduje się na tylnym siedzeniu samochodu. Samochód luksusowy, skórzane obicia komputer pokładowy. Na masce leży ciało Mężczyzny 2.

Kamera wyjeżdża przez dach samochodu i wlatuje ku górze do wyrwy w ścianie budynku. Na rumowisku podłogi leży rozerwane ciało Mężczyzny 1, a w rogu siedzi AGNES (7 l.), mała słodka brunetka; w ramionach trzyma pluszowego misia.

Zabawka zamiast oczu ma wszyte guziki i wygląda jak praca patchworkowa. Agnes płacze cichutko.

PLANSZA TYTUŁOWA FILMU

Pojawia się tytuł filmu; jakby starannie napisany przez małe dziecko.

WNĘTRZE. MIEJSCE WYBUCHU. DZIEŃ

Zrujnowane mieszkanie oklejone taśmami policyjnymi. Gdzieś leżą kartoniki z numerami dowodów, a policjanci robią zdjęcia. Wchodzi ROMAN (42 l.), detektyw z niejasną przeszłością, który prowadzi sprawę wybuchu. Jego buty są eleganckie, ale ubrudzone. Kamera kieruje się ku górze i podąża za dłonią, w której jest zapalniczka. Roman odpala papierosa.

RALPH (28 l.) podchodzi do Romana i wręcza mu dokumenty. Roman je przegląda.

RALPH

Dwie ofiary, rośli mężczyźni,  
około 40 lat.

ROMAN

Znamy ich?

RALPH

Nie ma ich w bazie.

ROMAN

Odciski palców?

RALPH

Nie ma.

ROMAN

Czyli przypadkowe ofiary.

RALPH

Nie. Oni w ogóle nie mają linii  
papilarnych.

Roman wygląda na zaskoczonego. Kładzie dokumenty na zniszczonej komodzie. Razem z Ralphem podchodzą do jednej

z ofiar. Roman zakłada rękawiczkę i łapie Mężczyznę 1 za rękę. Przygląda się palcom, na których brakuje linii papilarnych.

ROMAN

Jakieś znaki szczególne?

RALPH

Nic ciekawego oprócz tego.

Ralph pokazuje Romanowi tatuaż w kształcie półksiężyca na karku Mężczyzny 1.

ROMAN

Dzięki, sierżancie.

RALPH

Aspirancie. Wczoraj dostałem awans.

ROMAN

No to gratulacje. Kasia pewnie szczęśliwa.

RALPH

Byliśmy na kolacji w „Camporeнии”.

Roman rzuca niedopałek papierosa na ziemię i zdeptuje go. Podchodzi do Ralpa i przytula go po bratersku.

RALPH

Weź, bo się zaraz rozkleję.

ROMAN

Wiesz, że zawsze byłeś tym młodszym i głupszym?

Policjant uśmiecha się. Roman lekko się odsuwa i trzyma go za ramiona.

ROMAN

Mama byłaby z ciebie dumna.



RALPH

Wiem.

ROMAN

Gdzie dziewczynka?

RALPH

W Koperniku. Ale nic jej nie jest.  
Zabrali ją na wszelki.

ROMAN

Dzięki. Do zobaczenia.

Roman wychodzi. Zbliżenie na róg pokoju, w którym siedziała dziewczynka. Na ścianie pod wpływem siły wybuchu odbił się kontur Agnes.

WNĘTRZE. KORYTARZ SZPITALA KOPERNIKA. DZIEŃ

Roman idzie korytarzem. Po drodze zaczepia pielęgniarkę, która pokazuje mu, gdzie ma się kierować. Ten dziękuje i idzie we wskazanym kierunku.  
Skręca w prawo i wchodzi do pomieszczenia;  
kamera podąża za nim.

WNĘTRZE. SALA SZPITALNA KOPERNIKA. DZIEŃ

Agnes leży na łóżku szpitalnym oglądając telewizor,  
w dłoniach ściska swojego misia.  
Roman wchodzi do sali i momentalnie wzrok Agnes skupia się na nim. Ten przechadza się po sali krokiem spokojnym, lekko chwiejnym, ale pewnym siebie. Wreszcie spogląda na włączony telewizor.

ROMAN

„Przyjaciele”. Fajny serial.

Agnes milczy. Wydaje się nie rozumieć, co Roman do niej mówi, ale jej wzrok jest skupiony wyłącznie na nim.

ROMAN

Nie przepadam za sitcomami, ale ten jest całkiem znośny.

Agnes dalej milczy. Do sali wchodzi LEKARZ.

LEKARZ

A pan to?

ROMAN

Roman Bork. Detektyw.

Roman pokazuje Lekarzowi odznakę.

ROMAN

Co z małą?

LEKARZ

Bez szwanku. Nie mam pojęcia, jak. Wybuch powinien ją rozerwać na strzępy, a ona nie ma nawet zadrapania. Wszystkie wyniki w normie. Ktoś nad nią czuwa.

ROMAN

Dziękuję doktorze. Pozwoli Pan, że zostanę chwilę z dziewczyną?

LEKARZ

Niech będzie. Pójdę ją w tym czasie wypisać.

Lekarz wychodzi, lecz nagle zatrzymuje się i odwraca do Romana.

LEKARZ

Wie Pan... Dziwna sprawa, ale nie możemy ustalić jej tożsamości. Młoda powiedziała tylko, że nazywa się Agnes. Rodziców nie ma peselu też. Jeśli mógłby pan jakoś pomóc...

ROMAN

Pewnie. Zaraz po rozmowie się tym zajmę.

Lekarz wychodzi.

ROMAN

No mała. Powiesz mi coś?

Roman i Agnes przez chwilę patrzą na siebie w skupieniu, po czym Roman chwyta za pilota i wyłącza telewizor. Agnes zaskoczona patrzy w wyłączony ekran, po czym z nienawiścią w oczach spogląda na Romana.

ROMAN

No i co teraz? Ugryziesz mnie?

Agnes zaczyna szczerzyć zęby, gdy nagle z korytarza dobiegają krzyki.

PIEŁĘGNIARKA

Przepraszam, ale tu nie można...

Słychać czyjeś uderzenie w stalowy stół z narzędziami chirurgicznymi. Gniew na twarzy Agnes momentalnie zamienia się w strach. Roman spogląda na drzwi.

ROMAN

Poczekaj tu.

Roman powoli podchodzi do drzwi na korytarz i wygląda zza framugi. Widzi zbliżających się trzech rosłych MEŹCZYŹN, ubranych na czarno. Jeden z nich, środkowy, ma na czole tatuaż w kształcie półksiężyca. Roman podbiega do Agnes i chwyta ją za rękę.

ROMAN

Musimy uciekać.

Roman wyciąga Agnes z łóżka i ciągnie za sobą. Wybiegają z sali.

WNĘTRZE. KORYTARZ SZPITALA KOPERNIKA. DZIEŃ

Roman i Agnes wybiegają z prawej strony i zaczynają szybkim krokiem iść wzdłuż korytarza. Nagle zauważa ich jeden z mężczyzn.

MEŹCZYŹNA 3

Tam są!

Mężczyźni zaczynają gonić Romana i Agnes. MĘŻCZYŻNA 3 wyciąga broń i strzela w kierunku uciekinierów.

Roman i Agnes momentalnie się uchylają i skręcają do pobliskiej sali. Przebiegają przez nią i wybiegają na kolejny korytarz.

ROMAN

Chować się! Schowajcie się!

Pada strzał. Szyba pokoju, przez który przebiegali uciekinierzy, zostaje rozbita.

Dwóch mężczyzn wybiega drzwiami; jeden, z półksiężycem na czole, wyskakuje przez rozbite okno i strzela w kierunku Romana i Agnes. Kulą dostaje jeden z pacjentów na korytarzu. Roman i Agnes chowają się za rogiem. Roman wyciąga broń i wychyla się zza rogu, oddając kilka strzałów w kierunku napastników.

Jeden z nich otrzymuje postrzał w ramię, ale nie robi to na nim żadnego wrażenia.

Roman chwyta dziewczynkę i uciekają dalej. Wbiegają do pokoju na końcu korytarza.

WNĘTRZE. SALA SZPITALNA (DRUGA). DZIEŃ

Roman pośpiesznie szuka drugiego wyjścia, którego nie znajduje. Spogląda przez okno, lecz pomieszczenie znajduje się na drugim piętrze. Roman wywraca stolik robiąc z niego zasłonę.

ROMAN

Schowaj się za szafą!

Agnes wykonuje polecenie i chowa się za szafą, która znajduje się za Romanem i jego zasłoną.

Roman celuje z pistoletu w drzwi i uspokaja oddech czekając na napastników.

Mężczyzna 3 wchodzi drzwiami. Roman oddaje strzał w jego brzuch. Mężczyzna 3 chowa się za róg drzwi. Roman słyszy rozmowę napastników.

MĘŻCZYŻNA 3

Kurwa! Znowu będzie szycie.

MĘŻCZYŻNA 4

No to przyjmij resztę ognia.  
Lepiej ty sam niż wszyscy.

MEŹCZYŻNA 3

Taki, kurwa, jesteś mądry, to sam  
sobie gnij na tym stole.

MEŹCZYŻNA 4

Idź, kurwa, i nie marudź.

Mężczyzna 3 wychyla się zza rogu.  
Roman strzela, pocisk przebija framugę drzwi.

MEŹCZYŻNA 3

Skurwiel jebany. Trafił mi w oko.  
Nie mam, jak celować.

MEŹCZYŻNA 4

Wszystko trzeba samemu zrobić.

Rozmowa cichnie. Chwila ciszy daje nadzieję uciekinierom, że to koniec pościgu. Nagle ściana obok bohaterów zaczyna pękać, a od strony drzwi wchodzi MEŹCZYŻNA 5 oraz Mężczyzna 3 z dziurą w miejscu oczodołu.

Roman przerażony cofa się do ściany chcąc zasłonić Agnes. Ściana w końcu pęka a przez dziurę przechodzi MEŹCZYŻNA 4. Roman wystrzeliwuje w jego kierunku pozostałe pięć kul, po czym jeszcze kilkukrotnie próbuje oddać strzał. Agnes łapie Romana za ramię, ten odwraca się zdziwiony. Dziewczynka stoi, w prawej ręce trzyma misia. Jej lewa ręka jest zaciśnięta a Agnes spogląda na Mężczyznę 4. Lewa ręka Agnes rozpala się do czerwoności, a jej oczy zaczynają płonąć. Agnes mija Romana i rozprawia się z napastnikami, ale widzimy tylko reakcje Romana na to, co się dzieje.

WNĘTRZE. RESTAURACJA „U JOE'EGO”. PORANEK

Roman i Agnes siedzą przy stoliku. Roman patrzy na Agnes, która ze smakiem zjada kolejną porcję pancake'ów. Milczenie trwa dłuższą chwilę.

ROMAN

A więc. To ty jesteś tym wybuchem,  
tak?

Agnes nie zwraca uwagi na to, co mówi Roman. Jest całkowicie zajęta jedzeniem.



Roman wyciąga papierosa i zapala go.  
Agnes spogląda na Romana a jego papieros spala się aż do filtra parząc usta detektywa.

ROMAN

Ała! Ok, rozumiem. Nie lubisz palenia.

WNĘTRZE. SALA GŁÓWNA „PÓŁKSIEŻYCA”. NOC

Ciemne pomieszczenie, na którego środku stoi kamienny tron.  
Na nim siedzi DAVO (30 l.), elegancki ciemnowłosy mężczyzna dobrze ubrany, z niewielką bródką.  
Podchodzi do niego LILITH (45 l.), elegancką bardzo atrakcyjna kobieta.  
Kamera obejmuje jedynie tył tronu.

LILITH

Nie dali rady.

Ręka Davo zaciska się na podłokietniku, ale po chwili napięcie znika a on sam odpowiada spokojnie.

DAVO

Zajmij się tym, proszę.

LILITH

Tak jest.

WNĘTRZE. RESTAURACJA „U JOE'EGO. PORANEK

Roman i Agnes siedzą w restauracji.

ROMAN

Powiedz cokolwiek. Kim jesteś, co tu robisz, czy masz rodzinę.

AGNES

(milczy)

ROMAN

Dobra. Mam pomysł co możemy zrobić. Chodź.

Roman wstaje i czeka na Agnes, lecz ta nie wygląda, jakby zamierzała się ruszać.

ROMAN

Proszę cię. Chodź ze mną.

Agnes nie reaguje.

Roman decyduje się sięgnąć po misia dziewczynki, lecz gdy tylko wyciąga rękę w jego kierunku, ta natychmiast łapie ją i wykręca z ogromną siłą.

ROMAN

Rozumiem, nie dotykamy misia.

Roman trzyma się za nadgarstek. Widać, że zdziwiony jest ogromną siłą Agnes.

Siedmiolatka wstaje i wychodzi z restauracji.

Roman patrzy na nią, po czym wyciąga banknoty z kieszeni i część z nich zostawia na stoliku; również wychodzi.

PLENER. PRZED RESTAURACJĄ „U JOE'EGO”. PORANEK

Roman i Agnes zbliżają się do samochodu - czarny Land Rover, trochę zdezelowany.

Roman otwiera Agnes drzwi i pomaga jej wejść do środka. Zamyka drzwi i przechodzi na drugą stronę samochodu, po czym siada za kierownicą. Wyciąga papierosa i wkłada go do ust. Zapala zapalniczkę i widzi, że ogień jest nieco żywszy niż zwykle. Spogląda na Agnes, po czym gasi i chowa zapalniczkę; odkłada papierosa.

ROMAN

No tak. Zapomniałem.

Roman uruchamia samochód i odjeżdża z parkingu restauracji. Kiedy kamera obejmuje odjeżdżającego Land Rovera, zza kadru wyłania się Lilith.

WNĘTRZE. SAMOCHÓD ROMANA. DZIEŃ

Para bohaterów jedzie drogą. Agnes śpi wtulona w swojego misia. Roman zerka na nią. Dziewczynka wydaje się teraz zupełnie normalna i niezmiernie urocza. Roman uśmiecha się lekko.

PLENER. PRZED DOMEM RALPHA. WIECZÓR

Land Rover Romana parkuje przy domu Ralpha.  
Dom jednorodzinny duży, na wiejskim wzgórzu. Wokół las i łąki.

WNĘTRZE. SAMOCHÓD ROMANA. WIECZÓR

Roman włącza silnik.

ROMAN

Agnes, pobudka.

Agnes nie reaguje i cały czas śpi.  
Roman przeciera oczy, po czym wysiada z samochodu i podchodzi od strony pasażera. Otwiera drzwi i podnosi Agnes w ramionach; drzwi zamyka nogą.

PLENER. PRZED DOMEM RALPHA. WIECZÓR

Roman podchodzi do drzwi domu z Agnes na rękach i dzwoni.  
Otwiera mu Ralph.

RALPH

Roman?

ROMAN

Wpuścisz nas?

RALPH

Tak, pewnie. Wchodźcie.

Roman wchodzi do domu.  
Ralph rozgląda się jeszcze na zewnątrz i zamyka drzwi na klucz.

WNĘTRZE. DOM RALPHA. WIECZÓR

Trójka bohaterów siedzi w kuchni; niezręczna cisza.  
Ralph kończy wycierać naczynia.  
Agnes bawi się cukierkami w misce na środku stołu.

RALPH

A więc...

ROMAN

Wiem, że to brzmi bardzo źle, ale to prawda.

RALPH

Ale jak...

ROMAN

Patrz.

Roman wyciąga papierosa i zapala go.

RALPH

Nie pal tu!

Tym razem Agnes podpala całego papierosa. Ralph w pośpiechu napełnia szklanke wodą i wylewa ją na papierosa i twarz brata. Ralph patrzy zdziwiony. Roman wyciera twarz rękawem.

ROMAN

Mówiłem.

RALPH

No dobra ale kto ją ściga. I czym ona jest?

ROMAN

Tego nie wiem, ale uratowała mi życie. Nie mogę jej tak zostawić.

Ralph podchodzi do Agnes.

RALPH

Hej, malutka. Skąd się tu wzięłaś?

Agnes patrzy na niego z zażenowaniem.

ROMAN

Niewiele mówi.

RALPH

Zauważyłem.

Ralph zwraca się znowu do Agnes.

RALPH

A co tu masz? Jaki piękny miś.  
Mogę go zobaczyć?

Ralph wyciąga rękę po misia a ten natychmiast zaczyna płonać.  
Ralph cofa się z krzykiem. Miś nagle gaśnie.

ROMAN

Nie dotykać misia.

RALPH

Nie dotykać misia.

Ktoś puka do drzwi. Bohaterowie są zaniepokojeni.

ROMAN

To Kasia?

RALPH

Nie. Wyjechała do rodziny. Pójdę  
sprawdzić kto to, a wy się  
schowajcie.

Ralph wychodzi na korytarz.  
Roman i Agnes chowają się za kanapą.  
Słyszą rozmowę Ralpa z kobietą.

RALPH

Tak słucham?

KOBIETA

Pan Ralph Bork?

RALPH

Tak jest.



KOBIETA

Przesyłka do pana.

Rozlega się przeraźliwy krzyk bólu. W progu kuchni pojawia się Lilith, która niesie martwego, przebitego ręką Ralpa.

ROMAN

Ralph!

Roman zaczyna biec w kierunku Lilith, lecz ta zgrabnym ruchem dłoni odrzuca go od siebie.

Lilith opuszcza ciało Ralpa na podłogę i przechadza się po kuchni. Podchodzi do miski z owocami, bierze jabłko i opierając się o blat zaczyna je jeść. Sok z owocu cieknie jej po brodzie.

LILITH

Gdzie ona jest?

Lilith zmysłowo ociera usta rękawem.  
Roman podbiega do ciała swojego brata; płacze.

LILITH

Hej!

Lilith machnięciem ręki rzuca w Romana talerzem.  
Ten dostaje nim w żebra i łapie się za bok.

LILITH

Mamusia nie nauczyła, żeby  
odpowiadać, jak starsi pytają?

Lilith podchodzi do Romana kuca przy martwym ciele Ralpa i zaczyna szeptać do ucha detektywa.

LILITH

Gdzie. Jest. Dziecko.

ROMAN

Nie wiem, o kim mówisz.  
Tu nikogo nie ma.

LILITH

Śmiesz kłamać w obecności  
Pierwszej Kłamliwej?

Roman patrzy na Lilith ze zdziwieniem po czym zrozpaczony wpada w szal i rzuca się na nią. Lilith zaczyna się śmiać i łapie Romana za szyję dusząc go. Po chwili rzuca go w kierunku ściany, lecz ten zatrzymuje się w połowie drogi i powoli upada na ziemię.

LILITH

Dziecko...

Lilith odwraca się; za nią stoi Agnes, która trzyma swojego misia. Jej tęczęwki zmieniły kolor na czerwony.

LILITH

Wiesz, ile tatuś się ciebie  
naszukał?

Lilith zaczyna zbliżać się do Agnes.

LILITH

Przez najbliższe kilkaset lat  
będziesz miała przesrane. Nie  
chciałabym być...

Lilith zostaje uderzona od tyłu talerzem, lecz nie reaguje w żaden sposób. Odwraca się i spogląda na poobijanego Romana, który ledwie trzyma się na nogach.

LILITH

Ciebie chciałam zostawić na deser,  
ale skoro tak się palisz do  
śmierci...

Lilith podnosi rękę i już ma zadać ostateczny cios, kiedy nagle zostaje uderzona siłą Agnes i wylatuje na podwórko przez ścianę.

PLENER. PRZED DOMEM RALPHA. NOC

Lilith wyraźnie obolała podnosi się z ziemi, ubrudzona. Agnes wychodzi przez dziurę w ścianie w jej kierunku.

LILITH

Doigrałaś się, smarkulo. Będiesz  
błagała, żeby wrócić do piekła!

Lilith w ułamku sekundy znajduje się za Agnes i zaczyna ją  
dusić. Dziewczynka krzyczy. Jej oczy zaczynają płonąć. Ogromny  
podmuch wiatru odrzuca Lilith na kilka metrów. Kobieta zaczyna  
się śmiać.

LILITH

Chyba czegoś nie przypilnowałaś.

Lilith wyciąga zza pleców misia Agnes.  
Agnes wydaje się ogromnie przerażona.

LILITH

Nie trzeba było ze mną zadzierać.

Miś zaczyna lewitować nad prawą ręką Lilith i wybucha  
płomieniem. Agnes zaczyna płakać, a jej moce zaczynają gasnąć.  
Miś został już tylko popiołem na dłoni Lilith.  
Agnes szlocha klęcząc.

LILITH

A teraz wracamy do domu, gówniario.

Agnes uspokaja się i spogląda na Lilith z nienawiścią. Jej  
dłonie zaczynają płonąć. Wstaje i zamyka oczy. Kiedy je  
otwiera zaczyna płonąć cała. Jej krzyk jest nie do zniesienia  
dla Lilith.  
Agnes zaczyna atakować Lilith strumieniami ognia, a im mocniej  
krzyczy, tym ogień staje się bardziej żywy.  
Lilith kona - jej ciało zaczyna się topić.

DAVO

Dość!

Agnes odwraca się. Davo stoi przed nią, trzymając prawą ręką  
głowę Romana; reszta ciała policjanta ciągnie się po ziemi.

DAVO

Córko. Zostaw ją, inaczej ten  
śmiertelnik umrze.

Agnes nie przestaje palić Lilith.  
Davo podnosi Romana w górę i zaczyna zgniatać jego czaszkę.  
Roman krzyczy przeraźliwie.  
Agnes spogląda na Romana, a z jej płonących oczu zaczynają  
płynąć łzy. Po chwili dziewczynka gaśnie.

DAVO

Dobra dziewczynka. A teraz chodź  
do taty. Wracamy do domu.

Davo zaczyna podchodzić do Agnes, ta niechętnie podchodzi do  
niego. Davo łapie córkę za rękę i unosi drugą dłoń w kierunku  
Lilith, która podnosi się. Jej ciało zaczyna się zrastać.  
Kiedy wszyscy trzymają się za ręce, wybuchają płomieniem.  
Po chwili nie ma po nich śladu.

Zbliżenie na Romana, który leży cierpiący na ziemi.

Koniec części pierwszej.



Dante Gabriel Rosetti,  
*Lady Lilith.*  
*Study for the Head*  
(1872-73)

## TRZECIA DROGA

MARCIN MAKARA

SCENA 1.

PLENER. ULICA. WIECZÓR

Okolica poza miastem widać jednorodzinny dom i garaż ogrodzony płotem; w sąsiedztwie nie ma żadnych innych zabudowań.

Na podwórku stoi samochód osobowy.

Wszystko jest pokryte cienką warstwą śniegu.

SCENA 2.

WNETRZE. DOM. WIECZÓR

W salonie stoi choinka przed telewizorem siedzi na podłodze MAREK (32) i jego syn PIOTR (7); grają razem w grę na konsoli.

Obok nich siedzi córka KASIA (4); bawi się lalkami.

Do salonu wchodzi MAGDA (30). MAGDA trzyma w ręku koszulę.

MAGDA

Powoli kończcie, zaraz jedziemy do cioci.

MAGDA

(do Marka)

Weź tę załóż. Może byś się ogolił?

MAREK

Jeszcze chwilkę, tylko dokończymy.

Magda wychodzi z salonu. Marek gra z Piotrem w grę na konsoli.

Kasia bawi się lalkami.

Słychać dzwonek do drzwi.

KASIA

Mikołaj! Znowu Mikołaj przyszedł.

PIOTR

Mikołaj?!



Marek gra w grę na konsoli z Piotrem i mówi nie odrywając wzroku od ekranu.

MAREK

Mikołaj nie chodzi dwa razy. To jakaś inna niespodzianka. Powiedz mamie, żeby otworzyła.

Kasia wybiega z salonu.

KASIA

(krzyczy)

Mamo, mamo. Otwórz, tata mówi, że to niespodzianka.

Marek nadal gra z Piotrem w grę na konsoli.

MAREK

Kto!?

Do salonu wbiega Kasia.

KASIA

Tato, tato, mama cię woła.  
Niespodzianka do ciebie przyszła.

Marek wstaje; śmieje się.

MAREK

No, w końcu dla mnie jakaś niespodzianka.

MAREK

(do Piotra)

Graj za mnie.

Marek wychodzi z salonu.

SCENA 3.

WNETRZE. DOM. WIECZÓR

Przedpokój. Marek wchodzi uśmiechnięty do przedpokoju. Za nim biegnie Kasia.

Marek przestaje się śmiać, idzie coraz wolniej.

W przedpokoju stoi Magda i BASIA (23). Basia jest w zaawansowanej ciąży. Marek staje przed Magdą i Basią.

KASIA

Widzisz tato niespodzianka do  
ciebie przyszła. Nie cieszysz się?

Magda otwartą dłonią uderza Marka w twarz.

MAGDA

Ty gnoju!

KASIA

Mamo!

Magda ponownie otwartą dłonią uderza Marka w twarz.

MAGDA

Ty jebany gnoju.

KASIA

Mamo, mamo!

Do przedpokoju wbiega Piotr. Piotr stoi i patrzy na Basię, Magdę i Marka. Kasia płacze.

MAGDA

(do Kasi i Piotra)

Ubierajcie się, jedziemy do cioci.

PIOTR

(do Marka)

Co się stało?

MAREK

Nic.

Basia chwytą się za brzuch i siada na krześle.  
Magda szybko się ubiera i pomaga ubrać się Kasi.  
Piotr zakłada kurtkę.

PIOTR

(do Magdy)

Mamo, co się stało?

Kasia stoi ubrana w buty i kurtkę.  
Magda zakłada czapkę Kasi.  
Piotr zakłada czapkę.

MAGDA

(do Piotra)

Buty. Jedziemy do cioci, a tata  
zastanowi się, kogo kocha, mnie  
czy niespodziankę.

Piotr zakłada buty.  
Marek patrzy na Basię.  
Basia płacze.  
Marek patrzy na Magdę.

MAREK

Kocham was obie!

Basia płacze i chwytą się za brzuch.  
Magda bierze klucze od samochodu i wychodzi z domu z Kasią  
i Piotrem, trzaska drzwiami.  
Basia osuwa się na podłogę.

BASIA

Boli.

Marek pomaga wstać Basi, wychodzą razem z przedpokoju.

SCENA 4.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Marek i Basia wchodzą do salonu. Marek podtrzymuje Basię. Basia siada na kanapie, jęczy, trzyma się za brzuch.

MAREK

Może ci herbaty zrobię? Miętowej.  
To ci przejdzie.

BASIA

Strasznie boli.

MAREK

A może rumiankowej?

SCENA 5.

PLENER. ULICA. WIECZÓR

Magda zapina Kasię w foteliku z tyłu samochodu.  
Piotr wsiada do samochodu, siada do swojego fotelika, zamyka drzwi i zapina pasy.

PIOTR

Mamo, a co to za ciocia?

KASIA

Ona nazywa się „niespodzianka”.

PIOTR

To jakaś nowa ciocia?

KASIA

Nie słyszałeś? To bardzo ważna niespodzianka. Tata kocha ją razem z mamą.

Magda na chwilę nieruchomieje.  
Magda zapina Kasię i zamyka drzwi. Wsiada do samochodu.

SCENA 6.

WNĘTRZE. SAMOCHÓD. WIECZÓR

Magda siedzi w samochodzie, wkłada kluczyki do stacyjki, przekręca. Samochód nie chce się uruchomić.  
Magda przekręca kluczyki, samochód nie chce się uruchomić.  
Magda przekręca kluczyki samochód nie chce się uruchomić.

SCENA 7.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Marek stoi w kuchni; przez okno widzi, że samochód nie chce się uruchomić.  
Światła samochodu bardzo słabo się palą.  
Za oknem pada śnieg.

MAREK

Cholera!

Marek nalewa z elektrycznego czajnika wodę do szklanki.  
Bierze pudełko z herbatą, na którym jest napisane „Melisa”.

MAREK

O, to jest dobre.

Marek z pudełka, na którym jest napisane „Melisa”, wyciąga torebkę i wrzuca do szklanki, nakłada łyżeczką miód ze słoika i miesza.  
Bierze szklankę do ręki i wychodzi z kuchni.

SCENA 8.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Marek wchodzi do salonu.  
Na kanapie leży Basia, trzyma się za brzuch i jęczy.

MAREK

O, jest już herbatka. Z miodem.

BASIA

Człowieku ja nie mam kataru, ja rodzę, wody mi chyba odeszły.



MAREK

To może ja gdzieś zadzwonię?

SCENA 9.

PLENER. ULICA. WIECZÓR

Samochód ma otwartą maskę. Magda ogląda wewnątrz silnika, świeci latarką.

Magda zamyka maskę i wsiada do samochodu.

SCENA 10.

WNĘTRZE. SAMOCHÓD. WIECZÓR

Magda siedzi w samochodzie ręce i głowę ma oparte na kierownicy.

PIOTR

I co się stało?

MAGDA

Zepsuty.

KASIA

Mamo, mi jest zimno!

PIOTR

Mi też jest zimno.

SCENA 11.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Magda, Kasia i Piotr wchodzą do przedpokoju, są obsypani śniegiem.

Do przedpokoju wchodzi Marek.

MAREK

Co z autem?

Magda nie zwraca na Marka uwagi rozbiera Kasię.

Piotr zdejmuje kurtkę.

Słyszeć jęki Basi.

PIOTR

(do Marka)

Zepsuty.

MAREK

(do Magdy)

Na pogotowiu mówią, że są korki,  
złamania, wypadki i nie wiedzą,  
kiedy będą. Co robić?! Gdzie  
dzwonić?! Wody odeszły!

Piotr zdejmuje buty.

PIOTR

(do Marka)

Może na straż pożarną.

KASIA

Albo policję.

Magda nie zwraca uwagi na Marka.

MAGDA

(do Kasi i Piotra)

Do pokoju!

Magda wychodzi z dziećmi z przedpokoju.

Marek również wychodzi z przedpokoju.

SCENA 12.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Dziecięcy pokój. Magda leży na łóżku z Piotrem i Kasia,  
i czyta książkę.

Słychać krzyki Basi.

MAGDA

I Calineczka...

PIOTR

Mamo, dlaczego ta ciocia tak krzyczy?

KASIA

Tata coś jej robi?

MAGDA

(po chwili milczenia)

Już zrobił.

KASIA

A co?

Słyszać krzyki Basi.  
Magda dalej czyta książkę.

MAGDA

I Calineczka...

KASIA

Mamo, ja się boję, ta pani tak strasznie krzyczy.

Magda wstaje z łóżka, odkłada książkę, przez chwilę zamiera w bezruchu.  
Powoli idzie w stronę drzwi. Otwiera je, odwraca głowę i mówi do Kasi i Piotra.

MAGDA

Nie wychodźcie z pokoju. Pobawcie się klockami. Nie wychodźcie, aż nie wrócę.

SCENA 13.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

W salonie Basia leży na kanapie, Marek pochylony nad nią wyciera jej czoło gąbką do zmywania naczyń, która mieści się w jego dłoni; w rękę trzyma talerz do zupy.  
Do salonu wchodzi Magda, w rękach trzyma dużą miskę z wodą.

MAGDA

(do Marka)

Przynieś pościel i ręczniki.

MAREK

Jakie?

MAGDA

Wszystkie.

Magda stawia miskę na stole obok kanapy, na której leży Basia. Basia głośno jęczy i krzyczy. Magda podchodzi do Basi od strony nóg, rozchyła mocniej i tak już rozwarte nogi Basi.

MAGDA

Przyj. Rozumiesz? Przyj!

Basia jęczy i krzyczy.

MAGDA

Musisz się postarać. Przyj!  
Rozumiesz? Przyj, bo nikt nam nie pomoże.

Basia głośno krzyczy.  
Do pokoju wbiega Marek. W rękach trzyma dużą ilość pościeli i ręczników.

MAREK

Przecież ja pomagam.

Magda nagle wstaje i doskakuje do Marka, uderza trzykrotnie go w twarz.

MAGDA

Ty już, kurwa, pomogłeś.

Basia bardzo głośno, rozdzierająco krzyczy.  
Magda podchodzi do Basi i pomaga jej rozchylić nogi.  
Marek odwraca się i rusza w kierunku drzwi.

MAGDA

Wracaj, gnoju! Daj ręcznik!

Marek podchodzi do Magdy z ręcznikiem.  
Magda wrywa mu ręcznik uderza go w twarz i odwraca się do Basi.

MAGDA

(do Basi)

A ty, kurwa, przyj!

Basia wrzeszczy.

SCENA 14.

WNETRZE. DOM. WIECZÓR

Pokój dzieci. Kasia z Piotrem siedzą na łóżku.

KASIA

Coś nie krzyczą. Idziemy zobaczyć?

PIOTR

Tak razem to głośniej się kochają,  
niż jak są sami.

KASIA

Idziemy? Może coś im się stało.

PIOTR

Dziadek mówił, że jak się kochają,  
to krzywdy sobie nie robią.

KASIA

Ja idę zobaczyć.

Kasia otwiera drzwi i wychodzi z pokoju, za nią wychodzi Piotr.



SCENA 15.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Kasia z Piotrem wchodzą do salonu.  
Basia leży na kanapie przykryta kocem.  
Na podłodze, na rozłożonym prześcieradle Magda kończy zawijać w ręcznik MARZENĘ (10 minut), bierze ją na ręce i idzie w kierunku kanapy, na której leży Basia.

KASIA

(do Magdy)

Mamo, kto to jest?

Magda patrzy na Marka, patrzy na Basię, patrzy na Marzenę.

MAGDA

(do Kasi i Piotra)

To jest wasza siostra.

SCENA 16.

WNĘTRZE. DOM. DZIEŃ

Magda jest w kuchni. Do garnka z wodą wsypuje zupę w proszku. Odcedza makaron i wkłada go do miski, którą stawia na stole. Podchodzi do kuchenki i miesza zupę.  
Do kuchni wchodzi Basia, w rękę trzyma butelkę ze smoczką, podchodzi do zlewu i myje butelkę i smoczek.  
Magda podchodzi do lodówki, wyciąga sok, nalewa do szklanki i pije.  
Basia bierze drewnianą desę i kładzie ją na stole. Podchodzi do kuchenki, otwiera piekarnik i wyciąga z niego szklaną, żaroodporną brytfannę, w której jest zapiekanka z ziemniaków, warzyw, szpinaku. Stawia szklaną brytfannę na drewnianej desce na stole, patrzy na Magdę i mówi.

BASIA

Zrobiłam zapiekankę.

Na kuchence kipi zupa, którą gotowała Magda. Zupa z garnka wylewa się na kuchenkę. Magda podbiega, odstawia garnek z kipiącą zupą.

BASIA

Ojej!

Magda przez chwilę patrzy na Basię, podchodzi do stołu i zrzuca szklaną brytfannę z zapiekanką. Brytfanna z zapiekanką rozbija się na podłodze z terakoty. Basia patrzy na rozbitą brytfannę i porozrzucone na terakotowej podłodze ziemniaki z warzywami. Basia stoi i płacze. Powoli bierze wiadro na śmieci, kuca i wrzuca do niego resztki i okruchy, płacze. Magda podchodzi powoli do Basi, kuca i pomaga jej zebrać resztki szklanej brytfanny. Obejmuje Basię ręką.

BASIA

(szlochając)

Ja naprawdę nie mam, gdzie pójść.

Magda przytula Basię. Płacze.

SCENA 17.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Dziecięcy pokój. Basia leży na łóżku, obok niej leży Marzena i Kasia, która karmi Marzenę butelką. Piotr bawi się samochodem. Do pokoju wchodzi Magda.

MAGDA

No, jeszcze chwilę i kładziemy się spać.

Magda wychodzi z pokoju.

SCENA 18.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

W salonie Marek siedzi na kanapie, ogląda wiadomości w telewizji, pije piwo. Do salonu wchodzi Magda. Siada obok Marka.

MAREK

Śpia?

MAGDA

Jeszcze chwilę.

Marek z Magdą oglądają wiadomości.

MAGDA

Czekają nas nowe wydatki.

MAREK

O czym ty mówisz?

MAGDA

Basia jest zadłużona na ponad 20 tysięcy.

MAREK

A niby w jaki sposób?

MAGDA

Zanim do nas przyszła, musiała z czegoś żyć. Po tym jak was zwolnili, długo nie mogła znaleźć pracy, a potem nikt jej nie chciał z brzuchem.

MAREK

O boże.

MAGDA

Ty się ciesz, że ona nie poszła gdzieś indziej. Tam by jej powiedzieli, jakie prawa ma samotna matka. Dopiero byłoby słabo.

MAREK

A co ja mam zrobić? Ciągnę dwie roboty i ledwo starcza na raty.

MAGDA

Jak jesteś taki buchaj, to znajdź  
sobie trzecią.

Magda wstaje z kanapy i wychodzi z salonu.

SCENA 19.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Magda wchodzi do pokoju dziecięcego.

Piotr śpi w swoim łóżku.

Basia, Marzena i Kasia też śpią.

Magda bierze Kasię na ręce i przenosi ją do łóżka, przykrywa  
kołdrą.

Magda przykrywa kołdrą Basię z Marzeną. Wychodzi z pokoju.

SCENA 20.

WNĘTRZE. DOM. WIECZÓR

Magda wchodzi do salonu. Podchodzi do kanapy, na której  
z piwem w ręce siedzi Marek.

MAGDA

Marek.

Głowa Marka opada na ramię, puszka z piwem wypada mu z ręki  
i upada na kanapę.

Z puszki na kanapę wylewa się spienione piwo.

SCENA 21.

WNĘTRZE. DOM. DZIEŃ

Magda z Basią zmywają naczynia. Magda myje, Basia wyciera.

Magda płucze talerz i odstawia go na suszarkę.

Ręka Basi dotyka rąk Magdy, przez chwilę (2-3 sek.) dotykając  
się rękoma.

Magda cofa rękę i płucze następny talerz.

SCENA 22.

PLENER. ULICA. WIECZÓR

Magda i Basia siedzą przed domem na trawniku (trawa jest  
wysoka), na kocu obok leży Marzena i bawi się grzechotką.  
Zaczyna zachodzić słońce.

Piotr z Kasią bawią się piłką. Pod dom podjeżdża samochód, wysiada z niego Marek.

Kasia podbiega do Marka, Marek całuje ją w czoło.

Piotr podchodzi do Marka i „przybija piątkę”.

Marek podchodzi do Magdy i Basi.

MAREK

Cześć dziewczyny.

Marek pochyla się nad kocykiem, na którym leży Marzena, i ją całuje. Całuje Magdę i Basię. Kładzie się na trawie obok koca, na którym leży Marzena.

MAGDA

Może byś skosił kiedyś trawę?

Dzieci nie mogą grać w piłkę

i w ogóle, jak to wygląda.

MAREK

Nie dzisiaj, po pierwsze jest

niedziela, a po drugie jestem

skonany.

Magda wstaje i idzie w kierunku domu. Wchodzi do domu.

BASIA

Marek.

BASIA

Marek!

Marek leży z zamkniętymi oczami i nie odpowiada; słychać jego ciche pochrapywanie.

Z domu wychodzi Magda, niesie talerz, na którym widać ziemniaki, kotlet i sałatkę. Podchodzi do Marka.

MAGDA

Marek, jedzenie.

Marek leży z zamkniętymi oczami i nie odzywa się.



SCENA 23.

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Marek jest ubrany w kombinezon roboczy, na głowie ma kask. Siedzi pod rusztowaniem. Wyciąga kanapkę, odwija ją i kładzie obok siebie.

Z góry spada młotek i uderza w kanapkę. Kanapka rozbryzguje się na boki.

Marek patrzy w górę, w miejsce, z którego spadł młotek.

Z samego szczytu rusztowania wychyla się ROBOTNIK w kasku.

ROBOTNIK

(krzyczy)

Sorrki, ziom!

SCENA 24.

PLENER. ULICA. DZIEŃ

Pod dom podjeżdża samochód, z samochodu wysiada Marek.

Trawa przed domem jest skoszona.

Przed wejściem do domu na kocu leżą Basia z Marzeną.

Zza domu, radośnie krzycząc, wybiega Magda. Za nią biegnie WASIA (26).

Wasia polewa Magdę wodą z węża ogrodowego. Magda jest ubrana w białą koszulkę, która pod wpływem wody robi się prześwitująca. Magda jest bez stanika i dokładnie widać jej piersi.

Wasia dogania Magdę i razem przewracają się na trawę śmiejąc się.

MAREK

(do Basi)

Kto to jest?

BASIA

On jest z Ukrainy. Spotkałyśmy go na zakupach, szukał pracy. A że ty wiecznie nie masz na nic czasu, to Magda poprosiła go o skoszenie trawnika i takie tam.

MAREK

Jakie tam?

BASIA

No różne rzeczy. Jest bardzo tani.

Do Marka podchodzi Magda, za nią idzie Wasia.

MAGDA

To jest Wasia. To mój mąż, Marek.  
Poznajcie się. Marku, Wasia  
zgodził się zająć niektórymi  
pracami przy naszym domu, za  
nocleg i jedzenia do czasu, aż nie  
znajdzie pracy. To chyba uczciwa  
propozycja? Zaczął od dziś.

Wasia wyciąga rękę do Marka, który stoi milczy i nie  
odwzajemnia gestu Wasi.

MAREK

(do Basi)

Chodź na chwilę do domu.



*Cabaret*, reż. Bob Fosse (1972), zdj. Geoffrey Unsworth

## NON OMNIS MORIAR

FILM ANIMOWANY O ŚMIERCI PRZEZNACZONY DLA DZIECI

JULIA PIESTRZENIEWICZ

### 1. WNETRZE. MIESZKANIE BABUSZKI. RANEK

Mała kawalerka, salon jest jednocześnie sypialnią. W pokoju znajduje się rozkładana wersalka, telewizor i stare pianino. BABUSZKA (87) budzi się. Zegar wskazuje 8:00. Z trudem wstaje z łóżka, głośno ziewa, rozciąga się i rozprostowuje obolałe kości. Wsuwa pantofle na stopy i idzie do kuchni. Zagląda do lodówki, która poza słoikiem dżemu jest zupełnie pusta. Wyciąga dżem i przygotowuje śniadanie. Starannie odcina skórki chleba, wygrzebuje dokładnie końcówkę dżemu ze słoika i bardzo starannie rozsmarowuje na kromce aż po same brzegi, równiutko, nie zostawiając żadnych „dziur”.

BABUSZKA

(podziwiając kanapkę,  
z dumą w głosie)

Gotowe.

Siada przy stole, by zjeść śniadanie. Naprzeciwko niej stoi obramowane zdjęcie zmarłego męża. Uśmiecha się do niego. Zbliżenie na zdjęcie. Mąż ma duże charakterystyczne zielono-brązowe oczy (różnobarwność tęczęwki).

BABUSZKA

Dzień dobry kochanie, jak dziś  
spaleś?

Bierze kęs kanapki.

BABUSZKA

Ja, odkąd ciebie nie ma obok, to  
strasznie w nocy marznę.

Kończy kanapkę. Wstaje od stołu i szykuje pokaźną ilość różnych kolorowych pigułek.

BABUSZKA

I drugie śniadanie!

Połyka wszystkie tabletki.  
Wraca do salonu, siada przy pianinie, na którym także stoi zdjęcie męża.

BABUSZKA

To czego byś chciał dzisiaj  
posłuchać? Hm?

Przewraca strony z nutami utworów Debussy'ego. Zatrzymuje się na określonej stronie i pokazuje mężowi.

BABUSZKA

Może ten?

Chwilę czeka, jakby na odpowiedź męża.

BABUSZKA

Nie?

Ponownie przewraca strony. Zatrzymuje się i pokazuje mężowi.

BABUSZKA

To może ten?

Czeka chwilę na odpowiedź.

BABUSZKA

Też nie?!

Przewraca dalej strony. Ponownie pokazuje stronę z utworem mężowi.

BABUSZKA

A co powiesz na ten..?

Czeka chwilę na odpowiedź.

BABUSZKA

(z zadowoleniem)

Tak myślałam.

Zaczyna grać „Clair de Lune” Debussy’ego.  
Zamyka oczy, wczuwa się w muzykę. Nagle gwałtownie urywa.  
Otwiera oczy i patrzy na zdjęcia, a do oczu zaczynają napływać łzy. Szybko się jednak otrząsa.

BABUSZKA

Nie będę już przez ciebie płakać!  
Nie wiem gdzie teraz jesteś, ale  
mam nadzieję, że wszystko tam  
u ciebie dobrze...

Wstaje od pianina, bierze torebkę na zakupy, ubiera się ciepło  
i wychodzi z domu.

2. PLENER. NA ULICY. DZIEŃ

Ciężka zima. Ulice oblodzone, ziemia pokryta śniegiem.  
Babuszka wychodzi ze sklepu i kieruje się w stronę domu.  
Z naprzeciwka nadchodzi mężczyzna.

BABUSZKA

Przepraszam pana, która godzina?

Mężczyzna pokazuje Babuszce zegarek.

BABUSZKA

Ojej! Zaraz puszczają mój film!  
Dziękuję Panu.

Babuszka przyspiesza kroku. Poślizguje się na lodzie  
i przewraca, wysypując zakupy.  
Słoik dżemu turla się w stronę CHŁOPCA (12).

BABUSZKA

(obolała i zła)

AUUUUUU! Do diabła!

Chłopiec podnosi dżem, podbiega do Babuszki, podaje jej rękę  
i pomaga wstać.



CHŁOPIEC

Nic się pani nie stało?

Babuszka podnosi się i spogląda na Chłopca i na chwilę zamiera wpatrując się w jego oczy, które są kształtem i kolorem identyczne do tych, jakie miał jej mąż.

Zbliżenie na oczy chłopca.

Babuszka nie odpowiada na pytanie i dalej się mu przygląda.

Chłopiec pomaga pozbierać resztę produktów z ziemi i podaje

Babuszce siatkę z zakupami.

CHŁOPIEC

Proszę pani, nic pani nie jest?

BABUSZKA

(cicho mamrocząc)

Nie, nie, wszystko dobrze.

Dziękuję.

CHŁOPIEC

No dobrze, to proszę na siebie uważać!

Do widzenia pani!

Chłopiec odchodzi.

Babuszka jeszcze chwilę stoi oszołomiona, aż w końcu rusza w stronę domu.

### 3. WNETRZE. MIESZKANIE BABUSZKI. POPOŁUDNIE

Babuszka wpada do mieszkania zdyszana. Zakupy zostawia przy drzwiach i pośpiesznie idzie włączyć telewizor.

Na ekranie widnieją napisy początkowe filmu.

BABUSZKA

(wciąż zdyszana)

No! Zdażyłam!

Patrzy na zdjęcie męża.

BABUSZKA

Widziałeś, jaka ze mnie jeszcze wyścigowa?

Babuszka siada na wersalce i zaczyna oglądać film. W trakcie filmu Babuszka kilkakrotnie płacze ze wzruszenia. Film się kończy. Babuszka ma czerwone od płaczu oczy i zasmarkany nos. Zwraca się do męża.

BABUSZKA

A ty jak zwykle niewzruszony!

Za oknem zrobiło się ciemno. Babuszka szykuje się do spania. Wyraźnie zbladła. Ciężko oddycha i kładzie dłoń na klatce piersiowej. Idzie do kuchni i łyka drugą porcję tabletek.

BABUSZKA

No! Starość nie radość!

Babuszka kładzie się do łóżka i zasypia.

#### 4. WNETRZE. MIESZKANIE BABUSZKI. RANEK

Zegar wskazuje 8:00. Babuszka nie wstaje. W mieszkaniu panuje cisza.

Ujęcia na zakątki mieszkania: na pusty stół w kuchni, na zdjęcia, na pianino.

Z ciała Babuszki wylatuje BABUSZKA-DUSZA. Przygląda się ze zdziwieniem swojemu ciału leżącemu w łóżku, szturcha, ponosi do góry ręce i pozwala im spaść, krzyczy do ucha.

BABUSZKA-DUSZA

Halooooo. Halo!

Dociera do niej, że nie żyje.

Babuszka-dusza przygląda się sobie, swojej nowej formie i egzaminuje swoje nowe ciało. Dotyka twarzy i piersi, oraz przygląda się dłoniom. Rozprostowuje kości, bez żadnego bólu, który towarzyszył Babuszcze.

Babuszka-dusza uśmiecha się. Unosząc się w powietrzu podskakuje, przeskakuje z nogi na nogę, tańczy.

Wylatuje z mieszkania. Szybuje radośnie nad ziemią.

Zatrzymuje się przed sklepem muzycznym, w którym widzi DZIEWCZYNKĘ (9). Wlatuje do środka.

#### 5. WNETRZE. SKLEP MUZYCZNY. DZIEŃ

Babuszka-dusza przygląda się Dziewczynce, która z rodzicami testuje i wybiera dla siebie instrument muzyczny. Dziewczynka po kolei próbuje pogrywać na gitarze klasycznej, gitarze basowej, perkusji, skrzypcach i w końcu na pianinie.

Wtedy Babuszka-dusza rusza w jej stronę, przenika, przelatuje przez nią już nieco skurczona. Dziewczynka ma wrażenie jakiegoś ukłucia, siedzi dalej przy pianinie naciskając na klawisze i odwraca się do rodziców z uśmiechem, kiwając głową.

#### DZIEWCZYNKĄ

Ten bym chciała! Prooooooszę!

Rodzice godzą się. Babuszka-dusza wylatuje ze sklepu. Szybuje dalej po mieście, podgląda przez okna mieszkańców. Wlatuje do jednego z mieszkań.

#### 6. WNETRZE. KUCHNIA. DZIEŃ

Babuszka-dusza przelatuje przez CHŁOPCZYKA (10), który przygotowuje sobie kanapkę. Babuszka-dusza znowu ulega pomniejszeniu.

Chłopiec uważnie smakuje chleb masłem, równo i po same brzegi, starannie docina ser, aby nie wystawał z żadnej strony kromki, kroi zielonego ogórka tak, aby każdy plasterek był tej samej grubości i kładzie na kanapkę.

#### CHŁOPCZYK

(podziwiając kanapkę,  
z dumą w głosie)

Gotowe.

Babuszka-dusza wylatuje z mieszkania Chłopczyka.

#### 7. WNETRZE. SALA KINOWA

Na sali siedzi spora grupa dzieci i kilka nauczycielek. Wszyscy oglądają film, a ich ciała oświetla światło zrzucone z ekranu kinowego.

Babuszka-dusza przelatuje przez DZIEWCZYNECZKĘ (11) i ponownie ulega zmniejszeniu.

Dziewczyneczka jest mocno pochłonięta filmem. Zaczyna płakać ze wzruszenia, łzy cieką jej po policzkach.

Babuszka-dusza przygląda się swojej zmniejszonej formie. Bierze głęboki wdech, rozpędza się i przelatuje przez dzieci siedzące w rzędach. Z każdym dzieckiem coraz bardziej się kurczy, aż w końcu znika.

W tym samym momencie kończy się seans.

CUT TO BLACK.



NN, Medium Eva Carrière podczas seansu spirytystycznego (1912)

## PRZYJACIELSKA WIZYTA

JAKUB WEDEŁ

WNĘTRZE. KLATKA SCHODOWA. WIECZÓR

Widok na klatkę schodową w starej ciemnej kamienicy.  
KSIĄDZ (30) wchodzi na najwyższe piętro.  
Ubrany jest w sutannę i zieloną lekką kurtkę, pod nią ma czarny sweter i ciemne spodnie. Ma krótkie czarne włosy i minimalny zarost, oczy podkrążone. Ma ze sobą neseser. Zatrzymuje się przed drzwiami do mieszkania, szuka w kurtce klucza, jest ewidentnie zmęczony i nieco zdenerwowany. Słyszy hałas otwieranych drzwi po swojej lewej, widzi SĄSIADKĘ (61) stojącą w drzwiach sąsiedniego mieszkania. Kobieta patrzy na niego podejrzliwym wzrokiem.

KSIĄDZ

(jąkając się, kiwając głową)

Szczęść Boże.

SĄSIADKA

Szczęść Boże, proszę księdza Eryka. Ksiądz Michał się o księdza niepokoi, pytał się, czy wiem, dlaczego nie było dziś księdza na mszy wieczornej.

ERYK

To dziwne, byłem pewny, że mówiłem księdzu Michałowi, że mnie nie będzie. Musia...

(Sąsiadka przerywa mu)

SĄSIADKA

To nie jest pierwszy raz, kiedy księdza nie ma wieczorami. Proboszcz wie, że ma ksiądz jakieś wieczorne hobby? A ten hałas wczoraj u księdza? Hmm?



ERYK

Proszę wybaczyć, ale proboszczowi  
nic do hałasów z mojego  
mieszkania. Do widzenia.

Eryk wchodzi do swojego mieszkania, sąsiadka odprowadza go  
podejrzliwym spojrzeniem.

WNĘTRZE. MIESZKANIE, GŁÓWNY POKÓJ. WIECZÓR

Wnętrze mieszkania jest niewielkie, ubogie, nieposprzątane,  
bałagan. Jest na tyle małe, że widzimy wszystkie pokoje: pokój  
główny, wąską kuchnię, ciasną łazienkę oraz sypialnię. Jest  
ciemno.

Eryk nerwowo kładzie neseser na stoliku koło drzwi.  
Podnosi rękę do włącznika. Gdy już ma włączyć światło, odwraca  
głowę w głąb ciemnego pokoju. Po chwili cofa rękę.  
Jest zdenerwowany, ma szeroko otwarte oczy i głęboko oddycha.  
Powolnym, ostrożnym krokiem idzie w głąb pokoju. Zapala  
stojącą lampę. Nie daje ona dużo światła.  
Eryk wstrzymuje oddech. Powolnym ostrożnym krokiem idzie do  
następnej lampy w rogu pokoju.  
Zapala lampę. Lecz mimo tego że lampa jest włączona, nie  
rozświetla w żaden sposób przestrzeni wokół. Eryk zamyka oczy,  
spuszcza głowę. Słyszymy tajemniczy, skrzeczący głos.

TAJEMNICZY GŁOS

Naprawdę się spodziewałeś, że mnie  
już tu nie ma?

ERYK

(wstając od lampy, już pewnie,  
ale zmęczonym głosem)

Mam taką nadzieję za każdym razem,  
jak tu wchodzę.

Eryk zapala wszystkie światła w mieszkaniu, oprócz dużej,  
sufitowej. Zdejmuje kurtkę i sutannę, i chowa je do szafy.  
Wyciąga z neseseru Biblię, siada na fotelu z książką na  
kolanach.

ERYK

(chodząc po pokoju)

Możemy dziś tego nie przedłużyć?  
Jestem naprawdę zmęczony.  
Powinieneś się cieszyć, że udało  
mi się wrócić tak wcześnie

TAJEMNICZY GŁOS

Koledzy się o nas pytają?

ERYK

(siedząc już na fotelu)

O mnie. Pytali, czemu zawsze  
wracam szybciej do domu.  
Powiedziałem, że to bezsenność.

TAJEMNICZY GŁOS

Całkiem dobra odpowiedź, ale  
zdajesz sobie sprawę, że prędzej  
czy później się dowiedzą?

ERYK

Zdajesz sobie również sprawę, że  
kiedyś nasza umowa się skończy?

Eryk mówi do stojącego w rogu fotela, jednakże cały róg pokoju jest pogrążony w kompletnej ciemności, mimo że w pokoju świecą lampy. Zapalona wcześniej przez Eryka lampa na stoliku gaśnie.

NAJAZD KAMERY W KIRUNKU FOTEŁA,  
STOJĄCEGO W CIEMNYM KĄCIE POKOJU

Z mroku wyłania się twarz DEMONA. Otaczająca go ciemność uniemożliwia określenie konkretnego kształtu, widać jedynie bladą twarz. Jedyne co odbiega w jego wizerunku od w pełni ludzkiego, to szereg ostrych zębów nachodzących na dolną wargę.

DEMON

Tak doskonale sobie zdaję. A poza  
tym nie mówiłem o sobie.

Eryk wzdycha, podpira głowę dłonią.

ERYK

Chyba przez te wszystkie dni  
doszliśmy już do porozumienia, że  
nie będziemy o tym rozmawiać.  
Możemy zacząć czytać?

DEMON

Z przyjemnością, to moja ulubiona  
część.

ERYK

Nie wątpię, że akurat Ewangelia  
św. Mateusza jest twoją ulubioną.

DEMON

Szczególnie początek czwartego  
rozdziału. Brzmi znajomo,  
nieprawdaż?

Eryk podnosi oczy z nad Biblii.

DEMON

No, nie powiesz mi, że nie.  
W końcu gdy czerpać inspirację, to  
tylko od mistrza.

ERYK

(przewracając oczami, z lekkim  
uśmiechem)

Miło mi, że na swoje  
czterdziestodniowe wakacje  
wybrałeś mój apartament a nie  
pustynię. Trochę ci daleko do pana  
na dole.

Demon zrywa się z fotela, rzuca w stronę Eryka, zatrzymując  
się przed nim, warcząc i wyciągając z mroku dłonie. Są ciemne  
i chude, zakończone pazurami. Ciemność podąża za nim, przez co  
nadal trudno określić jego pełen kształt.  
Eryk podnosi tylko wzrok z nad Biblii.

ERYK

(kompletnie spokojnym głosem)

Uspokój się, myślisz, że się nie przyzwyczaiałem do twojego szczenia?

(krzycząc)

Średnio trzy razy dziennie!  
Siadaj!

Demon patrzy na Erka gniewnie, warczy pod nosem i wraca na fotel.

ERYK

Może to działało na tę biedną dziewczynę, w której siedziałeś, ale od kiedy siedzisz u mnie, to chyba możesz odpuścić.

DEMON

Muszę przyznać, że to były piękne czasy, miotanie jej ciałem, walenie o ściany, wgrzyzanie się w jej duszę, chędożenie jej od środka. Pożerać jej rozum, kawałek po kawałku. Co mogę rzec, sama się prosiła.

Eryk kręci głową i odkłada Biblię na małym stoliku obok. Wstaje i idzie do kuchni.

DEMON

(kontynuując)

Dziwie się, że nie pozwoliłeś jej palić się w piekle. Ćpunka! Tam u góry nigdy jej nie będą chcieli.

Eryk przychodzi z kuchni z bułką i sałatką na talerzu. Jest niewzruszony gadaniną Demona. Siada w fotelu i je kolację.

DEMON

No taka prawda, sam byś nawet nie kiwnął palcem gdyby nie to, że ta jej znajoma ci zapłaciła.

ERYK

(jedząc)

Tylko wykonuję swoją pracę. Plus masz rację. Wiedząc, że będę potem musiał słuchać twojego szczekania, to kto wie.

Demon delikatnie się szczyrzy i zagryza wystającymi zębami dolną wargę.

DEMON

Nie będzie dziś jednak czytania?

ERYK

(kończąc jedzenie i idąc z talerzem do kuchni)

Dziś sobie odpuścimy, masz szczęście.

DEMON

Czyżby zawahania wiary? A może znowu myślisz o nie...

ERYK

(wybiegając z kuchni)

Mieliśmy o tym NIE rozmawiać!

Demon zagryza swoje dolne wargi, delikatnie warcząc.

DEMON

Znowu myślisz o tej Luizie z drugiego piętra, hmm?



ERYK

(krzycząc)

Ostrzegam cię! Powiedz jeszcze słowo!

DEMON

(z uśmiechem)

I co mi zrobisz? Widziałem ten twój zaostrzony krzyżyk w szufladzie koło łóżka. Myślisz, że coś ci to da? Umowa to umowa.

ERYK

(po wzięciu oddechu)

To tylko przyjaciółka. Wiem, że z twojej perwersyjnej perspektywy to wygląda inaczej, ale NIE! NIE! Nic z tych rzeczy.

DEMON

(kręcąc głową)

Pokusa najstarsza na świecie.

ERYK

Banał!

Demon wstaje i podchodzi do Eryka. Stoją twarzą w twarz. Mierzą się wzrokiem.

DEMON

Taszczyasz kamienie na swoich barkach, Eryk. Dla kogo? Po co?

ERYK

Moim zadaniem jest chronić ludzi przed takimi jak ty. Jest to cena którą potrafię zapłacić.

DEMON

(szybko)

Nie uważasz, że darowanie  
człowiekowi tych pięknych emocji  
i instynktów nie jest hipokryzją?  
To jest w tobie.

Eryk zamyka oczy, zaciska zęby. Gdy już chce coś powiedzieć,  
przerywa im dzwonek do drzwi.

Eryk odwraca się w kierunku dźwięku, po czym spogląda na  
zagryzającego wargi, uśmiechającego się Demona.

Demon kiwa głową, aby Eryk otworzył.

Eryk podchodząc do drzwi, pokazuje ręką gest demonowi, że ma  
być cicho.

Demon robi gest ręką, jakby zapinał suwak na ustach.

Eryk otwiera drzwi na tyle, żeby „wystawić głowę”.

Widzi LUIZĘ (27).

Luiza ma duże niebieskie oczy, mały nos i krótkie blond włosy.

ERYK

(zestresowany)

O, witaj Luiza! Coś się stało, że  
pukasz o takiej porze?

LUIZA

Tak tylko. Chciałam sprawdzić, czy  
wszystko w porządku. Słyszałam  
jakieś krzyki z dołu. Jest ktoś  
u ciebie?

Luiza próbuje zajrzeć do środka.

ERYK

(domykając bardziej drzwi)

Nie nie. Jestem sam. Te krzyki to  
chyba tutaj obok, u sąsiadki.  
U mnie spokojnie jest.

LUIZA

Wiesz... Jak chcesz, to możesz  
jutro rano znowu wpaść na kawę.  
Ostatnio naprawdę dobrze się  
gadało.

Eryk odwraca się w stronę pokoju.

ERYK

Ja, jaaa...

Eryk widzi Demona, robiącego obsceniczny gest ręką przy ustach.

ERYK

(jąkając się)

Jaaa... muszę się zastanowić.  
Wiesz, jak to w parafii, strasznie  
dużo papierkowej roboty.

LUIZA

No dobra, ale czuj się zaproszony.

Luiza odchodzi. Machają do siebie.  
Eryk zamyka drzwi. Obok niego oparty o ścianę stoi Demon,  
zagryza swoją wargę.

DEMON

Mam nadzieję, że też jestem  
zaproszony.

ERYK

Nie masz gdzie być zaproszony.

Eryk wychodzi do łazienki, Demon śledzi go wzrokiem.

WNĘTRZE. ŁAZIENKA. NOC

Eryka przemywa twarz nad zlewem. Podnosi wzrok do lustra.  
Patrzy na siebie przez chwilę, po czym zakrywa twarz ręką.  
Zza niego słychać głos Demona.

DEMON

Co się stało? Powinieneś się  
cieszyć.

Eryk zdejmuje rękę z twarzy. W odbiciu za nim w progu drzwi  
widać twarz Demona.

DEMON

Przykro patrzeć na ciebie w takim stanie.

Demon mówiąc zbliża się do lustra. Kiedy idzie, słysząc dźwięki kopyt.

DEMON

Pamiętam, jak wróciłeś wtedy od niej. Byłeś taki uradowany, ledwo co mnie zauważałeś. Tak bardzo się cieszyłeś, że nie musiałeś gadać tych bzdetów. A teraz? Zgięty pod ciężarem własnych zasad. Nieludzkich, moim zdaniem, zasad.

Demon jest już tak blisko Eryka, że wydaje się, że ich twarze są na jednej wysokości.

Eryk odwraca się. Demon nadal stoi we framudze drzwi.

ERYK

Wiesz, ile poświęciłem, żeby być tu, gdzie jestem? Moja matka od zawsze chciała, żebym został księdzem. Zawsze powtarzała mi, że tak będę w stanie najbardziej pomagać innym. Pomóc im jakoś przejść przez ten ciemny, realny świat, pokazując światło od Boga. Naprawdę jedno takie rozkojarzenie, aby zaprzepaścić wszystko, co buduję? Wiesz, ilu ludzi dzięki mnie jeszcze jest tutaj z nami?!

DEMON

A ty gdzie jesteś?

Patrzą na siebie przez chwilę.

WNĘTRZE. SYPIALNIA. NOC

Eryk leży w łóżku, próbuje spać. Przewraca się z boku na bok. Otwiera oczy. Rozgląda się po pokoju, po czym po chwili wyciąga spod poduszki małe zdjęcie Luizy. Kładzie się na plecy, po czym zaczyna mówić coś szeptem, ściskając zdjęcie.

Po chwili drzwi pokoju uchylają się powoli. Wchodzi Demon. Ma poważny wyraz twarzy. Nie zagryza również warg.

DEMON

Wiesz że byłem wtedy tam?

Demon podchodzi bliżej do łóżka Eryka.

DEMON

Byłem tam kiedy... kiedy go  
zrzucili. Wszystkie anioły były  
przerażone, ja też. Szczególnie,  
kiedy nasz Pan powiedział, że nie  
jest to ostatni, którego zrzuci.  
Terror. Raz zszedłem po kryjomu  
zobaczyć, jak mu się tam widzie na  
dole. Robiąc to byłem kompletnie  
przerażony. Gdyby ten z góry to  
zobaczył, byłoby po mnie.

Demon zbliża się jeszcze bardziej do Eryka, ten szybko zaciska  
jeszcze mocniej dłonie, w których trzyma zdjęcie Luizy.

DEMON

Jakże wielkie było moje  
zdziwienie, kiedy ujrzałem, że mój  
dawny przyjaciel, który miał być  
tak torturowany, tak cierpiący,  
nigdy nie był tak szczęśliwy.  
Kiedy my na górze byliśmy  
ustawiani w szeregu, ten robił  
wszystko, co chciał. I był taki  
szczęśliwy. Widzisz do czego  
zmierzam?

Demon zauważa, że Eryk ściska rękę ze zdjęciem.

DEMON

Skąd masz jej zdjęcie?

ERYK

(zdenerwowany)

Nic ci do tego.



DEMON

Trzymasz jej zdjęcie ze sobą.  
Eryk. Nie oszukuj samego siebie.

Demon zaczyna wyciągać ręce w stronę Eryka, wydaje się, jakby lewitował. Głos demona zaczyna być coraz bardziej stanowczy.

DEMON

Pragniesz jej, przyznaj się! Nie ukryjesz się ani za tą twoją kłamliwą książką, ani za spódnica matki. To jest w tobie Eryk, to ty! To twoja ludzka natura. Przestań się dusić. Pozwól sobie oddychać.

Eryk jest przerażony, sięga do szuflady koło łóżka po zaostrzony krzyż, Demon wykrzywia twarz pokazując kły. Próbuje złapać Eryka za szyję, kiedy ten chce wbić w jego twarz krzyż.

CIĘCIE W MOMENCIE, KIEDY DEMON I ERYK STYKAJĄ SIĘ ZE SOBĄ.

WNĘTRZE. KLATKA SCHODOWA. PORANEK

Eryk wychodzi z mieszkania, klatkę schodową rozjaśniają promyki słoneczne. Jest spokojny, delikatnie się uśmiecha. Mija drzwi Sąsiadki i schodzi na dół. Nie ma na sobie sutanny. Sąsiadka wychodzi przed drzwi mieszkania.

SĄSIADKA

(woła do stojącego na schodach Eryka)

A co tak wcześnie? Ksiądz na plebanie idzie?

ERYK

(uśmiechając się)

Nie, nie, nie na plebanie. Do znajomej na dół.

SĄSIADKA

Do znajomej? Do tej Luizy znowu?  
A gdzie księdza sutanna?

ERYK

Niepotrzebna. Tak tylko idę,  
z przyjacielską wizytą. Ale  
spokojnie, dziś na pewno pojawię  
się na mszy.

Sasiadka patrzy na Eryka ze zmieszaniem. Po chwili wraca do  
mieszkania, zamyka drzwi.

WNĘTRZE. KORYTARZ PRZED MIESZKANIEM LUIZY. PORANEK

Luiza otwiera drzwi do mieszkania, w drzwiach stoi  
uśmiechnięty Eryk.

LUIZA

Oooo, Eryk! Wchodzi do środka.  
Jezu, jak miło, że znalazłeś  
cza...

ERYK

(przerywając Luzie)

Przyjdę wieczorem. Pracujesz dziś  
do nocy?

LUIZA

Nie, nie. Dziś mam dzień wo...

ERYK

To przyjdę wieczorem. Słuchaj,  
masz może zapalniczkę? Nie mogę  
nigdzie mojej znaleźć, mogę  
pożyczyć?

LUIZA

Dobrze, dobrze, już daję.

(odchodząc, skonfundowana)

Od kiedy palisz?

ERYK

Nie, nie, nie palę. Po prostu  
potrzebuję.

Luiza przynosi zapalniczkę, Eryk kołysze się w drzwiach, bierze ją, kiwa głową w podziękowaniu i wychodzi.

LUIZA

Idziesz dziś do kościoła?

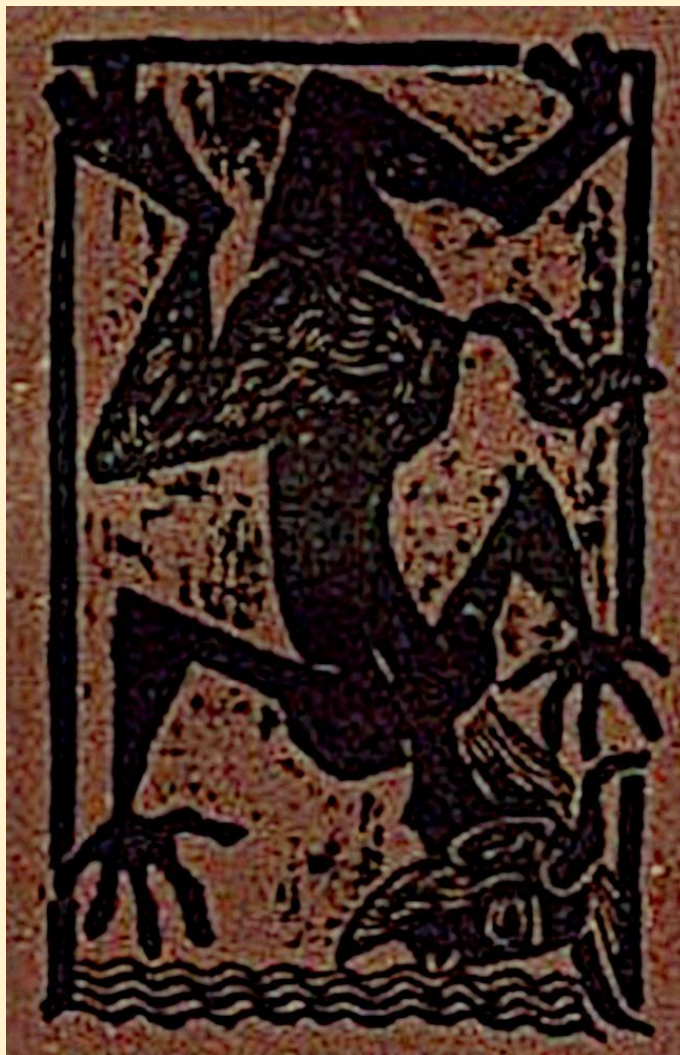
Eryk zatrzymuje się w korytarzu. Po chwili odwraca się.

ERYK

Tylko się pożegnać.

Luiza patrzy na niego, delikatnie się uśmiecha. Eryk zagryza zęby w taki sam sposób jak Demon.

KONIEC



Maria Hiszpańska-Neumann, *Stwór znad zalewu*  
[fragment okładki powieści Jósè D'Arbauda] (1965)

# BARDZO KRÓTKI FILM O MIŁOŚCI

ZOFIA PISKORSKA

WNĘTRZE. WINDA/MIESZKANIE W STARYM BLOKU. DZIEŃ.WCZESNY  
PORANEK

MARTA, młoda kobieta, jedzie windą. Automatycznie przegląda się w lustrze. Poprawia rozpadający się kok. W końcu zrezygnowana rozpuszcza włosy, odwraca się i wysiada z windy. Idąc korytarzem wyjmuje z torebki klucze. Niezdarnie otwiera drzwi mieszkania nr 77.

Staje w przedpokoju, klucze i torbę rzuca na komodę, płaszcz wieszka na jedynym haczyku. Opierając rękę o komodę, pochyla się, by zdjąć ciężkie buty. Udaje jej się tylko z jednym, bo zza rogu wychodzi gruby, czarny kot i zaczyna ocierać się o nogi kobiety. Dziewczyna wyciąga dłoń w stronę zwierzęcia.

MARTA

Cześć moje kochanie. No chodź tu.

Kobieta bierze na ręce kota. Strząsa ze stopy drugi but i zmierza w stronę pokoju obok.

Wchodzi do pomieszczenia, delikatnie odkłada zwierzę na łóżko pod oknem, po czym cofa się i zamyka za sobą drzwi. Jedną ręką otwiera okno, a drugą gładzi delikatnie kota. Staje wyprostowana, przez chwilę patrzy na widok na zewnątrz, odwraca się, sięga po paczkę papierosów i zapalniczkę, leżące na starym, drewnianym stoliku.

Siada na łóżku, wyciąga jednego papierosa, a opakowanie z resztą odrzuca na stolik. Kładzie się i odpala.

Zmęczona podnosi nogi, w czarnych, lekko dziurawych rajstopach, do góry i opiera o parapet. Leży wpatrując się w sufit, spokojnie oddychając. Kot mruczy, wtulając się w ciepły sweter dziewczyny.

Wydechany dym powoli unosi się w górę i miesza z powietrzem, na granicy pokoju i otwartego okna.

WNĘTRZE. NOWOCZESNE MIESZKANIE. DZIEŃ. PÓŹNE POPOŁUDNIE

MAŁGORZATA, kobieta po trzydziestce, siedzi przy długim, pustym stole. W tle widać kuchnię i garnki z gotującym się jedzeniem. Za oknem powoli zachodzi słońce.

Kobieta rozmawia przez telefon.

MAŁGORZATA

Wiem, powiem mu, ale dzisiaj ma dyżur, czyli nie wróci w najlepszym humorze.

Chwila ciszy. Kobieta słucha, smutnieje.

MAŁGORZATA

Skarbie, przecież wiesz, że to nie takie proste. On sobie z tym nie poradzi. Ja też nie czuję się dzisiaj zresztą najlepiej. Niedobrze mi cały dzień i dwa razy wymiotowałam. Chyba jakieś zatrucie pokarmowe.

Chwila ciszy.

MAŁGORZATA

Przestań, przecież wiesz, że to niemożliwe, że nie mogę. Staraliśmy się z Mateuszem od początku małżeństwa. Ty nic nie zmienisz.

Kobieta odwraca wzrok w stronę okna. Niezgrabnie odgarnia włosy z czoła. W pewnym momencie gwałtownie się podrywa.

MAŁGORZATA

Sekunda, coś mi się przypala chyba.

Małgorzata nerwowo podchodzi do blatu w kuchni. Komórkę podtrzymuje barkiem, by opanować przypalające się jedzenie. Mieszając składniki smażonej potrawy, odwraca wzrok w stronę zegara. Jest godzina siódma siedem. Kobieta odkłada drewnianą łyżkę na blat, a patelnię przykrywa pokrywką. Wyciera dłonie i wraca do stołu. Opiera się udami o jego krawędź.

MAŁGORZATA

Kotku, muszę kończyć. Już po siódmej, Mateusz powinien niedługo być. Tak, tak, wiem, ale naprawdę nie dzisiaj. To nie jest dobry moment.

Kobieta już trochę zdenerwowana opiera rękę na biodrze.

MAŁGORZATA

Tak, obiecuję. Przecież wiesz, że chcę być tylko z tobą. Przyjadę jutro koło dwunastej, jak pojedzie do szpitala. Dobrze, ja Ciebie też.

Małgorzata rozłącza się. Siada znowu na krześle, przy pustym stole. Telefon odkłada przed siebie i zerka na zegar. Po odczytaniu godziny odwraca wzrok w stronę okna. Siedzi nieruchomo dłuższą chwilę.

PLENER.PLAC ZABAW.DZIEŃ.PÓŹNE POPOŁUDNIE

Starszy pan, IRENEUSZ, wraz ze swoim wnukiem, sześciolatkiem EMILEM, wchodzi właśnie na plac zabaw. Dziadek trzyma w ręce worek z drożdżówką, a pod pachą czarny, zniszczony już trochę portfel. Dziecko, po przekroczeniu bramki, biegnie od razu w stronę huśtawki, wyprzedzając przy tym małą dziewczynkę, sporo od niego młodszą, która również idzie niezdarnie w tę stronę. Młodsze dziecko zaczyna płakać. Podchodzi do niego jakaś kobieta, bierze na ręce, uspokaja i sadza na huśtawce obok. Ireneusz powoli podchodzi do ławki nieopodal. Kładzie na niej worek z drożdżówką, a z kieszeni w spodniach wyjmuje pognieciony paragon. Bierze do ręki portfel, otwiera go, by odłożyć świstek znaleziony w ubraniu. Oprócz banknotów i dużej ilości paragonów, w portfelu trzyma także zdjęcie legitymacyjne wnuka. Zamyka i chowa portfel do kieszeni, po czym lekko wzdryga się z zimna. Odwraca głowę w stronę huśtawki, szukając wzrokiem wnuka.

IRENEUSZ

Milek, wiesz co? Chyba musimy założyć bluzę, bo jeszcze cię zawieje. Gdzie masz swój plecak?

EMIL

Tutaj.

Dziecko, mocno się bujając, wskazuje ręką na mały, dziecięcy plecak, leżący w piasku obok drewnianego stelaża huśtawki.



Ireneusz bierze z ławki worek z drożdżówką, po czym podchodzi do plecaka i wyjmuje z niego dziecięcą bluzę ze sportowym nadrukiem i numerem 77.

IRENEUSZ

Dobra, mistrzu, chodź no tu na chwilę.

Chłopiec, szurając nogami o ziemię, powoli się zatrzymuje, schodzi z huśtawki i przesadnie dużymi krokami podchodzi do dziadka.

Ireneusz bardzo ostrożnie zakłada wnukowi bluzę przez głowę. Dziecko odwraca się w stronę huśtawki. Dziadek jeszcze szybko poprawia mu kaptur i z czułością klepie chłopca w pupę, dając znak, że ten może już wrócić do zabawy. W tej chwili słychać podjeżdżający samochód.

Ireneusz odwraca się i widzi czarnego suwa. Od razu zmienia wyraz twarzy na bardziej ponury i zaczyna iść w stronę samochodu, z którego wysiada JAKUB, wysoki mężczyzna przed czterdziestką.

IRENEUSZ

No jesteś w końcu, kurwa. Wiesz, która godzina? Śpieszę się do lekarza, a Miluś marznie. Jak zwykle nie da się z tobą umawiać.

JAKUB

No przepraszam, tato. Musiałem zajechać do mechanika. To przez tę stłuczkę ostatnią. Mama ci mówiła?

IRENEUSZ

Ta, co za idiota jeździ pod prąd? Nie wiem, kto ci to prawo jazdy dał. Dobra Kuba, zabieraj małego, nie mam czasu teraz z tobą gadać.

Jakub, opanowując gniew, rozgląda się za dzieckiem.

JAKUB

Emil, chodź jedziemy.

Dziecko schodzi z huśtawki, zabiera plecak, który wkłada na plecy i zaczyna iść w stronę mężczyzn. Coś jednak przykuwa jego uwagę, staje i wpatruje się przez chwilę pod nogi.

JAKUB

Nie gap się w ziemię, tylko chodź.  
Nie będę na ciebie czekać. Dziadek  
się śpieszy.

JAKUB

Nie podwieźć cię do tego lekarza?

IRENEUSZ

(zirytowany)

Nie, przecież blisko mam. Co ja  
będę teraz jechał z tobą. Dłużej  
zejdzie niż na piechotę.

JAKUB

Jak chcesz.

Dziecko podchodzi do mężczyzn.

JAKUB

Wolniej się nie dało?  
Słyszałeś, dziadek śpieszy się do  
lekarza.

IRENEUSZ

Weź mu jeszcze drożdżówkę.

Ireneusz podaje worek z drożdżówką Jakubowi. Następnie kładzie  
dłoń na ramieniu chłopca i lekko ściska.

IRENEUSZ

To spadajcie. Tylko uważaj na  
drodze, bo jeszcze mi dzieciaka  
załatwisz.

Jakub uśmiecha się ironicznie.

JAKUB

Dzięki, że go odebrałeś. Pa.

Jakub odwraca się i odchodzi w stronę samochodu. Za nim,  
z plecakiem, idzie Emil, nienaturalnie długimi krokami.

Ireneusz, z wyrazem tęsknoty na twarzy, patrzy za nimi, aż odjada.

WNĘTRZE. SZPITAL. WIECZÓR

Całość: jedno ujęcie, długi czas naświetlania

Szpitalnym korytarzem wieziony jest umierający pacjent. Za pielęgniarkami, wiozącymi pacjenta, biegnie MATEUSZ, chirurg w średnim wieku.

Wszyscy wpadają na blok operacyjny. Lekarz w pośpiechu, lecz z opanowaniem, przygotowuje się do operacji. Przebiera się, bardzo dokładnie myje ręce.

Gotowy wchodzi, szybkim krokiem, do sali operacyjnej. Na stole chirurgicznym leży przygotowany już pacjent.

CIECIE

Chirurg operuje. Widać po nim, że jest to już któraś godzina operacji. Jest bardzo skupiony, kontroluje wszystko i wszystkich w sali. W tle słychać rytmiczne odgłosy aparatury. Panuje napięta atmosfera.

CIECIE

Lekarz jest już po operacji. Zdejmuje fartuch, rękawiczki, myje ręce i się przebiera. Jego ruchy są powolne. Głęboko oddycha, starając się opanować emocje. W końcu wybucha płaczem.

CIECIE

Doktor idzie szpitalnym korytarzem w stronę wyjścia. Po drodze, przechodzi obok starszej kobiety, siedzącej w poczekalni.

Kobieta, widząc go, zrywa się gwałtownie z krzesła i podbiega do niego.

KOBIETA

Panie doktorze, dziękuję. Naprawdę nie wiem, jak Panu dziękować. Gdyby nie Pan...już myślałam, już traciłam nadzieję. Dziękuję, naprawdę bardzo Panu dziękuję.

#### MATEUSZ

Proszę nie dziękować, ja tylko wykonuję moją pracę. No i pracuje ze mną jeszcze reszta personelu. Wszyscy bardzo się cieszymy, że pani syn żyje.

#### KOBIETA

Dziękuję jeszcze raz, także w imieniu syna.

Kobieta ściska dłoń lekarza. Ten uśmiecha się i szybkim krokiem odchodzi. Podchodzi do recepcji i oddaje kluczyk z zawieszka, na której widnieje numer 77. Skinieniem dłoni żegna się z kobietą w recepcji i wychodzi z budynku szpitala.

#### WNĘTRZE. NOWOCZESNE MIESZKANIE. NOC

Mateusz wchodzi do mieszkania. Odwiesza płaszcz i zdejmuje buty. Zirytowany odgania psa, który skacze i liże go po dłoniach.

Zmęczonym krokiem idzie do kuchni. Zagląda do garnków, kosztuje i odchodzi. Podchodzi do barku, wyjmuje szklanę i butelkę.

W tej chwili zauważa zdjęcie wiszące, przed nim, na ścianie. Jest to zdjęcie jego i żony z jakichś wspólnych wakacji. Przypatruje się mu. Jednocześnie bierze parę łyków trunku z butelki, po czym jego uwaga znów skupia się na szklance. Napełnia ją dużą ilością alkoholu i odchodzi od barku. Siada przy długim, pustym stole i popijając co jakiś czas, wpatruje się w okno.

Po jakimś czasie do pokoju wchodzi zaspana Małgorzata w koszuli nocnej i szlafroku.

#### MAŁGORZATA

Jesteś w końcu. Miałaś być pięć godzin temu. Podgrzej sobie obiad. Ja nie będę robić tego trzeci raz.

#### MATEUSZ

Nie jestem głodny. Idź już spać.

MAŁGORZATA

(z irytacją)

A ty będziesz tu siedział i pił  
w środku nocy? To chociaż  
sprzątnij to jedzenie, jak nie  
będziesz jadł.

MATEUSZ

Nie zachowuj się jak moja matka.

MAŁGORZATA

Widocznie muszę. Zachowujesz się  
jak rozwyrzony gimnazjalista.

MATEUSZ

(krzycząc)

Tak, będę pił, bo tylko to robię.  
Tylko do tego się nadaję, oprócz  
tyrania całymi dniami, żebyś miała  
na te swoje in vitro, bo nawet  
dzieciaka nie potrafię ci zrobić,  
choć z inną jakoś nie miałem  
problemu.

MAŁGORZATA

(krzycząc, powstrzymując łzy)

To po co w ogóle tu wracasz, jak  
taka jestem okropna?! Może oprócz  
dnia, zacznij w szpitalu nocować?!

MATEUSZ

Może dlatego, że to moje  
mieszkanie, za moje pieniądze?

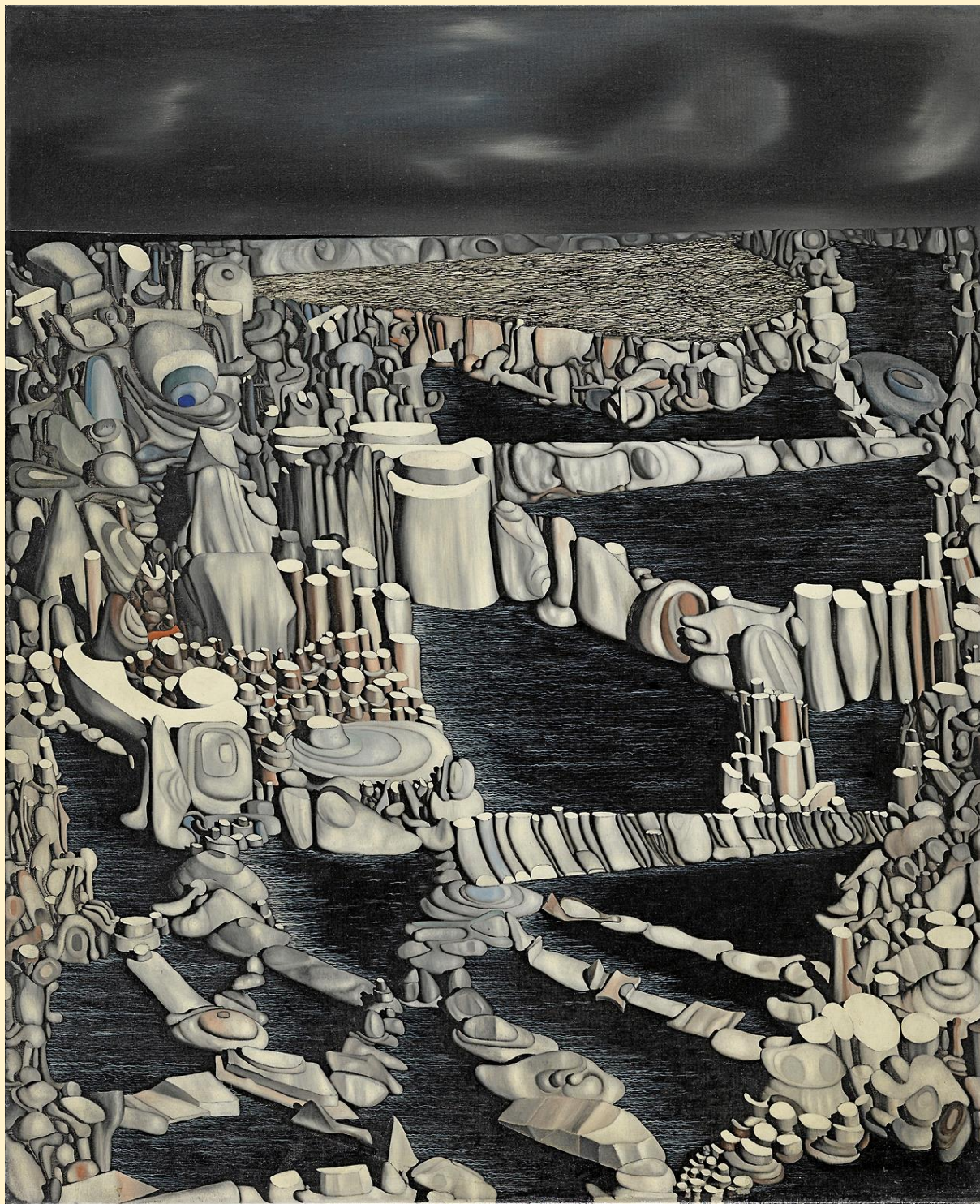
MAŁGORZATA

(ironicznie, przez łzy)

Dziękuję, dziękuję, że pozwala pan  
mi i mojemu psu, mieszkać  
w pańskim mieszkaniu. Naprawdę nie  
wiem, jak panu dziękować.



Kobieta odwraca się i wychodzi, zostawiając mężczyznę samego. Ten ściska kurczowo szklankę, po czym jednym haustem kończy trunk. Wstaje, podchodzi do barku po butelkę. Dolewa alkoholu do szklanki. Bierze ją do ręki i podchodzi do okna, gdzie stoi, popijając z szklanki, przez dłuższą chwilę. W tle słycać psa, chodzącego po drewnianym parkiecie i odgłosy dobiegające z ulicy.



Yves Tanguy, *Les nombres imaginaires* (1954)





# W STRONĘ RADIA

## OPOWIEŚĆ RYBAŁTA

(SŁUCHOWISKO NA PODSTAWIE FRAGMENTU PROZY  
ZOFII KOSSAK-SZCZUCKIEJ)

MICHAŁ ZIEMIAŃSKI

(W tle cicho słychać gwar biesiady i dźwięki lutni.)

**Narrator:**

Izba była wielka choć niska, z ciężkim sklepieniem wspartym na dwóch filarach. W załomach sklepienia wisiały szare płachty pajęczyn tak stare i zwarte, że zdały się być strzępami kamienia samego. Nie omiatał ich nikt, tylko w razie nagłego skaleczenia biorąc nieco pajęczyny dla zatamowania krwi, i to z należnym szacunkiem, ostrożnie by się cierpliwy tkacz-pająk nie uraził i zamku nie opuścił, rzucając na odchodne urok na wszelki dobytek. Szerokość całej jednej ściany zajmował długi niski piec, służący za łaźnię czasu wielkich zjazdów, gdy właściwa łaźnia na przeciwległym końcu dziedzińca by nie wystarczyła. W tej też izbie książę Brodacz ćwiczył osobiście winnikami umoczonymi w kadzi co szlachetniejszych dworskich synów nobilów, gdy o zbyt obcesowe zaloty do dworek zostali obwinieni. Tutaj też wesołe panny i dojarki zamkowe sprawiały swe wróżby dziewczęńskie w wielkiej tajemnicy przed kapelanem. Lały wosk, ciskały kłosa jęczmień na wodę, lub puszczały między siebie gąsiora z zawiązanymi krajką oczami. Teraz swawolna, świegotliwa ich gromada, wśród śmiechu, żartów i wzajemnych połaskotań zamilkła nagle...

(Biesiada i lutnia cichnie.)

**Narrator:**

...stężała zmrożona widokiem wchodzącej z Zofką starej księżny Brodaczowej.

(Odgłos kroków dwóch kobiet na kamiennej posadzce.)

**Narrator:**

Spuściły oczy skubiąc zawzięcie fartuszki, milczkiem już tylko, z ukosa zerkając na siedzących na ławie rybałtów. Przed nimi

w głębokim poręczowym krześle siedział Henryk, syn Henryków, tak zapatrzony...

(Powoli wracają odgłosy biesiady i lutni.)

**Narrator:**

...w śpiewaków, że ledwo zauważył wejście matki i siostry. Przysiadły cicho we wnętrzu okiennym.

Starszy Rybałt był człkiem średniego wzrostu, mocno otyłym, o wygolonej i sprośnej gębie wyjadacza. Ruszał się z trudem, ledwo suwając nogami, bo zbyttnia rozpusta w młodości krzyże mu niemocą poraziła. Jeździł z grodu do grodu na mulicy. Znał kawał świata. Urażał się wielce, gdy go nazywano rybałtem. Sam bowiem tytułował się minnesängarem. Nazywał się Kuno von Katz, choć nikt nie wątpił nigdy iż, owo „von” sam sobie dodał prawem poetów i, że jego prawdziwe miano było Kocur. Rybałt podniósł się z ławy i chyląc z trudem brzuchatą postać, pokłonił się nisko przed panią Helwigą.

(Odgłosy biesiady i lutni powoli cichną.)

(Odgłos odsuwającej się masywnej ławy, towarzyszą temu sapnięcia i chrząknięcia grubasa. Rybałt odzywa się głosem lekko ochryplym i przepitym, ale za to głośnym i wyraźnym.)

**Rybałt:**

Pani, niedawno byłem w dolinie Andechs, w kasztelu możnego grafa Bertholda syna Bertholdowego.

**Helwiga:**

Niedawno?

**Rybałt:**

Nawet rok jeszcze nie minał. Wiosna była i bagnięta ledwo się na wierzbach puszczały.

**Narrator:**

Rybałt spojrział na nią przenikliwie i poddał z cicha melodię grajkowi, który uderzył w struny.

(Rozbrzmiewa melodia grana na lutni.)

**Narrator:**

Księżna mimo woli zakołysała głową do wtóru. Uśmiech prawie że radosny rozjaśnił jej chudą wyniszczoną twarz. To piosenka, którą śpiewała wraz z siostrami, gdy w wirydarzu za kasztelem ojcowym bawiła się w dzieciństwie. Ta sama z Andechs piosenka. Opuszczona przed trzydziestu laty z górą ojcowizna stanęła w oczach jak żywa. Lecz Henryk niecierpliwił się czekając opowieści Niecierpliwiła się Zofka, a dwórki wzdychały już z dawna żałośnie, chociaż nieśmiało. Baczny na wszystko Kuno

przestał nucić - zamilkł i spojrział wyczekująco na pułap. Na dany znak grajkowie podnieśli ręce, szarpnęli struny i ucichli.

(Lutnie przestają grać.)

**Rybałt:**

(Głośno zaczyna.)

Śmieje się głośno Fortinbras, syn Badana. Fortinbras, co po naszymu znaczy Tęgołapy. Hucznie się śmieje, aż parska nozdrzami. Od śmiechu jego drży góra Ararat. Wala się skały w doliny. Spłoszone rzeki ciskają się w przepaść. Wicher mroźny tchnie na góry od śmiechu syna Bandana. Pierś Fortinbrasa jest szeroka jak stół okrągły rycerski. Kolano jak bochen chleba. Pięść jak wykrot dębu po burzy. Szczecina, co porasta jego brodę, jest ruda i wielka jak trzcina zeszłoroczna na mokradłach. Gdy Fortinbras ucztuje, posłuszne gnomy pieką dla niego cztery spaśne woły. Całego wołu kładzie do gęby, a gdy zgryzie, wypłuka grubsze kości, rogi, racice. Jak człowiek wypłuka pestki śliwek. Pełne są góry lęku przed olbrzymim Fortinbrasem. On nie zna lęku przed nikim. Nie zna Boga. Nie boi się go, nie boi się go wcale. Podchodzi do bram Jeruzalem, na wieczny wstyd, na wieczną hańbę Saracen w niej posiadł! Waruje przy grobie świętym parszywy pies pogański. Hańba chrześcijaństwu, Biada!

**Biesiadnicy:**

Biada, ach biada!

(Lament i okrzyki trwają przez kilka sekund.)

**Narrator:**

Pani Helwiga zasłoniła oczy z żalu. Mistrz Kuno odchrząknął znacząco, co zrozumiawszy, Radocha podsunęła mu dzban piwa.

(Odgłos łapczywych haustów i uderzenie o drewniany blat odstawanego glinianego kufła.)

**Rybałt:**

Gdy ziemia ugięła się pod stopami olbrzyma, aż morze chlusnęło na brzegi, strach padł na pogan siedzących w Jeruzalem.

(W tle cicho słychać podmuchy pustynno-górskiego wiatru.)

**Rybałt:**

Wszedł sam sułtan Saracenów, możny i pyszny Mahammed, wielki jego wezyrbej Aga, wszystkie wezyry pomniejszych i dziesięć razy po cztery rotę janczarów. Fortinbras podszedł blisko, a sułtan padł przed nim na twarz.

(Odgłos padania na twarz.)

**Sułtan:**

(Niski i głęboki głos.)  
Czego chcesz olbrzymie?

**Fortinbras:**

(Szyderczy śmiech.)  
Przejsć po was, zdeptać i zgnieść.

**Rybałt:**

Sułtan pobladł jak giezło.

**Sułtan:**

Ofiaruję Ci cesarstwo Aleksandrii, wszystkie moje wielbłądy i słonie. Wszystkie niewolnice, małżonki i cały skarb.

**Fortinbras:**

Ofiarowujesz mi to, co sam sobie mogę wziąć i wezmę.

**Rybałt:**

Wówczas mądry Ben-Amalek, uczony w piśmie pośród Saracenów doradca sułtana wyszedł naprzód.

**Ben-Amalek:**

Znamy rzeczy, których sam nie otrzymasz, Fortinbrasie.

**Fortinbras:**

Nie wierzę.

**Ben-Amalek:**

Posłuchaj jednak! Zaczekaj! Cóż stąd, że zgładzisz nas z ziemi o parę chwil później? Nie ujdziemy ci wszak nigdzie. Posłuchaj!

**Fortinbras:**

Posłucham.

**Ben-Amalek:**

(Podniesiony głos.)  
Jesteś wielki, Fortinbrasie, jesteś mocny, lecz śmiertelny. W twoich żyłach płynie krew podobna do naszej. Gdyby kto zranił cię i otworzył potok twej krwi, powstałoby drugie Morze Czerwone, lecz ty leżałbyś blady i martwy!

**Fortinbras:**

(Rozgniewany.)

Któż by śmiał mnie skaleczyć i krew moją wytoczyć?

**Ben-Amalek:**

wszystko może się przytrafić. A zresztą... Opowiedz nam, jaka śmiercią zmarł twój ojciec, silny Badan?

**Fortinbras:**

Żmija go ukąsiła.

**Ben-Amalek:**

Jesteś bezpieczny od ukąszenia żmii, Fortinbrasie?

**Rybałt:**

Olbrzym zadrżał i nic nie odpowiedział, bo lękał się śmierci.

**Ben-Amalek:**

Jeżeli oszczędzisz plemię Saracenów, odejdiesz stąd precz i nie wrócisz więcej, uczynię cię nieśmiertelnym i niewrażliwym na rany i ukąszenia.

**Fortinbras:**

Rad bym wiedzieć, jak to uczynisz.

**Sułtan:**

(Szeptem do Ben-Amaleka.)

Wiem o czym mówisz. Cenna to rzecz, lecz życie cenniejsze. Niech Prorok błogosławi twą głowę, o mądry Ben-Amaleku!

**Rybałt:**

Sułtan wydał rozkaz i cwałem na grzbiecie białego wielbłąda przywieziono z grodu małą cedrową baryłkę starannie szpuntem zabita.

(Odgłos pojękiwań dwóch janczarów niosących ciężką beczkę. Po 2-3 sekundach odgłos stawiania ciężkiej beczki na twardej, ale piaszczystej ziemi)

**Ben-Amalek:**

Już przeszło dwanaście wieków, jak ta oliwa jest w Jerozolimie. Nie wiemy, od kogo pochodzi, lecz niewątpliwie od wielkiego czarodzieja, gdyż ma cudowną moc zrastania uciętych członków i leczenia każdej niemocy. Przytem nie ubywa jej wcale. Weź ją, a będziesz żył wiecznie.

**Rybałt:**

Była to - o miłościwi - oliwa, którą pobożny Józef z Arymetei namaścił ciało Zbawiciela Naszego, Pana Jezusa Chrystusa przed złożeniem go do grobu. Ten skarb, ten wielki skarb pozostał w ręku pogan - ta świętość wydana zostaje w ręce sprośnego giganta! Biada chrześcijanie! Biada!

**Biesiadnicy:**

Biada, ach biada!

(Odgłos dwóch łapczywych łyków piwa.)

**Fortinbras:**

Nie wierzę w cnotę tej oliwy!

**Rybałt:**

Wywiedziono trzech niewolników i na skinienie sułtana sam wielki wezyr obciął jednemu głowę, drugiemu rękę, a trzeciemu nogę. Po czym uczony Ben-Amalek namaścił ich rany oliwą z baryłki, obcięte członki przyrosły natychmiast i poszli zdrowo do domu. Fortinbras klasnął z zadowolenia w udo, aż wstrząsały się mury. Obiecał oszczędzić Saracenów i zabrał olej przenajświętszy. Owiązał mocno baryłkę sznurem jedwabnym, zawiesił sobie na szyi i ruszył prosto na zachód. Gdy szedł, zeszcła od długiej pogody ziemia pękała w głębokie szczeliny. Płakali w grobach umarli mówiąc: „Kto nas budzi nie zostawiając w spokoju, choć na Sąd Ostateczny jeszcze nie trąbiono?”. A ci, którzy w niepoświęconej ziemi bezbożnie legli, korzystali z przejścia olbrzyma, by wstać i upiorem na świat wrócić. Stróżujący na granicy chrześcijaństwa czujny stary kruk Oga, posłyszał kroki straszliwe. Rozpostarł skrzydła jak złowieszczą szmatę. Poleciał wskroś nocy do wyniosłego kasztelu, gdzie mężny rycerz Oliwer przebywał.

(Odgłos chrapania rycerza. Słyszać coraz bardziej natarczywe dziobanie kruka w okno komnaty.)

**Oliwer:**

(Zaspany.)  
Kto mnie woła?

**Kruk:**

Otwórz Oliwerze, otwórz spiesznie. Jam jest poseł złej nowiny.

(Dźwięk otwieranego drewnianego okna.)

**Oliwer:**

Czego chcesz?

**Kruk:**

Zagłada idzie już nam blisko.

**Oliwer:**

Nie słyszałem, by nam groził jakiś wróg. Ani nie wiemy wojny z nikim?

**Kruk:**

Fortinbras, syn Badana, olbrzym z góry Araratu idzie tu na zgubę chrześcijan,

**Oliwer:**

(Jeszcze trochę zaspany.)  
Gdzie mój miecz?



**Kruk:**

Biada, strzeż się Oliwerze, bo Fortinbras dostał od sułtana Saracenów baryłkę ze świętym olejem i orężem go nie pokonasz...

(Odgłosy krzątania się po komnacie.)

**Oliwer:**

Gdzie mój miecz?

**Kruk:**

Nie pójdziesz chyba sam Oliwerze? Wszak nie przywołasz nikogo. Towarzysze twoi dawno zginęli, lub żyją wygodnie pojawiając się urodziwe małżonki. Nie przyjdą. Nie łatwo wstać z ciepłego łóżka od boku kobiety i pójść w wietrzną noc, na bój śmiertelny.

**Oliwer:**

(Rozgniewany.)

Gdzie mój miecz?

**Rybałt:**

Opasał się pasem rycerskim, włożył hełm i srebrną zbroję. Wziął miecz do ręki. Zadał w krótki złoty róg. Zbudził się strwożony giermek, wywiódł osiodłanego żrebca, który, zrywał się i parskał. Prawy rycerz dosiadł konia, odesłał giermka do domu i ruszył przeciw wrogowi...

**Narrator:**

Mistrz Kuno podniósł dzban do ust i spojrzał sponad niego bacznie na słuchaczy. Milczeli, oddychając ciężko, jak ludzie bardzo strudzeni. Zmagali się z własną duszą. Pod zaklęciem baśni o rycerskiej doskonałej cnocie, ogarniał tych jurnych, pogodnych prostaków, nigdy nieznanego głód osiągnięcia czegoś wyższego od siebie. W sercach czuli niby próżnię, pragnącą gwałtem wypełnić się, nabrać po brzegi czymś pięknym i wiekuistym. Wzdychały, wiercąc się niespokojnie dziewczęta. Sapali przygryzając wargi rycerze. Nawet durny trefniś Kwiatek stękał głucho, przygnieciony własnym budzącym się człowieczeństwem.

Książę Henryk oparł szczupłą twarz na dłoniach. Całe życie czekał, całe życie pragnął takiej oto właśnie walki. Zabijać smoki i olbrzymy, bronić chrześcijaństwa, rycerzem być błędnym, swobodnym. Chwytał chciwie każde słowo rybałta, pieczętował je w sercu, opętany pragnieniem wzniesienia się ku górze, uparta chęcią poszybowania ku wyższemu, lepszym formom bytu, tajemną żarłoczną zazdrością.

(Słysząc kroki olbrzyma i charakterystyczny dźwięk miecza wyciąganego z pochwy.)

**Oliwer:**

Sam jestem w obliczu tej walki. Nie żyje już mężny druh Roland. Skruszony jest jasny Durandal. Nie żyje Turpin, ni żaden z dwunastu cnotliwych parów frankońskich. Sam jestem. Dziękuję ci kornie, Panie Jezu Chryste, za ten zaszczyt.

(Odgłos ostatnich dwóch kroków olbrzyma zatrzymującego się przed rycerzem.)

**Oliwer:**

Stój!

**Fortibras:**

Czego chcesz?

**Oliwer:**

Bić się z tobą!

**Fortinbras:**

(Rechotliwy śmiech.)

Bić się? Po co?

**Oliwer:**

Abyś nie szedł dalej

**Fortinbras:**

Dlaczego nie chcesz, bym szedł dalej?

**Oliwer:**

Bo tu jest ziemia pokoju, ziemia chrześcijan. Nic ci do niej, synu Badana! Tu ludzie chcą pracować, orać i siał. Chcą budować domy, hodować pszczoły i karczować lasy. W murowanych klasztorach mądrzy zakonnicy piszą księgi ku nauce przyszłych ludzi. Nie wolno ci im przeszkadzać!

**Fortinbras:**

Wejdę owszem, rozgniotę jak robaki śmiesznych rolników, przewrócę domy, rozrzucę kamienne klasztory. Kto mi w tym przeszkodzi? Ty?

**Oliwer:**

Ja! Ostatni żyw z dobrych rycerzy.

**Fortinbras:**

(Śmiech.)

**Rybałt:**

Fortinbras chciał odsunąć rycerza nogą, lecz Oliwer cofnawszy się, natarł straszliwie i przebił kopią na wylot goleń olbrzyma. Fortinbras zawył z bólu i rzucił się na niego, jak się rzuca złom skały na potok. I walczyli ze sobą trzykroć i czterykroć,

potykając się do samej nocy. Zadawali sobie nawzajem straszliwe rany i broczyli krwią niby ziele zwane broczem. Lecz po każdej potyczce Fortinbras smarował się świętym balsamem i wstawał znów silny jak byk, a wściekłość jego wciąż rosła. Nie ustawało męstwo Oliwera, lecz opuszczały go siły. Padł bez ducha wierny jego koń. Strzaskana dawno kopia, spękana zbroja. Krew uchodzi ze stu ran, ale dłoń jeszcze nie wypuszcza miecza. Gdy mrok zaległ wzgórze, Fortinbras położył się, by spocząć i chrapał rozgłośnie. Oparty o pień drzewa Oliwer modlił się gorąco.

**Oliwer:**

(Dyszząc.)

Nie pozwól, mój Zbawicielu, by zasługą ran twoich najświętszych, zniszczył syn Badana chrześcijaństwo.

**Rybałt:**

Pękł wtem sznur owiązujący baryłkę. Zsunęła się i potoczyła aż pod stopy rycerza. Lecz on, mając oczy zalane krwią, nie widział tego. Gdy rankiem zbudził się świat, zobaczył Fortinbras Oliwera stojącego naprzeciw niego w pogotowiu. Ruszył z wściekłością waląc ciężkie głazy, lecz miecz podciął mu nogę. Sięgnął ręką do szyi po olej, nie znalazł go, zobaczył natomiast baryłkę leżącą tuż pod stopami rycerza. Wtedy ogarnął go lęk i uciekł do swych gór, wprost przez morze, które sięgało mu do łądźwi. Wtedy mężny Oliwer położył się na murawie. Podsunał po siebie miecz. Wyciągnął znużone członki na miękkiej pościeli ziół. Śmierć całowała mu lice, a radość serce. Zobaczył leżący tuż pod ręką olej święty i uśmiechnął się.

**Oliwer:**

Niegodnym dotykać balsamu, który obmywał najśłodsze rany Zbawiciela. A zresztą, po cóż mam żyć? Nie spotka mnie już nigdy nic piękniejszego nad ten bój, ani lepszej śmierci sobie nie wysłużę, bom walczył teraz sam jeden za dobro wszystkich chrześcijan, przeciw złu.

**Rybałt:**

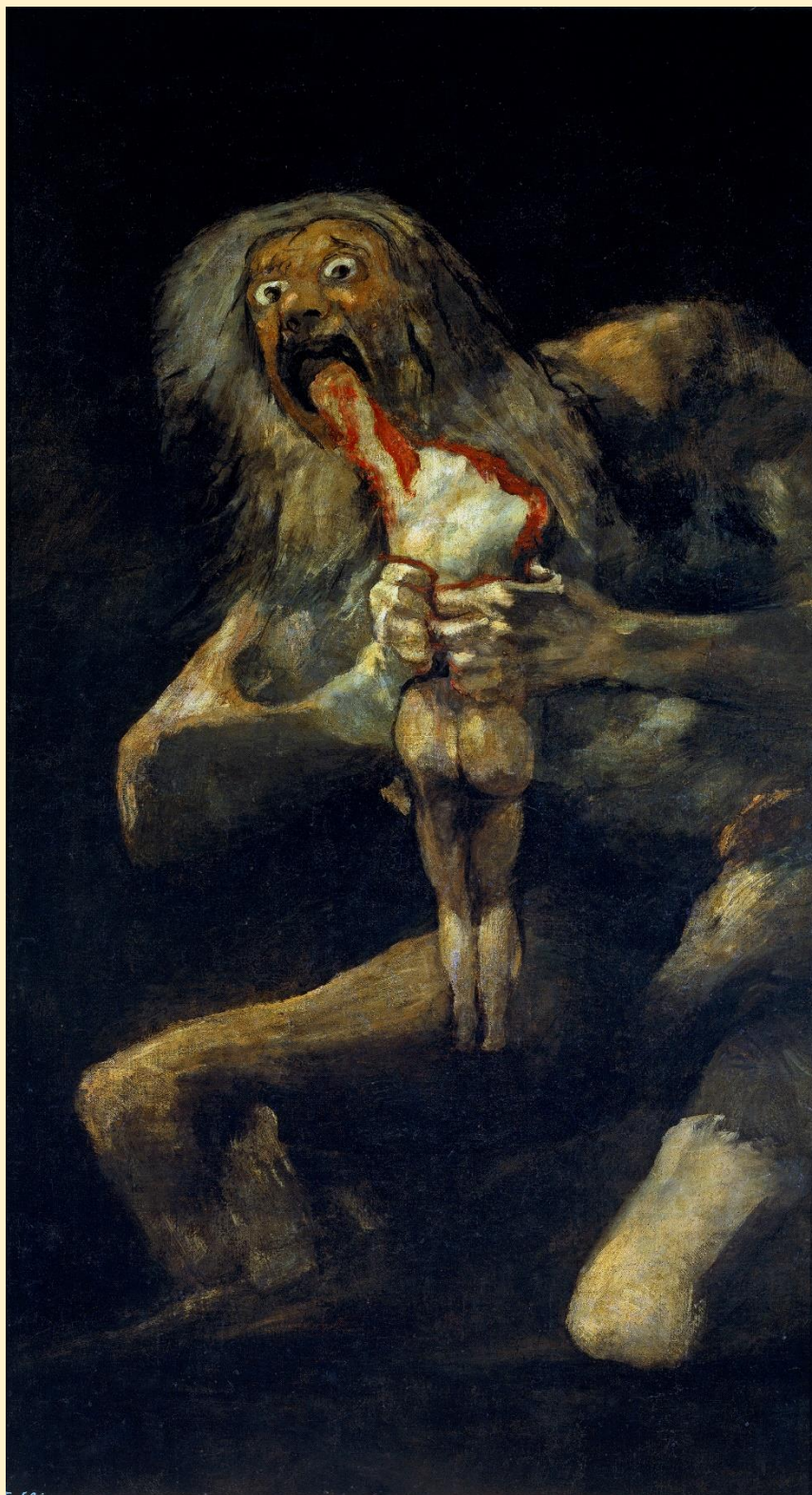
Ostatkiem sił pchnął świętą baryłkę do rzeki, przykazując wodzie śmiertelnym nakazem, by poniosła beczkę aż do Rzymu pod stopy Ojca Świętego. Sam legł ponownie na trawie patrząc w niebo z uśmiechem.

**Oliwer:**

Ponieś wicherze wieść w krainy italskie i lube frankońskie, do Armoryki, Flandrii, Allemanii - że ostatni dobry rycerz odszedł chwalebnie ze świata.

(Rozbrzmiewa smutnie lutnia.)

[Słuchowisko Michała Ziemiańskiego powstało na podstawie tekstu:  
Z. Kossak-Szczucka, *Opowieść rybaka. Fragment z powieści historycznej z czasów Henryka Pobożnego*, „Tęcza. Ilustrowane Pismo Tygodniowe” 1930, z. 30 (26 lipca 1930), s. 7-9.]



Francisco de Goya, *Saturno devorando a un hijo*  
[Fortinbras pożerający rybaka] (1819-23)





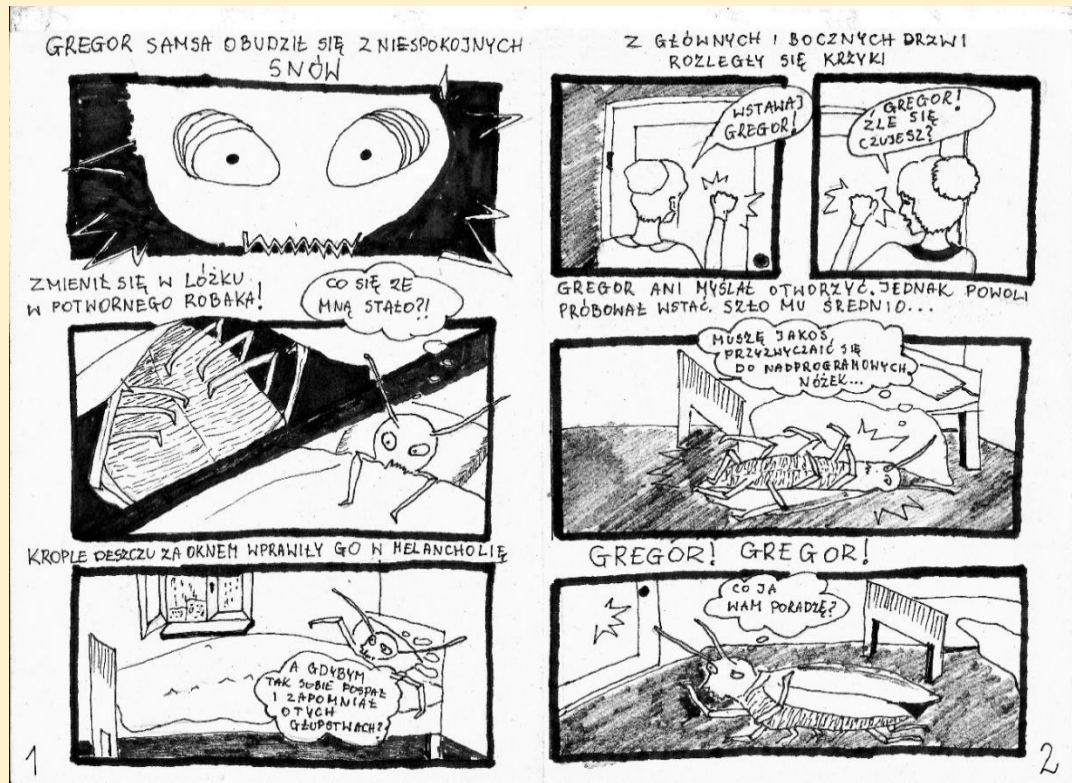
# KOMIX



Roy Lichtenstein, *Drowning Girl* (1963)



# Przemiana (według Franza Kafki). Cz. 1

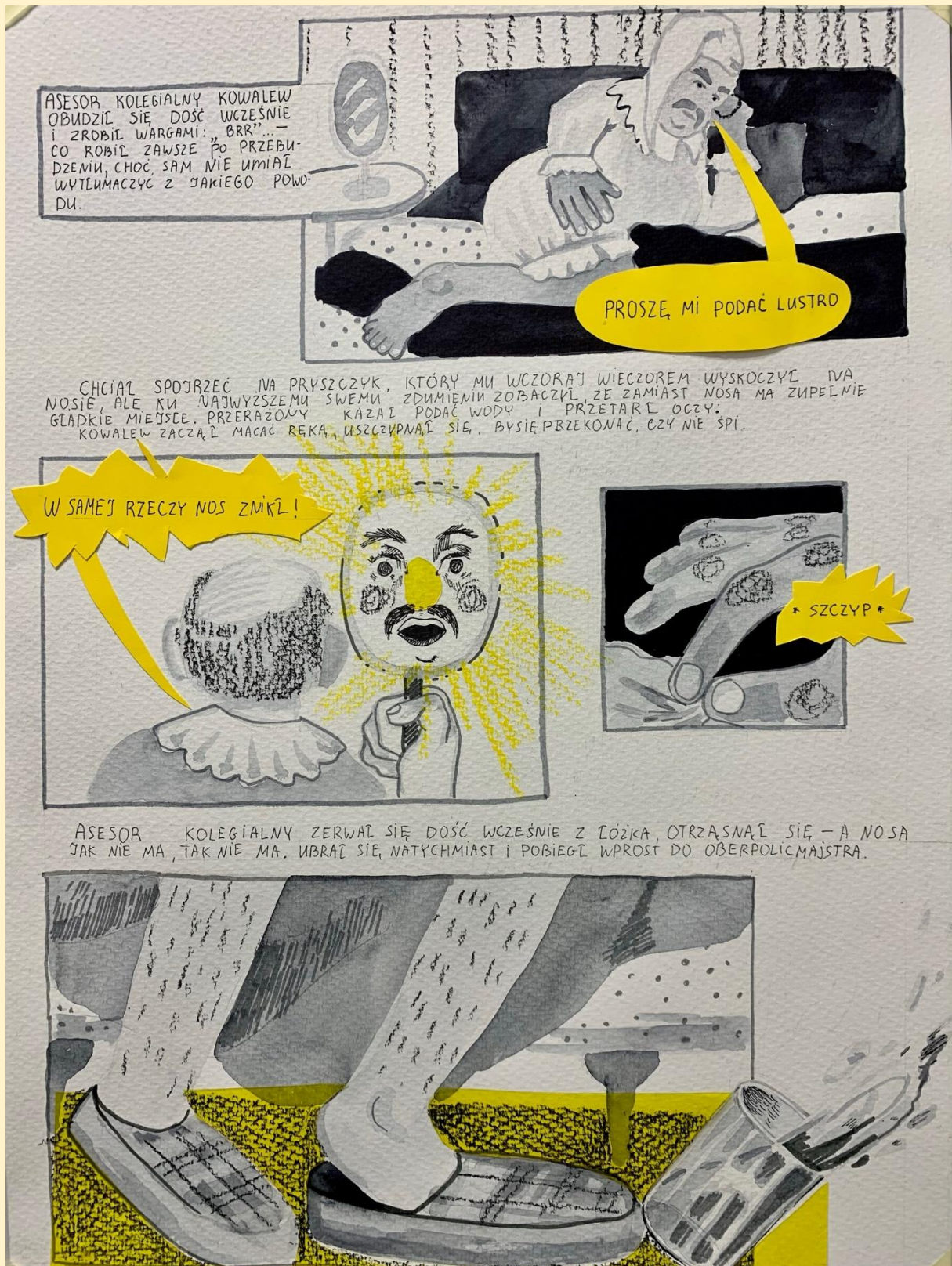


C.D.N.



Jana Futymska

## Nos (według Nikołaja Gogola). Cz. 1





Dnia 25 marca zdarzył się w Petersburgu niezwykle dziwny wypadek, cyrołnik obudził się dość wcześnie i poczuł zapach gorącego chleba.



DZISIAJ, PRASKOWJO OSIPOWNO,  
NIE BĘDĘ PIŁ KAWY...



ZAMIĄST TEGO WOLAŁBYM  
ZJEŚĆ GORĄCEGO CHLEBA.

Ivan Jakowlewicz wdał dla przyzwyczajenia fraz sół oraz dwie główki cebuli. Gdy on zajrz z dziwieniem spostrzegł, że tam coś się

prosto na koszulkę, przygotował do środka ku swemu bieli.



GDZIE ŻEŚ TY,  
BESTIO,  
ODKRAJAŁ NOS?!

SAMA NA CIEBIE,  
ZBÓJCZU, JEDEM,  
POLICJI DOMOŚE!



DIABLI WIEDZA  
JAK TO SIĘ STALO...



Robert Zawadzki  
(scenariusz, opracowanie graficzne i tekstowe)

## Widmo nad Insmouth (według H.P. Lovecrafta). Cz 1

Tekst w tłumaczeniu Ryszardy Grzybowskiej  
Ilustracje: Grafika Google











Zimą 1928 roku przedstawiciele rządu federalnego przeprowadzili dziwne i tajemnicze śledztwo w sprawie pewnych okoliczności, jakie miały miejsce w starym porcie Innsmouth w Massachusetts.

Ci, którzy baczniej śledzili wszelkie nowiny, dziwili się tak olbrzymią ilością aresztowanych, tak wielką siłą zmobilizowaną do przeprowadzenia tej akcji i tajemnicą, jaką otoczono dalsze losy więźniów. Nie było żadnej rozprawy sądowej, żadnego sprecyzowanego oskarżenia; nie widziano też nikogo ze schwytych w żadnym z lokalnych aresztów. Spotkało się to z protestem wielu liberalnych organizacji, jednak po długich i tajemniczych dyskusjach gorący sprzeciw szybko wygasł.

Niemniejszym zamierzam złamać znowę milczenia otaczającą tę sprawę. To ja uciekłem w popłochu z Innsmouth we wczesnych godzinach rannych 16 lipca 1927 roku i to właśnie moje prośby, skierowane do władz o przeprowadzenie śledztwa, wyłoniły na światło dzienne wspomniany epizod.

Nigdy nawet nie słyszałem o tym nadmorskim mieście, aż do owego dnia, kiedy ujrzałem je po raz pierwszy. Postanowiłem uczcić moje dojście do pełnoletności wycieczką do Nowej Anglii, do miasta Arkham, skąd pochodziła moja matka. Nie miałem samochodu, podróżowałem więc pociągiem, trolejbusem i autobusem, starając się zawsze o jak najtańszy środek lokomocji.



W Newburyport poinformowano mnie,  
że najlepiej jechać do Arkham pociągiem.









Postawny kasjer, którego akcent świadczył o tym, że pochodzi z innych stron, zdawał się rozumieć moje oszczędnościowe zabiegi i zaproponował mi alternatywę dla podróży pociągiem.



*Mógłby pan, wydaje mi się, pojechać starym autobusem, jednak w tych stronach nikt go nie uznaje, ponieważ jedzie przez Innsmouth.*

Wzmianka o mieście, nie zaznaczonym na mapie ani też nie wspomnianym w ostatnich przewodnikach, wzbudziła moje zainteresowanie, a dziwne aluzje kasjera naprawdę mnie zaciękały. Poprosiłem, żeby powiedział mi coś więcej.



*Innsmouth? No cóż, niegdyś było to całkiem duże miasto portowe, ale od lat niszczało i teraz jest tam więcej pustych domów niż ludzi.*





Kasjer opowiedział mi o złej sławie, jaką od lat cieszyło się Innsmouth.

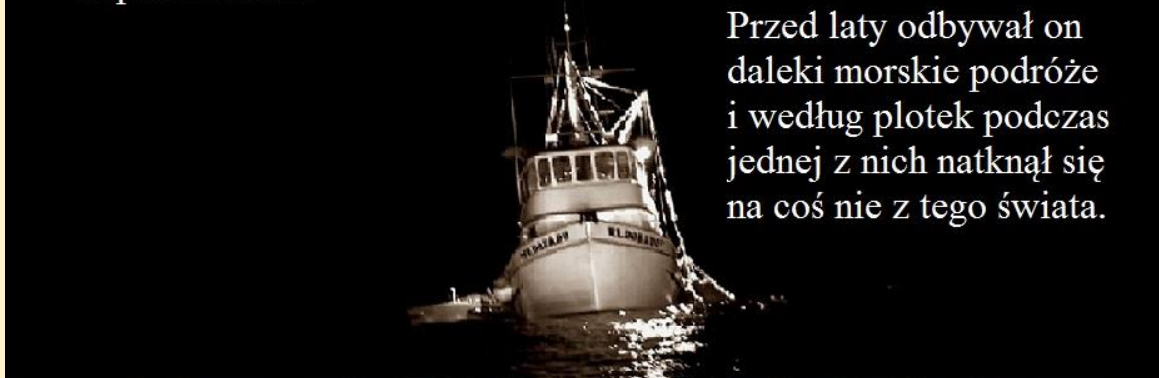


Szeptane pokątnie historie dotyczyły mrocznych sił,  
które objęły miasteczko we władanie.





Tym, który sprowadził zło  
do Innsmouth, miał być  
kapitan Marsh.



Przed laty odbywał on  
daleki morskie podróże  
i według plotek podczas  
jednej z nich natknął się  
na coś nie z tego świata.







*Dlatego właśnie, na pana miejscu, nie wybierałbym się tam na noc.*

1177024483



*Sądzę, że pobyt w tym mieście za dnia nie może panu zaszkodzić, choć tutejsi ludzie i tego będą panu odradzać. Jeżeli lubi pan zwiedzać i interesuje się pan przeszłością, to Innsmouth świetnie się do tego nadaje.*

*Podziękowałem kasjerowi za pomoc i postanowiłem, że zgodnie z jego zaleceniami udam się do Innsmouth dopiero następnego ranka.*

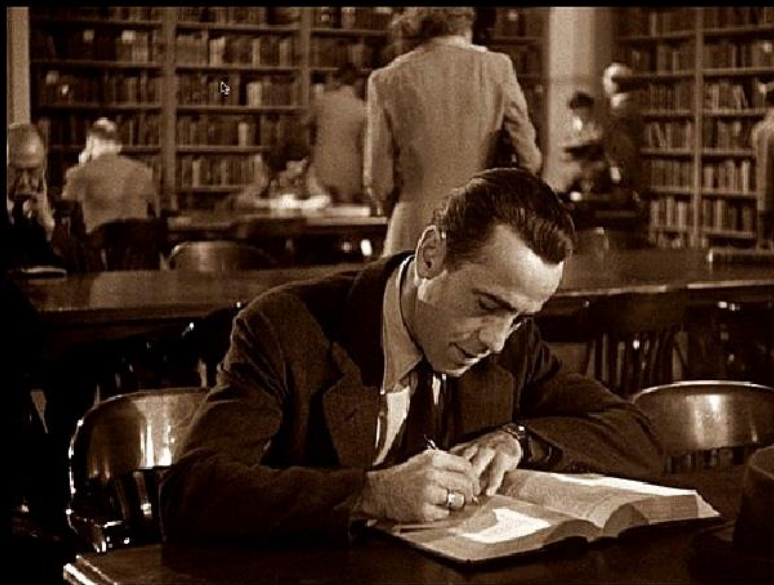




Wieczór spędziłem w bibliotece publicznej w Newburyport,  
żeby się dowiedzieć czegoś więcej o Insmouth.







Znajdujące się na półkach bibliotecznych kroniki historyczne, dotyczące okręgu Essex, nie objaśniały wiele.

Bardziej pomocna okazała się sprawująca opiekę nad zbiorami panna Tilton.

Mimo skąpego materiału źródłowego rozmowa z nią rzuciła nieco światła na historię powstania Innsmouth i jego późniejszy upadek.



Jeśli zaś chodzi o jej własny stosunek do upiornego Innsmouth, to czuje odrazę do tej społeczności, która wyzbyła się wszelkiej kultury.



Zapewniła mnie również, że pogłoski o otaczaniu czcią diabła są częściowo usprawiedliwione, bo rozpowszechnił się tam jakiś tajemniczy kult.





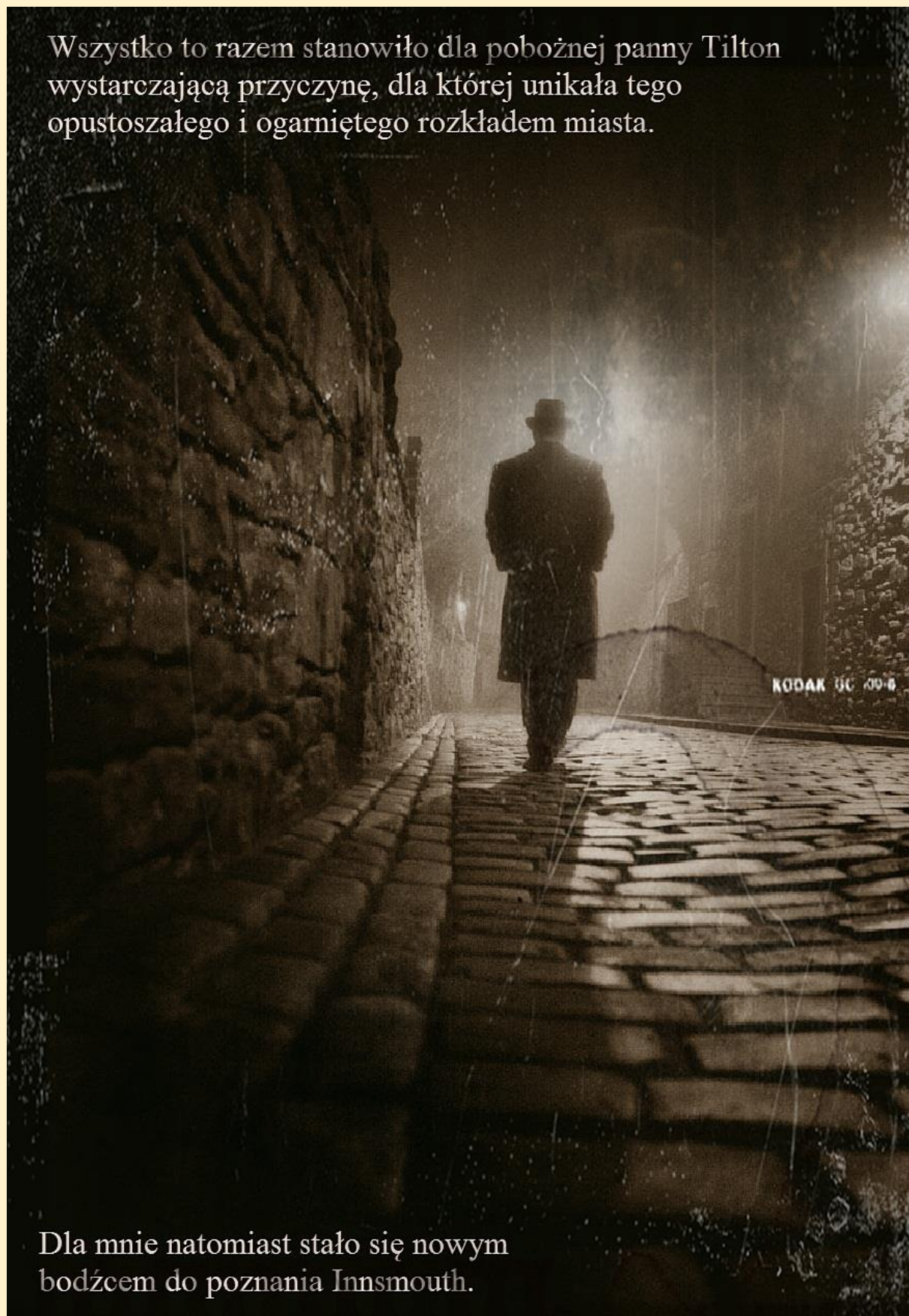
Został nazwany „Ezoterycznym Porządkiem Dagona” i jest z pewnością wynaturzonym, quasi-pogańskim obrzędem przejętym ze Wschodu, kiedy to łowiska rybne w Insmouth zaczęły zanikać. Sprowadził go stamtąd kapitan Marsh.



Trwałość kultu wśród prostych ludzi jest zjawiskiem naturalnym, jako że nagle wody przybrzeżne zapełniły się rybami i stan ten nadal się utrzymuje.



Wszystko to razem stanowiło dla pobożnej panny Tilton wystarczającą przyczynę, dla której unikała tego opustoszałego i ogarniętego rozkładem miasta.



Dla mnie natomiast stało się nowym bodźcem do poznania Innsmouth.



Nazajutrz rano, tuż przed godziną dziesiątą, czekałem na przystanku. Mały, rozklekotany wehikuł, ogromnie sfatygowany, pojawił się o czasie. Upewniłem się, że to właściwy autobus, sprawdzivszy napis na ledwie czytelnej tablicy: Arkham — Innsmouth — Newburyport.



Kiedy zorientowałem się, że będę jedynym pasażerem w tym autobusie, nie było mi przyjemnie. Usiadłem na końcu, po prawej stronie, chciałem bowiem podczas jazdy patrzeć na morze.





Wyjechaliśmy z miasta. Wraz z jada piaszczysty teren, porośły turzycą i karłowatymi drzewami, stawał się coraz bardziej opustoszały.



Z okna widziałem błękitną wodę i piaszczyste zarysy Plum Island, a wkrótce zjechaliśmy prawie na sam brzeg plaży, gdyż nasza wąska droga zboczyła z głównej szosy. Nie było tu już żadnych domów, a ruch kołowy niemal nieistniał.

Posuwając się dalej straciliśmy z oczu Plum Island, a po lewej stronie roztoczył się przed nami widok na rozległy Atlantyk.







I tak wjechaliśmy na grań, skąd roztoczył się widok na rozległą dolinę.

Zorientowałem się, że przede mną jest już upiorne Innsmouth.



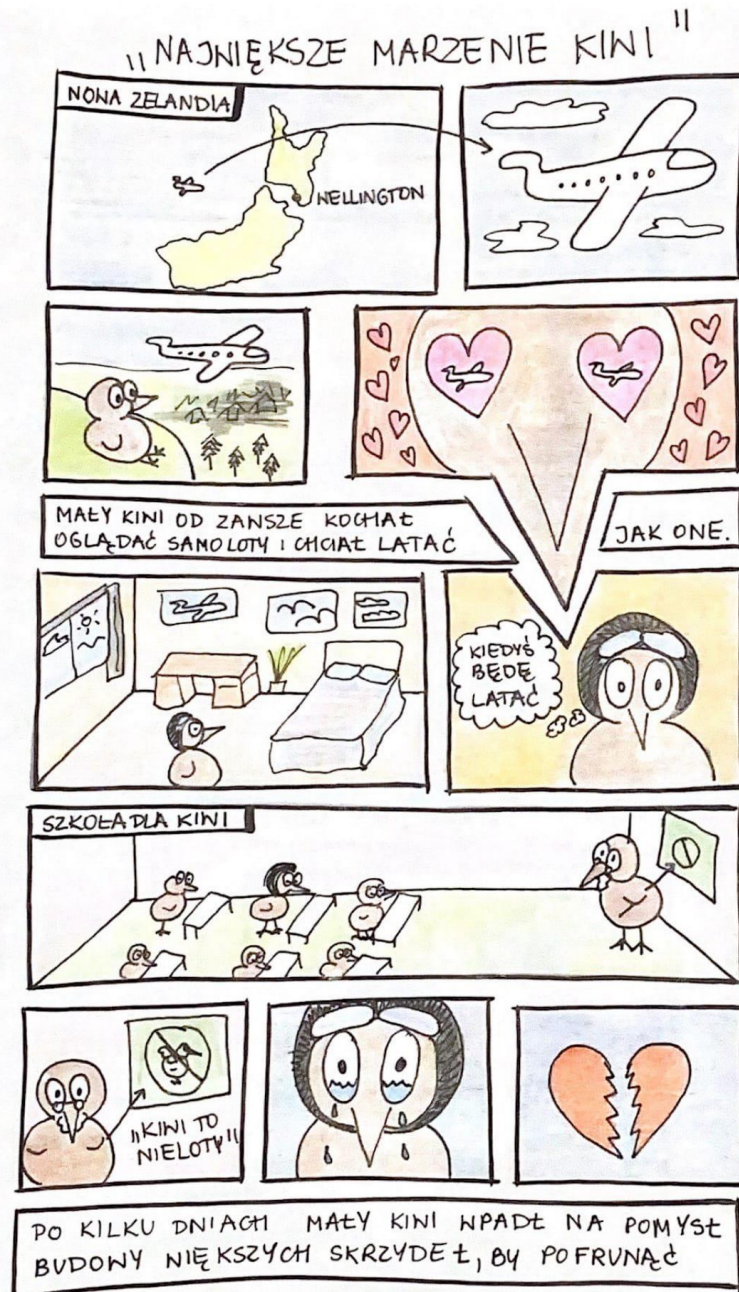
Z bliska miasto sprawiało żalosne wrażenie.

Ogromną ilość obwisłych, spadzistych dachów najwyraźniej toczyło robactwo wiele z nich było całkiem zapadniętych.



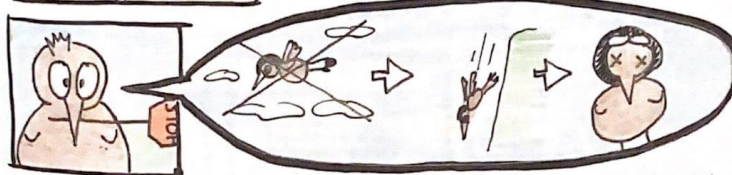
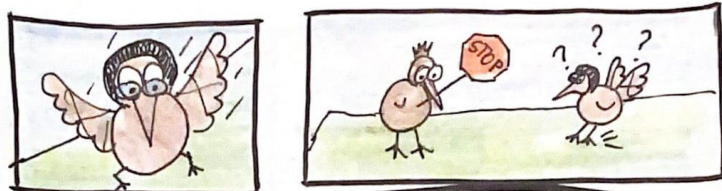
C.D.N.

# Największe marzenie kiwi

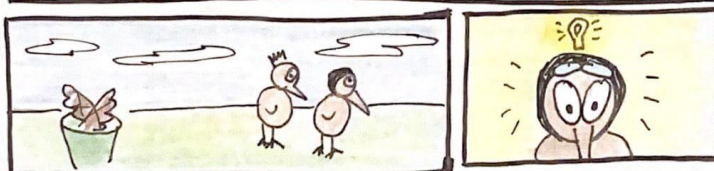




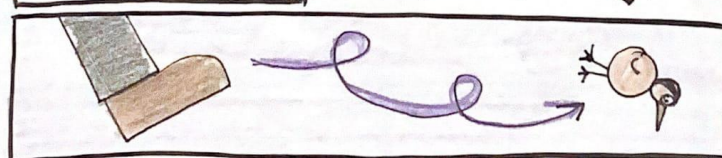
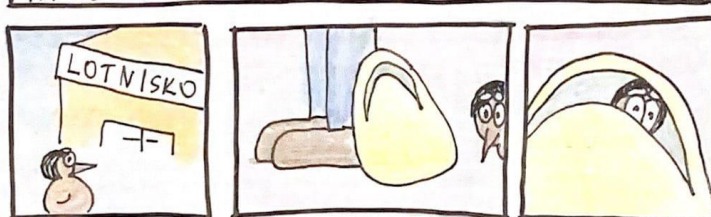




ŚMIESZNY KIVI WYTŁUMA CZYŁE MATEMU KIVI JAK BARDZO NIEBEZPIECZNE TO BYŁO.



MAŁY KIVI WPADE NA NOWY POMYSŁ - WŁAMANIA SIĘ NA LOTNISKO I WEJŚCIA NA POKŁAD SAMOLOTU







4



# W FORMIE SCENARIUSZA

Franciszek Sobiech

## Ciężka praca

### STRONA PIERWSZA

#### PANEL 1

Otwarty. Widok z góry, pod kątem, na część miasta. Bardzo podobne do siebie, szare budynki, kilka wybijających się ponad wieżowców. Dominujący szary kolor z elementami granatowymi. Ciemne niebo, wieczór, bez gwiazd.

Podpis: Daleko.

#### PANEL 2

Szeroki. Zbliżenie na długi blat na którym stoi tylko futurystyczne, minimalistycznie zaprojektowane urządzenie, przypominające drukarkę. Jest lekko zakurzone. Dłoń dotyka przycisku na boku urządzenia.

#### PANEL 3

Leżący na białym stole tablet, ekran wyłączony. Na wyłączonym ekranie widoczna warstwa kurzu. Wokół również leży kurz, są w nim nieregularne smugi jak od palców. Ciemna, nieregularna plama obok urządzenia.

#### PANEL 4

Proste, metalowe drzwi do mieszkania. Drzwi nie mają klamki, wyglądają na rozsuwane. Są lekko zabrudzone. Ściana wokół, w tej części której widać, wygląda jakby oryginalnie była biała, ale zabrudziła się z czasem. Panel z pięcioma przyciskami po prawej stronie na wysokości ramion człowieka.

## PANEL 5

Bez dokładnie zdefiniowanej ramki, nieregularny kształt panelu. Odjeżdżający mały, futurystyczny pojazd pomiędzy rzędami budynków. Widać że pojazd szybko oddala się na wprost, w kierunku od czytelnika. Promienie słońca odbijają się od karoserii.

## STRONA DRUGA

### PANEL 1

Szeroki. W tle inne bloki, szare i białe. W środku panelu uchwycony w ruchu w prawą stronę pojazd z poprzedniej strony. Ogólna pustka. Nie widać nieba nad blokami, trochę mniej światła widocznego w odbiciach od okien i pojazdu. Późniejsza pora dnia niż na poprzedniej stronie.

### PANEL 2

Szeroki. Widok z niższej perspektywy. Pojazd stoi przed jednym z budynków w rzędzie podobnych bloków. Po lewej i prawej stronie pojazdu widać inne wejścia do tych budynków. Coraz ciemniej. Nadal żadnych ludzi i innych pojazdów wokół.

### PANEL 3

Szeroki. Widać niebo, dachy i kawałki okien najwyższych pięter bloków. Jest późna noc, na niebie gwiazdy, niezbyt wiele.

## STRONA TRZECIA

### PANEL 1

Szeroki. W tle panoramiczny widok przez okno na przestrzeń kosmiczną, gwiazdy, jedną planetę w oddali. Niżej panel sterowania, wiele ekranów dotykowych, przycisków i wyświetlaczy. Przed nim, w środku panelu, dwa fotele odwrócone tyłem do widza.

POSTAĆ NA LEWYM FOTELU

Dziwna praca.

POSTAĆ NA PRAWYM FOTELU

Podobno potrzebna.

POSTAĆ NA LEWYM FOTELU

Nie mogliby robota wysłać?



## PANEL 2

Stół, w tej samej stacji kosmicznej, na lewo od panelu sterowania. Solidny, wyglądający na plastik w jasnym, pastelowym kolorze. W tle ściana z jednym panelem dotykowym. Na stole połowa kanapki na talerzu, zeszyt i ołówek. Przedmioty na stole odstają wyglądem, kolorami, śladami użytkowania od minimalistycznego wyglądu otoczenia.

### GŁOS Z PRAWEJ STRONY PANELU

A poza tym to jak uciekli to uciekli, po co tam wracać?

## PANEL 3

Drzwi rozsuwane w tej samej stacji kosmicznej. Aktualnie zamknięte. Po prawej stronie drzwi ekran dotykowy, aktualnie pokazujący kod przypominający kod QR.

Podpis: Zajęty

## PANEL 4

Tablet leżący na stole, włączony, na ekranie widać biały symbol słuchawki telefonu. Dłoń i kawałek ręki osoby siedzącej obok z prawej strony panelu. Widać rękaw niebieskiej eleganckiej koszuli.

### GŁOS Z PRAWEJ STRONY PANELU

To co zwykle.

## PANEL 5

Taki sam stół jak na poprzednim panelu. Widok z góry pod kątem. Stojące na nim urządzenie przypominające drukarkę, podobne do tego z pierwszej strony, ale czystsze. Ta sama dłoń co na poprzednim panelu dotyka przycisku na boku urządzenia.

## STRONA CZWARTA

## PANEL 1

Dom, tradycyjny i typowy, w stylu amerykańskiego przedmieścia z filmów. Niezbyt duży, pasujący na jedną rodzinę. Przed nim ogródek, sama trawa dokładnie przycięta, stoi skrzynka na listy. W tle łąka, głównie z traw i sporadycznie kwiatów. Widać trochę nieba, niezbyt pasującego kolorystycznie do reszty obrazka. Jest niebieskie, ciemne, ale z pewnym odcieniem zielonego, powodującym skojarzenia z radioaktywnością.

## PANEL 2

Podobny dom do tego na poprzednim panelu, różni się kolorem ścian. Reszta elementów też podobna do poprzedniego panelu. Z prawej strony panelu zielona trawa przechodzi dosyć gwałtownie w wysuszoną, kontrastującą kolorem, pomarańczową ziemię.

## PANEL 3

Widok na wysuszoną, pomarańczowo - brązową ziemię. Nie widać żadnych roślin i budynków. Kontrast intensywnych kolorów ziemi i niebieskiego zielonkawego nieba.

## PANEL 4

Wnętrze jednego z domów. Urządzone podobnie w typowy amerykański sposób. Widok na fotel w salonie, telewizor po prawej stronie, z tyłu komoda i wejście do kuchni. Odznacza się brak innych przedmiotów poza elementami umeblowania. Na stoliku obok fotela popielniczka z leżącym w niej dopalającym się cygarem.

## PANEL 5

Kontrastujący kolorami z poprzednim panelem. Utrzymany w jasnej, sterylnej kolorystyce tak jak w stacji kosmicznej. Widać podłogę, metalową, matową i ścianę białą. Widzimy z góry niedomkniętą szarą skrzynię. W środku widać rękaw złożonego kombinezону. Wyróżnia się on z otoczenia jaskrawym żółtym kolorem.

## STRONA PIĄTA

### PANEL 1

Widok na współczesny wysoki oszklony wieżowiec. Ma prostą bryłę. Za oknami nie widać nikogo. W tle nie widać ziemi, muszą to być wyższe piętra. Sama budowla jest umiejscowiona symetrycznie na środku i zajmuje większość panelu. Za nim nocne niebo i gwiazdy.

### PANEL 2

Widok z lotu ptaka na osiedle bloków w różnych kolorach, raczej wyblakłych i pastelowych. Między nimi trochę drzew i traw. Są chodniki prowadzące do każdego z bloków. Nie widać nieba, budowle i zielen zajmują cały panel. Trochę światła, pora wieczorna.

### PANEL 3

Widok z jeszcze większego oddalenia na powierzchnię planety. Dużo zieleni, jak lasy deszczowe widziane prawie z orbity. W północnej części planety, lekko zasłonięte chmurami, wielkie futurystyczne miasto. Widać jedną budowlę przypominającą grot włóczni pośrodku i wokół niej przypominające półsfery inne budynki, całość na planie koła. Kontrast między zielenią planety a białymi i niebieskimi od szkła budynkami. Za planetą, z lewej strony panelu, widać fragment przestrzeni kosmicznej.

### PANEL 4

Otwarty, duży panel na resztę strony. W tle przestrzeń kosmiczna i bardzo dużo gwiazd. W lewym dolnym rogu planeta, głównie widać jej niebieski kolor i pasy chmur na powierzchni. Wokół niej orbituje mały, szary, wyglądający na skalisty, księżyc. W prawym dolnym rogu mgławica. Przedstawiona jako chmura, ledwo widoczna na ciemnym tle kosmosu, w kolorze fioletowym o nieregularnym kształcie. W symetrycznym środku kadru statek kosmiczny. Niezbyt duży, ale wyraźnie dostrzegalny. Wygląda jak amerykański statek NASA z okresu użytku wahadłowców. Jest w kolorze białym z elementami metalowymi wyglądającymi na chromowane.

Podpis: Jeszcze dalej.

## STRONA SZÓSTA

### PANEL 1

Widok jak z PANELU 4 ze strony trzeciej, tablet leży na stole, ale jest wyłączony. Wokół niego leżą kawałki papieru każdy z innym tekstem wyglądającym na adres. Adresy zapisane są w różnych formach, niektóre składają się tylko z liczb, niektóre zapisane są alfabetem łacińskim, a inne w inny sposób. Nie pojawiają się na nich prawdziwe słowa.

Kilka kartek zmiętych i wyglądających na starsze, a inne nowe i proste

Podpis: Czemu mają być takie puste.

### PANEL 2

Widok na planetę pokrytą oceanem, widać fale i kilka wielkich zwierząt morskich. Niektóre z nich to wieloryby, widać też dwa wielkie węże przedzierające się przez fale. Wieloryby mają ciemne kolory, czarny i szary. Węże są połyskujące, mają zielone i niebieskie ale odznaczające się od wody łuski.

### PANEL 3

Spojrzenie pod kątem na okno na statku kosmicznym. Widać szarą podłogę pokrytą przyczepnym materiałem. Z lewej strony panelu okno, a w nim planeta pokryta oceanem. Z prawej strony kadru widać rękę w kombinezonie, wygląda jakby był niedopasowany, albo użyto za dużo materiału. Dłoń jest w czarnej, dużej rękawicy z metalowymi paskami na palcach. Ręka jest ułożona tak jakby ktoś spoza panelu przyglądał się dłoni. Palce są lekko zagięte do środka.

### PANEL 4

Pod wodą. Wokół wiele ryb, małych i trochę większych w różnych, odznaczających się, ale nie zbyt jaskrawych kolorach. Wrażenie ruchu wielu istot i zagęszczenia. Z lewej strony panelu w środku wysokości małe, ale zauważalne pole od którego ryby zdają się uciekać, widać tam tylko wodę.

### PANEL 5

Wnętrze statku kosmicznego z PANELU 3. Na metalowym, solidnym stole stoi szklany sześcian z grubymi ściankami. W środku woda, praktycznie przezroczysta i bez zanieczyszczeń. Pływa w niej ryba, podobna do ziemskiej złotej rybki, ale jest fioletowa. Na dolnej ściance sześcianu stoi mały, też fioletowy ale bardziej polyskujący i półprzezroczysty kryształ.

## STRONA SIÓDMA

### PANEL 1

Widok na stół w mieszkaniu z pierwszej strony ale z innego kąta. Część stołu została wytarta z kurzu, wygląda jak w pośpiechu, niedokładnie. Do mieszkania wpada sporo światła, jakby były otwarte drzwi. Na stole stoi sześcian z rybą w środku z poprzedniej strony. Ryba mieni się w świetle. Promienie światła załamują się też na wodzie i ściankach sześcianu i odbijają się na ściany w różnych kierunkach.

### PANEL 2

Bliższe spojrzenie na akwarium. Późniejsza pora dnia, światło pada już tylko obok jednej ze ścianek. Zwierzę w środku unosi się już niżej, blisko kryształu na dnie. Widać unoszące się z niego małe bąbelki powietrza.

Podpis: Może nie.

### PANEL 3

Stół z PANELU 4 ze strony trzeciej, z lewej strony panelu na stole śrubokręt, bardzo ubrudzony smarem. Po prawej stronie, na stole, dłoń głównego bohatera z kawałkiem ręki do łokcia. Dłoń wygląda dokładnie tak jak ludzka, jest średniej wielkości, bardzo czysta i bez żadnych ran i zadrapań. Cała reszta ręki jest prostym metalicznym prętem, w miejscu, w którym następowaloby połączenie łokciem z resztą ręki, wystające przewody różnych kolorów.

### PANEL 4

Ten sam pokój jak na poprzednim panelu. Widok od boku na laptop i dłonie głównego bohatera dotykające klawiszy na ekranie. Na kawałku ekranu który widać dużo białych liter na czarnym ekranie przypominających kod komputerowy. Z tyłu, na półce za laptopem widać kawałek ramki ze zdjęciem. Jeśli się przyjrzeć to widać że jest na nim ryba z poprzednich paneli.

## STRONA ÓSMA

### PANEL 1

Panel na całą stronę. Pionowy widok na salon drewnianego domku. Kojarzy się z trochę nowocześniejszym, ale nadal przytulnym domkiem w górach. Na podłodze mały dywan w jasnych kolorach. Zupełnie na wprost od czytelnika okno z widokiem na dolinę pokrytą gęstym lasem liściastym i oświetloną światłem słonecznym. Po obu stronach od okna w pokoju dwa fotele, brązowe. Ustawione przodem do okna. Zza oparcia obu foteli widoczna wychodząca na prawo dłoń trzymająca cygaro. Wokół żadnych innych mebli i rzeczy osobistych.



Loomis Dean, *Atomic Bomb Test Site in Nevada* (1955)



Anna Klodowska

## Rozpłaszcz się

(na motywach *Płaszcz* Nikołaja Gogola)



Laura



Rita

## STRONA 1

Panel 1: Miasto nocą – widok z lotu ptaka na chodnik. Drobną wędrującą postacią, pusta ulica.

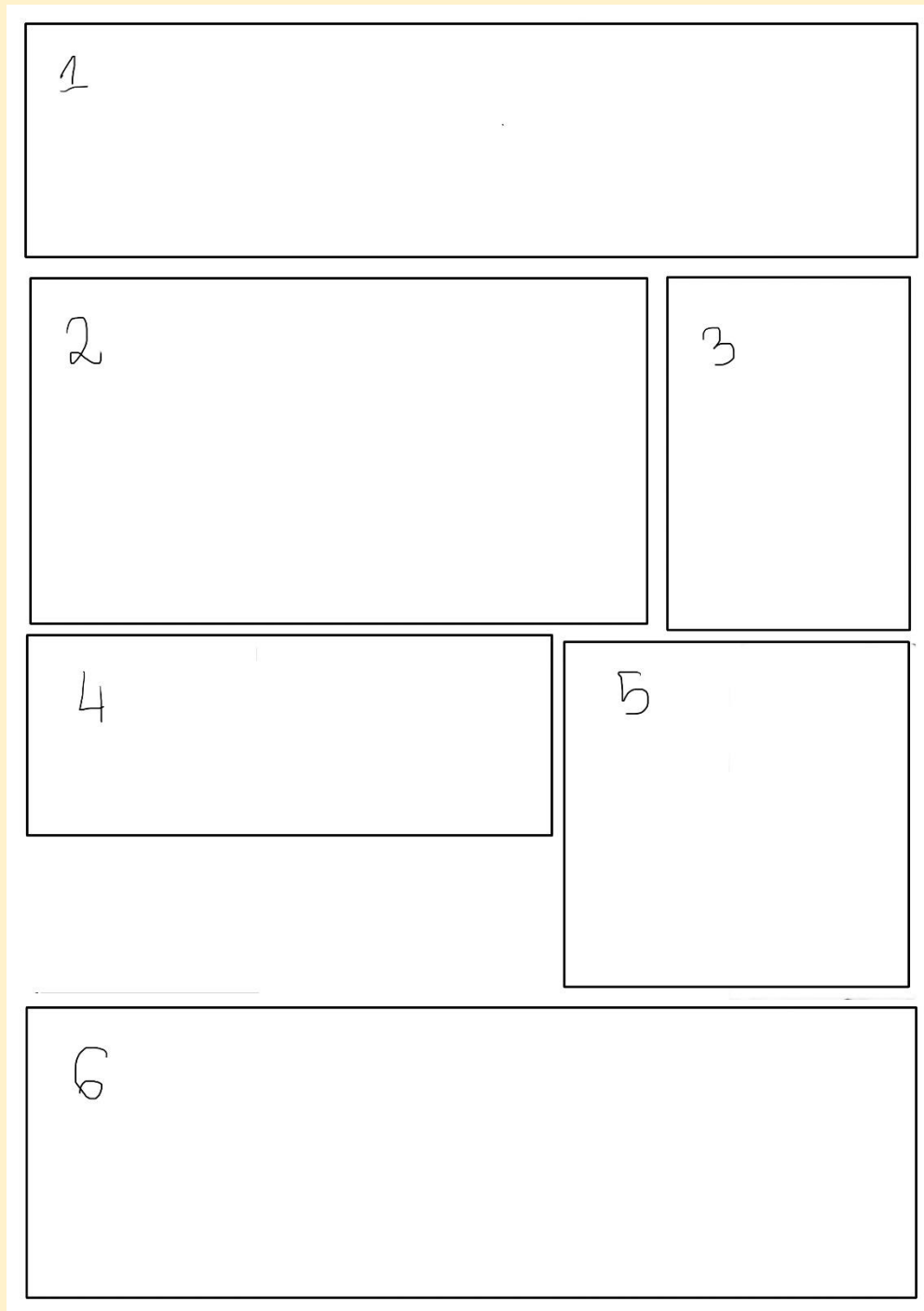
Panel 2: Zbliżenie na zamyśloną twarz Akakija, otuloną futerkiem z płaszcza.

Panel 3: Ręka chwytająca za kołnierz płaszcza

Panel 4: Zbliżenie na zaskoczone spojrzenie Akakija.

Panel 5: Ściąganie płaszcza z Akakija.

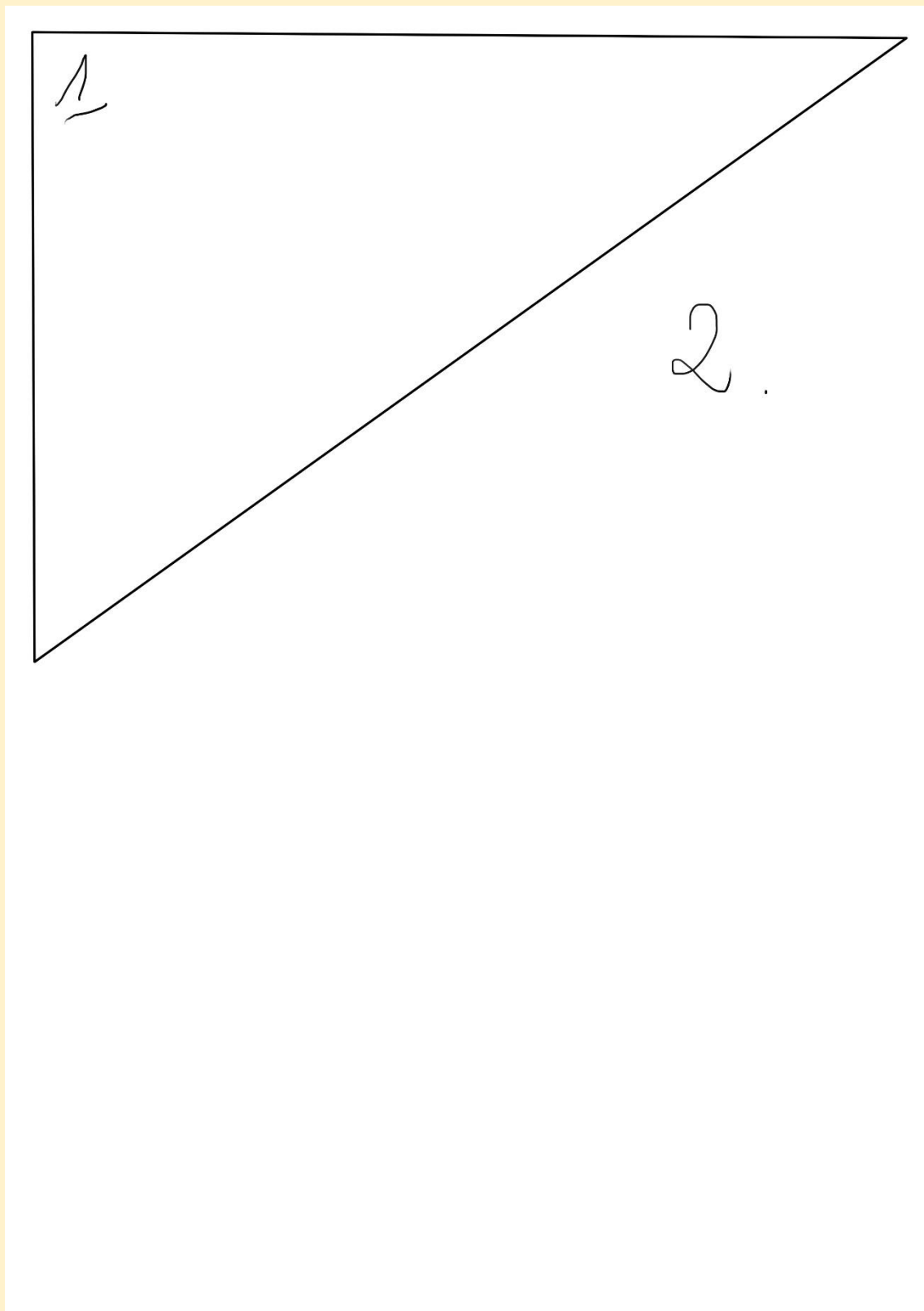
Panel 6: Zbliżenie na uśmiech oprawcy. Dymek wychodzący poza panel: „A płaszcz jest mój!”



## STRONA 2

Panel 1: Akakij leży bez płaszcza na ziemi.

Panel 2 (otwarty): Sylwetki biegnące w oddali ulicy.



### STRONA 3

Napis w rogu: Następnego dnia...

Panel 1: Zaśmiecona, tania kawalerka z lotu ptaka. Rita gotuje coś przy aneksie kuchennym. Laura siedzi na kanapie, rysuje.

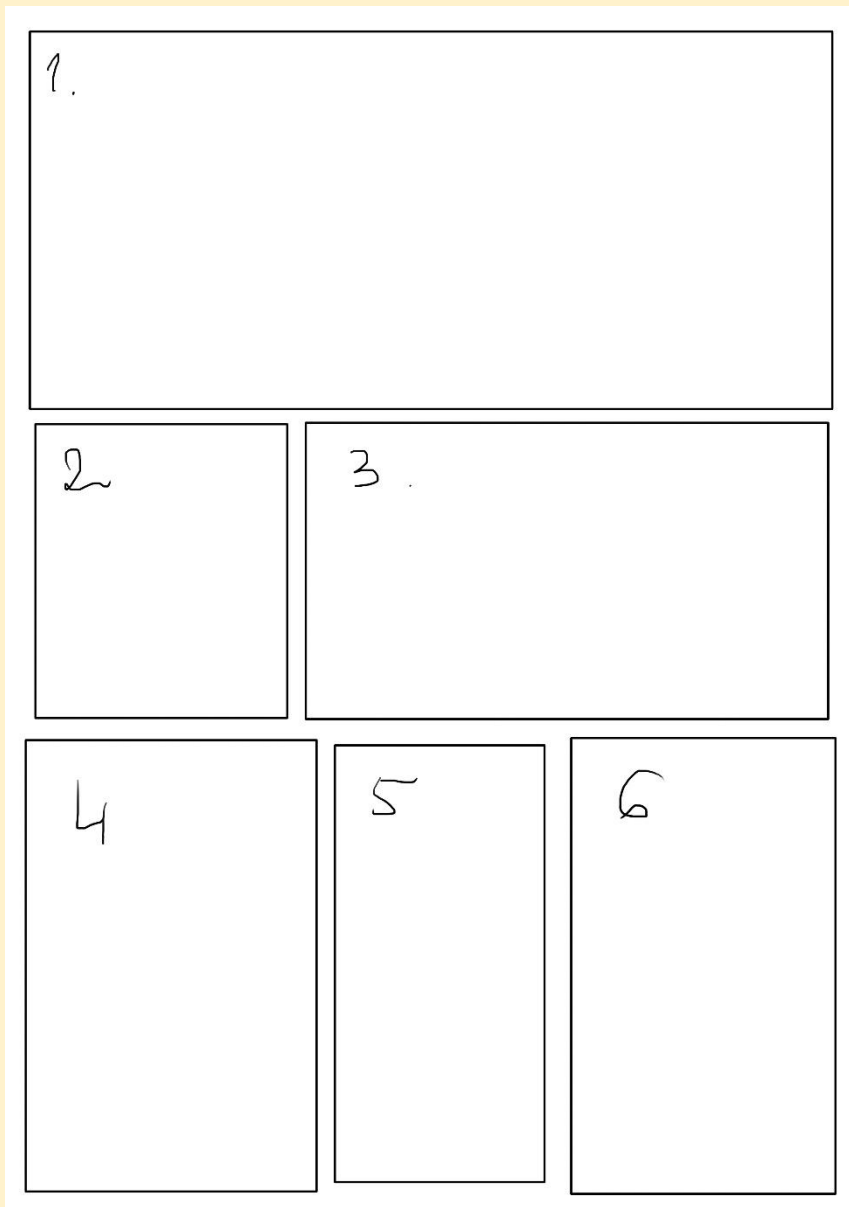
Panel 2: Zbliżenie na profil Laury. Mówi: „Myślę o tym... Chłopaku”. Dymek od postaci spoza kadru: „Przestań.”

Panel 3: Cała sylwetka Laury siedząca na kanapie. Dymek: „Myślę, czy to było konieczne”. Dymek od postaci spoza kadru: „Wcześniej jakoś nie miałaś wyrzutów sumienia”.

Panel 4: Milcząca twarz Laury.

Panel 5: Plecy Rity stojącej przy kuchence. Kobieta odwraca się przez ramię. „Poza tym...”

Panel 6: Stopy Rity przemierzającej kawalerkę.





#### STRONA 4

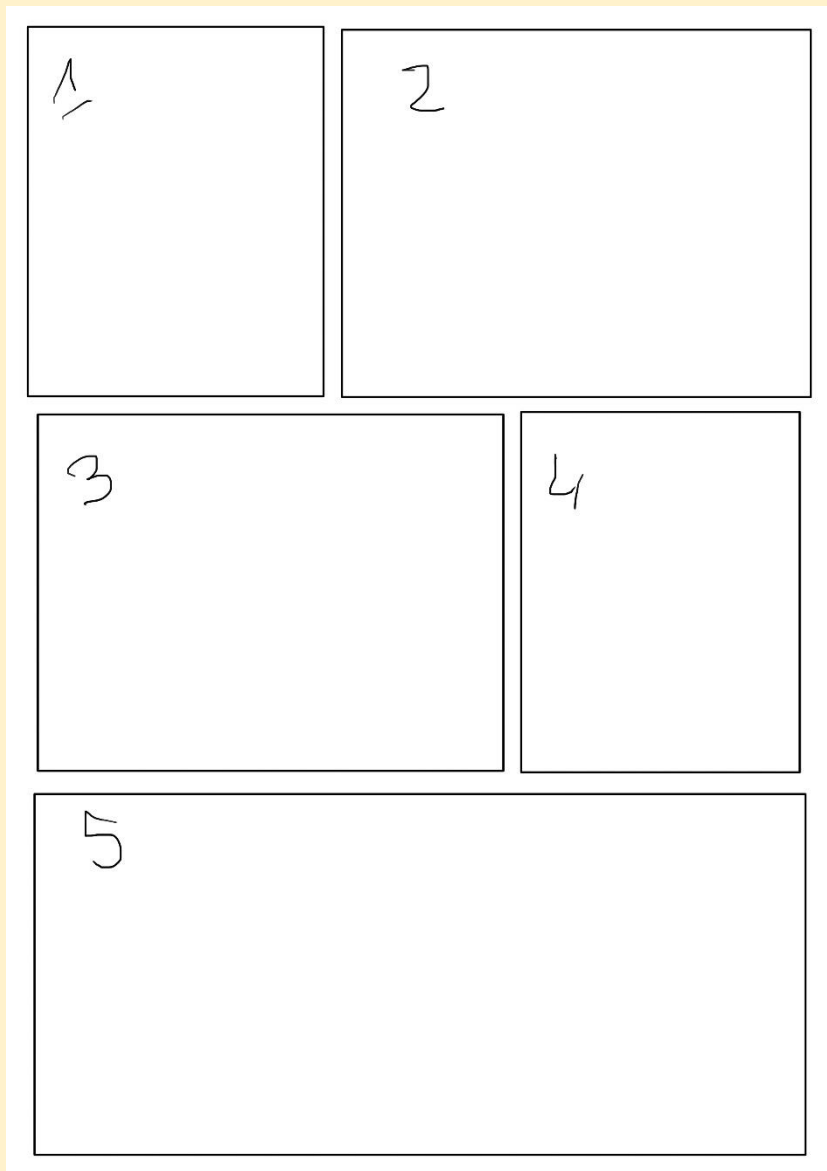
Panel 1: Rita obejmuje Laurę siadając obok na kanapie. Dymek: „...musiałam zapewnić ci ciepło. Nie chcę, żebyś zamrzła przez brak ogrzewania w tej klitce”.

Panel 2: Zbliżenie na twarze, znajdujące się bardzo blisko siebie. Laura pyta smutno: „Czy tak będzie już zawsze? Kiedy czegoś nam zabraknie, po prostu to ukradniemy?”

Panel 3: Rita podnosi się gwałtownie – widok na kanapę z boku, od strony Rity. Dymek: „Dobrze wiesz, jak to wygląda! Że staram się zapewnić ci godne życie! Wróć do rodziców, skoro ci się nie podoba!”

Panel 4: Laura spogląda w podłogę, półzbliżenie. Dymek: „Wiesz, że nie mogę.”

Panel 5: Groźne spojrzenie Rity. Dymek: „Więc siedź cicho i ciesz się, że masz czym się ogrzać!”



## STRONA 5

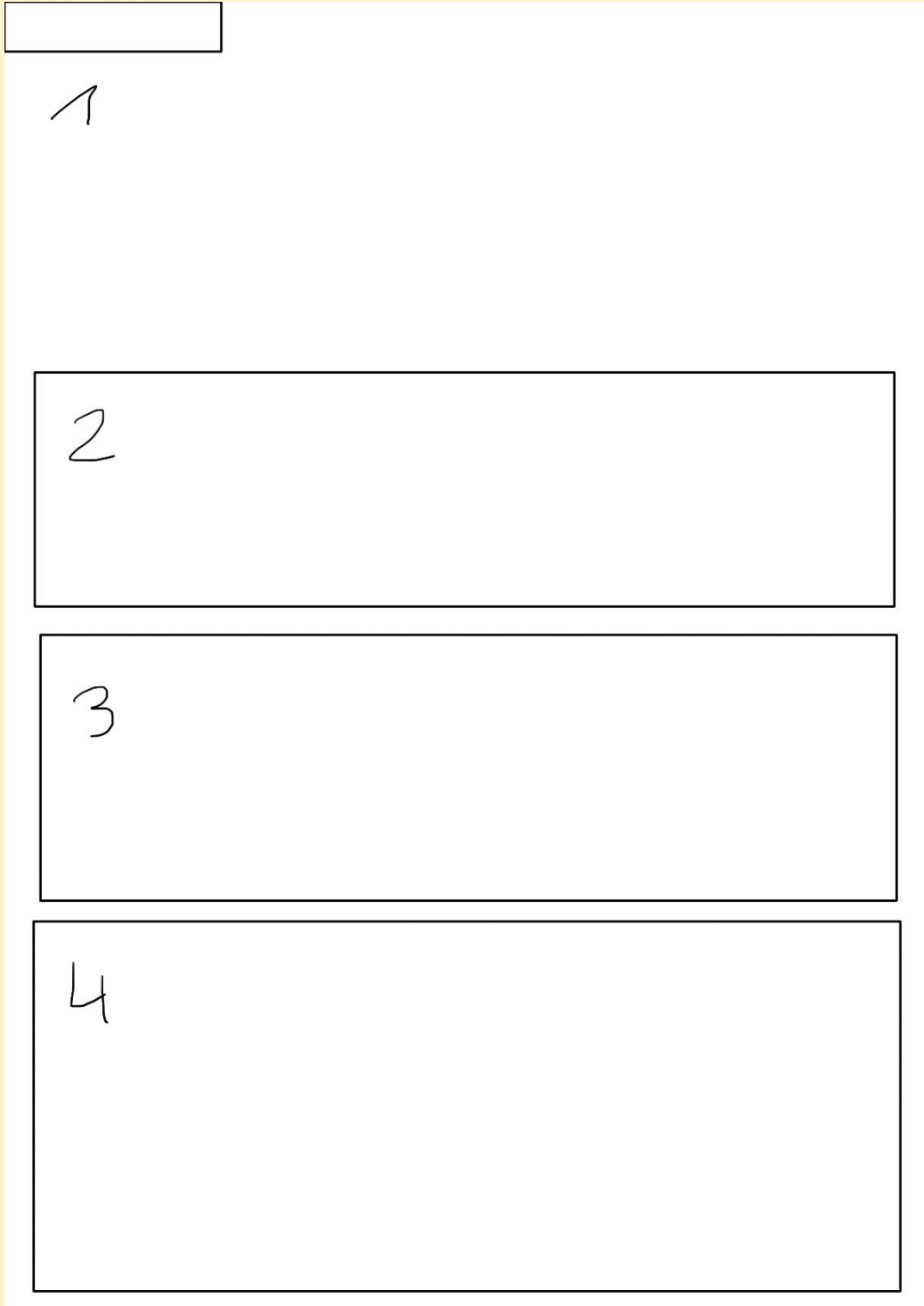
Tekst w rogu: Jakiś czas później...

Panel 1 (otwarty): Laura w płaszczu idzie chodnikiem. Dzień, dookoła różni przechodnie.

Panel 2: Zbliżenie na twarz Laury, która dostrzega coś kątem oka.

Panel 3: Zbliżenie na ulotkę. „SKRADZIONO PŁASZCZ”, reszta tekstu niewidoczna.

Panel 4: Przejęta twarz Laury.



## STRONA 6

Panel 1: Laura wchodzi do mieszkania, ujęcie z boku na całą sylwetkę. W ręku trzyma ulotkę.

Dymek: „Rita!”

Panel 2: Rita podnosi spojrzenie znad czytanej książki, ujęcie na całą sylwetkę siedzącą na kanapie.

Dymek spoza kadru: „Musimy się z nim skontaktować...”

Panel 3: Zbliżenie na zirytowaną twarz Rity. Dymek: „Nie ma mowy”.

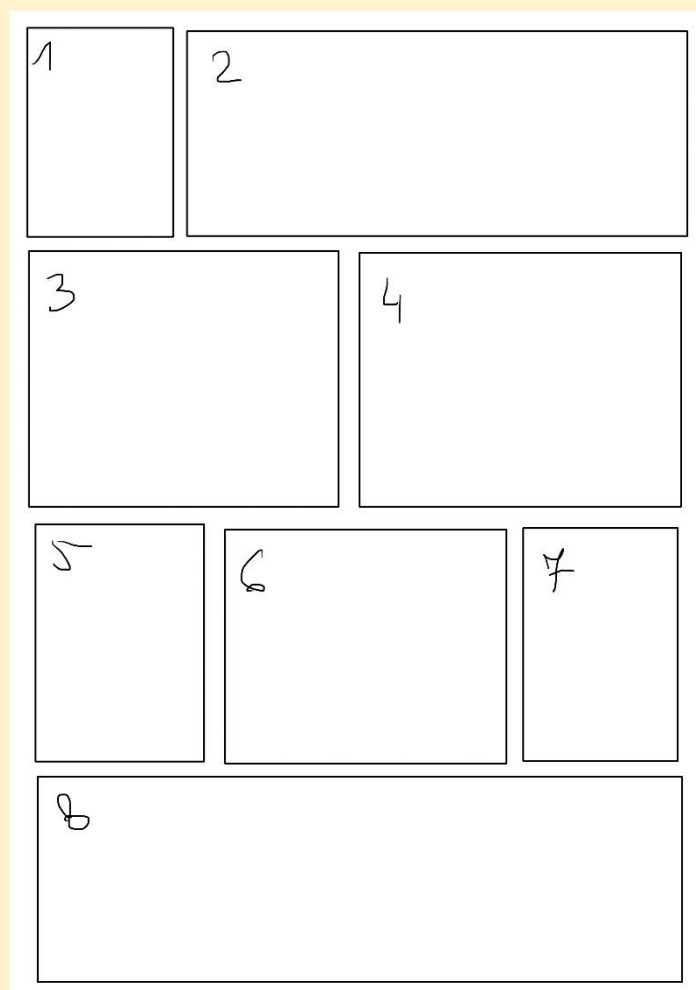
Panel 4: Widok na popiersie Laury. Jest zła. Dymek: „Dlaczego taka jesteś?! Musimy mu go oddać, może jest w takiej samej sytuacji jak my?”

Panel 5: Rita podnosi się z kanapy. Dymek: „Nie! Spójrz na ten płaszcz! Ludzi naszego pokroju na takie nie stać!”

Panel 6: Laura spogląda na to, w co jest ubrana. Dymek: „Ale... Może go dostał? Skąd wiesz, że *było* go stać?!”

Panel 7: Ujęcie na plecy Rity. Kobieta stoi przodem do okna. Dymek: „Słuchaj, nie obchodzi mnie jakiś obcy facet! Obchodzisz mnie ty i to, żebyśmy obie przetrwały zimę!”

Panel 8: Laura opiera się o blat kuchenny. Kładzie przed sobą ulotkę. Ma łzy w oczach. Dymek: „Ja nie mogę nosić tego płaszcza, nie mogę! Potrzebuje go jego właściciel.”



## STRONA 7

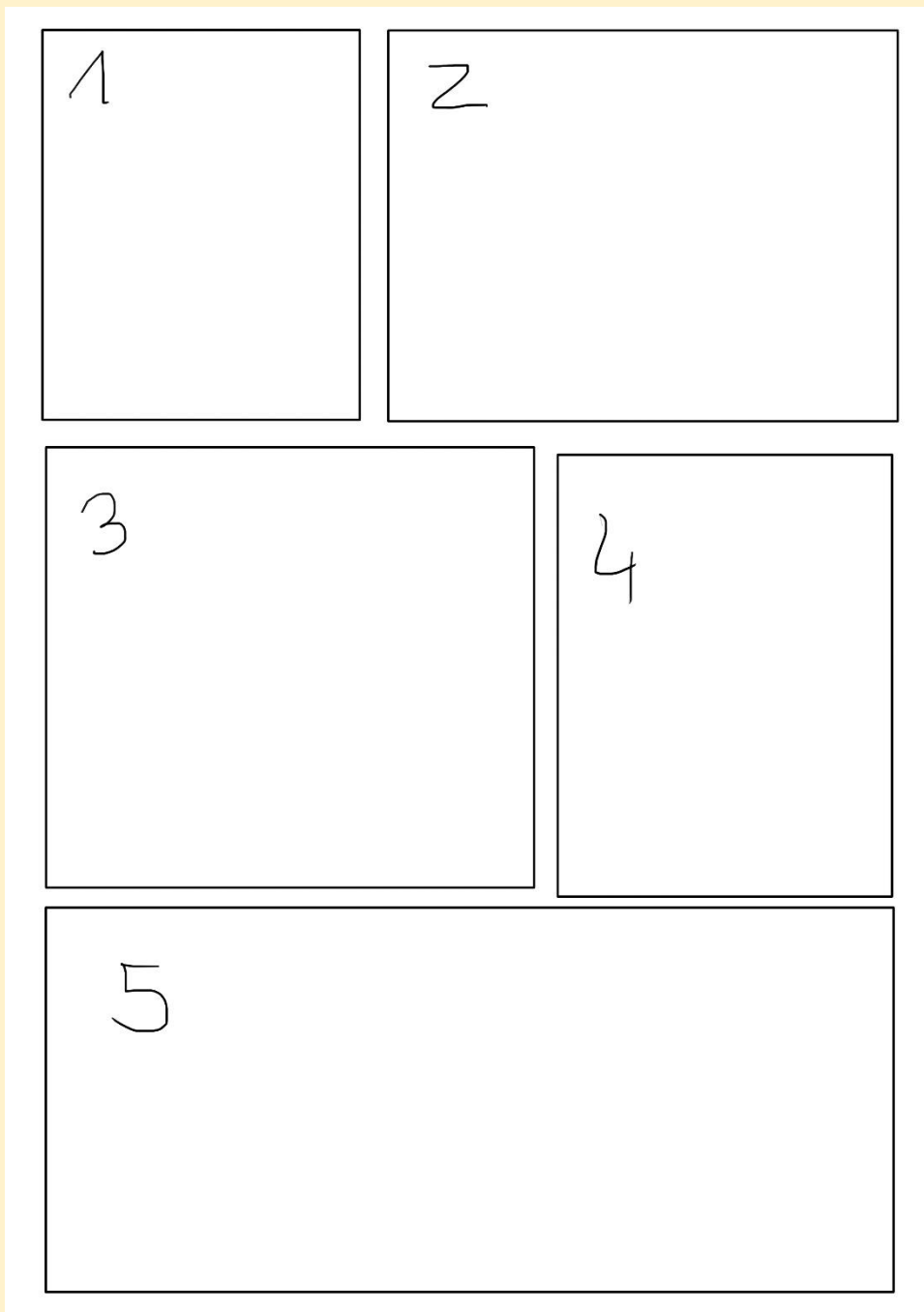
Panel 1: Rita obraca się przez ramię. Dymek: „Ty jesteś jego właścicielką!”

Panel 2: Rita idzie w kierunku Laury. Dymek: „Jemu właśnie o to chodzi! Chce wzbudzić w nas wyrzuty sumienia, a potem wydać policji. Trafisz do więzienia za napaść!”

Panel 3: Zbliżenie na zapłakaną twarz Laury.

Panel 4: Zbliżenie na zaciśnięte zęby Laury. Dymek: „W więzieniu przynajmniej nie będziesz musiała się martwić o to, że zamarznię.”

Panel 5: Zbliżenie na wściekłą twarz Rity. Dymek: „Nie chcę o tym więcej słuchać!”



## STRONA 8

Napis w rogu: Kilka dni później...

Panel 1 (otwarty): Ujęcie na niewielki kiosk z gazetami. Widać dwie postaci zbliżające się do niego – są niewyraźne, jednak ich kształty wskazują na Laurę i Ritę.

Panel 2: Zbliżenie na jedną z gazet. Nagłówek: TRAGICZNY FINAL POSZUKIWAŃ SKRADZIONEGO PŁASZCZA. Młody mężczyzna znaleziony martwy.

Panel 3: Zbliżenie na przerażone spojrzenie Laury.

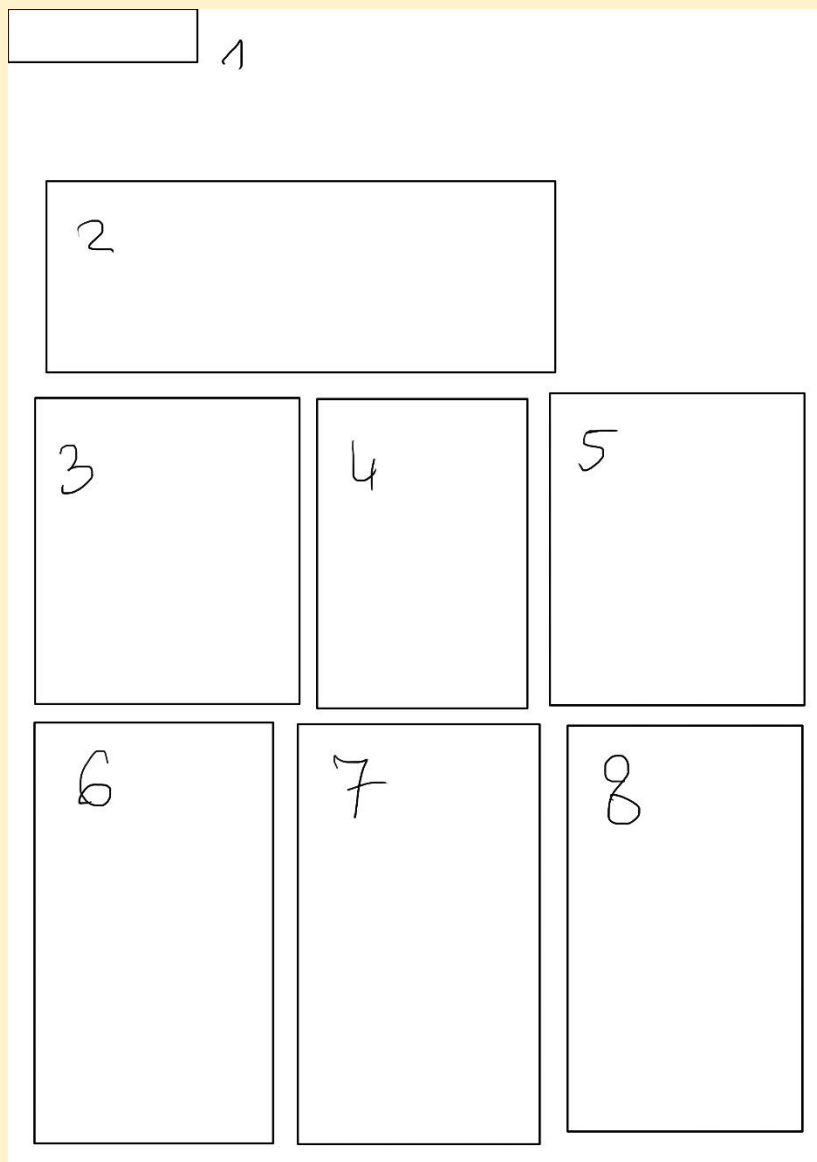
Panel 4: Zbliżenie na dłoń Laury chwytającą za rękaw Rity. Laura mówi: „To twoja wina...”

Panel 5: Zdziwiona twarz Rity zerkającej w kierunku gazet.

Panel 6: Rita odciąga Laurę od gazet. Mówi: „Zwariowałaś...!”

Panel 7: Laura wrywa się.

Panel 8: Laura ucieka od Rity – widać oddalającą się sylwetkę w biegu. Dymek: „To twoja wina!”





## STRONA 9

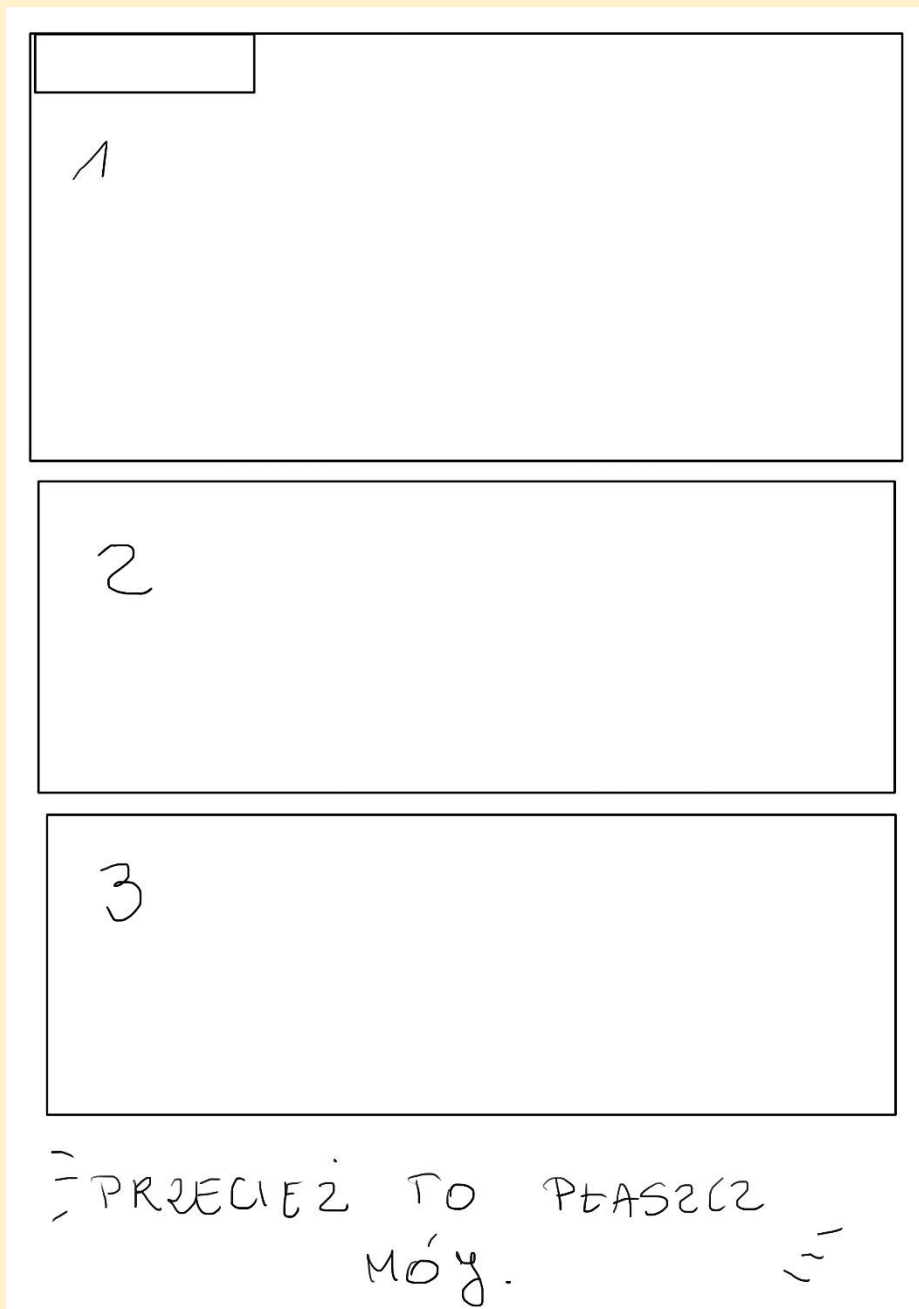
Napis w rogu: Wieczorem...

Panel 1: Ujęcie na Laurę skuloną samotnie nad brzegiem rzeki płynącej przez miasto. Kobieta płacze. Panuje mrok.

Panel 2: Zbliżenie na pół twarzy Laury i kawałek jej ramienia. Nad ramieniem kobiety pojawia się świecąca, półprzezroczysta sylwetka.

Panel 3: Zbliżenie na uśmiech ducha, podobny do tego z pierwszej strony.

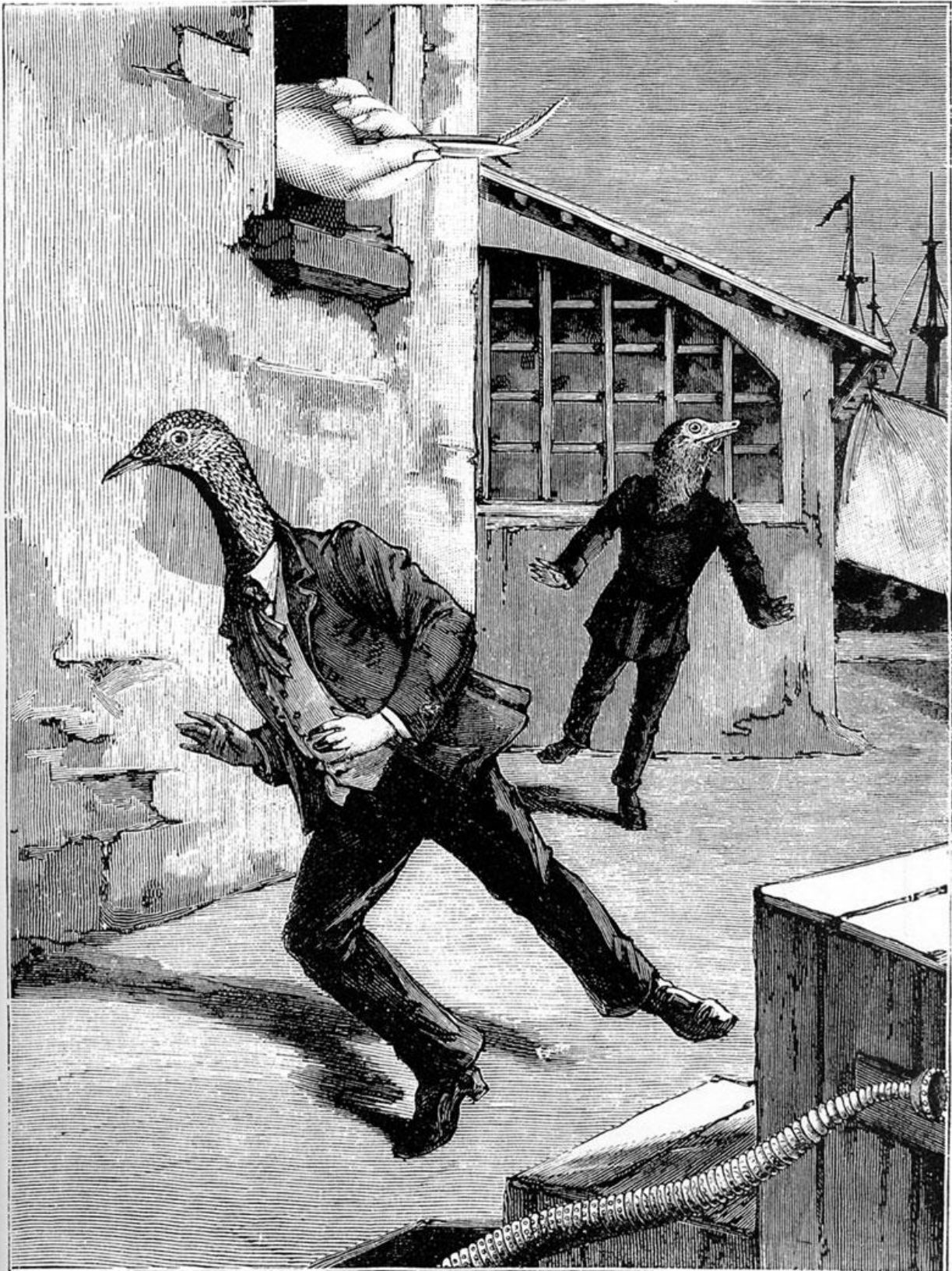
Napis na dole strony: „A płaszcz jest mój.”



Koniec.

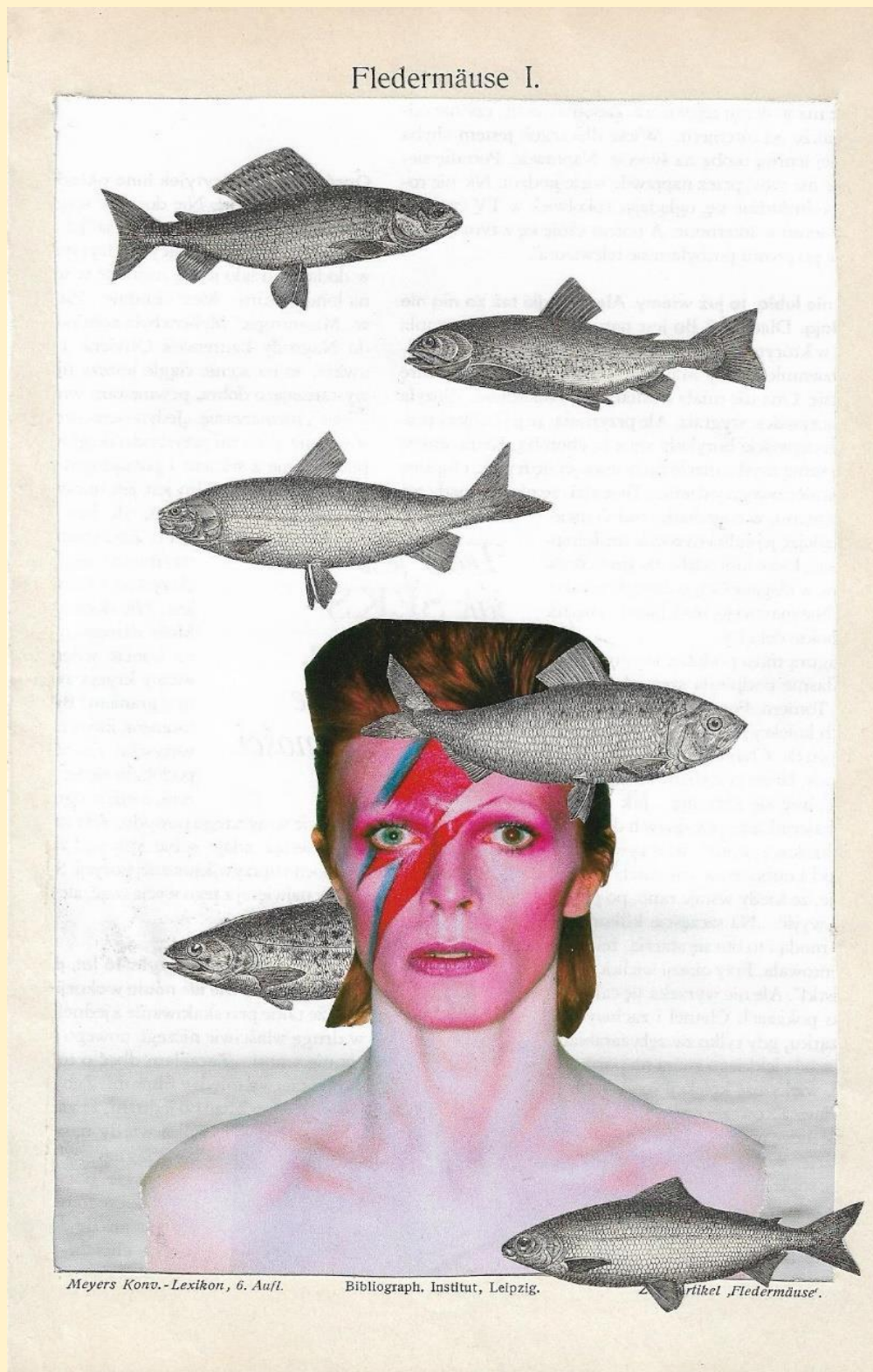


# GRAFIKA



Max Ernst, *Une semaine de bonté* (1934)





*Dream came true*



Klettervögel I.



Meyers Konv.-Lexikon, 6. Aufl.

Bibliograph. Institut, Leipzig.

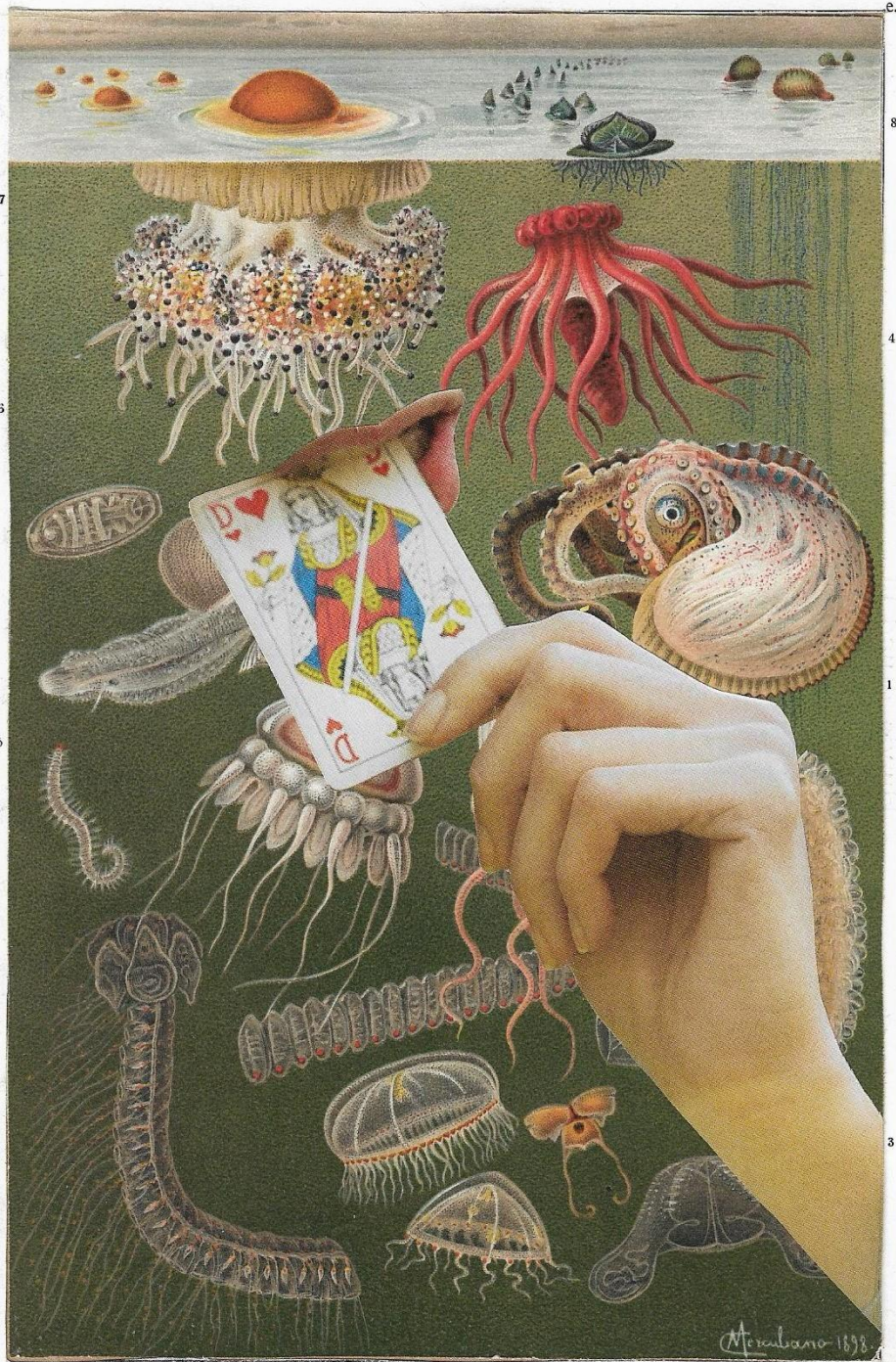
Zum Artikel 'Klettervögel'.

Flafirmacje



# Hunde I.

Jagende Hunde, Erdhunde, Stöberhunde.



1. Glatthaariger englischer Windhund. — 2. Wellhaariger russischer Windhund. — 3. Rauhaariger schottischer Windhund. — 4. Englischer Meutenhund (Foxhound). — 5. Foxterrier. — 6 u. 7. Glatthaariger und langhaariger Dachshund. — 8. Schwarzer Fieldspaniel.  
 Meyers *Konv.-Lexikon*, 6. Aufl.      Bibliograph. Institut, Leipzig.      Zum Artikel „Hund“.

Pies-k-ość



Meeresfauna III.



*Meyers Konv.-Lexikon, 6. Aufl.*

Bibliogr. Institut, Leipzig.

*Zum Artikel „Meeresfauna“*

*Płaszczki z wysadzaną głową*

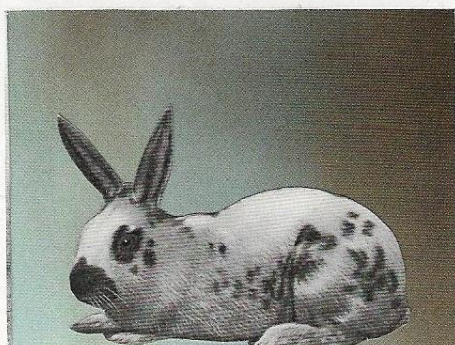


# Kaninchenrassen.

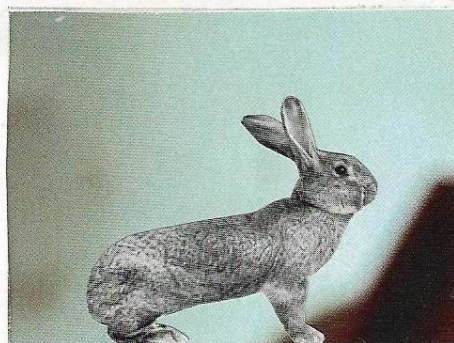
(Alle Abbildungen in etwa  $\frac{1}{10}$  natürl. Größe.)



1. Wildes Kaninchen.



2. Belgisches Riesenkaninchen.



3. Französisches Widderkaninchen.



4. Englisches Widderkaninchen.



5. Hasenkaninchen.



6. Englisches Schneckenkaninchen.



7. Braunes Silberkaninchen.



8. „Blau und Loh“.

Meyers Konv.-Lexikon, 6. Aufl.

Bibliograph. Institut, Leipzig.

Zum Artikel „Kaninchen“ (Bd. 21).

Tylko diabeł śpi



**DZIECKO FRANKENSTEINA** które zapisałam **DO ADOPCJI**

**Mam** program **naprawczy.**

**stworzyć**

**świat** co mnie pociąga.

**selfie,** takim, jakim jest.

**PRAWO DO PISANIA**

**Śmierć** — **Składnik wykwintny**

**a przy tym** już **za kilka złotych.**

**stworzyć** **ulgowe bilety na metro** **i do kina**

**dumne,** że ktoś je chciał.

**kreacja** wygląda tak, jak powinna.

**KOŚCIÓŁ MÓWI „NIE”**

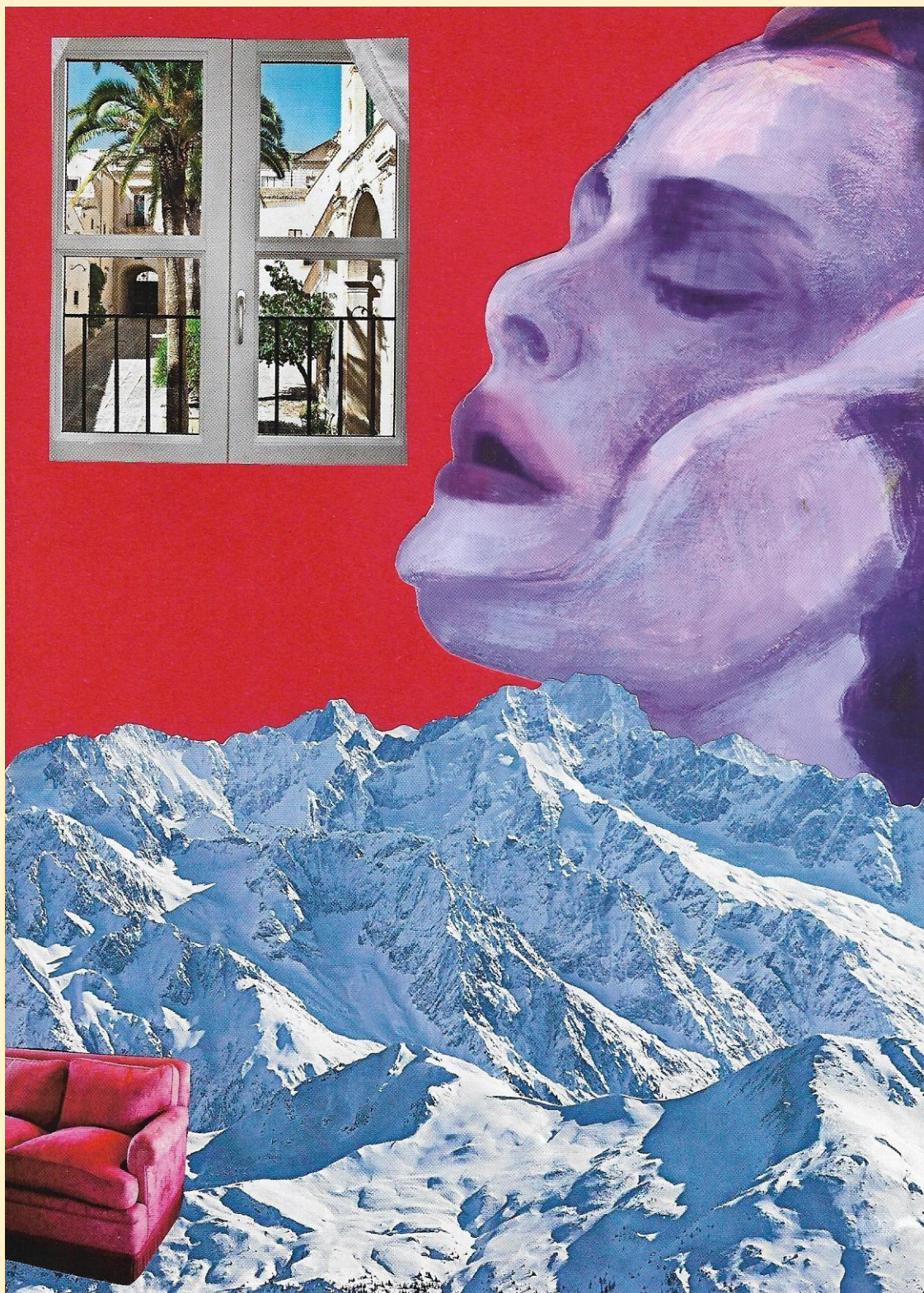
**bardzo trudno**

**wymarzę** **JESZCZE WIĘCEJ**

**ARTYSTA NIEZALEŻNY**

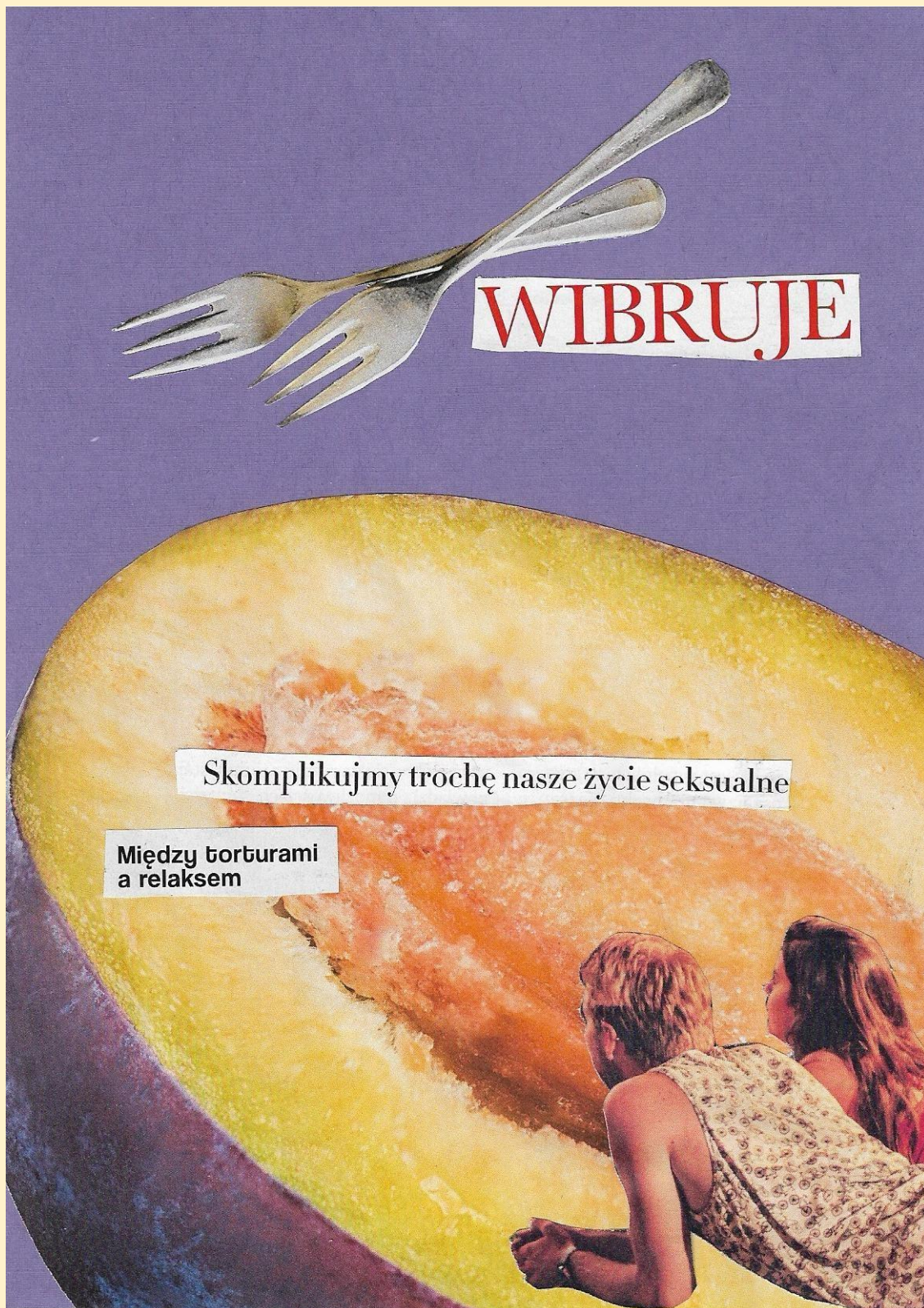
*Dziecko, które oddałam do adopcji*





*Wszędzie były ciała i meble*





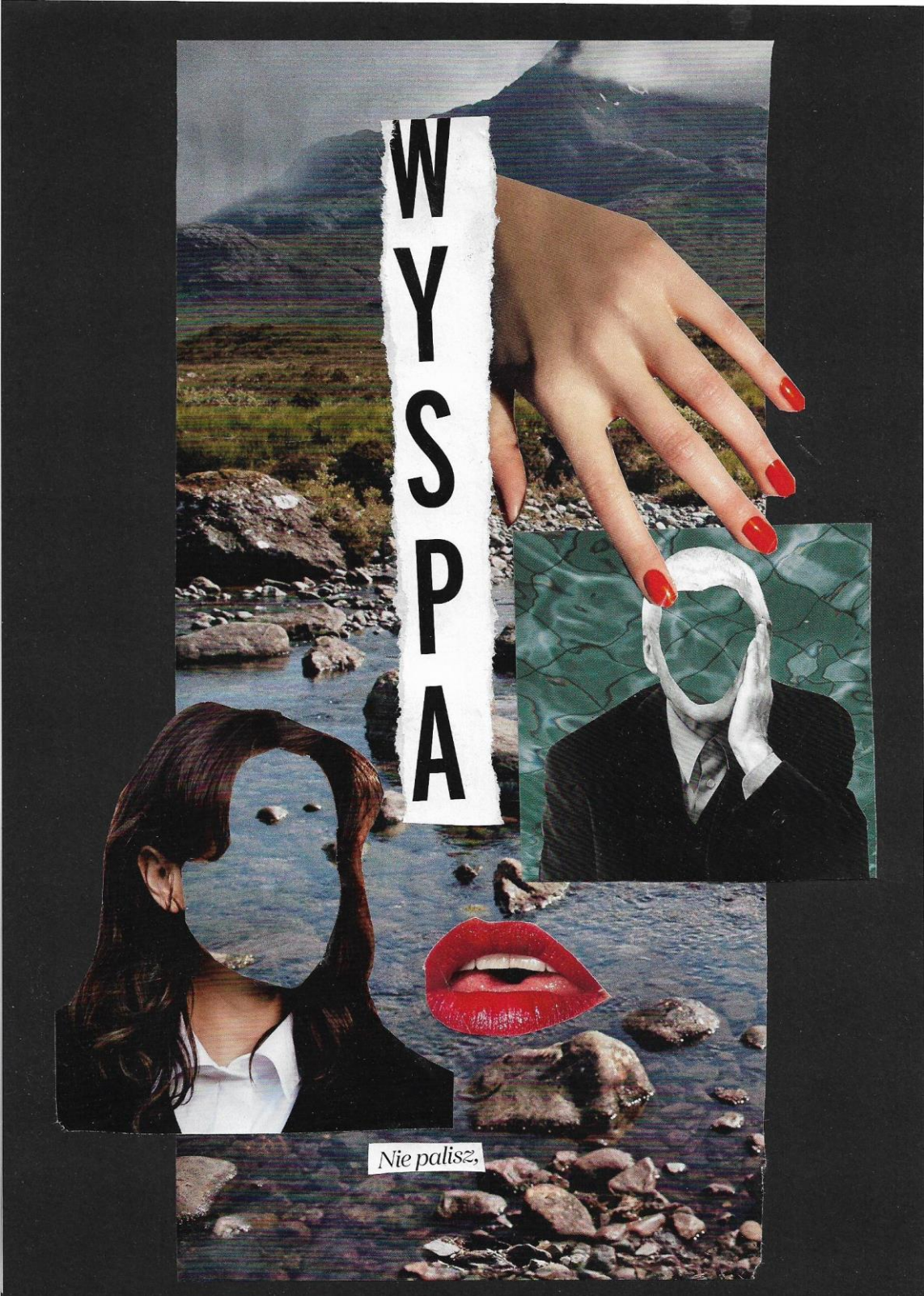
WIBRUJE

Skomplikujmy trochę nasze życie seksualne

Między torturami  
a relaksem

*Dźgnięcia i wygięcia*





W  
Y  
S  
P  
A

Nie palisz,

Nie palisz



**ZOBACZYĆ**

DZIEŃ, W KTÓRYM



**SEKS**

*jak histeria*

*Seks jak histeria*



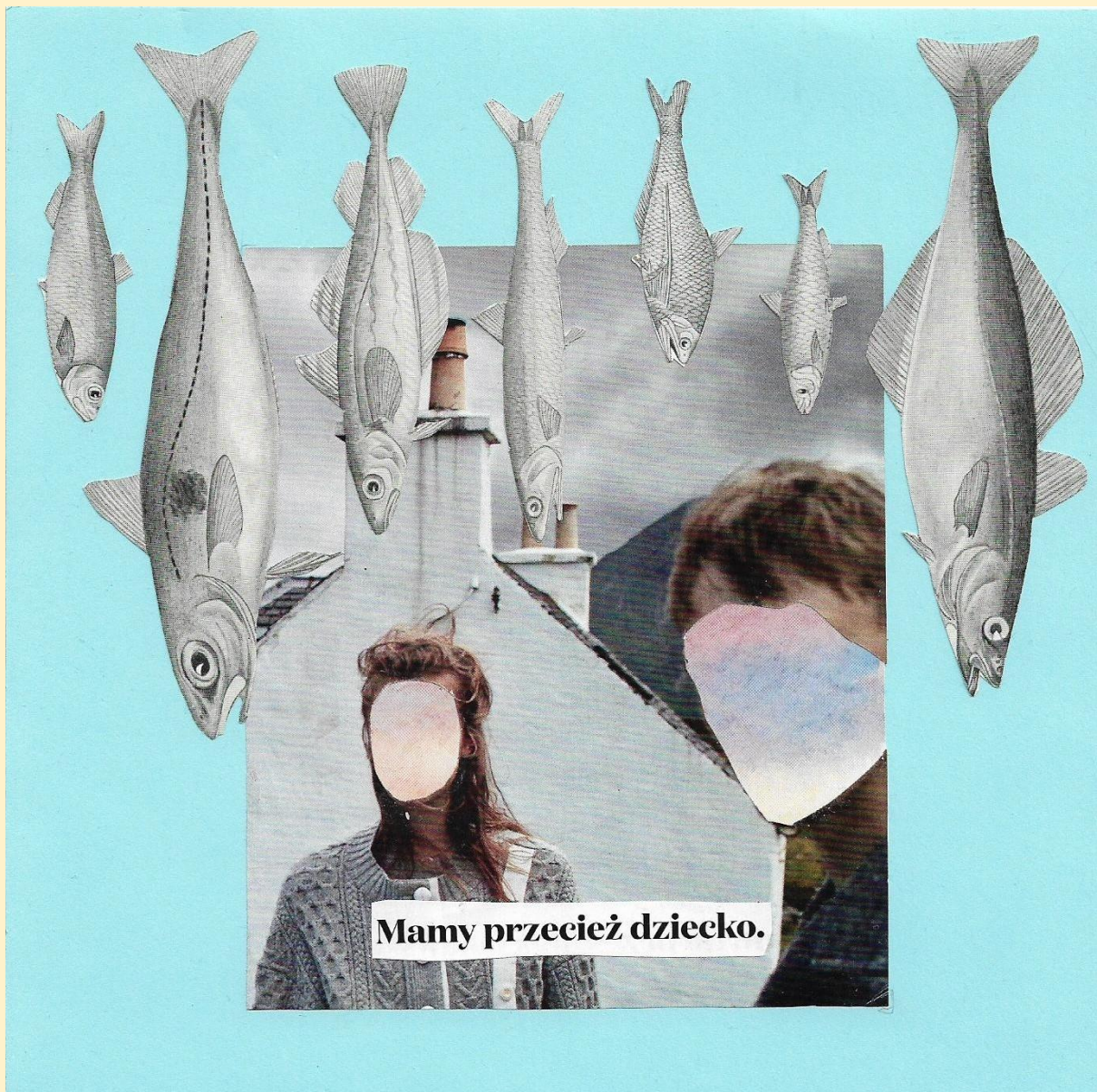
*Poszedłbyś*





*Orgiaija*



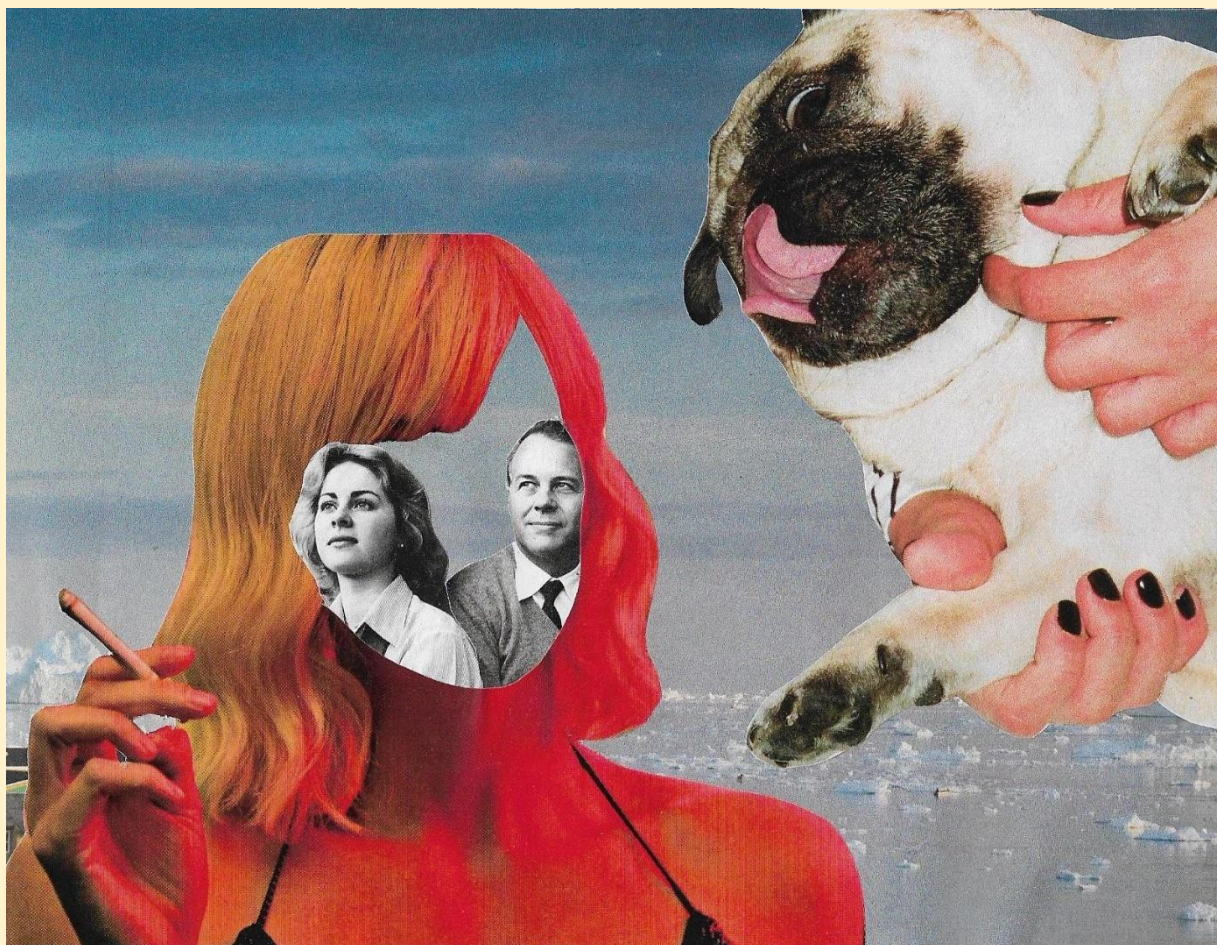


*Ludzkość*



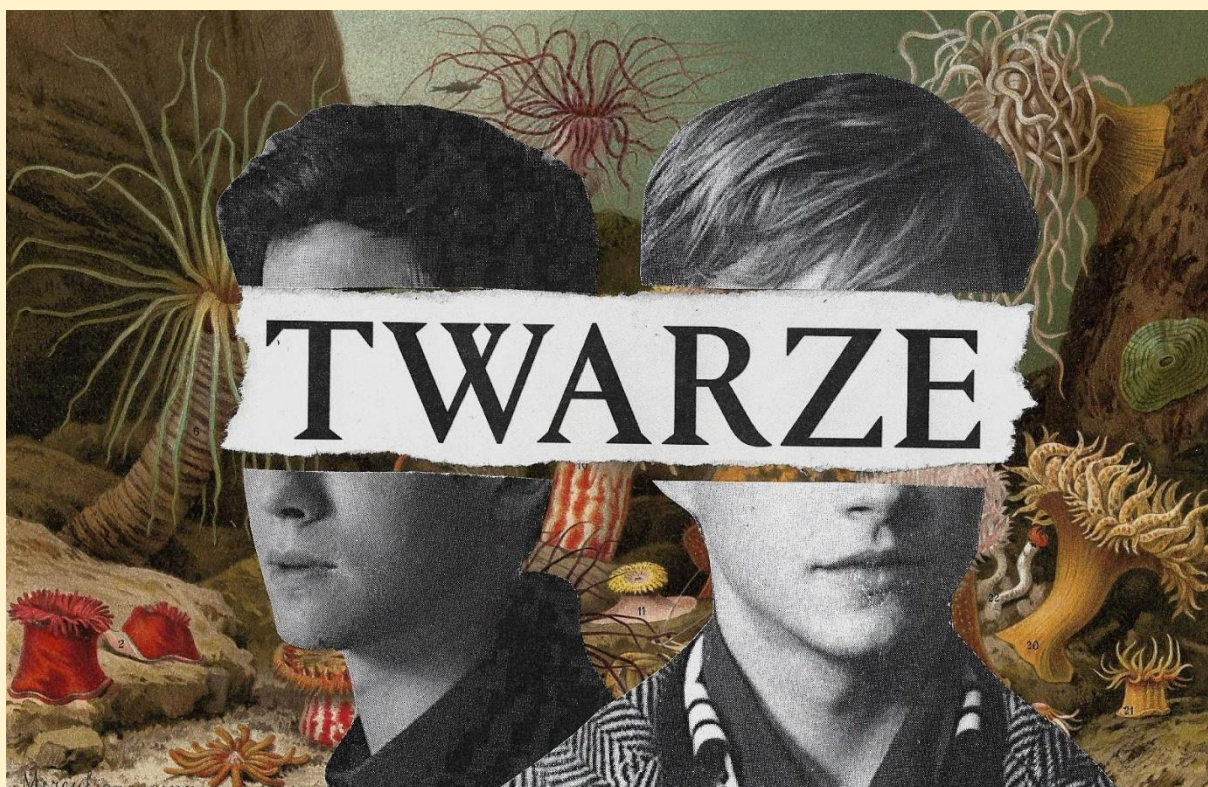


*Dalej siedzę w tych krwawych mirażach*

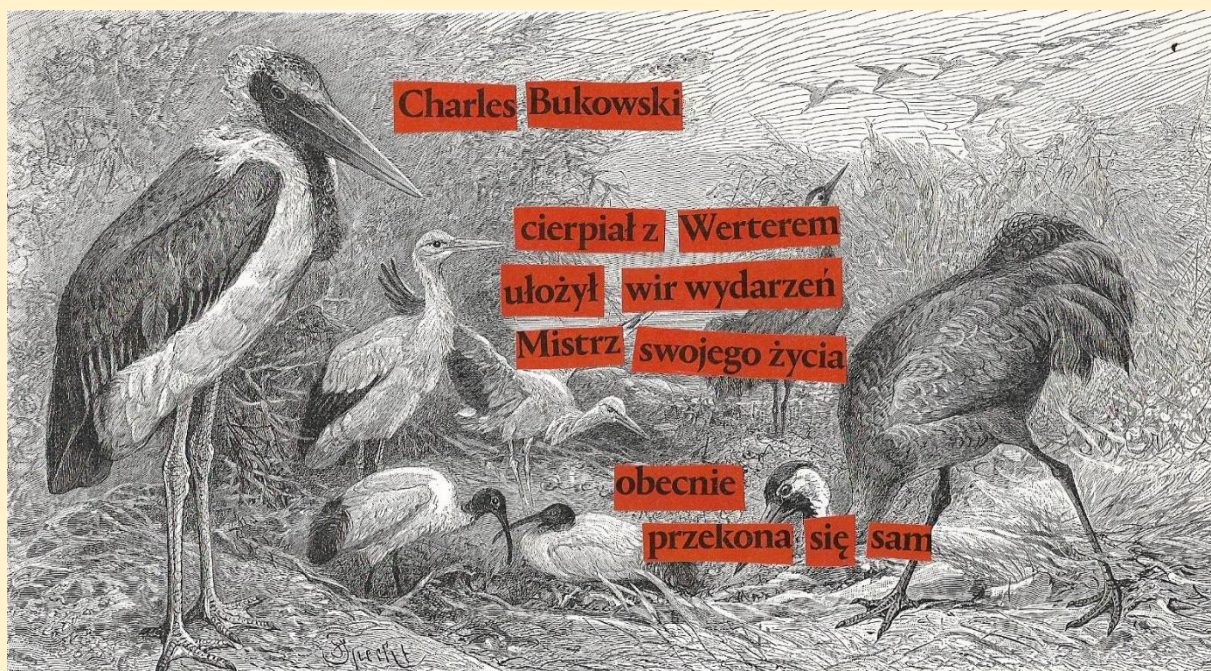


*Mam swoje poronione oczy*





*Zmory pod oczami*



*Pan w białym, co paradował w czerwonym*





Maryjka solarna

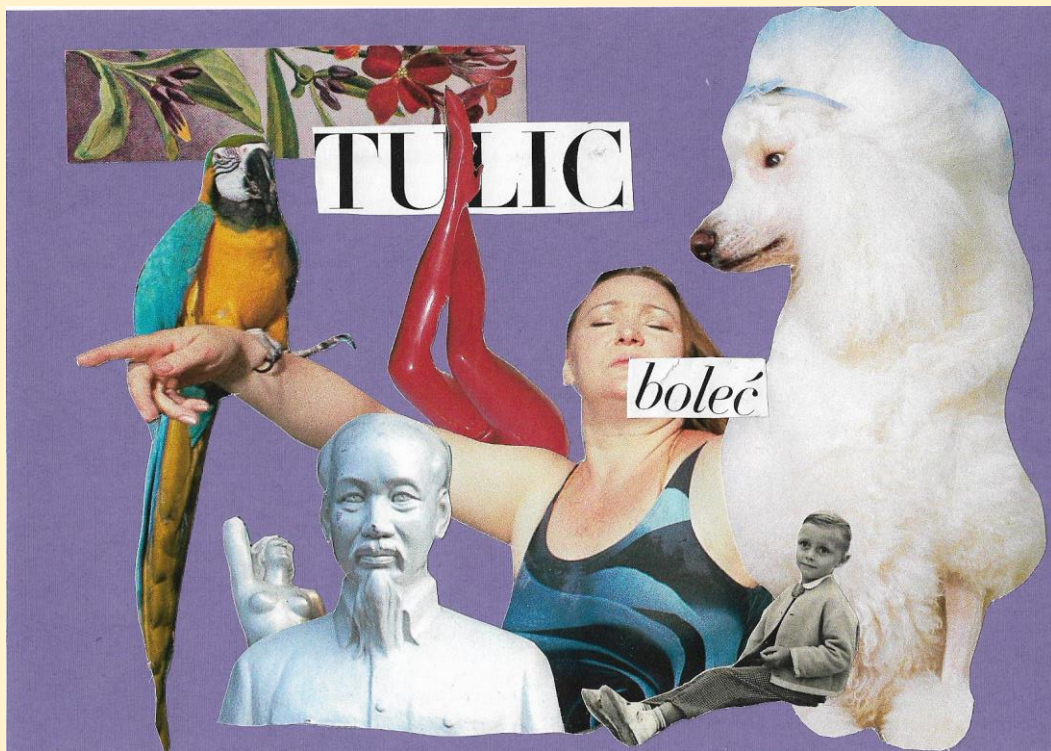




*Nie ma jak w domu*



*Moja żona lotka*



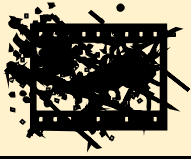
*Tulić boleć*





*Pissed off all the time*





# ΦΟΤΟΓΡΑΦΙΑ



Eugène Durieu, *Modèle de nu féminin* (1854)

**Joanna Danowska**







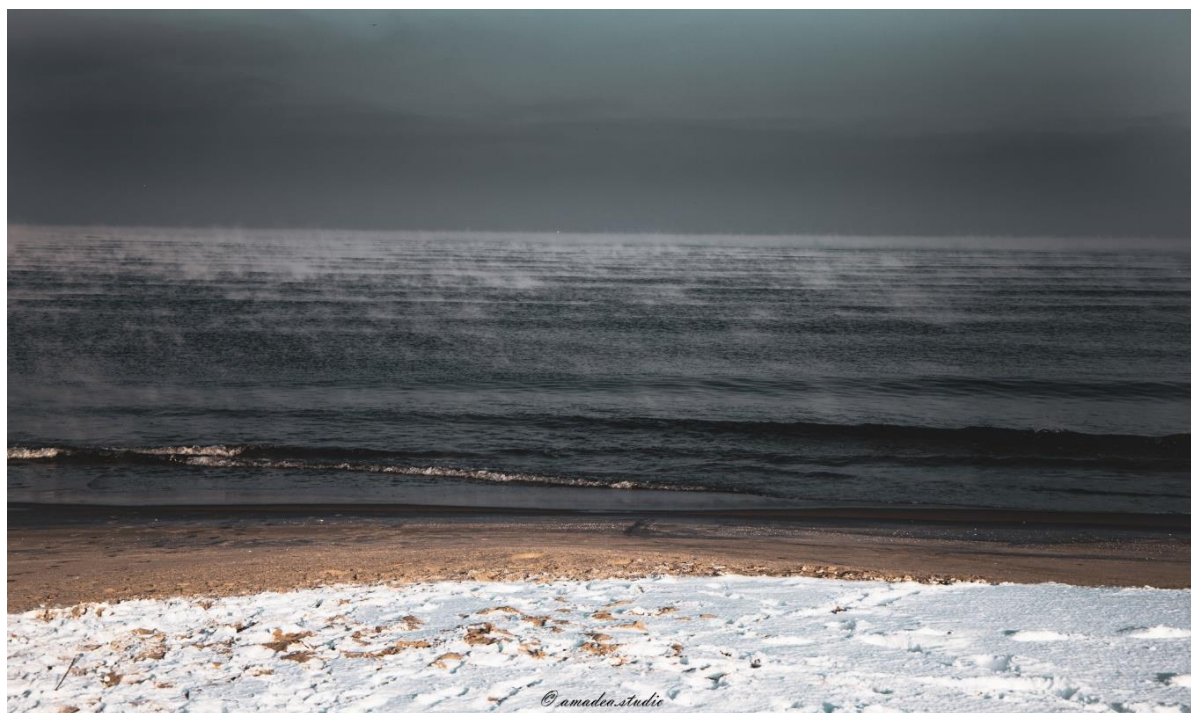








## Magda Sajewicz



*Martwy ciąg*



*Święta Trójca*





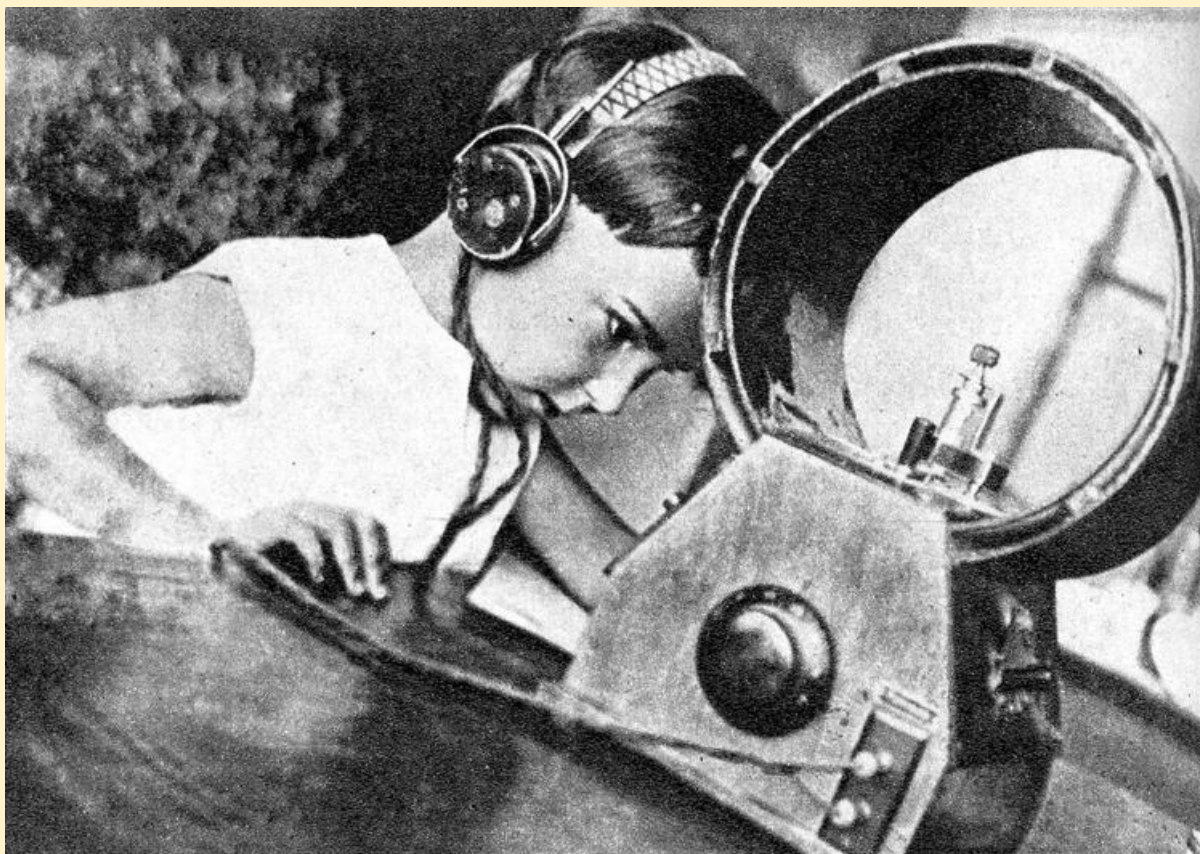
*Teraz*



*Nie-pamięć*



# WYWIAD



Александр Михайлович Родченко, *Радиослушатель* (1929)



## Oruń

### Powojenna Polska okiem repatrianta

Rozmawia Przemysław Mazurkiewicz

Część I/II

TADEUSZ WORONOWICZ – Urodzony 10 września 1940 roku na przedmieściach Wilna, na krótko po przewrocie z dnia 25 sierpnia, kiedy to Litwa utraciła niepodległość i stała się jedną z republik radzieckich. Emerytowany inżynier ogrodnictwa i nauczyciel przedmiotów zawodowych. Zagorzały miłośnik historii i literatury. W wywiadzie opowiada o powojennej repatriacji ludności z Wilna na tereny Polski.

**PRZEMYSŁAW MAZURKIEWICZ: Zaczynijmy od samego początku, czyli od wydarzeń poprzedzających wyjazd w Wilna. Czy masz jakieś wspomnienia z tamtego okresu?**

TADEUSZ WORONOWICZ: Moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczą schyłkowego okresu wojny. Z tamtych lat pamiętam przede wszystkim bombardowania, ponieważ nasz ówczesny dom znajdował się w najkorzystniejszym miejscu dla działań wojennych – naprzeciwko lotniska w Wilnie.

**Miałeś wtedy niecałe pięć lat. Pamiętasz te wydarzenia dokładnie, czy są to jedynie przebłyski?**

Same naloty pamiętam akurat bardzo dokładnie. Najpierw nadlatywały samoloty zrzucające flary oświetleniowe, przez które robiło się jasno jak w dzień. W środku nocy bez trudu można było zauważyć leżącą na podłodze szpilkę. Dopiero po nich pojawiały się bombowce i zaczynały bombardować lotnisko.

Moi rodzice wybudowali ziemiankę, do której uciekaliśmy w czasie ataków. Pamiętam, jak pewnego razu mama przeraziła się na myśl, że jedna z bomb może przypadkiem trafić w nasz schron. Wyprowadziła mnie wtedy na podwórze i ukryła w jednej z kartoflanych bruzd. Wówczas miałem okazję dokładnie przyjrzeć się przebiegowi bombardowania. Jest to naprawdę przerażające uczucie. Niezależnie od tego, ile bomb jest w powietrzu, zawsze masz wrażenie, że każda z nich leci prosto na ciebie.



## **Jakieś inne wspomnienia?**

Kolejne dotyczą już okresu po wyzwoleniu Wilna przez armię radziecką, kiedy to na tereny naszej wsi zaczęto zwozić i osiedlać ludzi z Białorusi. Wcześniej mieszkali oni w tak zwanych strefach frontowych, gdzie w czasie wojny panowała największa nędza i głód. Ludzie ci byli przeraźliwie ubrani, często jedynie w koszule zrobione z worków po ziemniakach. Ich dzieci masowo umierały z wycieńczenia i chowane były na specjalnie wyznaczonym dla nich cmentarzu.

W naszym domu natomiast zaczęli w tamtym czasie stacjonować piloci, którzy mnie traktowali jak swego rodzaju maskotkę. Pamiętam, że przez pierwsze dni ich pobytu za nic nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego zamiast „cukier” mówią oni „sachar”. Po kilku tygodniach jednak, byłem już w stanie rozmawiać z nimi jak rodowity Rosjanin. Ulubioną rozrywką pilotów było strzelanie do tak zwanych lalek, czyli porcelanowych izolatorów porozwieszanych na słupach elektrycznych.

## **Dorośli, doświadczeni żołnierze urządzali sobie tego rodzaju zabawy?**

A jacy z nich tam byli dorośli żołnierze? To była grupa wesołych, dwudziestoparoletnich chłopaków, którzy w momencie wybuchu wojny kończyli szkołę średnią i mieli za sobą tylko krótki, ogólny kurs pilotażu.

**Z mojego punktu widzenia opowiadasz o wielu bardzo przygnębiających wydarzeniach, jednak kiedy cię słucham, odnoszę wrażenie, że wówczas nie postrzegałeś ich w taki sposób.**

Bo byłem wtedy młody i z pewnością wielu rzeczy jeszcze dokładnie nie rozumiałem. Pamiętam jednak wydarzenia, które bardzo mną wstrząsnęły.

Moim najstraszniejszym wspomnieniem z tamtego okresu jest dzień, w którym mama, będąc zajęta pracą na polu, wysłała mnie do sąsiedniej wsi pod opiekę babci. Ja uparcie chciałem spotkać się w tym czasie z kolegami, aby paść krowy i piec ziemniaki przy ognisku, jednak stanowczej mamie udało się postawić na swoim. Później tego samego dnia dowiedziałem się, że moi koledzy podczas zabawy na lotnisku znaleźli niewypał bomby czy granatu, który przy rozkręcaniu eksplodował i wszystkich ich uśmiercił. Mama wzięła mnie wtedy za rękę i zaprowadziła do wsi gdzie obmywano ich ciała. Wszystkie były porozrywane i opalone czarnym prochem. Od tego momentu zacząłem bać się dotykania wszelkich niewypalów, których rozkręcanie było w latach powojennych chyba najpopularniejszą zabawą.

## **Czym został zainicjowany i jak przebiegał wasz wyjazd z Wilna?**

Sytuacja, która doprowadziła do wyjazdu rozpoczęła się jeszcze w czasie stanu wojennego [działań wojennych – przyp. red.] . Mężczyźni z naszej wsi byli wówczas werbowani do armii radzieckiej, głównie w celu późniejszego rzucenia ich na Królewiec. Po wojnie praktycznie żaden z nich nie wrócił. Mój ojciec nie zgłosił się wówczas do poboru i został uznany za dezertera.

W dzień wtapiał się w ludzi pracujących na polu, natomiast nocą, podczas rewizji przeprowadzanych przez NKWD, okrywał się płaszczem otrzymanym od stacjonujących u nas pilotów, a następnie w ich towarzystwie, niezauważony opuszczał dom, unikając w ten sposób natychmiastowego aresztowania. Po kilku tygodniach ojciec wziął plecak tytoniu i uciekł do Białegostoku w celu wstąpienia do formującego się tam Wojska Polskiego. Jako żołnierz 1 Armii brał udział w operacji Przelamania Wału Pomorskiego, a następnie dotarł do miasta Złocieńec.

Kiedy po zakończeniu działań wojennych mama otrzymała wiadomość o miejscu pobytu ojca, natychmiast postarała się o tak zwaną kartę repatriacyjną i niezwłocznie ruszyliśmy w drogę. Z domu zabraliśmy jedynie dwie walizki podstawowego bagażu i kankę wypełnioną masłem.

## **Jak się wtedy czułeś? Nie było ci smutno, że z dnia na dzień musiałeś opuścić dom, w którym się urodziłeś?**

W wieku pięciu lat nie byłem do niego w żaden sposób przywiązany. Był mi on zupełnie obojętny. Pierwszą w życiu podróż pociągiem odebrałem za to jako fantastyczną przygodę. Mama oczywiście płakała, ale mnie niebywale fascynowały te wszystkie mosty, rzeki i lasy, które przewijały się za oknem podczas podróży. Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

## **I jak przebiegła wasza podróż?**

Z Wilna do Warszawy bez większych problemów. Dopiero później zaczęły się schody. Przede wszystkim zupełnie nie wiedzieliśmy, gdzie jechać. Żaden z podróżnych nie znał wówczas tamtych terenów, a naszą jedyną informacją była nazwa miasta, w którym przebywał ojciec. Ponadto linie kolejowe były zupełnie rozbite i z dworca na dworzec trzeba było wędrować kilometrami. Pociągi nie były w żaden sposób oznaczone, a każdy z nich przyjeżdżał albo opóźniony, albo przepelniony. Ludzie obsiadali nawet lokomotywy i dachy wagonów. Do jednego z pociągów nie dostaliśmy się właśnie z powodu zbyt dużej liczby pasażerów. Później dowiedzieliśmy się, że podczas dalszej podróży wjechał on na minę i wyleciał w powietrze.

Pamiętam, że jako dziecko również w żaden sposób nie ułatwiałem tej przeprawy. Kiedy już znaleźliśmy się w odpowiednim pociągu, uparcie chciałem odbyć podróż na kolejowej lorze

z nogami spuszczone w dół, co mamę bardzo denerwowało. W międzyczasie udało mi się też zgubić kankę z masłem, za co później dostałem lanie. Dopiero po tych przygodach, dotarliśmy w końcu do ojca.

### **I co było dalej?**

W Złocińcu ojciec służył jeszcze wówczas jako wojskowy. Garnizon zorganizowany był w jednej z kamienic mieszkalnych, z której wcześniej wysiedlono Niemców. Jako że nie posiadaliśmy żadnych środków utrzymania, wojsko zapewniało nam wyżywienie.

### **A gdzie mieszkaliście?**

Z mamą zajęliśmy niewielki domek na ulicy Marszałka Stalina.

### **Wybacz, ale nie do końca rozumiem. Jak to zajęliście? Ot tak, za darmo zamieszkaliście w wolnym domu, bez żadnych wcześniejszych ustaleń czy formalności?**

Dokładnie tak to wtedy wyglądało. Przyjezdny znajdował ponemieckie mieszkanie i rezydował tam, dopóki nie wyrzucił go stamtąd ktoś silniejszy. Nie czuwał nad tym żaden oficjalny urząd. Wszystko odbywało się bez jakichkolwiek formalnych ustaleń. Ponadto opuszczone przez Niemców mieszkania wielokrotnie przeszukiwano w celu znalezienia czegokolwiek wartościowego. Wówczas był to najprostszy sposób na pozyskanie środków do życia. Najbardziej pożądane były maszyny do szycia i pisania, chociaż pamiętam też ludzi wynoszących donice z kwiatami, nie mam pojęcia w jakim celu.

### **Jak przebiegało życie miejskie w Złocińcu?**

Na całą ludność miasta składali się: repatrianci – głównie z Wielkopolski, robotnicy i żołnierze sowieccy oraz nieliczni, niewysiedleni jeszcze Niemcy. Tym ostatnim Wielkopolanie narzucili zasadę schodzenia z drogi i ściągania czapki na widok każdego napotkanego Polaka. Jako że Niemcy są narodem, który niezwykle restrykcyjnie przestrzega wszystkich reguł, to nawet mnie – pięcioletniemu wówczas chłystkowi – kilkakrotnie zdarzyło się spotkać kogoś, kto na mój widok nisko się kłaniał i z niewyrobnym akcentem dukal: „Dzień dobry panu”.

Sowieci zajmowali się natomiast głównie wywożeniem z miasta wszystkiego, co tylko miało jakąkolwiek wartość. Pustoszyli oni całe fabryki, wrywając nawet wbudowane w ściany piece i kotły hutnicze. Zdejmowali uliczne linie energetyczne, a także rozpruwali liczniki gazu i energii, które w tamtych czasach działały na drobniaki. Po takich zabiegach wiele obiektów w mieście zupełnie nie nadawało się do użytku.

W wysiedlonym mieście można było znaleźć wiele wartościowych przedmiotów, ale zdecydowanie najmniej cenne było ludzkie życie. Zgony od niewypałów czy przypadkowych wystrzałów były absolutną normą. Jeden z naszych ówczesnych sąsiadów podczas kłótni z narzeczoną rzucił o stół pepeszą, która wypaliła i zabiła go serią w klatkę piersiową. Innym razem, podczas oczyszczania jednej z fabryk omyłkowo natrafiono na stanowiska z fosforem i cały rynek zaroił się od płonących żywcem ludzi. Samych pogrzebów wojskowych potrafiło być kilka dziennie. Oczywiście wszystkie oglądałem z ogromnym zainteresowaniem, ponieważ zawsze wypalano na nich salwę honorową.

**Opowiadasz to wszystko z bardzo szerokiej perspektywy. Jak to możliwe, że jako pięcioletni chłopiec miałeś tak dokładny wgląd w całe życie miejskie? Nie bałeś się? Miałeś wtedy jakieś towarzystwo?**

Z dzieci przybyłych do Złocieńca repatriantów utworzyła się swego rodzaju banda i to głównie w ich towarzystwie poruszałem się po mieście. Naszym ulubionym zajęciem było oczywiście przeszukiwanie opuszczonych przez Niemców mieszkań. Zdecydowanie najczęstszym znaleziskiem były opaski z hakenkreuzem. Kiedy obwieszeni nimi wychodziliśmy na ulicę, zabierał je nam pierwszy napotkany żołnierz i darł na strzępy. Nie było straty, ponieważ później szliśmy do kolejnego mieszkania i znajdowaliśmy dokładnie to samo.

**Nie bałeś się niewypałów i tego, że może się powtórzyć sytuacja z Wilna?**

Ja oczywiście tak, ale pozostali chłopcy nie mieli takich oporów. Raz wyszliśmy za miasto i znaleźliśmy nabity karabin. Najstarszy z bandy powiedział, że jeśli ustawi się celownik na czterysta metrów, to kula dalej nie poniesie. Kiedy wypalił w kierunku miasta, odrzut kopnął go z taką siłą, że chłopak przewrócił się na plecy i nakrył nogami. Gdy wróciliśmy do domu okazało się, że w mieście wszczęto alarm, ponieważ z powodu strzałów padło podejrzenie o atak któregoś z oddziałów Werwolf. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ te ataki rzeczywiście zdarzały się dość często.

**Kiedy cała ta sytuacja zaczęła się stabilizować?**

Mniej więcej w momencie, kiedy zakończyły się wysiedlenia ostatnich Niemców. Po zakończeniu służby ojciec pojechał do Wilna w celu odzyskania przynajmniej części pozostawionego tam majątku, a kiedy nie bez pewnych trudności wrócił, wspólnie zajęliśmy dom przy ulicy Mickiewicza. Był to jeden z najpiękniejszych budynków w całym Złocieńcu i aż dziwne było, że nikt go przed nami nie zajął. Modrzewiowy, wybudowany przed wojną przez nadleśniczego. Miał centralne ogrzewanie, ubikację, łazienkę i garaż. Za nim rozciągał się sad, w którym odmiany jabłek dobrane



były w kolejności „od najwcześniejszych do najpóźniejszych”. W piwnicy wybudowane były pomieszczenia do przechowywania wszelkiego rodzaju zbiorów i przetworów. Przednie podwórce pokryte było betonem, a ściany budynku różami. Dom jak z bajki.

W tym czasie w Złocięncu uruchomiono też szkołę, do której jednak nie chodziłem zbyt długo. Kiedyś nauczycielka kazała przynieść kasztany, na zajęciach praktycznych mieliśmy z nich robić koniki. Ja jednak w pewnym momencie, z nudów zacząłem nimi rzucać w koleżanki, za co zostałem wyproszony z lekcji. Na drugi dzień powiedziano mi, że wszystko będzie w porządku, jeżeli tylko przeproszę nauczycielkę za swoje zachowanie. „Przeprosić” rozumiałem wówczas jako „wyjść na środek klasy, nisko się uklonić i pocałować przeproszaną osobę w rękę” i mając w głowie taki obraz stanowczo odmówiłem. Wówczas nauczycielka powiedziała mamie, że widocznie jestem jeszcze za młody na rozpoczęcie edukacji i tym sposobem z pierwszej klasy szkoły podstawowej w Złocięncu zostałem wyrzucony.

Jedną z atrakcji ówczesnego Złocięńca było również kino. Mówiono, że to Hitler kazał wybudować je dla swojej Ewy Braun. Naprawdę przepiękne – ogromne i wyposażone w miękkie, skórzane fotele. Z rodzicami chodziłem tam bardzo często, chociaż puszczano jedynie filmy radzieckie.

### **Po mieszkaniu z rosyjskimi pilotami nie miałeś chyba problemów z ich zrozumieniem?**

Przeciwnie. Rosyjskiego zapomniałem w ciągu pół roku, ponieważ zupełnie nie miałem z kim w tym języku rozmawiać. Później w szkole musiałem się go uczyć od samych podstaw. Znajomość języka zanika, jeżeli nie jest systematycznie podtrzymywana. Język jest po to, żeby rozmawiać z ludźmi, a nie żeby znać go dla samego siebie.

### **Dlaczego właściwie wyprowadziliście się ze Złocięńca?**

Ponieważ nie było się tam z czego utrzymać. Fabryki były zamknięte, bo Rosjanie powywozili z nich cały sprzęt. Wojsko zorganizowało wprawdzie palarnię kawy, jednak ta po niedługim czasie splonęła. Złośliwi mówili potem, że co miało się spalić, to się spaliło, ale z kilkuset ton zboża, które powinno tam być, nie było ani ziarna. Mój ojciec był przede wszystkim rolnikiem, więc zajął ziemię położoną kilka kilometrów od Złocięńca. Była ona jednak zbyt niskiej klasy i nie dawała wystarczająco obfitych plonów. Jediną korzyścią był otrzymany z Unry [UNRRA – przyp. red.] koń – dziki mustang, którego do wszystkiego trzeba było przyswajać.

Później ojciec próbował sił w rybołówstwie. Całe życie był człowiekiem niezwykle pracowitym, ale ten jeden raz stwierdził, że jest to zawód zbyt ciężki do codziennego wykonywania.

### **Dokąd się zatem wyprowadziliście?**

W roku 1947 otrzymaliśmy pismo od ciotki mojej mamy. Pisała, że wraz z mężem zajęła gospodarstwo w Bolewicach, koło Nowego Tomysła i właśnie tam nas zaprosiła.

### **Strasznie podoba mi się ten układ z zajmowaniem sobie wolnych gospodarstw ot tak.**

Jak już mówiłem, wtedy to była powszechna praktyka. Władze zachęcały gotowych do pracy rolników, żeby osiedlali się w opuszczonych gospodarstwach na stałe. Jeżeli dom zbyt długo stał niezamieszkały, to zawsze stawał się celem szabrowników, a w najgorszym wypadku był jeszcze podpalany. Miastu nie przynosiło to żadnej korzyści.

W każdym razie w czterdziestym siódmym, z braku środków utrzymania wyruszyliśmy w podróż do Nowego Tomysła. Domu w Złocieniu nie dało się oficjalnie sprzedać, ale dostaliśmy za niego parę tysięcy tak zwanego odstępnego. W porównaniu do rzeczywistej wartości domu była to jednak kwota niemalże równa zeru.

### **Nie było ci szkoda rozstawać się z tym „domem z bajki” i z miastem, w którym byłeś chyba jako tako zaaklimatyzowany?**

Zdecydowanie najbardziej było mi szkoda dwóch koszy wspaniałych niemieckich zabawek, które przez parę lat znajdowałem w opuszczonych mieszkaniach, i na które niestety zabrakło miejsca w wagonie kolejowym. Długo nie mogłem tego odżalować.

### **Jak wam przebiegła podróż do Nowego Tomysła?**

Raczej bez większych problemów. Jedyna trudność polegała na tym, że musieliśmy sfalszować naszą, otrzymaną w Wilnie, kartę repatriacyjną, po to aby uwzględnić w niej majątek wywieziony ze Złocienia. Ten drobny przekręt przeszedł jednak bez żadnych wyraźniejszych ekscesów.

### **I jak ułożyło się wam życie w Bolewicach?**

Ojej, to była prawdziwa gehenna. Przede wszystkim gospodarstwo nie mogło mieć kilku gospodarzy. Ktoś musiał być panem, a ktoś inny parobkiem. Wujostwo nie bardzo znalazło się na pracy na roli, więc prawdopodobnie liczyli na to, że to moi rodzice będą pracować i później dzielić się zyskami. Ponadto ciotka miała denerwujący zwyczaj zamykania wszystkiego w mieszkaniu na klucz i o każdą rzecz trzeba ją było prosić. Najgorsze było jednak to, że całe Bolewice obsadzone były tylko i wyłącznie przez osadników z Wielkopolski, którzy nas – repatriantów z Wilna – postrzegali jako obcych chcących ukraść ziemię rodowitym poznaniakom. Kilkukrotnie wybijano

kamieniami szyby w naszym domu, pewnej nocy nawet go ostrzelano. Po kilku miesiącach takiego życia rodzice uznali, że w Nowym Tomysłu nie ma dla nas perspektyw i postanowili wyjechać do Gdańska.

### **Dlaczego akurat do Gdańska?**

Byliśmy przede wszystkim rolnikami, więc ojciec stwierdził, że musimy zamieszkać na przedmieściach dużego miasta, aby łatwiej było sprzedawać wyprodukowane na polu towary. Poza tym liczyliśmy na to, że spotkamy tam jakiś znajomych z Wilna, ponieważ słyszeliśmy liczne pogłoski o tym, że duża część przesiedleńców z Litwy osiedliła się właśnie w Gdańsku.

### **Pojechaliście tam zupełnie w ciemno, z nadzieją zajęcia jakiegoś wolnego mieszkania, tak jak wcześniej w Złocieńcu?**

Dokładnie tak, ale plan ten niestety nie wypalił. Dwa lata po zakończeniu wojny sytuacja repatriantów była już odrobinę ustabilizowana i wszystkie niewyszabrowane gospodarstwa nadające się do zamieszkania były już pozajmowane.

### **Jak zatem poradziście sobie po przybyciu do Gdańska?**

Pierwszych kilka dni spędziliśmy na stacji Gdańsk Główny, nocując w wynajętym wagonie. Działy się tam wówczas najrozmaitsze cuda. Przede wszystkim wszędzie roilo się od urzędników milicji i pracowników Straży Obrony Kolei, nieustannie konwojujących aresztantów i niemieckich jeńców. Niezwykle powszechne były również rabunki przechowywanych na stacji towarów. Czasem bez śladu potrafiły zniknąć całe wagony. Zdecydowanie najniebezpieczniej robiło się nocą, kiedy to nagminne stawały się odgłosy karabinowych wystrzałów. Szczegółów nie znam, ponieważ na czas noclegu blokowaliśmy nasz wagon drutem od środka. W dzień natomiast, kiedy rodzice zajęci byli poszukiwaniami potencjalnego miejsca zamieszkania, ja szwendałem się po terenie dworca, bezustannie denerwując patrole żołnierzy przechodzeniem pod kołami składów kolejowych. Raz zostawiłem otwarte drzwi od naszego wagonu i wówczas bezpowrotnie uciekły wszystkie kury. Mama nie zapomniała mi tego do końca życia.

Po kilku dniach poszukiwań ojciec znalazł zatrudnienie jako magazynier we wsi Wiślinka. Jak się później okazało, praca to polegała na pilnowaniu nieużytkowanego wówczas budynku, który w czasie wojny służył Niemcom jako stacja kolejki wąskotorowej. Ten też budynek siłą rzeczy stał się więc naszym nowym miejscem zamieszkania. Nie był to zatem jak wcześniej zabór samowolny, ale oficjalny, urzędowy przydział.

Nasz nowy dom był niestety istną ruderą. Drewniane, dwupiętrowe gmaszysko, wyszabrowane do tego stopnia, że nie było w nim nawet drzwi i okien. Nocą cały budynek trzeszczał nie dając spać, a podczas wiatru wszystkie szpary zamieniały się w gwizdki. Nieustannie biegały tam również stada myszy, których panicznie bała się mama. Ponieważ z mojej winy nie mieliśmy kur, naszym głównym pożywieniem były jajka, które ojciec wybierał z gniazd dzikich ptaków. Zdecydowanie najgorsze było jednak to, że mieszkaliśmy tam zupełnie sami. W całej okolicy nie było żadnych sąsiadów ani wojska, więc stanowiliśmy łatwy cel dla miejscowych rabusiów. Każdy dźwięk przejeżdżających obok domu wozów wzbudzał strach. Pewnej nocy otrzymany z Unry koń zerwał się z uwięzi i uciekł w kierunku Gdańska. To przeważało szalę i rodzice uznali, że bezwzględnie trzeba przeprowadzić się gdzie indziej.

[C.D.N.]



Ivo Pannaggi, *Treno in corsa* (1922)





## NOTY BIOGRAFICZNE

Dla zachowania walorów indywidualnej ekspresji redakcja zdecydowała nie ujednoclić biogramów, pozostawiając je w formie nadesłanej przez Autorki i Autorów.

**Marek Arasimowicz.** Roczniak 2001 - a przynajmniej tak wynika z peselu, bo gdyby wnioskować po zaroście, to urodził się w zeszły czwartek. Muzyk bez wykształcenia; aktor ze spalonego teatru; mierny felietonista i pożał się boże prozaik. Mocne strony: autoprezentacja.

**Szymon Baczewski** - '99; zaoczny student WoFiKA. Artysta trubadur.

**Filip Bieliński.** Absolwent Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej w Gdyni i zarządzania instytucjami artystycznymi, obecnie studiujący na wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej II stopnia. Na co dzień pracuje w Teatrze Muzycznym w Gdyni oraz prowadzi zajęcia aktorskie z trójmiejską młodzieżą. Interesuje się kulturą popularną, komiksem i wszelaką mitologią.

**Michał Bolek** (1989) - skandynawista, student filologii polskiej (II rok MSU), przewodniczący Koła Naukowego Teoretyków Literatury UG i były członek Naukowego Koła Tłumaczy Literatur Skandynawskich. W ramach studiów napisał pracę dyplomową *Wiersze Tomasa Tranströmera w polskim przekładzie* i ukończył kurs tłumaczenia literatury pięknej na Uniwersytecie w Sztokholmie. Laureat głównego wyróżnienia w *Konkursie dla debiutujących tłumaczy* zorganizowanym przez Uniwersytet SWPS (2012), uczestnik warsztatów tłumaczenia literatury pięknej z języka szwedzkiego w ramach festiwalu *Odnalezione w tłumaczeniu* (2013) i autor przekładu powieści kryminalnej *Skradziony pawian* (2017). Za dnia tłumacz tekstów specjalistycznych, w nocy - literatury.

**Karin Boye** (1900 Göteborg - 1941 Alingsås). Szwedzka poetka i powieściopisarka. Zasłynęła głównie jako autorka wierszy. Najbardziej znane jej liryki to *Musi boleć* (*Ja visst gör det ont*) ze zbioru *För trädets skull* (1935) oraz *I rörelse* (*W ruchu*) ze zbioru *Härdarna* (1927). Oba publikujemy w tym numerze

w przekładzie Michała Bolka. Poza Szwecją najbardziej doceniana jest jej powieść *Kalloccain* (*Kalokaina*, 1940), przedstawiająca wizję państwa totalitarnego podobną do tych ukazanych w powieściach *Nowy wspaniały świat* (1932) Aldousa Huxleya i *Rok 1984* (1949) George'a Orwella. Pewne znaczenie ma też powieść *Kris* (*Kryzys*, 1934) opowiadająca, podobnie jak *Szklany klosz* (1963) Sylvii Plath, o przedsamobójczym kryzysie.  
[Notka na podstawie Wikipedii.]

**Marcelina Bucholc** - prozaiczka, studentka wiedzy o filmie i kulturze artystycznej na Wydziale Filologicznym UG.

**Beata Budzkowska.** Studentka wiedzy o filmie, rok pierwszy. Zawodowa fotografka. Bardziej obserwatorka niż uczestniczka, jednak często korzystająca z prawa głosu. Pisząca piórem i kamerą. Wielka fanka filmów popularnonaukowych i książek Stephena Hawkinga.

**Weronika Bukowska.** *Nom de guerre.* Pisarka-amatorka. Filmoznawczyni roku V i psycholożka, zatem niepracująca w zawodzie. Nadmiernie się nad wszystkim głowi, przez co niewiele pozostawia działaniu. Uspokaja się przy zieleni. Fotografuje analogowo, ale na automacie.

**Ida Cylwik.** Jestem studentką kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim oraz kostiumografii w MSKPU, a także członkinią ekipy produkcyjnej Wild Wave Produkcja Filmowa, gdzie pełnię funkcję charakteryzatorki i scenografki. Interesuję się szeroko pojętą sztuką - malarstwem, filmem, fotografią, modą, makijażem. Dużo maluję - czasem tworząc artystyczne charakteryzacje na twarzy, czasem wykorzystując tradycyjne płótno.

**Magdalena Cyza,** „Zwitkaczona” - urodzona w 1996 roku, fanka Witkacego; literacko zakochana w międzywojniu. Moim znakiem rozpoznawczym są nieustanne wzloty i upadki wymieszane ze szczyptą oniryzmu. Świat zaklęty w książkach to dla mnie niezmiennie piękna sprawa!

**Joanna Danowska** - urodzona w 1997, studentka IV roku filologii polskiej, nieformalnie także I roku filozofii. Z literatury najżywiej zainteresowana poezją współczesną. Odkąd pamięta, związana ze sztuką wizualną, obecnie - szczególnie fotografią analogową.

**Natalia Dolny.** [...] mówią do mnie zwyczajnie po imieniu, a lat mam tyle, że jeszcze zmarszczki się nie pojawiły :) Jeśli przyjdzie natchnienie, prozaiczka. Na finiszu pierwszego roku wiedzy o filmie. W wolnym czasie śpiewam, oglądam filmy albo ćwiczę. W zajętych też oglądam filmy, udzielam korepetycji i udzielam się w DKF „Miłość Blondynki”

**Patryk Dzikiewicz** – student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Zawodowo zajmuje się grami planszowymi, chociaż ma też wykształcenie informatyczne i rozsądek mu podpowiada, że powinien być informatykiem. Publikował między innymi w „Instytucie Literatury” i „Stronie Czynnej”.

**Maciej Franciszczak** – prozaik, student wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej na Wydziale Filologicznym UG.

**Jana Futymska** – urodzona w Ukrainie, studentka III roku licencjackich studiów polonistycznych na Wydziale Filologicznym UG (specjalność publicystyczno-dziennikarska). Autorka scenariusza i grafiki do publikowanej w niniejszym numerze komiksowej adaptacji *Nosa* Nikołaja Gogola.

**Agata Gigilewicz,** Gigi le Witzh, Ascendentalny Skorpion. Reżyserka i artystka wizualno-literacka, jeszcze studiująca wiedzę o filmie i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim, która w swojej twórczości orbituje wokół poetyckich surrealiów, mrocznych podświadomości i niezbadanych marzeń sennych. Skleja ze słów wiersze białe i tworzy analogowe kolaże, bo lubi udowadniać, że nie wszystko już było, a nawet jeśli, to jeszcze można stworzyć z tego coś nowego. Jako reżyserka zadebiutowała etiudą *In Beat Win* na festiwalu CineramaFest w Gdyni w 2019 roku, a jej animacja *Porojenia* zdobyła pierwszą nagrodę w kategorii „forma” na XV Festiwalu Filmów Jednominutowych w Gdańsku (2020). Wielka fanka sztuki Dragu i Beat Generation, którą interesują wszelkie abstrakcyjne dziwności, queer w sztuce oraz włoska nowa fala.

**Julia Grabarczyk** – studentka III roku licencjackich studiów polonistycznych na Wydziale Filologicznym UG (specjalność publicystyczno-dziennikarska). Autorka scenariusza i grafiki do autorskiego komiksu *Największe marzenie kiwi* publikowanego w niniejszym numerze.

**Marcel Jakubowski** - prozaik, absolwent I stopnia filmoznawstwa i aktywny student II stopnia dziennikarstwa. W wolnym i w niewolnym czasie lubię pisać, grać na pianinie i czytać książki. Jeśli jest coś, co mnie odciąga od tych czynności, to ogólnie pojęta intelektualna gawędzina na temat literatury, kultury czy polityki. Niestety często też przychodzi mi rozmawiać o psychotropach, depresjach i niedotrzymanych terminach, bo dorywczo pracuję w przychodni zdrowia psychicznego.

**Natalia Jałmużna** to urodzona w Gdańsku prozaiczka i studentka drugiego stopnia wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim. Inspiracje czerpie z muzyki, nocnych wycieczek i od ludzi, którymi się otacza. Ponadto, interesuje się lingwistyką, geografiami, filozofią i grami z generacji PlayStation2.

**Jagoda Janowska** (ur. w 1992 r. w Połczynie-Zdroju) - studentka wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej na pierwszym roku magisterskim na Uniwersytecie Gdańskim. Od urodzenia mieszkanka miasta Gdańsk. Wieloletnia pasjonatka tańca nowoczesnego, która swoje umiejętności taneczne rozwijała między innymi w szkole tańca Siemanko. Miłośniczka animacji i wierna fanka Disneya.

**Szymon Kamiński**, ur. 1993 r., student II roku MSU filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim, dziennikarz, pretendujący prozaik. Laureat ogólnopolskiego konkursu literackiego „Piórem Malowane” w 2014 i 2015 roku oraz „Jesteśmy stąd - Dom na Żuławach” w 2008 roku, a także wyróżniony w konkursie „Walizka pełna strachu” w 2014 roku. Współpracuje z magazynem trójmiejskim „Prestiż” oraz „Linia”. Zainteresowany literaturą, kinem oraz gastronomią.

**Zuzanna Kiercel** - studentka pierwszego roku studiów magisterskich na kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej, zainteresowana komunikacją wizualną oraz grafiką. Lubi dobrze zaprojektowane książki, które sukcesywnie kolekcjonuje. W ramach autoekspresji udziela się w grupie teatru tańca.

**Arenika Kita**. Od dwudziestu dwóch lat zawsze wołają mnie „Arenika” i na to imię zazwyczaj reaguję. Może za drugie tyle będą wołać inaczej, albo zostaną dorożkarzem, ale póki co studiuję wiedzę o filmie i sztuce audiowizualnej, spisuję drobne



poezjowiastki, które chciałyby dojrzeć do poezjowieści i portretuję cyfrowo. Dorywczo obracam się wśród wedlowskiej czekolady oraz wyrobów czekoladopodobnych.

**Anna Kłodowska** - [...] niektórzy w Internecie mogą mnie kojarzyć jako Bambs (a na Instagramie @bambs\_x\_art; co jakiś czas wyżywam się tam artystycznie). Studiuję filologię polską już trzeci rok i choć znalazłam się zarówno w Gdańsku, jak i na tym kierunku nieco przez przypadek, to głęboko wierzę, że tak miało być. Jeśli akurat nie zajmuję się uczelnią ani nie rysuję, to albo jestem na spacerze, albo śpiewam kościelne hity, albo śmieję się z paradokumentów (*guilty pleasure*, czasem trzeba wyłączyć myślenie).

**Jakub Kraszewski** (1998) - początkujący pisarz z mnóstwem niezrealizowanych pomysłów, miłośnik horrorów klasy B, komiksów, kawy specjalty i gier retro. Od przeszło dziesięciu lat maluje figurki do Warhammera, od około roku zajmuje się tworzeniem muzyki. Na co dzień student pierwszego roku studiów magisterskich na kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej.

**Paula Kwiatkowska** (ur. 1997 r.) - poetka, tłumaczka, studentka filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Gdańskim i członkini trójmiejskiej fundacji Sztukowirówka - centrum inicjatyw artystycznych. Publikowała w kwartalnikach artystycznych „Bliza” oraz „Fraza”, dwumiesięczniku „Autograf”, a także w zbiorze *Trójmiejski slam. Antologia slamerów z Trójmiasta*. Uczestniczka IV edycji Polsko-Rosyjskiej Szkoły Przekładu „Słowa na Słowa” i laureatka wielu konkursów poetyckich (m.in.: XXX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. J. Krzewniaka, Konkursu Jednego Wiersza „MALT 2020”, Turnieju Jednego Wiersza zorganizowanego w ramach X Ogólnopolskiego Festiwalu „Noc Poezji i Muzyki” w Sieradzu). Interesuje się tłumaczeniem współczesnej literatury rosyjskiej i teorią przekładu.

**Weronika Leszczyńska** - studentka I roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej, aspirująca prozaiczka. Dotychczasowe publikacje obejmują pojedyncze recenzje filmowe do portalu MF Cinerama. W wolnych chwilach (niespędzonych na oglądaniu filmów) zajmuje się głównie gotowaniem oraz jedzeniem, ale zdarza mi się też czasem rozwijać twórczo - pisząc lub rysując.

**Aleksandra Łasińska** – ur. 1997, studentka II roku MSU na kierunku filologia polska na Uniwersytecie Gdańskim i I roku filologii angielskiej w Wyższej Szkole Bankowej w Gdańsku. Współautorka publikacji *Nigdy nie przychodzą wszystkie. Wspomnienia mieszkańców i mieszkańek gminy Choczewo* (Wejherowo 2020). Zainteresowania: muzyka, literatura, dietetyka i psychodietetyka

**Marcin Makara** (rocznik 1974) – scenarzysta, reżyser, aktor. Student I roku magisterskiego wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Zajęcia: produkcja filmowa, administracja, obrót nieruchomościami. Dotychczasowe publikacje – w magazynie filmowym „Cinerama”. Laureat III nagrody na konkursie filmów jednodominutowych „Refleks;ja” za *Wędrówkę duszy* (2018). Czynnie zaangażowany w TV Neptun. Kocha kino i aktywność fizyczną.

**Przemysław Mikołaj Mazurkiewicz**, w Internecie Cgan lub Karo (ur. 1991 w Gdyni) – eskapista z wyboru, wielbiciel wszelkich form narracyjnych z sentymentalnym zamiłowaniem do strukturalizmu i niespełnioną ambicją zostania eseistą lub krytykiem. Wieczny student (pięć semestrów filologii polskiej, trzy ekonomii, aktualnie drugi wiedzy o filmie), w chwili obecnej magazynier i operator maszyn transportowych. Niedoszły bloger, sporadycznie współpracownik portalu Tanuki.pl. Miłośnik literatury klasycznej (Jorge Luis Borges, Franz Kafka, Bruno Schulz), fantastyki (Ursula K. Le Guin, J.R.R. Tolkien), filmu animowanego – zwłaszcza animacji japońskiej (Satoshi Kon, Naoko Yamada, Shin'ichirō Watanabe, Kunihiro Ikuhara), a także gier hack'n'slash, VTuberek i modeli Gunpla.

**Urszula Mazurkiewicz** – studentka pierwszego roku wofiki. Osoba bez żadnych specjalnych osiągnięć, ale lubi się starać √(^-^)/. W czasach przedpandemicznych wytrwała pracowniczka kina, dziś już tylko mniej wytrwała kurierka...

**Patryk Miąskowski** ('97) – z zawodu grafik, z wykształcenia filmoznawca, z powołania prozaik. Za dnia zwykły kierownik zmiany w pseudokorporacji, w nocy zaś pseudoraper i zwykły twórca fantastyki. Miłośnik gier słownych, gier, brudnych wersów, średnich filmów, Makłowicza i klimatu postapokalipsy.

**Mikołaj Mizak**, student I roku MSU na kierunku wiedza o filmie i kulturze audiowizualnej, amator w zakresie aktorstwa, pisarstwa, poezji, niebawem częściowo spełniony reżyser, scenarzysta. Do niedawna wychowawca-instruktor na obozach

filmowych, obecnie praktykuje samozatrudnienie i szwedactwo z aparatem radzieckiej marki Fed. Gdy ludzie jeszcze mogli siedzieć w kawiarniach, zdarzało mu się śpiewać (czasem nawet płacili mu żeby przestał). Obecnie chwyta Dzień.

**Marta Melania Paluch.** Studentka wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Z reguły Marta, ale zdarza mi się być Melą. W piątej klasie napisałam opowiadanie o swoim psie, za które dostałam szóstkę, a pani od polskiego stwierdziła, że może „coś” jeszcze ze mnie będzie. „Coś” pozostało niejasne. Potem, które miało miejsce w zeszłym roku, zostałam prawniczką. Fakt ten niewiele zmienił, bo wciąż nie mam pojęcia, czy to właśnie to „coś”.

**Patrycja Pankau** (1997) - początkująca prozaiczka i eseistka. Studentka ostatniego roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Od trzech lat (dorywczo) pracuje jako redaktorka katalogu i strony internetowej Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Dotychczas publikowała w Magazynie Filmowym „Cinerama” oraz w Internetowym Magazynie Teatralnym „Teatralia”. Interesuje się strzelectwem sportowym i kulturą Skandynawii.

**Julia Piestrzeniewicz** - jeszcze rok temu studentka matematyki i krupierka, obecnie studentka pierwszego roku wofiki i filologii angielskiej, a po zajęciach lektorka angielskiego. Wciąż w procesie dostrajania głowy do nauk humanistycznych. W almanachu z pierwszą, nieśmiałą próbą scenopisarską.

**Róża Piotrowska,** urodzona wiosną 1997 r. w Łodzi, aktualnie studentka I roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej. Niespełniona flecistka, siatkarka, reżyserka dźwięku, florystka... Miłośniczka roślin i natury w ogóle. Jest to jej pierwsze opowiadanie od czasu, kiedy to w 2003 roku, na świeżo zakupionym komputerze, jej mama spisała historię pewnej Zuzi i jej (szczęśliwie zakończoną) przygodę z muchomorem i zupą grzybową.

**Zofia Piskorska** - studentka I roku wiedzy o mediach i kulturze audiowizualnej na Uniwersytecie Gdańskim. Aspirująca scenarzystka, w wolnych chwilach grywa na kontrabasie w szkole muzycznej II stopnia. Dorywczo pracuje jako niania.

**Witold Pozorski** (ur. w 1997 r. w Gdańsku) - z zamiłowania poeta, z wykształcenia filolog, polonista, z zawodu menedżer treści.

Członek zarządu fundacji Sztukowirówka. W wolnym czasie pasjami gra w szachy, namiętnie jeździ na motocyklu i gra w piłkę nożną.

**Magda Anna Sajewicz** - W duszy wiosna i rokrocznie 24 lata 😊. Poetka, fotografka, a także śpiewaczka, pianistka, tancerka i perpetuum mobile w jednym. Absolwentka logopedii na Uniwersytecie Gdańskim, oligofenologopedka, specj. wczesnej interwencji logopedycznej, terapeutka masażu Shantali oraz Metody Padovan. Od niedawna studentka filologii polskiej na UG - pępowina przywiązana do Uniwersytetu. Wyróżniona dyplomem przez Prezydenta Miasta Gdańska, Pawła Adamowicza, za dobre serce i pracę na rzecz środowiska lokalnego. Całe życie pragnąca niezależności, niczym „jaskółka znak podniebny jak symbol nieuchwytna”, osiągnęła moment, w którym przynależność ma znaczenie. Robi wspaniałe ciasto marchewkowe, kocha góry i zwierzęta, marzy o przebiegnięciu ultramaratonu. Głowę zostawiła w chmurach, twardo stąpa po ziemi, a w sercu ma nieśmiałą nadzieję.

**Urszula Sikora** (ur. 1998) - gdańszczanka i studentka psychologii na Uniwersytecie Gdańskim. Publikowana w „Autografie”, „Blizie”, „Stronie Czynnej” oraz zbiorowych tomach poezji i prozy. Aktywna slamerka. Plan na życie: gdzieś daleko w ciszy głąaskać świnie.

**Franciszek Sobiech**, 1998, czasem prozaik, okazjonalnie poeta, zdarza się że grafik, a poza tym redaktor muzyczny w Radiu SAR. Skończyłem studia na kierunku fizyka stosowana, przez pewien czas na produkcji form audiowizualnych, aktualnie studiuje interakcje człowiek-komputer. Interesuję się grami planszowymi i fabularnymi.

**Edmund Strzelecki** - *nom de guerre* - ur. 1996, absolwent Wydziału Filologicznego UG; ukończenie tej instytucji uważa za jedno ze swoich największych osiągnięć; ani prozaik, ani eseista, ani tym bardziej poeta; zagubiony gdzieś między dziewiętnastowiecznym realizmem a symbolizmem międzywojnia.

**Karolina Szwed** - *nom de guerre* - miłośniczka i autorka filmów, studentka filmoznawstwa; autorka utworów prozatorskich podporządkowanych impresji, melancholijnych i przesyconych nutą nostalgii.

**Martyna Świniarska** - studentka I roku produkcji form audiowizualnych. Miłośniczka kinematografii, fotografii



i literatury, od niedawna aktywna twórczyni. Jeśli piszę - piszę prozę, rozwijając swoją wyobraźnię, tak bardzo potrzebną do szukania kolejnych inspiracji.

**Paulina Ulatowska** - poetka, studentka polonistyki, arteterapeutka. Laureatka I miejsca w konkursie jednego wiersza MALT 2019. Opublikowała dwa tomy wierszy, poprzedzone poetyckimi spektaklami w Centrach Kultury. Hobbystycznie zajmuje się energoterapią, psychologią psychotroniczną, rozwojem duchowym i fizyką kwantową, o czym pisze także w swojej poezji, próbując podzielić się doświadczeniami z pola metafizyki.

**Jakub Wedeł** - student drugiego roku wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej, aktualnie tworzący portfolio filmowe, aby w przyszłości dostać się do Gdyńskiej Szkoły Filmowej (reżyseria). Od wczesnej młodości zafascynowany kinem grozy. Personalnie wielki fan muzyki metalowej oraz twórczości Edgara Allana Poe.

**Anna Wielgat** - studentka III roku licencjackich studiów polonistycznych na Wydziale Filologicznym UG (specjalność publicystyczno-dziennikarska). Autorka scenariusza i grafiki do publikowanej w niniejszym numerze komiksowej adaptacji *Przemiany* Franza Kafki.

**Marysia Wrzeszcz** (ur. 1999) - poetka, studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Zwycięzczyni Slamu Poetyckiego w Blokowisku: „Miasto”, organizowanego przez Gdański Archipelag Kultury. Na co dzień miłośniczka książek, górskich wędrówek i podróży.

**Robert Zawadzki** (rocznik '99) - prozaik, student trzeciego roku filologii polskiej. Fan literatury *weird fiction*, w wolnych chwilach piszący w tymże gatunku. Publikował w magazynie „Histeria” oraz między innymi w antologiach *Obscura*, *Sny Umarłych* i *Rubież Rzeczywistości*

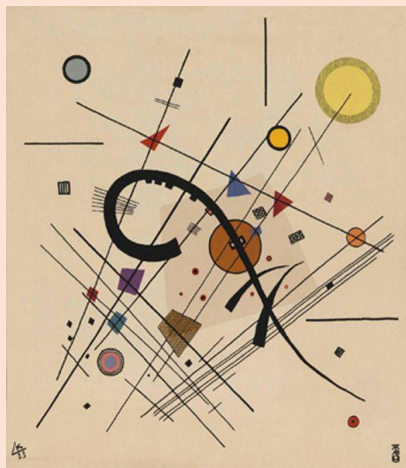
**Michał Ziemiański**. Student filologii polskiej. Wiek i rok studiów pozostanie tajemnicą (bo wstyd). Mało poety w pisarzu i na odwrót. Więcej czasu spędza przed radiowym mikrofonem dzieląc się ulubioną muzyką. Od lat wygraża się pierwszą (jeszcze nienapisaną) książką. Lubi biegać po boisku za piłką i po poligonie z karabinem.

# ALMANAX

## ALMANACH TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ STUDENTÓW UG

KOŁO NAUKOWE TEORETYKÓW LITERATURY UG

VOL. 1 (2021), NR 1 (WIOSNA)



Patronat:

Wydział Filologiczny UG

Instytut Filologii Polskiej UG

